

Najlepsza powieść Shalev.
Amos Oz

Zeruya Shalev
PO ROZSTANIU



Zeruya Shalev

Po rozstaniu

Ja nie żyję, krzyczy, podskakując w podnieceniu, w ogóle mnie nie ma, na zawsze, otwiera szeroko buzię, odsłaniając chwiejące się mleczone zęby. Przyśniłem ci się, wyśpiewuje, to wszystko ci się śni, w końcu okaże się, że wcale nie masz dziecka, milknie i obserwuje mnie badawczo roziskrzonymi oczami, mój lęk wzmacnia wesołość, nową przekorę, która pojawiła się rano i otuliła go w całości, niczym koszulki, które kiedyś lubił nosić. Otacza go krąg wytartych pluszowych zabawek, które mają na pyszczkach wyraz wiecznego oczekiwania, wiruje wśród nich lekki jak bańka mydlana, na piersi kołysze mu się kartonowe serce z imieniem wypisanym dużymi drukowanymi literami, żeby nowa pani wiedziała, żeby się nie pomyliła, żeby wiedziały wszystkie dzieci i nagie ściany w klasie, na których niebawem zawisną rysunki roślin i zwierząt bohaterskich przygód i fantazji, w odcieniach ziemi, krwi i węgla, niczym rysunki pierwotnych ludów z epoki przed wynalezieniem pisma.

Zaciskam wyschnięte wargi, które smakują jak przypalona guma. Mam wrażenie, że w całym domu unosi się swąd spalenizny, jakby w jakimś kącie leżała żarząca się opona, wysyłając mgliste jęzory dymu. Spoglądam na półki z książkami, które wczoraj były pełne, a dziś zieją w nich puste miejsca, patrzące na mnie z wyrzutem niby oczodoły szkieletu. Jak niewiele zostawiamy po sobie, tylko jasny kurz został po książkach, które w milczeniu obserwowały nas latami.

Widząc, że traci moją uwagę, zaczyna znowu podskakiwać, testuje swoją moc, intensyfikuje przekaz, ty też nie żyjesz, oświadcza krzykliwie, naprawdę nie żyjesz, na zawsze, tylko ci się to śni, ten dom nie istnieje naprawdę, tego krzesła nie ma naprawdę, mnie też nie ma naprawdę. To wszystko jest w twoim śnie, sama zobaczysz.

Szuka drogi do mnie, wymachując wiecznie brudnymi, drobnymi rączkami o obgryzionych paznokciach. Pozornie pokonany kuca na dywanie u mych stóp, czubkiem głowy już muska moje kolana, ale natychmiast podrywa się, chwyta jedną z zabawek i z całej siły rzuca do mnie, łapię miękkiego, złocistego misia, przytulam go i kołyszę, żeby wzbudzić zazdrość, przywołać z powrotem, choćby w ten sposób, jego rozkoszną naiwność.

Oddaj mi go, on jest mój, tata mi przywiózł ze Szkodzji, żąda, lecz chowam misia za plecami. Szkocji, mówię ochryple, jakbym nie odzywała się od wieków. Powiedz: Szkocji. Podchodzi do mnie, jakby pragnął otrzymać cień dawnego uścisku, i od razu się poddaje, otwieram ramiona, ale wtedy skacze i chwyta zabawkę zwycięskim gestem. Ale cię nabrałem, woła ze sprytnym błyskiem w oku, zaczyna biegać wokół stołu w salonie niczym rabin tańczący ze starożytnymi zwojami Tory, mój miś ze Szkodzji tylko mi się śni, wyśpiewuje.

Przyglądam się zdziwiona, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Jego zdecydowana, realna egzystencja oszałamia mnie bardziej niż zwykle, okazuje się, że to prawdziwe dziecko, nie wytwór wyobraźni, nie figurka wycięta z książeczki o pożółkłych stronicach, nie słodki owoc miłości, którego kosztujemy od czasu do czasu, nie wyrafinowana

zabawka. Chłopczyk, który się urodził, podkreślam, jakby jego narodziny różniły się od narodzin pozostałych śmiertelników, dzieci, które niebawem spotka w klasie o nagich ścianach, chłopiec, który przedarł się przez skorupę rzeczywistości z zaciśniętymi piąstkami. Staram się przywołać wszystkie spostrzeżenia, które zgromadziłam przez sześć lat, uporządkować ten kocioł, skupiając się raczej na marginalnych detalach, które - niczym w skomplikowanym śledztwie - przyniosą rozwiązanie zagadki: nie pozwala obcinać sobie włosów, które wpadają mu do ust, gdy śpi, lubi jeść w ruchu, macha rękami, bawi się posiłkiem niby drapieżnik zdobyczą. Po zmroku marszczy czoło, garbi się z troską, martwi się, jak uda mu się przetrwać zagrożenia nadchodzącej nocy. Rano cieszy się, jakby odniósł ostateczne, decydujące zwycięstwo. Całym sercem kocha dziesiątki swoich pluszowych zwierzątek, ubiera je w swoje dawne niemowlęce ubranka, porządkuje w rodziny, każdemu wymyśla własną, coraz bardziej skomplikowaną historię.

W albumach z fotografiami szuka tylko siebie, na widok zdjęcia, na którym go nie ma, łzy napływają mu do oczu, wydarzenia, w których nie brał udziału, budzą w nim złość, drażni go wszystko, co działo się przed jego narodzeniem, ciasta, które upiekłam, a on nie miał okazji ich skosztować, śnieżne dni, którymi nie mógł się cieszyć, wszystkie nasze wycieczki, zwłaszcza jeśli lecieliśmy samolotem. Gdzie wtedy byłem? - wypytuje przygnębiony. - W brzuchu? Jakby obecność w moim brzuchu mimo wszystko umożliwiła uczestnictwo w rozrywce. Nie, nie było cię jeszcze w brzuchu, przyznaję. Wtedy rozczuła się nad sobą. To gdzie ja byłem? - pyta, przytłoczony wizją swego nieistnienia. Pocieszam go czym prędzej. Byłeś w moim sercu, przez całe moje życie byłeś w moim sercu.

Jest drobiazgowym, fanatycznym kronikarzem swego krótkiego życia. Uświęca swoje wspomnienia. Każde wydarzenie, w którym wziął udział, nabiera niezwyklej wagi, lubi w nieskończoność przypominać szczegóły. O której godzinie się urodziłem, kto mnie pierwszy zobaczył. To ja, cieszy się, kiedy maleńka buzia pojawia się po raz pierwszy w albumie, kto mi zrobił to zdjęcie, kto mi kupił tę czapczkę. Zarazem wstydzi się swojego śledztwa. Wszystko pamiętam, tak tylko pytam, oświadczam, pamiętam też to, co się działo, zanim się urodziłem, bo w twoim sercu było okienko. Wyglądałem sobie na zewnątrz i widziałem wszystko, wszystko, podkreśla, prawie z naganą, jakby był świadkiem także niewłaściwych zachowań. Sypia w pokoju oświetlonym trzema lampkami nocnymi, w łóżku ma pełno pluszowych zwierzątek. Budzi się z jękiem. Jego oczy przypominają oczy tych zabawek: gładkie, czyste, pełne oczekiwania. Zazdrośnie strzeże swojej własności, starych smoczków, niemowlęcych ubranek, szydełkowanych butków, nie chce się z nimi rozstać, jakby cykl życia dało się odwrócić i niebawem znowu miał ich potrzebować. Nie cierpi zmian, ma swoje nawyki, każde jednorazowe wydarzenie zamienia się natychmiast w obowiązkowy rytuał. Pobyt na przypadkowym placu zabaw, gra w loteryjkę przed snem, wszystko, co robiliśmy raz, musimy robić już zawsze. Nie cierpi, kiedy ktoś przygląda mu się podczas zabawy, nienawidzi, jak słońce świeci mu w oczy, próbuje odpędzić je jak muchę, nie umie pływać, nie umie wiązać butów, boi się jeździć na rowerze, jego rodzice wczoraj się rozstali. Chodź do mnie, Gili, mówię, czując, że kręci mi się w głowie od tych okrążeń, ale on odbiega, jego uwagę przyciągnął zgrzyt w zamku do drzwi wejściowych. Mamo, złodzieje, szepcze z lękiem, zerkając pośpiesznie na rozrzucone zabawki. Którą z nich złodziej zabierze, z którą będzie musiał się rozstać? Idę do drzwi, zastanawiając się, gdzie położyłam klucze, ale ku memu zdumieniu otwierają się na oścież z gwałtownym skrzypnięciem. Tato, myślałem, że to

złodzieje, woła Gili, niepotrzebny strach obraca się w ulgę i poczucie zwycięstwa, jakby własnymi rękami pokonał groźną szajkę. Natychmiast gaszę jego radość, pytając surowo: Amnon, jak właściwie wszedłeś? Uzgodniliśmy, że zostawisz mi klucze.

No cóż, Amnon udaje naiwnego, lecz odpowiedź ma gotową na zawołanie, zostawiłem, bo chciałaś mieć dodatkowe klucze, dorobiłem sobie drugie, od razu pochyła się nad dzieckiem, błyska oczami znad drobnej szyi Gile-go, myślałaś, że nie będę miał kluczy do domu własnego syna? A jeśli, założmy, będę przechodził w nocy pod domem i usłyszę, że płacze, nie będę mógł wejść? A jeśli na przykład zobaczę dym w oknach, nie będę mógł się tu dostać i ugasić pożaru? Gili natychmiast popiera go entuzjastycznie, prawda, mam, przecież moje misie mogłyby się spalić. Chcesz, żeby miś ze Szkodzji się spalił? Porozmawiamy o tym później, wzdycham, lepiej idźcie już, spóźni się do szkoły, ale Amnon prostuje się z trudem, patrzy na mnie z nieszczęśliwą miną, chwileczkę, o co ci chodzi, piłaś już kawę, prawda? Ja jeszcze nie, podchodzi do czajnika, napełnia go po brzegi, jakby zamierzał przygotować dziesiątki filiżanek kawy dla licznych gości, czekających w salonie. Nawet nie pytaj, mamrocze, nie zasnąłem ani na minutę, lodówka hałasuje jak buldożer. Patrzę na niego zdziwiona, nie potrafiąc rozszyfrować tonu, chyba naprawdę zapomniał, że nie odpowiadam już za jego problemy, i prostodusznie wtajemnicza mnie w swoje sprawy, jakby o naszym rozstaniu przesądziła siła wyższa.

Dzisiaj śpij tutaj, tato, jak zawsze, nasza lodówka nie hałasuje. Gili dumnie staje przed lodówką niczym profesjonalny sprzedawca, otwiera na oścież drzwi, aż ze środka bucha zimna para. Nasza lodówka jest cicha, tato - przykładaj do niej ucho, nie obudzi cię, zobaczysz, ja też nie, obiecuje z wahaniem, ja też już nie będę was budził, jeśli znowu będziecie razem. Podchodzę do czajnika i wylewam prawie całą wodę, Gili, przecież tłumaczyliśmy ci, mówiliśmy o tym bez końca, nie rozstajemy się przez ciebie, a już na pewno nie przez to, że budzisz się w nocy, rodzice rozchodzą się przez własne kłopoty, nie z powodu dzieci, przeciwnie, zawsze będą kochać swoje dzieci, jak wygodnie schować się za tym słowem, rodzice, dojrzałe, pełne autorytetu i odpowiedzialności słowo, nie tata i mama, nie ja z tatą, nie my dwoje, Amnon i Ela.

Czajnik gniewnie posapuje. Szybko robię kawę, pilnując swojej roli gospodyni, dolewam zimnego mleka, pij prędkiej, syczę, musi zdążyć na czas, nie zna nikogo w klasie, jak ma zintegrować się z grupą, jeśli ciągle będzie się spóźniał, Amnon śmieje się, nie wydaje mi się, że do wpół do dziewiątej grupa zdąży się zintegrować, nigdy nie przejmuję się cudzymi zmartwieniami, liczą się tylko jego problemy, jak ja będę dzisiaj wykładał, wzdycha, nie zasnąłem ani na chwilę, nie zwracam na mego uwagi, wbijam wzrok w jasnobrązowy płyn, zbyt jasny dla niego, kiedy się skończy, on sobie pójdzie, zabierając swoje narzekania, jak zabrał wczoraj wieczorem książki.

Gili, pora na was, oświadczam, ale on nie skacze już wokół nas, gdzie się właściwie podział, idę do jego pokoju, z dna szafy wystają tylko stopy, na dywanie leżą porozrzucone części dawnych przebrań, jestem tu, klaszcze w ręce, jestem czarodziejem, wychodzi z szafy w czarnoksięskim kapeluszu na głowie, z niebieską różdżką w ręku, na ramiona zarzucił pelerynę w gwiazdy, to jego ostatni kostium. Przypominam sobie, jak razem z Talią grzebałyśmy w stoiskach z kostiumami, wśród dziesiątków kobiet w handlowym zamieszaniu przed świętem Purim, dopiero wtedy odważyłam się jej powiedzieć, akurat tam, gdzie nie można spokojnie porozmawiać, wyszeptaliśmy jej do ucha wyraźne słowa, a Talia zakryła usta ręką i krzyknęła,

oszałałaś, Elu, ani mi się waż, chcesz zniszczyć życie dziecku?

Jestem wielkim czarodziejem, ogłasza znowu, kapelusz opada mu na czoło, zakrywając kasztanowe loki, jego twarz wydaje się w tym przebraniu dorosła, stoi przed nami niczym rabin w czarnym kapeluszu, mały rabin, który chciałby odprawić ceremonię zaślubin, uświęcić na nowo nasz związek swoją różdżką, Amnon patrzy na niego ze złością, tak chcesz iść do szkoły? Co ci przyszło do głowy, dzisiaj nie Purim, zdejmij natychmiast to idiotyczne przebranie. Co z tego, ja tak chcę, buntuje się, w kącikach oczu błyska już roztwór nieszczęścia, który zawsze się tam kryje w oczekiwaniu na okazję, nieważne, niech tak idzie, mówię pośpiesznie, to nic takiego, oczami duszy widzę, jak z wahaniem otwiera drzwi klasy, dzieci patrzą na niego zaskoczone, na twarzach widać drwinę, patrzcie, czarodziej, to przecież nie Purim, zawstydzony i odrzucony czarodziej, który nie potrafi nic wyczarować.

Kiedy wreszcie wychodzą, Gili dumnie usadowiony na ramionach ojca niczym na tronie, naraz stają się stworzeniem o dwóch głowach, niższa jest odkryta, ogolona, wyższa przykryta kapeluszem, stworzeniem, które znika w głębi mrocznej klatki schodowej. Ta istota wytrąca mnie z równowagi, w napięciu nasłuchuję echa kroków, ptasiego, trochę krzykliwego szczebiot, pełnej zapału paplaniny, wydaje mi się, że faktycznie odwiedził nas złodziej, zręczny i czarujący, który na moich oczach zrabował wszystko, co nagromadziłam, rodzinne skarby poprzednich pokoleń, pozostawiając puste szuflady, wybrakowane półki, dziecięcą piżamę, ukrytą w skotłowanej pościeli na małżeńskim łóżu, przesiąkniętą zapachem nocnych strachów, znowu przypominam sobie chwilę, kiedy staliśmy się trojgiem, kiedy do tego mieszkania przywieźliśmy nowo narodzonego Gilego, w pożyczonej wiklinowej kołysce, z gołymi nóżkami, bo Amnon przez pomyłkę przyniósł dwie małe bawełniane koszulki, zamiast koszulki i spodenek, moje gwałtowne, nieznane pragnienie, by położyć się na łóżku z nimi oboma, okryć cienkim kocem naszą nowo narodzoną rodzinę, ja po jednej stronie, on po drugiej, dziecko pośrodku, między nami, gładzimy z zachwytem jego przepiękną skórę, a łagodne jesienne słońce zakrada się pod pościel, rozpalając przejrzystym ogniem czubki palców.

Tylko że wcale tak nie było, byliśmy wtedy zajęci czymś innym, a teraz nie jesteśmy już we trójkę, nigdy nie będziemy, nagle wydaje mi się, że świeże rozdarcie zamienia nas w cztery osoby, dwie oddzielne pary, ja i mój Gili, Amnon i jego Gili, skazaliśmy go na to, aby stał się całkiem inny z każdym z nas, te pary będą z czasem oddalać się od siebie coraz bardziej, część mojego syna nie należy już do mnie, jakby został przepołowiony, którą wybierasz, mam, górną czy dolną, prawą czy lewą, nie będę już nigdy cała, nawet jeśli tak będzie się wydawało, połowa zawsze pozostanie w wyobraźni.

To rana na całe życie, powiedziała, otwierając szeroko, z wyrzutem, czarne jak węgiel oczy, w ramionach trzymała naręczę strojów, królowa nocy albo panna młoda dla dziewczynki, wahała się, Robin Hood czy tygrysek dla chłopca, ucierpicie na tym oboje, ty i dziecko, będzie ci o wiele trudniej bez Amnona, jak można odejść od męża bez powodu, kiedy nikogo nie masz? Jak można rozbijać rodzinę, ot, tak sobie? Nie tak sobie, protestuję, przecież wiesz.

Nie masz pojęcia, o czym mówisz, upiera się, dziecięce przebrania w celofanowych pokrowcach wyslizgują się jej z rąk. Ten widok mnie hipnotyzuje, które upadnie pierwsze, jeśli panna młoda, to znak, że moje małżeństwo się kończy, jeśli królowa nocy, nie rozwiodę się. Talia przyciska stroje do piersi, nie odchodzi się od męża przez romantyczne marzenia, wyrokuje, gromadka kobiet przebierających w fatalaskach przygląda się nam ciekawie, są gotowe skomentować, dodać coś od siebie do mojego życia, odciągają ją, nie krzycz, uspokój

się, można pomyśleć, że odchodzę od ciebie.

To nie marzenia, próbowałam przekonać ją w drodze powrotnej, to coś całkiem innego, znacznie bardziej zasadniczego, to przestrzeń, brakuje mi powietrza, chcę tylko być bez niego, bez kłótni, bez awantur, bez obwiniania, nie obrażać i nie być obrażaną, nie czuć rozczarowania i nie rozczarowywać, dość mam tego konfliktu, jesteśmy jak kawałki papieru ściernego, które wciąż o siebie trą, po co mi to, powiedz sama, po co mi on?

Nie przekonujesz mnie, przygryzła w zdenerwowaniu paznokcie jak nastolatka, gdybyście nie mieli dziecka, powiedziałabym, proszę bardzo, nie ryzykujesz wiele, ale teraz, kiedy Gili ma dopiero sześć lat, chcesz odejść od Amnona, bo jest trochę męczący?

On nie jest trochę męczący, on mnie osacza, poprawiam, zadrećza mnie, wykańcza, kiedyś byłam nim zachwycona, teraz każde jego słowo wydaje mi się bezsensowne, nie tylko przestałam go kochać, przestałam go szanować. Mam dość jego wymagań, jego pretensji, źle mu ze sobą i wyładowuje się na mnie, od urodzenia Gilego jest o wiele gorzej. Brak mi sił i ochoty opiekować się nimi oboma, jeśli mam wybierać, wolę Gilego, i tak właściwie sama go wychowuję, po latach zrozumiałam, że Amnon się nie zmieni, nie chcę dłużej tak żyć, mam do tego prawo.

Ty mówisz o prawach, ja o obowiązkach, powiedziała szybko, kiedy zatrzymałam się pod jej domem, mnie wychowano, że rodzina to największa świętość, może jestem ograniczona, ale się z tym zgadzam. Boję się, że odkryjesz to za późno. Zamierzasz rozbić rodzinę, Elu, nawet nie masz pojęcia po co, nie masz pojęcia, ile stracisz, jak niewiele zyskasz. Wystarczy, Talia, powiedziałam, uspokój się, nie idę jutro do rabinatu, tylko się do tego przymierzam, tobie pierwszej w ogóle mówię. Z westchnieniem zebrała stroje, malutka suknia panny młodej irytuje mnie swoją idealną, falbaniastą bielą. Wolałabym być ostatnia, przerywa mi sucho, zobaczysz, że ci przejdzie, to jak wirus, który co jakiś czas nas atakuje. Wydaje nam się, że jeśli tylko uwolnimy się od męża, wszystkie kłopoty same się rozwiążą, ale zapomnij o tym, Elu, to złudzenie.

Skąd wziął się ten powiew, dziwię się, zbierając naręcze pluszowych zabawek, miękką ścieżkę złocistych śladów, którymi usłana jest podłoga, rzucam je na wypełniające się łóżko, nie ma już chyba na nim miejsca na ani jedno zwierzątko, a na pewno nie na całe, żywe dziecko, chłopca z krwi i kości, znowu ten chłodny powiew, który sprawia, że dostaję gęziej skórki na szyi, dziwny, wczesny jesienny wiatr, skąd się tu wziął, okna pozamykane, drzwi zamknęłam po ich wyjściu, ale znowu otwierają się na oścież i do środka wchodzi on, zwinnie i bezszelestnie pomimo swego wzrostu, przekręca cicho klucz, zamyka pośpiesznie. Amnon, czuję nagły lęk, widząc go bez dziecka na ramionach, jak drzewo, z którego odleciały ptaki, co się stało? Gdzie Gili?

W szkole, a gdzie ma być, odpowiada z kwaśnym uśmiechem, opiera się o drzwi, czuję nieprzyjemne mrowienie na twarzy, po której wędruje wzrokiem. Ja jestem, przyniosłem ci kawę, podaje mi tekturową tackę z dwoma przykrytymi kubkami.

Właśnie o to chciałam zapytać, mówię oschle, co tu robisz? Swoim zwyczajem natychmiast atakuje, nie rozumiem, sama powiedziałaś, żebyś przyszedł, nie pamiętasz, nie minęło pół godziny i już zapomniałaś? Czym prędzej zaprzeczam, nic podobnego, bardzo się śpieszę, nie powiedziałam, żebyś przyszedł teraz, coś ci się pomieszało. Kubki z kawą aż trzęsą się z obrazy, kiedy mówi, uznałaś, że porozmawiamy później, nie pamiętasz? Chciałaś, żebyś przyszedł z tobą porozmawiać.

Amnon, daj spokój, denerwuję się, miałam na myśli, że kiedyś porozmawiamy, to nie było konkretne zaproszenie, niedługo wybieram się na spotkanie, nie czas teraz na rozmowy.

Niecierpliwie wyjmuję mu tackę z rąk i stawiam na kuchennym stole, mruczając gniewnie przy każdym kroku, tak wyrwę ci z rąk kontrakt ślubny, będę kroczyć ze spuszczoną głową wśród wrogich spojrzeń, długie, nastroszone białe brody na czarnych strojach, rozwiedziona, rozwiedziona, będą wołać, już nieuświęcona, a ty będziesz tam stał, szybko przyłączysz się do moich wrogów, w dole, na głównej ulicy, będą warczały samochody wspinające się na siebie niczym zwierzęta w rui.

Kiedy masz to spotkanie? - pyta, podchodząc do mnie ostrożnie, wędrując wzrokiem do ściennego zegara, który dostaliśmy w prezencie ślubnym. Tak stąpał wśród potraskanych skorup, po szarym od pyłu terenie wykopalisk, gdy ujrzałam go po raz pierwszy. Musimy być ostrożni niczym chirurdzy, przypominał wciąż, bo przeszłość, która rozpościera się przed nami, jest nie mniej bezbronna niż ciało chorego. Zerkalam na niego z podziwem z głębi wykopu, jak zwierzę z nory, modląc się, żeby mnie zauważył.

Za godzinę, mówię, wpatrując się z niepokojem w jego zmęczone oczy, błyskające błękitnymi iskrami, czemu pytasz? Mamy dość czasu, szepcze, wargi wykrzywia mu nerwowy uśmiech, guziki popielatej koszuli rozpinają się nieomal same, odsłaniając potężną, zaczerwienioną pierś. Cofam się i wpadam na stół, rozgniatając z chrzęstem kubki z ciepłą kawą, wylewa się pienista, wonna ciecz. Nie, nie usiądziemy razem przy stole, sącząc z przyjemnością kawę, obejmując palcami letnią fakturę, narzekając na wczesną jesień, nie wspomnimy przelotnie tego, co działo się w nocy, przywołując chwilę bliskości, cud, który znowu udało nam się sprawić, nie podsumujemy łagodnej tyranii naszego syna, ile razy się obudził i kogo wyrwał ze snu, nie będziemy rozkoszować się jego poranną paplaniną, szczegółowym opisem snu, nie spojrzymy na siebie z westchnieniem akceptacji, zanim każde z nas rozpocznie swój dzień, westchnieniem, w którym niepokój łączy się z ulgą, mówiącym: Jesteśmy tu razem, mimo wszystko, tak samo jak jutro, pojutrze, przyszłej jesieni.

Zostaw, mówi, potem posprzątam, jakby to wciąż był jego dom, ze wszystkimi prawami i obowiązkami, dotykam ciepłej plamy na spodniach, aromatyczny płyn łaskocze mnie w udo, spływa w dół, jeszcze szybciej do wszystkich członków ciała napływa gniew, po co przyniosłeś tę kawę, po co w ogóle przyszedłeś, popatrz, co narobiłeś, wybucham, starając się nie patrzeć na roślę, zwalistą sylwetkę, bezsensowną przeszkodę, muszę znowu się wykapać, znowu się przebrać, gdyby była tu Talia, może by wreszcie zrozumiała, jak męczące jest bezustanne natykanie się na kogoś, jak łatwo można komuś odebrać wolność, nawet jeśli chodzi tylko o zmianę spodni.

Muszę zmienić spodnie, cedzę przez zęby, odwracam się do niego, pokazując plamę, i z demonstracyjnym oburzeniem idę do sypialni, jego kroki podążają za mną korytarzem, towarzyszą mi jak zapach kawy, zatrzymują się przed szafą na ubrania, jego oddech jest coraz bliżej, daj, pomogę ci, mówi, klęka i ściąga mi z wysiłkiem spodnie, przyciskając ogoloną czaszkę do moich ud, wysuwa język, żeby zlizać kropelki kawy, ciepły oddech tworzy wilgotną mgiełkę na skórze, próbuję się wydostać z jego objęć, Amnon, puść mnie, co ty wyprawiasz, myję cię, odpowiada szeptem, chciałeś się umyć, prawda? Dosyć, przestań, proszę, wszystko utrudniasz, zostaw mnie, z nami skończone, umarło całkiem, na zawsze.

Jego ogolona czaszka znajduje się między moimi udami, jakby przed chwilą wychynęła stamtąd z wysiłkiem, dla ciebie może umarło, ale nie dla mnie, jego głos oplata mnie, lepki i nieprzyjazny niby złośliwy owad, dlaczego twoje pragnienie ma być ważniejsze od mojego, kim ty w ogóle jesteś, myślałam, że skończyliśmy z tymi rozmowami, mówię, myślałam, że rozumiałaś, nie możesz mnie do niczego zmusić, cicho bądź, syczy, nie pytam cię o zdanie,

tak jak ty mnie nie pytałaś, to, co mi zrobiłaś, jest dużo gorsze od zmiany spodni, przez ciebie muszę zmienić całe życie.

Amnon, puść mnie, odpycham jego głowę, ręce ślizgają się, jakby był pokryty folią, pozwól mi się ubrać, nie mam czasu, wyciągam ręce do szafy i udaje mi się wyjąć parę spodni, ale on przytrzymuje mi nogi, przyciska *do* swoich ramion, do grubej szyi, wysuwając naprzód wydłużoną głowę jak u żółwia. Pochwyił mnie ogromny żółw. Biję go po twardej skorupie pleców, usiłuję się wyswobodzić, dość, Amnon, wystarczy, nie chcę cię, nie rozumiesz, już cię nie chcę. W szafie widać puste miejsca po jego ubraniach. Wydaje mi się, że mebel utracił równowagę i zaraz się przechyli jak waga obciążona tylko z jednej strony.

Jesteś moją żoną, jesteśmy małżeństwem, mruczy z prostodusznym zdumieniem, poluzowując zniecka uścisk, próbuję przeskoczyć nad nim, rozstawiając szeroko nogi, odbijam się od jego czaszki, niczym od przyrządu gimnastycznego. O dziwo, nie reaguje, klęczy z opuszczoną głową, jakby błagał o zmiłowanie jakąś wyimaginowaną istotę, na szarej bawełnianej koszuli wykwitają zarysy kontynentów, plamy gorzkiego potu przyklejają materiał do ciała, ich nagły, krępujący widok mnie hipnotyzuje. Nie ja będę prała twoją koszulę, nie ja powieszę ją na wieszaku w słońcu, nie ja włożę ją do szafy, nie w tej szafie się znajdzie. Rozstanie z jego koszulą napędza mnie nagle buntowniczą radością, jakby tylko ona od lat stała mi na drodze do szczęścia.

Amnon, posłuchaj, zwracam się do jego wilgotnych pleców, nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą została, nie chcę tak dłużej żyć, tyle razy próbowałam ci to powiedzieć, prawie mnie nie słuchałeś, teraz sobie przypomniałeś, jest już za późno. Kiedy nie odpowiada, zostawiam go i idę po śladach kawy do pokoju Gilego, siadam wyczerpana na łóżku. Dziesiątki par szklanych, suchych oczu gapią się na mnie ciekawie, z naganą, jakbym to ja była kimś wyjątkowym, z ciałem niepokrytym sierścią, z wilgotnymi oczami. Zamiast pobiec do łazienki i zamknąć za sobą drzwi, niemal bezwiednie zaczynam układać je tak, jak mój syn lubi, rodzinami, lew, lwica i małe lwiątko, tygrys, tygrysica i małe tygrysiątko, policzek do policzka, futerko do futerka. Zaniepokojona zauważam brak ukochanego misia, który zawieruszył się gdzieś w bałaganie, strzepuję koldrę, podnoszę poduszkę, zaglądam pod łóżko. Czego szukasz, pyta, jego goła, gładka pierś podnosi się i opada ciężko, w ręku trzyma wygniecioną jak szmata koszulę, tak ujrzałam go po raz pierwszy, dziesięć lat temu, pół-nagiego, obserwującego zmrużonymi oczami odsłaniany pałac, tyle że wtedy jego pierś pokrywał ciemny, gęsty pył i nie zauważyłam, że jest nagi.

Szkockiego misia, mówię. Jest w samochodzie, odpowiada, zabieram go, niech Gili ma się u mnie czym bawić. Ale Gili nie potrafi bez niego usnąć, prostuję się, dlaczego ma być u ciebie, nie możesz tak po prostu rozdzielać rodziny. Naprawdę? - cedzi szyderczo. Co ty powiesz, nie wolno rozdzielać rodziny misiów, a ludzką można? Może coś ci się pomyliło, i jest odwrotnie? Może w ogóle masz serce zabawki, jak one, chodź, chodź, zbliża się, z rozchylonymi wargami, z opuszczonymi powiekami, wyciąga ręce niczym ślepiec, rozchyła mi dekolt, sprawdźmy, co tam masz, serce zabawki, popsute serce zabawki, osuwam się pod jego ciężarem na zarzucone pluszakami łóżko, na którym nie ma miejsca nawet dla jednego małego chłopca, pociera rękami moją pierś, jakby chciał ją rozerwać, naprawię cię, mówi ochryple, zobaczysz, wymienię ci popsute serce, dam ci nowe, będziesz mnie kochać, będziesz mnie kochać jak dawniej.

Kiedy byłam małą dziewczynką, nie miałam męża. Spałam sama w wąskim, pojedynczym

łóżeczku, budziłam się sama. Przed sobą widziałam zmieniające się niebo, gaszące błękitem ogień wschodzącego słońca, który płonął w pościeli. Kiedy szłam do szkoły, nie miałam męża, po powrocie ze szkoły nie miałam męża, kiedy odrabiałam lekcje na ciemnym blacie biurka z formiki, nie miałam męża, i kiedy leżałam w łóżku pod oknem i patrzyłam na księżyc, nie miałam męża, niebo wyciągało do mnie czarne, włochate ramiona, niby ogromne pierwotne stworzenie o jednym oku, które stopniowo się otwierało i zamykało, modliłam się o nadejście drugiego oka, niczym potężni kapłani, stojący boso na skale, wyglądający wschodzącego słońca, wiedziałam, że tylko wtedy nadejdzie sen, spadnie niczym manna z nieba, i wtedy także nie miałam męża.

Gorzki, męski pot wsiąka mi we włosy, które przechodzą jego zapachem ze zdradliwą intensywnością, Amnon z jękiem przyciska mi rękę ramieniem, mocuje się z moją pierśią, pozwól mi naprawić sobie serce, dyszy, ciemna zasłona w oknie filtruje promienie słońca, które przygasają, jakby upłynęło już wiele czasu, wpatruję się w ścianę, ze zdjęcia zrobionego w ostatnie urodziny Gilego spoglądają na mnie smutne oczy w kolorze zwiędłych liści, obserwując nasze poczynania, mam wrażenie, że podobizna nie pochodzi sprzed kilku tygodni, lecz z przyszłości, to portret młodego mężczyzny, którym kiedyś się stanie, zgorzkniałego, zamkniętego w sobie, długie bolesne nici rozciągają się między nami, nici, które wyszły z mojego ciała, zamykam oczy, czuję szorstkie dłonie Amnona na twarzy, gładzą moje policzki, dotykają szyi, drapią brzuch, jakby szukały pod skórą decyzji obwieszczonej kilka miesięcy wcześniej, której jeszcze nie zdołał przetrwać, decyzji o rozstaniu, starają się wyciągnąć ją z ciała, jak usuwa się kolec. Nie staram się już wyrwać, bo rozgniatą mnie sobą niczym bochen chleba na dnie koszyka, to nie tylko jego ciężar, lecz naszego wspólnego życia, dzień za dniem, rok po roku, od chwili gdy ujrzałam go po raz pierwszy w Tel Jezre'el, do dzisiejszego poranka w Jerozolimie, ciężar miłości i kłótni, wrogości i współczucia, przyciągania i odpychania, ciężar naszego syna i naszych nienarodzonych dzieci.

Jego łopatki są gładkie i wilgotne, oddech palący, twarz przybiera ciemnofioletowy odcień bakłażana, podobny do niepokojącej barwy skóry Gilego po urodzeniu. Leżąc na plecach, cierpię odwrotne skurcze porodowe, bo tyse, wyrośnięte i bardzo silne dziecko usiłuje się wdrzeć do mojego ciała, gwałci mnie niechciane dziecko, czy istnieje słowo, spojrzenie lub gest, które zabiorą go ode mnie, które sprawią, że to szorstkie, brutalne ciało opuści dziecinne łóżeczko, pełne pluszowych zwierzątek, wydaje się, że nie wymyślono takiego słowa, może to i lepiej, bo wspomnienie tego poranka to najlepszy bagaż, jaki zabiorę ze sobą w nowe życie, im bardziej będzie mnie odstręczał, im bardziej będzie mnie rozczarowywał, tym lepiej ochronię się przed żalem i tęsknotą, bo przecież nie obserwuję go teraz z obcością, wyraz jego ust, zmienny niczym niebo, to nie szok obcości, lecz szok bliskości, gdyż ten poranek nie różni się zasadniczo od pozostałych poranków naszego życia, chociaż nigdy do niczego mnie nie zmuszał, lecz oczywiście także zeszłej jesieni zdarzało się, że leżałam pod nim bez ruchu, myśląc w napięciu i wzruszeniu o czasach, kiedy nie miałam męża.

Zaciskam wargi pod spojrzeniem pluszowej lwicy. Nie dam ci nawet mojego głosu, wydaje mi się, że w plecy kłują mnie ostre kamienie, jak wtedy, w nasze pierwsze noce na wykopaliskach, w ciągu dnia szukamy skarbów pod powierzchnią ziemi, nocami pod skórą, jego jasne oczy lśniły nade mną, promieniując światłem skupionym w ciągu długich, upalnych dni, roztaczał zapach starej ziemi, ręce, które skrupulatnie sortowały znaleziska, wędrowały po moim ciele, jakby starały się odszyfrować wryty napis, literę po literze,

rozmyślałam o królowej Sydonu, która żyła tu przede mną, jakby dzieliło nas zaledwie jedno pokolenie, wyobrażałam sobie, jak wyglądała przez okno, z oczami umalowanymi henną, ufryzowana, czekając na nadchodzących wrogów, jak opuścili ją zdradzieccy eunuchowie i jej krew splamiła ściany pałacu. To, co było dla nich katastrofą, dla nas jest szczęściem, powiedział, osada została zniszczona niedługo po powstaniu, nigdy jej nie odbudowano, i właśnie dlatego, że tak krótko istniała, ma dla nas wielkie znaczenie. Chwyciłam go za rękę, w dzień jesteśmy dla siebie obcy, nocą stajemy się królewskimi dziećmi, kroczącymi wśród ruin, odtwarzając krótkotrwały złoty wiek królestwa, nie sądziłam, że jeszcze go zobaczę po zakończeniu sezonu, myślałam, że zniknie z mojego życia ukradkiem, tak jak się zjawiał, przynosząc blask niezgłębionej przeszłości, ale on wskazał na mnie, gdy już miałam wsiadać do samochodu, i powiedział z absolutną powagą, niczym generał wybierający żołnierzy, pojedziesz ze mną.

Najwyraźniej ta dręcząca wizja staje także jemu przed oczami, lecz napęnia go wściekłością, kim ty w ogóle jesteś, -Łe ośmielasz się ode mnie odejść, beze mnie byłabyś niczym, nędzną ochotniczką na wykopaliskach, dzięki mnie robisz karierę, tak się odplacasz, teraz wszystko się skończy, zniszczę cię, tak jak cię zbudowałem, naraz, niczym w ostatniej raniącej obeldze, zsuwa się ze mnie, tryskając mi aa brzuch jasnym niby białko płynem, natychmiast ukrywa twarz w futrze leżącej obok lwicy, jakby ktoś uderzył go pałką, dyszy i jęczy, nie odczuwając ulgi, Elu, wybac mi, nie wiem, co się ze mną dzieje, ta rozpacz mnie zniszczy, spróbujmy jeszcze raz, wiem, że nie jest ci ze mną lekko, ale jacie kocham, nie myśl, że tak łatwo znaleźć miłość, nie ma wiele miłości na ulicach, u nas w domu jest, nie lekceważ tego, Elu, odpowiedz mi, dotyka mojej twarzy, jego palce na moich wargach, jakby starały się wydobyć przemocą odpowiednie słowa, nie płacz, błaga, żałuję, że tak się na ciebie rzuciłem, to się nie powtórzy, daj nam jeszcze jedną szansę, Gili jest taki mały, chcesz mu teraz zniszczyć życie, milczę, wspomnienie tamtych czasów opada na mnie, przygniata jak osuwający się pył wulkaniczny, nieuporządkowany według warstw, zastygły w nim pomieszane, bezsensowne dane, których wyjaśnienie zajmie tysiące lat.

Zmrużonymi oczami przyglądam się jego zwodniczej twarzy, w jednej chwili wydaje się piękna, w następnej brzydka, jak bardzo zmienił się od tamtej pory, leżymy przyciśnięci do siebie na wąskim łóżeczku Gilego, przysięgam, nie zbliżysz się do mnie już nigdy ani na łokieć, mówię na głos i ze zdumiewającą lekkością zrywam się z łóżka, zrzucam z siebie jego ciało, które stało się miękkie i pozbawione wagi, jakby sam był pluszową zabawką, wypełnioną gąbką. Wciąż chowa twarz w szyi lwicy, plecami opiera się o misie, które przechodzą jego zapachem, będzie towarzyszył Gilemu śpiącemu w nocy, bawiącemu się w dzień, czego ty ode mnie chcesz, stęka, nie jestem taki straszny, mam czasami humory, co w tym takiego strasznego, co cię napadło, nie mam pojęcia, co cię napadło, wstań wreszcie, popędzam go, już nic od ciebie nie chcę, nie mam ochoty po raz kolejny ci tłumaczyć, co mnie napadło, czy ty w ogóle rozumiesz, co przed chwilą zrobiłeś? Przecież gdyby istniała jakakolwiek szansa, że do siebie wrócimy, właśnie ją zniszczyłeś, możesz winić tylko siebie. Z demonstracyjnym chłodem obserwuję, jak się powoli podnosi, okrywa pierś wygniecioną koszulą, ze złością podciąga dzinsy, ponury, obrażony, wysuwa do przodu szczękę, mam wrażenie, że obok niego ubiera się kobieta, która tu z nim żyła, przewrażliwiona, zgorzkniała, rozczarowana, sam fakt, że istnieje szansa, aby rozstać się także i z nią, zdumiewa mnie i przysparza o zawrót głowy, niczym zjawisko nadprzyrodzone.

Żałuję tego, co zrobiłem, mówi z rosnącą pasją, ale to, co ty zrobiłaś, jest o wiele gorsze, nie masz pojęcia, jak bardzo będziesz żałować, igrasz z ogniem, Elu, nagle zyskałaś pewność siebie i igrasz z ogniem, jeszcze pożałujesz, oszczędź sobie tych gróźb, syczę, zostaw tylko klucze, wyjmuję klucze z kieszeni i macha mi nimi przed nosem, jakby były soczystą kością, a ja psem, tego chcesz? To wszystko, czego ode mnie chcesz? Wyobraź sobie, że nie dam ci ich, to także moje mieszkanie, jeśli nie chcesz mnie tu widzieć, będziesz musiała się wyprowadzić, natychmiast rusza do drzwi, otwiera je z rozmachem i zamyka za sobą na klucz, przekręcając go trzy razy energicznie, jakby wychodził z pustego domu.

Znowu się spóźniłaś, oświadcza karcąco, jego gładka, jasna twarz przypomina posążek faraona z brązu, w srebrzystych oczach błyska ostrzeżenie, przepraszam, mamroczę, miałam pilne spotkanie w pracy, jak zawsze chwytam się wymyślonych obowiązków zawodowych, bo tylko takie uznaje. Staje w progu z zamaszystym gestem, niczym policjant kierujący ruchem, wchodzę za nim do jasno oświetlonego gabinetu, którego ściany aż pod wysoki, sklepiiony sufit wypełniają książki, wydaje się, że nawet tam wspinają się jak bluszcz, przyglądają mi się z góry, irtują mnie swoją bezkarnością, nie może ich skrzywdzić, zawsze wołał je od nas. Siada za wielkim biurkiem, przed komputerem, obok jak zawsze stoi szklana salaterka, a w niej obrane, pokrojone na plasterki jabłko. Przeczesuje palcami białe włosy, zakłada jedną masywną nogę na drugą, a ja zerkam w stronę okna, gdzie wąska, smukła palma wygrzewa się beztrąsko w coraz mocniejszym słońcu, potrząsa do mnie z sympatią swoją lwią grzywą.

Tak siadywałam przed nim w dzieciństwie, wiecznie napominana. Elu, muszę powiedzieć ci kilka rzeczy, informował mnie oficjalnie, zawsze „powiedzieć”, nigdy porozmawiać z tobą” ani „wysłuchać”, zapraszał mnie do swego gabinetu, który wydawał mi się duszny i pozbawiony nadziei niczym podziemna cela przesłuchań, ukradkiem patrzyłam na matkę, co znowu zrobiła? Czego on ode mnie chce? Przybierała minę pełną współczucia, nie mam pojęcia, ale zostawała za zamkniętymi drzwiami i tylko ja słyszałam ochryply zgrzyt więziennego klucza w zamku. Rozpoczął surowo, powoli i z naciskiem, jakby przemawiał do licznego audytorium, odnosi wrażenie, że nie poświęcam wystarczającej uwagi nauce, nie jest zadowolony z moich ocen, nie jest zadowolony ze sposobu, w jaki się ubieram. Z przyjaciółki, z którą ostatnio zaczęłam spędzać czas, z książek, które czytam. Odnosi wrażenie, zawsze tak to ujmował, jakby mieli z matką jakiś rodzaj ukrytego zrozumienia, jakby nie porozumiewali się słowami, ale milcząco, sekretną mową znaków i gestów, odnosi wrażenie, że mam już chłopaka i chciałby mnie ostrzec, abym nie posuwała się za daleko, abym nie robiła nic, czego mogłabym potem żałować.

Rozumiem, że chcecie się rozstać z Amnonem, zaczyna, i natychmiast przerywa. Jego głos jest grzmiący i pełen nagany, jakbym nie tylko ja siedziała teraz przed nim, jedyna córka, ale tłum kobiet, masowy, rewolucyjny ruch, zagrażający jego spokojowi ducha, ruch, który należy zdławić wszelkimi dostępnymi sposobami. Czy to ostateczne? - pyta, spodziewając się, że sam fakt zadania pytania tak przejmującym tonem sprawi, że natychmiast zaprzeczę, będzie mógł szybko zakończyć spotkanie i wrócić do swoich spraw. Przytakuję słabym głosem, od razu dodając z wahaniem: Najwyraźniej. Spróbujemy przez kilka miesięcy żyć w separacji. Chrząka. Można wiedzieć dlaczego, czy to zbyt osobiste pytanie. Słowo „osobiste” sprawia, że zaczyna nerwowo podrygiwać mu stopa. Po prostu do siebie nie pasujemy, mówię. Nie jest nam dobrze razem, postanowiliśmy, że nie ma sensu tego ciągnąć. Fałszywa liczba mnoga wygładza wszystko, jakby Amnon znajdował się tu ze mną we własnej osobie, potwierdzając

moje słowa. Nie łączy nas żaden wspólny cel, recytuję, starając się jak zawsze w jego obecności mówić bardziej literackim językiem, żeby nie powiedział, widzę, że coraz gorzej się wysławiasz, co ostatnio czytałaś? Przerzywam, nie jestem zdolna wnieść do rozmowy nic więcej niż trzy sztuczne zdania, zresztą to nie rozmowa, nigdy nie rozmawialiśmy. Przyglądam się jego podrygującej nodze, jest prosta i smukła niczym palma, zbliża się do mnie coraz bardziej, za chwilę uderzy mnie w kolano niby przez przypadek, mocny, dobrze wymierzony kopniak, żeby utrudnić mi swobodę ruchów, pomieszać szyki.

Wiesz, że nigdy nie mieszałem się w twoje prywatne sprawy, mówi, autorytarnie i chłodno, ale tym razem uważam za swój obowiązek otworzyć ci oczy, ponieważ nie chodzi tylko o ciebie i o Amnona, dwoje dorosłych ludzi, którzy mogą pozwolić sobie na błędy, mówimy o małym dziecku, które zapłaci cenę tych błędów, choć nie ma czym, jego kasa jest pusta. Przerywa i sprawdza, jakie wrażenie wywarły jego słowa, wstępne uderzenie, przygotowane, tak jak przygotowuje wykłady, jakby oczekiwał, że zaraz wyjmę z torby notes i długopis niczym pilna studentka i zapiszę wszystko co do słowa. Mówimy o małym dziecku, które będzie płacić cenę tych błędów, ale nie ma czym zapłacić, jego kasa jest pusta, pusta.

Stanie się dłużnikiem, kontynuuje wykład. Głos przyzwyczajony do przestronnych sal odbija się niechętnie od ścian zamykających się wokół niego. Tego długu nie będzie można spłacić. Bardzo szybko pojawią się wierzyciele, mówię o wierzycielach psychicznych, są nawet groźniejsi od przestępców, skonfiskują wszystko, co posiada, tę odrobinę siły duchowej, wiesz, co mam na myśli?

Tato, przesadzasz, mówię cicho, czasy się zmieniły, dzisiaj nikt już nie przejmuje się tak rozwodem. Znam mnóstwo dzieci rozwodników, wszystko z nimi w porządku. Mają tatę i mamę, uczą się, jak sobie radzić w życiu. Najważniejsze dla dziecka, żeby rodzice byli szczęśliwi, recytuję, lepiej, żeby byli szczęśliwi osobno niż nieszczęśliwi razem. Ale on macha lekceważąco ręką, jakbym wygłaszała kompletne nonsensy. To nowomodne frazesy, oświadczą. Dziś ludzie są impulsywni niczym zwierzęta, stali się niewolnikami własnych instynktów, nie ma nic niebezpieczniejszego niż popęd, wyjaśniałem ci to, kiedy jeszcze byłaś dziewczynką. Tak jak samochód ma hamulce, i człowiek ich potrzebuje. Tak jak samochód rozbija się bez nich, tak samo człowiek. Mówię ci, grozi palcem, znam dobrze twojego syna. On nie jest taki, jak inne dzieci, jest kruchy i wrażliwy, jeśli nie powstrzymasz tego procesu, dojdzie do katastrofy. Ostrzegam cię.

Katastrofa? - mamrocę. O czym ty mówisz, co jeszcze może się zdarzyć? Będzie mu trudno przez pewien czas, a potem to przejdzie, jak u wszystkich. Dzieci przeżywają dużo gorsze rzeczy niż rozwód. Katastrofa! - powtarza głośniejszymi wargami, jakby krew zakrzepła mu w żyłach. Uważaj, Elu. Nieszczęście jest pewne, a szczęście wątpliwe, tak właśnie jest. Kto ci zagwarantuje, że bez Amnona będziesz szczęśliwa? Chyba nie byłaś zbyt szczęśliwa, zanim go poznałaś. Posłuchaj mnie uważnie, proszę cię tylko o jedno, pomyśl o tych sprawach i dobrze się zastanów. Amnon był tu dzisiaj, po wyjściu od ciebie, zdradza, przyglądając się z przyjemnością mojej zbieleiałej twarzy, jak sprytny śledczy, który w tajemnicy sprawdzał wiarygodność zeznań. Zrozumiałem, że to ty wystąpiłaś z inicjatywą rozstania, że wszystko zależy tylko od ciebie. W takim razie mam propozycję, proste i skuteczne rozwiązanie, na które Amnon zgodził się już dzisiaj rano. Powinniście zawrzeć przymierze, w najgłębszym znaczeniu tego słowa, obiecać sobie nawzajem, że nigdy się nie rozstaniecie, bo sprowadziliście na świat dziecko. Spłodzenie dziecka to najbardziej wiążący z

aktów. Kiedy ma się wspólne dziecko, trzeba pozostać razem. Zobacysz, że wtedy wszystko stanie się prostsze. Z łatwością poradzicie sobie z problemami, bo będziecie wiedzieli, że nie ma innego wyjścia. Nie uwierzysz, jaką ulgę poczujesz, jeśli całkiem odrzucisz możliwość innego życia z innym partnerem. Proponuję ci opcję pełnego szczęścia, Elu. Oto upragniona zmiana. Problemy czekają cię wszędzie. Ciężko jest żyć samemu, ciężko jest założyć nową rodzinę. Ułatwiam ci wybór, pomagając zrezygnować z ryzykownej opcji. Przecież wszędzie będziesz musiała mierzyć się z trudnościami, warto więc się trudzić dla rodziny, którą już założyłaś, z mężczyzną, którego wybrałaś na ojca swojego dziecka.

Wystarczy, tato, nie rozumiesz, kręcę głową, zasłaniając dłońmi uszy jak kiedyś, w dzieciństwie, kiedy byłam bezradna wobec jego agresywnych wystąpień, absolutnego przekonania o własnej słuszości. Nie mogę zostać z Amnonem, między nami skończone, o jakim przymierzu mówisz? My się rozstajemy, nie pobieramy. Natychmiast mnie ucisza wyniosłym gestem, jego metaliczne oczy są zimne i nieustępliwe. Posłuchaj, Elu, znam cię dużo lepiej, niż myślisz. Co kilka lat masz ataki autodestrukcji. Do tej pory to były twoje sprawy i nie mieszałem się w nie, ale teraz to także sprawa Gilego. Uważam się za jego rzecznika i informuję cię, że to dziecko nie zniesie waszego rozstania. Jeśli mnie zmuszasz, abym to ujął dosłownie - proszę bardzo; to dziecko nie poradzi sobie z tym, nie przeżyje, zginie.

Zginie?! - szepczę. O czym ty mówisz? Czy ty w ogóle siebie słyszysz? W końcu stawia bosą stopę na podłodze, gdzie białe i czarne płytki układają się w szachownicę. Nie mam wyjścia, muszę mówić wprost. To kwestia życia i śmierci, Elu, chcesz szukać szczęścia, spluwa tym słowem, jakby było nieprzyzwoite, gorzki migdał, twoje jedyne szczęście leży w zobowiązaniach względem rodziny. Nie myśl, że lekceważę twoje uczucia. Gdybyś, nie daj Boże, miała brutalnego męża, oczywiście, że radziłbym ci odejść, udzieliłbym ci wszelkiej możliwej pomocy. Ale znam Amnona i mogę sobie wyobrazić, jakie trudności masz na myśli. To kwestia rozpieszczenia, podnosi głos, nieznośnego rozpieszczenia waszej generacji. Zapłacisz za to straszliwą cenę. Rozumiesz, co staram ci się powiedzieć, czy mam mówić wyraźniej?

Już późno, muszę odebrać Gilego ze szkoły, przerywam, jakby jedynie brak czasu uniemożliwiał nam kontynuowanie miłej rozmowy. Kiedy staję na nagle drżących nogach, wydaje mi się, że ściany przechylają się coraz bardziej, półki z książkami zawisają nade mną, chwytając mnie mackami uczonego, trującego kurzu. Pogrzebią mnie jego książki, grube kamienne mury, kto wtedy odbierze ze szkoły moje dziecko? Wydaje się, że to codzienne zadanie staje się nagle niezwykle pilne, zdążyć odebrać dziecko, zanim wydarzy się nieszczęście. Idę do drzwi gabinetu, jakbym uciekała przed śmiertelnym zagrożeniem, on ściga mnie nieustępliwie. Obiecuję tylko, że poważnie się nad tym zastanowisz, jak należy w sprawach życia i śmierci, krzyczy.

Gdyby wiedział, w jaki sposób jeszcze bardziej agresywnie wepchnąć mi swoje ostrzeżenia w uszy, zrobiłby to bez wahania. Szybko otwieram drzwi na korytarz i wpadam na siwą głowę matki, która stoi skupiona, pochylona, próbując coś podsłuchać. Czego on chciał? Czego od ciebie chciał? - pyta szeptem, podsuwając mi na starej tacy swą lękliwą, niewiele wartą sympatię. Nie mogę wytrzymać tu ani chwili dłużej, mówię. Porozmawiamy później, śpieszę się do przedszkola.

Do przedszkola? Przecież on jest w pierwszej klasie! - woła z niepokojem, jakby przyłapała mnie na straszliwej pomyłce, stawiającej w ponurym świetle moje macierzyństwo. Skąd jej się wzięło to przedszkole, słyszę, jak opowiada o tym przejęzyczeniu ojcu, który wraca

do swego wielkiego biurka. Wydaje się, że wszystkie pytania i życzenia, problemy i trudności, skurczyły się do jednego zarzutu, całkowicie marginalnego. Skąd to przedszkole, przecież on jest w pierwszej klasie.

Pokonana schodzę po schodach jak więzień, który uciekł z celi zbyt późno i nie potrafi cieszyć się wolnością, rozgrzana poręcz parzy mi palce, ale nie puszczam jej, pokonuję stopień za stopniem, na ostatnim schodku siadam, obejmuję kolana, rosnący lęk rozpycha i miażdży moje narządy wewnętrzne, katastrofa jest realna, jakby już się wydarzyła, w chwili gdy słowo to padło z jego sinych warg. Katastrofa jest pewna, szczęście wątpliwe. Opieram Czoło na drżących kolanach, wydaje mi się, że na moich oczach gaśnie dzieńne światło, rozpościera się nade mną żałobny namiot, bolesna ciemność wiecznego sieroctwa.

Przy krawężniku hałaśliwie zatrzymuje się taksówka, dźwięk klaksonu miesza się z odległym wyciem syreny.

Podnoszę się ociężale. Jest pan wolny? - pytam kierowcę. Przyjechałem na zgłoszenie. To pani zamawiała? Nie, mówię, ale niech mi pan wyświadczy przysługę i podrzuci mnie do centrum. To niedaleko. Proszę poczekać, on na to, zobaczymy, czy to mi po drodze. Energicznym krokiem podchodzi do nas dobrze zbudowany mężczyzna w ciemnej marynarce, z gładko zaczesanymi, gęstymi włosami. Jak szybko udało mu się zdjąć szorty, włożyć spodnie i przybrać opanowany wyraz twarzy. Jak pilnował, aby skończyć naszą przerażającą rozmowę dokładnie o czasie, a ja sądziłam, że to ja ją kończę. Gładko sunie do klimatyzowanej taksówki, macha mi na pożegnanie z obojętną dobroduszością, jakbym była jedną ze studentek, której imienia nie pamięta albo nigdy go nie znał. Stoję na skraju jezdni, wsiadłabym do taksówki z kimś całkiem obcym, ale nie z tobą, tato. To zwyczajne słowo zasmuca mnie, jak szczekanie psa po odgłosie eksplozji. Tato, tato, szczekają psy w pauzie między hukem wybuchu a wyciem karetek. Tato, tato, co mi powiedziałaś.

Powiedziałaś, że on nie przetrwa, zginie, jakbyś podsumował los starożytnej potęgi, Hetytów, Babilończyków, Sumerów, Akadyjczyków, imperiów, które zniknęły z powierzchni ziemi. Mówimy o małym dziecku, prawie sześciolatkiem chłopczyku, który nie nauczył się jeszcze jeździć na rowerze, który nie potrafi dobrze wiązać butów, który boi się ciemności, wydaje mi się, że słyszę jego głos w nocy, głos z głębi złych snów, wrzaskliwy i przerażony, mamó, mamó, chodź szybko. Idę, moje stopy uderzają prędko o ciepły asfalt, żeby go tylko wreszcie zobaczyć, uratować przed katastrofą, którą obwieszczono na szczycie tej góry schodów, zasnutej obłokiem, niby dymiąca góra Synaj, gdzie sam Pan Bóg ukazał się jako trawiący wszystko ogień, agresywny i pewny, który ma trochę racji. Jakie to okropne, że ma trochę racji.

Biegnę ulicami jak ktoś, komu dom się pali, roztaczam wokół niepokój, zasiewam ziarna strachu w sercach przechodniów, być może posiadam sekretną wiedzę, która każe mi tak się śpieszyć, informację o zbliżającym się zamachu, o trzęsieniu ziemi, odprowadza mnie coraz dłuższa smuga zdenerwowanych spojrzeń, nie wiadomo dlaczego wydaje mi się, że biegnę wolniej, niż idę. Szare ulice usiłują mnie pochwycić niczym marudni staruszkowie, co pewien czas skrzyńki kwitnących kwiatów w oknach Starają się złagodzić twarde krawędzie ciosanych kamieni, lecz rośliny także wydają się poszarzałe, kamienne.

Spocona, krótkowłosa rowerzystka stara się wjechać pod górę, ma wilgotną koszulkę jak Amnon dziś rano. Pedantycznie pozapinał guziki i wygładził wygnieciony materiał, zanim stanął w drzwiach domu, z którego uciekłam, wydając mnie władzom z niewinną miną. Idę

coraz prędzej, oglądam się z niepokojem za siebie, bo wydaje mi się, że nie jestem sama, biegnie za mną jednoznaczne przekleństwo, rzucone przez mojego ojca. Ścigam się z nim, muszę je ubiec. Leci obok mnie na czarnych skrzydłach, więc choć czuję klucie pod żebrami, choć pali mnie w gardle i uginają się pode mną kolana, muszę pierwsza dotrzeć na miejsce, bo czeka tam na mnie mały chłopczyk, prawie sześciolatek, który nie pozwala obcinać sobie włosów, który nie cierpi, jak słońce świeci mu w oczy, którego rodzice wczoraj się rozstali.

Przez otwarte okna klas wylewa się szkolny szum niczym szum morskich fal, powściągliwy i gniewny, o wielkiej niewidocznej sile, setki dzieci siedzą na małych krzeselkach, trzymają w rękach ołówki i kredki, jedno z nich jest moje, muszę je natychmiast zobaczyć. Dobijam się do bramy, starając się ją pchnąć, ale ku memu zdumieniu jest zamknięta, wisi na niej ciężka kłódka, a nad nią kartka, na której ktoś nagryzmolił niezdarnie: „Strażnik wyszedł na obchód, proszę uzbroić się w cierp”. Dalsze litery są zatarte niczym w starożytnej inskrypcji, całkowicie zmieniając znaczenie, ale nikt nie postarał się tego naprawić, może przez setki lat badacze będą zastanawiali się, marszcząc czoło, nad brakującymi literami, będą wysuwać rozmaite dziwne koncepcje, aż znajdzie się dodatkowy napis, który nie uległ uszkodzeniu, i rzuci światło na tę zagadkę. Uzbroić się w cierp. Jak to prosto brzmi, ale nie dla mnie, nie teraz. Patrzę nieprzyjaźnie na bramę pomalowaną wesołą, jaskrawozieloną farbą, jakby od początku miała oddzielić mnie od syna, lecz nie po to, aby go chronić, mierzę ją wzrokiem, jak mierzy się przeciwnika przed bitwą. Nie ma wyjścia, będę musiała się z nią rozprawić, przecież nie będę czekać, aż strażnik skończy niespieszny obchód. Rozglądam się, by sprawdzić, czy nikt mnie nie widzi, stawiam stopę na klamce i chwytam gęsto rozstawione pręty. Wspinaczka jest o wiele łatwiejsza, niż sądziłam. Mam wrażenie, że jakaś silna ręka chwytam mnie za włosy i ciągnie do góry, oto jestem już na szczycie żelaznej bramy, a w dole, ku memu niezadowoleniu, stoi dziewczyna o jasnych, kręconych włosach, która podnosi na mnie zdumione oczy, obserwuje mnie z rozbawieniem. Nie zwracając na nią uwagi, przekładam ostrożnie nogę na drugą stronę, ale tam, po stronie Gilego, nie ma się czego uchwycić, tafla bramy rozciąga się przede mną wysoka i gładka, bez najmniejszego występu. Kolejna nieprzewidziana przeszkoda zbija mnie z tropu, być może usiłowałam wrócić po własnych śladach, gdybym nie miała publiczności, gdyby nie stała tu ta dziewczyna, czekająca cierpliwie, zgodnie z poleceniem. Postanawiam chwilowo pozostać na miejscu, jakbym wspięła się na bramę tylko dla zabawy, żeby przyjrzeć się zaniedbanemu podwórzu. Istotnie, z nowego punktu obserwacyjnego lepiej widać szkołę, widać nawet starszego mężczyznę, strażnika, który idzie powoli wzdłuż ogrodzenia, przepełniony poczuciem misji, bo przecież w jego rękach spoczywa bezpieczeństwo setek dzieci. Macham do niego serdecznie, żeby przez pomyłkę mnie nie zastrzelił.

Ludzka postać na bramie od razu przerywa jego powolny patrol, strażnik szybko nadchodzi, trzęsąc brzuchem, macha rękami z naganą. Ty zwariowała, czy co? - krzyczy niepoprawnie. Nie ma cierpliwości? Napisane, czekać cierpliwie. Chwytam metalowe pręty. Strasznie mi przykro, po prostu okropnie się śpieszę, zostawiłam w domu niemowlę bez opieki, muszę odebrać starsze dziecko. Moje rozpaczliwe tłumaczenie najwyraźniej wzmaga jego gniew. Kto zostawia niemowlę samo w domu, mamrocze. Wszyscy powariowali. Mój postępek potwierdza wyrok, który wydał również na innych rodziców. Podejrzewam, że ukarze mnie za zbrodnicze zaniedbanie, pozostawiając zawieszoną na wieki między ziemią a niebem, aby wszyscy to zobaczyli i wyciągnęli dla siebie naukę. Kręci z wyrzutem głową, otwiera skobel i

przepuszcza dziewczynę, która kroczy ze skromną dumą, udowodniwszy, że cierpliwość naprawdę popłaca. Usiłuję zejść tak, jak weszłam, szukam po omacku stopą klamki, ześlizguję się i upadam na rozgrzany betonowy chodnik, wymijając w ostatniej chwili wózek z dzieckiem, którego o mało nie zmiażdżyłam.

Nawet jeśli coś mi się stało, nie zamierzam tego okazywać. Z trudem wstaję i otrzepuję ubranie, uśmiechając się uprzejmie do strażnika, jakby skok był z góry zaplanowany, jakbym tylko w tym celu wspięła się na bramę, usiłuję oddalić się z godnością, jeśli nie będę zwracać uwagi na ból, minie, najważniejsze, że jestem w środku, za chwilę go uwolnię, śpieszę do klasy ukrytej pod ziemią, tam wyprzedzają mnie jasne loki, które widziałam z wysokości bramy, znowu ta dziewczyna, irytuję się, co ona tu robi, miałam nadzieję, że nie natknę się na nią więcej. Z bliska wydaje się starsza i wyższa, to nie uczennica, lecz inna matka, którą będę zmuszona widywać codziennie. Przypatruje mi się z rozbawioną ciekawością, pokazując oczami na zamkniętą klasę, zajęcia jeszcze trwają.

Chyba jednak już udowodniłam, że nie pozwolę zaryglowanym bramom i zamkniętym drzwiom stanąć sobie na drodze, popycham gwałtownie drzwi, zwracają się do mnie dziesiątki głów, natychmiast rozpoznają oczy koloru jesiennych liści pod kapeluszem czarnoksiężnika, zrywa się ze swego miejsca i przebiega przez klasę, oddycham z ulgą, dopiero gdy chwytam go w ramiona. Nic mu nie jest, nic mu się nie stało, obwachuje go jak kotka, gorący zapach dziecięcego potu i kremu czekoladowego, kleju i piasku, radości i tęsknoty, zapach mojej miłości.

Przepraszam, jeszcze nie skończyliśmy, przerywa nasze szczęście nauczycielka, a ja jestem zmuszona przeprosić, staram się wymyślić inny powód pośpiechu, kłamstwo, którego nikt nie odkryje, lepiej, żeby nikogo nie zaszokowało. Naprawdę bardzo przepraszam, po prostu dzisiaj się okropnie śpieszymy, mamy uroczystość rodzinną. Ona jednak obstaje przy swoim, musi pani poczekać pół godziny, jesteśmy w środku zajęć. Wróc na swoje miejsce, Gil'ad. Ale on przypada do mnie, szlocha w moją szyję: Chcę do domu, nie chcę wracać na swoje miejsce. Próbuję go przekonać: Wszystko w porządku, zaczekam na ciebie pod drzwiami, zaraz pójdziemy do domu, w jednej chwili uświadamiając sobie rozmiary mojego błędu, czemu musiałam poddać go takiej próbie na oczach dzieci, obudzić uśpioną bestię płaczu. Rzucam zażenowane spojrzenie na nauczycielkę, która podchodzi do nas, stanowcza i energiczna, odrywa go ode mnie, czarnoksiężski kapelusz spada mu z głowy, kiedy zawstydzony cofa się do swojej ławki, skrępowany własnym płaczem, narażony na szyderstwo.

Ja także się wycofuję, wychodzę spłoszona i prawie wpadam w ramiona dziewczyny o kręconych włosach, która przygląda mi się z otwartymi ustami, jakbym była cyrkowym zwierzęciem, wykonującym zadziwiające sztuczki. Jej zdumienie prawie przeradza się w słowa, nie mam więc wyjścia i muszę ją uprzedzić, naprawić wrażenie demonstracyjną, zdecydowaną przytomnością umysłu. Uśmiecham się. Słowo daję, nie zawsze tak się zachowuję, mówię otwarcie. To szczególny dzień. Ona też się uśmiecha. Nie masz za co przepraszać. Kiedy niemowlę jest samo w domu, nie można marnować ani chwili. Ma niski, zachrypnięty głos palaczki. To niezupełnie tak, jąkam się, ale jej uśmiech przeistacza się w głośny śmiech. W porządku, to jasne, że nie masz małego dziecka. Zarażam się jej śmiechem. To aż tak widać? Przygląda się mojej szczupłej postaci, zatrzymując dłużej wzrok na płaskiej piersi. Naprawdę nie wyglądasz, jakbyś niedawno urodziła dziecko.

Nigdy w życiu nie zostawiłam niemowlęcia samego, zarzekam się. Po prostu musiałam

wymyślić natychmiast jakiś pretekst, żeby strażnik się nie zdenerwował. Przygląda mi się ze współczuciem. To chyba nie pomogło, wręcz przeciwnie. Przyjmuję z wdzięcznością jej sympatię, jakbym to właśnie od niej, całkiem obcej osoby, chciała uzyskać wybaczenie. Może wyjdziemy na dwór, mamy jeszcze pół godziny, proponuję, a ona ochoczo kiwa głową, razem ze mną szybkim krokiem wchodzi po schodach, machając ramionami, jakby wiosłowała, z pięknych, lśniących włosów unosi się słodki zapach owoców. Staram się iść tuż za nią, jej obecność mnie uspokaja, nawet jeśli ona jest trochę odległa, roztargniona, wydaje mi się, że reprezentuje normalny, racjonalny świat, z którego na chwilę się oddaliłam, do którego wrócę dzięki niej.

Strażnik patrzy na mnie z powątpiewaniem, kiedy przechodzę, lekko, lecz widocznie utykając, i życząc mu w duchu nowej pracy, żebym nie musiała codziennie natykać się na jego ganiący wzrok, ona zaś pozdrawia go serdecznie, zasłania mnie swoją grzecznością. Przed nami rozciąga się nieduży park, graniczący z terenem szkoły, upstrzony białymi kamieniami, obrzeżony drzewami oliwnymi o powykręcanych pniach, które przypominają zreumatyzowane ciała starszków. Kiedyś przychodziliśmy tu z Gilim w upalne dni, lubił zanurzać bosc stopy w kanałach z wodą, puszczać zabawki, teraz kanały są puste, zeszłoroczna sucha zima zobowiązuje do oszczędzania wody, na skrajach pożółkłych trawników fruują śmieci, wydaje się, że park ostrzega nas przed sobą niczym przed zarazą grubym głosem gnieźdzących się tam czarnych kruków. Mimo wszystko wchodzimy, szukamy zacienionego, czystego miejsca, rozprostowujemy nogi, ból w kostce staje się przeszywający, ale ignoruję go, wyciągam się obok niej i pytam: Czyją jesteś matką? I natychmiast dodaję z zalem: Właściwie nie znam jeszcze żadnego dziecka w tej klasie, mój syn też nie.

Jotam jest w dobrej sytuacji, mówi. Przyszedł razem z kilkorgiem dzieci z przedszkola. Jestem Michał, dodaje prędko, wyjmując z torebki paczkę papierosów. Jej wargi, umalowane jasnopomarańczową szminką, otaczają w zamyśleniu ustnik, po czym nagle rozciągają się w uśmiechu. To było niesamowite, jak utknęłaś tam na bramie niczym kot, który wspiął się na wysokie drzewo. Śmieje się, klaszcząc z zapalem w dłonie. Patrzy mi w oczy, dopóki nie przyłączę się do śmiechu z lekką niechęcią. Czy to naprawdę aż tak zabawne, czy rzeczywiście nie widziała ostatnio nic śmieszniejszego, że z taką przyjemnością rozpamiętuje moje upokorzenie? Znowu przepraszam, jakbym wspięła się na bramę jej własnego domu, jakbym jej drzwi starała się sforsować. Musiałam natychmiast zobaczyć syna. Wiem, że to dziwne, ale nie miałam wyboru, mówię, a ona patrzy na mnie z ukosa jasnym okiem, podkreślonym lekko zielonkawym cieniem, przypominającym kolor trawy wokół nas, niepodlewanej wystarczająco latem. Jej wargi wciąż układają się w uśmiechu, w pozostałości długiego śmiechu, a ja milknę, spodziewając się pytania, które zaraz padnie, planując odpowiedź i zastanawiając się, ile szczegółów zdradzić, czuję impuls, aby opowiedzieć jej wszystko, o tym ranku, o kłątwe ojca, a nawet zapytać ją o zdanie, czy rozwód rodziców jest złośliwą chorobą, uśmiercającą dzieci, ale ku memu zdziwieniu nie pyta o nic, wyciąga się wygodnie na plecach, błękitna lniana bluzka rozpościera się pod pogodnym niebem niczym lustro, włosy wachlarzem rozsypują się wokół głowy. Najwyraźniej zamierza uciąć sobie krótką popołudniową drzemkę po udanym przedstawieniu, które miała okazję obejrzeć, które rozproszyło chwilowo nudę, nie ma jednak zamiaru roztrząsać jego znaczenia. Z nagłą wrogością obserwuję jej ruchy, nie wiadomo, czy usłyszała moje słowa, czy to przesadna uprzejmość, czy brak zainteresowania,

leży z zamkniętymi oczami na przyszyżonej, żółtawej trawie, gdzie w nieustającym trudzie szeleszczą mrówki, podchodzą do nas kolumną, zbliżają się do jej włosów, jakby kryły się w nich okruszki chleba, lecz nie ostrzegam jej. Znowu masz mrówki w majtkach, wołała moja matka ze złością, wyciągając je z kosza na brudną bieliznę, wymachując przede mną kawałkiem materiału, który był już prawie czarny, rozgorączkowane mrówki biegały w panice na wszystkie strony. Tylko do twoich majtek przychodzą, skarżyła się zdziwiona, jakby to była moja wina.

Teraz, kiedy zamknęła oczy, mogę się jej przyjrzeć dokładniej. Czarna kopertowa spódnica odsłania łydki, jasne i kobiece jak reszta ciała, spoczywające bez ruchu. Wysunięty ku słońcu podbródek jest odrobinę cofnięty, przegub ręki przykrywającej bezwładnie czoło opasuje złoty zegarek na bransoletce, na palcu łni gruba obrączka. Zerkam na swój palec, pasek jaśniejszej skóry wskazuje miejsce, na którym przez prawie dziesięć lat nosiłam swoją, zdjęłam ją wczoraj. Stalowoczarny kruk podskakuje nieopodal na silnych łapach, jakby pragnął skraść połyskującą w słońcu biżuterię, śledzę go wzrokiem, jaki zuchwały, zaraz zakrzywionym dziobem zerwie jej obrączkę prosto z palca i uleci nad drzewami z ochryplym, zwycięskim krakaniem. Ona prostuje się i wskazuje na coś z widocznym niepokojem, najwyraźniej zauważyła kruka. Mówi jednak: Twoja noga. Jeśli to naprawdę jest noga. Przypomina barwną bryłę ciasta, którą ktoś zostawił na słońcu, wylewa się spomiędzy pasków sandała, dopiero wtedy dają wiarę bólowi, który zalewa mnie niczym zdumiewające, swobodne poczucie ulgi, zewnętrzny wyraz rosnącej duszności.

Fatalnie upadłaś, mówi, uśmiech w końcu znika z jej warg. Musisz zrobić sobie prześwietlenie. Delikatnie dotyka mojej kostki, porusza palcami u stopy. Wydaje mi się, że kość nie jest złamana, wyrokuje. To chyba zwichnięcie. Zrób sobie zimny okład. Jesteś lekarką? - pytam oszołomiona. Nie, właściwie nie, odpowiada. Kąciki ust odrobinę opadają jej w dół, zerka na zegarek i szybko wstaje. Z tego wszystkiego jesteśmy spóźnione, zostań, nie ruszaj się, nakazuje, kiedy staram się podnieść z trawy. Przyprowadzę twojego syna.

Ale on cię nie zna, protestuję. Nie pójdzie z tobą. Zaufaj mi, odpowiada. Kiedy odchodzi, przypominam sobie, że nie powiedziałam jej nawet, które dziecko jest moje. Może przyprowdzi jakieś inne, może w ogóle nie zauważy pomyłki, będę je kochać, jak kocham Gilego, bo przecież największa miłość na świecie, nie zależy od obiektu miłości, spełnia potrzeby kochającego. Gili pójdzie z inną matką, która nie zauważy pomyłki, i może dzięki temu ocaleje, będzie miał mamę, która nie odchodzi od taty, nie rozbija rodziny.

Wydaje się, że jestem całkiem sama w tym niewielkim parku, tylko ja, kruki i sterty fermentujących w słońcu śmieci, chwiejne niczym garb ogromnego wielbłąda, roztaczają gorzką woń zgnilizny, w oddali, niedaleko głównej alejki, odpoczywa na trawniku grupka żołnierzy, ich mundury zlewają się z trawą. Mężczyźni leżą bez ruchu w cieniu drzew oliwnych, kruki drepczą wokół nich, wskakują na skalne półki, kracząc bez ustanku złowieszczo, pewnie przekazując sobie nawzajem straszliwe wieści. Jak kruk, który doniósł pierwszemu człowiekowi o zabójstwie jego syna, Abła. Wydaje się, że przypadkiem znalazłam się na jakiejś kruczej planecie, gdzie obowiązują surowe prawa, kruki to najwierniejsze z ptaków, pozostają z jednym partnerem przez całe życie, dlatego starożytni Egipcjanie wybrali je na symbol małżeństwa, złamałam ich zasady, gromadzą się wokół mnie, jakbym była padliną, jeszcze trochę, a pochwycą mnie za ubranie i uniosą do góry, przelecimy nisko nad moim domem, który niebawem będę musiała opuścić, nad domem moich rodziców, których już nigdy nie zobaczę, nad pełnymi blizn placami biednego miasta, które góruje nad piękniejszymi i

bogatszymi miastami, aroganckie, bezczelne miasto, które wymyśliło sobie wspaniałą przeszłość, karmi się nią, udało mu się przekonać cały świat o swoim wyjątkowym znaczeniu, lecz nie przewidziało, że to znaczenie zamieni się w przekleństwo, przelecimy nad starożytnymi budowlami, które znam lepiej niż nowe osiedla, aż zostaną rzucona nagle na skraj pustyni, tam gdzie zabudowania niespodziewanie się kończą.

Przejrzyste, szczebiotliwe głosy nadbiegają na małych nóżkach w zniszczonych letnich sandałach, podskakują niczym para klaunów, w rękach trzymają kolorowe lody na patyku, stopniałe do połowy, spływające im po palcach, twarze pokryte krzykliwymi barwami wojennymi, przez chwilę nie mogę ich odróżnić, spodziewałam się, że ujrzę obok niej chłopca o pszeniczożółtych kędziorach, lecz ku memu zdziwieniu ma gładkie czarne włosy, które wyglądają niczym połyskujący kapelusz grzyba, ciemne poważne oczy. Jest trochę niższy i szczuplejszy od Gilego, a mimo to niezwykle do niego podobny. Gili wesoło podskakuje obok na chudych nogach jak pasikonik, po łzach nie ma ani śladu, pokazuje mi z dumą wspaniałego loda, jakby zrobił go własnoręcznie, dumny przede wszystkim z nowego kolegi, który pojawił się nagle, spośród dziesiątków obcych dzieci. Ich imiona unosiły się w powietrzu jak kapelusze, które nie spadły jeszcze na właściwe głowy, i naraz z tłumu wyłonił się wyraźnie jeden chłopiec, któremu Gili przygląda się teraz z satysfakcją, pełen lekkiej obawy, aby nie zniknął równie nieoczekiwanie, porzucając go w otchłani samotności. Ona składa swoje brzemie na ziemi obok mnie, dwa tornistry, jeden czarnoksięski kapelusz, różdżka i peleryna, dwa bidony, po czym znowu kładzie się dokładnie w tej samej pozycji co przedtem, a ja prostuję się i dziękuję jej, w ogóle nie jesteście podobni, zauważam, a ona przygląda się synowi uważnie, nie, wdał się w ojca. W wyobraźni powiększam sylwetkę chłopca, z rozczarowaniem stawiam obok niego szczupłego, poważnego mężczyznę o prostych plecach. Prosił, żebym ci przekazała, że jutro po południu jest wspólne powitanie szabatu, przypomina sobie, a ja słucham z niezadowoleniem. Jutro? Ale po co, w jakim celu? Zerka na mnie zdziwiona, wiesz, jak to jest, początek roku, chcą, żeby rodzice się poznali, to nie takie straszne. To mi absolutnie nie odpowiada, złość się, nie mam zamiaru przychodzić.

Przez nogę? - pyta. Nie, to nie to, mówię. Znowu spodziewam się, że o coś zapyta, a ona znowu milknie, przygryzając zapalnego papierosa. Może dla ciebie to nie takie straszne, myślę ze złością, weźmiesz męża i syna, przyjdziecie razem, potem wróćcie razem do domu na kolację, ale we mnie myśl o spotkaniu integracyjnym, kiedy jestem zajęta rozłamem, budzi mdłości, nie mam ochoty siedzieć u boku Amnona, udając, że jesteśmy zwykłą rodziną, śpiewać szabatowe pieśni ze świętoszkowatym towarzystwem, jeszcze niedawno to było coś naturalnego, łatwego jak oddech, czy to dopiero początek, zastanawiam się, zmiany czegoś oczywistego w coś nie do zniesienia, czy każdy dzień mego życia po rozwodzie będzie najeżony przeszkodami, każde proste zdarzenie będzie mi mieszać szyki. Amnon zaprowadzi go sam, decyduję, przecież nie mogę chodzić, i znowu wyciągam się na trawie obok niej, w milczeniu obserwuję naszych synów, którzy jak pieski przeskakują puste kanały, śmiech Gilego dolatuje do mnie z miłym podmuchem wiatru, głęboki, pełen przyjemności, podskakuje wśród nawoływania czarnych kruków, rozsiewa ziarenka słodkiego spokoju w moim sercu, czemu się tak przeraziłaś, nie wydarzy się żadne nieszczęście, przecież wszyscy się rozwodzą, albo rozwiedli, albo rozwiodą, może nawet ta kobieta, która leży obok ciebie, w tej samej chwili planuje nowe życie, nie pozwól nikomu się zastraszać, nic mu nie będzie, ma mamę, ma tatę, ma kolegę, ma lody. Czego więcej potrzeba dziecku.

Muszę iść, znowu się podrywa, z każdą upływającą chwilą wydaje się starsza, w ciągu godziny zmieniła się z dziewczyny w kobietę, wcześniej zdumiewałam się, że ma już dziecko, a teraz, kiedy słońce świeci jej prosto w twarz, skóra rozpada się na zmarszczki, a ja dziwię się, że jest matką tak małego syna. Jotam, trzeba odebrać Maję z zajęć, woła gniewnie, jakby wzywała go już kilka razy. Jotam wlecze się, marudząc, w naszą stronę: Ale, mammo, tak fajnie się bawimy. Przyjdziemy tu następnym razem, mówi jego matka. Chodź wreszcie, Maja czeka.

My też już idziemy, dodaje pośpiesznie, a ona pyta: Możesz w ogóle chodzić? Wyciąga białą dłoń, którą pokrywa sieć błękitnych żyłek niczym dopływy strumienia, dźwigam się ciężko, każdy krok staje się nagle skomplikowanym przedsięwzięciem, wymagającym wielkiej ostrożności i skrupulatnego planowania. Ona śledzi z niepokojem moje ruchy. Podrzucę was, proponuje, gdzie mieszkanie? Niedaleko, mówię, wspierając się na jej ramieniu, idziemy razem do samochodu, nieoczekiwany ciężar na spokojnym życiu obcej rodziny.

Mamo, tata już jest w domu? - pyta Gili z tylnego siedzenia, i kiedy staram się sformułować właściwą odpowiedź, ona odzywa się pierwsza. Okazuje się, że to jej syn pytał. Mają nawet podobne głosy. Jeszcze nie, wróci wieczorem. Ku memu przerażeniu rozlega się szept Gilego: Powiedz, twój tata śpi z wami w domu? Jotam dziwi się: Tak, to jego dom, nie ma go tylko, jak jest w wojsku, stara się uściślić, albo za granicą. Gili kontynuuje tajemniczo, jakby planował jakąś psotę. Mój tata śpi w nocy w lodówce, ale lodówka hałasuje, i on nie może zasnąć. Gili, co ty opowiadasz, wtrącam ze sztucznym śmiechem, nie zmyślaj, nie zrozumiałeś, co tata mówił. Ale on nie zwraca na mnie uwagi i dodaje: Masz szczęście, że twoi rodzice się nie rozwodzą. Moi rodzice się rozwodzą na zawsze. Jesteśmy na miejscu, oświadczam, chociaż to dopiero początek naszej ulicy i czeka mnie zbyt wiele kroków. Chodź już, oni się śpieszą, poganiam go. Wielkie dzięki, Michał, uratowałaś mnie. Kobieta posyła mi zielonkawe spojrzenie, zaciekawione i zdumione, jakby znowu ujrzała mnie na szczycie szkolnej bramy. Chcesz, żebym cię odprowadziła do domu? - pyta, a ja mówię: Nie trzeba, to blisko, poradzę sobie. Patrzy za mną, kiedy z wysiłkiem idę przed siebie, niezgrabnie podskakując, zdziwiona i pełna troski, może nawet z zalem, jakby długi i smutny list, przeznaczony dla mnie, trafił przez pomyłkę pod jej adres.

Mama kuleje, mama kuleje! Gili podskakuje wokół mnie, wymachując rękami, przypomina nietoperza w swojej czarnej pelerynie. Daj mi rękę, proszę, ciężko mi iść, ale on nie śpieszy się przyjąć roli wybawiciela, i kiedy w końcu zgadza się podać mi lepką rączkę, wydaje się, że zamiast wspierać, ma ochotę przewrócić mnie na chodnik zasłany wczesnymi jesiennymi liśćmi. Ból pulsuje ciężkimi, czystymi uderzeniami niczym dzwon na wieży kościelnej, słucham go ze zdziwieniem i strachem, niemal z podziwem, jak mocno skupia uwagę, ustanawia wyraźną barierę, rosnącą z każdą chwilą, między tym, co było do tej pory, a tym, co będzie od tej chwili, tym, kim byłam jeszcze kilka godzin temu, mężatką z rodziną, właścicielką mieszkania, której cały stan posiadania jest znany, choć ograniczony, a tym, kim stanę się niebawem - rozwódką z dzieckiem, bez partnera, bez mieszkania, która w tym momencie nie ma prawie nic, ale być może jeszcze będzie miała wszystko, i to niezdecydowane „być może”, które nagle wtargnęło do mojego życia po długiej nieobecności, wciąż się wzmaga, mam wrażenie, że może osłabić każdy ból, oświetlić rzeczywistość swym odbitym światłem. Leżę na kanapie z nogą na stercie poduszek ułożonych radośnie przez Gilego, czując skurcze porodowe nowej egzystencji, z zamkniętego łona dawnego, skamieniałego życia wydostaje się wśród szczęśliwego bólu nowe, co prawda jeszcze go nie znam, ale już z pełnym przestachu

kwileniem prosi, żebym objęła je ramionami i przytuliła do piersi.

Mamo, zagraj ze mną w piłkę, prosi mój syn, powiedziałaś, że zagrasz. Stoi zgarbiony w wymaginowanej bramce między dwoma ścianami, czeka na podanie. Może jutro, wzdycham, trudno mi nawet stać, jak mogę kopać piłkę. Nie jutro, dzisiaj, upiera się, nudno mi w domu. Czerwienieje, za chwilę wykrzywi się w płaczu, łzy zmoczą mu koszulkę, wyraźne i pełne znaczenia niczym krople pierwszego deszczu. Próbuję go uspokoić: Pobawmy się w coś innego, zagrajmy w domino albo w monopol. Ale czemu miałby ustępować, gdy ma konkretny cel? Wciąż wymieniam zabawy niczym kelnerka proponująca rozmaite dania, podczas gdy on pozwala, aby chytry uśmiech mieszał się ze łzami, i informuje mnie: Już dzwoniłem do taty, żeby przyszedł i zagrał ze mną, bo ty nie możesz, zaraz przyjdzie.

Nagła, jednoznaczna sprzeczność między jego a moją wolą wymierza mi cios w klatkę piersiową. To przecież moje dziecko, ciało z mego ciała, moja dusza, mój jedyny syn, ukochany prawie nie do wytrzymania. Przez wiele lat jego pragnienie było moim, jego radość moją radością, jego żal moim żalem. Naraz wyrósł między nami konflikt, niczym wieżowiec wzniesiony w ciągu jednej nocy. Jego pragnienie nie jest już moim, jego radość moją radością. To najwyraźniej prawdziwe rozdarcie w moim życiu, niczym w żałobnej koszuli. Nie coraz większe oddalenie od Amnona, lecz od pragnień Gilego, umieszczające go nagle w przeciwnym obozie. Wydaje mi się, że wyjątkowa, niespotykana zgoda, istniejąca między nami od sześciu lat, kona powoli w kącie pokoju, obok niechcianych zabawek, na jej miejscu pojawi się sieć napięć, spotykających się i oddalających potrzeb, dziwnych i obcych argumentów. Patrząc z oburzeniem, jak bierze do ręki piłkę, wygląda z oczekiwaniem przez okno, na jego młecznobiałej twarzy widnieje duma zmieszana z obawą. Przypomina głodnego chłopca, któremu udało się zdobyć ciepły posiłek, lecz który martwi się jednocześnie, co będzie jadł później.

Kiedy Amnon wchodzi, udaję, że śpię, a może zasypiam naprawdę, bo ich odległe, stłumione głosy docierają do mnie niby przez mgłę, oddziela nas bariera bólu, który zwalnia mnie ze wszystkich obowiązków, ogranicza możliwość ruchu, lecz uwalnia duszę. Ich głosy skaczą po pokoju, miękkie i elastyczne jak gumowa piłka, tocząca się między nimi wśród pisków i okrzyków tryumfu. Za zasłoną bolesnego półmroku ich tożsamość zamazuje się, i w końcu wydaje mi się, że to rodzice chodzą wokół mnie na palcach, w salonie naszego domu, jestem chora, swobodnie mogę snuć fantazje o miłości. Jak kotka, która okociła się w łóżku, wylizuję swoje wizje, przytulam się do nich, maluję swe dorosłe życie jaskrawymi, płomiennymi kolorami. Rodzice jawią mi się niczym para wyczerpanych marynarzy, wiosłujących w rozklekotanej szalupie dzieciństwa, usiłujących resztkami sił dowieźć mnie do statku dorosłości; gdy znajdę się na pokładzie, pomacham im na pożegnanie, zanim znikną na błękitnym horyzoncie. Leżę na kanapie pod cienkim kocem i mam wrażenie, że naprawdę macham leniwie dwojgu oddalającym się ludziom, robię miejsce nowym postaciom, wciąż zamglonym, niemym, tylko echo ich rozmów rozbrzmiewa w moich uszach. Może wtedy dociera do mnie, że naturalny ciepły szum, towarzyszący mi od sześciu lat, nie będzie się tu już rozlegał, swobodne echo głosów ojca i syna, syna i ojca, będą wciąż odzywali się do siebie, ale nie przy mnie. Nasze rozmowy też utracą słuchacza, będą ulatywać przez otwarte okna na ulicę, wchłoną je inne dźwięki, odgłosy z domów przygotowujących się na nadejście nocy, nikt nie będzie ich słuchał, nikt nie powie, ona jest przeznaczona dla mnie, a ja dla niej.

Otrzymałam tego wieczoru okazję dzielenia ich osobnego życia, obserwacji z boku, tak

będą się bawić po południu w ustalone dni, poniedziałek i czwartek? Niedzielę i środę? Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Tak będą jedli zaimprovizowaną kolację, siedząc razem przy stole w kuchni, w innym mieszkaniu. Amnonowi nie będzie się chciało obierać ogórka, jak mnie, i skórki od chleba nie odkroi, tak jak ja, tworząc brązowe pierścienie, da Gilemu łyżkę zamiast łyżeczki, zgodnie zrezygnują z kąpieli, jak teraz, i z mycia zębów, a brudne ubrania położą obok łóżka, żeby włożyć je jeszcze raz nazajutrz, ale bajka przed snem będzie długa i hojna, tak samo jak życzenia dobrej nocy. Kiedy mnie z nimi nie ma, jak wtedy, gdy wyjechałam na konferencję, nie boję się, że wybuchnie, że zrani dziecko ostrym tonem, beze mnie zawsze bardziej się stara, a sam Gili naprawdę się wysila, żeby go zadowolić, aby mu się spodobać, bo Amnon jest wtedy jego jedynym oparciem. Leżąc na kanapie w zaciemnionym salonie, słyszę, jak układają do snu pluszowe zabawki, lwa, lwicę i małe lwiątko, tygrysa, tygrysicę i małego tygrysa, ciekawe, czy Gili czuje od nich gorzkawy zapach. Słyszę, jak Amnon oświadcza, oto i szkocki miś, następuje pośpieszne połączenie rodzin na wąskim łóżku, na którym rano leżałam, oddzielona od niego wiecznością. To ciało, które mnie napawa wstrętem, jest tak bardzo kochane przez Gile-go. W tej właśnie chwili przytula się do niego, wzdycha z przyjemnością w jego ramionach. Leżę sztywno, bojąc się poruszyć nogą, staram się przywyknąć do złożoności, która zapanuje w moim życiu, muszę w nim pomieścić i własną niechęć, i miłość Gilego do przedmiotu mojej niechęci, traktować Amnona jak ukochanego ojca mojego syna, a przy tym odsunąć go od siebie. Wydaje mi się, że aby to osiągnąć, muszę się rozdzielić albo przepołowić. Brzemie nowego wyzwania sprawia, że zapadam znowu w pełną lęku drzemkę, przecież wszystko jest w moich rękach, może jednak nic nie da się zmienić, miłe odgłosy rodzinnej codzienności słabną coraz bardziej wobec fanfar nowego życia, mocnych tonów, płynących z sali balowej pod pokładem statku.

Budzę się w środku nocy, drżąc z zimna, przed oczami mam szarą, świetlistą rzekę, zawsze zachwycają mnie rzeki, żywa płynąca woda, jak w europejskim mieście portowym, do którego pojechałam na ostatnią konferencję, unosząc echo kłótni, zdań powtarzanych tak często, aż straciły znaczenie. Nie groź mi, grozisz sobie samej, kim ty w ogóle jesteś, mam dość twoich pretensji, mam dość ciebie, wiedz, że nie zamierzam tego tak ciągnąć, po prostu wstanę i wyjdę, tym razem mówię serio. Szerokie okno w eleganckim hotelowym pokoju wychodzi na rzekę, którą spina wielki żelazny most, obok niego biegnie drugi, mniejszy, jak w krzywym zwierciadle, po obu mostach bez przerwy płynie ruch, pędzą pociągi czerwone jak dziecięca kolejka, tramwaje z uniesionym do góry ramieniem, rozrywające pajęczyny pod wysokim napięciem, na drugim brzegu stoją kolorowe domy, wysokie i wąskie, po wodzie suną statki. Czy tam zrodziła się decyzja, nagła, choć spodziewana, nad nurtem unoszącym ze zdumiewającą lekkością ciężar statków? Echo ostatniej kłótni rozbrzmiewało wokół mnie, suche i gorzkie, jakbyśmy kłócili się tutaj, zakłócając ciszę wrogimi krzykami. Wydaje mi się, że stoi przede mną - agresywny, oskarżający, oszpecony gniewem. Nie, to nie mężczyzna, którego chciałam, ja także różnię się niepokojąco od kobiety, którą chciałam być, nie takiego życia nam życzyłam, coś między nami zepsuło się nieodwracalnie, czy naprawdę muszę się z tym wszystkim godzić, czy nigdy nie będę mogła żyć inaczej, tak szybko stało się zbyt późno.

Stąpa bezgłośnie po mieszkaniu, gasząc światła. Dom jest ciemny i cichy. Ktoś przechodzący ulicą może wyobrazić sobie rodzinę pogrążoną w spokojnym śnie, pod jesienną kołdrą. Drzwi sypialni zamykają się za nim naturalnie, a ja, na kanapie, jestem odległa od nich obu, jakbym wciąż była w hotelu nad szarą, lśniąca rzeką, na innym kontynencie. Czy tak

będzie wyglądać moje życie, zapytałam wtedy, czy tak umrą moje młodzińcze marzenia, wydając niemo ostatnie tchnienie. Rosnący Gili będzie umiejętnie unikał roli, jaką mu przeznaczyłam: wypełnienie luki, której rozmiarów nawet sobie nie uprzytamniałam. Co wtedy, następne dziecko? Następne wykopaliska? Następna podróż? Nowa miłość, która rozkwitnie po kryjomu jak cyklamen wśród skał, delikatna, sezonowa, krótkotrwała? Nie, obiecuję statkom na rzece, jeszcze nie jest za późno, jeszcze wolno mi mieć nadzieję na więcej. Otwieram okno na oścież i obwieszczam na głos, jakbym chciała przekonać tłumy, przyglądające mi się z drugiego brzegu. Panie i panowie, skończone, to całkiem umarło, na zawsze.

Kiedy spóźnieni wchodzimy na szkolny dziedziniec, wita nas pełen wahania śpiew, jak modlitwa bez odpowiedzi, pukająca słabo do bram nieba; stajemy skrępowani przed kolorowym kręgiem rodzin tłoczących się na pledach i matach niczym na małych arkach Noego i nucących cicho. My nawet nie przynieśliśmy koca i Gili łapie mnie z całej siły za palce: Mamo, powinniśmy mieć koc, mamrocze, wszyscy mają. Nikt mi nie powiedział, usprawiedliwiam się natychmiast. Posyłam karcące spojrzenie Amnonowi, jakby to on był winny niedopatrzenia, ale niecierpliwy jak zawsze, toruje sobie uparcie drogę, drwiącym gestem nakazuje nam iść za sobą, niczym generał podbijający w chwale skrawek terytorium dla armii, która i tak niebawem się rozproszy.

Witamy rodzinę Millerów, ogłasza nauczycielka przesłodzonym głosem, zajmijcie miejsce i będziemy mogli kontynuować. Wskazuje gwałtownie wolne miejsce obok siebie, a ja ciągnę opierającego się Gilego, z trudem prze-stępuję kolana i łokcie, staję na skraju upragnionego koca, z butelki kapie woda, widzę otwarty plecak, pełen pieluch, śladem Amnona sadowimy się obok nauczycielki, nasza odrębność - przez brak koca - rzuca się wszystkim w oczy. Wyświechtany domowy pled, tworzący wspólną płaszczyznę całej rodziny. Tylko my jesteśmy inni, nie należymy do nich, ani do siebie nawzajem, siedzimy na gołych płytach podwórza, między nami ponury Gili, który rozgląda się nieśmiało. Patrz, jesteśmy najkrótszą rodziną, szepcze mi z żalem do ucha. Staram się z dawnego przyzwyczajenia walczyć o nasz honor. Dlaczego najkrótszą? Tata jest bardzo wysoki, ty też. Ale on natychmiast podaje powód: Bo Jest nas tylko troje. Rzeczywiście, kiedy błędę spojrzeniem po dziesiątkach obcych twarzy, odkrywam starsze i młodsze rodzeństwo, niemowlęta i dorastające nastolatki, prawie na każdym kocu, lub - na zmianę - dziadka albo babcię, ubranych odświętnie, a nawet kilka zadbanych psów. Wyobcowanie wzrasta i pali moje czoło niby znak Kaina, bo przecież tacy pozostaniemy, jesteśmy jak ktoś, kto zmarł za młodu, nigdy nie urośniemy.

„Nie zatwardzajcie serc waszych jak w Meriba, jak na pustyni w dniu Massa” - śpiewają z trudem ze skopiowanych modlitewników, nauczycielka podaje mi plik kartek, zerkam na nie, staram się przyłączyć do śpiewu, strofy zamierają mi w ustach, „są oni ludem o sercu zbłąkanym i moich dróg nie znają. Przeto przysiągłem w moim gniewie: «nie wejdą do miejsca mego odpoczynku»”. W cieniu śpiewu trwa niekończący się dialog, swobodne słowa przenikają między wierszami, słucham właśnie ich, to co u was, może wpadniecie do nas jutro, macie ochotę pojechać nad morze, gdzie byliście w lecie, co za straszne miejsce, samo centrum, dajcie spokój, wszędzie jest tak samo niebezpiecznie, wszystko zależy od losu. Najwyraźniej większość obecnych zna się nawzajem, mają już wspólne wspomnienia, wspólne szabaty, wonne ciepło unosi się znad pledów, jakby na niewidocznym ogniu gotowała się tam jakaś tajemnicza potrawa. Każda rodzina przynosi ze sobą zapach domu, jego atmosferę i przyprawy, zapach szamponu i proszku do prania, ustępstw i kompromisów, bliskości i

rutyny, odwiecznych walk o władzę i przyjaźni, która zrodziła się prawie niepostrzeżenie. Obserwuję ich, jak opierają się o siebie, tworząc skomplikowane, wieloboczne figury, niebawem staną się znajomi, może nawet dowiem się, co skrywają rozmaite pozy, tymczasem ktoś posyła mi tylko jeden uśmiech, prawie zamkniętymi wargami. Zielonkawy, marzycielski uśmiech wąskich oczu. Ona siedzi po turecku, otaczając ramieniem syna, o jej kolana opiera się starsza dziewczynka w czerwonej aksamitnej sukience, za jej lśnącymi, rozrzuconymi wachlarzem kędziorami, błyska czoło bladego mężczyzny o siwiejących włosach i ciemnych, głęboko osadzonych oczach, ocienionych gęstymi brwiami. Masuje jej szyję i ramiona, które poruszają się w rytm pieśni.

„Cieszyć się będzie tobą twój Bóg, jak narzeczony się cieszy swoją narzeczoną”. Głosy dorosłych starają się nadać za głosem nauczycielki niby powolna karawana, posłuszna, choć pozbawiona entuzjazmu, podczas gdy dzieci chichoczą, zaczynają tracić cierpliwość. „Wejdz w pokój, korono męża, z radością i w zachwycie, pośród wiernych drogocennego narodu. Wejdz, oblubienico, wejdz, oblubienico”. Przez chwilę wydaje mi się, że znaleźliśmy się na ślubie, akurat teraz, w pierwszą sobotę rozstania, musimy wyśpiewywać wzruszające strofy o oblubienicy. Nauczycielka donośnym głosem potwierdza moje podejrzenia. Jeśli szabat to panna młoda, kto, waszym zdaniem, jest panem młodym? - zadaje zagadkę zdezorientowanym dzieciom. Ja wiem, ja wiem, Bóg, oświadcza ruda, rozczochrana dziewczynka. Nie, nie Bóg, odpowiada nauczycielka. Posłuchajcie, po stworzeniu świata sobota skarżyła się Bogu, że tylko ona nie ma pary, podczas gdy inne dni tygodnia mają. Bóg uspokoił ją i obiecał, że jej partnerem będzie lud Izraela, on będzie jej narzeczonym.

Jak to możliwe? - Gili zerka na mnie niepewnie. Tylu narzeczonych dla jednej narzeczonej? Nauczycielka nie zatrzymuje się nad szczegółami. Widać, że dziesiątki razy Opowiadała tę historię. Szybko przechodzi dalej: Setki lat temu rabini wkładali białe szaty i wychodzili na pola, aby powitać nadchodzący szabat. Podnosi się ciężko, nad górną wargą błyszczą jej kropelki potu: Może my też pójdziemy i zobaczymy, kto pierwszy ujrzy szabat. Większość dzieci ochoczo podejmuje zadanie, porzucają rodzinne plecty i skupiają się wokół swojej pani. Próbuje popchnąć opierającego się Gilego, który przypada do mnie i chowa głowę na moich kolanach. Idź, trzeba iść ze wszystkimi, mówię.

Dzieci przebiegają obok jak stado dzikich źrebiąt, za chwilę stratuja go w biegu. Jeden chłopiec nagle zatrzymuje się koło nas, ma pociągłą, poważną twarz, szczupłe ramiona. Chodź, Gili, mówi bez uśmiechu, chodź ze mną, będzie fajnie. W jednej chwili zły humor się rozplywa i nawet brak koca nie jest już ważny. Jakby inne dziecko znalazło się w jego skórze. Zrywa się, zapomina o naszej ponurej obecności i z nowym kolegą Jotamem idzie powitać szabat-królową, przepiękną oblubienicę, zaślubianą co tydzień na nowo. Szukam wzrokiem Michał i widzę, że patrzy w moją stronę, pewnie wysłała do nas syna. Uśmiecham się w niemym podziękowaniu. Jestem zawiedziona, bo nie odpowiada, patrzy przed siebie szklanym wzrokiem, z odrobiną rozchylonymi wargami, chyba nie zauważyła gestu, który był do niej skierowany, ponad koroną złocistych włosów jej mąż posyła mi pytające, nieomal zirytowane spojrzenie, jakbym zakłóciła ich spokój niezrozumiałymi wiadomościami. Szybko odwracam wzrok, uważając, by nie spojrzeć już na nich ani razu.

Przez cały czas siedzi za moimi plecami, nienaturalnie milczący, a ja się pilnuję, żeby nie pochylić się do tyłu, nie oprzeć wygodnie o jego kolana, jak opiera się większość kobiet o kolana swoich mężów, siedzę sztywno wyprostowana, jakby za mną nie było nikogo, czuję jego

oddech na szyi. Myśl o chłodnym powietrzu, które miesza się w płucach Amnona i wychodzi ciepłe i gęste z gardła, budzi we mnie obrzydzenie, i mam uczucie, że pokrywam się całą drobnymi kolcami sprzeciwu. Nawet siedząc tyłem, wyczuwam, jak pogardliwie i arogancko on lustruje otoczenie. W drodze powrotnej będzie wyśmiewał tę banalną uroczystość, niemądre pieśni, co to w ogóle znaczy, szukać szabatu, co za brednie, mówiłem ci, żebyśmy nie posyłali go do tej szkoły, ale ja nie będę się już zmuszać do słuchania, nie będę musiała patrzeć, jak upokarzająco ściera miłe wrażenia z twarzy Gilego, nie będę się starała go przekonać, może także zaczniemy obchodzić szabat, słyszeć wzgardliwych prychnięć, naprawdę, Elu, dziwię ci się, co my mamy wspólnego z tym bałwochwalstwem, z tym żydowskim handlem.

Jak przyjemnie będzie wrócić do domu bez niego, rozmawiać z Gilim, kiedy nie będzie się co chwila wtrącał, rzucając gorączkowo każdy skrawek myśli, który przyszedł mu do głowy, przejrzeć gazetę, nie słysząc wciąż „zostaw tę makulaturę”, rozmawiać przez telefon, kiedy nie będzie przerywał mi co chwila rozmaitymi żądaniami. To wszystko oczywiście nie jest najważniejsze, ale to, co najważniejsze, zaciera się coraz bardziej, przypomina zamykającą się na wieki bramę, zawsze będę go widzieć za zamkniętą bramą, rozglądam się wokół, na twarzach kobiet widnieje zdecydowana duma, większość nie jest już oczarowana, to tęgie kobiety o grubych udach, niczym skrzętne gospodynie w gospodarstwie swego życia, a jednak z satysfakcją pokazują własne osiągnięcia, zapisane zatartym piśmem na domowym kocu, na którym nagromadziły się plamy z kawy i wina, moczu i wymiotów, mleka i smoły, za każdą plamą kryje się szczęśliwe wspomnienie pokonanych trudności, pamiętacie, jak dzieci były małe, jak pojechaliśmy na wzgórze Golan i maluch o mało nie utonął, pamiętacie, jak kiedyś zgubiliśmy drogę w arabskiej wiosce, to było straszne. Spoglądam na nie wyzywająco, nie uwierzycie, jakie mam plany, zamierzam zacząć wszystko od początku, całkiem nowe życie, być znowu młoda, wypełnić się żywymi emocjami, nie iść na spotkanie starości, dźwigając wór gnijącej goryczy, rezygnacji fermentującej jak odpadki. Poczekaście, podekscytowana zwracam się w duchu do publiczności, która mnie nie zauważa, jakby tylko moim oczom ukazał się cud, niezwykle, bezwiedne odkrycie, jak przemiana piasku w szkło, zamierzam odwrócić nieodwracalne, wygrać z czasem, zanegować prawa przyrody, moja milcząca publiczność znajduje się wciąż w bardziej prymitywnej epoce przed odkryciem ognia, popatrzcie, nieprzejrzysty materiał stał się przezroczysty, krystalicznie czysty, nie możecie tego dostrzec. Waham się między arogancją a pretensją, na co wy możecie czekać, na awans, na doroczny urlop, nowe mieszkanie, przede mną przyszłość otwiera się na nowo, zalewa mnie niecierpliwa radość i nie mogę się doczekać tej przyszłości, chcę tylko uwolnić się natychmiast od tej narzekającej zawady, której oddech kłuje mnie w kark. Przez cały dzień nie zamieniliśmy ani słowa, obserwowałam go wrogo z kanapy, ból kostki zmusił mnie do zgody na jego obecność, ale teraz, kiedy trochę zelżał, decyzja powraca ze zwiększoną mocą. Nie, nie cofnę się mimo ostrzeżeń i gróźb, których ostatnio wysłuchałam, chociaż muska nagle ręką moje plecy, chociaż zwraca się do mnie zdumiewająco łagodnie. Elu, co w ciebie wstąpiło, co to za obłąd, nie szkoda ci Gilego, nie szkoda ci nas? Wydaje się, że zaraz poprosi innych znudzonych rodziców, aby rozstrzygnęli nasz problem. Przestań wreszcie, odpowiadam szeptem, za późno się obudziłeś.

Jego głos szybko twardnieje, nie oglądając się, wiem, że Amnon zaciska gniewnie szeroką szczękę, mruży oczy, co cię napadło, co to za kaprysy, wydaje ci się, że masz szesnaście lat, nasza cię ochota zbuntować się przeciwko ojcu, bo w odpowiednim czasie się na to nie

odważyłaś? Przykro mi, skarbie, za późno, za późno o dwadzieścia lat, jakim prawem niszczysz życie nam wszystkim? Mówi coraz głośniej, ostatnie słowa słyszę nie tylko ja, lecz także sąsiedzi na swoich kocach, którzy zerkają na nas zażenowani, zdziwieni zgrzytem na rodzinnym spotkaniu. Jakim prawem niszczysz nam życie? Czym prędzej wstaję i odchodzę na bok. Niestety, skręcona kostka uniemożliwia mi obojętny, dumny krok. Kuśtykam ociężale w stronę ogrodzenia niby oszołomiony ptak, który wyrwał się z paszczy kota.

Jak inaczej wygląda to miejsce wieczorem, zupełnie jakby ktoś przebudził się z koszmaru, w głębi zaniedbanego labiryntu parku, przytykającego do terenu szkoły, wyrastają ludzkie krzaki, zakazane pary obściskują się z zapalem wśród gałęzi, szemrzą niczym żarzące się węgle, pary mające wspólny sekret, który napędza ich żyły hojną, smutną ociężałością. W gasnącym świetle trudno różnić drzewa od ludzi, ludzi od kamieni. Wydaje się, że to samo nieme pragnienie ogarnia także przedmioty, i mnie samą, ale wtedy doganiają mnie jego słowa, a za nimi i rosła postać w wyblakłej koszuli w paski i szortach z powypychanymi kieszeniami, w których zawsze na dnie zostaje kilka ziarenek piasku. Rozejrzyj się wokół, Elu, mówi, kładąc mi rękę na ramieniu, różnica wzrostu między nami sprawia, że zawsze patrzy na mnie protekcyjnie. Popatrz na wszystkie te kobiety, wydają się w gruncie rzeczy zadowolone, prawda? Myślisz, że one poślubiły aniołów? Zdziwisz się, ale nie. Cieszą się jednak z tego, co mają, starają się utrzymać swoje rodziny, tylko tobie wydaje się zawsze, że jesteś czegoś pozbawiona, że należy ci się więcej, tylko ty nie cenisz tego, co masz, każda z tych kobiet cieszyłaby się z takiego męża jak ja. Cofam się i opieram plecami o płot. Nie widzisz, że na tym polega twój problem? Jesteś tak z siebie zadowolony, że nigdy nie postarasz się zmienić. Nawet nie próbujesz zrozumieć, czemu już nie chcę z tobą być. Nie pytasz, żeby usłyszeć, ale żeby udowodnić mi, że się mylę. Dość mam takiego lekceważenia, dość mam ciebie, nie chcę być pogrzebana razem z tobą w połowie życia, rozumiesz?

Jesteś potworem, cedzi cicho, zdumiony, jakby mówił do siebie. Jesteś nieludzka. Świetnie, odpowiadam szeptem - ciesz się, że się ode mnie uwolniłeś, po co masz żyć z potworem. Uwierz, że nie martwię się o siebie, mówi. Świetnie sobie poradzę bez ciebie, martwię się tylko o dziecko. Teraz nagle martwisz się o dziecko? - przerywam. Zaniedbywałeś je przez sześć lat, przypomniałeś sobie teraz? Odsłania duże zęby, przedzielone wąskimi szczelinami. Ja go zaniedbywałem? Jestem doskonałym ojcem. To, że nie skaczę przy nim przez cały dzień jak ty, to znaczy, że nie jestem dobrym ojcem? Popatrz, jaki jest do mnie przywiązany, nie mniej niż do ciebie. Jasne, mówię, nie ma innego ojca, nie zna innych możliwości.

O to ci chodzi, chrypi, o nowego ojca dla mojego syna? Po prostu oszalałaś. Zabiorę ci go, pójdę do sądu i załatwię, żeby mnie przyznali opiekę. Już się boję, szydę. Taki egoista samotnie wychowa dziecko? Co z twoimi wykładami, artykułami, twoim snem, oglądaniem koszykówki i kolegami? Z niczego nie zrezygnowałeś. Gdybyś z czegoś zrezygnował, w ogóle nie musielibyśmy się rozstawać, gorączkowo miotam zatrute strzały, jedna za drugą, wydaje mi się, że jego serce jest narysowane na koszuli czerwoną farbą, grubymi pociągnięciami pędzla, celuję i strzelam, zastanawiając się przelotnie nad mocą pocisków, ale nie mogę przestać; czy w ogóle ma sens Uczenie nagromadzonych rozczarowań, każde odrobinę różni się od poprzedniego, niczym ręcznie formowane cegły mułowe, suszone na słońcu, przypominające kształtem bochny chleba.

Chylące się ku zachodowi słońce maluje ogród kruków miękkimi odcieniami purpury,

trawniki różowieją niczym pościel dziecka, na którego narodziny przygotowuje się cały świat, krążące nad nami kruki błyskają płomiennymi piórami, Amnon zbliża do mnie twarz zarumienioną i naga, jakby zrzucił skórę. Nie zamierzam cię więcej prosić, próbuje z innej strony. Pozwól mi przypomnieć sobie, że tylko raz można kopać w jednym miejscu, jeśli nie wykorzysta się okazji, nie można wrócić. Znalazłeś świetny moment na wykład wprowadzający, ziewam demonstracyjnie. Jaki to ma związek? Otwiera szeroko okrągłe oczy, zaczerwienione jak dwie wiśnie. Tylko cię ostrzegam, że nie jestem tak zmienny jak ty, cedzi. Kiedy idę naprzód, nie ma powrotu, jak cię znam, jeszcze pożałujesz i zechcesz wrócić, ale ja będę już gdzie indziej. Weź to pod uwagę, mam się raz podjętej decyzji. Nie masz wiele czasu. *a* razem to on odwraca się i odchodzi, usiłuję więc porwać ostatnią strzałę: Nie groź mi, minęły dni, kiedy przejmowałam się twoimi groźbami. Tym razem strzała chyba jednak nie trafia w szerokie, oddalające się pośpiesznie plecy i przelatuje ze świstem po niebie nad parkiem. Tak, minęły dni, gdy każda kłótnia drążyła we mnie dziurę, kiedy traciłam głowę ze smutku, kiedy nie mogłam wytrzymać pretensji i wrogości, kiedy musiałam cię ugłaskiwać, chociaż moja złość jeszcze nie minęła, nigdy nie zatęsknię do tych czasów, lepiej żyć samej niż tak, bezbronna przy tobie, zawsze górujesz nade mną, nigdy nie stoimy ramię w ramię.

Czy wy też tak żyjecie? - zwracam cię w milczeniu do tymczasowego obozowiska, wędrującego z pełną przejęcia niecierpliwością, niczym lud Izraela przed nadaniem Tory, od kłótni do obrazy, od obrazy do kłótni, od rozpaczki do wrogości i od wrogości do rozpaczki, w oczekiwaniu na chwilę oddechu, która obudzi odległe wspomnienie miłości, starając się z zaciśniętymi zębami kierować wymagającą rodzinną fabryką, umęczeni i rozczarowani, a jednak trwający przy sobie niby w głębokim śnie, czy brak mi czegoś o czym wiecie, może matki wyszeptaly wam do ucha sekret, zakłęcie przechodzące z pokolenia na pokolenie, którego mnie nie dano, powiedzcie, co sprawia, że wasze oddechy się mieszają, że komórki ciała wytwarzają mgłę czułości, tak, tego nam najbardziej brakuje, czułości.

Z daleka widzę kobietę, która zdejmuje z ramion szal i zarzuca go na ramiona męża. Ten zwykły gest wyciska mi z gardła westchnienie. Opieram się o płot, obserwując fioletową bryłę, którą tworzą siedzący, chroniąc zebrane w środku dzieci, niczym pozostałości starożytnych osad, odkrytych we wnętrzu góry; szereg połączonych ze sobą pomieszczeń stanowił ogrodzenie, chroniący w nocy stada. Obserwuję ich niestrudzenie, szukam oparcia w obcych twarzach, jakbym stała przed odkopanymi ruinami, czego mogę dowiedzieć się z nich o minionej rzeczywistości, przecież to nie budowle, które można zmierzyć, sprawdzić, czy są zbudowane według egipskiego łokcia, czy greckiej stopy, czy to świątynia, czy dom mieszkalny, czy znajdują się tam przedmioty z metalu, czy z gliny, zbadać zasięg ich występowania. Na tym terenie znajdują się nieliczne, ruchome znaleziska. Nie pozostawią po sobie nic, może tylko pestkę z brzoskwini, zjadanej w tej chwili, monetę, która wypadła z kieszeni, zużyty smoczek, którego brak wywoła awanturę. Czy naprawdę łatwiej rozszyfrować skamieniałe rezultaty ludzkiej działalności niż te żywe, poruszające się istoty? Przecież naszym celem nie jest szukanie pozostałości, lecz wyjaśnienie, czemu się tam znalazły, odtworzenie świata, który zniknął. Tak, na tym terenie są artefakty, wciąż się zmieniają, oto koc Michał pustoszeje, ona samotnie leży na plecach, jej mąż przechadza się tu i tam z ponurą miną, trzymając córkę za rękę. Obserwuję go w roztargnieniu, zwrócony do mnie profil jest uparty, a zarazem delikatny. Czemu opuścił rodzinny koc? Niedaleko stoi Amnon, wysoki, lekko pochylony. Kobieta w długiej sukience mówi coś do niego, kiedy rozglądam się po

trawniku, usiłując zlokalizować dzieci.

Czy nikt nie odczuwa ich braku? Nie słyhać już nawet głosów. Może królowa sobota porwała je do innej krainy, bielszej niż śnieg, tam przechadzają się w białych szatach jak aniołowie, z długimi świecami w rękach, a wosk skapuje im na palce, na obgryzione paznokcie, spływa na odrobinę wystające brzuchy, zbiera się w pępku i ześlizguje na szczupłe uda, cienkie łydki. Patrzcie, nasze dzieci są od stóp do głów pokryte woskiem, zamieniły się w świece, w figury woskowe, pozostaniemy tu aż do świtu, osierocona, wielobarwna gromada zakładników, nasza strata zbliży nas do siebie, nagle wraca do mnie przekleństwo, rozkołysane jak wahadło stopy ojca, uruchamia wewnętrzny system alarmowy, wydaje mi się, że wszyscy słyszą te głosy, on nie przeżyje, on się załamie, wyraźniejsze nawet od radosnych okrzyków wracających dzieci, podskakujących na chudych nogach, niby białe kruki, zanim zostały pomalowane na czarno, za karę, że nie wróciły do arki Noego. Mamo, szabat jest piękny jak narzeczona! - woła Gili, biegnąc do mnie podekscytowany. Ma zarumienione policzki, w rękach pełno cukierków. Ma złote włosy i welon panny młodej, ma różową twarz, widzieliśmy ją, rzuciła nam słodycze prosto z nieba. Przytulam go, głaszczę po spoconych włosach, najdroższy synku, w twoim drobnym ciele zbudowałam sobie dom, jedyny dom, w którym jestem bezpieczna, wolna, kochana, oto oblicze miłości, jej alfa i omega, ma oczy barwy jesiennych liści, chwiejące się zęby, wąski, delikatny nosek i policzki umorusane czekoladą.

Wciska mi do ręki lepką ciągutkę i biegnie do ojca. Kuśtykam za nim w stronę napelniającego się życiem obozowiska, po przerwie trzeba wrócić na miejsca i przedstawić się, pod dyktando nauczycielki. Każda rodzina musi podać imiona i - o zgrozo - swoje ulubione zajęcia. Szybko nadchodzi nasza kolej i Gili ćwierka piskliwie: Mój tata ma na imię Amnon, mama Ela, a ja Gnad, ale mówią na mnie Gili. Kiedy nauczycielka pyta: A co lubicie robić razem? - waha się i mruczy cichutko: Lubimy się rozchodzić. Nic nie słyhać, Gil'ad, mówi pani, musisz mówić głośniej. Gili wyjąkuje: Lubimy się rozchodzić. Nauczycielka powtarza ze zdziwieniem jego słowa, rozchodzić? To świetnie, bezmyślnie przechodzi dalej, do rodzin, które lubią urządzać pikniki, wyjeżdżać za granicę, pływać i nurkować, oglądać razem filmy. Przyglądam się zawstydzona kobietom, które nerwowym uśmiechem odprowadzają słowa swych dzieci, może Amnon ma rację, przecież one także mają kłopoty, kłótnie, frustracje, a jednak wyglądają na zadowolone, jakby jednogłośnie podjęły decyzję. Może rzeczywiście zawarły układ, który proponował mój ojciec, umożliwiający pełne szczęście. Układ, który ogranicza oczekiwania, uśmierca marzenia, ale w zamian ofiarowuje wielki spokój. Czy ja też powinnam była tak postąpić? Znowu się buntuję, nie, nie będę postępować jak one, moje życie jest inne. Wydaje się, że w tajemnicy ogłaszam rozpoczęcie niewidzialnych zawodów między nami, między ich sposobem życia a moim. Przecież rok dopiero się zaczyna, spotkamy się na Chanukę i Pesach, w Purim i Szawuot, zobaczymy, gdzie będę ja, a gdzie wy. Tymczasem widzę, że męcząca uroczystość dobiega końca i roznoszą poczęstunek. Dzieci chodzą wśród nas jak mali kelnerzy, proponują kawałki późnych, kartoflowatych arbuzów, słodką chałkę z rodzynkami. Jedna z kobiet podnosi się, giętka i szczupła, w obcisłych dżinsach i białym podkoszulku, ma długie, proste włosy, w ramionach trzyma prześlicznego malca. Słuchajcie, mówi z nieśmiałym zapałem, dziś wieczorem urządzamy przyjęcie. Każdy, kto ma ochotę, jest zaproszony.

Z jakiej okazji? - pyta ktoś, a ona patrzy na męża z uśmiechem, jakby dzielili wspólną

tajemnicę, lekki rumieniec oblewa jej policzki. Bez okazji, mamy ochotę urządzić przyjęcie, mówi, i podaje adres. Będzie mnóstwo wina, dobra muzyka, przyjdźcie. Mąż stoi obok niej, również młodzieńczy i przystojny. Obejmując ją ramieniem, tłumaczy wszystkim zainteresowanym, jak dojechać, wokół ich szczęścia gromadzi się mały tłumek. Tak, oczywiście, że przyjdziemy, czemu nie, jeśli tylko ktoś zajmie się dziećmi, przynieść coś, mam pyszne ciasto, która przecznica, mówiłaś, druga za rondem, w lewo czy w prawo, odwracam wzrok, wpatruję się w płomyki szabatowych świec, drżące w wieczornym powiewie, jak dwoje oczu pożółkłych ze starości i choroby, złośliwych, intrygujących. „Pobłogosławcie mnie w pokoju, aniołowie”, nuca wszyscy, z ustami pełnymi słodkiej chałki, chwilę później strzepują i zwijają koce, niektórzy składają je pedantycznie, inni nieporządnie ugniatają, zbierają plecaki, dzieci, psy, wózki i rozpierchają się pośpiesznie, jak chmury rozwiane wiatrem, wsiadają do samochodów lub lekkim krokiem idą do domów, na szabatową kolację, na przyjęcie, do swoich zwyczajów. Ci zjedzą kolację u dziadków, tamci u przyjaciół, ci zaproszą kogoś do siebie, a ich dzieci, przyszli koledzy i koleżanki Gilego, będą przejęte nakrywać do stołu, ciesząc się przygotowaniami, my podążamy z wolna w gasnącym świetle do pierwszego osobnego weekendu, ku nowemu, podzielonemu życiu. Wiem, że wkrótce wszystko to stanie się oczywiste, nasza wspólna przeszłość będzie wydawać się niepojęta, a Gili prawie zapomni, jak to było, gdy stanowiliśmy prawdziwą rodzinę. Dopiero po upływie dekady lat rozstania będzie więcej niż lat wspólnego życia, ale na długo wcześniej ten okres stanie się legendą, dawno, dawno temu mieliśmy jeden dom i jedną lodówkę, jeden stół, wracaliśmy do domu po prostu, bez wcześniejszych ustaleń, z kim Gili będzie teraz, z tobą czy ze mną, a z kim jutro. Na myśl o powrocie do domu czuję nieznaną napięcie, które wędruje powoli od kostki u nogi do czoła. Jakby wcześniej rano czekała nas operacja, ukończono już przygotowania, wypowiedziano przestrogi, wyjaśniono, jakie są szanse, a jednak ten drobny, nieznaną czynnik coraz bardziej przenika do świadomości, piętują się wahania, może lepiej nie operować, może choroba sama minie, może ból spowodowany zabiegiem będzie gorszy od bólu dolegliwości.

Stąпам powoli, podpierając się znalezionym po drodze kijkiem. Tak będę chodzić na starość, nie mając przed sobą przyszłości, będę miała tylko jedną rzecz, której tak bardzo brakuje mi teraz, wiedzę, ze szczytu wzgórza będę obserwować minione dni, dowiem się, czy to wszystko było konieczne, czy zbędne, czy obróciło się na dobre, czy na złe. Gili i Amnon idą szybciej naprzód, a ja patrzę na nich, jakbym przypadkiem szła za jakimś wysokim ojcem, niosącym synka na barana. Nie ma z nimi matki, czy czeka na nich w domu, zajęta przygotowaniami do kolacji, i za chwilę powita ich pocałunkiem, czy odebrał ją im okrutny los, porwał śmiertelny wypadek, ciężka choroba, a może odeszła z własnej woli, w poszukiwaniu nowego życia, wbrew prawom natury, chciała stać się na powrót młodą dziewczyną?

Kiedy byłam młoda, nie miałam dziecka. Bez niego spadałam w ciemność, pływając przez całe noce po rozgałęziających się rzekach, czułam kamyki wbijające mi się w plecy, budziłam się poraniona, pod dymiącym ogniskiem nieba, bez niego uciekałam do sadów owocowych, zostawiając za sobą siniejącą ze złości twarz ojca, jego reprimendy, przecinające niczym skalpel trupa mego występku, znajdowałam uschlą gałąź i grzebałam nią w ziemi. Wydawało mi się, że jeśli dokopię się dość głęboko, odkryję wreszcie dom, który będzie moim domem, znajdę kości młodej dziewczyny, która będzie moją siostrą.

Tato, poczekajmy na mamę, słyszę głosik Gilego, Amnon niechętnie się zatrzymuje, powściąga wyraz twarzy, pochyla się i zdejmuje dziecko z ramion. Kiedy doganiam ich, Gili

wyciąga do mnie jedną rękę, drugą do Amnona, i mówi: Jesteście najlepszymi rodzicami na świecie, jesteście lepsi od innych rodziców. Garbię się skrzepowana, słysząc te niezasłużone pochwały, staram się ocenić rozmiary skrytego w nich gniewu. Tak, powtarza, widząc nasze ponure miny, naprawdę, wiem, że czasami was złoścuję, ale pamiętajcie, że kocham was najbardziej na świecie, i tyle dla mnie robicie. Uciszam go z hamowanym zniecierpliwieniem, nie chcę słyszeć ani słowa więcej, lepiej byłoby, żeby przeklinał nas gwałtownie, bił pięściami. Idziemy w milczeniu, jego szczupłe ciało przenosi bezwiednie między nami fale niechęci, mijają nas liczne rodziny wracające z synagogi do domu, zapach perfum miesza się z głosami dzieci, idą środkiem jezdnii, niechętnie ustępując nielicznym samochodom, bo nawet na głównej ulicy ruch zamiera, wydaje się, że miasto w końcu się ucisza jak niemowlę, które przestało płakać, i tylko szybkie oddechy, nagle, wilgotne szlochy, przypominają o niedawnej rozpacz.

Szczupłe dziecięce nóżki pokrywają się gęsią skórką w wieczornym wietrze, przygarniam go do siebie, na wschodzie, na wzgórzach, zapalają się światełka, jedno po drugim, kolorowe jak landrynki, cytrynowe i pomarańczowe, winogronowe i malinowe, gęste światła kładą się na murach, jakby dobywały się z wnętrza ziemi, wystrzają na kościelnych wieżach kontury krzyży, które przypominają teraz groźne drewniane krzyże, ustawione przez Rzymian na wzgórzach wokół oblężonego miasta, aby wystraszyć powstańców, uprzytomnić im, co ich czeka, jeśli się nie poddadzą. „Świątynio Króla, miasto królewskie, powstań, wyjdź spośród zniszczenia! Dość siedzenia w dolinie płaczu! On zmiłuje się nad tobą”.

Otwieramy już drzwi na klatkę schodową. Gili ciągnie nas za sobą jak mały, oporny wózek, zaprzęzony w konie, ale czym prędzej mówię rozdrażniona, głosem przypominającym głos jego nowej nauczycielki: Tata nie wejdzie z nami, Gili, musi już iść, jutro przyjdzie po ciebie na parę godzin. Ku memu zdziwieniu Amnon nie protestuje, z kamienną twarzą pochyla się, całuje go w głowę i oddala się prawie biegiem, bez słowa, nie zdążył usłyszeć wybuchu płaczu na klatce schodowej, przy drzwiach otwierających się w pustym mieszkaniu, szlochu długich wieczornych godzin, narastającego gorzkiego łkania, rozpaczliwego i beznadziejnego, jakby Gili był starcem, oplakującym zmarnowane życie.

Tego wieczoru wyrosło mi kamienne serce, twarde i nieugięte, opancerzyłam się na jego płacz, odsuwam na bok jego łzy, przezroczyстых wysłanników, proszących o litość, umniejszam jego ból, tam, pośród rodzin, pod welonem szabat, ogarnęła mnie chwilowa słabość, ale w domu jestem silniejsza, przyciskam do serca swe postanowienie, swoje nowo narodzone dziecko, dla którego nie ma nadziei, przecież nie za Amnonem tęsknię, gdy Gili ociera łzy i w końcu usypia, nie jego pragnęłabym mieć teraz obok siebie, nie jego gorączkowy potok słów, nie jego przygniatające pretensje, przesłaniające niespełnione potrzeby. Jak nastolatka, która została sama w domu, cieszę się nagłą swobodą, nikt się do mnie nie odzywa, nikt mnie nie potrzebuje, nikt mnie nie obserwuje, mój widok nie drażni tak okropnie drugiego człowieka, nie pozwól się skusić, ostrzegam samą siebie, nie wierz kłamstwu rodzin ani żadnym anielskim przymierzom, nie przerażaj się gniewnymi prorocत्वami, jaka przyjemna i zwyczajna jest ta wolność, wydaje mi się, że mój dom to ciepły i pachnący sad owocowy, usiany skromnymi polnymi kwiatami, tym razem nie wrócę, nawet jeśli usłyszę głosy szukających mnie rodziców, nawet jeśli będą mnie prosić, tym razem nie wrócę.

Leżę osłabła na kanapie, jakbym wróciła z wyczerpującej podróży, po której czeka mnie awans, nasłuchuję panującej na ulicy ciszy, prawie można dosłyszeć, jak liście odrywają się

od gałęzi i powoli szybują w powietrzu, aby w końcu opaść na chodnik, słyszę, jak Gili mamrocze przez sen, okruchy pieśni szabatowych rozbłyskują mi w głowie, pobłogosławcie mnie w pokoju, aniołowie, co jakiś czas rozlega się dzwonek telefonu, szmer nagrywanych wiadomości, piętrzących się coraz wyżej jak poduszki, na których trzymam nogę, wiadomości kreślących zdenerwowanymi głosami szlak nocnego szaleństwa Amnona. Słucham ich z niechęcią, nie, nie ma mnie, nie jestem do waszej dyspozycji, nie możecie postępować ze mną, jak wam się podoba, bo ta noc jest różna od wszystkich innych w roku. Elu, odbierz, wiem, że jesteś w domu. Przed chwilą był u mnie Amnon, jest kompletnie załamany. Musisz do niego zadzwonić, boję się, że coś sobie zrobi. Uwierz mi, nie rzucam słów na wiatr. Znam go, odkąd mieliśmy po sześć lat, jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Zastanów się dobrze, co robisz, mimo wszystko to ojciec twojego dziecka. Chcesz, żeby twój syn został bez ojca? Moim zdaniem, musisz Amnonowi dać jeszcze jedną szansę, inaczej będziesz żałować.

Elu, to znowu Gabi, szkoda, że nie odbierasz. Obiecuję, że on będzie się starał. Wiem, że nie jest ci z nim łatwo, ale on cię naprawdę kocha. Może spróbujecie pójść na terapię dla par, co masz do stracenia? Przez wzgląd na Gilego musisz być świadoma, że zrobiłaś wszystko, inaczej to cię będzie prześladowało całe życie.

Elu, tu Talia, Amnon przed chwilą stąd wyszedł, prosił, żebym z tobą porozmawiała. Naprawdę martwię się o niego, chociaż jestem twoją przyjaciółką. Jest całkiem załamany, musisz się wstrzymać z tym rozstaniem, zadzwoń do mnie, jak już odsłuchasz, całuję.

Nie odpowiadam, a głosy pozostają wokół mnie, rozbijają mój spokój, fruują wśród ścian, uparte i przenikliwe, nie jestem już sama, jak chciałam, wbrew mojej woli gości u mnie Gabi, Talia, słucham ich argumentów i nie odpowiadam, bojąc się chwili, w której zaczną do mnie docierać, gdy ich głos zamieni się w mój, wydaje się, że mam tylko jedną odpowiedź, ale właśnie jej nie można wypowiedzieć: Kiedy byłam dziewczynką, nie miałam męża, oddychałam w samotności, sama wpadałam do pieczar pełnych dymiących książek, sama chodziłam boso po rozgrzanej, pylistej drodze, sama siedziałam na mokrym płocie w pochmurną noc, otoczona żółtawymi, bezwonnymi kwiatami jaśminu.

Dzień dobry, tu Michał, mama Jotama ze szkoły. Jotam zaprasza Gilego do nas jutro rano. Jeśli jeszcze trudno ci chodzić, możemy po niego przyjechać. Zadzwoń.

Elu, muszę natychmiast z tobą pomówić. Postaram się wpaść do ciebie trochę później, kiedy tata pójdzie spać. Muszę ci coś ważnego powiedzieć.

Kiedy byłam dziewczynką, nie miałam męża, zapomniałaś o tym, mamu, ty miałaś męża, a ja nie. To była prawie jedyna różnica między nami, bo sama chciałaś być dziewczynką, przytłoczona ciężarem jego osobowości uciekałaś ze mną do sadu, dołączałaś do mojej samotnej zabawy w chowanego, ja niekiedy mogłam ukryć się przed nim, ty nie, rozpościerałaś przede mną wachlarz uraz, zamieniając mnie w sędziego sądu polowego, który urządziłyśmy mu za plecami, twoja pokora skomlała niczym kojot wśród drzew, co mogłam ci zaoferować, chwilową sympatię, ulotną i niewiele wartą, jak ty mnie, zawsze ukradkiem, zawsze za wielką cenę.

Naprawdę przyjechała, wchodzi bez pukania, jakby to był jej dom, jej życie, otulona płaszczem, chociaż do zimy jeszcze daleko, roztacza ostrą woń pikantnego, pieczonego kurczaka, siedzieli naprzeciwko siebie, jedząc powoli, on mówi, ona słucha, nakłada mu na talerz, przytakuje. Pod płaszczem ma na sobie wełniane spodnie, obciskające ciężkie uda, i nijaki wełniany sweter, który zrobiła mi na drutach wiele lat temu. Widzisz, chwali się, niczego nie wyrzucam, pamiętasz, jak zrobiłam ci ten sweter? To trwało miesiącami. Patrząc na prostackie połączenie kolorów, oliwkowy,

czerwony, potem pas żółtego, tak posyłałaś mnie na imprezy klasowe, wierzyłam ci, że to najpiękniejszy sweter na świecie, że jestem najładniejsza, wracałam w twoje ramiona, zakrywając twarz śmiesznymi, szerokimi rękawami, tylko mnie nikt nie poprosił do tańca, tylko ze mną nikt nie rozmawiał, a ty mnie pocieszałaś, prorokując, poczekaj, a zobaczysz, jeszcze ktoś się w tobie zakocha do szaleństwa.

Popatrz, jak dobrze się trzyma, chwali się, chcesz go z powrotem? Zawsze rozjaśniał ci twarz. A ja mówię: Broń Boże, nie chcę mieć więcej do czynienia z tymi szerokimi rękawami. Siadam naprzeciwko niej na kanapie, przyglądając się z przygnębieniem jej śmiesznej postaci. Za gruba kobieta w starych ubraniach, nieodpowiednich do pory roku i do jej wieku. Co mi chciałaś powiedzieć?

Tata opowiedział mi o waszej rozmowie, wzdycha, a ja przerywam natychmiast: Rozmowie? Odkąd to się nazywa rozmową? To było ultimatum, a właściwie mowa pogrzebowa. Cóż, znasz ojca, ona na to, zawsze jest przekonany, że ma rację, i nie zmienisz tego, zwłaszcza że najczęściej ma rację. Nie mogę słuchać spokojnie tych znajomych deklaracji. Dość tego kultu jednostki, atakuję, czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz, wiesz w ogóle, co on mi powiedział wczoraj? Cóż, wzdycha, znasz go, lubi popadać w skrajności, wszystko tak gwałtownie odbiera, ale to z troski, martwi się o ciebie i o dziecko.

Nie przekonają mnie te frazesy, on przejmuje się tylko sobą, mówię. Nie zamierzam więcej z nim rozmawiać, ani o tym, ani o niczym innym. Nie mam już szesnastu lat, żeby mi mówił, co mam robić. Będę przyprawiać do was Gilego jak zawsze, ale z nim nie będę rozmawiała. Matka spuszcza wzrok, skubie strzępiącą się wełnę. Posłuchaj, właśnie to przyszłam ci powiedzieć, to nie takie proste. W najbliższym czasie nie będziesz mogła przyprawić do nas Gilego, on nie chce go widywać.

Co to ma znaczyć, że nie chce go widywać, denerwuję się, to jego wnuk, Gili potrzebuje go teraz bardziej niż kiedykolwiek, potrzebuje waszego wsparcia. Nie dlatego, że nie chce, kręci matka, nie dlatego, że nie chce, mówi, nie może, trudno mu wytrzymać smutek dziecka, boi się, że wyrządzi mu krzywdę, dlatego właśnie, że tak bardzo się o niego troszczy, nie osądźaj go, Elu, to niewłaściwe.

Nie osądzać go? - syczę jej w twarz. Kiedyś nie broniłaś go tak zapamiętałaś, kiedyś lubiłaś słuchać, jaki jest okropny, kiedy ranił ciebie, a teraz, kiedy rani mnie, muszę się z tym pogodzić, a ty stajesz po jego stronie?

Nie całkiem jestem po jego stronie, mamrocze. Zażądał, żebym mu obiecała, że ja też nie będę się z wami widywać, ale nie martw się, będę przychodziła, kiedy wyjedzie za granicę, dobrze, że tak często wyjeżdża, albo kiedy śpi. Ale kiedy on śpi, Gili też już śpi, protestuję. Co to za obłąd, chcesz mi powiedzieć, że obiecałaś? Nie miałam wyjścia, mówi, wiesz, jaki on jest, kiedy czegoś chce, nie można mu się sprzeciwić, będę do ciebie przychodziła bez jego wiedzy, powiem, że idę na zakupy, i będę przychodziła, żeby zobaczyć się z Gilim, na szczęście mieszkamy blisko, pociesza się. Ale ja nie. Z gniewu kręci mi się w głowie, stoję przed nią. Nie trzeba mi twoich sekretnych odwiedzin, kim ja dla ciebie jestem, kochankiem, z którym można się spotykać tylko pod nieobecność męża? Czy ty w ogóle pojmujesz, co mówisz? Nie potrafię tego zrozumieć, jeśli on naprawdę martwi się o dziecko, to czemu nie może mu pomóc, Gili tak bardzo jest do niego przywiązany, powinien być teraz oparciem dla dziecka, którego dom się rozpadł, co za różnica, czy jest mu ciężko, niech wreszcie wydorosłeje. Najwyraźniej za bardzo się z nim utożsamia, mówi ona. W tej chwili nie może Gilemu pomóc, ale nie

denerwuj się tak. Za kilka tygodni się uspokoi, i wszystko będzie w porządku.

Za kilka tygodni w ogóle przestanę was poznawać! -krzyczę. Gili też was zapomni, wiesz, jak to jest z dziećmi, mają krótką pamięć. Idź już, nie mam zamiaru widywać się z tobą na takich warunkach. Tylko jeśli przyjdiesz tu otwarcie, zgodzę się wpuścić cię do domu. Wstaje spłoszona, otula się niepotrzebnym płaszczem. Przesadzasz, Elu, nie sądziłam, że tak zareagujesz, przesadzasz dokładnie tak jak on. Dlatego było wam tak ciężko ze sobą, lamentuje, jesteście tacy do siebie podobni. Podobni? - krzyczę. Nie daj Boże, jak możesz mówić, że jestem do niego podobna? Nie widzisz, że on w ogóle nie jest człowiekiem, że jest nieludzki?

To twój ojciec, mówi, jakby to była moja wina i moja odpowiedzialność, jakbym to ja go wybrała, a nie ona. Mam nadzieję, że zmienisz zdanie, Elu, nie musisz mnie karać z jego powodu. On robi coś o wiele gorszego, odpowiadam. Karze mojego syna ze względu na mnie, i ty to akceptujesz. Zobaczmy, czy kiedykolwiek mu się sprzeciwisz, co ci przyszło ze wszystkich tych ustępstw, przez wszystkie te lata? Kolejne ustępstwa. Zobaczmy, czy staniesz przed nim, mówiąc: To także mój dom, i Gili może przychodzić tu, kiedy tylko zechce, a jeśli tobie to nie odpowiada, możesz odejść, droga wolna.

Przeciwstawiam mu się na swój sposób, mówi słabym głosem, a ja parskam: Na swój sposób? Przychodząc tu za jego plecami? To nie jest pokonywanie problemów, pozwalasz mu sobą pomiatać, czemu tego nie widzisz, ja wściekam się na Amnona z o wiele błahszych powodów. Marszczy okrągłą, ciastowatą twarz, łapie się za brzuch, jakby chwycił ją nagły ból, warkocz rzadki jak mysi ogonek otacza jej głowę w uparcie staroświeckim uczesaniu. Mam nadzieję, że masz dobry powód do rozwodu, Elu. Pamiętaj tylko, nie ma wspólnego życia bez ustępstw.

Naprawdę? - szydę. A z czego konkretnie on rezygnuje? W życiu z niczego nie zrezygnował. Z kobiety dorównującej mu intelektem, odpowiada. Wolał taką, która będzie się nim opiekować. Nie myśl, że o tym nie wiem.

Czasami nawet lituję się nad nim z tego powodu. Dla mnie to jest miłość, prostuje ramiona w obronnym geście. W twoim pokoleniu miłość zamieniła się w coś, co waży się na wadze, towar przechodzi do kupca. On się ze mną nie liczy, więc przestanę go kochać i pokocham kogoś innego, kto będzie się ze mną liczył. W moim pokoleniu było inaczej, dla nas miłość to wyrok losu, coś, z czym nie można dyskutować. Kręcę głową, znów porażona rozmiarami jej dumy wobec znikomych osiągnięć. Ma prawo być służącą profesora, dbać o jego posiłki i ubrania. Jej duma wzrasta nawet z biegiem lat.

Kiedy podchodzi bliżej i próbuje mnie pocałować w policzek, cofam się z wyuczonym pośpiechem, jak zawsze przed jej dotykiem, a ona wzdycha: No to dobranoc, mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Tylko jeśli on zmieni zdanie, mówię, ja zmienię swoje, ani sekundy wcześniej. Zamykam szybko drzwi, wyglądam przez wizjer na ciemną klatkę schodową, słyszę, jak po omacku szuka kontaktu, w końcu rezygnuje i schodzi schodami po ciemku. Po jej odejściu na fotelu pozostał włochaty stwór w paskudnych kolorach. Czy upokarzała mnie wtedy celowo, czy bezmyślnie? Biorę do ręki sweter przesiąknięty wonią spalonego tłuszczu i jej starości, wymieszaną z zapachem mojej młodości, wydaję z szuflady nożyczki i tnę go powoli, rozdzielając na cienkie pasma kolorowej wełny, które upadają na podłogę jak pasma włosów, co wypadły z czyjejs głowy.

Zrzuca szatę świeżego smutku, otrzymawszy upragnioną propozycję prosto do łóżka, jak prezent, który wróżka wsuwa pod poduszkę z okazji utraty mlecznego zęba. Jo-tam zaprasza cię do siebie, informuję, gdy tylko otwiera oczy. Natychmiast na jego buzi pojawia się uśmiech: Naprawdę? Dzisiaj? Staje w łóżku i obejmuje mnie, bosymi nóżkami depcze po pluszowej lwicy, która chwieje się pod jego ciężarem, przyciska do mnie szczupłe, mocne ciało, kładzie mi ciepłą główkę na ramieniu, jego włosy muskają mnie po policzku, mam uczucie, jakby jakieś miękkie i miłe łono otaczało dwa ciała, wtulone w siebie z całej siły. Czy są gdzieś dla mnie pokłady całkowitej i absolutnej bliskości, przewyższające te poranne pieszczoty, kiedy przychodzi do mnie prosto ze snu, kołysze się w moich ramionach, jakby wspinał się na wąską sznurową drabinę, ciepły i bezbronny niczym malutkie dziecko, rzęsy ma pokryte cieniutkim żółtawym welonem, jak zastygłe żółtko jajka, jest spokojny, nic nie przypomina wczorajszego nieutulonego płaczu, jego rosnących żądań, szybko się ubieramy, bo Jotam już czeka, dzwonił wcześniej, kiedy spałeś, dwa razy, wymachuję tym imieniem, jakby było przepustką do nowej klasy, do sympatii dzieci, obiecującą początek błogosławionej rutyny, zainteresuje się kolegami i nie będzie przejmował się tak bardzo nieobecnością ojca, zniknięciem dziadków. Jego żywiołowa wesołość dodaje mi otuchy, gdy wychodzimy w jasny jesienny poranek, blade obłoki płyną po niebie jak leciutkie żaglówki, mam uczucie, że także my jesteśmy małą, upartą łódeczką, przeznaczoną tylko dla dwóch osób. Kiedy byliśmy we troje, łódka się kołysała, przewracała, bez niego jest nam łatwiej, mama i synek, synek i mama. Co może być prostszego?

Już prawie nie kulejesz, dziwi się, wirując wokół mnie jak motyl. To dlatego, że pocałowałem cię w to miejsce. Na pewno będę się świetnie bawił z Jotamem, przekonuje sam siebie z łatwością. Najlepiej na świecie. Ale zostaniesz tam ze mną, dopóki się nie przyzwyczaję, prawda? Nie bardzo mogę, odpowiadam. Prawie nie znam jego rodziców. Nie daję się zadrećać wątpliwościom, przeskakuje od budynku do budynku, może to jest dom, którego szukamy, może ten, omiata wzrokiem ciężkie kamienice o prostych liniach. Kilka nosi wytworne kapelusze dachówek, większość ma płaskie, szare dachy. Długie lato wyniszczyło rzadką miejską zieleń, starło barwy jak na wyblakłym obrazie, nawet przyrządy na placu zabaw straciły kolory, zjeżdżalnia i dwie huśtawki, skrawek spalonej słońcem trawy. Dokładnie naprzeciwko placu zabaw, powiedziała. Rzeczywiście, na wprost wznosi się elegancki budynek, chyba niedawno odnowiony, bo wydaje się zarazem zabytkowy i nowy, cegły lśnią w słońcu, na górze, na najwyższym balkonie stoi mała, przyjazna figurka, która macha ręką i woła: Gili, jestem tutaj!

Może sam wejdiesz na górę, próbuję szczęścia, bo na widok wspianego domu, na widok ulicy w odświeżonym nastroju, ogarnia mnie skrepowanie. Ze wszystkich stron kroczą ludzie w sobotnich ubraniach, z modlitewnikami w rękach, wracają z synagogi. Mam wrażenie, że to

dokładnie te same osoby, które widzieliśmy wczoraj w drodze do domu. Okazuje się, że nie trzeba szukać szabatu, to szabat ściga nas, przyczepny i natrętny jak gość, którego szybko mamy dosyć. Nie chcę im teraz przeszkadzać, przekonuję go, pamiętając powściągliwe spojrzenie mężczyzny, który siedział z kobietą na kocu i masował jej kark. Oni zaprosili ciebie, a nie mnie, prawie ich nie znam. Gili upiera się, idę więc za nim. Tylko na kilka minut, informuję, kiedy znika za zakrętem schodów. Wydaje mi się, że Jotam wybiega mu na powitanie, słysząc szybkie oddechy, i nagle z góry spada jakiś duży przedmiot, przelatuje błyskawicznie obok mnie i z hukiem rozbija się na marmurowej posadzce. Co to było? - pytam przerażona i w odpowiedzi słyszę ich wspólny śmiech. Rzucamy torebki z wodą. Gili dumnie przyłącza się do psoty, ale ja nie mogę się uspokoić. Wizja jasnego przedmiotu, rozmiarów mniej więcej niemowlęcia, który przeleciał koło mnie w drodze do zagłady, nie opuszcza mnie. Przestrzegam ich: Nie wychylajcie się, bo sami wypadniecie, chodźcie do środka, to niebezpieczna zabawa. Wchodzę za nimi przez otwarte na oścież drzwi, nie dzwoniąc, jakbym wchodziła do siebie, jakby to była dwójka moich dzieci, razem wkraczamy do mego pięknego, pustego domu. Mimo że uprzejmie pokaszuję, aby uprzedzić o swojej obecności, nikt się nie pojawia. Drzwi do pokoju Jotama natomiast zamykają się z trzaskiem, Gili znika w środku, ale od razu wygląda z powrotem i głośno oświadcza: Mamo, nie idź jeszcze, pozwól mi się przyzwyczaić. Podążam szybko za jego głosem. Jotam, gdzie twoi rodzice? Jeszcze śpią, mówi. Staję bezradnie w progu salonu, rozglądam się z niezadowoleniem po zadbanym mieszkaniu. Na drewnianej podłodze o cieplej barwie stoi brązowa skórzana sofa, obok rozpościera się perski dywan, na nim stoi stary fotel na biegunach. Na ścianach wiszą ciemne fotografie, między nimi wielkie lustro w grawerowanej ramie. Odbija się w nim moja zaniepokojona twarz, bez makijażu, z rozwianymi włosami. Nieproszony gość.

Na stole stoi ormiańska misa w czarne wzory. W środku leżą szkarłatne gruszki z popękaną skórką, które sprawiają wrażenie, jakby były zrobione z gliny. Nie mogę się powstrzymać i wyciągam rękę, żeby sprawdzić, czy są prawdziwe. Gruszka jest świeża i chłodna w dotyku. Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i próbuję ją nadgryźć, przekonana, że zęby dotkną twardej skorupy, lecz ku memu zdumieniu owoc jest miękki i soczysty, usta wypełnia mi zaskakująca słodycz, gryzę kolejny kęs, przechadzając się po pokoju. Tak żyją, oto ślady, które po sobie zostawiają, te przedmioty znaleziono by w ruinach, gdyby dom się teraz zawalił. Znowu muszę zachęcać do mówienia milczące znaleźiska, aby dzięki nim odtworzyć charakter i status mieszkańców, jakbym stała nad świeżym wykopem, starając się ustalić, czy to, co widzę, odzwierciedla codzienne życie.

Mam wrażenie, że słysząc skrzypnięcie drzwi i przywołuję na twarz przyjacielski uśmiech, przeznaczony dla Michała, przetykam pośpiesznie przeżuty do połowy kęs, ale ku memu wielkiemu zażenowaniu to nie ona wyłania się prosto z łóżka, lecz zaspany, szczupły mężczyzna o prostych, rozczochranych włosach. Ma na sobie czarną koszulkę i majtki bokserki, czerwone jak gruszki, w białe kropki. Są trochę za obszerne, jakby młody chłopak włożył majtki ojca. Idzie w moją stronę miarowym, mechanicznym krokiem, wyprostowany i napięty, zagłębiony w myślach jak lunatyk, z półprzymkniętymi powiekami, nie zauważa mnie. Wchodzi do ubikacji, która znajduje się na wprost drzwi do salonu i sika w skupieniu, urywanym strumieniem, przy otwartych na oścież drzwiach. Nie mogę oderwać wzroku, wbijam zęby w gruszkę, żeby nie wybuchnąć śmiechem i zdumiona widzę, jak kuca i pochyla się nad muszlą niczym kot, który chce się napić, przechyla głowę, jakby nie był pewny, co widzi, potem

wstaje, wychodzi, nie spuszczać wody, i idzie do kuchni, włącza czajnik i rozgląda się uważnie, jakby upewniał się, czy niczego nie brak. Dopiero wtedy mnie zauważa.

Gdybym nie wybuchnęła wtedy ze skrępowania nieopanowanym śmiechem, może wciąż by mnie nie zauważył, ale nie mogę się opanować, opieram się o ścianę i pozwalam płynąć śmiechowi, który powstrzymywałam aż do bólu. Wylatuje mi z gardła niczym nieprzełknięty kęs, a on stoi przede mną zdziwiony, jego surowa twarz wygląda jak wyrzeźbiona w drzewie, ma szorstką skórę, gładzi się machinalnie po napiętej pod koszulką piersi. Unoszę czerwony owoc, jakbym trzymała w ręku kieliszek wina i wznosiła toast za jego zdrowie. Wspaniałe gruszki, mówię, przysięgłabym, że są sztuczne. Przygląda mi się podejrzliwie. My się znamy? - pyta chłodno, zaznaczając, że nie bawi się równie dobrze. Właściwie nie, odpowiadam. Jestem mamą Gilego. Michał zaprosił go, żeby pobawił się z Jotamem. Chyba przyszliśmy za wcześnie, przepraszam, że cię zaskoczyłam, dodaję. Fala śmiechu wzbiera ponownie, tym razem poddaję się jej. W lustrze widzę swoje rozwarte szeroko usta, głębokie i czerwone, białe zęby. On stoi nieruchomo, nie dołączając do mojego śmiechu, odchyła głowę jak koń. Mogłaś coś powiedzieć, chociażby dzień dobry, rzuca. Mogłaś mnie uprzedzić, że nie jestem sam, nie miałem pojęcia, że ktoś mi się przygląda. Od razu pośpiesznie idzie do ubikacji, spuszcza wodę. Mam wrażenie, że nawet ona się z niego śmieje, gulgotając przeciągle. Nie przyglądałam ci się celowo, mówię, po prostu tu byłam, przykro mi, zapomnijmy o tym, powiedz tylko, czego szukałeś w muszli. Śladów krwi, mówi. Śladów krwi? - zdumiewam się. Czemu? To taki zwyczaj ludzi obciążonych genetycznie, odpowiada.

Znalazłeś? - pytam, nagle zaniepokojona. Nie, na szczęście nie znalazłem, odpowiada. Ale jutro rano znowu będę sprawdzał, możesz przyjść popatrzeć. Pozwala sobie na ostrożny, powolny uśmiech, który najpierw pojawia się tylko w oczach, odrobinę tracących twardość. Chcesz kawy? - pyta. Skoro już tu jesteś, napij się czegoś. Nie, dziękuję, odpowiadam szybko. Muszę iść. Gili już mnie chyba nie potrzebuje. Ale on obstaje przy swoim, z każdą chwilą coraz bardziej przyjacielski. Poczekaj, kawa jest już gotowa. Nalewa wrzącą, szybko ciemniejącą wodę do ceramicznych kubków, między nami unosi się intensywny aromat. Oczywiście daję się skusić, siadam za barem w nowoczesnej, zamożnej, urządzonej ze smakiem kuchni, przyglądam się znowu, tym razem za pozwoleniem, fotografiom na ścianach, karteczkom na drzwiach lodówki, żeby nie zerkać na niego. Najwyraźniej zaczyna się cieszyć tym przymusowym ekshibicjonizmem, paraduje dumnie wyprostowany w samych majtkach, stawia na barku cukier i mleko w jednakowych naczyniach z ormiańskiej ceramiki, misę czekoladowych ciasteczek w kształcie gwiazdek. Zerkam z lękiem na korytarz, za chwilę pojawi się ona, zobaczy męża siedzącego ze mną w samych majtkach, co sobie pomyśli.

Może coś włożysz, proponuję mężczyźnie, którego imienia nie znam, co Michał pomyśli? A on śmieje się, odsłaniając ładne, kwadratowe zęby. Nie wahałaś się mnie zawstydzić, teraz sama się zawstydzisz. Podejmuję wyzwanie, co mnie to w sumie obchodzi, jego sprawa, nie moja, mimo wszystko życzę jej głębokiego, długiego snu, staram się nasłuchiwać szmerów z głębi mieszkania, przez moment wydaje mi się, że z jednego z pokoi dobiega cichy, narastający płacz, gdzieś za harmidrem dzieci. Zerkam pytająco na gospodarza, ale on nie zwraca na to uwagi, skupiony na czekoladowych ciasteczkach. Macza je w kawie i czym prędzej unosi do ust, zanim rozmiękną, mimo to rozpadają mu się w palcach, rozpuszczają w gorącym płynie, musi zadowolić się okruchami. Nie zaczyna rozmowy, ja także nie. Siedzę z zainteresowaniem zabawę ciasteczkami.

Poczęstuj się, proponuje, a ja mówię: Nie jestem głodna. Chcesz coś innego? - pyta. Jeszcze jedną gruszkę? Kręcę głową, w palcach wciąż, nie wiadomo czemu, ukrywam nadgryziony owoc, który wzięłam bez pytania, ciepły i lepki w zaciśniętej pięści. Rozglądam się, gdzie by go wyrzucić, ale nic nie znajduję. Nie udaje mi się też znaleźć tematu do rozmowy, najwyraźniej jemu także nie. Może celowo nie próbuje nawiązać rozmowy, ale poprzestaje na najbardziej podstawowych gestach, jakby to wszystko było już poza nami, jakbyśmy byli parą, która budzi się razem w swobodnym milczeniu. Co jakiś czas z ust wylatują mi niepowstrzymanie cieniutkie strużki śmiechu. Wtedy on odkłada ciasteczko i patrzy na mnie z niepewnym uśmiechem, całkiem odmieniającym wyraz twarzy. Mam wrażenie, że jesteśmy współnikami w jakimś niezwykle zabawnym żarcie, jak Gili i Jotam, rzucający torbę z wodą na klatkę schodową. Współpracuję z nim zaskakująco swobodnie, nie zamęczam go grzecznościowymi pytaniami, choć z radością powitałabym kilka informacji, obserwuję jego szczupłe ciało, staram się zadowolić tym, co widoczne dla oka, sztywnymi ramionami, chłopcęcymi, gołymi nogami, pociągłą twarzą, surową, niczym wyrzeźbioną w kawałku drewna. Na policzkach ma dwie głębokie bruzdy, szeroko rozstawione, osadzone głęboko oczy, ocienione gęstymi brwiami, ciemne, pełne wargi. Gdyby mnie teraz pocałował, wciągnęłaby mnie delikatna, przyjemna przestrzeń. Zapomniałabym na chwilę o górze strapien, która mnie przygniata, nawet kiedy ich nie odczuwam, wulkan, zagrażający mnie i mojemu dziecku. Jego wargi przykryłyby moje wargi niczym kołdra, kojące i przynoszące zaspokojenie. Przyglądam im się, wciąż zajęty ciasteczkami. Nigdy w życiu nie widziałam tak żywych, zmiennych ust, nigdy nie zaznałam pragnienia nagłego, całkiem przypadkowego pocałunku, który nie jest przeznaczony dla mnie. To jak pojechać niewłaściwą drogą i mimo wszystko nie zawrócić. Nagle przestaje żuć i spogląda na mnie, oblizując palce o brązowych koniuszkach. Wokół oczu ma ciemne kręgi, niby deszczowe chmury, z których wyziera spojrzenie, głębokie i poważne, jakby szukał na mojej twarzy śladów krwi. Wszystko u ciebie w porządku? - pyta. Próbuję się uśmiechnąć. Czemu pytasz? Bo wydajesz się zmartwiona, wyjaśnia. Zamiast odpowiedzieć, biorę wolną ręką serwetkę i ocieram łzy, które zbierają mi się w oczach. Wszystko w porządku, chcę powiedzieć. Dawny śmiech i nowy płacz mieszają mi się w ustach, tworząc niemożliwe połączenie, słodkie i słone. Zaciskam wargi, żeby zatrzymać westchnienie, które wzbiera mi w gardle, ale nie wydobywa się, znowu ten słaby, stłumiony dźwięk wędruje po pokojach.

Słyszałeś coś? Może jedno z dzieci płacze? - pytam ostrożnie. Nie, nic nie słyszałem, odpowiada, ale jego głos już stracił spokój, słowa szybko spadają mu z warg, celowo obojętne, słowa, które miały zagłuszyć wyraźny dźwięk. Byłaś wczoraj na spotkaniu szabatowym? Nie pamiętam cię. Ach, prawda, przyszliście później. To było strasznie sztywne, zawsze jest tak samo. Czemu nie można by raz jeden zrobić czegoś nowego? Ze starszą córką widziałem już dosyć takich uroczystości. Gili to twoje pierwsze dziecko? Tak, pierwsze i ostatnie, odpowiadam. Aż tak okropnie? - uśmiecha się. Przeciwnie, aż tak dobrze, odpowiadam. Nie rozumiem, on na to. Wtedy rozlega się skrzypnięcie i oboje wlepiamy wzrok w drzwi prowadzące na korytarz. Na jego twarzy widać podejrziwe oczekiwanie, jakby miała się tam pojawić kolejna obca kobieta. Ale to nasi synowie wybiegają z pokoju niczym wielka fala. Znowu zdumiewa mnie ich podobieństwo, czy on także je zauważy, ogólne, nieokreślone podobieństwo, niewidaczniające się w szczegółach. Tato, możemy dostać kakao? - woła cienkim głosem Jotam. I ciasteczka? Ojciec przyciąga go do siebie, przytula. Poproszę najpierw całusa. Jeszcze nie dostałem żadnego dziś rano. Syn wspina mu się na kolana niczym zwinną małpka i całuje go w szyję schowaną w cieniu. W tej samej chwili piękne, pełne wargi, smakujące kawą i ciasteczkami, przywierają

do czoła chłopca w głośnym, chciwym pocałunku. Oczy jednak patrzą na mnie. Oblizuję usta, czując przyjemny dreszczyk, czułe, zagubione wspomnienie dawnej miłości. Nie takiej, jaka była, lecz jaką mogła być. Tato, twoje całusy są zbyt mokre, wykręca się Jotam, wrywając się ze śmiechem, chwyta talerz z ciasteczkami i podaje Gilemu. Weź, upiekliśmy razem z mamą. Ale Gili nie wyciąga ręki, dopiero teraz zauważam, że obserwuje mnie zboląłym spojrzeniem dorosłego człowieka, przypominającym spojrzenie Amnona w ostatnich tygodniach. Nie jestem głodny, dziękuje, chociaż jeszcze nigdy nie odmówił ciastek. Jotam łapie go za ramię. Chodź już, wracajmy do mojego pokoju. Ale Gili nagle przypada do mnie, kładzie mi głowę na kolanach i mamrocze: Chcę do domu.

Do domu? - dziwi się Jotam. Przecież dopiero przyszedłeś, protestuje. Jeszcze się w nic nie bawiliśmy, chodź, pogramy na komputerze, będziemy przyklejać naklejki do zeszytów, jak mam jakąś podwójną, to ci dam. Gili odmawia, wesołość opuściła go w jednej chwili jak dusza, która opuszcza ciało, jest pusty, oklapnięty, przygnębiony. Niedługo przyjdzie do mnie tata, podaje wymówkę. Chcę poczekać na niego w domu. To co, mówi Jotam, potem go zobaczysz. Ale tata już z nami nie mieszka, wyjaśnia ponuro Gili. Potem go nie będzie, bo mama nie pozwala mu zostać. Nagle oczy wszystkich zwracają się ku mnie, także te ciemne, otoczone czarnymi pierścieniami, Jotam patrzy na mnie z odrazą, jakby ujrzał potwora. Dlaczego pani nie pozwala mu zostać? - pyta, a ja próbuję się uśmiechnąć. Nie o to chodzi, że mu nie pozwalałam. Tak się umówiliśmy. To naprawdę nie problem, Gili. Obiecuję, że zobaczysz dzisiaj tatę. Zadzwońię do niego i powiem, żeby przyszedł później. Gili jednak już dał się wciągnąć złemu nastrojowi, nawet groźba Jotama tego nie zmieni: Nie zaproszę cię więcej, będę się na ciebie zawsze gniewał. Hej, jak ty się zachowujesz? - wtrąca się natychmiast jego ojciec. Nie widzisz, że jest mu trudno? Tak się pomaga przyjacielowi? I Jotam szlocha, zraniony wymówką, którą otrzymał, zanim wyschły ślady pocałunków na czole. Gili także wybucha płaczem. Jest rozczarowany sobą, obawia się skutków swojej naglej decyzji, która przetasowała karty, podważyła jego wizerunek w oczach nowego, upragnionego kolegi, przedstawiciela całej klasy. Wzdycham ciężko na widok dwóch pochylonych głów, chłopców zawodzących jak małe pieski. Mam wrażenie, jakby naraz coś zatarasowało mi drogę, nie jest to jednak zwykły, migający światłami szlaban, lecz mały chłopczyk, wzrostu około metra, ważący około dwudziestu pięciu kilogramów, leżący na jezdni, abym nie mogła przejechać. Zalewa mnie fala pretensji. Nie zmusisz mnie do pozostania z twoim ojcem, nie zmusisz mnie do rezygnacji ze wszystkiego. Do powrotu do życia, którego nie mogłam już znieść. Ale gorycz natychmiast zamienia się w litość. Widzę, z jaką tęsknotą patrzy na swego przyjaciela, którego znów otaczają ramiona ojca, z jaką zazdrością, jakby sam go nigdy nie miał.

Niczym tamta torebka z wodą, pełna do pęknięcia, zlatujemy po schodach, upadamy na posadzkę, czy rozlana woda może wspiać się z powrotem na górę, wślizgnąć z powrotem do kranu, nie, my też nie będziemy mogli przejść więcej przez te drzwi, wyjątkowo wysokie stalowe drzwi, jakby mieszkańcy byli olbrzymami. Kiedy upokorzeni wychodzimy przed budynek, rozlega się huk i kolejna torebka z wodą pęka nam pod nogami w gniewnym pożegnaniu. Wydaje mi się, że słyszę krzyk, ale nie podnoszę głowy, skupiam się na potarganych włosach Gilego, który pociąga buntowniczo nosem, celowo ścisną zbyt mocno, boleśnie, moją rękę, abym ani na chwilę nie zapomniała o jego smutku, który opanował go w przeciągu niecałej godziny. Z okien dobiega szczeł sztućców, urywki cichych rozmów, śmiechy dzieci, późne śniadanie rozciąga się od mieszkania do mieszkania, mieszają się

zapachy, aromat omletu i surówki, tostów i kawy. Myślę o prawie pełnej filiżance kawy, którą zostawiłam, i znowu zalewa mnie złość, jak ty się zachowujesz, powiedz mi, w końcu nie będziesz miał w ogóle kolegów, Jotam tak na ciebie czekał, tak się chciał z tobą zaprzyjaźnić, a ty go zawiodłeś, to do ciebie niepodobne. Mam wrażenie, że tylko czekał na ten atak, aby odpowiedzieć z rozdzierającym jękiem, zakłócającym spokój cichej ulicy, chcę do taty, wczoraj obiecałaś, że rano przyjdzie tata. Zaciskam wściekle pięść i dopiero wtedy zauważam, że w dłoni chowam wciąż resztki czerwonej gruszki. Zamiast wyrzucić ją do najbliższego kosza, wkładam ją do ust, żuję zapamiętane. Smak śmiechu i kawy, której nie zdążyłam wypić, pytania, na które nie odpowiedziałam jak trzeba, ciasteczek, których nie spróbowałam, pocałunku, którego nie dostałam, wypełnia mi usta, zamiast słów pocieszenia dla mojego synka, który zanosi się gorzkim płaczem. Obracam w ustach rozpadający się szkielet gruszki, nie chcę się z nim rozstać, nawet kiedy wchodzimy do domu, w którym rozbrzmiewa znajomy męski głos. Tata! - woła Gili, biegnie do kuchni i nie wiadomo czemu otwiera lodówkę, jakby stamtąd miał się wyłonić ojciec. To jednak nie Amnon. Z automatycznej sekretarki dobiega głos Gabiego, który, jak zwykle gadatliwy, nagrywa szczegółową wiadomość. Z końcówki można domyślić się początku.

W każdym razie, Elu, jeśli będziesz z nim w kontakcie, daj mi znać, bo jestem bardzo zaniepokojony. Powiedział, że idzie się przejść, ale nie wrócił przez całą noc, nie odbiera komórki. Wczoraj był kompletnie załamany, mówiłem ci, powiedział, że nie ma po co żyć, i tym podobne rzeczy. Nigdy wcześniej nic takiego nie mówił. Niechętnie podnoszę słuchawkę. Cześć, Gabi. Właśnie weszłam do domu. Co się dzieje?

To, czego się obawiałem, mamrocze. Facet całkiem się rozkleił, znasz go, przyzwyczał się, że wszystko przychodzi mu bez wysiłku, nigdy nie rzuciła go dziewczyna, zawsze miał szczęście, więc się załamał, nie umie sobie z tym poradzić.

Wczoraj wydawał się w porządku, odniosłam wrażenie, że się z tym pogodził, mówię, nie chcąc uczestniczyć w tej celebracji zmartwienia, z której Gabi, mimo szczerego niepokoju, czerpie wiele satysfakcji. Szybko zaprzecza. Nic podobnego, starał się tylko trzymać przez wzgląd na Gilego. U mnie siedział jak żywy trup, nie jadł, nie odzywał się, płakał jak małe dziecko. Uwierz mi, nie mówię tego tak sobie, znam go, odkąd miał sześć lat, znam go o wiele lepiej niż ty. Tym razem staram się nie dać wciągnąć we współzawodnictwo, zawody, które trwają od lat, i nie zostały rozstrzygnięte. Próbowaleś u Uriego i Tami? Albo u Michaela? Jasne, że tak, odpowiada. Szukałem go wszędzie.

To gdzie on może być? Strach zaczyna krakać mi w gardle, ku wielkiej radości Gabiego. Wreszcie pojmujesz, że sytuacja jest poważna! - wykrzykuje. Co sobie wyobrażałaś? Że się z tobą grzecznie pożegna, pójdzie w swoją drogę, pozbiera się i wciąż będzie cudownym ojcem? Na jakim świecie żyjesz? To słaby facet, chociaż sprawia wrażenie silnego, w środku jest jak papier, może rozerwać się w jednej chwili. Ja o tym wiem od lat i dlatego nie przejmowałem się jego wieloma wadami. Ty też powinnaś była tak robić. Chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie miałaś ochoty mnie słuchać.

Gabi, przesadzasz, staram się odzyskać twardy ton. Mówisz, że powinnam z nim zostać do końca życia z litości albo ze strachu, żeby się nie załamał? Mógłby tak żyć?

Owszem, odpowiada z przekonaniem. Mógłby tak żyć całkiem nieźle. Uwierz mi, także i ty. To lepsze od tego, co cię czeka. Tak ci spieszno trafić z powrotem na rynek samotnych? Nie masz pojęcia, co się tam dzieje, jakich świrów można spotkać, przy nich Amnon będzie ci

się wydawał nie wiadomo jakim skarbem, czemu nie oszczędzić sobie problemów. Pozwól mu wrócić, i załatwione. Módl się, żeby nie było za późno, żeby jeszcze niczego nie zrobił.

Ty po prostu nie rozumiesz, nie wiadomo czemu chcę wyjaśnić mu swoje stanowisko. Nie mam najmniejszej ochoty poznawać kogokolwiek. Nie szukam nowego męża, chcę być sama. Tak ci się wydaje, prycha prostacko, nosowym głosem. Każda chce z kimś być. Każda dziewczyna w twoim wieku chce mieć jeszcze jedno dziecko. Nie wierzę ci, ale to nieistotne. W tej chwili nie wolno ci go porzucać, wyszłaś za niego z wolnej woli, nikt cię nie zmuszał, przeciwnie. To ty na niego naciskałaś, wtrąca ukłucie. Małżeństwo to nie żarty, a wspólne dziecko na pewno nie.

Na jakim świecie ty żyjesz, powiedz mi, unoszę się. Zawsze można się rozstać, nie jesteśmy katolikami, sam się rozwiodłeś, dlaczego tobie wolno, a mnie nie? Bo jesteś mężczyzną, a ja kobietą? Nie, odpowiada natychmiast. - Bo ja wiedziałem, że rezultat mojego rozwodu będzie do wytrzymania, natomiast twojego nie. To dla mnie jasne, że Amnon sobie nie poradzi, a ty ponosisz odpowiedzialność, przede wszystkim wobec dziecka. Wzdycham ciężko. Dostyc już, Gabi, nie strasz mnie. Postaram się dowiedzieć, gdzie on jest, i oddzwonię do ciebie. Ale zamiast rzucić się do telefonu, padam na łóżko z silnym zawrotem głowy, i dopiero gdy wyciągam się na pogniecionej pościeli, z której nie tak dawno wyszłam, przypominam sobie o dziecku. Przez chwilę zapomniałam o jego istnieniu, jakbym zostawiła je, wesole i rozbawione, u kolegi. Podnoszę się ociężale i widzę, jak Gili klęczy nad automatyczną sekretarką, najwyraźniej udało mu się nacisnąć guzik i odsłuchać nagraną rozmowę, nieprzeznaczoną dla niego. Za późno, by zatrzymać wymianę zdań, która toczy się od początku, tym razem ściszonymi głosami. Słyszę znowu głos Gabiego i własny. Amnon sobie z tym nie poradzi, ty ponosisz odpowiedzialność, przede wszystkim wobec dziecka. Przestań, Gabi, nie strasz mnie. Postaram się dowiedzieć, gdzie on jest, i oddzwonię do ciebie. Rozmowa, która odbyła się przed chwilą, już brzmi jak historyczny dokument, świadectwo oskarżenia dla Sądu Najwyższego. Gili wstaje i podchodzi do mnie niepewnym krokiem. Mamo, jestem zmęczony, mówi cienkim głosem. Mogę się z tobą położyć? Oczywiście, kochanie, odpowiadam, uchylając skraj koca, chodź, położymy się oboje i trochę uspokojimy. Kładzie się obok mnie w sandałach, w ubraniu, odwraca plecami i ku memu zdumieniu natychmiast zasypia.

Nigdy nie nasycę się tą twarzą, drobne, silne stworzonko, młode zwierzątko o obgryzionych paznokciach. Oglądam jego ręce i nogi, jakby był noworodkiem. Nasz nieudany związek odbija się w jego rysach, czy moje oczy będą się zawsze klócić z ustami Amnona, dziecko rozwiedzionych rodziców, nawet jego ciało jest naznaczone. On jest podobny tylko do mnie, podkreślał Amnon przy każdej okazji, do ciebie w ogóle, jesteś tylko matką zastępczą, popatrz na niego. Przyglądał mu się z satysfakcją, jakby Gili był jego przedłużeniem na ziemi. Jednocześnie nie radził sobie z jego odmiennością, która stawała się widoczna coraz wyraźniej. Co z niego za beksa, narzekał, ja nie byłem taki płaczliwy, ma to po tobie, wzdrygał się z niechęcią, odrzucając go w jednej chwili całkowicie, ja w jego wieku umiałem już czytać i pisać, informował, nie pojmuję, czemu on nie może się nauczyć. Wahał się między bezwarunkową dumą a samymi zastrzeżeniami, podczas gdy Gili chwycił się mnie z lękiem, wiedząc, jak ulotne są pochwały.

Amnon, on nie jest tobą, ani w zaletach ani w wadach, pogódź się z tym wreszcie, starałam się przemówić do niego, żeby nie miotał dzieckiem od jednej skrajności do drugiej, przyjmij go takim, jakim jest. I kto to mówi, atakował natychmiast, ty nie potrafisz przyjąć mnie takim, jakim jestem, więc czemu mnie pouczasz? To coś całkiem innego, odpowiadałam na to, z dziećmi jest

inaczej. Na pewno nie pomagasz mu tym, że wciąż go bronisz, zbyt często mu ustępujesz, oskarżał, chowasz go, jakby był jakimś księciem, tak nie przygotowuje się dziecka do życia. Ależ dokładnie tak wychowywano ciebie, odpowiadałam. Po prostu zazdrościsz, że pojawił się nowy książę. Oszczędź mi swoich teorii, prychał ze wzgardą, odwracając się do mnie wygolonym karkiem. Może lepiej, żebyśmy wychowywali go osobno, proponował arogancko. Te wszystkie kłótnie są dla niego niezdrowe. Nie ma problemu, ja na to, rozstańmy się. Ale słowa rozplywają się szybko, jakby nigdy nie zostały wypowiedziane, bo nie stoi za nimi intencja. W końcu jednak intencja powstała niemal niezauważenie i dołączyła do słów, sprawiając, że stały się zdecydowane i ostre jak lufy wycelowanych w niego karabinów. Tak, nie ma problemu, rozstańmy się. A on uciekł, ile sił w nogach, i ukrył się przed nimi.

Słyszysz, Gabi, nie dam się wciągnąć w jego gierki, o to właśnie mu chodzi, żebym ze zmartwienia przyjęła go z powrotem, zachowuje się, jak nastolatek, który chce nagiąć rodziców do swojej woli. Do czego miałyby wrócić, do niekończącej się szamotaniny, do kąśliwych utarczek? Po wygaśnięciu wielkiej miłości pojawia się czasem przyjaźń, która jest nawet rzadsza i cenniejsza od miłości, ale u nas wśród ruin wyrosła wrogość, gorzki konflikt, małostkowy i nużący. Jak rodzeństwo, które bezustannie się bije. Czy faktycznie zwracam się teraz do Gabiego? Zamiast jego twarzy widzę oblicze wysokiego, przystojnego chłopaka o brązowozielonkawych oczach. Ma delikatne usta, na mlecznobiałym policzku widnieje pieprzyk. Zwracam się do dużego Gilego, do chłopaka, który będzie siedział naprzeciw mnie za kilka lat, jedyne go syna, którego życie pękło na pół, kiedy miał sześć lat. Stara się rozszyfrować krótką kronikę dziejów swojej rodziny. Tylko jemu będę musiała zdać sprawę ze swych uczynków.

Przekręcam się z boku na bok w naszym małżeńskim łóżku, starając się nie obudzić dziecka. Ciemna lniana zasłona powiewa w południowym wietrze, zasłaniając i odsłaniając światło. Jakby jakiś niezdecydowany palec przyciskał kontakt na niebie, na zmianę gasząc i zapalając prąd, do bólu oczu. Kosy o pomarańczowych dziobach z piskiem obsiadają gałęzie szarego cyprysu. Z miesiąca na miesiąc ma coraz mniej zielonych liści, coraz więcej gąsienic podgryza gałązki, draży małe otwory. Trzeba będzie go ścinać przed zimą. Tym razem chyba już nie oprze się wiatrom. Zeszłej zimy pokrył się bielą, chwiejąc się sztywno, zdziwiony, za oknem. Wydawało się, że za chwilę padnie pod ciężarem, prosto na nasze łóżko, okładając nas zamrzniętymi gałęziami, wściekły i zazdrosny. Dlaczego wy żyjecie, a ja już nie.

Obracam się na brzuch, aby uniknąć gniewu drzewa. Gdzieś głęboko w brzuchu burczy mi z głodu. Zaraz z gardła wysunie się pożądliva ręka, aby zdobyć coś, co zaspokoi łaknienie. Przypominam sobie ciasteczka w kształcie gwiazdek, które ktoś przeżuwał chciwie na moich oczach. Gdybym miała teraz takie ciasteczka i usta, które nie mogły się od nich oderwać, ssące i liżące! Moje usta wyciągają się ku nim, napięte, rozciągnięte, rozszerzające się, cała moja twarz to wygłodniałe usta, jak prowokacyjnie ucałował syna w czoło, mierząc mnie spojrzeniem. Chichoczę cicho pod kocem, niczym nastolatka snująca podniecający plan, niemożliwy do urzeczywistnienia, ale też taki, którego nie ma potrzeby spełniać, cierpliwy sekret, który nie potrzebuje uczestników. Pochylam się nad uśpionym Gilim i całuję go delikatnie w czoło wilgotnym, długim pocałunkiem.

Nad nim, niby bańka mydlana wspomnienia, unosząca się z głowy, wisi oprawione zdjęcie. Zdejmuję je ze ściany, żeby mu się przyjrzeć. Rozchwiany gwóźdź wypada na policzek Gilego,

rozsiwając drobiny tynku. Dmucha mu ostrożnie na buzię i przyglądam się fotografii z niechęcią, ona zaś posyła mi spojrzenie trzech uśmiechniętych twarzy jak trzy oskarżające palce. Niepokojący dowód na to, że jeszcze niedawno przeżywaliśmy szczęśliwe chwile. Tłoczmy się pod czarnym parasolem, upstrzonym płatkami śniegu, Amnon pochyla się z trudem, trzymając parasol, jakby chciał nas osłonić, na głowie ma czarną czapkę, przypominającą grzywę włosów, podkreślającą jego jasne oczy. Gili siedzi mi na kolanach, ma błyszczące policzki, w ustach pełno śniegu, a ja, trzeba przyznać, że to naprawdę ja, uśmiecham się z zadowoleniem między moimi mężczyznami. Dłoń w czerwonej rękawiczce trzymam na ramieniu Amnona, na twarzy mam ciemne okulary. Nie, nikt by nie odgadł. Nic nie wskazuje na zbliżający się koniec naszej trójki. Rankiem wyszliśmy na zdumiewająco białe podwórko, zarażeni radością dziecka, i poprosiliśmy jednego z sąsiadów, aby zrobił nam zdjęcie, postaraliśmy się oprawić fotografię i powiesić ją na ścianie, w błędnym przekonaniu, że należy uwiecznić śnieg, podczas gdy to my byliśmy ulotni.

Tak, były takie dni, wcale nie tak odległe, gdy tylko tego pragnęłam, być we trójkę, w domu, w samochodzie, w samolocie, jak bezpiecznie czułam się między moimi dwoma ukochanymi, niczym mała dziewczynka między mamą i tatą. Zostań z nami, nie idź, prosiłam uporczywie, a Amnon się opędał. Zostaw mnie, mam pracę albo pilny telefon, albo spotkanie, najpierw bądźmy we dwojkę, mamrotał, zapomniałaś już, jak to jest być we dwoje. A jednak jakże naturalna, oczywista była nasza trójka, stojąca w śniegu, jadąca samochodem, zasiadająca do kolacji. Od dzisiaj każde spotkanie nas trojga będzie zarażone wspomnieniem. Nawet po latach, gdy ból osłabnie, wystarczy jedno najzwyczajniejsze słowo, rutynowe spojrzenie, aby przypomnieć, że dziś mija sto, dwieście, pięćset dni od pogrzebu.

W jednej chwili nic nie jest już niewinne, ani sen dziecka, ani spojrzenie obcego mężczyzny, uczestniczącego niemo w cudzym smutku, ani ciasteczka rozmiękające w kawie, ani telefon, który nie odpowiada. Wszystko staje się przyprószone strachem, a zarazem nieznośnie pociągające. Nowe życie oślepia mnie przenikliwym błyskiem, aby zaraz potem stać się ciemne i przerażające niczym bezkresny las. Kroczymy między drzewami, wysokimi i cienkimi jak włócznie, szukamy miejsca, w którym moglibyśmy pogrzebać naszą miłość, zanim zapadnie wieczór, żeby zmarły nie został na noc w domu. Nagimi palcami rozkopujemy sypką ziemię, gdzie znajdziemy dla niej miejsce, nie wiadomo, jakie są jej rozmiary, czy była ogromna, jak wierzyłam w pierwszych miesiącach, i cały Jaś jej nie pomieści, czy mała i skurczona, jak wyobrażałam sobie ostatnio. Osłabiona, schorowana miłość. Niczym człowiek, który w kwiecie wieku był silny i wysoki, lecz kiedy niosą go do grobu na noszach, jest mały jak ptaszek, krewni dziwią się, czy to naprawdę on, jak to się stało, że tak się skurczył podczas długiej choroby. Niedługo pochłonie ją ziemia, lecz postanowiliśmy zbudować nasze nowe życie nad świeżym grobem, niby mieszkańcy miasta zniszczonego w trzęsieniu ziemi lub w wojnie, którzy założyli nową osadę na ruinach dawnych domów, i tak raz za razem, aż w ciągu wielu lat wyrosło tam starożytne wzgórze o stromych zboczach. Nieświadomie będziemy po niej stapać, w lecie stopami w sandałach, w zimie - w ciężkich butach, rozłożymy nowe dywany, ustawimy meble, i tylko co jakiś czas zbledniemy na jej wspomnienie, trup w fundamentach domu.

Jesienny wieczorny chłód budzi mnie z dreszczem z drzemki, smutnej drzemki kogoś, kto usłyszał złą wiadomość. Gili jest owinięty kołdrą, drzę z zimna w samym ubraniu, moje ciało jest jeszcze uśpione, nie mogę wstać, aby wyciągnąć koc z szafy. Znowu wpatruję się w martwe, szare jak popiół drzewo, może przewróci się i przykryje mnie gałęziami, wyświadczy mi

na pożegnanie ostatnią łaskę, zanim nadejdzie ciężka, trudna zima. Znowu zasypiam, obejmując jego suche gałęzie, pod koniec tego dziwnego, kalekiego dnia, którego uśmiech zastygł, zanim się na dobre pojawił, z automatycznej sekretarki znowu dobiega głos Gabiego, mego odwiecznego przeciwnika, który zawsze podzegał Amnona przeciwko mnie, kusił go opowieściami o radosnym kawalerskim życiu. Elu, on zniknął, nie ma go nigdzie, nic mi już nie przychodzi do głowy, nikt z nim nie rozmawiał, komórka nie odpowiada, musimy się wspólnie zastanowić, dokąd mógł pójść. Inaczej będę musiał zadzwonić na policję. Dopiero wtedy wstaję, moja senna słabość naraz znika, zastępuje ją gorączkowe pobudzenie. Serce bije mi w piersi jak kopiące silne dziecko w brzuchu. Chodzę po pokojach, jakbym szukała znaku, dowodu, sprawdzam imiona znajomych w notesie, szybko wykręcam numery, bezmyślnie wdaję się w niepotrzebne rozmowy tylko po to, aby wykreślić kolejne imię, utracić koniec nici.

Gdzie jesteś? Nie nazwę cię drogim, bo serce, któremu byłeś drogi, zamyka się przed tobą. Nie nazwę cię ukochanym z młodości, bo miałam przed tobą ukochanych. Nie nazwę cię mężem, bo zbrzydło mi to słowo. Nie nazwę cię ojcem mojego syna, bo nie pragnęłaś tego tytułu. Cała reszta czułych słów leży między nami jak bezużyteczne zabawki na półce dziecka, które dorosło. Nie pozostały nam żadne słowa ani łagodne uczucia, zaledwie wyblakłe i poplamione wspomnienia miłości, niczym obrus po świątecznej wieczerzy.

Przeżyliśmy razem dziesięć lat i wydaje się, że liczba słów malała z roku na rok jak u cofniętego w rozwoju dziecka, które ku przerażeniu rodziców traci zdolności językowe, zamiast je nabywać. Wyrażenia, które pojawiały się na naszych ustach w pierwszym roku, w trzecim roku zniknęły. Mam wrażenie, że po urodzeniu Gilego wszystkie dobre słowa zebrały się wokół niego, wszystkie drogocenne słowa zachwyty skupiły się w jego łóżeczku, nasze łóżko opustoszało, a powstałą przestrzeń pośpiesznie wypełniły gorzkie, zbrojne słowa, jak armie karłów wyruszających na wojnę. O co walczyliśmy? Wydaje się, że słowa walczyły za nas, podczas gdy my oddawaliśmy się codziennym zajęciom, które stawały się coraz trudniejsze. Dokładnie jak w wojnach między narodami, walczyliśmy o wolność i niepodległość, o terytorium i o równość, o władzę i o uznanie, pośredniczyli zaś między nami przedstawiciele rozmaitych interesów i jedno przestraszone dziecko.

Gdzie jesteś, Amnon, zostało tylko twoje imię, bez przymiotników, bez czułych dodatków, imię, które zawsze lubiałam, które nie ja ci nadałam, dlatego nie mogę ci go odebrać, gdy wygasła miłość. Imię królewskiego syna, chciwego i niestałego. Kiedy się mi przedstawiłeś, o mało nie odpowiedziałam: A ja mam na imię Tamar, tak bardzo pragnęłam być królewską córką, twoją przyrodnią siostrą, aby połączyła nas starodawna opowieść o złym zakończeniu. W wyobraźni widziałam jednak tylko jej kuszący początek. Absalom miał piękną siostrę imieniem Tamar. Pokochał ją Amnon, syn Dawida. Zdjąłeś okulary słoneczne i w opalonej twarzy błysnęły niebieskie oczy. Pochyliłeś się, wyciągnąłeś do mnie szeroką, szczupłą rękę i zapytałeś: Jesteś tu ze szkołą? Zrozumiałam, że sądzisz, iż jestem jeszcze uczennicą, i poprawiłam cię z radością, z jaką szkołą, kończę trzeci rok studiów. Dopiero wtedy zauważyłam, że twoja szara koszula, przyklejona do ciała, to po prostu warstwa pyłu. Kiedy dalej na mnie patrzyłeś, zignorowałam cię, uderzając w warstwy ziemi trzymanym w ręku młotkiem, jakbym pukała do drzwi, metr pod powierzchnią ziemi, tysiące lat pod teraźniejszością, znajdę mały domek, który będzie moim domem, znajdę kości dziewczyny, która będzie moją siostrą.

Siedząc pewnie w dole wyłożonym workami z piaskiem, niczym w wojennych okopach, nie przerywałam strzepywania pyłu z demonstracyjną pracowitością, widząc, jak przechadzasz się

zamysłony wśród wykopów, promieniując pewnością siebie, masz na sobie dżinsowe spodni, nieporządnie ucięte na wysokości pół uda, wystają z nich cienkie niteczki, niczym frędzle *dat*, wreszcie wróciłeś do mnie szybkim krokiem, wskazując na mnie z satysfakcją, jakbyś rozwiązał zagadkę. Teraz wiem, gdzie cię widziałem, twoja podobizna widnieje na ścianie mi-nojskiego pałacu na Terze, nazywają cię Fryzyjką. Gdzie? - zapytałam. Na Terze, odparłeś, to starożytna nazwa wyspy Santorini, wyspy, na której wybuchł wulkan, nie byłeś tam? Zachowały się na niej nadzwyczaj piękne freski. Ku memu zdumieniu wyciągnąłeś z kieszeni przezrocze. Spojrzałam na nie pod światło i ujrzałam swoje spojrzenie w wyniosłej, bladej twarzy o subtelnych rysach. To nieprawdopodobne, mruknąłeś, pochylając się znów, aby mi się przyjrzeć. Istniejesz od czterech tysięcy lat.

Może tam wrócił, na zniszczony, rozkopany Teł Jezre'el, do królewskiej siedziby, otoczonej głęboką fosą, spoglądającej na żyzne doliny północy, których miasta jedno po drugim stawały w płomieniach, Bet Sze'an, Ta'anech, Megiddo, łączy je twarda skorupa zgłiszczy. Może tam wrócił, do pokrytych ziemią wykopów, do miejsca, które zostało zniszczone niedługo po powstaniu i nigdy nie odzyskało pierwotnego znaczenia. Jak cicho tam musi być w nocy, cicho i niebezpiecznie. Chwytam się ściany, widząc oczami duszy ciało owinięte całunem pyłu, milczące i zimne na dnie fosy, niczym w grobowcu, w starożytnej pieczarze. Jak niewiele pozostawiamy po sobie. Ta potworna wizja wstrząsa mną z taką siłą, aż wydaje mi się, że łamię się w biodrach. Staram się raz po raz do niego dodzwonić, zostawiam mu przyjacielskie wiadomości. Zadzwoń, kiedy odsłuchasz, martwię się o ciebie, nie sądziłam, że przeżyjesz to aż tak mocno, wydawało mi się, że to dla nas właściwy krok, tyle razy szantażowałeś mnie rozstaniem, nie miałam zamiaru sprawić ci bólu. Z chwili na chwilę rośnie we mnie przekonanie, że być może to nie podstęp, lecz początek katastrofy, którą przepowiadał ojciec. Coraz wyraźniej rozumiem, że żąda się ode mnie jednej rzeczy, najtrudniejszej, lecz zarazem najłatwiejszej, najbardziej szlachetnej, lecz także najbardziej błędnej, najbardziej logicznej i najgłupszej, powinnam ustąpić, bo chodzi o kwestię życia i śmierci, nieszczęście jest pewne, a szczęście wątpliwe. Ustąpić, jak ustępowały i będą ustępować matki siedzące na kocach, śpiewające szabatowe pieśni. Zrezygnować, jak zrezygnowały nasze matki, bez odwołania, bo to wyrok najwyższego sędziego. „Nie utwardzajcie serc waszych jak w Meriba, jak na pustyni w dniu Massa”. Stoję wyprostowana, na baczność, niczym na apelu ku czci ofiar. Oczy wszystkich są utkwione we mnie, w tle rozlega się przenikliwe wycie syren rozciągających bez końca sznur cierpienia. Recytuję na głos słowa przysięgi, patrząc na szarą jak popiół koronę drzewa, na śpiące dziecko, któremu z buzi cieknie strużka śliny. Ja, Ela Miller, córka Dawida i Sary Goszen, zobowiązuję się wobec Boga i ludzi, wobec drzew i kamieni, że jeśli tylko Amnon zjawi się zdrów i cały, pozwolę mu wrócić do domu, przyjmę go z otwartymi ramionami, będę jego żoną, jak długo zechce. Zobowiązuję się porzucić zamiary rozstania i bez wahania z nich zrezygnować, i nigdy już do tego nie wracać, w myśli ani w mowie.

Czy rzeczywiście siedzę obok niego, w tamtej ciasnej kawalerce, czytając z entuzjazmem raport o znaleziskach ceramicznych, odkrytych w warstwie zgliszczy Tel Jezre'el, identycznych jak te w pałacu w Megiddo; owe fragmenty skorup o nieocenionej wartości dowodzą, że wspaniałe królestwo Dawida i Salomona było jedynie małym plemiennym państwem, że nie Salomon wznosił te miasta, lecz władcy z dynastii Omriego. Uśmiecha się do mnie swoim otwartym uśmiechem. Może opiszę, jak cię tam znalazłem, mówi, moje najważniejsze odkrycie, minojski fresk, który ożył w Izraelu, kobieta, która liczy sobie cztery tysiące lat.

Nie odbieraj, szepczę, kiedy przy łóżku dzwoni telefon. Ty odbierz, proponuje, przysuwając aparat. Amnona nie ma w domu, informuję radośnie zmęczony kobiecy głos, który chciałby z nim mówić, nie mam pojęcia, kiedy wróci. Dzwonienie nie ustaje, przywraca mnie do rzeczywistości, Amnona nie ma w domu, nie mam pojęcia, kiedy wróci, zeskakuję z łóżka i chwytam słuchawkę, rozpoznając z rozczarowaniem głos Gabiego. Wszystko w porządku, Elu, dał znak życia, mówi tajemniczo, głosem zdławionym dumą, jakby otrzymał medal za odwagę i poświęcenie.

Dzięki Bogu, oddycham z ulgą. Gdzie on jest? Nieważne, gulgocze Gabi z wyższością, świętując swoją przewagę. Chce, żeby to zostało między nami. Powinnaś tylko wiedzieć, że nic mu nie jest. Widzisz, jak zawsze histeryzowałaś bez potrzeby, śpieszę przygasić jego dobre samopoczucie. Kiedy człowiek kogoś kocha, to się o niego martwi, mamrocze. Pewnie o tym zapomniałaś. A ty zapomniałaś, że Amnon kocha przede wszystkim samego siebie, mówię. Na pewno nic by sobie nie zrobił.

Dość, wzdycha. Nie mam siły się z tobą sprzeczać. Na szczęście ze mną też się rozstajesz. Będzie mnie musiała tolerować jego następna kobieta. A co, już kogoś ma? - pytam z udawanym spokojem, starając się ukryć ukłucie ciekawości. Nic takiego nie mówiłem, chichocze Gabi. Mówię tylko, że rozstajesz się jednocześnie ze mną. Żadne z nas nie będzie tego żalować. Staram się mówić łagodniej, choć bardzo chcę zakończyć tę rozmowę, podobną do poprzednich rozmów, a przy tym całkiem inną. Słuchaj, Gabi, muszę wiedzieć, gdzie on jest, daj mi przynajmniej numer telefonu, jego komórka nie odpowiada, a Gili chce z nim porozmawiać. Chętnie bym ci dał, moja droga, ale Amnon wyraźnie prosił, żeby tego nie robić, znowu arogancko lubuje się każdym słowem. On nie chce z tobą rozmawiać. Co mogę zrobić, nawet ja mam na niego ograniczony wpływ.

Przesadziłaś, rzucam. Ma syna, Gili za nim tęskni, próbował się do niego dodzwonić przez cały ranek. Co ja ci mogę poradzić, wzdycha Gabi z udawaną niewinnością. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. Nie można wyrzucić ojca do wszystkich diabłów i jednocześnie oczekiwać, że będzie się nienagannie zachowywał w stosunku do dziecka. Nie wydaje mi się, abyś mogła liczyć na Amnona w najbliższym czasie. Ale zawsze twierdziłaś, że wychowujesz Gilego sama, co za różnica, jesteś przyzwyczajona. Ty nędzny intrygancie, pryham. Zrobiłaś

wszystko, żeby nas skłócić. Odkładam słuchawkę, nie chcąc słyszeć jego pełnego satysfakcji śmiechu. Wciskam ją w widelki, żeby zatrzeć jakikolwiek ślad tej rozmowy, ale wciąż rozbrzmiewa mi w uszach, rozsiewając w głowie garście igieł, szpilek, pinezek. On nie chce, żebyś wiedziała, gdzie jest, nie chce rozmawiać ani z tobą, ani z Gilim. To zostało powiedziane, stało się i nie ma odwrotu. To jest rozstanie, jego mowa, jego dźwięk, oto rozstanie, przygotowane, lecz nieoczekiwane, ciało zaprzestało walki i zapanowała przenikliwa cisza, mechanizm przestał działać, struna pękła, pole zostało spalone, stało się, nie ma odwrotu, twoje spóźnione przysięgi nie mają sensu, nie mają sensu twoje ofiary, bezwartościowe i nic nieznaczące.

Gdzie się podziała przyobiecana ulga, kiedy wreszcie nadejdzie, rozpadła się niby kieliszek, który się stłukł po otwarciu pudełka. Jej okruchy leżą wokół, cienkie i ostre, złośliwie połyskują, chodzę wśród nich na palcach, zbieram je jak co rano leżące na dywanie zabawki i wrzucam do łóżka, w którym nie ma niespokojnie śpiącego dziecka. Moje czynności stopniowo odłączają się od ciała, ramiona się unoszą w powietrzu, trzymając pluszowe zwierzątka, opieram się o ścianę, oddech mnie pali, jakbym w środku miała zapaloną zapałkę, jęzory ognia szaleją mi w brzuchu, chyba kryje się tam szyb naftowy. Masz, szepczą płomienie, dostałaś, czego chciałaś, jesteś wolna, on jest cały i zdrowy, nie będzie ci już zawadzał, brama jest otwarta, szlaban zniknął, dlaczego nie przechodzisz.

Zanurzam palce w bulgoczącej magmie sprzecznych emocji, nie mam nawet rękawiczek, żeby osłonić gołe ręce, pochylam się nad wrzącym kotłem, jak czarownica z baśni, warząca trujący eliksir, dla kogo? Dla ciebie i twojego małego synka. Czy naprawdę jestem skazana na stanie z rozpaloną twarzą nad kotłem, czekając na wyrok, za chwilę wrząca masa wystąpi z brzegów i zaleje dom, zamieniając go w zbiór skamieniałych przedmiotów, sprawi, że zastygnie ta chwila, gdy utkwiałam wśród sprzecznych emocji, nieświadomie przekroczyłam granicę i natychmiast wpadłam w sidła; to chwila, która podkreśla na nowo trudność, obelżywą, niepojętą niezdolność rozpoznania prawdziwego uczucia. Zamglonymi od żaru oczami rozglądam się po znajomym pokoju, widzę szarą kanapę, która wydawała się używana nawet w dniu zakupu, dwa lekkie składane fotele, obserwujące ją niestrudzenie, jakby prowadziły męczącą rozmowę, dziury na półkach, przypominające puste oczodoły szkieletu, mam wrażenie, że przede wszystkim wrze we mnie tęsknota, nie do Amnona i naszego przerwane go życia, lecz do prostych uczuć, jakie mu towarzyszyły, głód i pragnienie, które można zaspokoić, zmęczenie, które można rozproszyć, miłość, którą można spełnić. Jak mała kłamczucha, której uwierzyli dorośli, chodzę zła po pokoju, rzucam się na kanapę, wymierzam kopniaki poduszkom, a one odpowiadają chmurami drażniącego kurzu.

On tylko chce cię ukarać, pocieszam się, zniknął, bo jest wściekły i obrażony, stara się podkreślić swoją obecność przez nieobecność, jasne, że jeśli zechcesz, wróci, to wciąż zależy tylko od ciebie. Ale znaczący ton w głosie Gabiego nie daje mi spokoju, ulotna wizja innej kobiety, jak to możliwe, że po tygodniu zaledwie pojawiła się jakaś kobieta, pod czaszką rozbrzmiewa ostrzegawczy dzwonek, stało się, straciłam władzę nad jego życiem, reguły gry się zmieniły. Stało się, na dobre i na złe, to się dzieje naprawdę, nie kolejna burzliwa rozmowa partnerów, kolejna znana kłótnia, kolejne kuszące fantazje, rozkosz oswobodzenia, przed górą błogosławieństw wznosi się góra przekleństw, jak blisko, jak trudno je rozróżnić.

Nawet zimna woda ogrzewa się na moim ciele, ręce mi płoną, język pali niczym pochodnia. Piję lejącą mi się na głowę wodę, znużoną długą drogą, i nagle słyszę, jak telefon ożywa z upartym dzwonieniem, któremu towarzyszy pukanie do drzwi. Wewnętrzny chaos przybiera nagle na-

macalny kształt, obiecujący zmianę na lepsze. Wyskakuję spod prysznic, woda z włosów kapie na klejącą się do pleców sukienkę, ignorując telefon, biegnę do drzwi, krople parują mi z sykiem na skórze, w pełnym sprzecznych uczuć oczekiwaniu.

Co z tobą będzie, Elu, kiedy nauczysz się odbierać telefony, narzeka, jak zawsze, trzymając wciąż przy uchu komórkę, rozbrzmiewającą sygnałem mojej odmowy. Próbowałem cię zawiadomić, że jadę, ale jak zwykle nie odbierasz. Może to i lepiej, bobyś mnie nie wpuściła, śmieje się. Wchodzi bez pytania do środka, jego niskie, krępe ciało okrywa jak zawsze ciemny garnitur prawnika, rzadkie włosy ma zaczesane do tyłu, posmarowane żelem, z policzków unosi się drażniący zapach wody po goleniu, szczerzy w krzywym uśmiechu wystające zęby. Rozgląda się po salonie drwiącym, ciekawskim spojrzeniem, jakby wszystko, co przeżyłam od naszej rozmowy, rzucało się w oczy. Jego wzrok spoczywa na moich nagich udach. Nieźle, zauważa. Jeśli ktoś lubi małe rozmiary. Może mimo wszystko uda ci się kogoś znaleźć. Co tu robisz, Gabi? - odzywam się lodowato, z wysiłkiem. Nie przypominam sobie, żebyś cię zapraszała. Macha mi przed nosem znajomym kluczem, połyskującym mu w palcach jak skradziony klejnot. W porządku, słoneczko, nie musisz mnie zabawiać, Amnon dał mi klucz. Próbuję mu go wyrwać. Daj mi ten klucz, jest mój. Uspokój się, mówi. Amnon mnie przysłał. To także jego mieszkanie. Sam spisałem umowę kupna, pamiętasz?

Należy także do niego, ale z pewnością nie do ciebie, syczę. Czego tu szukasz? Amnon prosił, żebyś przywiózł mu kilka rzeczy, odpowiada z satysfakcją. Pomożesz mi je znaleźć, czy mam sobie sam poradzić. Wynoś się stąd, Gabi, mówię. Jeśli chce coś zabrać, niech przyjdzie sam. Co się stało, kotku? - śmieje się. Tak szybko zatęskniłaś?

Bynajmniej, zaprzeczam. Po prostu wolę oglądać jego niż ciebie. Nie zwracając na mnie uwagi, toczy się dumnym krokiem do sypialni, otwiera na oścież szafę. Potrzeba mu kilku swetrów, długich spodni, wieczory są już chłodne, wyjaśnia. Gdzie trzymasz zimowe ubrania, tutaj? Piegowate, blade ręce urzędnika, grzebią w mojej szufladzie z bielizną. Będziesz potrzebowała nowej garderoby, Elinka, informuje z udawanym żalem. Nieprzyjemnie mi to mówić, ale na rynku ciała trzeba inwestować. Nikt nie zbliży się do ciebie, jeśli będziesz w czymś takim, dynda mi przed nosem spranymi zielonymi majtkami, prawie całkiem zetlałymi. Czuję, jak oblewam się rumieńcem, jakby ktoś mnie spoliczkował. Wynoś się, zboczeńcu, zabieraj łapy z mojej szafy. Ale on grzebie dalej. Prosiłem, żebyś mi pomogła, mówi niewinnie, wyciąga tryumfalnie szary stanik i unosi go do góry. Nie mam wyboru, muszę poradzić sobie sam.

Zabieraj się stąd, odpycham go, wyjdź z tego pokoju, przyniosę ci. Nie ma problemu, zaczekam w salonie, odpowiada. Podaje mi pogniecioną żółtą karteczkę, podobną do tych, jakie czasem znajdowałam w kieszeni Amnona, zapisaną niechlujnym, pochyłym pismem, przypomina zwykły spis rzeczy przed wyjazdem na wykopaliska. Dwa swetry, dzinsy, sztruksy, marynarka, koc. Rzucam wszystko na kanapę, na której siedzi zadowolony i rozbawiony. Zabieraj to i wyjdź. Jeśli jeszcze raz tu przyjdiesz, zmienię zamki.

Uwierz mi, że to dla mnie żadna przyjemność, mówi. Znam lepsze rozrywki niż oglądanie ciebie. Wiesz, że dla mnie przyjaźń jest najważniejsza. Amnon dopiero teraz zaczyna to doceniać, dodaje arogancko. Daj mi jakąś torbę, albo sam poszukam. Wyjmuję z szuflady torbę i podaję mu. To gdzie on jest, w mieście, próbuję się dowiedzieć z udawaną obojętnością i ku memu zdziwieniu nawet udaje mi się uzyskać odpowiedź. Tak, jest niedaleko. Przekazać mu coś?

Przekaż mu, że ma dziecko, warczę. Gili go potrzebuje, warto, żeby sobie o tym przypomniał. Nie martw się, odpowiada. Załatwię to. Ma zdumiewająco łagodny głos. Kiedy zerkam na niego

z ciekawością, zauważam, że wędruje niespokojnie wzrokiem po moim ciele. Szeroki uśmiech ogarnia całą piegowatą twarz. Znam dobrze to spojrzenie, lecz nie gest, który za nim idzie, bo nagle przyciska mnie do ściany, opuszcza ramię sukienki, które poddaje się z irytującą łatwością, odkrywając skuloną ze wstydu pierś. Nie najgorzej, zauważa znowu. Masz piersi nastolatki. Staram się go odepchnąć, zdumiona taką bezczelnością. Co ty wyprawiasz, zabieraj łapy! Nie puszcza mojego ramienia. Nie denerwuj się, nic nie robię, tylko patrzę. Ogląda mnie zmrużonymi oczami, jakby szacował wartość towaru, szybko przesuwam na miejsce zdradliwe ramię. Idź stąd, jak śmiesz. Jego brutalne zachowanie co prawda mnie nie dziwi, ale po raz pierwszy jest skierowane przeciwko mnie, jakby nigdy nie był dobrym przyjacielem mojego męża, jakbym nigdy nie była żoną jego przyjaciela. Dmucha mi w twarz duszącym powietrzem z klimatyzatora. Za kogo ty się masz, jeszcze będziesz błagała, żebym cię dotknął, życie się zmieniło, moja droga, tylko do ciebie to nie dociera.

Wolałabym zostać zakonnica niż zbliżyć się do ciebie, syczę, a on puszcza mnie i bierze do ręki torbę. Posłuchaj uważnie, co ci powiem. Jeszcze będziesz błagała, żebym cię dotknął. Idzie do drzwi swoim kokieteryjnym krokiem, a ja wołam za nim: Poczekaj, aż Amnon się dowie, co zrobiłeś. Dlaczego sądzisz, że to go zainteresuje? - odpowiada sucho, nie odwracając się. Znika w czeluści klatki schodowej, pozostawiając mnie zgiętą w mdłościach, boli mnie brzuch, jakbym zjadła coś nieświeżego. Kiedy ukradkiem śledzę go przez okno, aby upewnić się, czy faktycznie odchodzi, widzę, jak wsiada do eleganckiego samochodu, w którym ktoś czeka na przednim siedzeniu. Pewnie kolejna stażystka, którą usiłuje uwieść. Wyteżam wzrok. Nie, to mężczyzna, wysoki i zgarbiony, siedzi na przednim siedzeniu. Amnon wita przyjaciela zażenowanym uśmiechem, wyciąga rękę po torbę, którą wyjęłam z szuflady, stawia sobie na kolanach.

Oślepiąca srebrzystym światłem sięgam po telefon. Muszę ich zatrzymać, zanim odjadą, jakby byli szajką złodziei odbierających mi drogocenną własność. Sądziłam, że chcę rozmawiać z Amnonem, ale na dźwięk nosowego głosu Gabiego mówię nieoczekiwanie: Zapomniałeś czegoś. Co to takiego? - dziwi się. Jest jeszcze jedna torba, mówię. Naprawdę? - nie dowierza, zakrywając na moment słuchawkę. Okej, zaraz będę. Widzę, jak samochód wjeżdża od razu ostrożnie z powrotem na wstecznym biegu, parkuje ukośnie na chodniku, pod topolami, wysiada Gabi z ważnym wyrazem twarzy, Amnon odprowadza go wzrokiem, obejmując rękami torbę. Czemu nie spojrzysz na dom, który był twoim domem, na duże okno, które lubiłeś, nie przesuniesz wzrokiem po gałązkach bluszczu, wspinających się po ścianach. Zaledwie dwa tygodnie temu ściałeś sekatorem uparte, przyczepne pnącza, i okno powiększyło się, aż widać z niego całą ulicę, wąską i krętą jak koryto wyschniętego potoku.

Gdzie ta torba? - pyta Gabi. Kropelki potu drżą mu podejrzliwie na górnej wardze. Która? - dziwię się niewinnie. Nie mam siły na twoje gierki, Elu, gdzie torba? Uśmiecham się, opuszczam niewidocznym, nie swoim ruchem wąskie ramię sukienki. Nie ma drugiej torby, Gabi. Wtedy w końcu pojawia się mina dumnego zrozumienia, ale wzrok ma nadal sceptyczny, wargi drżą mu niecierpliwie. Prowokuję go: Co się stało, nagle się przestraszyłeś? Ciebie? - szepcze ochryple. Bynajmniej. Szybkim ruchem, jakby się bał, że ktoś go ubiegnie, przygarnia mnie do siebie, łapie za mokre włosy, wsuwa mi mięsisty język w usta. Opieram się o parapet i patrzę z ukosa na samochód i jego pasażera. Wydaje mi się, że zerka niecierpliwie na zegarek, zaniepokojony obserwuje budynek, może postanowi wejść, przez otwarte na oścież drzwi wejdzie do swego domu, w chwili gdy jego przyjaciel liże mi szyję szorstkim jak u kota językiem, wciska rękę między nogi. Masz na mnie ochotę, kochanie. Nie odpowiadam, nie odrywam wzroku od zgarbionej postaci.

Wyginam się do tyłu. Zaraz wypadnę z okna jak dziewczynka, która została sama w domu i zapomniała, że trzeba uważać. Z łoskotem wyląduję na rozgrzanym dachu samochodu, przerażając pasażerów. Zawsze wiedziałem, że masz na mnie ochotę, mruczy. Słabo kręcę głową. Zastania mnie przerażająca, lepka mgła, ale wciąż niczym zahipnotyzowana wpatruję się w samochód, szum silnika trochę mnie uspokaja, jak oddech Amnona obok mnie w nocy. Staram się dopasować swój oddech do tego rytmu. Noga zwisa mi, dotykając zewnętrznej ściany budynku. Gdybym miała na stopie sandał, na pewno bym ją zarysowała. Jak znak, który zostawia porwany, aby ułatwić poszukiwania.

Puszcza moją twarz, podrapaną przez początki zarostu, gmera przy pasku od spodni, spogląda na mnie, jakby spodziewał się emocjonalnego wyznania, potulnej zgody, i dopiero wtedy zauważa moje spojrzenie. Czego tam szukasz na dole? - pyta szeptem, chwytając mnie silnie za podbródek, obracając moją twarz do siebie, patrzy zdziwiony na swój samochód, jakby nie spodziewał się go tam zobaczyć, i czerwone plamy występują mu na policzki. Pogrywasz sobie ze mną, tak? W jednej chwili zabiera ręce, dyszy ciężko, jego oczy biegają po mojej twarzy. Uważaj, Elu, ze mną nie ma zabawy, drogo za to zapłacisz. Oddala się szybko, ocierając pot z twarzy, nagle zawraca jak opętany, wpycha mi rękę między nogi, jakby zaznaczał swoje terytorium, szepcze przez wyschnięte gardło: Jeszcze tu wrócę, ale sam postanowię kiedy, gdy nikt nie będzie na mnie czekał. Wychodzi odwrócony w moją stronę, z twarzą ściągniętą groźbą, nawet się nie silę na odpowiedź, odwracam wzrok i dalej patrzę na samochód. Widzę, jak Gabi znika w klimatyzowanym wnętrzu, przesiąkniętym oddechem Amnona. Ku memu zdziwieniu nie ruszają od razu, wydaje się, że rozpoczyna się jakaś dyskusja, przy wtórze energicznych ruchów rąk. Uporczywie śledzę rozwój wydarzeń, w nadziei, że zobaczę, jak długa postać Amnona wysiada z obrzydzeniem, ale z rozczarowaniem obserwuję, że Gabi gestem pełnym otuchy klepie go po ramieniu. Czy wybuchają śmiechem, aż trzęsą im się ramiona, kiedy samochód powoli zjeżdża z chodnika i oddala się, pozostawiając mnie odsłoniętą, milczącą w ostrych promieniach słońca?

Byliśmy dziwną, prawie groteskową parą. On wysoki i zgarbiony, tyczkowaty, trochę niezdarny, jego niezgrabne, pozbawione koordynacji członki poruszały się w szalonym rytmie, jak ciało dorastającego chłopaka, który zapomniał, że powinien przestać rosnąć. Ja zatrzymałam się zbyt wcześnie. Jakby w mechanizmie doszło do jakiejś usterki, która uniemożliwiła dokończenie pracy, i w przeciwieństwie do utartych przekonań pozostałam niższa od matki, o wąskich biodrach i płaskiej piersi, tylko połowicznie kobieta, spięta niczym oszust, który boi się zdemaskowania. Niekiedy miałam wrażenie, że uwypuklamy, ośmieszamy nawzajem swoje braki. Przy nim wydawałam się wielokrotnie niższa, on przy mnie wydawał się jeszcze bardziej wyrośnięty, wykrzywialiśmy nawzajem swoje odbicia, zmuszaliśmy się do wysiłku, ja wyciągałam do niego szyję, on musiał pochylać się do mnie. Na początku te różnice były podniecające, jakbyśmy należeli do dwóch innych ras, przedstawiciele obcych plemion, które się zjednoczyły. Ale z biegiem czasu było coraz trudniej. Lubił drażnić mnie opowieściami o swojej poprzedniej dziewczynie, która prawie dorównywała mu wzrostem. Widziałam ją tylko raz, na jej ślubie, kiedy teraz staram się ją sobie przypomnieć, widzę tylko wysoką, zamazaną sylwetkę, zdziwione oczy w umalowanej twarzy panny młodej, kiedy podeszliśmy po ceremonii, jakby nie wierzyła, że przyszedł jako gość, nie pan młody.

Nie tak dawno Amnon powiedział mi, że spotkał ją przypadkiem na ulicy, biedna Ofra,

zawsze ją tak nazywał, biedna Ofra, jej mąż odszedł, zostawił ją z dwójką dzieci. Leżę na parapecie, zbierając siły, z nogą zwieszoną na zewnątrz, przychodzi mi do głowy, że to jest rozwiązanie, odpowiedź na pytanie, które zapłonęło dziś rano, napełniając dom dymem, w ciągu jednego weekendu pogodził się z rozstaniem, jak szybko ze mnie zrezygnował, to jasne, że zrezygnował, Gabi nie ośmieliłby się tknąć mnie czubkiem palca, gdyby nie wiedział, że Amnon już sobie odpuścił. Jak to się stało, bez innej kobiety nie oderwałby się ode mnie tak łatwo, a przecież żadna nowa kobieta nie znalazłaby się przy nim w ciągu jednego weekendu, tylko biedna Ofra, która przyjęła biednego wygnańca Amnona, w mgnieniu oka udało jej się przypomnieć mu swą miłość, bezbrzeżną wierność i oddanie.

Tak więc powstaje nowy porządek, Amnon z biedną Ofrą, ja z biednym Gilim, dwie pozbawione nadziei pary, powstałe po podziale jednej pozbawionej nadziei pary. Kto wie, czy dam radę przywrócić dawny stan, czy faktycznie tego chcę. Wyciągam bosą stopę, na skraju parapetu stoi plastikowa skrzynka, w której niestrudzenie kwitną pelargonie. Kopię ją, popycham raz po raz, aż spada, ciężka i zdezorientowana, na chodnik, rzygając ziemią dokładnie w miejscu, w którym stał samochód, w którym obaj wybuchnęli śmiechem, obejmując się za ramiona.

Rozpościeram się na szerokim parapecie jak puchowa kołdra, którą wyłożono do wietrzenia przed zimą. Mam wrażenie, że zwieje mnie najłżejszy podmuch, ale żaden powiew nie nadchodzi, w dole toczy się zwykle codzienne życie, krótkie, urywane mgnienia egzystencji innych ludzi, która zawsze wydaje się prostsza, niż jest naprawdę, powtarzający się pochód, dziecko w wózku, powoli krocząca para, kobiety wracające z zakupów z torbami, hałaśliwa grupka licealistów. Do leżącej na boku skrzynki podchodzi ostrożnie szary kot, obwąchuje dokładnie wysypaną ziemię i kiedy przekonuje się, że odpowiada jego wymaganiom, kopie nieduży dołek, wygina się i wydała kulki odchodów, które szybko zostają przykryte. Odwracam wzrok w stronę pokoju, znowu widzę lekkie fotele, odwrócone do kanapy, zabawki rozrzucone na bawełnianym pomarańczowym dywanie, który kiedyś przywieźliśmy z Synaju, na ścianie naprzeciwko wisi wizerunek Fryzjki o bladej twarzy i czerwonych wargach, ciemne włosy ma zebrane w wymyślną fryzurę, ta kobieta o aroganckim spojrzeniu i upartym podbródku, odległa arystokratka, nie mam z nią nic wspólnego. Przez chwilę wyobrażam sobie, że jeśli będę leżała tak wystarczająco długo w prywatnym strajku protestacyjnym, wszystko wróci do poprzedniego stanu, w południe otworzą się drzwi i przejdzie przez nie Amnon, zdejmie Gilego z ramion, jakby zrzucił plecak, a ja obejmę ramionami rozgadane dziecko i chciwie będę słuchać jego opowieści, znów gotowa ulegać wszystkim jego kaprysom, spełniać wszystkie jego życzenia.

Przez całe popołudnie będziemy się bawić, będę wymyślać mu coraz to nowe rozrywki, razem z nim opychać się słodyczami, a Amnon będzie na nas zerkał z boku z rozgoryczonym rozleniwieniem, sama jesteś małą dziewczynką, zauważy, jeszcze nie dorosłaś, podziękuj, że zrobiłem ci zabawkę, będzie się ze mną drażnił jak zwykle, natychmiast go uciszę, aby Gili nie wciągnął pyłu zazdrości w swe delikatne nozdrza, odetchnę z ulgą, dopiero gdy wyjdzie do swoich zajęć, dzień będzie się toczył znanym torem, którego nawet teraz nie potrafię upiększyć, nawet jeśli zdołamy powstrzymać się od sprzeczek do wieczora, gdy dziecko w końcu zaśnie po niekończących się przyrzeczeniach i rytualnym przeganianiu strachów, czym prędzej sama położę się spać. Amnon będzie protestował, co się z tobą dzieje, posiedź ze mną trochę, nie czekając na odpowiedź, atakował, dla Gilego masz siły, na swoją beużyteczną

pracę naukową masz siły, masz siły dla całego świata, tylko dla mnie jesteś wiecznie zmęczona.

Najwyraźniej musisz być bardziej męczący od innych, odpowiadam natychmiast, czego ode mnie wymagasz? Ale on nie daje za wygraną, idzie za mną ciężkim krokiem do sypialni. Zapomniałaś, co to takiego intymność, informuje, kiedy się rozbieram. Nie dziw się, jeśli będę szukał jej na zewnątrz, zamieniłaś ten dom w przedszkole, jesteśmy rodziną, a nie przedszkolem, rodzina opiera się na mężu i żonie, pamiętasz w ogóle, co to takiego? Kobieta i mężczyzna, którzy się kochają, którzy wyjeżdżają sami na kilka dni, którzy się sobą nawzajem interesują, to coś więcej niż podział ról według funkcji. Kiedy ostatnio okazałaś prawdziwe zainteresowanie moim życiem?

Przestań mnie pouczać, przerywam lodowato, nie oczekujesz chyba, że przez całe życie będę słuchała twoich wykładów, jak moja matka ojca, może się zdziwisz, ale tu chodzi o wzajemność, kiedy zaczniesz się interesować mną, ja zainteresuję się tobą, mnie także wolno się nie starać, latami się starałam i nic mi z tego nie przyszło. Kiedy rozbiera się przy mnie, przyglądam się z niedowierzaniem, jakim cudem to ciało utraciło dawną moc przyciągania, zamieniło się w kłębek pretensji i żądań, promieniujących z każdego członka. Przykrywam się po szyję, żeby nie przyszło mu do głowy mnie dotknąć. Obok mnie leży pytanie, rosnące szybko, niczym dobrze odżywione zwierzę. Czy tak będzie wyglądało moje życie, czy naprawdę tego chciałam, przeżywać romans z małym dzieckiem u boku egoistycznego, zgorzkniałego mężczyzny, codziennie obserwując ruinę naszej radości, on psuje ją jednym nieuważnym kopnięciem, nieomal niechcący.

Rano narzeka, wita niechętnie nowy dzień, włącza radio i na cały głos słucha wiadomości, nieprzyjemnych, przerażających wiadomości, chociaż proszę raz po raz, oszczędź tego Gilemu, to nie dla dzieci, potem dziwisz się, że ma koszmary. Czasami ponagla go ostrym tonem, chodź wreszcie, jak długo będziesz się grzebał, wyjdę bez ciebie, innym razem sam zwleka, przetrzymuje go przedłużającą się rozmową telefoniczną, a Gili czeka już przy drzwiach, usta drżą mu nerwowo z powodu rosnącego spóźnienia. Kiedy tak obchodzę dzień naszego minionego życia jak kulę ziemską, która obraca się wokół własnej osi, cykl, którego początek tonie w wątpliwościach, koniec w głębokiej rezerwie, staram się tchnąć nową moc w nieodwracalną decyzję. Daj sobie czas, przekonuję samą siebie, nie załamuj się tak szybko, masz prawo spodziewać się czegoś więcej, masz prawo starać się zmienić swoje życie, brama jest otwarta, przeszkoda zniknęła, czemu nie przechodzisz.

Daj sobie czas, mamrocę na głos przed monitorem komputera, migającym w sypialni, czytając po raz kolejny raporty z wykopalisk, w których nie brałam udziału, ostatnie raporty spisane przez greckiego archeologa, zanim umarł w jednym z pomieszczeń, które odsłonił na Terze, na pękniętej wyspie, niechcący dołączając swoją tragedię do tragedii Minojczyków, słabe, śmiertelne echo kataklizmu, który odmienił oblicze starożytnego świata.

Daj sobie czas, powtarzam w drodze do szkoły, dokąd docieram bez tchu, odrobinę spóźniona. Ku mej radości brama jest otwarta, strażnik najwyraźniej skończył dyżur, kilkoro dzieci ćwierka jeszcze na podwórzu jak zagubione pisklęta, lecz Gilego nie ma wśród nich. Gdzie mój syn? – pytam nauczycielki. Czy nie na zewnątrz? - odwarkuje. - Kroi cienkim nożykiem kwaśne, zielone jabłka. Biorę plasterek jabłka i wychodzę na dwór, z daleka dostrzegam, jak siedzi na stosie kamieni w kącie podwórza. W ręku trzyma wielki patyk, którym dłubie w suchej ziemi. Biegnę do niego. Cześć, kochanie, wreszcie cię znalazłam, chodźmy do domu. Ale kiedy unosi głowę, widzę, że to inny chłopiec, o poważnej, pociągłej

twarzy, cienkiej szyi, trochę spierzchniętych wargach. Jotam, gdzie jest Gili? Nie wiem, odpowiada z niezadowoleniem. Nie jestem już jego przyjacielem. Wyobrażam sobie, że na czole wciąż nosi ślady ciemnych pocałunków sobotniego ranka, gwiazdnych pocałunków ojca. Stoję na dziedzińcu, nawołując: Gili! Gdzie jesteś? - Nie odpowiada. Znowu zapadam się w mrok. Gili, gdzie jesteś, może wyszedł zaczekać na ulicy i ktoś go przekupił, żeby z nim poszedł, może się zawieruszył, zniknął w chaosie panującym po lekcjach.

Śledzi mnie kilka par zaniepokojonych oczu matek, starających się wymyślić jakieś rozwiązanie. Rozpoznaję Michał, ale nie przystaję. Z bijącym sercem wracam do nauczycielki. Gdzie jest mój syn? W końcu porzuca jabłka, wychodzi na dwór z nożem w rękę, Gil'ad, woła, wymachując nożem w powietrzu, w jej ruchach znać lęk i poczucie winy. Może jest w ubikacji, podsuwa. Może poszedł już z jakimś kolegą, a ja odparowuję, on nie ma tu jeszcze żadnych kolegów, jakby i to było jej winą, w ubikacji już sprawdzałam.

Matki pomału rozchodzą się, trzymając mocno dzieci, niczym poświęcone amulety, tylko Michał z wahaniem stoi przy drzwiach, obok niej Jotam, demonstracyjnie nie-zainteresowany tym, co się dzieje, obojętny na los chłopca, który go zawiódł. Nie martw się, Elu, mówi ona. Szkoła jest ogrodzona, czuwa strażnik, twój syn nie mógł wyjść niezauważony, i natychmiast przeprosza: Muszę odebrać Maję z zajęć, zadzwonię do ciebie później. Na podwórku zostajemy tylko ja i nauczycielka, bez żadnego dziecka do opieki, nie ma komu zaproponować jabłek, wytrzeć nosa, uważać, aby nie spadł z huśtawki. W ustach czuję suchość, pocą mi się ręce, nasłuchuję każdego szmeru. Mam wrażenie, że na opustoszałym podwórzu rozbrzmiewa echo słów ojca, donośnych i karcących, jak głos Boga w rajskim ogrodzie. On nie przeżyje, on zginie.

Gdzie podziewa się ten strażnik, mruczy nauczycielka. Wargi drżą jej w twarzy pulchnej jak poduszka. Biegniemy do otwartej na oścież bramy, patrzymy na zarośla w parku kruków, ciemne nawet w promieniach południowego słońca, widzę, że jej koszmarnie wizje zaczynają prześcigać moje. Josef, chodź prędko! - woła, a ja mówię: Nie ma pani po co wołać, on już poszedł, musimy zadzwonić na policję, ale oto zjawia się, podchodzi do nas ociężałe, spocony. Zaginęło dziecko! - rzuca jękliwie nauczycielka, a on patrzy na mnie podejrzliwie. Pani dziecko? Kiwam głową. Szczupły, z brązowymi, kręconymi włosami. Miał czerwoną koszulkę z numerem na plecach. Znam pani synka, mówi. Poszedł już dawno temu, z tatą.

Z tatą? - chwytam oddech. Skąd pan wie, że to jego ojciec? Znam tu wszystkich, odpowiada. Jego ojciec to taki wysoki mężczyzna. Wziął go na barana. Opanowuję okrzyk szczęścia. Tak, to Amnon, zawsze bierze go na barana, opowiadam nauczycielce z ożywieniem, starając się przesadną serdecznością zrekompensować aferę, jaką wszczęłam. Dziękuję, Josefie, dziękuję, że pan zauważył, ściskam z wdzięcznością rękę strażnika. Wracać do domu, zajmować się dzieckiem, odpowiada, grożąc mi palcem. Odchodzę szybko. Pomylił mnie z kimś innym, próbuję wyjaśnić nauczycielce. Chwyta mnie za ramię: Proszę wybaczyć, najwyraźniej byłam czymś zajęta i nie zwróciłam uwagi. Nie powiedzieli mi, że idą. Proszę przekazać mężowi, że tak się nie robi, z zadziwiającą szybkością zamienia się z atakowanej w atakującą. Nie można tak sobie zabierać dziecka przed czasem, nie powiadamiając nikogo. Jestem gotowa znieść teraz każdy atak, najważniejsze, że Gili jest zdrow i cały, przyrzekam, że to się nie powtórzy, i pośpiesznie odchodzę, uciekam z cichego podwórza szkolnego, gdzie wciąż unosi się zapach dzieci, ich potu i płaczu, ich oddechów, kiedy się śmieją i krzyczą, zapach ciągle chrupanych słodczy, dawnych psot i zapomnianych kłótni, odnawiających się co dzień, wydaje się, że między budynkami krąży także moja dziecinną uraza, na niej Gili hodzi swoją. Ślepiec wiozący na

plecach kulawego.

Wciąż wystraszona padam na trawę w parku kruków, katastrofa, która się nie wydarzyła, nabiera mocy, opanowuje mój umysł, to ostatni alarm, jakby dobra wiadomość wzmocniła złą, sprawiła, że stała się rzeczywista; fakt, że tym razem ocalał, zmniejsza szansę na ocalenie następnym razem, jak krowa chuda, która połknęła krowę tłustą. Głaszczę rzadkie żdzbla trawy, która przez chwilę przypomina mi włosy Amnona, zanim zaczął golić głowę po przyjsciu na świat dziecka, jakby chciał konkurować z nim idealną gładkością czaszki. Kiedy tak siedzę na wyblakłym skrawku trawy, mam wrażenie, że znajomy ogród całkiem zmienił oblicze, płaski teren pochylił się niby po trzęsieniu ziemi. Jeśli nie będę się mocno trzymać krótkich żdzbeł, stoczę się w dół, aż do zabytkowej fontanny we wschodnim krańcu, odprowadzana groźnym krakaniem kruków. Oto nowe życie, które tak niecierpliwie planowałam, stromy, napięty jak lina teren, z którego unoszą się opary siarki, barwiące na żółto spaloną ziemię. Od tej pory czyha na mnie urwisko. Gdybym mogła skłonić do mówienia kruki o zagiętych dziobach! Widziałyście może wysokie stworzenie o dwóch głowach, jednej nad drugą, zwierzę o dwóch czaszkach, idące posuwistym krokiem. Nie wiecie, dokąd poszło? Polećcie przede mną, wskażcie mi drogę, pójde cicho waszym śladem, stanę się wąskim południowym cieniem, podkulonym ogonem dwugłowej bestii. Kiedy się prostuję, widzę, że kruki już się mnie nie boją, witają się drwiącym krakaniem, karzącym, niesamowitym kra-kra, które wypełnia mi usta. Nigdzie tych dwóch nie znajduję, nie słyszę, wpadam w wąskie zaułki, zaglądam do ogródków, stukam w pokrywy kubłów na śmieci, jakbym szukała zagubionego kota. I tak w to duszne popołudnie, gdy ciężkie kamienne mury oddają ciepło odpychające niczym szkodliwe promieniowanie, docieram pod dom Diny.

Czy znowu pojawię się u niej nieproszona, wedrę się w codzienność jej samotnego, uporządkowanego życia, pozbawionego wielkich radości i wielkich smutków, jakbym wrzuciła kamień do stojącej wody? Pamiętam, jak zakwitła nagle na dachu sąsiedniego domu, jej miedziane włosy odbijały światło, wargami pociągniętymi ciemnobrązową szminką z przyjemnością wydmuchiwała dym z papierosa. Wyginała ręce w tajemniczych gimnastycznych ruchach, jakby namydlała ciało, nie dotykając go. potem gasiła papierosa w doniczce i wchodziła do małej dobudówki na dachu. Nielegalnie wzniesiony, chwiejny pokoik. Zaraz potem pojawiała się jakaś postać, pukała lęklonie do drzwi i znikwała w środku. Po około godzinie wychodziła i wchodził ktoś inny, w większości byli to młodzi ludzie, niewiele starsi od nastolatki, którą wtedy byłam. Obserwowałam wchodzących i wychodzących, lecz szczególnie wyczekiwałam, aż ona się pojawi, znowu wyjdzie gimnastykować swoje pełne ciało w słońcu. Ilu ta kobieta ma znajomych, dziwiłam się, tylu gości do niej przychodzi, jeden za drugim. Kiedyś nawet wspomniałam o tym matce, kiedy razem wieszałyśmy pranie na dachu. Zaśmiała się i powiedziała, to nie znajomi, to pacjenci, ona jest psychologiem. Nowa wiadomość pobudziła moje zaciekawienie jeszcze bardziej. Wdychałam opary unoszące się znad mokrych rzeczy, wyobrażając sobie, że tak wyglądają jej pacjenci. Przychodzą w poplamionych ubraniach, wychodzą czyści i pachnący, a wszystko to dzieje się tak niedaleko. Mówi się tam o niezwykle skomplikowanych problemach, które przypominają kołtun w moich włosach, pęczniejący na głowie jak narośl. Wyobrażałam sobie, jak siedzi za mną, trzymając w ręku grzebień o drobnych, ostrych zębach, i powoli, delikatnie rozczesuje kłęb, dzień po dniu, aż wszystko rozplacze. I dalej, że jednym susem pokonam odległość między dachami, zapukam do drzwi i powiem: Kiedy byłam małą dziewczynką, nie miałam matki ani ojca.

To ona zwróciła się do mnie pierwsza, kiedy pewnego razu usiłowała zapalić papierosa, lecz

wszystkie zapalki zgasły na silnym wietrze, jedna po drugiej, z zainteresowaniem przyglądałam się jej zmaganiom, oparta o balustradę, aż usłyszałam pytanie: Masz ogień? Pośpiesznie, żeby zdążyć, zanim znajdzie inne rozwiązanie, weszłam do domu, przyniosłam zapalniczkę i rzuciłam jej z całej siły. Trafiłam ją w ramię, a ona pomachała mi w podziękowaniu i bez kłopotu udało jej się zapalić papierosa. Odebrałam to jako znak, że nasze spotkanie było pomyślne. Ile masz lat? - zapytała, a ja odparłam: Szesnaście. Cieszyłam się, że nie powiedziała jak wszyscy: „Wydawało mi się, że jeszcze nie masz dwunastu”, lecz zapytała: Chcesz się ze mną pogimnastykować? Z papierosem w ustach zaczęła wykonywać ćwiczenia, a ja naśladowałam jej ruchy wśród sznurów ze schnącym praniem, pochylając się i obrysowując swoje ciało bez dotyku. Jej ciężkie miedziane włosy prawie się nie poruszały. Potem wyczekiwałam specjalnie na jej krótkie przerwy, dowiedziałam się, kiedy wychodzi ostatni pacjent. Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i pokonałam biegiem nasze dziesięć stopni, gdy już miała zamknąć drzwi na klucz, zgasić słabą lampę nad wejściem i wrócić do swego prawdziwego domu.

Stało się coś? - zapytała, a ja zerknęłam za nią, na nasz dach, zdumiona zmianą perspektywy, jakbym znalazła się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Zobaczyłam, że matka wychodzi z miednicą pełną prania, zawsze starała się najpierw rozwieszać jego rzeczy, skarpetki, majtki, piżamę, bawełniane koszule, strzepując je dokładnie. Potem dopiero przechodziła do naszych, mieszając skarpetki, wkładając mi potem do szafy niedopasowane pary. Skrępowana, wskazałam na nią, jakby tam skrywała się moja historia. Tęga kobieta, wieszająca pranie na dachu, w zapadającym zmierzchu.

Wiele razy odwiedzałam Dinę bez zapowiedzi, ale teraz się waham, ostatnio bardzo oddaliłyśmy się od siebie, czy to ciężka obecność Amnona trzymała ją z dala ode mnie, czy lekkie ciało Gilego. Może to ja nie staram się wystarczająco włączyć jej do mojego dorosłego życia, poprzestawałam na krótkich wizytach, urywanych rozmowach telefonicznych. Wolałam zostawić ją tam, z moimi rodzicami, tych troje zawieszonych między dwoma dachami jak pranie zapomniane na sznurze po Wyjeździe domowników. Z ciężkim sercem przyglądałam się mieszkańcom maleńkiego balkonu, bujnej, zadbanej, nieokiełznanej roślinności, ceramiczne kafle pokrywa świeży dywan podobnych do gwiazdeczek płatków jaśminu, roztaczających bolesny zapach. Przypominam sobie stare, wierne pelargonie, które zrzuciłam z parapetu. Jak wytłumaczę Gilemu ich brak, czy w ogóle ma sens dzwonić do drzwi, to jasne, że nie ma jej w domu w środku dnia. Nawet jeśli będzie, jak może mi teraz pomóc, a tak łatwo było kiedyś stać obok niej na dachu, gdy moje życie dopiero rozkwitało.

Cieniutkie wąsy kapryfolium zasłaniają dzwonek, próbuję wymacać go ręką, zdziwiona przeciągłym dźwiękiem, który niechcący spowodowałam, przecież nie ma jej w domu. Ale jej twarz wita mnie w progu. Elinka, co za niespodzianka, czy coś się stało? Grube siwe pasma przetykają miedziany hełm, którego blask zmętniał. Wyciąga do mnie nagie ramiona, pełniejsze niż kiedyś, w oczach wciąż tańczy mądry, ciepły ogień, który powitał mnie tamtego wieczoru, rzucam się jej na szyję, szlocham w jej ramionach, zalewając ją mokrymi słowami, jestem taka zdezorientowana, Dino, nie wiem, co się ze mną dzieje, byłam pewna, że już go nie chcę, ale gdy to się stało realne, przestraszyłam się. W ostatnich miesiącach chciałam tylko pozbyć się go, teraz, kiedy nagle się ode mnie odseparował, wpadłam w panikę, czuję, że to on mnie porzucił, nie ja jego, chciałabym wszystko odwrócić, jak rozkapryszona dziewczynka, którą potraktowano na serio.

To wcale nie jest kaprys, Elinko, mówi, ujmując mnie za ramię, prowadząc spokojnie do

kanapy. To, co opisujesz, jest całkowicie naturalne i spodziewane. Rozstanie budzi w nas pierwotny lęk, nieważne, czy uzasadniony. Musisz się uspokoić, strach to najgorszy doradca, spróbuj nie przerażać się samym lękiem, zrozum, że to normalne, nie świadczy o tym, co było, ani o tym, co będzie. To po prostu długo trwa, daj temu trochę czasu, bądź cierpliwa, mów, wolno i z namysłem, jakby chciała zilustrować swoje słowa.

Nie boję się strachu, poprawiam ją, boję się ewentualności, że nie miałam racji, wszyscy dookoła mnie oceniają, w końcu straciłam pewność. Usiłuję przypomnieć sobie powody, dla których tak bardzo chciałam się rozstać, i nagle wydają mi się bardzo mizerne, w ogóle nieprzekonujące, dokładnie tak, jak wszyscy mówili. To co, że on trochę narzeka, to jest powód do rozbicia rodziny?

Posłuchaj, mówi spokojnie, siadając naprzeciwko. To jasne, że coś bardzo silnego popchnęło cię do tego kroku, dlatego to nie może być błąd. To był twój wybór, nawet jeśli trudno ci przy nim wytrwać, często prawdziwe powody rozstania wyjaśniają się dopiero po pewnym czasie, kiedy pozwolimy sobie na ich poznanie, podobnie jak prawdziwe przyczyny bycia w związku.

Ale ja nie mogę żyć z tymi wątpliwościami, upieram się. Co zrobię, jeśli po fakcie się okaże, że jednak nie miałam racji? Powiedz, co o tym myślisz, przecież zajmujesz się takimi sprawami, ty też uważałaś, że do siebie nie pasujemy, że powinniśmy się rozstać? Szczerze mówiąc, czułam, że próbujesz mi to powiedzieć, ale nie bardzo chciałam słuchać, staram się włożyć słowa w jej usta, które bez miedzianej szminki wydają się nagie, blade niczym ukryta część ciała, nagle odsłonięta. Jakby to wyczuła, podchodzi szybko do małego lusterka w przedpokoju, maluje grubo wargi, umiejętnymi ruchami, które zawsze usiłowałam naśladować przed lustrem u nas w domu, a matka śledziła mnie wzrokiem z wieczną naganą. Można by pomyśleć, że nie masz matki, tak się przyczepiłaś do tej dziewczyny.

Nie to starałam się powiedzieć ci w ostatnich latach, mówi ostrożnie, próbowałam porozmawiać z tobą o twoim nadmiernym przywiązaniu do dziecka i jego następstwach. Istotnie, nie chciałaś mnie słuchać. Myślę, że stało się z tobą to, co z wieloma matkami. Pograżacie się w całkowitym zespoleniu z niemowlęciem, ta idealna więź pogarsza więź z mężem, a w dużej mierze sprawia, że staje się ona zbędna. Im bardziej mężczyzna czuje się zbędny, tym bardziej jest zazdrosny i kłótniwy. Próbuję pracować nad tym ze swoimi pacjentkami, bo to potrójna tragedia, męża, który stracił pozycję, dziecka, które nie ma więzi z ojcem, a przede wszystkim wasza. Dajecie wszystko komuś, kto z całkowitą pewnością kiedyś was opuści, opieracie się na kimś, kogo odejście jest oczywiste.

Nie oddalałam Amnona ani od siebie, ani od Gile-go, całkowicie się mylisz, unoszę się, słysząc ten fałszywy opis, czy naprawdę tak wyglądało moje życie, tak bardzo chciałam, żebyśmy byli we trójkę, żebyśmy robili różne rzeczy razem, chciałam, żeby był przy nas przez cały czas, to on zawsze tego unikał, nie masz pojęcia, jak mnie to bolało.

Jaką rolę przeznaczyłaś mu w tej trójce? - pyta. Sama widzisz, że to rola drugoplanowa, chciałaś go mieć w tle, jako dodatek do głównego szczęścia, podczas gdy on na tym stracił, w gruncie rzeczy został sam. Nie staram się go bronić, potwierdzam tylko, że faktycznie widziałam, jaką trudność sprawia wam stanie się z pary rodziną. Oczywiście, rozumiem też, że jesteś zraniona, wiem, że czułaś się niekochana, bo u niego zaborczość wzięła górę nad miłością. To typowe dla wielu mężczyzn w takiej sytuacji. Posesywne zachowanie, które sprowadza cię do roli obiektu. Oboje fatalnie odbijaliście się nawzajem w swoich lustrach.

To mówisz, że miałam rację, tak? - przynagliam ją. Miałam wystarczające powody, żeby go

zostawić. To nie był tylko kaprys, prawda? Wydaje mi się, że jeśli otrzymam potwierdzenie, zdołam się uspokoić, wrócę na szlak, który planowałam wiele długich nocy, szlak wolnego, swobodnego życia, bez kłótni, bez wrogości. Posłuchaj, wzdycha. Nawet za najdzikszyimi kapryсами skrywają się głębsze motywy. To jasne, że nie byłeś z nim ostatnio szczęśliwa, ale jasne też, że czeka cię jeszcze wiele wahań nastroju. Rozstanie to źródło niezwykle silnego stresu, musisz być cierpliwa, przecież w twoim zawodzie wymaga się wiele cierpliwości, prawda? Postaraj się oderwać od jego zachowania, nie ma sensu przenosić małżeńskich walk o władzę do życia po rozstaniu. Spijam poządlawie te słowa, jakbym była jedną z jej roślin, rozglądam się po małym mieszkanku, w którym nie byłam od wielu miesięcy, jest zapchane w całości bibelotami, kolekcją przepięknych, bezużytecznych miniatuerek, doniczkami kwitnących kwiatów i haftowanymi obrusami. Czy to także mnie czeka po tych wszystkich wstrząsach, samotna starość, coraz rzadsze wizyty Gilego, coraz więcej porcelanowych zwierzątek na półkach? Muszę wracać do kliniki, mówi. Porozmawiamy wieczorem, tymczasem spróbuj się uspokoić. Kiedy wszystko się ustabilizuje, ujrzysz pełen obraz, bądź cierpliwa, daj temu trochę czasu. Jej słowa wtórują mym krokom jak rytmiczny marsz, daj temu czas.

Pod drzwiami wpadam po ciemku na jakiś twardy przedmiot i dziwię się, co to może być, nie zamawiałam niczego. Wchodzę do mieszkania, przeskakując niezręcznie nad przeszkodą, zapalam światło i rozpoznaję plastikową skrzynkę, która jakimś cudem przetrwała upadek, w środku z powrotem znajduje się ziemia i kwiaty. Kilka z nich marnie wygląda, mają połamane łodyżki. Wciągam ją do mieszkania wruszona, jakbym dostała cenny podarunek, nie przypuszczając nawet, jak bardzo mi na nim zależy. Komu chciało się uleczyć rozbite skorupy, usiłuję rozwiązać zagadkę, kto próbuje mi coś przekazać, co chce przez to powiedzieć, gdy słabnie wola, chwytamy się każdego znaku. Niczym natychmiastowa odpowiedź na to pytanie na schodach rozlegają się szybkie kroki jak galop żrebaka, radosny tupot Gilego, za nim z pewnością idzie Amnon, to on, w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, że nie wyrzuca się czegoś, co można jeszcze uratować. Chcę odpowiedzieć ostrożnym gestem, zapraszając go, aby został na kolację. Przytulam dziecko, spoglądając w pustą przestrzeń za jego plecami.

Gdzie tata? - pytam, a on odpowiada beznamiętnie, jakby recytował wyuczony tekst: Tata poszedł, czekał na dole, aż wejde, śpieszył się. Patrząc na sponiewierane kwiaty, jego izolacja jest o wiele mniej bolesna, gdy towarzyszy jej tak symboliczny gest. Nie wyrzucaj przeszłości, chciał mi powiedzieć, przecież w niej są nasze korzenie, z niej wyrastamy. Całuję kędziory syna, obejmującego mnie w pasie. Dziękuję, Gili, dziękuję, że przynieśliście skrzynkę.

Pomagałeś tacie posadzić kwiaty? Jakie kwiaty? Nie sadziliśmy żadnych kwiatów. Nieomal próbuję go przekonać: Jak to, Gili, nie znaleźliście skrzynki, która spadła z okna? Nie przynieśliście jej do domu? Nie, coś ty, odpowiada. Moje widoczne rozczarowanie gasi jego dobry humor.

Więc kto to zrobił? - zastanawiam się, a on patrzy na skrzynkę, stojącą, inaczej niż zwykle, na podłodze w pokoju. Nie wiem. Od razu zaczyna marudzić, zły, że moja radość nie jest pełna: Jestem głodny, zrób mi coś do jedzenia. Co byś zjadł? - wzdycham. A co jest? - pyta. Chcę dużo jedzenia. Wiem, że pragnie widzieć, jak się dla niego staram. Po raz pierwszy nie mam ochoty brać udziału w rytuale udawania, wyliczać z powagą wszystkich możliwości, przeważnie bez potrzeby, omlet czy jajecznica, tost z żółtym serem, sałatka, kaszka. Wiesz równie dobrze jak ja, co jest do jedzenia, mówię niecierpliwie. Powiedz, na co masz ochotę. Posyła mi wilgotne,

przebiegłe spojrzenie: Jak mnie rozgniewasz, przeprowadzę się do taty. Za tydzień będzie miał nowe mieszkanie i ja dostanę tam pokój. Spoglądam na niego, zdumiona, zaskoczona, jak prędko, w jeden dzień, zyskał biegłość w manewrach dziecka rozwodników. Rzeczywistość wyprzedza mnie o tysiąc kroków, mknie ze świstem niczym samochód wyścigowy.

Gili, nie szantażuj mnie, ostrzegam słabo. Nie ty decydujesz, z kim będziesz mieszkał. Tata powiedział, że za tydzień będę miał piękny dom, z lodówką, która nie hałasuje, deklamuje znowu. Będę miał ogromny pokój z nowymi zabawkami. Rozpościera ręce, aby pokazać, jak wielki będzie to pokój. Stoję bezradna. Czy powinnam cieszyć się razem z nim ze wspaniałej nowiny, pogratulować nowego domu? Latami wierzyłam, że to Amnon jest przyczyną naszych kłopotów. Teraz okazuje się, że jego brak wbija między nas klin, przeszkadza gładko realizować kolejne punkty wieczoru: kolacja i kąpiel, bajka i pocałunek na dobranoc. Mam wrażenie, że przez wyraźną, absolutną nieobecność zaznacza swoje istnienie, pojawia się jednocześnie we wszystkich pomieszczeniach, jego donośny głos, jego gwałtowne protesty, daj temu czas, daj temu czas, mruczę, opierając się wzburzona o parapet, obserwując ruch uliczny. Wydaje mi się, że wszystkie samochody są czarne i lśniące jak ten, który parkował tu rano, we wszystkich na przednich siedzeniach siedzą Gabi i Amnon, którzy obejmują się ze śmiechem. Czy kiedyś będę mogła stanąć przy tym oknie, nie czując szoku na myśl o tym, co się tu wydarzyło, drapiący oddech na szyi, miarowy warkot silnika, milczący pasażer. W głębi cofającej się pamięci odkrywam też krawędź wzruszenia o cienkim, lśniącym ostrzu - jak nóż w ręku nauczycielki.

Czym jest czas? Bezkształtną masą, jak powietrze. Kurczy się i rozdyma, skraca i wydłuża, biegnie naprzód i ociąga się, pozornie daje się podzielić na sekundy i minuty, godziny i dni, ale całość bardzo się różni od sumy wszystkich części. Czym jest czas? To słup obłoków, nieskuteczne lekarstwo, potoki powstrzymywanego płaczu, grad kamieni, niekończąca się tortura. Czas to chytry cwaniak, oszust mydlący oczy, bezczelny rozbójnik. Co mam opowiedzieć o tym czasie, który z dnia na dzień odbierał mi coraz więcej, oczywistą codzienność, proste, powtarzające się niczym w modlitwie dni, przyjemność głębokiego snu w nocy, czarnego niczym żyzna ziemia, łaskę wątpliwości. Nawet mego syna stara się przekupić, wyciąga do niego swoje mocne ręce, pełne kolorowych trujących cukierków, chce go ode mnie odseparować.

Czy to miał na myśli ojciec, czy ostrzegał mnie przed odejściem dawnego Gilego, czy je oplakiwał? Rzeczywiście żyje wśród nas nowy Gili, całkiem niepodobny do mego ukochanego dziecka. Mam wrażenie, że ze wszystkich ciosów, które przyjmuję od rana do wieczora, ten jest najboleśniejszy. To owoc miłości, kiedy jej zabrakło, wysechł także owoc, zrzucił aksamitną, aromatyczną skórkę i na moich oczach z miękkiej łupiny wyłonił się inny chłopiec, kłujący, kolczasty, uparty, gotowy do kłótni i sporów, nieustępliwy zapaśnik o drobnych piąstkach, byстрыm oku i szybkim języku. Po kilku dniach ucichły pytania, prośby i błagania, w naszym domu najwyraźniej zapanowało pełne goryczy pogodzenie się z faktem, suchym i ostatecznym. Przyjął go z uległością, prawie obojętnie, tata już tu nie mieszka. Najbardziej obawiałam się jego uporczywego błagania, teraz ze zdumieniem obserwuję tę szybką adaptację. Nie przekonuje go, aby wszedł na górę, ani mnie, żebym zeszła na dół, nie stara się nas zbliżyć do siebie niepotrzebnymi kaprykami, nie stara się przekonać ani mnie, ani Amnona, dojrzałe i mądrze pogodził się z wyrokiem, jakby od urodzenia przygotowywał się do czegoś takiego. Cicho i posłusznie żegna się z ojcem pod domem, spokojnie, melancholijnie wchodzi po schodach z tornistrem na plecach, jakby wracał po długim dniu w szkole. Spokojnym głosem opowiada kolegom, tata mieszka gdzie indziej, moi rodzice się rozstali, jakby tak rzeczy wyglądały od samego początku, jakbyśmy nigdy nie byli rodziną.

Czy naprawdę byliśmy rodziną? Im bardziej to słowo ucieka z mojego życia, tym mocniej mnie dręczy, wyciąga po mnie długie szczypce, obecne przez brak obecności. Litery oplatają moje serce, chcą je zadusić jak bluszcz duszący pień drzewa, lepki i trujący, nie ma przed nimi ucieczki, nie tylko przed nimi, przed wszystkimi ich córkami i siostrami. Wydaje mi się, że to słowa stary się moim zaprzysięgłym wrogiem, nie chwile samotności, zwątpienia, wspomnienia. Najprostsze słowa stały się śmiertelnie niebezpieczne. Mama. Tata. Rodzina. Dom. Bracia i siostry. Wakacje i wycieczka. Podobnie jak bajki przed zaśnięciem, bo w każdej za jakąś diabelską sprawą występują rodzice na tle wspólnego życia rodzinnego. Mama w kuchni, tata w salonie, mama pije kawę, tata czyta gazetę, w nocy śpią razem w jednym łóżku,

w tle pojawia się brat lub siostra, pies lub kot. Nigdy nie jest to głównym tematem, ale dla mnie nie ma nic bardziej przygnębiającego, czytam banalne zdania łamiącym się ze strachu głosem, że mogą zbudzić go z uspienia, przypomniał mu, co utracił.

Nawet najprostsze prace plastyczne stanowią pułapkę. Wraca z dumą ze szkoły, trzymając w ręku wykonaną własnoręcznie barwną tabliczkę. Pokój taty i mamy, głoszą drukowane litery, chwiejne jak jego zęby. Jaki śliczny szyld. Powieś go, mam, mówi. Dlaczego go nie powieszisz? „Gdzie, kochanie? - mam ochotę zapytać. - Gdzie mam go powiesić? Nie zauważyłeś, że u nas nie ma już takiego pokoju?” Zaciskam wargi i przytwierdzam tabliczkę do drzwi, choć głosi całkowitą nieprawdę. Codziennie, wchodząc do sypialni, natykam się na ten fałsz i walczę z impulsem, aby zerwać tabliczkę albo chociaż poprawić napis farbami z jego piórnika. To był pokój taty i mamy. „Trzeba było zrobić dwa oddzielne napisy, pokój taty i pokój mamy”, ale nie ośmieliłam się tak powiedzieć. On sam nie dostrzega sprzeczności, dumny ze swego dzieła, jakby był to obraz abstrakcyjny, obstaje przy prawie do bycia jak reszta dzieci.

Cóż to, nie ma w klasie dzieci rozwodników, dziwię się i przekonuję, że w przeciwieństwie do danych, które co jakiś czas ukazują się w gazetach, i wrażenia, jakie odnosiłam od dawna, w okolicy nie mieszka ani jedno dziecko, którego rodzice się rozstali. Odprowadzając Gilego do nowych kolegów, którzy mnożą się z zadziwiającą łatwością, od progu usiłuję rozszyfrować sytuację rodzinną, gawędzę z matką, zachwycom się mieszkaniem, co umożliwi mi wędrowkę po pokojach w poszukiwaniu ukrytych skarbów, rozglądam się ostrożnie za śladami mężczyzny. Czasami to para sandałów rzuconych w kącie, marynarka na wieszaku w przedpokoju, czasami zapach wody po goleniu albo nieuchwytna aura pewności i bezpieczeństwa, odczuwalna zwłaszcza, gdy jej nie ma. Czasami same recytują, mąż jest w pracy, mąż jest za granicą, mąż jest w wojsku, niekiedy, pod koniec zapoznawczych eksperymentów, ku memu oburzeniu pojawia się sam mąż i szybko odchodzę, nie mam ani jednego sprzymierzeńca wśród matek. W każdym domu na drzwiach sypialni widnieje barwna tabliczka, pokój mamy i taty, tylko u nas litery wzdragają się ze wstydu przed kłamstwem. Wędruję za swoim synkiem po rozmaitych domach, obserwuję z bliska pary, które widziałam po raz pierwszy na powitaniu szabatu, zastanawiam się, jakie mają szanse na przetrwanie. Rozwiedźcie się wreszcie, mruczę, po co tak trzymać się siebie nawzajem, rozwiedźcie się trochę, co wam to szkodzi, żeby Gili miał towarzystwo w nieszczęściu, żeby nie był aż tak wyjątkowy. Myśl, że wszystkie te dzieci, wysokie i niskie, jasne i ciemne, spokojne i hałaśliwe, zaniedbane i zadbane, mają coś, czego nie ma moje dziecko, rodzinę, jest nie do wytrzymania.

Czym jest rodzina? Trwałą wspólnotą, opartą na zaufaniu albo na obawie, na wspólnych tradycjach z przeszłości, wspólnych potrzebach w teraźniejszości, nadziejach na przyszłość, jednostką dzielącą ten sam adres, lodówkę, pralkę, konto w banku, wakacyjne plany, prawa i obowiązki, wierzenia i przekonania, czy naprawdę to wszystko, czy to wszystko, co mieliśmy, dlaczego właśnie te szczegóły tak mnie porażają, jakby chodziło o nieosiągalny ideał, jakby był to szczyt marzeń na ziemi? Po kilku tygodniach widzę, jak wszystko, czego nienawidziłam, co mnie odpychało, wznosi się we mnie cegła po cegle niby upragniony cel dążeń, wspaniały, królewski pałac, majestatyczny i ogromny, zbudowany z zadziwiająco gładko ociosanych kamieni, o zdobionych kolumnach i ścianach dekorowanych tablicami z kości słoniowej.

Im bardziej Gili godzi się z rozstaniem, tym bardziej ja jestem wytrącona z równowagi, budzę się w nocy zdezorientowana, mam wrażenie, że całe łóżko, z poduszkami, kołdrą i

materacem, odpowiada głośnym echem mocno bijącemu sercu, które w proteście wyciąga żyły na wszystkie strony, jak małe dziecko w histerycznym napadzie złości - pogrzebałam rodzinę. Ja sama, dla siebie samej, pogrzebałam rodzinę. Co prawda, ta rodzina hodowała więcej kłopotów niż dzieci, więcej kłótni niż nocy pełnych pożądania, więcej rozczarowań niż radości, ale czy to wystarczający powód, bo opowiastki przed zaśnięciem ranią mnie, a nie jego, tabliczka na drzwiach zagraża mnie, a nie jemu, puste miejsca na półkach kłują w oczy mnie, a nie jego, z nim wszystko w porządku, tato, nic mu nie jest, on nie zginie, ale co ze mną?

Nie buntuje się przeciwko naszemu rozstaniu, buntuje się jednak ze wszystkich sił przed każdym innym przymusem, z nieznanym uporem, który pojawił się jesienią, sześć lat po jego narodzinach. Nie chce wstawać rano, nie chce się myć, nie chce kłaść się spać. Przy nowych kolegach, którzy często go odwiedzają, jest hałaśliwy i wesoły, lecz zaraz po ich wyjściu zwraca do mnie gniewną twarz, zerkam na niego z wahaniem, bojąc się go rozdrażnić. Przecież w dawnych czasach, w czasach rodziny, czekałam niecierpliwie, aż przyjdą rodzice jego kolegi, zabiorą go, abyśmy zdążyli sami się pobawić i porozmawiać przed snem. W chwili gdy za dzieckiem, które z reguły wyciągano od nas we łzach, kapiące matkę po rękach, zamykały się drzwi, mój synek obejmował mnie za nogi i swoim słodkim, szczęśliwym głosikiem, szczebiotem miodojada, śmiesznie, rozwlekle opowiadał o wszystkich swoich poczynaniach, ciągnął mnie za rękę na dywan, abym się z nim bawiła, albo na kanapę, żeby mi usiąść na kolanach, albo do torby, żeby wyjąć rysunek, który sam narysował, byłam nim oczarowana, jego czystym głosikiem, niewysychającym strumieniem, wypływającym z ukrytego źródła, którego istnienia nie podejrzewałam, nie pragnęłam niczego więcej, tylko tej najdoskonalszej bliskości. Każde jego słowo było ukochane ponad siły, jego głęboki śmiech, jęczyczek różowy jak cukierek, ślina w ustach, pieprzyk na policzku. Teraz, kiedy zwraca się do mnie wykrzywiony ze złości, w milczeniu napełniam wannę wodą, zastanawiając się, co wyniknie z tej historii miłosnej, której końca kiedyś sobie nie wyobrażałam, która w taki czy inny sposób miała trwać całe moje życie.

Rano budzi się zmęczony i zły, trze oczy lepkie od grudek ropy, nieprzyjaźnie rozgląda się wokół, jakby szukał pretekstu do zwady. Ubierz się, Gilili, polecam, kładąc ubranie na łóżku, a on się krzywi, ma zamiar włożyć akurat coś, co nosił wczoraj, wyciąga brudne rzeczy z kosza, nie chce czesać coraz bardziej splątanych włosów, nie chce jeść. Z czym ci zrobić kanapkę? - pytam, a on narzeka: Mam dość tych pytań, to najbardziej denerwujące pytanie na świecie. Co w nim takiego denerwującego? Po prostu powiedz, z czym chcesz. Z żółtym serem, z masłem orzechowym, z kremem czekoladowym? Dlaczego się ze mną kłócisz? - wrzeszczy. Ty tylko chcesz się ze mną kłócić.

Kłócić? - bronię się. Ja po prostu pytam, z czym ci zrobić kanapkę. Wszystko jedno, mruczy. Z czym chcesz. Ale kiedy stoimy już przy drzwiach, grzebie w tornistrze, wyciąga torebkę śniadaniową, rzuca na podłogę. Nie chcę z serem! - wyje. Chcę z czekoladą. Szybko robię następną kanapkę, wiedząc, że spotka ją podobny los, w końcu rezygnuję z pytania, co rano przygotowuję mu dwie kanapki, staram się omijać punkty zapalne, ale natychmiast z niczego rodzi się następny konflikt.

Okazuje się, że o wszystko można się sprzeczać. Mam wrażenie, że w tych pierwszych tygodniach po rozstaniu kłócimy się więcej niż w ciągu całego jego życia, jakby postanowił zająć miejsce ojca, aby utrzymać stały poziom kłótni w domu. A ja wyobrażałam sobie spokój. Kiedy

torowaliśmy sobie rano drogę wśród gromów Amnona, kiedy popołudniami bawiliśmy się pod jego ciężkim spojrzeniem, kiedy odgłosy awantury docierały do zaparowanej łazienki, gdzie Gili siedział w wannie, w białej pianie, otoczony zabawkami. Wyobrażałam sobie spokój bez niego, a znowu mam sprzeczki, w nowym wcieleniu, napięcie też zostało, jeszcze bardziej przygniatające, bo jest tylko między nami, szpeci naszą miłość.

Czy to faktycznie miłość? Pod ciężarem nieociosanych głazów winy i żalu, żałoby i tęsknoty, urazy i rozczarowania trudno dostrzec miłość, nawet tę pozornie prostą, pozornie najbardziej naturalną, miłość macierzyńską. Należna mi własność, którą uznawałam niemal za świętość, która mnie oszołomiła swą mocą, która przez sześć lat spowijała mnie niczym barwy ochronne, odgradzając od reszty świata, nawet od Amnona, jest mi odbierana. Lody, które liżemy na klatce schodowej, są mniej słodkie niż kiedyś, wspólna zabawa na podwórku nie angażuje ginie tak jak dawniej. Nie przyglądam mu się już z pełnym niedowierzaniem zachwytem, spijając każde jego słowo. Znudzona ponuro zerkam na zegarek, kiedy wreszcie nadejdzie pora pójścia spać, kiedy będę mogła zjednoczyć się z moim smutkiem, z dala od baczego spojrzenia dziecka. Zaczyna do mnie docierać, że miłość, która kwitła między nami, zdumiewająco intensywna, nie może istnieć we dwoje, potrzebuje trzeciej strony, bez wieloznacznego spojrzenia Amnona straciła treść i zamieniła się w zwyczajne, obowiązkowe uczucie matki do syna, który czasem jest sympatyczny i kochany, a czasem męczący i irytujący. Okazuje się, że to obecność Amnona intensyfikowała moją miłość do Gilego, napępiała ją życiem. Czy to była z mojej strony prowokacja, prawie jak wtedy, gdy chciałam widzieć go za oknem, będąc z jego dobrym przyjacielem, czy chciałam pokazać, jak mocno umiem kochać kogoś innego, czy próbowałam przekazać mu za pośrednictwem dziecka miłość prostą i ciepłą, przeznaczoną dla niego, choć nie przyszło mi do głowy dać mu ją bezpośrednio?

Przyglądam się tej rewolucji, zaskoczona, że nie przewidziałam rozwoju sytuacji, oszołomiona szybkim rozpadem struktur życia. Nie wiem, czy to Gili zmienił się najpierw, a ja potem, czy pierwszy wyczuł, że mnie traci, i się odsunął. Może nawet to procesy jednoczesne, przewidywalne, tylko ja ich nie przewidziałam, ale czas, przebiegły cwaniak, śledził mnie i śmiał się, daj temu czas, powiedziała Dina, czas to nieskuteczne lekarstwo, długotrwałe kamienowanie.

Przestań się obwiniać, powtarza, z poczucia winy nie dajesz sobie szansy, żeby się pozbierać, mówiłam ci, że popchnęła cię do tego potężna siła, nie lekceważ jej tak łatwo, pozwól, żeby się wszystko ustabilizowało, jeszcze rozkwitniesz, obiecuję ci. Przed rozstaniem negocjowałam wszystko, co było dobrego między wami. Teraz cię to zalewa, to normalne wahania nastroju, postaraj się im nie poddawać, bądź cierpliwa. Słucham jej z roztargnieniem, marzę, żeby zakończyć rozmowę, z nią i ze wszystkimi, którzy dzwonią i się dopytują. Nawet nie duma sprawia, że nie opowiadam, jak bardzo jestem przybita, jak bardzo żałuję, lecz brak nadziei, czający się w każdej rozmowie, obracającej się w zamkniętej przestrzeni mego żalu, prawie jakbym rozmawiała ze sobą, sztywno poruszam wargami, potakuję, ledwo otwierając usta, wynajduję preteksty do skrócenia rozmowy, Gili mnie woła, mamrocze, nawet kiedy nie ma go w domu, muszę do niego iść.

Czuję, że potrafię słuchać tylko jednego, chcę, by mi przypominano, jak nam było źle, niech opowiadają, jak bardzo byliśmy niedopasowani, jacy byliśmy nieszczęśliwi na tamtym przyjęciu, jak się pokłóciliśmy na tamtym pikniku, Gili błagał, żebyśmy przestali, ale nawet jego nie słuchaliśmy, wszyscy zauważali napięcie między nami, wiedzieli, że to tylko kwestia czasu. Ale nawet jeśli teraz ktoś wypowie niekiedy odpowiednie słowa, słucham z niedowierzaniem, z rosnącą pretensją, co wy w ogóle wiecie, nie macie pojęcia, jak naprawę między nami było, nikt z

zewnątrz nas nie znał. Tylko z jedną osobą chcę rozmawiać o czasach naszej rodziny, zawitać pewnego wieczoru do wynajętego mieszkania, choć nawet nie wiem, gdzie się znajduje. Jest tam duży, ładny pokój, pełen nowych zabawek. Chcę przytulić się do jego długiego, niezgrabnego ciała i powiedzieć, wybacz mi, ukochany, bo się pomyliłam.

Tę chwilę obmyślam nocami, gdy budzę się z bijącym sercem, i rankami, gdy gorący jesienny chamsin przykrywa mi oczy lepkimi palcami, jakby pytał, zgadnij, kto to, długimi godzinami przed komputerem, kiedy staram się skończyć pracę o Terze, popołudniami na placach zabaw, gdy prowadzę bezsensowne pogawędki z innymi matkami, planuję, dziś wieczorem pójdę do niego, nie będzie mógł mi odmówić, obiecuję, że będę inna, że dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo go kocham i jaki jest mi bliski, przyrzeknę, że wszystko się zmieni, że będzie miał wszystko, czego mu było brak, że codziennie wieczorem będę siedzieć obok niego na kanapie, czytać jego artykuły i codziennie z nim sypiać, zaakceptuję go takim, jakim jest, i nigdy się już z nim nie pokłócę. Dasz mi rodzinę, ja dam ci żonę, formułuję szczegóły umowy, która teraz wydaje mi się idealna dla wszystkich stron, to najlepsza umowa na świecie. Chwilami czuję entuzjazm, jakby wszystko znalazło się szczęśliwie na swoim miejscu, wyobrażam sobie jego powrót do domu, oczywiście, pomogę mu się rozpakować, wyjąć z powrotem te kilka rzeczy, które zabrał, ustawić książki na półkach, włożyć ubrania do szafy. Po przebudzeniu Gili zastanie ojca w domu, jak kiedyś. Ten miesiąc separacji będzie zawsze nam towarzyszył, niczym znak ostrzegawczy, niczym słup obłoków, aż nie będziemy go już potrzebowali, tacy będziemy szczęśliwi.

Oszołomiona spodziewanym szczęściem pociągam nosem, strząsam lśniące kropelki halucynacji jak pies wychodzący z wody, wracam na twarde ścieżki rzeczywistości. Tak bardzo tego pragnę i tak kurczowo się tego trzymam, że obawiam się wypróbować swoją moc, czekam na stosowny moment, najlepszą sytuację, odpowiednie miejsce. Być może jednak będę czekać bez końca, bo żywego Amnona, z jego tyczkową sylwetką i szerokim, pięknym uśmiechem, nie widziałam od tamtego piątku, kiedy to po powitaniu szabat Gili ciągnął nas za sobą jak mały, uparty wózek, a ja napastliwym tonem, głosem jego nowej nauczycielki, powiedziałam, tata nie wejdzie z nami, musi teraz pójść, jutro zabierze cię na kilka godzin. Powiedziałam to brutalnie, bezlitośnie, złośliwie, od tamtej pory mnie unika, odbiera Gilego ze szkoły, odprowadza do początku schodów, przesyła przez niego rzeczowe wiadomości, jakby nasz syn był gołębiem pocztowym. W tym tygodniu tata weźmie mnie w niedzielę, nie w poniedziałek, w środę, a nie w czwartek, a ja dziwię się, jak długo jeszcze będzie mnie unikać, do następnego szkolnego szabat, do następnych urodzin, może jeszcze dłużej, do barmicwy Gilego, wstąpienia do wojska, do ślubu, może zawsze, a ja będę się wahać w nieskończoność, obawiając się odmowy. Pewnego dnia po powrocie Gili ogłasza z dumą, w piątek tata odbierze mnie ze szkoły i będę u niego nocował, przywieźli łóżko, które mi kupił, i rozumiem, że to właściwy moment, z Gilim śpiącym w pokoju obok, z otwartą buzią, moczającym śliną nową poduszkę, uosabiającym rozpacziwą potrzebę stabilnej rodziny, nie będzie mógł mi odmówić.

Gdzie właściwie jest mieszkanie taty? - pytam słodkim głosem, niby mimochodem. Daleko stąd? Nie daleko i nie bardzo blisko, mówi Gili. Jedziemy kawałek samochodem. Jak wygląda ulica? - pytam. Zwykła ulica, odpowiada. Jak tutaj. Z drzewami i domami. Może spróbujesz przeczytać nazwę, proponuję. Powiedz mi, jakie tam są litery. Ale jeszcze trudno mi czytać, protestuje. Szybko wymyślam nową zabawę, konkurs z nagrodami, chodzimy na długie spacery po okolicy, a on stara się rozszyfrować nazwy ulic, pomagam mu, jak tylko mogę, ćwiczę go w

czytaniu i orientacji. Zabawa podoba mu się, ale zapomina o niej podczas następnej wizyty u ojca, i jestem całkiem bezradna. Przecież, żeby go przekonać, muszę się z nim spotkać, nagle wydaje mi się to niewykonalne. Z naszymi wspólnymi znajomymi urwał się kontakt, Gabiego, rzecz jasna, nie zapytam, telefon komórkowy nigdy nie odpowiada, czy pozostało mi sprawdzić adres własnego dziecka w sekretariacie szkoły, ale nawet gdy pod nędznym pretekstem ośmielałam się poprosić o listę uczniów, znajduję na niej tylko jeden adres, zatrzymuję się zbита z tropu przed dziwną przeszkodą w szczegółowo obmyślonym planie, wiem przecież dokładnie, co na siebie włożę i co powiem, znam wszystkie szczegóły tego święta, oprócz miejsca, w którym się wydarzy. Mimo wszystko nie zamierzam zrezygnować i decyduję się na wyjątkowy, idiotyczny i najwyraźniej konieczny krok, będę śledzić ich w piątkowe popołudnie, kiedy Amnon zabierze syna do nowego domu, na pierwszy wspólny szabat.

Czekam pod szkolną bramą, siedząc w małym autku Diny, zgarbiona, w okularach przeciwsłonecznych i jasnym słomkowym kapeluszu, za mną i przede mną parkuje kilka pustych samochodów, niebawem wypełnią się szczebiotem dzieci, które podekscytowane i spocone wrócą na łono rodziny. Jedno po drugim nadchodzą rodzice, większość z nich znam, bywałam nawet w ich domach i zachwycałam się wystrojem wewnątrz, inni wciąż są obcy. Oto śliczna Keren, która zapraszała wszystkich na przyjęcie po powitaniu szabatu, idzie w krótkiej sukience, odsłaniającej opalone nogi, mąż śpieszy za nią, kładzie jej rękę na ramieniu, co natychmiast rozpała we mnie burzliwą zazdrość. Potem z wolna, niechętnie nadchodzi Michał. Ostatnio ma wiecznie zatroskaną minę, lecz prawie nie rozmawiamy, Jotam najwyraźniej stracił zaufanie do swego kapryśnego kolegi, a Gili z łatwością znalazł innych przyjaciół. Opieram czoło o kierownicę, jakbym drzemała, obserwuję z ukosa znajome, a zarazem nowe zamieszanie piątkowego popołudnia. Przez szeroko otwartą bramę wypływa kolorowa, wartka rzeka dzieci i rodziców, tornistrów i rozmów. Tylko tata Gilego się nie pojawia, znowu się spóźnia, jak zawsze, może w ogóle zapomniał, całe szczęście, że ja tu jestem, ale jak bez niego zrealizuję swój plan? Z lękiem widzę, że samochody zaczynają odjeżdżać, obym tylko nie została sama, na pewno mnie zauważą. Rozglądam się nerwowo, przyjdź wreszcie, gdzie się podziewasz, nagle pojawia się coraz więcej trosk. A jeśli nie będzie sam, jeśli ujrzę u jego boku biedną Ofre, czekałam prawie miesiąc, od rozstania minęły całe cztery tygodnie, może przyjechałam za późno, może dzisiaj przyszedł wcześniej, może w ogóle już są w wynajętym mieszkaniu i Gili skacze na bosaka po nowym łóżku, ale oto nadjeżdża, czerwony samochód zbliża się szybko i zatrzymuje zaraz za mną, prawie muskając skraj samochodu Diny. Amnon wysiada ociężale i przeciąga się, zerka na zegarek, znajomym ruchem przesuwa dłoń po czaszce, na której ku memu zdumieniu jeżą się rzadkie łądyżki, przypominające żdźbła trawy w parku kruków. Nie widzieliśmy się od czterech tygodni, serce mi wali na jego widok, wydaje mi się drogi i bliski, piękny w swojej niezgrabności, spodnie o głębokich kieszeniach zwisają niedbale, chyba trochę schudł, lecz pierś ma wciąż młodzieńczą, jak wtedy. Mija mnie ostrożnym krokiem, jakby chodził między wykopami, promieniując pewnością siebie na tym pokaleczonym terenie, skrupulatnie oczyszczałam wszystko z ziemi, obserwując go ukradkiem, modląc się, żeby znów do mnie podszedł, żeby zdjął okulary przeciwsłoneczne, nazwał mnie Fryzyjką.

Wraca, niosąc dziecko na barana, jak zwykle nie marnował ani chwili na rozmowy z rodzicami czy nauczycielami, uważaj w bramie, prawie krzyczę, kiedy głowa Gilego zbliża się do żelaznej futryny, ale pochyla się dokładnie w odpowiedniej chwili, zaufaj mi, powtarzał,

dłaczego mi nie ufasz. Patrzę na nich spod słomkowego kapelusza, moi dwaj mężczyźni, moja cała rodzina, jego duże palce przytrzymują kostki dziecka, zakrywając łydki, Gili trzyma mu ręce na głowie, bawiąc się nowymi trawiastymi włosami. Mam wrażenie, że w ten sam sposób Amnon dotyka też mnie, to dziecko ubierałam rano, prałam jego ubrania, kupiłam tornister, zawiązałam mu sznurowadła, całe należy do mnie. Kiedy Gili tak naturalnie siedzi mu na ramionach, siedzę obok i ja, nie czujesz mojego ciężaru, bo wciąż jestem twoja, a ty mój, bo to dziecko jest nasze, a my jego. O mało nie biegnę im na powitanie, żeby zająć miejsce jak zawsze obok niego w czerwonym samochodzie, ale zastygam na miejscu, nie tak, nie wolno mi poddawać się impulsom, które mogą zakończyć się gorzkim rozczarowaniem, muszę zaczekać do wieczora, działać zgodnie z planem. Oddycham głęboko, szykując się do pościgu, kiedy wsiadają do samochodu, zapinają pasy. Nigdy nikogo nie śledziłam i nie mam pojęcia, jak to się robi, co będzie, jeśli rozdzieli nas samochody albo jeśli nas nie rozdzieli, i mnie rozpozna. Wciskam mocniej słomkowy kapelusz na głowę i zapalam silnik, ruszam zaraz za nimi, modląc się, żeby nie jechali za długo, wizja, że ich zgubię, stracę koniec nici umożliwiającej zrealizowanie planów w ten długi, pusty weekend, przeraża mnie tak bardzo, że jadę jak przyklejona do czerwonego samochodu, mijam światła za światłami, kiedy on włącza kierunkowskaz, ja też, kiedy skręca, ja skręcam, przez chwilę błyska do mnie szeroki uśmiech w lusterku i tracę oddech, ale zdaję sobie sprawę, że uśmiecha się do dziecka, którego nawet czubek głowy nie wystaje nad siedzeniem, wydaje się, że samochód jest pusty. Kiedy zwalnia na ruchliwej, znajomej ulicy, uśmiecham się także, to do niego podobne, wracać po własnych śladach, powinnam była zgadnąć, tutaj mieszkał przed dziesięciu laty, w ciasnej kawalerce, do której mnie zaprosił, abym przeczytała jego raport o znaleziskach ceramicznych w warstwie zgliszcz Teł Jezre'el. Wymijam go i zatrzymuję się w rozsądnej odległości, obserwując w lusterku, jak wysiadają z samochodu. Kiedy znikają w niedużym budynku, zawracam i przejeżdżam obok powoli, powtarzając dla pewności numer, choć nie zapomnę go, choćbym nawet chciała, jak nie zapomnę zadbanego kamiennego budynku, przed którym, niczym para uzbrojonych wartowników, stoją na straży dwie zadziwiająco niskie palmy. Nadchodzące zjednoczenie naszej rodziny opromienia mieszkanie delikatnym blaskiem. Wkładam radośnie zakupy do lodówki, piwo dla niego, wino dla mnie, sok mango dla dziecka, słodką chałkę, sery i owoce, jakby dziś wieczorem miało się tu odbyć przyjęcie, jakby to nie był pierwszy weekend bez nich, lecz ostatni weekend rozstania. Lodówka, szafki w kuchni, czysta pościel, którą rozkładałam na łóżku, opowiadają szczęśliwą, barwną historię. Ja też urządжаю dziś wieczorem przyjęcie, jak śliczna Keren, z tym że nie zapraszam wszystkich rodziców, tylko jednego ojca, którego na nowo wybrałam. Na jaką cześć to przyjęcie, zapytał ktoś, a ona odpowiedziała z zawstydzonym uśmiechem, gdy lekki rumieniec wykwitł jej na policzkach, tak sobie, mamy ochotę świętować. Muszę przyznać, że wciąż nie znam wszystkich szczegółów mojego przyjęcia, jak choćby jego miejsca, czy obudzimy Gilego w środku nocy i we trójkę wrócimy do domu, czy będę spać z nimi i wrócimy rano. A może uroczystość w ogóle odbędzie się u niego, i tam powinnam pojechać ze wszystkimi rzeczami. Nie zamierzam jednak zdręzczać się takimi drobiazgami, podniecona chodzę po mieszkaniu, moje ciało, rozdarte na pół niczym po strasliwym wypadku, zrasta się z powrotem, wydaje mi się, że ściany uczestniczą w mojej radości, obrazy tańczą, meble przygotowują się na powitanie wygnańca, który powróci zwycięski, okruh rodziny, który unosił się w przestrzeni kosmicznej niby zabłąkana kometa, zagrażająca kuli ziemskiej. Dziś wieczorem wróci na swój tor, na swój fotel, do swego biurka, łóżka, domu.

Elu, nie rób tego, mówi natychmiast, kiedy stoję za nią, bawiąc się kluczykami samochodu, jakby to były dzwoneczki wydające odświętne dzwonięcie. Pochyla się nad labiryntem doniczek na miniaturowym balkonie, obrywa suche liście. Odkąd stałaś się zapaloną ogrodniczką, Dino, to do ciebie nie pasuje, mówię. Prostuje się i patrzy mi prosto w oczy swym skupionym spojrzeniem. To niewłaściwe tak go nachodzić, gdy wyraźnie nie chce cię widzieć. Ty i twoje przestarzałe zabawy w szacunek, oburzam się, nie rozumiesz sytuacji, przecież to ja go rzuciłam, błagał, żebyśmy zostali razem, co w tym złego, że przyznam się do pomyłki.

Nie wiesz jeszcze, czy rzeczywiście się myliłaś, mówi, biorąc ode mnie kluczyki rękami ciepłymi od ziemi. Chcesz jak najszybciej go przyjąć z powrotem, ignorujesz wszystko, co doprowadziło do tego rozstania. Myślałaś w ogóle, co będzie tydzień czy miesiąc po jego powrocie? W rzeczywistości nic się nie zmieniło, Amnon nie stał się bardziej ustepliwy czy wrażliwszy. Ty też się nie zmieniłaś, jesteś jeszcze zdezorientowana, to normalne, w sytuacjach kryzysu ogarniają nas na przemian różne uczucia. Potrzeba czasu, by rozpoznać te prawdziwe.

Wydaje ci się, że moje uczucia są nieprawdziwe? - przerywam jej. Ogromnie się mylisz. Oczywiście, że go potrzebujesz, potwierdza. Pytanie, co kryje się za tą potrzebą. Strach, poczucie winy, uraza. Pytanie, czy naprawdę jesteś gotowa całkowicie zaakceptować Amnona, czy to znowu złudzenie, kolejna pauza w waszej walce o władzę. Nie masz pojęcia, jak bardzo uczucia potrafią oszukiwać, nasz system emocjonalny przypomina bal przebierańców, z perspektywy czasu można zrozumieć, kto krył się pod maskami.

Nie masz pojęcia, co się dzieje, Dino, upieram się. Tu nie ma żadnego fałszu. Jestem całkowicie pewna, że chcę go z powrotem. Miesiąc temu byłaś całkowicie pewna, że go nie chcesz, odpowiada. Co się zmieniło od tamtej pory w gruncie rzeczy? To, że wbrew oczekiwaniom on sobie radzi bez ciebie? Załóżmy, że wciąż przekonywałby cię, żebyś do niego wróciła. Wtedy też byś go chciała?

Może by to dłużej trwało, odpowiadam ostrożnie. Może potrzebna mi była separacja, żeby zrozumieć, jak bardzo mi na nim zależy. Może po prostu pragniesz czegoś, czego nie masz, ona na to. Wydaje mi się, że jeszcze nie odzyskałaś równowagi, rani cię jego odejście, boisz się go stracić, najwygodniej ci teraz przywrócić poprzedni stan, ale nie umiesz się na serio zmierzyć z tym, co zaszło między wami. Odczekaj jeszcze kilka miesięcy, zanim zrobisz kolejną rewolucję w życiu trzech osób. Nie masz pojęcia o rzeczywistości, odparowuję. Na tym polega twój problem. Za kilka miesięcy całkiem go utracę. Przyzwyczajai się do życia beze mnie, może nawet do innej kobiety. I tak za długo zwlekałam. Kto wie, czy nie wrócił do dawnej narzeczonej.

Mam wrażenie, że cofa się przede mną do kuchni utrzymanej w jaskrawych kolorach, w zamyśleniu stąpa po pomarańczowych ceramicznych płytkach, które wspinają się na ściany jak mech. Zjedz coś, wydajesz się bardzo mizerna, proponuje, przyglądając się z troską mojej figu-

rze w obcislej sukience koloru wina. Kładę rękę na gardle, jakbym chciała odepchnąć zbliżający się nóż. Trudno mi ostatnio przełykać. Masz może cukierka?

Nie, ale mam ciasto. Wyjmuje z lodówki dużą blachę z ciastem czekoladowym, pokrytym grubą warstwą kremu, kroi mi hojną porcję, a ja zadawałam się kremem, zlizuję go pomału z łyżeczki, nie zwracając uwagi na niepokój malujący się na jej twarzy. Dla kogo upiekłaś, tak sobie, dla siebie? - pytam. Nagle wydaje mi się to niezwykle dziwne. Kobieta, która mieszka sama z ciastem. Jutro mam gości na obiedzie, wyjaśnia. Zapraszam cię. Dziękuję, mówię. Jutro pewnie przewieziemy jego rzeczy z powrotem do domu. Nie wiem, czy będziemy mieli czas. Wzdycha, patrząc na mnie z ukosa, pełna wątpliwości. Elinko, gdyby wszystko nie ułożyło się po twojej myśli, pamiętaj, że masz dokąd pójść jutro po południu. Naprawdę dziękuję, powtarzam, trochę wyniośle. Co ja mam wspólnego z tymi sztucznymi, smętnymi spotkaniami, które Dina organizuje dla swoich samotnych znajomych. W ogóle nie biorę pod uwagę, że to się nie ułoży, oświadczam dumnie. Przecież on mnie kocha, raczej nie minęło mu to w miesiąc, mówisz, jakby to był obcy człowiek, jakby to on mnie rzucił.

Na pewnym etapie to nieistotne, kto kogo rzucił, mówi, lecz kto łatwiej przystosował się do nowej sytuacji. Prycham na znak sprzeciwu i milknę, chcąc zakończyć wreszcie tę przygnębiającą rozmowę. Amnon się przyzwyczai? Jest strasznym konserwatystą. Wynajął nawet mieszkanie na ulicy, na której kiedyś mieszkał. Nie cierpi zmian. To, że mnie teraz unika, nie znaczy, że nie chce wrócić. Może akurat jest odwrotnie, po prostu jest zraniony, boi się okazać, że chciałby wrócić, ale jeśli propozycja wyjdzie ode mnie, będzie szczęśliwy, zobaczysz. Znowu wzdycha, obejmuje się ramionami, jakby poczuła zimny powiew. Mam nadzieję, że się nie mylisz. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, czego ci życzę. Co to w ogóle za pytanie? - mówię. Życz mi powodzenia. Uśmiecha się z rezerwą. To, co dla ciebie jest powodzeniem, nie jest nim dla mnie. Całuję ją w szorstkie policzki, szeleszczące pod dotykiem warg jak suchy liść. Daj spokój, Dino. Nie bądź taka małostkowa. Powodzenia, Elinko, mówi. Brązowe oczy poprzecinane drobnymi naczynkami krwionośnymi śledzą mnie z troską, jak oczy matki, gdy wychodziłam w piątki na klasowe imprezy, z których wracałam upokorzona, rzucając się w jej pocieszające objęcia. Jakie to dziwne i ekscytujące, że kroczę po swoich śladach sprzed dziesięciu lat, drobnych, szybkich śladach, rozedrganych ze szczęścia, nie mogąc uwierzyć, że on naprawdę mnie chce, ten wielki, arogancki mężczyzna, żelazną ręką kierujący wykopaliskami, skupiony i niecierpliw. Jednocześnie biją w nim nieoczekiwane źródła ciepła, napełniając mnie chwilowym spokojem, zaprosił akurat mnie, żebym przeczytała raport, który pisze, żebym wyraziła swoje zdanie. Stoję przez chwilę przed budynkiem, w którym wtedy mieszkał, potem w ciasnej kawalerce, pełnej jego szorstkiego, wyzywającego uroku, zapełnionej książkami, skorupami i ponurymi drzeworytami, przedstawiającymi dawną Jerozolimę. Pamiętam, jak śmiał się, mrużąc niczym kot, gdy wypowiadałam swoje uwagi, w ogóle nie jesteś archeologiem, interesują cię tylko bajki, co ty właściwie robisz na tym wydziale? Wtedy jego słowa brzmiały jak oryginalny komplement. Musze zabrać cię na Terę, mówił, pojedziesz ze mną? Szczęśliwa, kiwam głową, pojedę z tobą na koniec świata, zejść za tobą do wnętrza ziemi, siadam mu na kolanach, z wdzięcznością patrzę w jego piękne oczy, gładzę dłonie, jakbym naprawdę tysiące lat spoczywała głęboko pod ziemią, przysypana wulkanicznym popiołem, aż wydobyły mnie stamtąd te masywne ręce.

W coraz chłodniejszym, gęstniejącym zmroku mijają mnie nieliczne samochody. Jeden zwalnia. Mam wrażenie, że ktoś do mnie macha, ale nie rozpoznaję go, odpowiadam

niezobowiązującym gestem, nieważne komu, nasłuchuję głosów ulatujących przez otwarte okna na ulicę niczym stadko ptaków. Pozwalam sobie dołączyć swój głos do błogosławieństwa nad pokarmem, choć nie biorę udziału w wieczerzy, idę powoli, nucąc. Wreszcie skończyły się święta, które przygniotły mnie w tym roku jak ciężkie brzemie, święta bez rodziców, bez rodziny, na skrajach wysokich bloków, na wspólnych podwórkach, pozostało jeszcze kilka rozchwianych szalasów, wzniesionych w pośpiechu, nie zdążono ich rozebrać, wilgotne od rosy pokrycia, zeschnięte liście palmowe, roztaczają ostry zapach jesieni. Zerkam na jeden z opuszczonych szalasów. Papierowe łańcuchy, precyzyjnie posklejane, szeleszczą na wietrze, kilka z nich leży u moich stóp, połączone ogniwa. Kiedy to było, rok czy dwa lata temu, Gili zażądał, abyśmy zbudowali szalas na balkonie, a Amnon odmówił. Nie dałam za wygraną, wspinałam się na balustradę, wyciągałam jak najwyżej ręce, starając się zawiesić na balkonie prześcieradła, podczas gdy on rozłożył się z książką na kanapie, obojętny na moje wysiłki, nie rozmawialiśmy wtedy przez całe święta, siedem dni. Nawet kiedy się w końcu pogodziliśmy, zgoda straciła swój smak, była gorzka jak sama klótnia. Nigdy nie pytałam, czemu właściwie odmówił, czemu tak trudno było mu zrobić przyjemność dziecku, może dziś wieczorem spróbuję to wyjaśnić bez skarg czy pretensji, tak krótka i przemijająca jest szansa uszczęśliwienia go, powiem, możemy zbudować szalas i patrzeć, jak się cieszy, kiedyś jego szczęście nie będzie od nas zależeć, czy ja stanęłam wtedy między wami, kłująca jak *lulaw*, którego nie chciałeś wziąć do ręki?

Przekradam się między dwoma palmami, stojącymi na warcie, w obawie, by nie wyciągnęły swych ostrych ramion i nie zagroziły przejścia, lustruję skrzynki na listy na klatce schodowej, oto jego imię wydrukowane na białej karteczce w czarnej ramce, jak nekrolog. Z ulgą zauważam, że obok nie widnieje żadne kobiece imię, a jednak zdecydowane litery mnie przygnębiają, świadczą o głębokiej woli zakorzenienia się, obecności, która nie jest tak chwilowa i krótkotrwała, jak miałam nadzieję, zostanie tu na zawsze, niby zmarły w krainie cieni. Stoję dłuższy czas przed wizytówką z jego imieniem, oglądam dokładnie litery, przepowiadam sobie po raz kolejny, co chcę mu powiedzieć, choć wciąż wierzę, że to nie będzie mi potrzebne, że na mój widok rozjaśni mu się twarz i nie będą konieczne słowa.

Przykładam ucho do drewnianych drzwi, na których widnieje jego imię, na drugim piętrze, dokładnie takie samo imię i nazwisko widnieje też na drzwiach naszego mieszkania, obok mojego imienia, zapisane kursywą. Mam wrażenie, że między dwojgiem drzwi toczy się milcząca walka o to, do kogo należy Amnon Miller, walka, która rozstrzygnie się tego wieczoru. Przez wąską szparę przedostaje się na zewnątrz pasek światła i cicha muzyka. Z ulgą rozpoznaję płytę, którą mu kupiłam, urywane, szarpane dźwięki gitary, towarzyszące słabszym tonom muzyki klasycznej, czyż to nie wyraźne zaproszenie, znak, że na mnie czeka? Pukam lekko, żeby nie obudzić dziecka. Już późno, na pewno śpi. Ale za drzwiami nie słychać żadnego dźwięku ani poruszenia, może zasnęli obaj. Z łatwością mogę ich sobie wyobrazić leżących obok siebie, Gili jak zawsze na plecach, Amnon jak zawsze na brzuchu, niczym dwie strony tej samej monety, pomimo różnych rozmiarów. Pukam ponownie. Oczami duszy widzę wszystkie możliwe przeszkody, których nie uwzględniłam w swoim planie. Może śpią i nie uda mi się ich obudzić, może obudzę obu i obecność Gilego wszystko zepsuje, może są u Amnona goście albo jeszcze gorzej, kobieta, choć Gili nie donosił mi o żadnej kobiecej postaci. Przystępuję nerwowo wprzód i w tył, żeby rozładować napięcie, i znowu pukam. W końcu słyszę zaspane człapanie, nie pyta, kto tam, może oczekuje kogoś innego, bo kiedy światło pada na moją twarz, wzdyga się i mamrocze, Elu, co ty tu robisz? W jego głosie nie ma zachwyty ani niedowierzania pomieszanego z entuzjazmem, lecz

rzeczowe, chłodne zaskoczenie, co robisz w cudzym domu, nikt cię tu nie zapraszał.

Amnon, unoszę ku niemu twarz, jego ogromny wzrost mnie zaskakuje, wyciągam z trudem szyję, niewygodnym, zapomnianym ruchem, wchodzę za nim do środka, bo cofa się przede mną, Amnon, musimy porozmawiać. Zaciska usta, aż prawie znikają w jego szerokiej twarzy, przygryza dolną wargę, unika mojego wzroku.

Porozmawiać? O czym? - pyta, jakbyśmy nigdy o niczym nie rozmawiali, i sama możliwość go zdumiewa.

O nas, mówię. O naszym rozstaniu, o dziecku. Siada bez głowa przy okrągłym stole w kącie salonu, wskazuje mi miejsce naprzeciwko, gdzie najwyraźniej niedawno siedział Gili, stoi tu jeszcze jego talerz, z zimnymi resztkami makaronu i sałatki, ze zjedzoną do połowy kolbą kukurydzy. Spod spodu wygląda zatroskany pyszczek Kubusia Puchatka unoszącego się na baloniku. Rozglądam się szybko, jak nauczyłam się rozglądać w domach kolegów Gilego, chcąc zebrać jak najwięcej danych, wyciągnąć jak najwięcej wniosków z widocznych zabytków kultury materialnej. Tym razem to zadanie najwyższej wagi. Z podejrzliwym zdziwieniem lustruję przyjemne małe mieszkanko o oknach wychodzących na klasztor, rozjarzony w nocy niczym ogromny meteor, który przed chwilą spadł na ziemię, nowe meble, szorstki sznurkowy chodnik, jasną piaskową kanapę i dwa wiklinowe fotele, urządzenia elektryczne i naczynia. Jak udało mu się w ciągu kilku tygodni przygotować prawdziwy dom dla siebie i dla Gilego? On, który nigdy nie zauważał ograniczeń rzeczywistości, nigdy nie przejmował się umeblowaniem mieszkania, nie kupił szklanki ani talerza, ciągle powtarzał, że mamy wszystkiego dosyć, porzucał mnie wahającą się w sklepach, a po powrocie wymawiał mi rozrzutność.

Jak tu ładnie, zauważam z urazą. Sam wszystko wybrałeś? Tak, odpowiada z ostrożnym, prawie przepaszającym uśmiechem. Przekonałem się, że to nie takie skomplikowane. Poświęciłem na to kilka dni i wszystko załatwiłem, chciałem koniecznie sprawić, żeby Gili czuł się tu swobodnie, jak w domu, żeby mógł zapraszać kolegów. Wstaje i idzie do otwartej kuchni, przynosi mi wodę w wysokiej błękitnej szklance. Piję zachłannie. Chyba nawet woda ma tu inny smak, jest przejrzysta i czysta jak ze źródła.

Pokaż mi pokój Gilego, proszę kwaśno, nie potrafiąc się zachwycić jego osiągnięciami. Prowadzi mnie z dumą korytarzem. Po drodze mijamy małą sypialnię, zamiast drzwi kołysze się zasłona z koralików, wydając cichutki szmer. Z wściekłością patrzę na małżeńskie łóżko, przykryte haftowaną narzutą, i naraz staję w progu dużego, pięknego pokoju, ładniejszego nawet, niż opisywał Gili. Lampka nocna rzuca miękkie światło na ściany w kolorze złocistej pszenicy, podłogę przykrywa puszysty dywan, na nim leżą rozrzucone nowe rodziny pluszowych zwierzątek, które pojawiły się znikąd, bo przecież nam nic nie ubyło. W kącie stoi drewniane łóżko z nową pościelą, a w nim leży dziecko. Jego brązowe włosy są puszyste i błyszczące, policzki zaróżowione, kąciki delikatnych ust lekko opadają w dół. Leży na plecach z rękami nad głową, przykryty cienką kołdrą w gwiazdki. Ma czystą i miłą twarz, oddycha spokojnie. Pochylam się i całuję go w policzki, starając się poczuć ciepłe tchnienie pomiędzy lekko rozchylonych warg.

Pojedyncza łza spływa i pada na młeczny policzek, bo kuszący widok ślicznego, doskonałego chłopca, śpiącego spokojnie w pięknym pokoju, nagle wpędza mnie w panikę, budzi silne podejrzenie, że coś się za tym kryje, coś nie jest jak należy. Pochylam się znowu i wącham go. Zamiast znajomego zapachu ciała, ciepłych lodów waniliowych, roztapiających się w słońcu, czuję woń świeżo malowanego drewna, jakby zabrano mu duszę i stał się

drewnianą lalką, wykonaną ręką artysty, sztuczny sobowtór. Dotykam jego twarzy, jest miękka jak zawsze, a mimo to miota mną straszliwy niepokój. Co to w ogóle ma być, co to za dom, o wiele bardziej zadbany od naszego, mój syn nie należy do tego miejsca, do tej wystawy mebli, należy do mnie, do domu, w którym się urodził i wychował. Co on próbuje zrobić, kupić go meblami i zabawkami, żeby zapomniał o swoim prawdziwym domu, prawdziwej matce? Amnon pokazuje mi z dumą nową szafę, pełną nowych ubrań, poukładanych schludnie jak w sklepie. Kupił już nawet kurtkę na zimę. Staram się pozbyć kwaśnej miny. Nigdy nie chodziłeś ze mną do sklepów, zawsze miałeś ważniejsze zajęcia. I tak się na tym nie znam, wykręcałeś się. Teraz, beze mnie, wszystko stało się możliwe. Dlaczego nie mogłeś zmienić się przy mnie?

Chłodny powiew wpada mi pod sukienkę, przynosi intensywny zapach nowej pory roku, budzi mglistą tęsknotę, wspomnienie czystego, pierwotnego życia, świata, w którym panuje porządek. Czy ty także je czujesz i przebiega cię dreszcz, twoje wielkie ciało stoi obok mnie, do znużenia znajome, lecz niedostępne, jak ciało chłopca, który dorósł w ciągu jednej nocy, a matka, przyzwyczajona do przytulania go, musi gwałtownie cofnąć ręce. Stoimy razem niby zatroskani rodzice nad łóżeczkiem chorego dziecka. Gili otwiera usta częściowo w ziewnięciu, częściowo w zaspanym uśmiechu, a ja zauważam szczerbę między zębami. Wypadł mu ząb, mówię szeptem, oszołomiona faktem, że nie było mnie przy tym. Zawiodła mnie nawet ostatnia nitka nerwu łączącego ząb z dziąsłem. A, tak, przy kolacji, odpowiada Amnon, Znaleźliśmy go w kolbie kukurydzy. Sięga po pudełko po zapalkach, leżące przy łóżku. W środku spoczywa malutki ząbek, który teraz wydaje się poślizgnięty i zaplamiony, jakby wypadł z pustych dziąseł starca, a nie świeżej buzi dziecka.

Gili przeciąga się, jakby chciał mnie objąć ramionami w zaspanym uścisku, drżą mu powieki, trzepoczą rzęsy, pochylam się nad nim, nie budź się kochanie, nie teraz. Amnon spojrzeniem nakazuje mi, żebyśmy wyszli, posłusznie wracam na swoje miejsce przy okrągłym stole, do szklanki wody, która już na mnie nie czeka, wpadła do niej zielonkawa mucha, bijąca skrzydełkami. Z rosnącą wrogością rozglądam się po zadbanym pokoju, nieodwracalna obecność tych mebli denerwuje mnie, podobnie jak stanowcza wizytówka na skrzynce na listy. Pozostaniemy tu, mówią fotele, ty przeminiesz, a my jesteśmy na stałe. Staram się ominąć przeszkodę, zaproponować twórcze rozwiązania. Może po prostu wszyscy się tu przeprowadzimy, tu rozpoczniemy nowe życie, co prawda, mieszkanie jest mniejsze od tamtego, ale poradzimy sobie. Wyobrażam sobie już, jak jemy z apetytem posiłki przy stole nakrytym nowo kupionymi naczyniami, pijemy wodę przejrzystą niczym woda źródłana, śpimy głębokim snem na nowym łóżku, właściwie co w tym złego, jutro przeniosę tu swój komputer, trochę ubrań i dołączę do nich. Już słyszę podekscytowany głos Gilego, który pokazuje nam cuda nowego domu, ale czemu jego głos się łamie, wracam do rzeczywistości, okrucy płaczu ulatują z pokoju na końcu korytarza, czym prędzej ruszam w tamtą stronę, ale Amnon daje mi znak, żebym się zatrzymała, szorstkim gestem, jakbym była bezpiecznym psem.

W porządku, kochanie, słyszę, jak szepcze czule. Jestem przy tobie. Chcę być z tobą w pokoju, szłocha Gili. Jeszcze się nie przyzwyczailem do spania tutaj. Serce mi się kroi. Ja też jestem przy tobie, synku, chcę dodać, ale droga do niego jest zatarasowana, Amnon szybko wychodzi do mnie. Niedobrze, jeśli cię tu zobaczy. To go zdezorientuje, mówię szeptem, rozglądając się gniewnie wokół, szuka rozwiązania. „To teraz nie ma znaczenia”, chcę po-

wiedzieć. Przecież to już za nami. Na razie jednak muszę Bp posłuchać, denerwuje się, jakby musiał ukryć Żydówkę uciekającą przed spragnionym krwi motłochem.

Wejdz do ubikacji i zamknij drzwi, rzuca wzburzony. Nie powinien się dowiedzieć, że tu jesteś, to nie byłoby dla niego dobre. Z wściekłością stosuję się do jego poleceń, siadam w małym pomieszczeniu na zamkniętym i sedesie, zamykam drzwi na zasuwkę. Natychmiast gaśnie światło, jak w kinie, kiedy zaczyna się film, choć dobiegają mnie tylko głosy, podczas gdy obrazy wyświetlają się na ekranie mojego kołającego serca, wizja szlochającego rozpaczliwie chłopca w krótkiej piżamce, na chudych nogach, który płacze, jakby nigdy już nie miał zaznać pociechy. Chcę do tamtego pokoju, błaga, będę spał na kanapie, tato, proszę, nie przyzwyczaiłem się do mojego pokoju, chcę być z tobą. Posiedzę przy tobie, odpowiada Amnon. Nie martw się, zostanę przy tobie, aż zaśniesz. Ale ja nie potrafię zasnąć w tym łóżku, jest za twarde, szlocha Gili. Jest dokładnie takie samo jak łóżko, które masz u mamy, odpowiada Amnon. Po prostu jest nowe, to wszystko. Gili upiera się: Chcę do mojego łóżka. Kiedy będę spał u ciebie, przywieź mi moje łóżko z domu. Amnon wyjaśnia cierpliwie: To niemożliwe. Zobaczysz, że się przyzwyczaisz. Jutro rano poczujesz się lepiej.

Chcę wody, żąda chłopiec. Potem przypomina sobie: Jestem jeszcze głodny. Chcę jeść. I oto nadchodzi prośba, na którą w swojej głupocie tak bardzo czekałam. Chcę do mamy. Skręcam się, siedząc na sedesie, nic łatwiejszego, kochanie, mama jest tutaj, wystarczy tylko odsunąć zasuwkę i wybiec do ciebie niczym za sprawą wróżki z bajki, która spełnia każde życzenie. Jak rozjaśni się jego twarz, obeschną łzy, jego uśmiech wypełni cały dom. O mało nie łamię zakazu i nie wychodzę z kryjówki, ale w ostatniej chwili cofam się, przecież to nie jest zwykły wieczór, zaplanowałam go dokładnie, aby osiągnąć wyższy cel, nie wolno mi go zmarnować przez jeden nieprzemyślany krok.

Słyszę tupot bosych stóp na korytarzu. Tylko napij się wody i wracaj do łóżka! - Amnon zaczyna tracić cierpliwość, a Gili wrzeszczy: Chcę do mamy, chcę zadzwonić do mamy. To zadzwoni, rzuca sucho ojciec. Z mojego odosobnienia, wąskiej, ciemnej komórki, w której unosi się silny zapach środków dezynfekujących, słyszę, jak wykręca numer do pustego domu, spodziewając się odpowiedzi, mammo, to ja, stara się mówić do automatycznej sekretarki swoim najbardziej dorosłym głosem. Chcę ci coś powiedzieć, nie mogę zasnąć, może mogłabyś przywieźć mi mój materac. Kulę się na sedesie, twarz wciskam w kolana, idź już spać, mamroczę, pozwól mi wszystko załatwić, jak długo potrwa ta tortura? Okazuje się jednak, że najgorsze przed nami, bo znowu słychać cienki głosik: Tato, chce mi się siusiu. Ogarnia mnie szalona radość z kłopotów Amnona, jak mogłeś tego nie przewidzieć, co teraz zrobisz. Ku memu zdumieniu szybko odzyskuje kontenans, ubikacja jest zajęta, oznajmia z zimną krwią, zrób siusiu do doniczki na balkonie. Gili podchodzi i próbuje otworzyć drzwi. Słyszę, jak z niedowierzaniem porusza kławką. To dlaczego tam jest ciemno? - pyta, a Amnon odpowiada: Bo właśnie przepaliła się żarówka.

To kto tam jest? - bada dalej chłopiec, z obawą i zdumieniem. Amnon odpowiada: Jedna pani. Kobieta, której nie znasz. Zaraz wychodzi. Chcę ją zobaczyć, jęczy Gili. Wtedy kończy się cierpliwość jego ojca, który napomina go: Przestań wreszcie marudzić, kładź się do łóżka i koniec. Ku memu zdumieniu krzyk przynosi efekty bardzo szybko. W mieszkaniu ponownie zapada cisza, groźna, znacząca cisza, rozbrzmiewająca echem wypowiedzianych słów: jedna pani, obca kobieta, zaraz wychodzi. Przeraża mnie, jakby przepowiadały przyszłość. To właśnie namierza, słyszałam w jego głosie okrucieństwo i radość & mojego nieszczęścia,

przez wszystkie te lata zazdrościł naszej bliskości, teraz chce skusić go prezentami i przyjemnościami, żeby syn o mnie zapomniał. Jakim cudem znalazłam się w tej sytuacji w ciągu zaledwie kilku tygodni? Z oddanej, uwielbiającej, ukochanej matki zamieniłam się w jakąś panią, obcą kobietę. Rozstanie wywróciło nasze życie do góry nogami, tak że najbardziej codzienne, naturalne okoliczności, bycie razem we trójkę w piątkowy wieczór, pod jednym dachem, zamieniają się w ciąg mrozących krew w żyłach przeszkód. Mam wrażenie, że moje zadanie z chwili na chwilę staje się pilniejsze. To ja dokonałam rozdarcia, ja muszę je dziś zszyć z powrotem.

Po kilku minutach słychać lekkie pukanie. Otwieram ostrożnie, wychodzę złamana z mego więzienia, moje włosy i ubranie przesiąkło zapachem środków czyszczących. Posyła mi ostrzegawcze, oskarżycielskie spojrzenie, z palcem na ustach, żebym nie odezwała się ani słówkiem. Po cichutku wracam do stołu, przyglądam się z ciężkim sercem talerzowi Gilego. Zjedzona do połowy kolba kukurydzy szczerzy do mnie dziesiątki małych ząbków, żółtych jak ząb, który pod moją nieobecność wypadł mu z buzi. Z mojej przekonującej przemowy pozostały wystygłe, pozbawione smaku resztki, nie mam wyjścia i muszę je ożywić, przyprawić od początku, inaczej taki los mnie czeka. Będę wychowywać syna z za zamkniętych drzwi ubikacji, stanę się jakąś panią, kobietą, której nie zna, która zaraz wychodzi.

Posłuchaj, Amnon, mówię szeptem, starając się szlachetnie zignorować wszystko, co się wydarzyło. Nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję tego, co zrobiłam. Rozumiem teraz, że to był błąd. Chcę, żebyś wrócił do domu, żebyśmy znowu byli rodziną, miałeś rację, nie umiałam docenić tego, co było, nie rozumiałam, co robię. Błagam, wybac mi, jestem pewna, że nie będziesz tego żałował, tyle możemy zyskać, popatrz, jaka jest alternatywa, muszę ukrywać się przed własnym dzieckiem, muszę rozstawać się z nim dwa razy w tygodniu. Od razu jednak przypominam sobie, że powinnam skupić się na nas, a nie na Gilim. On przecież chce być też mężem, nie tylko ojcem, ciągle to powtarzał. Przerywam i patrzę na niego. Odwraca się ode mnie do dużego okna, wychodzącego na żółto oświetlony klasztor. Jego prosty, rzeźbiony nos, wąskie usta, piękne lazurkowe oczy są skupione na starożytnej budowli, jakby stamtąd dochodził mój głos. Kładę ostrożnie rękę na jego dłoni. Amnon, brak mi ciebie. Chcę być z tobą do końca życia. Moja wąska dłoń o krótkich paznokciach nie przykrywa jego grubych palców, a jednak jak delikatnie palce te ujmują skorupy. Ku memu przerażeniu cofa rękę szybkim ruchem, jakby mój dotyk był nieczysty, i mówi szybko, nie patrząc na mnie: Posłuchaj, Elu. Na szczęście będę delikatniejszy z tobą, niż ty ze mną, bo kiedy starałem się przekonać cię, żebyś wstrzymała się z rozstaniem, pozbyłaś się mnie ze swej drogi, jakbym stanowił zawadę, zagrożenie sanitarne. Nie zrobię tego samego, bo byłaś moją żoną i zawsze będziesz matką mojego dziecka. Zadam ci jedno pytanie. Za kogo ty się uważasz? Co ty o sobie myślisz?

Nie rozumiem twojego pytania, odpowiadam, widząc, że rozmowa nie potoczy się w pożądanym kierunku, ale wciąż mam nadzieję na dobre zakończenie. A ja nie rozumiem, skąd się tu wzięłaś, mówi on. Naprawdę uważasz, że jestem jakimś żołnierzem z czekolady w twojej zabawie? Że możesz mnie wyrzucać i sprowadzać z powrotem, kiedy ci się podoba? Nie myślałaś o mnie, wypędzając mnie ze swojego życia, i także teraz, kiedy starasz się mnie odzyskać, nie myślisz o mnie, tylko o sobie.

Nie udawaj niewiniątka, protestuję. Nikt nie rozstaje się dlatego, że myśli o drugim człowieku. Małżeństwo to nie działalność dobroczynna. Nie mówię o dobroczynności, lecz o minimum empatii, on na to. Spodziewasz się, że cały świat będzie się kręcił zgodnie z twoimi

zmiennymi nastrojami. Kiedy masz mnie dosyć, natychmiast musisz się ze mną rozstać, kiedy ci mnie brakuje, musisz natychmiast mnie przywołać. Eksperymentujesz na ludziach. Kiedy wreszcie dorośniesz? Wzdycham, opuszczając głowę. Masz rację, tak mi przykro. Macha ręką. Nie trzeba mi twoich przeprosin. Nie są mi do niczego potrzebne, jestem już gdzie indziej, ale nawet tego nie zauważyłaś. Słyszę, jak łamie mi się głos: Co to znaczy? W jakim miejscu jesteś?

Tutaj, obejmuje gestem kanapę i fotele, jakby był stolarzem i pokazywał swój warsztat. Dobrze mi tu, w spokoju, to wszystko, co działo się między nami ostatnio, zszarpało mi nerwy, czułem, że się oddalasz, czułem się zagrożony i dlatego reagowałem agresją. Czułem, że nasze fundamenty się chwieją, że twoje niekończące się pretensje kryją po prostu chęć rozstania, nie miałem możliwości cię zadowolić, przestałem cię interesować jako partner, chciałaś mnie tylko jako ojca dziecka, a i to jedynie na twoich warunkach. Może potrafisz się zakochać, ale nie kochać, kiedy jesteś rozczarowana, twoja miłość wygasa, od twojej nieustającej krytyki wieje mrozem, jesteś dokładnie taka jak twój ojciec. Tyle od niego wycierpiałaś, a stałaś się taka jak on. To prawda, że mam wiele wad, ale kochałem cię, choć to uczucie, niestety, nie było wzajemne. Teraz, kiedy przeżyłem ten szok, jestem uzdrowiony, mam lepsze relacje z Gilim, dobrze mi z nim bez ciebie, dobrze mi ze sobą samym, kiedy nie czuję, że każdy mój postępek jest oceniany, dopisywany do czarnej listy grzechów. Przykro mi, Elu, ale taka jest prawda, wyleczyłem się z ciebie.

Ależ, Amnon, nie proponuję ci powrotu do tego, co było, mówię wielkodusznie, z trudem przechodząc do porządku nad fałszywym obrazem, który odmalował. To jasne, że musimy naprawić wiele rzeczy w naszych relacjach, ale wciąż mamy miłość, sam powiedziałeś, z miłości nie można tak łatwo zrezygnować. Lepiej spróbować coś naprawić, niż się rozstać. Odwołuję to, co powiedziałem, wzdycha. To już od dawna nie była miłość, ale fatalny nawyk, nie wierzę w nasz związek, w gruncie rzeczy miałaś rację, choć sposób, w jaki postąpiłaś, budził mój sprzeciw. Między nami skończone, już od lat. Jego błękitne spojrzenie zatrzymuje się na moment nad moją twarzą i od razu wraca do okna. Słucham go z niedowierzaniem, nie rozumując ostateczności jego słów. Nie chciałaś się też ożenić, przypominam sobie. Nie chciałaś, żebyśmy mieli Gilego. Mamy czas, mówiłaś. Po co nam oficjalna pieczętka, po co nam ten ciężar, spróbujmy najpierw nacieszyć się sobą, ale zawsze w końcu ustępowałaś, z wybacającym, protekcyjnym westchnieniem, a ja byłam upojona władzą, jakby udało mi się oswoić ogromną bestię, dwukrotnie większą ode mnie, Minotaura, byka o złotych rogach. Ustąpisz także teraz, muszę tylko znaleźć właściwą kombinację słów, jak kombinację cyfr do sejfów pełnego pierścieni, zausznic i bransolet, skarbu Heleny trojańskiej, czekającego tylko na mnie.

Rozumiem, że cię zraniłam, bardzo mi przykro, szepczę łagodnie. Ale nie pozwól, aby ta krzywda nad tobą zapanowała. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby nam się udało, wierzę, że możemy być szczęśliwi, jak kiedyś. On jednak uśmiecha się z goryczą, kręci głowę. Wystarczy, Elu. Nie składaj obietnic, których nie dotrzymasz, znam cię, wiem już, że wszystko, co mówisz, liczy się tylko w danym momencie. Nie ufam ci już. To jasne, że nie zależy ci na mnie. Chcesz zapełnić puste miejsca w życiu, a ja jestem najbardziej logicznym kandydatem, bo już tam byłem. To nic osobistego. Pragniesz rodziny, bezpieczeństwa, nie chcesz mnie, ze wszystkim, co sobą reprezentuję. Przecież ode mnie się odsuwasz, zapomniałaś już? Zapomniałaś, że mój sposób bycia jest zbyt bezpośredni, że jestem egoistą, że jestem tępy,

że chcę wszystko kontrolować, jestem brutalny i zazdrosny? Ja nie zapomniałem i nie mam ochoty do tego wracać. We wszystkim, co dotyczy dziecka, będę zawsze z tobą współpracował, w każdej innej sprawie już dla mnie nie istniejesz. Oddycham ciężko, moja klatka piersiowa zamiera z nieszczęścia. Po raz pierwszy dopuszczam do siebie możliwość zdecydowanej odmowy, która jest jak pchnięcie nożem. Wstaję i zataczam się w jego stronę, usiłuję usiąść na jego gołych kolanach, objąć go za szyję, poczuć znajomy zapach, woń mydła i ziemi. Kochany, szepczę mu do ucha, nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz, tęsknię za tobą, nie chcę nikogo innego, wiem, że zaniedbałam nasz związek, za bardzo skupiłam się na Gilim, to się zdarza wielu kobietom, znacznie łatwiej kochać słodkiego chłopczyka niż sfrustrowanego mężczyznę, ale to było złudzenie, pełne życie jest możliwe tylko z tobą, my oboje to podstawa tej rodziny. On jednak kręci gwałtownie głową, jakby usłyszał obrzydliwą plotkę, zdejmuję moje ręce ze swoich ramion. Teraz widzę to wszystko inaczej, Elu. Uważam, że nasze rozstanie było nieuniknione. Wspólne życie wpędzało nas w bezustanną frustrację, oboje wyzwalaliśmy w drugim to, co najgorsze, nie wierzę, aby to się zmieniło tak szybko, nie mam ochoty do tego wracać, dobrze mi bez ciebie, z mojej strony to ostateczna decyzja. Idź do domu, muszę dojść do siebie i nie chcę, żebyś mi w tym przeszkadzała. Wstaję z jego twardych kolan i padam na kanapę, wybuchając płaczem. Plamię łzami jasną tkaninę. Szczekam zębami i dygoczę. Jestem nagle chora, śmiertelnie chora, i nikt się mną nie zajmie. Mam tylko drewnianą laleczkę o twarzy sześciolatniego chłopca. Amnon podchodzi do mnie ostrożnie, jakbym była podejrzanym pakunkiem, podrzuconym do mieszkania. Rozpięta czarna koszula odsłania jego mocną, czerwonawą pierś. Wyciągam do niego ramiona, usiądź przy mnie, ale on stoi mocno na miejscu. Proszę, idź stąd, mówi cicho. Utrudniasz wszystko mnie i sobie. Jestem pewien, że dojdiesz do siebie. Masz więcej siły, niż przypuszczasz. Zobaczysz, założysz nową rodzinę, jeśli tylko zechcesz. Patrz przed siebie, bo nie masz wyboru, ja tak robię. Szlocham, bijąc pięściami kanapę. Nie, nie będę patrzyła naprzód, tylko wstecz. Nie chcę nowej rodziny, chcę tylko naszą rodzinę, ciebie i Gilego. Jak możesz być tak nieczuły, w ogóle nie myśleć o nim?

Ty nie myślałaś o nim przed miesiącem, kiedy ja cię błagałem, mówi oschle. To co z tego, mamrocze. Dlatego chcesz nas wszystkich ukarać? Nie chcę nikogo karać, on na to. Wierzę, że to właściwy krok. Oboje usychaliśmy w tym związku, i to z pewnością wpływało także na Gilego. Teraz mamy szansę uzdrowienia. Nawet jeśli nie czeka nas wielkie szczęście, to przynajmniej spokój. Tylko tego teraz mi trzeba. Podaje mi rękę, a ja staram się go do siebie przyciągnąć, ale jest ode mnie silniejszy. Udaje mu się postawić mnie na nogi, mimo mego oporu. Idź, Elu. Idź do domu. Nie mamy żadnej szansy. Między nami wszystko umarło, na zawsze.

To przez Ofre? - ośmielam się zapytać, choć pytanie to nie figurowało w mojej szlachetnej przemowie. Natychmiast zaprzecza: Nic podobnego. Nie jestem taki jak ty. Nie szukam od razu kogoś na twoje miejsce. O czym ty mówisz, mamrocze. Przed oczami pojawia mi się wykrzywiony obraz. Pałace promienie słońca na parapecie, ostry zapach Gabiego, język szorstki jak język kota. Jeśli słyszałeś coś od swojego przyjaciela, wiedz, że to wszystko kłamstwa, mówię szybko. Zawsze starał się nas skłócić. Przerzywa mi: On już nie jest moim przyjacielem. Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Idź, idź, zanim powiem coś, czego będę żałował.

Pozwól mi tylko pocałować Gilego, proszę, a on odmawia: W żadnym wypadku. Nie chcę, żeby się obudził i znowu zaczął zawracać głowę. Odwiozę go jutro wieczorem. Musisz do tej

pory wziąć się w garść, nie powinien cię takiej oglądać. Przy drzwiach znowu się do niego przytulam i tym razem poddaje się, obejmuje mnie. Bądź silna, mówi ciepłym, pełnym otuchy głosem. Zobaczysz, że wszystko się ułoży. Znam cię. Szybko wpadasz w panikę, ale też szybko wracasz do siebie. Jakby był bratem, którego nigdy nie miałam, najbliższym przyjacielem, współczującym ojcem. Opieram się o framugę, żegnam z mieszkaniem, w którym byłam gotowa zamieszkać na stałe. Może prześpię się tu dzisiaj na kanapie i wyjdę wcześniej rano? – próbuję po raz ostatni. Nie potrafię teraz być sama. W żadnym wypadku, wzdycha. Gili mógłby się obudzić i cię zobaczyć, to mu namiesza w głowie. Idź już. Popycha mnie zdecydowanym ruchem, zapala światło na klatce schodowej, zamyka za mną drzwi do swego nowego życia. Schodzę w dół na drewnianych nogach, które nagle mi wyrosły w miejscu normalnych, z trudem dźwigając brzemień żalu i rozczarowania. Znowu zatrzymuję się przed skrzynką na listy. Arogancka wizytówka w czarnej ramce kłuje mnie w oczy. Amnon Miller. Wyciągam rękę i zrywam ją, drę twardey karton na strzępki, aby nie pozostał nawet ślad.

Jakim cudem nogi mogą stąpać, kolana zginać się i prostować, ręka trzymać poręczy, serce kurczyć się i rozkurczać, krew płynąć niczym rzeka powstrzymywanego płaczu, jak płuca mogą czerpać czarne powietrze, czyhające na mnie na dworze? Chwiejnym krokiem przeszłam między palmami stojącymi niczym dwie wieże kananejskiej świątyni w Megiddo, monument upamiętniający zrujnowany przybytek, którego nie odbudowano, podczas gdy miasto wokół powstawało i upadało dziesiątki razy. Strzępki papieru wylatują mi z rąk jeden po drugim, kiedy idę powoli przed siebie po swoich śladach, mam uczucie, że minęło kolejne dziesięciolecie. Zaledwie przed godziną odciskała się na nich pieczęć nadziei, teraz nadzieję wymazano, co zostało bez niej, puste, nierzeczywiste kroki. Gdybym tylko posłuchała ojca tamtego ranka, gdybym wróciła do Amnona i zawarła z nim wieczne przymierze, leżelibyśmy sobie teraz wygodnie w domu, Gili spałby w swoim pokoju, na swoim jedynym łóżeczku, jutro pojechalibyśmy na piknik w góry z Talią i jej mężem, szukalibyśmy dzikich kwiatów, żeby pokazać je dzieciom. Gili beztrudnie skakałby po skałach z Joawem, w niczym nieróżny od innych dzieci, niewyjątkowy. Pomyłka rośnie z każdym krokiem niczym katastrofa, której prawdziwy zasięg można ocenić dopiero po pewnym czasie. Dzisiejsza delikatność Amnona w porównaniu z brutalnością, z jaką go potraktowałam, wygląd mieszkania, miękki dywan, jego starania dla dziecka, zdumiewająca zdolność do zmiany, wszystko to tylko wzmacnia przekonanie, że popełniłam błąd, którego skutki nie znikną nigdy, błąd jak wybuch wulkanu, którego echa dotarły aż na biegun północny i do Chin.

Czy iść do nich teraz, obudzić ich ze snu, wołając: Uratujcie mnie, mamę i tatę, popatrzcie, co zrobiłam, jak na moich piątych urodzinach, gdy rozstawili na dziedzińcu ogromny stół, nakryty białym obrusem, i ułożyli na nim góry słodczy. Pozwalali mi jeść słodczy tylko raz do roku, w urodziny. Czekałam podekscytowana na koleżanki, podchodząc bezwiednie do stołu, jak przyciągana lassem, z bijącym ze wzruszenia sercem oglądałam uważnie kuszące półmiski, dotykałam ich, a cukier przylepiał mi się do palców, ujmowałam ciasteczka w kształcie kwiatka, z kroplą czerwonej konfitury w środku, zbliżałam je do nosa, potem do ust, zakazana słodczy burzyła mi krew w żyłach, aż naraz ogarnął mnie wilczy głód i nie mogłam się dłużej opanować, sięgałam na wszystkie strony, jakby nagle wyrosło mi dziesięć par rąk, dziesiątki ust gryzących, żujących, ssących, połykających i plujących. Ciężkie kostki czekolady, pierniki i leciutkie wafelki, miękkie toffi, węże z galaretki i bloki marmolady. Aż półmiski zostały prawie opróżnione, a pod stołem zgromadziły się śmiecie, podarte opakowania, na wpół pogryzione resztki. Wtedy

sięgnęłam brudnymi palcami do eleganckiego urodzinowego tortu, tortu czekoladowego, ozdobionego białym lukrem, i także go nadgryzłam i także go zniszczyłam. Dzieci zastały mnie wymiotującą pod stołem, z twarzą usmarowaną łzami w kolorach tanich barwników spożywczych, przysypaną cukrem pudrem. Uratujcie mnie, mamó i tato, patrzcie, co się stało, zniszczyłam swoje urodziny, czekałam na nie przez cały rok i co teraz zrobiłam.

Dopiero gdy mija mnie jakaś para, pogrążona w ożywionej rozmowie, zdają sobie sprawę, jak puste są ulice. Oglądam się za siebie. On jest wysoki i trochę przygarbiony, ona niska i szczupła. Pchają podwójny wózek, za nimi wlecze się chłopczyk w wieku naszego syna. Popatrz na nas, Amnon, oto my, istniejemy równolegle, nawet rodziny dzieci. Zakrywam oczy. W ślad za słowami obrazy także sprzysięgły się przeciwko mnie. Od tej chwili każdy przypadkowy widok atakuje mnie zakrzywionymi kocimi pazurami, wszystko, co utraciłam, zamienia się w niebezpieczną wizję, jak skarby, które tracimy na wykopaliskach i pozostają po nich tylko opisy lub fotografie. Obejmujące się pary, kobiety w ciąży, rodzice z dziećmi. Odwracam wzrok w stronę jezdni. Obok przejeżdża powoli elegancki samochód, budząc we mnie na krótko nieprzyjemne uczucie, po czym znika, jak światła gasnące w oknach, śpiew, który zamarł wokół opuszczonych stołów, ludzie dziękują swoim gospodarzom, skończył się kolejny wieczór. Dla mnie to nie jest po prostu kolejny wieczór, tego wieczoru przeżyłam straszliwy zawód, zawiodła nadzieja, której chwyciłam się w ostatnich tygodniach, która wspierała mnie i popychała z dnia na dzień w stromej wspinaczce, w wędrówce, która przestała mnie interesować, zanim dotarłam do połowy drogi.

Wchodzę po schodach na uginających się nogach. Co mnie łączy z tym domem? Chcę zamieszkać tam, w jego ładnym mieszkaniu, z oknami wychodzącymi na klasztor, Tam chcę spać, na łóżku przykrytym haftowaną tkaniną, za zasłoną z koralików, rankiem koraliki będą migotać w słońcu, Gili rozsunie je, nie wierząc własnym oczom, niezwykle widok, którego nie ujrzy już nigdy, mama i tata w jednym łóżku, leżą obok siebie z zamkniętymi oczami, dokładnie jak głosi szyld, który własnoręcznie wykonał, pokój taty i mamy. Straszliwie zużyte wydaje się to mieszkanie, poplamione, zbolące, ciało bez duszy, nie wygląda jak dom, lecz jak sierociniec, przytułek dla bezdomnych, którzy nie powinni przejmować się wyglądem swojego otoczenia, to tylko tymczasowe miejsce pobytu, nawet jeśli zostaną w nim do końca życia. Pośpiesznie gaszę światło, zrzucam sukienkę i padam na łóżko, słaba i rozdrażniona, a przede wszystkim pozbawiona nadziei. Czym jest nadzieja, której na ogół się nie odczuwa, jak nie odczuwa się organów wewnętrznych, gdy prawidłowo funkcjonują? Dopiero ich brak rozchodzi się po organizmie falą wstrząsu.

Łóżko wypełnia bezbrzeżna wściekłość, rozszerzająca się na cały świat. Mam uczucie, jakby pod materacem prychnął oszalały byk, który niebawem uniesie na grzbiecie ten mebel, ulicę, całe miasto, poniesie nas wszystkich na zgubę. W odróżnieniu od starożytnych mieszkańców Tery nie boję się byka, który szalał we wnętrzu ziemi. Niech się wreszcie podniesie, rozwścieczony i straszliwy, niech rozwali porządek świata, który stał się nie do zniesienia. Jak do tego doszło, że jestem sama w szabat wieczorem, jakbym była samotna, jakbym nigdy nie miała rodziny, oni są tam beze mnie, ojciec z jedynym synem, rzeczywistość wykrzywiła się, zmieniła oblicze niby piękna, zdrowa kobieta, której twarz wykręca nagły paraliż.

Jak mogłam wierzyć w przekłete opowieści o rozwodach, których słuchałam jednym uchem, naiwna i podniecona, nie rozumiałam, że chodzi o kataklizm, wybuch wulkanu, po

którym popiół zasłania tarczę słoneczną na długie miesiące.

Wtem słyszę znajomy zgrzyt klucza, skrzypnięcie drzwi jest stłumione, żeby mnie nie obudzić. Tak wchodził do domu w środku nocy, a ja, nie mogąc zasnąć bez niego, na odgłos otwieranych drzwi natychmiast zapadałam w sen. Także teraz mam ochotę uchwycić się miłego zgrzytu i zatonać we śnie, którego tak mi brakuje, lecz radosne drżenia przebiegają od koniuszków moich palców po korzonki włosów. Przyszedł, nie mógł się oprzeć, jak zawsze się poddał, próbował tylko trochę mi utrudnić, żebym nie była wobec niego zbyt twarda, wyszedł ze swego nowego mieszkania, zostawił swoje wygodne meble i wrócił do domu. Wyskakuję z łóżka i biegnę do drzwi z wyciągniętymi ramionami, szukając czegoś w nieprzeniknionej, radosnej ciemności. Amnon, to ty, prawda? - pytam ostrożnie, ale nie odpowiada, stoi przygarbiony w progu, jakby został złożony na pół przy pakowaniu, niska i gruba sylwetka. Amnon, tak się cieszę, że przyszedłeś, mówię, wiedziałam, że wcale nie myślisz tego, co powiedziałaś, przyrzekam, że nie będziesz żałował, wszystko między nami się zmieni. Wtedy przyklejona do framugi postać odzywa się pękniętym, nosowym głosem, niskim i odstręczającym. To nie Amnon, kretynko, musisz być w strasznym stanie, jeśli nas nie odróżniasz. Zapalam światło i widzę wstrętą postać Gabiego, w wygniecionej ciemnej marynarce, na policzki wybiegają mu czarne włoski zarostu jak mrówki, oczy ma przekrwione. Przyglądam mu się, bezbrzeżnie zdumiona jego obecnością, wdarcie do mojego domu, tym, kim jest i kim nie jest, w gardle zasycha mi ze wstydu i złości. Jak śmiesz, jak śmiesz! - parskam, a on przygląda mi się zaczerwienionymi oczami, sapie ciężko, roztaczając zapach alkoholu. Ostrzegłem cię, że wrócę, kiedy będzie mi pasować, żeby się z tobą policzyć, chrypi. Widzę, że na mnie czekałaś. Drwiąc spogląda na mnie stojącą w samych majtkach. Wynoś się stąd, bo wezwę policję, syczę. Jeden telefon i twoja kariera skończona, uważaj na mnie. Jakoś wiem, że tego nie zrobisz, uśmiecha się ze spokojem. Bo jesteś nędznym zarozumiałcem. Za chwilę zostaniesz bez kancelarii, a przede wszystkim bez stażystek. Wynoś się i zostaw klucz. Opiera się o drzwi, mierząc mnie wzrokiem. Nie przejmuj się, Elinko, w końcu sobie pójdę, ale najpierw dam ci nauczkę, której nigdy nie zapomnisz.

Leżę na podłodze niczym drewniana kukła, z rozrzuconymi członkami, jakby ktoś wykręcił łączące je śrubki. Gdzie podziewa się dziecko, które posprząta swoje zabawki, zanim położy się spać? Chciałaś dziś spać z Amnonem, tego właśnie chciałaś, wpycha mi do ust kwaśny chichot. To masz mnie. Wszystko, co chciałaś zrobić z nim, zrobisz ze mną. Próbuję podrapać go obgryzionymi paznokciami, odpycham jego nachylającą się nade mną twarz. Tylko w marzeniach możesz zastąpić Amnona, jesteś dla niego tylko wysypiskiem śmieci, a nawet tego już nie potrzebuje, mówię.

Ciebie też już nie potrzebuje, inaczej teraz by cię tu nie było, śmieje się. Widziałem, jak wychodzisz od niego, kiedy cię wyrzucił. Przypominam sobie samochód, który powoli obok mnie przejechał. Śledziłeś mnie, zboczeńcu. Głos więźnie mi w gardle, co to za różnica, śledził mnie, ja śledziłam Amnona, oboje jesteśmy zgubieni, zagubieni, jak dwa szkielety, znalezione nad podziemnym zbiornikiem wody w Megiddo, wpycha mi między uda swoje krótkie nogi, leżę pod nim na gołej podłodze, zimnej i twardej w dotyku jak pokrywa sedesu u Amnona. Mam wrażenie, że cała podłoga w mieszkaniu to cienka kłapa od sedesu. Za chwilę pęknie pod naszym ciężarem i poczujemy w nozdrzach smród całego miasta, dawnego i przyszłego. Powiedz „Amnon”, chrypi mi nosowo do ucha. Powiedz: „Amnon, pragnę cię”. Widzę słowa chwiejące się jak dziurawe łódeczki na suchej rzece łez, która drapie mnie w gardle.

Amnon, pragnę cię. Słowa zostały wypowiedziane, nieważne już, kto je powiedział, do kogo były skierowane. Jak błędne dusze będą leciały od szyderstwa do szyderstwa, szukając zbawienia. Powiedz: „Amnon, wróć do mnie. Zrobię wszystko, tylko do mnie wróć. Amnon, wybac mi. Zrobię wszystko, tylko mi wybac”. Mam wrażenie, że gmera palcami w moim oszołomionym brzuchu, burzy układ organów wewnętrznych, jedynie operacja będzie mogła przywrócić je na miejsce. Popatrz na mnie, gulgocze. Chcę, żebyś na mnie patrzyła, chcę, żebyś błagała, żebym cię przeleciał, a ja mamroczę, kochaj się ze mną, Amnon, bo z jego twarzy promieniuje na mgnienie oka wizja przeszłości, gdy puszcza mnie i wstaje. Nie jesteś przekonująca, kochanie. Stoi nade mną wykrzywiony, z rozchylonymi ustami. Wiesz co, nie mam już na ciebie ochoty, dlaczego mam się zadowalać resztkami po Amnonie? Podnoszę się, dysząc, moje ciało szłocha, ogarnia mnie mdły zawrót głowy i opieram się o ścianę, patrzę, jak zapina rozpiorek drżącymi palcami. - Powiem ci tylko jedno, zanim pójdę, mówi z wysiłkiem, ciężko, urywanie. Zniszczyłaś jedyny związek, jaki miałem w życiu. Nie mam żony, dzieci ani prawdziwych przyjaciół. Miałem tylko jednego przyjaciela, znaleźliśmy się, odkąd skończyliśmy sześć lat, a ty zwabiłaś mnie w pułapkę i sprawiłaś, że ze mną zerwałam. Nie wybaczę ci tego nigdy. Pociesza mnie jedynie, że ty go także straciłaś, ale to za słaba pociecha. Wyjmuje z kieszeni klucz, rzuca mi go pod nogi. Zabieraj, nie potrzebuję go już.

Stoję przed nim jak skazaniec. Kara czasem bywa aniołem śmierci, czasem płomienistym mieczem, a czasem bykiem o złotych rogach, kara, która nigdy nie jest zapowiedziana, a jej nadejście łączy się ze strasliwą, przerażającą ulgą. Także on tak stoi przede mną, z wykrzywioną twarzą. Jesteśmy współnikami zbrodni, oboje ocaleliśmy mimo woli, otrzymaliśmy jednakowy wyrok, tej nocy jesteśmy jak bracia wygnani z miasta, jak zbiegowie w środku nocy, jak trędowaci. On jest wart mnie, a ja jego. Na uginających się nogach idę do lodówki, wydaję butelkę wina, którą kupiłam na cześć powrotu Amnona, z zadziwiającą łatwością wyciągam korek i nalewam do dwóch głębokich kieliszków, które wcześniej postawiłam na stole. Stoją na cienkich nóżkach jak czaple, które zapadły w głęboki sen, na chwilę przed nadejściem myśliwych.

Baśniowe królestwo pośrodku Morza Śródziemnego zniknęło w przeciągu jednej nocy, pozostała po nim tajemnicza legenda, oszalamiający przepychem pałac z setkami komnat, gdzie na zachwycających malowidłach ściennych można podziwiać muszle, ośmiornice, delfiny, skrzydlate anioły, rogate byki, postacie towarzyszące gościom w każdym pomieszczeniu, boginie o nagich piersiach i umięśnieni atleci, wśród nich jest także Fryzyjka o wyniosłym spojrzeniu, z klejnotami we włosach.

Światło słoneczne, doprowadzane specjalnymi tunelami do największego, najbardziej wyrafinowanego pałacu starożytności, oświetlało malowane na czerwono kolumny z libańskich cedrów, o czarnych zwieńczeniach, przepiękne reliefy w kości słoniowej i szlachetnych kamieniach, dzbany na oliwę i wino, wyższe od ludzi. Te zapierające dech w piersi skarby znajdowały się jednak w słabym punkcie kuli ziemskiej i zniknęły w jeden dzień, zalane dziesiątkami metrów lawy, bo w połowie drugiego tysiąclecia przed naszą erą wydarzył się najstraszliwszy odnotowany w dziejach ludzkości kataklizm, leżąca pośrodku Morza Śródziemnego wyspa Tera została rozerwana na kawałeczki z niespotykaną siłą.

Otwarta paszcza wulkanu wyrzuciła z siebie niewiarygodne ilości pyłu wulkanicznego, grzebiąc nad podziw rozwiniętą starożytną cywilizację, po której pozostały ostre, dymiące skały, krzywy uśmiech na tafli wody. Wybuch przyniósł też rozpaczliwą tęsknotę za słońcem, które przez wiele lat nie ukazywało oblicza, co doprowadziło do prawdziwej rewolucji religijnej w odległej cywilizacji egipskiej, gdzie Aton, bóg tarczy słonecznej, został wyniesiony do godności jedynego bóstwa, bo chmury pyłu wulkanicznego zakrywały słońce przez całe lata, siedem zim. To także koniec wielkich potęg epoki późnego brązu, Egiptu i państwa Hetytów. Zamiast nich pojawią się mniejsze państewka, Edom, Moab i Amon, Izrael i Juda, które będą musiały zmierzyć się z rozpadem ustalonych struktur, rosnącą przemocą, tysiącami zbiegów wędrujących po morzach i lądach w poszukiwaniu nowego domu, z zimną, zaciśniętą pięścią epoki żelaza.

Odtąd wszystko tak będzie wyglądać; co pewien czas przejdzie pod oliwkową bramą, zgarbiony i niezdarny, niosąc dziecko na barana, bez żalu spojrzy na dom, który pozostawił, resztki rozbitej rodziny, zamieni ze mną kilka uprzejmych słów, ustali plan na następne dni, pocałuje Gilego w czoło, zmierzwi mu włosy, nigdy się nie spóźni i nigdy nie złamie obietnicy, roztaczając wokół swój szczery uśmiech, budząc we mnie gwałtowne, irytujące zdziwienie, jakim cudem zaledwie kilka ulic stąd narodził się nowy Amnon, powściągliwy i sympatyczny, grzeczny i chłodny, słowny i wrażliwy, jakim cudem w połowie życia, w niemłodym wieku, wyłonił się ze skorupy zapalczego, gorączkowego, zmiennego i niecierpliwego Amnona.

Czy naprawdę tak będzie odtąd wszystko wyglądać, gdy jesienne dni są coraz krótsze, jakby nastąpił gdzieś wybuch wulkanu, gdy jestem coraz słabsza, tracę kontakt z życiem? Co jakiś czas idę do swego biura w Urzędzie Starożytności, żeby odebrać pocztę, do biblioteki, w której pachnie znajomo kurzem i miodem, chcąc nie chcąc, widzę znajome twarze, wydaje mi

się, że między mną a życiem otwiera się przepaść nie do pokonania. Co się z tobą dzieje, jesteś chuda jak szkielet, moglibyśmy pokazywać się w muzeum, dziwią się koledzy, a ja uśmiecham się z zaciśniętymi szczękami. Tak, najpewniej to jest rozwiązanie, zamiast pożywienia trawić organy wewnętrzne, nawet słodczy mnie odrzucają, jak wtedy, po przyjęciu urodzinowym, kiedy nie mogłam znieść widoku słodczy przez cały rok, do następnych urodzin.

Tak, najwyraźniej to jest rozwiązanie, skurczyć się, skulić, zmniejszyć, zeschnąć, zmaleć, aż stanę się znów niemowłkiem wydającym stłumione jednosylabowe gruchanie, kopiącym maleńkimi nóżkami, ojciec i matka wezmą mnie pod opiekę, będą zaspokajali wszystkie moje potrzeby, jak udawało im się to tylko na początku. Wydaje mi się, że jeszcze większe zdumienie budzi fakt, jakim cudem z oddanej, cierplivej i spełnionej matki wyłoniła się nieszczęśliwa, samotna dziewczynka, nerwowa, poirytowana i chora. Straszliwe osłabienie nie pozwala mi funkcjonować, czarne zawroty głowy, lepkie mdłości. Mam wrażenie, że jedyny most, który łączy mnie z życiem, to dziecko, lecz nawet on topnieje jak wosk w słońcu, bo nadszedł czas, że nie mogę nawet wstać z łóżka. Proszę bezsilnie Ammona, żeby zabrał Gilego na kolejny dzień, zgadza się chętnie, z ukrytym tryumfem. Prawda wyszła na jaw, mówi jego głos, pocieszająca prawda, w godzinie roby okazało się, kto jest lepszym rodzicem, przez sześć lat pyszniłaś się przede mną, teraz, w chwili trudności, które własnymi rękami na siebie sprowadziłaś, przestajesz funkcjonować, tracisz zainteresowanie dzieckiem. Ja, którego uważałaś za niedbałego egoistę, okazałem się bardziej Stabilny, tylko na mnie można się oprzeć. W milczeniu przyjmuję jego ukryte ukłucia. To przejściowe, pocieszam się, niebawem otrząsnę się i wszystko wróci do normy. Znowu będę się wpatrywać w Gilego z podziwem, chciwie słuchać jego opowieści, znowu będziemy siadywali na dywanie, budując skomplikowane zamki. Niech tylko minie ten okres, przecież nie może trwać wiecznie. Mam wrażenie, że Gili prawie tego nie zauważa. Im bardziej jestem osamotniona, tym chętniej otacza się nowymi kolegami, niemal codziennie bawi się z nim kolejny chłopiec. Oddycham z ulgą, bo podwojony harmider pozwala mi oddalić się od niego, nie siedzieć z nim w mrocznych popołudniowych godzinach, kiedy zimne powietrze jest ostre i twarde. Po wyjściu kolegi wanna szybko napęlnia się wodą i już czeka łóżko, przejmie go do rana, zaraz po bajce, która coraz bardziej się skraca, jak dnie o tej porze roku. Tak zbywam go dzień po dniu, unikam wcześniejszej bliskości, idealnej miłości, bezpiecznej i sycącej, przyćmiewającej blaskiem i czułością wszystkie znane mi miłości, nerwowe, skomplikowane.

Kiedy zasypia, szybko sprzątam po kolacji, połykam resztki z jego talerza, kawałki jajka na twardo i pity, po krótkim wahaniu zjadam też resztki z talerza kolegi, bo lodówka jest prawie pusta, w dolnej szufladzie zwiędłe warzywa pokrywane się lepkiem szronem, jogurty kwaśniejają. Co wieczór postanawiam, że jutro już na pewno pójde do sklepu, zapelnię lodówkę jak kiedyś, ale w końcu udaje mi się kolejny raz przyrzadzić kolację z nielicznych pozostałych produktów. Rozglądam się wokół z gniewnym zdumieniem, patrzę na niszczejacą skrzynkę na kwiaty, na zeschnięte rośliny, jabłka psujące się w misce z owocami, kapiący kran. Nawet koty, które kiedyś się tu zakradały w poszukiwaniu resztek, przestały przychodzić, jakby dom opuścili mieszkańcy. Nieoczekiwanie i niezrozumiale rozstanie z Ammonem przyniosło koniec rozmaitych form życia w tym mieszkaniu.

Nie, nie sądziłam, że tak to będzie wyglądać. Co jakiś czas jeszcze miga mi przed oczami życie, które sobie wyobrażałam, niezwykle spokojne i harmonijne. Za dnia będę pisać pracę,

po południu będę się bawić z Gilim, w nocy będę sama. Jeśli kiedyś zainteresuję się jakimś mężczyzną, łatwo to zrealizuję, będę wolna, a nie samotna, rozwódka z dzieckiem, czyż nie jest to najbardziej pożądana sytuacja? Ale kiedy rano garbię się przed komputerem, próbując opisać najstraszliwszą katastrofę naturalną starożytnego świata, z cudem zachowanych fresków wyłania się jedynie historia naszej trójki. Jak nazwał mnie Fryzyjką, wyciągając z kieszeni przezrocze. Chodź, popatrz, powiedział. Pochodzisz stamtąd, z Tery, sprzed czterech tysięcy lat, to niewiarygodne. Spojrzałam na przezrocze pod światło i ujrzałam swoje aroganckie spojrzenie w bladej, eleganckiej twarzy, wargi pociągnięte intensywną czerwienią, włosy ozdobione klejnotami.

Była przypuszczalnie kapłanką, powiedział, ale naukowcy ochrzcili ją Fryzyjką, ze względu na uczesanie i makijaż. Co za głupcy, można by pomyśleć, że starożytni niczym się nie ozdabiali. Ujął mnie za podbródek, obracając twarz, zerkając na przemian na mnie i na przezrocze. Tego samego dnia wieczorem, kiedy po raz pierwszy spacerowaliśmy po rozoranym terenie, rozgrzanym niczym ciało gorączkującego chorego, powiedział: Zwyczajnie udajesz. W ogóle nie jesteś archeologiem, interesują cię tylko baśnie. Teraz, kiedy staram się ubrać znaleziska w naukowy kostium, widzę, jak bardzo miał słusność, tylko opowieści, tylko nasza historia, która rozpoczęła się w Tel Jezre'el, a skończyła dziesięć lat później, w trzypokojowym mieszkaniu, w jednej ze starych dzielnic Jerozolimy. Kiedy stopniowo zawężam obszar poszukiwań, wydaje mi się, że ostatni wykop, którego znaleziska powinnam udokumentować fotograficznie i na rysunkach, w wykresach i szkicach, znajduje się w pokoju Gilego, w łóżku, gdzie jego ciało przykryło moje po raz ostatni, wracam tam każdego ranka, drżąc z zimna, staram się przywołać wspomnienie rozgrzanego ciała, bo z biegiem czasu coraz bardziej blednie, chwilami wydaje mi się nawet, że tam nasza miłość wzniosła się po stopniach oczyszczenia i zjednoczenia, tam złączyły się nasze ciała z niezrównaną intensywnością, z siłą jego obrazy i żalu, z siłą mojej odmowy, uporu i mściwości. Kiedy przytulam się do pluszowych zwierzątek i patrzę w tępe oczy lwicy o wielkich źrenicach, wiem, że to moje oczy wpatrywały się w niego, droższego od wszystkich, suchym i pustym szklanym spojrzeniem, próbuję sprowadzić go z powrotem do łóżka, sprawić, aby ten dzień zakończył się inaczej, ostatni dzień rodziny.

Pod puchową kołdrą Gilego, z której unosi się leciutki zapach moczu, moje ciało reaguje na jego dotyk, staram się ożywić dawną przyjemność, która przetrwała gdzieś głęboko, muszę ją tylko zlokalizować. Kiedy kładę na niej ręce, znika. Znajome ciało zamienia się w labirynt ogromny niczym pałac Minosa w Knossos, gdzie mieszkał Minotaur i dziewczęta. Niekiedy oplata mnie senność lepka jak karmel, z której otrząsam się przerażona, muszę odebrać dziecko. Patrzę na zegar, ale upłynęło zaledwie dziesięć minut, mgnienie oka, tak niewiele w porównaniu z długimi godzinami bezsenności, szczerzącymi fioletowe, obślinione kły. W coraz silniejszych majakach, jak przed zapadnięciem w chorobę, wydaje mi się, że w pokoju obok, tuż za ścianą, jest moja rodzina, słyszę ich swobodne głosy, jak dawno temu. Tato, jestem głodny. Co ci zrobić, chleb z czekoladą, może coś zdrowszego, owoce albo surówkę? Nie, chcę chleba z czekoladą. Tato, popatrz, co narysowałem. Jakie ładne, kochanie. Tato, gdzie mama? Mama śpi, nie czuje się dobrze. Kiedy wyzdrowieje? Niedługo, jutro na pewno poczuje się lepiej.

Gdzie jest to obiecywane jutro, które trzepocze nade mną skrzydłami, nie mogę ich pochwycić. Przede mną piętrzy się jeden długi dzień niczym drabina sięgająca nieba, nie ma jutra. Jeden długi dzień, w którym muszę odprowadzać Gilego do szkoły i odbierać go

dziesiątki razy, robić dziesiątki kolacji, nalewać wodę do dziesiątków wanien, pisać dziesiątki stron, zatykać ból w gardle twardym korkiem, żeby nie wytrysnął jak napój gazowany z butelki, czekać na noc. Nie żeby spać, lecz aby przestać udawać. Kiedy jednak wcześnie kładę się do łóżka, obok mnie leży agresywne, wymagające stworzenie, bazgrzące po ścianach pokoiów mojego serca. Cienka nitka snu rwie się raz po raz, nie łączy się z powrotem. Leżę rozbudzona. Łóżko zamienia się w arenę walki wspomnień. Dobre wspomnienia walczą ze złymi niczym muskularni gladiatorzy. Okazuje się, że liczę na przegraną dobrych, kibicuję złym wspomnieniom, które wbrew mojej woli coraz bardziej się rozmywają, aż wydaje mi się, że nasze dni wypełniał tylko błogosławiony spokój.

Elu, to nie przejdzie samo, potrzeba ci pomocy, mówi Dina. Mam kogoś, kto przepisze ci lekarstwo i w ciągu miesiąca dojdiesz do siebie. Powiedz tylko słowo, a umówię cię. Od razu odmawiam. Po co mi leki, nie jestem chora, po prostu jestem w szoku po tym, co zrobiłam. Nie jesteś w szoku, ale w depresji, odpowiada. Nic dziwnego, rozstanie to jedna z najsilniejszych traum w życiu, równa intensywnością żałobie, ale bez jej uprawnienia, musisz rozpocząć terapię albo brać jakieś środki, najlepiej jedno i drugie, przynajmniej w najbliższych miesiącach. Jakie środki, protestuję, leki nie zmieniają rzeczywistości, nie przywrócą mi rodziny, gdybym była przygnębiona bez powodu, potrzebowałabym terapii, przecież mam doskonały powód, to dowodzi, że jestem całkiem normalna. Daj mi tabletkę, która przywróci poprzednią sytuację, a połknę całe opakowanie, zapewniam ją, lecz ponieważ mojego błędu nie da się naprawić, na co mi to. Elu, jak ty nic nie rozumiesz, wzdycha, leki nie zmieniają rzeczywistości, ale pomogą ci się z nią uporać, tego właśnie teraz ci trzeba, mówiłam już kilka razy, wcale nie jestem przekonana, że popełniłaś błąd, w głębi duszy ty także nie jesteś przekonana.

Nie popełniłam błędu? Jak możesz tak mówić, oburza mnie ta jawna herezja, popatrz, co miałam, a co mi zostało, miałam rodzinę, miałam męża, który mnie kochał, mój syn miał stabilny dom, popatrz, rozpadam się na kawałki bez tych struktur, nie zdawałam sobie sprawy, że są tak ważne. Znowu dajesz się ponieść wyobraźni, rzuca, znam te mity, które tworzymy w chwilach kryzysu. Im bardziej oddalamy się od jakichś wydarzeń, tym wydają się cudowniejsze. Za chwilę powiesz, że byliście królem i królową, mieszkaliście w pałacu. Wytłumacz mi, jak mogłam być tak ślepa, przerywam, jak mogłam nie przewidzieć, że stanie się coś takiego, jasne, że nikt nie zna dobrze drugiego człowieka, ale żeby nie znać samego siebie? Nie mogę się z tym pogodzić, byłam pewna, że bez niego będę szczęśliwa, będę się cieszyła każdą chwilą wolności, popatrz, co się dzieje.

Przyznaję, także jestem zdziwiona siłą twojej reakcji, mówi ostrożnie, siadając na krawędzi łóżka, ale przestań się obwiniać, trudno przewidzieć coś takiego, kto wie, na jaki punkt dawnego bólu natrafiłaś, wpadłaś do jamy, która zawsze istniała, nawet jeśli o niej nie wiedziałaś, nie wiadomo, co tak naprawdę oplakujesz. Oplakuję swoją rodzinę, mówię, co w tym takiego dziwnego, czemu trzeba szukać odległych przyczyn, kiedy są bliskie? Psychika nie odróżnia, co jest blisko, a co daleko, ona na to. Warto, żebyś zanalizowała swoje przeżycia w szerszym kontekście. To właśnie starałabym się osiągnąć, gdybyś była u mnie na terapii. Spotkałaś się z taką sytuacją? - pytam. Z kobietą, która zainicjowała rozwód, a potem przeżyła takie załamanie?

Oczywiście, mówi, i to nie raz, ale to na ogół przemija, ten stan nie świadczy o przeszłości ani przyszłości, nie oznacza, że będziesz żałować do końca życia, to nawet nie znaczy, że jest czego żałować, tylko że mierzysz się teraz z dawnymi, głęboko ukrytymi siłami niczym z

chorobą, która zagnieżdżyła się dawno temu i wybuchła nagle, potrzeba ci pomocy, jesteś to winna swojemu dziecku, nie mam wątpliwości, że Gili rozumie więcej, niż ci się wydaje. Jestem przekonana, że on w ogóle nie zauważa mojego stanu, mówię, nie wiesz nawet, jak bardzo się staram, przez cały czas udaję. Może on także udaje, uśmiecha się Dina, myślisz, że twoje teatralne uśmiechy go przekonują, że nie zauważa, co się z tobą dzieje, co widać w twoich oczach? Dzieci rozumieją wszystko, Elu, ocknij się wreszcie, musisz zacząć się leczyć dla dobra dziecka.

Dziecko. Czasami zapominam, jak ma na imię i w duchu tak go nazywam. Dziecko, kochane, zapomniane dziecko, cień mojego wspaniałego chłopczyka, pomnik nieistniejącego przymierza. Czasami wyobrażam sobie, że śmieje się w głos na mój widok, jak w parnych dniach jego niemowlęctwa, kiedy kołysałam go w ramionach. Unosiła się od niego leciutka mgielka, jakbyśmy byli oboje spowici obłóczkiem waty cukrowej, zatopieni nawzajem w swoich potrzebach, przekraczając granice własnych uczuć. Co naprawdę rozumie dziecko, które zaakceptowało wszystkie zmiany poza jedną, przeciwko niej się buntuje i protestuje z całą mocą, uporem i desperacją, aż wydaje się, że wszystko, co utraciło, wszystkie tęsknoty i potrzeby, resztki jego stabilnego świata, odłamki bezpieczeństwa, koncentrują się w mieszkaniu na poddaszu, zastawionym książkami, z meblami o wygiętych nogach, z wysokimi sufitami, gdzie z okien widać dachy w rdzawych barwach ziemi i wina.

Mamo, ja chcę do babci i dziadka, wyjękuje prawie co wieczór niczym modlitwę, dawno tam nie byłem, nawet w święta do nich nie poszliśmy. W tym tygodniu nie możemy, zbywam go, dziadek jest za granicą, babcia chora, może za tydzień. Lepiej ode mnie pamięta te nędzne wymówki. Dziadek już wrócił? - pyta po kilku dniach. Babcia już wyzdrowiała? Z trudem rozumiem, o co mu chodzi, ach tak, przypominam sobie, to znaczy, nie. Wyjechał jeszcze raz, zachorowała jeszcze raz. Starsi ludzie zimą ciągle chorują. Ale zeszłej zimy nie była chora, protestuje podejrzliwie. Raz w tygodniu odbierała mnie z przedszkola i gotowała mi rosół, a dziadek uczył mnie grać w szachy, ale było fajnie, kiedyś nawet z nim wygrałem, z przyjemnością rozpamiętuje krótkie dzieje swojego życia. Chcę, żeby jutro odebrała mnie ze szkoły. Jutro to niemożliwe, odpowiadam, może w przyszłym tygodniu, przeklinam w milczeniu ich oboje, para mamutów bez serca, czemu nie powiedziałam mu, że umarli, zginęli, jak przepowiadali to jemu, przynajmniej nie zwracałby głowy pytaniami. Czy już ożyli? Czy wstali z grobu? Zdaję sobie sprawę, że jego zdziwiony głosik sieroty to mój głos, przecież nie ma dnia, żebym o nich nie myślała, planując, jak pójdę tam pewnego ranka, wejść, nie dzwoniąc, wpadnę do jego pokoju. Jestem, tato, znowu będę twoją grzeczną dziewczynką, próbowałam wrócić do Amnona, ale on się nie zgadza, chciałam zawrzeć z nim przymierze, ale odmówił, zobaczmy, czy jego także zaprosisz na spotkanie, czy zastraszysz go gniewnymi przepowiedniami, chyba nigdy się z nich nie otrząsnę. Powiedz mu, jak pewna jest katastrofa, jakie wątpliwe szczęście, powiedz mu o losie dziecka, o okrutnych dłużnikach psychiki. Okruch głupiej nadziei tańczy wokół mnie niby zabłąkany promień słońca, on wszystko naprawi, jeśli tylko zechce, jeśli uwierzy, że mam czyste intencje. Ale kiedy czasem przechodzę koło ich domu, uciekam czym prędzej, jakby z okien celowały we mnie lufy strzelb, które za chwilę otworzą zimny, skoncentrowany ogień. Ojciec z matką mieszkają w połowie drogi między naszym domem a szkołą, więc kiedy wracam z Gilim po południu, uważam, by wybrać okężną ulicę, aby nie zauważył, że jesteśmy tak blisko, nie zarzucał mnie prośbami, których nie potrafię spełnić, prowadzę go w kółko, jak robi się z porwanymi. Gdybym mogła, bez wahania związałabym mu przepaskę na oczach. Jednak

pewnego dnia, kiedy wychodzimy ze szkoły, idę z jego tornistrem na ramieniu, trzymam go za rękę, upadają nam na twarz szare krople deszczu, zacinające z nagle pociemniałego nieba. Ponaglę go, wybieram krótszą drogę i biegiem zbliżamy się do ich ulicy, już mnie nic nie obchodzi, nawet budzi się we mnie nadzieja, potęguje się jak deszcz, może to stanie się dzisiaj, może zobaczą nas przez okno, może Gili zauważy dom i zmusi mnie do wejścia, nie będę miała wyboru, będę musiała się zgodzić.

Prowadzę go przed sobą jak przynętę, zwalniam kroku i czekam, aż zacznie mnie błagać, ale on idzie z opuszczoną głową, opowiada, jak pokłócił się z Jotamem, co za debil, wścieka się, nigdy już do niego nie pójde, ciągle tylko skarży się i maże. Przypominam sobie tłumiony płacz, który dobiegał z jednego z pokojów, poranny blask, który naraz się załamał, i mam wrażenie, że od tamtej pory słońce przestało świecić. Unosi głowę i raptem się rozjaśnia, jego zielonkawoblada twarz promienieje, mamę, to dom babci i dziadka, prawda? Tak, przecież zawsze tędy przechodzimy, udaję naiwność, to po drodze. Pociąga mnie za rękę. Mamę, chodźmy do nich, nawet jeśli babcia jest chora, nic mnie to nie obchodzi, nie ustąpię. Zgadzam się z teatralnym westchnieniem, bez niego nie odważyłabym się wejść, trzymam go przed sobą niczym zakładnika, bilet wstępu do rodzinnego domu. Kiedy byłam mała, nie miałam dziecka, byłam z nimi sama.

Dziadku, babciu, to ja! - krzyczy podekscytowany, uderzając w drzwi pięstkami, twardymi i brązowymi jak orzechy, otwiera, nie czekając, i galopuje jak żreback korytarzem. Matka wychodzi z kuchni. Gili, co za niespodzianka, mamrocze. Jej siwe włosy są potargane, patrzy na nas z wahaniem. Zarazem cieszy się na nasz widok i obawia reakcji ojca zamkniętego w gabinecie. Jak to dobrze, babciu, że już jesteś zdrowa! - Gili przypada do niej, a ona dziwi się: Zdrowa? Od dawna nie chorowałam. Patrzy na mnie z podejrzliwym zdumieniem, ale nawet nie zadaję sobie trudu, aby do niej mrugnąć. To chwilowo mój najmniejszy problem. Strasznie wyglądasz, Elinko, obejmuje mnie niepewnie. Jak chodzący szkielec. Gili jest poruszony jej słowami. Sam fakt, że jestem czyjąś córką, budzi w nim zdumienie i niedowierzanie, przyjemne i irytujące zarazem. Zrób jej coś do jedzenia - oświadcza, to twoja córeczka. Tak, chodźcie do kuchni, mówi matka, jednocześnie szepcząc mi na ucho: Mam nadzieję, że ojciec się nie rozgniewa. Mówi, że trudno mu teraz widywać się z dzieckiem. Nie waż się powtarzać tych słów, syczę. Kiedy wreszcie zrozumiecie, że to dziecko jest ważne, a nie wy? Gili cierpi z powodu tej separacji, wy sobie poradzicie, jesteście dorośli. Znowu zaczyna: Mnie nie musisz przekonywać, Elinko, to on stwarza problemy. Pozwól mi rozwiązać ten problem, mówię. Już ja z nim porozmawiam.

Znowu trzęsą mi się nogi, ogarnia mnie nagła słabość na widok jego nieruchomych pleców, w szarym, szorstkim niczym cement swetrze siedzi bez ruchu, przygarbiony przed komputerem. Palce trzyma nad klawiaturą, jak gdyby nigdy nic cyzeluje nowy wykład, wygłosi go na jednej z wielu konferencji, na które go zapraszają. Obok stoi szklana salaterka, a w niej obrane jabłko, pokrojone w plasterki. Co godzinę matka obiera mu nowe jabłko, nawet jeśli nie ruszył poprzedniego. Zamykam drzwi z głośnym trzaśnięciem i dopiero wtedy odwraca się, jego twarz z brązu powoli ożywa, a on porusza stopami w grubych wełnianych skarpetkach, przypominających włóczkowe niemowlęce buciki, obraca fotel w moją stronę. Elu, mówi z nienagannym akcentem. Zdejmuje okulary w pozłacanych oprawkach i wbija we mnie chłodne spojrzenie. Jego oczy mają barwę stali, podobne wydają się w dotknięciu, odległe niby oczy boga umywającego ręce od świata, który stworzył, gdy ten odrzucił jego władzę. Popatrz, jaka jestem wychudzona, tato, jaka blada, posłuchaj, jak krzyczą moje kości pod skórą, posłuchaj

lamentu pożeranych organów, stado myszy wdarło się do mojego ciała i zjada je od wewnątrz, mrówki drążą w nim korytarze, wbijają we mnie cienkie i ostre igły. Jak się miewa Gil'ad? - pyta, odwracając wzrok, jakby nie mógł znieść mojego widoku, a ja mówię: Tęskni za wami, ta separacja jest dla niego trudna. Ojciec usprawiedliwia się cicho: Także mnie jest ciężko, jak wiesz. Tylko dlatego, że tak go kocham, wolałem go nie widywać, rozumiesz, prawda? Nie, uchowaj Boże, z obojętności czy bezmyślności. Milczę, odwlekając potwierdzenie, na którym nagle mu zależy.

Czułem, że nie dam rady znieść jego cierpienia, tłumaczy się. Bałem się, że moja gwałtowna reakcja tylko pogorszy jego samopoczucie. Nie chciałem mu zaszkodzić, rozumiesz, ale liczę każdy dzień, odkąd go nie widziałem, sześćdziesiąt sześć dni, oświadczając, podkreślając swoją tęsknotę, jakby to o niego chodziło. Tym razem wolę uniknąć otwartego starcia. To chwilowo nie jest najważniejsze, mówię, nie o to chodzi. Przed oczami mam palmę tańczącą na silnym wietrze niczym epileptyk, cienki pień wygina się na wszystkie strony niczym mokra, potargana czupryna. Jak bardzo zmieniłyśmy się obie od tamtej rozmowy, wciąż czającej się w pokoju, ciężkiej i stalowej.

Wiesz, że próbowałem cię przestrzec tylko z troski, ciągnie, jak zawsze skoncentrowany na sobie, na swoich czystych intencjach, jakby był tragicznym bohaterem tej ponurej historii. Kręcę niecierpliwie głową, czekając, aż skończy obronną przemowę i będę mogła się odezwać. Kiedy powiedziałem ci, że lękam się tego, co czeka dziecko, to oczywiście było tylko daleko posunięte ostrzeżenie, dodaje, abyś rozważyła swoje postępowanie, to nie była dokładna prognoza, nawet jeśli używałem mocnych słów. Patrzą na niego bez tchu, wzburzona. To cię teraz dręczy, że twoja prognoza nie była dokładna! Kontynuuje, jakby odgadywał moje myśli, oczywiście, bardzo się cieszę, że on sobie dobrze radzi, zwłaszcza teraz, kiedy klamka zapadła i nic nie można zrobić.

Tato, posłuchaj przez chwilę, przerywam mu, inaczej nie przestanie gadać, będzie perorował i argumentował, protestował i ostrzegał w nieskończoność. Musisz mi pomóc, tylko ty teraz możesz mi pomóc, miałaś rację, obym cię była wtedy posłuchała, zrozumiałam to za późno, to rozstanie to dla mnie katastrofa, musisz mi pomóc, żeby Amnon do mnie wrócił. Ja? - dziwi się z fałszywą skromnością. Jak ja mogę pomóc? Przesuwa ręką po gęstej czuprynie. Zawsze miałaś wpływ na Amnona, mówię. Musisz z nim porozmawiać o tym, co może stać się z Gilim, o przymierzu, które powinniśmy zawrzeć, powiedz mu to wszystko, co wtedy mówiłeś mi, wygłoś wszystkie swoje groźne przepowiednie, czarne przewidywania.

Jeśli na tobie to nie zrobiło wrażenia, tym bardziej nie zrobi na nim, waha się z mieszanymi uczuciami, dumny ze swej doniosłej roli, lecz nieprzekonany do podjęcia zadania. Zrobiło na mnie wrażenie, ale z opóźnieniem, mówię, musisz spróbować. Obawiam się, że to nie ma sensu, wzdycha, pocierając stopami w wełnianych skarpetkach, trzeba kuć żelazo, póki gorące, dlatego wtedy pilnie poprosiłem cię o rozmowę. Niestety, na tym etapie chyba wszystko już wystygło. Skąd wiesz, zdumiewam się. Kilka dni temu spotkałem Amnona na uniwersytecie, mówił, że wasze rozstanie dobrze mu zrobiło, przyznając, że sam odniosłem takie wrażenie, wydawał się spokojniejszy, twierdzi, że jego relacje z Gilim są lepsze, chyba nie ma sensu teraz z nim rozmawiać, już za późno. Z rosnącym lękiem słucham tych decydujących słów, ostatnia kropla nadziei, mój wszechmocny ojciec, który całe życie był przeciwko mnie, jeśli jeden raz stanie przy mnie, nic nam się nie oprze.

Musisz mi pomóc, szlocham, padając na starannie zaścielone łóżko. Chociaż w domu są

dwie puste sypialnie, wolą spać w gabinecie. Musisz mi pomóc, zrobiłam wszystko, co mówiłeś, obiecałam, że wszystko się zmieni, błagałam, żeby wrócił, ale odmówił, widzisz, to jego wina, to on zniszczył naszą rodzinę, nie tylko ja, tak jak myślałeś. Przygląda mi się z widoczną odrazą, takie wybuchy nigdy nie zdarzały się w naszym domu, po tych podłogach nigdy nie stąpały tak wstydliwie obnażone uczucia. Wydaje mi się, że to nie jest dobry moment na szukanie winnych, mówi chłodno. Właśnie że tak, upieram się. Musisz przyznać, że to nie moja wina, tylko wtedy trochę lepiej się poczuję. Wzdycha, przysuwa się do mnie z krzesłem, powoli i bojaźliwie. Wiesz, że jestem naukowcem, mówi, nie potrafię wymyślać słów bez podstawy, oczywiście, że jeśli istnieje jakaś wina, choć lepiej powiedzieć „odpowiedzialność”, z pewnością leży po obu stronach, ale najważniejsze, że to wszystko nie ma teraz znaczenia. Elu, to już stracone, skończone i dopełnione. Skoro wreszcie dotarło do ciebie, że nie można tego skleić z powrotem, musisz pomyśleć o przyszłości, nie o przeszłości. Powiedz tylko, że to nie przeze mnie, nie ustępuję. Powiedz, że to i tak by się stało. Takie mówienie nie ma sensu, to do niczego nie prowadzi, porusza nerwowo nogą.

To co do czegoś prowadzi, rozpaczam. On na to: Powinnaś przestać się tym zajmować i skończyć wreszcie pisać pracę, zanim wrócisz w teren. Nawiasem mówiąc, na ostatniej konferencji spotkałem jakiegoś archeologa, który powiedział mi, że związek wybuchu w Terze z wyjściem z Egiptu uważany jest obecnie za całkiem nienaukowe podejście. Żaden poważny badacz nie wierzy, że wyjście z Egiptu w ogóle miało miejsce, radzę, żebyś jeszcze raz przemyślała swoje wnioski, dlaczego zawsze musisz iść pod prąd? Zamykam oczy, słucham entuzjastycznego głosu, relacjonującego wyczerpująco, jak ów archeolog zachwycał się akurat jego wykładem, oczywiście nie on jeden, jak natychmiast zaproszono go na trzy następne konferencje. Im dłużej mówi, tym grubszą pokrywam się warstwą szronu, kłujący mróz przenika mi ciało, choć pokój jest ogrzewany, nawet jeśli wyzionę teraz ducha, nie zauważy i nie przestanie mówić. Jak przez mgłę słyszę dobitny głos, odbijający się echem od ścian, rozradowane okrzyki Gilego w kuchni, wycie wiatru, który niby posłaniec złych wieści przelatuje od domu do domu.

Daj mi koc, szepczę, szczękając zębami, a on milknie nareszcie. Co powiedziałaś? Przepraszam? Koc, szepczę, chcę koc. Wciąż nie rozumie. Tylko sama możesz sobie wybaczyć, oznajmia, nie masz po co prosić mnie o wybaczenie. Tato, prosiłam o koc, mówię, a on wybucha sztucznym śmiechem. Ach, nie zrozumiałem. Saro, woła głośno, przynieś Eli koc. Matka natychmiast staje w progu jak żwawa pokojówka, za nią błyska głowa Gilego. Dziadku, to ja! - oznajmia z naiwną ceremonialnością, a ojciec rozpościera ramiona, w końcu wstaje z fotela. Ale ty urosłeś, kochanie, pamiętasz jeszcze, jak się gra w szachy? No pewnie że pamiętam, wykrzykuje Gili, zagrajmy, zobaczysz, że z tobą wygram, chwali się, serce rośnie mu w piersi z radości. Matka przykrywa mnie czerwonym kocem w kratę, jej widoczna troska przygnębia mnie zamiast uspokajać. Co się stało? - wypytuje. Wyglądasz na chorą, kiedy ostatnio byłaś u lekarza, ile razy ci mówiłam, żebyś zrobiła badania krwi, kiedy wreszcie mnie posłuchasz? Kładzie mi rękę na czole i wydaje okrzyk, jak ukąszona. Jesteś rozpalona jak piec, Elinko. Dawid, popatrz, jaka jest rozpalona. Usiłuję się podnieść, powala mnie fala mdłości. Przynieś miskę, szepczę, ale nie zdążyła. Wydaje się, że wszystko, czego nie doniosłam do ust w ciągu sześćdziesięciu sześciu dni, naraz wzbiera w gardle i tryska gorzką strugą na łóżko. Wszystkie słowa, których nie odważyłam się powiedzieć przez trzydzieści sześć lat, topią się w wysokiej gorączce, zamieniają w kwaśną, lepka breję.

Saro, ona wymiotuje, krzyczy ojciec, jakby z mojego gardła wyskoczyło stado myszy. Nie dba o siebie, rzuca gniewnie matka, nigdy o siebie nie dbała, wyjdźcie stąd obaj. Wygania ich do salonu, wpycha mi w ramiona miednicę. Za późno, mammo, nie widzisz, że za późno, szkoda już wyrządzona, materac będzie kwaśniał pod wami przez długie miesiące, poszwa będzie wnosiła zapach moich wnętrzności do waszych snów. Znowu wyszłaś bez kurtki i całkiem przemokłaś, narzeka, gładząc mnie po czole pulchną ręką, zawsze taka byłaś, gotowa cierpieć z zimna, najważniejsze, żeby ładnie wyglądać, ile razy przypominałam ci, żebyś się ciepło ubierała. Jak zwykle, nie zwraca się do mnie, lecz do nastolatki, którą byłam. Unoszą mnie straszliwe fale jałowych mdłości, suche i przejrzyste niczym szkło, kulę się nad miednicą. Specjalnie zostawiłam ci tamten sweter, który zrobiłam na drutach, ciągnie, na pewno nie miałaś go na sobie ani razu, nie jest dla ciebie dość ładny, zawsze najważniejszy był wygląd, co ze zdrowiem, lamentuje, lepiej być mniej ładną i bardziej przewidującą, popatrz na swoje koleżanki, miały mniej powodzenia od ciebie, teraz to szczęśliwe mężatki z trójką dzieci, a ty co, zostałaś sama z jedynakiem, bez męża.

Głowa opada mi ciężko i bezwładnie nad miską, świdrująca paplanina matki brzęczy wokół mnie jak chmura muszek w upalny dzień, nie pozwala mi zamknąć oczu, musisz się umyć, przynagla mnie, tymczasem ja zmienię pościel, chodź do łazienki. Prowadzi mnie, podtrzymując w pasie, pomaga mi się rozebrać w przestronnej łazience, wyłożonej białymi porcelanowymi kafelkami, przygląda mi się z jawną ciekawością, jak nastolatka, podkreśla ze skargą, nie urosłaś w ogóle, odkąd skończyłaś dwanaście lat. Chociaż na starość się skurczyła, wciąż jest o wiele wyższa ode mnie. Drzę z zimna pod jej spojrzeniem, starając się zasłonić. Czemu się dziwisz, mammo, obie znamy prawdę, to przez niego nie urosłam, zapominasz, jak go przerażały pierwsze oznaki mojej kobiecości, zapominasz, co stało się z moim pierwszym stanikiem, który przez pomyłkę zostawiłam w łazience, jak gonił mnie z wrzaskiem po całym domu, wymachując nim. Nie pozwalałam ci nosić takich lubieżnych strojów! W końcu wyrzucił go przez okno, czarny szyfonowy stanik, z którego byłam taka dumna. Po zapadnięciu zmroku wymknęłaś się na palcach szukać go wśród drzew, ale już go nie było, inna dziewczyna mierzyła go przed lustrem, bez winy i żalu.

Nazajutrz przyniosłaś mi zawstydzona nowy, prosty stanik, jakbyś sama uznała, że nie ma się czym chlubić. Bał się obecności młodej kobiety, brzydził się rozkwitającą kobiecością, burzył ją jak kapłani posągi Astarte, a ja, uciszona ze strachu, przestałam rosnać, odkąd skończyłam dwanaście lat, nie urosłam ani się nie zaokrągliłam, stara dziewczynka pod gorącym prysznicem, z kostką mydła, które mi podaje, szorstkiego i brązowego mydła do prania, unosi się z niego zapach nafty, najwyraźniej przetrwał z tamtych czasów. Kiedy wychodzę z wanny owinięta ręcznikiem, podaje mi koszulę nocną, którą pamiętam jak przez mgłę, kolorową koszulę w paski, którą nosiłam w młodości. Niczego nie wyrzuca, dla kogo przechowuje te ponure pamiątki? Na niej kładzie ze zwycięskim okrzykiem ciężki wełniany sweter, w oliwkowe, żółte i czerwone pasy, z którego unosi się intensywny zapach smażonego kurczaka. Przyglądam mu się, zbyt wyczerpana, aby czuć zdziwienie. Czy to możliwe, że pocięte kawałki połączyły się jak list sklejonny w niebie, który wrócił nieoczekiwanie do swego nadawcy?

Jak się czujesz? - pyta beztrąsko Gili, kiedy w tym dziwnym stroju wchodzę do salonu. Mam wrażenie, że moje złe samopoczucie potęguje jego wesołość, zauważył już i ocenił liczne możliwości związane z nową sytuacją, nie zamierza łatwo z nich zrezygnować. Będziemy tu

dzisiaj spali, woła wesoło, nie posiadając się z podniecenia, babcia powiedziała, że będziemy tu spali, jeśli nie wyzdrowiejesz, ostrzega mnie z powagą. Nie wyzdrowiałaś, prawda? Mierzę wzrokiem moje stare nowe więzienie z urazą. Zobaczymy, jak się będę czuła. Ale on upiera się, nie mogąc znieść niepewności. Powiedz, że będziemy tu nocować, co ci szkodzi, tylko jedną noc. Ja też się upieram. Nie rozumiem, dlaczego musisz koniecznie wiedzieć z góry. Bo tak chcę, zaczyna już zawodzić. Wtedy ona wchodzi do pokoju i przerywa gwałtownie kłótnię. Co za pytanie, oczywiście, że zostanieie, gdyby Amnon był w domu, to co innego, ale teraz, kiedy jesteś sama, jak zajmiesz się dzieckiem, kto się zajmie tobą, aż wydobrzejesz? To wasze pokolenie, narzeka, myśli, że jest wszechmogące, matki myślą, że mogą zarabiać, wychowywać dzieci i dbać o siebie. Zapominają o wszystkich kłopotach, które się przytrafiają. Co z chorobami, co, nie daj Boże, z wypadkami i innymi kłopotami, Bóg jeden wie, jak poradzić sobie bez męża w takich sytuacjach, bez ojca dla dzieci. Usiłuję uciszyć ją skrzywieniem ust, wskazuję oczami na Gilego, który słucha jej zatroskany. Oczywiście, nie pojmuje aluzji. Chcesz znowu wymiotować? Podnosi tęgie ciało i wraca z miednicą, podaje mi ją, posmutniałe dziecko wspina mi się- na kolana ze smętnym uśmiechem, dumne z psoty siada po turecku w miednicy, oczekującej na nową falę.

Moje młodzieńcze łóżko otwiera się z przenikliwym zgrzytem, rozkłada skrzydła, by objąć nas oboje, nie za blisko, żeby się nie zaraził, ostrzega mnie poważnie matka. Opadam na świeżą, białą pościel. Nigdy nie zakwitły na niej kwiaty, nie załśnił weselszy kolor. Gili wciąga wesoło swoje stare ubranka, które wciąż tutaj leżą. Ale urosłem, szczebiocze, wskazując dumnie kolana wystające z nogawek piżamki, niegdyś sięgających do kostek. Moja choroba stanowi dla Gilego niekończące się, przyjemne święto. Patrzę na niego zdumiona, jakim cudem nie zauważa przygnębienia i smutku każdego ruchu w tym domu, jakim cudem nie widzi, że znalazł się w więzieniu, jego piskliwe okrzyki, groteskowe tańce, przypominają wybuch szaleńczej euforii po zakończeniu ceremonii pogrzebowej, rodzice drepczą wokół, miesiącami odsuwali się od nas, nagle nasza obecność opanowała ich dom, obalając ustalony porządek.

W przygnębieniu rozglądam się po swym dawnym pokoju, który szybko zamienił się w dodatkową bibliotekę, skład mniej pożądaných książek. Nie mogłam przywyknąć do tego pomieszczenia, długiego i wąskiego jak korytarz, z oknami wychodzącymi na ruchliwą ulicę. Po kilku latach porzuciłam je dla gwarne go akademika, gdzie zimą unosił się zapach starych piecyków naftowych, latem woń potu i seksu. Z wielkim trudem rozstałam się ze starym domem dzieciństwa, wrośniętym w ziemię jak statek pośrodku oceanu. Ze wszystkich sił sprzeciwiałam się przeprowadzce, ale niewiele mogłam poradzić, kariera ojca była zawsze ważniejsza od kapryśków dorastającej dziewczyny. Przyzwyczajasz się, powiedzieli lekceważąco, w twoim wieku takie drobne zmiany to żaden problem, po miesiącu będziesz miała nowych kolegów i koleżanki na odpowiednim poziomie, nie jak te wiejskie dzieciaki. Pójdiesz do dobrej szkoły i w końcu zaczniesz uczyć się jak należy. Słuchałam ich z oburzeniem. To nie dzieci, to drzewa, zapach skoszonej trawy w powietrzu, parujących kwiatów drzew owocowych, wąsy kapryfolium, oplatające okna aromatycznymi prętami, barwy opadających liści, jesienią oświetlone chodniki, chrzęszczące mi pod nogami, puchary kwiatów hibiskusa, rozchylające karminowe wargi. Przywieźliście mnie do miejsca bez zapachów, żaliłam się, z trudem można tu odróżnić pory roku, miejsce bez kolorów, widać tylko monotonne odcienie twardego kamienia. Ale ojciec otrzymał etat na uniwersytecie i uśmiechało mu się życie w mieście, a sklepy i kawiarnie przyprawiły matkę o zawrót głowy. Ja, która kiedyś chodziłam do szkoły

boso po złocistych ścieżkach, nauczyłam się przemierzać przestrzenie twardego asfaltu, przesiadać się z autobusu do autobusu w drodze do prestiżowego liceum, w którym było wielu doskonałych uczniów, inaczej niż w rejonowej szkole, gdzie wszyscy wiedzieli, że ja jestem najlepsza, jak trudno było skupić się na lekcjach i poznać nowych kolegów, kiedy głowa opadała ciężko na ławkę, bo w nowym domu, w nowym mieście, zapomniałam, jak się sypia.

Sapanie samochodów podjeżdżających z wysiłkiem pod górę za moim oknem, bezcelowe wędrówki hałaśliwych grup, poszukujących rozrywki, wycie alarmów samochodowych, gwizdki, monotonne urywki rozmów, irytujące śmiechy, wzbierający miejski zgiełk, wznoszący się do nieba, w nocy piłował mi w uszach, potęgując tęsknotę za delikatnie tkanymi nocami na wsi, gdzie tylko zdezorientowane ptaki co jakiś czas dziobały kołdrę ciemności, gdzie szumiały drzewa, szepcząc sobie nawzajem odległe, zielone plotki, uginając się pod tajemniczym ciężarem listowia, spryskiwacze wiodły przezroczystry taniec, chłodząc ciężkie, wilgotne powietrze, pod oknem zawodziły koty w rui, godzinami dążąc do krótkiej, frustrującej przyjemności. Wszystkie te dźwięki kołysały mnie do spokojnego snu. Tutaj przez cały wieczór zezowałam lekliwie na łóżko w nowym pokoju, niczym na narzędzie tortur, które samo się zainstalowało, gotowe do działania, czatowałam w napięciu na pierwsze oznaki zmęczenia i wsuwałam się z obawą do pościeli, po kilku minutach kruche znużenie umykało szybko przed hałasem, ciało zaczynało mi pulsować, jakby w każdym członku znajdowało się bijące szybko serce, serce u nasady dłoni, w kostce u nogi, w skroniach. Za metalowymi żaluzjami panował zgiełk, jakby miasto było ogromnym polem, które orano pod osłoną ciemności, rozdartym i wywróconym na drugą stronę, wszystkie budynki burzy się po kolei, a o świetle odbudowuje z hałaśliwym pośpiechem. Rano w klasie siedziałam blada, z oczami zapuchniętymi i zaczerwienionymi ze zmęczenia, wsparta policzkiem o ławkę, jakby była najwygodniejszą poduszką. Żaden dźwięk ani szkolny gwar, wymówki nauczycieli ani dzwonek nie mogły mnie dobudzić.

Także teraz leżę rozbudzona i zdrętwiała, jakbym schowała się przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, Gili, przytulony do mnie pomimo ostrzeżeń, co jakiś czas wyciąga w moją stronę podrapane kolano, rozchyła wargi w mętym mruknięciu, w napięciu staram się rozszyfrować znak z jego świata, który się przede mną stopniowo zamyka. Na korytarzu słyszę powolne człapania, ależ długo przygotowują się do snu, jakby wybierali się na bal, rośnie napięcie. Zmieniłaś całą pościel, pyta, a ona odpowiada niecierpliwie, w jednym z chwilowych buntowniczych nastrojów, które jakże dobrze pamiętam, bezpłodny bunt wiecznych niewolników. Mówiłam ci, że tak, jak nie wierzysz, to sam zmień. Dlaczego nie możesz odpowiedzieć na proste pytanie bez pretensji, rzuca on złośliwie. Bo dwa razy ci mówiłam, denerwuje się ona. To nie było dwa razy, on na to, widzisz sama, że nie można ci wierzyć, zawsze przesadzasz. Zmieniłaś też prześcieradło i poszwę? Znowu się upewnia, a ona mówi, prześcieradło było czyste, zwymiotowała na przykryte łóżko, poszwa się pobrudziła, prześcieradło nie. W ogóle nie wygląda na czyste, skarży się ojciec, trzeba zmienić też prześcieradło, to właśnie usiłuję ci powiedzieć. Ale jest całkiem czyste, irytuje się matka, czego ty ode mnie chcesz?

Słyszę skrzypnięcie drzwi szafy. Chcę, żebyś zmieniła całą pościel, żąda, nie mogę spać w brudnym łóżku, jeśli się nie wyspię, nie zdążę napisać wykładu. To sam zmień, mruczy, zdejmując ze złością prześcieradło z materaca, zawsze w końcu mu ulega. Można pomyśleć, że żądam nie wiadomo czego, warczy ojciec. Zakrywam uszy rękami, wiedząc, że to dopiero

początek, nic się nie zmieniło, echa kłótni zbliżającej się jak burza niosą na skrzydłach wszystkie poprzednie kłótnie, które moje drobne ciało wchłaniało z przestrachem, czy ta kłótnia zmiążdży naszą rodzinę, przepołowi moje życie, czy teraz się rozstaną, czy jutro rano. Pamiętam, jak w pierwszych latach zmuszałam Amnona do obietnicy, że jeśli będziemy mieli dzieci, nie będziemy się nigdy kłócić. Wykorzystajmy nasz przydział kłótni, zanim urodzą się dzieci, mówiłam, ale w końcu to my się rozstaliśmy, a nie oni. Czy ocalałam Gilego przed przerażającymi nocami, kiedy uderzałam niczym siekierą w naszą niedużą rodzinę, czy do końca życia będzie tęsknił za gniewnymi głosami, które świadczą o tym, że dwoje ludzi znajduje się blisko siebie, pod jednym dachem, rodzice.

Nazajutrz ostatkiem sił wracam do domu, kości dygoczą mi pod skórą, u nich nigdy nie wyzdrowieję, odrzucam jej błagania, nie wyzdrowieję, nie mogąc spać, ale Gilego odbierze ze szkoły, może nawet zatrzyma na jeszcze jedną noc, aż nabiorę sił, tak rozmawiali między sobą o moim dojściu do siebie, jakby to była kwestia czasu. Ja także staram się sobie tak mówić w następnych dniach, leżąc wyczerpana w łóżku. Niekiedy jednak przypominam sobie, że można także nie dojść do siebie, jest taka możliwość, są tacy ludzie, którzy nie odzyskują sił. Coraz bardziej oddalają się od żywego świata, który jeszcze niedawno był ich domem, w końcu zostają umieszczeni w specjalnych instytucjach, gdzie ściany pochłoną ich krzyk, stłumiony i odizolowany, inaczej będzie przeszkadzać poprawnemu funkcjonowaniu dotychczasowej rzeczywistości. Mam wrażenie, że widzę, jak moja dusza trzepocze między dwoma światami. Do tego już nie należy, do drugiego jeszcze nie została dopuszczona, okrutna hybryda, zerwany z wodzy sfinks. Gdybym tylko mogła się od niej uwolnić, zamordować ją potajemnie, gdybym tylko mogła żyć bez duszy. Przecież można żyć bez nogi, bez macicy, a nawet bez nerki. To staje się moim wielkim marzeniem, wyrwać z siebie szalejącą duszę, nad którą nie mam kontroli, wyrwać ją z ciała, które zatruwa, przez wszystkie lata udawała zdrową i akurat teraz, kiedy jest mi potrzebna, zachorowała. Przewracam się na posłaniu w milczącym domu, od dawna nie włączałam komputera, na automatycznej sekretarce gromadzą się wiadomości kasowane bez odsłuchiwania, obmyślam strategię na popołudnie, kogo poproszę, aby wziął Gilego, żeby tylko nie iść do szkoły, nie stać przed wszystkimi matkami, gdy nie jestem już matką. Kiedy przestałam być żoną Amnona, przestałam być też matką, stałam się leniwą, nieodpowiedzialną opiekunką, starającą się pozbyć ciężaru. Dziś Amnon, potem mama Gi, mama Ronena, mama Itamara, w końcu- przestanie mnie rozpoznawać, będę, jak powiedział Amnon tamtej nocy, kiedy siedziałam zamknięta w ubikacji, jakąś panią, kobietą, której nie znasz, która zaraz sobie pójdzie.

Włóczę się po opustoszałym mieszkaniu. Wczoraj zabrał ostatnie rzeczy, zdjął ze ścian widoki starej Jerozolimy, coraz mniej tu dowodów naszego wspólnego życia, niedługo nic nie zostanie, nikt nie uwierzy, że kiedyś mieszkały tutaj trzy osoby. Tyle pustego miejsca zrobiło się w domu, na półkach z książkami, w szafach na ubrania, na umywalce, nawet pluszowe zwierzątka przenoszą się powoli do dużego, ładnego pokoju, niedługo zniknie sam Gili, nikt nie uwierzy, że kiedyś mieszkało tu dziecko. Zostanę z kilkoma rzeczami, które naprawdę są moje, kto wie, co to w ogóle jest. Jak nierealne było to wszystko, niestałe i chwilowe, uważajcie, chcę powiedzieć przechodniom za oknem, nie łudźcie się, w gruncie rzeczy nie macie nic, nic nie mieliście i nie będziecie mieli, tylko chorą, wierzgającą duszę, niebawem odkryjecie, że to wasza jedyna własność, a jej akurat nie potrzebujecie.

Czasami wydaje mi się, że siły napływają z powrotem cienką strużką. Postanawiam, że spędzę popołudnie z dzieckiem, przez całe rano przygotowuję się do tego zadania niczym do

egzaminu, planuję, dokąd go zabiorę, co będziemy robić, jak uda mi się ukryć przed nim mój stan. Ubieram się i maluję, mój kościsty uśmiech zgrzyta w lustrze, oto już Gili biegnie do mnie od szkolnej bramy. Mamo, mogę iść do Ronena? Usiłuję zaprotestować, może dziś zrobimy coś razem, chodź, pójdziemy do kina albo na plac zabaw, a on wykrzywia się, jakbym zaproponowała karę. Oj, mamo, zawsze musisz wszystko zepsuć, już się umówiłem z Ronenem. Patrzę, jak odbiega, żywy i energiczny, tak różny od dawnego chłopca, marzycielskiego i delikatnego. Keren, piękna mama Ronena, otwiera drzwi luksusowego dzipa i wskazują do środka, machając do mnie wielkodusznie, a ja resztką sił idę do parku kruków, siadam na wilgotnym kamieniu. Ciemne chmury wiszą nisko nad ziemią, przypominają krzaki wyrastające z trawy. Podnoszę jakiś patyk i ryję w ziemi pachnącej ciepłym futrem jak dzikie zwierzę, wykopuję wilgotne gałęzie, kawałki kamieni, odłamki szkła. Obok rośnie pagórek świeżej ziemi, jakbym była kretem, znajdę zrujnowany dom, który będzie mój, kości dziewczyny, która będzie moją siostrą.

Przyciskam policzek do zimnego kamienia, za chwilę odcisnę się na nim moja twarz jak wizerunek małej afrykańskiej małpki, odcisnięty w skale na wschodnim wybrzeżu Tery. Naukowcy ze zdumieniem odkryli, że to nie rysunek, lecz szkielet zwierzątka, którego czaszkę strzaskało trzęsienie ziemi, przykryty grubą warstwą pyłu wulkanicznego. Zamykam oczy, staram się owinąć kołdrą, nieważne, co zawiera, lżejsze od wody kamienie tufu, oddech ziających psów, gwiazdy na niebie nad miastem, kwaskowate jak cytryny, ziemię roztaczającą zapach ciepłego futra, nie wiem nawet, w jaki sposób stoję w końcu przed domem Diny, pukam do mokrych drzwi, drżąc z zimna.

Elu, nareszcie, rzuca się do mnie, wiesz, ile wiadomości ci zostawiłam? W ogóle odsluchujesz wiadomości? W tym tygodniu zaglądałam do ciebie dwa razy, dlaczego nie otwierasz drzwi? Odsuwa mnie, żeby mi się przyjrzeć, i wydaje okrzyk, jakby ujrzała ducha. El inko, popatrz na siebie, Boże wielki. Natychmiast podchodzi do telefonu. Zaraz zamówię wizytę u mojego przyjaciela psychiatry, który zapisze ci leki, nic mnie nie obchodzi, zaprowadzę cię tam siłą. Słyszę jej surowy głos za zamkniętymi drzwiami, najwyraźniej stara się go przekonać, jak pilna jest sprawa. Wychodzi, potrząsając kluczykami do samochodu, wkłada płaszcz, pojedziemy do niego od razu, zgodził się cię przyjąć, nie pozwolę ci na wykręty.

Co za różnica, Dino, dokąd pojedziemy. Raz jeździłam tam, nazajutrz gdzie indziej, widziałam takich i innych lekarzy, brałam takie i inne leki, podróżowałam daleko i blisko, spotykałam różnych ludzi, nosiłam kostiumy i suknie wieczorowe, brałam udział w wykopaliskach i publikowałam artykuły, myślisz, że to mnie zbawi, myślisz, że cokolwiek z naszych działań, ze wszystkich osiągnięć, nad którymi się trudzimy przez wiele lat, w ogóle się odkłada, myślisz, że cokolwiek może nas uratować przed szaleńcem byka parsającego we wnętrzu ziemi? Pojedź ze mną na Terę, zobacz, jak w jednej chwili zastygło życie, schody rozszczepiały się na pół, cieśle i kowale porzucali narzędzia pracy, po które już nie wrócili, resztki jedzenia zostały w garnkach, ludzie uciekli z domów, jak stali, niedaleko stamtąd, na Krecie, w świątyni, której mury się zawaliły, ujrzysz ołtarz, a na nim złożonego w ofierze młodzieńca z sercem przebitym mieczem, w ostatniej, desperackiej próbie przebłagania bogów. Pojadę i wrócę z tobą, ale na mojej zniszczonej wyspie nie stanie ludzka stopa, nikt nie odbuduje ruin i nikt nie przywróci mi życia.

Fioletowa mgiełka spowija samochód, którym nie tak dawno nerwowo jechałam w pilnej misji, w słomkowym kapeluszu, z głupią nadzieją na twarzy. Zima nadeszła wcześniej w tym roku,

tylko ja wiem, jak długo potrwa, całe siedem lat nie zaświeci słońce nad Jerozolimą. Dina prowadzi w milczeniu, przeciskając się między samochodami w korku, z przymrużonymi oczami, ma zarzuciła minę, jakby udało jej się pojmać groźnego przestępcę, i czym najprędzej chce oddać go w ręce sprawiedliwości. Co jakiś czas zerka na mnie, jakby pragnęła się upewnić, że nie zamierzam uciec, odpiąć pasa bezpieczeństwa i wyskoczyć na zewnątrz, to śmieszne, nie rozumie, że mnie jest już wszystko jedno, gdzie się znajduję, kogo spotkam, co mi powie, jakie tabletki będę łykać, bo tymczasem coś zrozumiałam, może to ostatnia tajemnica, którą odkryli Monojczycy w pośpiesznej ucieczce, gdy postacie, które zostawili za sobą na ścianach pałacu w Knossos, na ścianach domów w Akrotiri, obserwowały ich z aroganckim zdumieniem, lśniące, piękne freski, świadczące o nad podziw wyrafinowanej kulturze, zniszczonej w katastrofie na Terze, kulturze, którą odkryto dopiero tysiące lat później. Czy podczas ucieczki wśród własnoręcznie stworzonych wspaniałości zdali sobie na chwilę sprawę, jak bezbarwna i bezsensowna jest rzeczywistość w porównaniu ze swym naśladownictwem, z precyzyjnym odwzorowaniem, czy to ich pocieszało, czy może ogarnął ich gniew i straszliwa zazdrość w stosunku do namalowanych postaci, do pisma, które zostanie rozszyfrowane z trudem i powoli.

Kiedy wysiadamy z samochodu, ujmuje mnie za ramię, prowadzi agresywnie ruchliwą ulicą, między samochodami szczerzącymi do siebie kły z tłumionym warkotem, siada obok mnie w poczekalni, jej włosy pachną kwiatami z balkonu, w napięciu otacza mnie ramieniem jak matka córkę przed pierwszym badaniem u ginekologa. Nie ukrywaj niczego, opowiedz dokładnie, jak się czujesz, przestrzega, znam cię, możesz go przekonywać, że wszystko w porządku, obiecaj, że nie będziesz udawać, to nie żarty, Elu. Musisz otrzymać pomoc. Kiwam głową ze znużeniem. Nawet gdybym chciała udawać, nie dałabym rady. Na ścianie naprzeciwko wisi znajomy plakat jednego z muzeów, w którym byłam niejednym razem, reprodukcja słynnej inskrypcji w trzech językach, kamienia z Rosetty, który przyczynił się do rozszyfrowania tajemnic starożytnego Egiptu, niczym kamienny blok zagradzał wejście do zaczarowanej jaskini, strzegąc martwych cudów. W milczeniu przyglądam się fioletowawemu kamieniowi, aż otwierają się drzwi i Dina energicznie prowadzi mnie korytarzem, zostawia w progu i od razu wraca na miejsce.

Mężczyzna wskazuje ręką czekający fotel, zajmuje miejsce naprzeciwko. Siadam zdumiona. Odwieczny kobiecy instynkt każe mi pośpiesznie przyglądnąć potargane włosy, obciągnąć sweter, ale i tak mnie nie pozna, sama bym siebie nie poznała. Czy w ogóle pamięta kobietę, która pewnego dnia stała w drzwiach jego pięknego mieszkania, łapczywie gryząc gruszkę czerwoną jak wino, obserwując w rozbawieniu jego tylną część ciała, kiedy sikał? Czy ja ją pamiętam? Nagle wydaje mi się, że wspomnienie tamtego ranka wdmuchuje we mnie iskierkę życia, małą niczym pochodnia na zboczu odległej góry, ostatni ranek dawnej egzystencji, swobodnej, śmiałej, pełnej oczekiwania.

Czy my się znamy? - pyta, przypatrując mi się zaniepokojony, jak wtedy, a ja odpowiadam, jak wtedy, właściwie nie. Wargi, które pochłaniały rozmiękające czekoladowe gwiazdeczki, otwierają się w uśmiechu, ręka sięga mimowolnie do rozporka, aby upewnić się, że tym razem jest zapięty. To ty, wymierza we mnie oskarżycielsko palec, pamiętam cię, byłaś u nas, jesteś mamą Gilego. Uśmiecham się z przygnębieniem. Byłam matką Gilego, teraz nie jestem już matką, w ogóle nie istnieję. Strumień chłodnych łez zalewa mój uśmiech, ocieram je rękawem, ignorując pudełko chusteczek higienicznych, które stoi między nami na

eleganckim, zimnym szklanym stoliku. Rozumiem, mówi łagodnie, Dina opisała mi twoją sytuację, oczywiście zalecam terapię, ale jednocześnie warto spróbować kuracji farmakologicznej, obawiam się, że nie będę mógł się sam tobą zająć. Tymczasem 4am ci receptę, w ramach pierwszej pomocy, i skieruję cię do kogoś na dalszą terapię, w porządku? Patrzy na mnie z wahaniem, współczująco, jakby zobaczył na drodze przejechanego kota i zastanawia się, czy uda się go jeszcze odratować.

Często płaczesz? - pyta, czarne, głęboko osadzone oczy wędrują po mojej twarzy, jakby szukały śladów krwi. Czujesz potem ulgę, czy to jest płacz nieutulony? Cieszysz się rzeczami, które cieszyły cię kiedyś, czy w ogóle coś sprawia ci przyjemność, możesz się skoncentrować, masz myśli samobójcze, cierpisz na poczucie winy, czy ostatnio schudłaś, czy cierpisz na bezsenność, czy jesteś uczulona na jakieś leki, kiedy po raz ostatni czułaś się dobrze? Odpowiadam słabym głosem, przez fioletowe szyfonowe zasłony przesącza się delikatne poranne światło, powieki powoli mi opadają, mam wrażenie, że tutaj mogłabym w końcu zasnąć, naprzeciw niego, na wygodnym skórzanym fotelu. Tylko po ostatnim pytaniu zwlekam, bo krystalizuje się we mnie odpowiedź, której nie artykułuję, u ciebie, w tamten sobotni ranek, na początku jesieni, wtedy po raz ostatni czułam się dobrze.

Ułga nie nastąpi natychmiast, mówi, zapisując szybko nazwę leku na karteczce, możesz w pierwszych dniach odczuwać skutki uboczne, ale sądzę, że twój stan się poprawi w ciągu trzech tygodni, ten lek wycisza skrajne emocje, wierzę, że ci pomoże. Podaje mi receptę. Zaczynaj od dzisiaj, radzi, szkoda, żebyś męczyła się na darmo, jeśli będziesz miała jakiś problem, zadzwoń, masz już numer domowy. Dopisuje prędko numer do kliniki. Na dalsze leczenie skieruję cię do kogoś innego, ale spróbujmy najpierw chemii, czasami nie ma rady. Spróbujmy, mówi w liczbie mnogiej, jakby chodziło o nasz wspólny problem. Kiedy wstaję i biorę od niego kartkę, wydaje mi się, że oddaję mu coś w zamian, że moje dłonie nie są puste, w jego ramiona składam moją niepotrzebną duszę, wstrętną hybrydę. Stoi i kołysze ją w ramionach, aż uspokaja się i przestaje płakać.

Kupuję tabletki tego samego dnia, prosząc zdumioną aptekarkę, aby zapakowała pudełko na prezent. Przygląda się z powątpiewaniem mnie, lekowi i podpisowi lekarza. Wydaje się, że sama, gdyby ktoś ją zapytał, przepisałaby mi coś całkiem innego. Zapakować na prezent? To u nas nieprzyjęte, cedzi, ale udaje jej się znaleźć złoty papier i czerwoną wstążeczkę, niechętnie spełnia prośbę. Kładę zachęcającą paczuszkę na szafce nocnej, nie otwieram, przyglądam jej się przed zaśnięciem i tuż po przebudzeniu, cieszę się, gdy natrafiam na nią przypadkiem, jakbym dostała niezwykle podarunek, który czeka na mnie cierpliwie. Jej obecność uspokaja mnie, wąska, nieduża paczuska, która wygląda, jakby w środku kryły się kolczyki lub wisiorek, gotowe czekać tysiące lat, niczym klejnoty z Troi, które lśniły w głębi ziemi w Azji Mniejszej, podczas gdy cały świat zachodni wierzył, że to bezpodstawne legendy. Nie wiedziałam, że ten lek tak szybko działa, zdumiewa się Dina, kiedy przychodzi do mnie po kilku dniach z garnkiem zupy w jednej ręce, ciastem w drugiej. To powinno potrwać ze trzy tygodnie. Natychmiast przybieram zgnębną minę, żeby nie musieć wyjaśniać, także sobie, na czym polega nagła ulga, którą czuję, jest słaba i niewyraźna, ale całkiem realna, czy to sam fakt istnienia lekarstwa w zasięgu ręki, szansa, że smutek można opanować, zamienić wyjącego szakala w posłusznego pieska, czy dotarłam bezwiednie do macierzystej warstwy skały, warstwy podstawowej, z której można tylko wznieść się w górę. Może to wspomnienie tamtego poranka, które obudziło się we mnie, ukazując mi zapomnianą możliwość, że nawet jeśli strata nigdy nie zniknie, będę mogła z nią żyć. Jeśli ta możliwość jest realna, to ani błąd, ani żal nie są aż tak całkowite. Mam wrażenie, że do kompletnie ciemnego pokoju, w którym więziłam się tygodniami, zakradł się promyczek światła. Wciąż nie rozjaśnia całego pomieszczenia, ale przynajmniej można odróżnić ciemność od ciemności, mrok świtu od mroku popołudnia, od nocy. W bladym strumyczku światła wyteżam wzrok, staram się rozpoznawać milczące sprzęty, twarze, przeżycia. Odnaleźć się w sprzecznościach, ulatujących wokół niczym wędrowne ptaki, oto klucz kierujący się na południe, do ciepłych krajów, na samym końcu wlecze się kilka strapionych osobników, przez pomyłkę spoglądających za siebie. Ja jestem tym stadem, i jestem także jego błądzącym końcem. Jeśli nawet teraz jest tak źle, to nie dowodzi, że wcześniej było lepiej, ani że w przyszłości nie będzie dobrze. Żal nie świadczy wyłącznie o tym, że jest czego żałować, nie świadczy o pomyłce, pomyłka nie decyduje o przyszłości, a przyszłość, nawet jeśli nie usprawiedliwi czynu, nie świadczy o przeszłości, dokładnie tak jak teraźniejszość. Moja obecna samotność nie świadczy o tym, że nie byłam samotna w małżeństwie, poczucie winy, pod którego ciężarem padam na kolana, nie świadczy o winie, a wielkie pęknięcie nie świadczy o niegdysiejszej całości. Wydaje mi się, że czarna, mordercza pewność, która mnie przygniatała tygodniami, odrobinę osłabia nacisk, umożliwia spotkanie innych chwil, bardzo, co prawda, odległych od promiennej wolności, którą widziałam oczami duszy, ale jest w tym czasami skromne zadowolenie z powodu zmniejszenia się żalu; to jak kurczący się guz nowotworowy, który nie zaciera wspomnienia o chorobie i przerażeniu, ale budzi słabą nadzieję na ozdrowienie, choćby przejściową, krótką przerwę wśród bezustannych ciosów szatańskiej pewności błędu, które mnie miażdżyły.

Pozostało pytanie, które czasem jest zadawane złośliwie, czasem z obawą, czasem ze

smutkiem. Wiem już, że nie ucichnie do śmierci, będę je zadawać, a gdy wargi będą już tylko bezdźwięcznie się poruszać, zostawię je w spadku jednemu synowi. Czy postąpiłam słusznie, kiedy pewnego dnia rozerwałam na kawałki naszą rodzinę, czy było to właściwe, czy obróciło się na dobre, czy słusznie chciałam czegoś więcej, czy kiedyś będę miała więcej, czy w ogóle wiem, co miałam? Wydaje się, że także trzeba wielu lat na to, aby zyskać pewność, że czy nasze małżeństwo przeżywało kryzys bez nadziei, o czym byłam przekonana przed rozstaniem, czy było wyjątkowe i cudowne, jak wydawało mi się później, czy to była pomyłka, czy konieczność. Dopiero pod koniec życia będę mogła porachować i podsumować, tyle i tyle dni smutku i frustracji, wobec tylu i tylu dni szczęścia. Mam wrażenie, że odtąd życie, które ma w sobie dobro i zło, straci naturalny sens, ograniczy się do zbierania niepodważalnych danych, niemal jak zadanie matematyczne. Każda chwila satysfakcji znajdzie się po jednej stronie równania, każda chwila rozczarowania po drugiej. Te kolumny będą mi tańczyć przed oczami, irytując mnie i przytłaczając, bo coraz lepiej uprzytamniam sobie złożoność obliczeń. Przed oczami przesuwają się przeszłość, znacznie żywsza od terażniejszości, zmienna. Staram się ją uchwycić, skierować na nią snop światła, zobaczyć ją taką, jaka była, nasze małżeństwo takim, jakie było, naszą rodzinę taką, jaką była, zanim utrata zamieniła ją w świętość.

Jaka niestała jest przeszłość. Jak ktoś, kogo spotykamy bezustannie na ulicy, jednego dnia jest obojętny, innego dnia serdeczny, jednego dnia zadbany i sympatyczny, innego dnia brudny i odpychający. Im bardziej się odsuwa, tym bardziej się cieszę, im bardziej udaje mi się obrzucić ją błotem, tym bardziej się uspokajam, wydaje się, że tylko usuwając tę zawadę z drogi, znajdę odpoczynek, ale jak się jej pozbyć? Ten dom to przeszłość, dziecko to przeszłość, sama należę jeszcze do przeszłości, mężczyzna, który co jakiś czas przychodzi, to przeszłość. Siedzę jego ruchy w napięciu, czasami wydaje mi się, że klucz jest w nim, w nim skrywa się odpowiedź, jeśli jego twarz, głos czy gesty odpychają mnie, oddycham głęboko z tą samą szczęśliwą ulgą pozbycia się wątpliwości. Jeśli jego ładne oczy jaśnieją, jeśli ma miły uśmiech, ogarnia mnie wściekłość. Im bardziej jest przyjacielski, tym bardziej jestem wroga, im bardziej wrogi, tym bardziej ja jestem przyjacielska. W złożonym, nużącym procesie zbierania i oceniania danych nie ma miejsca na naturalne odruchy, proste uczucia, każde słowo jest przeznaczone do zapisu, każdy gest ma ogromną wagę dla aktu oskarżenia lub obrony, któremu poświęcę całe życie. Nawet Gili nieświadomie został wciągnięty do przedsięwzięcia, szukam w nim znaków, muszę zaklasyfikować każdą cechę, którą przekazał mu ojciec, każde wyrażenie. Inaczej niż normalnie wychwytyuję wady - jak ktoś, kto znalazł bogaty łup; może to jest brakujący dowód na to, że powinnam była postąpić, jak postąpiłam.

Poruszam się po domu ostrożnie, boję się przesuwać meble, zatrzeć ślady, jakby to było starożytne miasto, zburzone i opuszczone, a ja na podstawie znalezisk mam wyciągnąć wnioski, co przyniosło ostateczne zniszczenie. Czy to był pożar, wojna, atak najeźdźców, trzęsienie ziemi, wyschnięcie źródeł wody, zmiana klimatu, czy to wpływ kłęski żywiołowej, czy ludzkiej ręki; staram się odtworzyć ciąg wydarzeń w kolejności odwrotnej do nakładających się warstw archeologicznych, skłonić do mówienia milczące przedmioty, ślady, które przekazują niewinne informacje, jak zagubiona zaśnieżona moneta z brązu albo potrząskane naczynia; usiłuję wydobyć z nich dzieje naszej rodziny. Wciąż obawiam się, że już za późno, w jednym miejscu przecież można kopać tylko raz, byłam niedbała, pochopnie usunęłam ziemię, nie ułożyłam jej w kolejności warstw, bez przesiewania, bez dokumentacji, żaden

archeolog nie potwierdzi ani nie obali wniosków, ja też nie, pozostałości zostały usunięte na zawsze. Czy w ogóle można jeszcze rozkopać zbocza opuszczonego pagórka naszej miłości? Przypominam sobie, jak Amnon zbierał nas pod koniec dnia, stawał za długim, wąskim stołem, z odsłoniętym torsem, w niechlujnie obciętych dżinsach, z których sterczały postrzępione białe nitki, cienkie jak frędzle tałesu. Wychodziliśmy z wykopów, małych jak dziecinne pokoiki, pokryci ziemią; wszyscy wyglądaliśmy tak samo, odkładaliśmy narzędzia i zasiadaliśmy wokół niego. Szybko przeglądał znaleziska, odkładał najważniejsze do szuflady, pozostałe wrzucał do wiadra. Na koniec, wskazując na ziemne ściany między stanowiskami, gdzie widać było kolejne warstwy, mówił, popatrzcie, jak cienka jest warstwa reprezentująca całą kulturę, popatrzcie, jak niewiele po nas zostaje. W ciemne zimowe popołudnia, gdy Gili bawi się w swoim pokoju z kolegą, zasiadam przed komputerem, na kolanach mam rozłożone papiery, mapy, zdjęcia i artykuły, jak niewiele zostało po tobie, Amnonie, piszę, jak niewiele zostało po naszej dziesięcioletniej rodzinie. Co jakiś czas podchodzę do okna, pędy bluszczu, które szybko odrosły, splatają się, mięsiste i uparte, w powietrzu unosi się zaduma nad przeszłością, smętna i przeciągła niczym śpiew kantora, który znów przygotowuje się do świąt, od jednego Jom Kipur do następnego.

Co jakiś czas zakłóca tę zadumę dzwonek telefonu albo pukanie do drzwi, rozmaici znajomi pozwalają sobie mnie odwiedzać, w końcu można do ciebie przyjść, mówią, kiedy był Amnon, czuliśmy się nieproszeni. Wskazuję przepraszająco na migoczący monitor, który świadczy o tym, że nie mam czasu, większość rozmów nie zbliża się do jądra pożaru, są zbędnym obciążeniem kruchej duszy. Wraz z odwiedzinami pojawiają się propozycje. Elu, mam kogoś dla ciebie, przecież nie odeszłaś do Amnona, żeby być sama, szkoda cię, usychasz w domu przed komputerem, wyjdź trochę, poznaj nowych ludzi, co masz do stracenia. Odmawiam. Teraz mi to nie na rękę, nie szukam partnera, sama myśl o wysiłku związanym z nową znajomością budzi we mnie wstręt.

Po prostu karzesz siebie, uznają, cierpienie ci go nie przywróci. Ale od tamtego wieczoru nie staram się go odzyskać, jawnie ani skrycie. Nie wspominamy tamtego dnia, jakby był zgniłym owocem wyobraźni. Kiedy przyprowdza dziecko, rozmawiamy niewiele, niczym współnicy z konieczności prowadzący razem przedsiębiorstwo, zależni od siebie, gdy chodzi o jego istnienie i rozwój, strzegący jednak zazdrośnie prywatności. Nie okazuję żadnego zaciekawienia jego nowym życiem, i ku memu zaskoczeniu nie muszę udawać. Interesuje mnie tylko przeszłość, wszystkie jego teraźniejsze działania mają za żądanie wyłącznie odzwierciedlać przeszłość, gdzie to, co ważne i co nieważne, jest równorzędne, jego ubiór, maniery, zapach, stosunek do syna, uczciwość, wielkoduszność. Lustruję go wieloznacznym, wykrzywionym spojrzeniem, szukam rozczarowania, chcę tylko rzucić mętne światło na nasze wspólne życie. Poza tym moje zainteresowanie stało się obojętne i ograniczone, prawie naukowe, jakby nie był żywym, oddychającym człowiekiem, lecz chodzącym znaleziskiem o wielkiej wartości, danymi, mogącymi rzucić światło na badania, które właśnie prowadzę, badania opłacone moją krwią.

Czuźnie obserwuję jego ruchy, w obawie, że umknie mi jakiś szczegół, czy mieszka sam w pięknym mieszkaniu naprzeciw klasztoru, czy sam sobie gotuje, przypalając jak zawsze garnki, co robi w wolne dni, czy spotyka się z kobietami, czy wciąż bierze zimny prysznic, czy ubiera się bez wycierania, czy skończył artykuł o kananejskim systemie doprowadzania wody, który zaczęliśmy pisać razem, komu opowiada swoje odwieczne, gniewne historyjki, czy śpi sam na łóżku przykrytym haftowaną narzutą, czy szuka w nocy mojego ciała. Mam jednak wrażenie, że

wszystkie te pytania straciły związek z moim obecnym życiem, odnoszą się jedynie do przeszłości, tylko przeszłością się teraz zajmuję, tylko ona wpłynie na mój wyrok.

Co jakiś czas wyłaniam się spośród tych warstw niczym z głębi wykopu, okryta szatą gęstego pyłu, przestępuję z wahaniem przez progi domów, które otwierają przede mną drzwi, do życia, które toczyło się od zawsze, a ja go nie zauważałam, życia bez rodziny, wśród gromady obcych ludzi, bez więzów krwi, bez wspólnego dziecka, bez wspólnego miejsca zamieszkania, ot, namiastki rodzin, samotność spotyka samotność i podwaja się. To oferuje mi nowe życie, to oferuje mi Dina, to oferują mi wietrzne, zimne soboty, tego nie potrafię zaakceptować. W miejscu niemal szczelnie zamkniętej trójki, znajomej do znudzenia, tata, mama i dziecko, która co jakiś czas, na parę godzin, rozszerzała się o kilka osób i niebawem pozbywała się ich z cichym westchnieniem ulgi, pojawia się mieszanina kobiet i mężczyzn, częściowo młodszych ode mnie, a częściowo starszych, niektórzy nigdy nie mieli rodziny, a niektórzy porzucili rodzinne życie, starają się rozproszyć samotność na piątkowych kolacjach i podczas świąt, samotność, która u jednych jest przejściowa, u innych trwała. Kiedy znajduję się w większym towarzystwie, zazwyczaj trzymam się blisko Diny, obserwując ją i jej przyjaciół z przygnębieniem. Cóż za wyblakła namiastka tego, co znałam, słodkiej swobody z mężem i dzieckiem, naturalnej, samowystarczalnej przestrzeni, prawie bez pożywki z zewnątrz.

Przyjdź jutro, zaprasza Dina serdecznie, podobno będzie padał śnieg, robię *chamin*. Jesteś pewna? - pytam z obawą. Na pewno spadnie śnieg? Tak słyszałam, mówi. To co, przyjdziesz? Dlaczego akurat jutro, kiedy Gili jest u Amnona, narzekam. Śnieg rzadko tu pada, bywa, że nawet nie raz do roku, i akurat musi wtedy, kiedy Gili spędza szabat beze mnie. Cały rok czekaliśmy na śnieg. Co za problem, dziwi się, ciesz się razem z nim, że będzie bawił się śniegiem. Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć. Ja go nie zobaczę, kiedy będzie cieszył się śniegiem, stracę to. On istnieje nawet wtedy, kiedy go nie widzisz, śmieje się Dina, dlaczego wydaje ci się, że bez ciebie jego egzystencja nie jest realna? To moja egzystencja nie jest realna, mówię. To śnieg nie jest realny.

Pozwól mu się cieszyć bez ciebie, dodaje, jego radość istnieje nawet, kiedy ciebie tam nie ma, nie bądź taka zaborcza, chcesz kontrolować nawet pogodę. Przyjdziesz jutro? Mówili, ile dni to potrwa? - pytam. Musi potrwać jeszcze jeden dzień, ale drugi dzień jest zawsze mniej ekscytujący i śnieg też jest już przybrudzony, rozważam na głos. Czekam na odpowiedź, Elu, przynagła Dina. Jutro ci powiem, nie mogę teraz obiecać, może Amnon zgodzi się, żebym do nich przyszła, i pobawimy się razem. Musisz teraz zdecydować, nalega Dina. Jeśli przyjdiesz, zaproszę kogoś, kogo powinnaś poznać.

Ty także zajęłaś się swataniem, zdumiewam się, to do ciebie niepodobne. Musisz wiedzieć, że nie dojrzałam do tego, wyjaśniam. Być może, ona na to, ale dojrzewanie można przyspieszyć. Kto to taki? - pytam. Brat mojej przyjaciółki, odpowiada, lotnik, rozwiedziony, interesuje się archeologią, dlatego pomyślałam o tobie. Ja już nie interesuję się archeologią, mówię, ja tylko udaję. Wystarczy, Elu, przerywa, nie bądź tak negatywnie nastawiona, czekam jutro o pierwszej.

Co kilka minut wychodzę na balkon i z podejrzliwą wrogością lustruję niebo, czy faktycznie skrywa w brzuchu upragnione białe płatki, które w jednej chwili zaczęły zagrażać mojemu spokojowi, mojej rzeczywistości. Poczekajcie jedną noc, proszę, pohamujcie się do soboty wieczorem, dajcie mi przyjemność posadzenia go na parapecie i obserwowania, jak czarodziejski puch przeciska mu się przez palce, zejścia na przeistoczone podwórko, razem

będziemy torować sobie drogę wśród połamanych gałęzi, jakbyśmy wędrowali do starożytnego pałacu, ścieżkami nietkniętymi ludzką stopą, jego kędziory kryją się pod grubą wełnianą czapką, policzki płoną mu z przejęcia, głos ma dźwięczny niczym dzwoneczek. Nawet w nocy co jakiś czas siadam na łóżku i wyglądam przez okno, niczym wartownik na straży, uspokajam się na widok zwykłej, codziennej ciemności, zasypiam na powrót z uczuciem, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Ale kiedy w końcu budzę się późno, wśród podejrzanej, zdumionej ciszy, jak po dokonaniu zbrodni, razi mnie oślepiająco jasne światło, wpadające przez szpary w żaluzjach, i rozumiem, że mimo wszystkich moich słusznych wysiłków nie udało mi się powstrzymać śniegu.

Nie przychodź, Gili będzie zdezorientowany, odmawia Amnon uprzejmie, lecz stanowczo, za chwilę wychodzimy bawić się śnieżkami, jest w doskonałym humorze, lepiej go nie wpędzać w zakłopotanie. Nie spieram się, odkładam słuchawkę, jego zdecydowane słowa sprawiają, że cała zamrzam. Pociągam żaluzję urażonymi palcami, odpycha mnie intensywny blask, zdradziecka jasność zalewa blade wargi miasta, rozchylone w lodowatym uśmiechu.

Kiedy byłam dziewczynką, nie miałam dziecka. Samotnie wędrowałam przez pory roku, jakby to były kolejne atrakcje w zaczarowanym lunaparku; barwy jesieni, ścigające zapachy pory kwitnienia, chmury dmuchające gęstym dymem na tarczę słoneczną, wrzące, oszłamiające opary, unoszące się z wnętrza ziemi, wiatry przyginające do ziemi pnie drzew - każda zima zaćmiewała poprzednią, każde lato kłuło poprzednie lato, w roztargnieniu obserwowałam zabawę pór roku, które baraszkowały niczym cztery małe kotki, skaczące na siebie, goniące się, a ja byłam w środku, chyba ich zabawy były przeznaczone tylko dla mnie, miały rozpędzić, rozwiać moją samotność.

Po ulicy biegają wesołe krasnale, okrągłe jak piłeczki w grubych puchowych kurtkach, w czapkach i rękawiczkach, siadają z impetem na plastikowych torbach i zjeżdżają, odpychając się nogami. Odwracam wzrok, brak Gilego jest bolesny i przygnębiający. Jak bardzo chciałabym zjeżdżać razem z nim w dół krętą uliczką, słyszeć okrzyki zachwytu, gdy urzeczywistnia pragnienia narastające przez cały rok. Marudnie chodzę po domu, wyglądam przez wszystkie okna, jak jaskrawy jest znajomy widok w nowym przebraniu, im więcej widzę, tym bardziej dokucza mi strata. Gdyby tu teraz był, biegałby od okna do okna, jego okrzyki zachwytu malowałyby obłoczki pary na szybach. Popatrz, popatrz, krzyczał, to najpiękniejszy widok na świecie, oświadczał ze znajomością rzeczy, jakby osobiście widział już wszystko. Rozczarowana wracam do łóżka. Na ścianie nade mną wciąż wisi fotografia, na której tłoczmy się pod czarnym parasolem, płatki zeszłorocznego śniegu tańczą wokół nas swój niemy taniec, to był taniec rozstania, lecz nikt o tym nie wiedział.

Wydaje mi się, że za oknem ktoś wymawia moje imię z głuchym westchnieniem, zdziwiona siadam na łóżku. Czy to skrzywienie uschłego cyprysu, który zdobną w koronę głową prawie dotyka ściany? Przez chwilę mam wrażenie, że zakwitł, śnieżne pąki, białe jak jaśmin, zdobią suche gałęzie, w ciągu kilku godzin cyprys zajaśniał niczym drzewko migdałowe, rozjarzył się niby choinka. Jestem przejęta cudownym zmartwychwstaniem drzewa, nawet jeśli jest ulotne, złudne, budzi we mnie mgliste, zapomniane pożądanie, nie pragnienie mężczyzny, lecz samego życia. Siedzę błyszczące płatki, które wirują jak pijane, część zostaje pochwycona przez gałęzie, część spada na ziemię, przynoszą mi z nieba ukryte błogosławieństwo.

Czyste piękno puka do mego okna, niczego ode mnie nie żąda, a ja nie żądam od niego.

Czemu sama nie miałabym zakwitnąć na kilka godzin? Nagle po raz pierwszy ogarnia mnie pragnienie przyjemności niezależnej od nikogo, przerażająco egocentrycznej, intensywnej. Stojąc w otwartym oknie, chichoczę jak podekscytowana nastolatka, która w duchu przywołuje czar słów pierwszej miłości, blask chwili, w której zrozumiała, że jej zaklęcia odniosły skutek. Opieram się o parapet, wokół mnie krąży zimne, gęste powietrze, na głowę lecą mi tysiące gwiazdek, w niebie rozdarto miliony pierzyn, których pióra mnie pokrywają, tak jak drzewa spowite w cienkie królewskie szaty, wspomnienie liści. Biorę z szafki przy łóżku oczekujący wciąż prezent, pudełeczko z tabletkami, zapakowane w pozłacany ozdobny papier, przewiązane czerwoną wstążeczką, i rzucam je cyprysowi w ramiona, niczym bukiet kwiatów, który rzuca panna młoda, zanim wyruszy w nową drogę życia, ofiarowuję cenny prezent drzewu, które zakwitło po śmierci, podarunek za podarunek.

Przed laty kupił mi biały sweter, a ja uśmiechnęłam się krzywo, czemu akurat biały, jestem zbyt blada, żeby ubierać się na biało; teraz, po długim, ciepłym prysznicu, odnajduję go w szafie, wkładam niczym strój kamuflujący w kolorze śniegu, usta maluję jaskrawoczerwoną szminką, rozrzucam luźno błyszczące, świeżo umyte włosy, nie zauważyłam, jak bardzo urosły, sięgają mi prawie do pasa. Podniecona niczym mała dziewczynka, która po raz pierwszy widzi śnieg, wyruszam w jaśniejsze miasto, na spotkanie nietrwałego cudu, pięknego jak nowa miłość. Moje kroki kaleczą miękką kołderkę, oglądam się i widzę ze zdumieniem, jak szybko rany się zblizniają, pokrywają świeżą bielą. Idę przed siebie, mijam młodą kobietę, ciągnącą za sobą szlochające dziecko. Zimno mi, płacze, palce mi zmarzły. Pewnie, że ci zimno, krzyczy matka, mówiłam, żebyś włożył rękawiczki, dlaczego nie posłuchałeś, jej umęczone spojrzenie prześlizguje się nade mną. Mam wrażenie, że zazdrości mi swobody, skupienia na własnej przyjemności. Tak, to nie jest niedozwolone, to nawet możliwe. Gili świetnie się bawi tam, a ja tu. Białe płomyki łączą nas niczym pochodnie rozstawione na szczytach wzgórz.

Kiedy dochodzę do jej domu, z rozwichrzonymi włosami, zarumieniona od marszu, posiłek dobiega końca, wita mnie bogaty, mięsny zapach chaminu, który przez całą noc stał na kuchni, opary wina znad pełnych kieliszków, zapachy ciał, perfum i wody po goleniu mieszają się z ciepłym powietrzem w ogrzewanym, zamkniętym wnętrzu. Dina obejmuje mnie, ma na sobie czarny sweter, długi jak sukienka, jej brązowe oczy oglądają mnie ze zdziwieniem, na policzkach widać maleńkie popękane naczynka, przypominające żyłki na liściu. Jak pięknie wyglądasz, mówi, i natychmiast dodaje przepaszająco, jeszcze go nie ma, niedługo przyjdzie. Nie bardzo rozumiem, o co jej chodzi. Daj spokój, kompletnie o tym zapomniałam, mówię, tak jest mi o wiele przyjemniej, siedzieć wśród obcych, którzy niczego ode mnie nie chcą, którzy nie przyglądają mi się badawczo, jeść gorącą potrawę, spokojnie sączyć wino.

Nie uwierzycie, oni dodają do chaminu pesto, skarży się ktoś z całkowitą powagą. Niemłody mężczyzna, którego brzuch dotyka stołu, ma rozbiegane spojrzenie, szuka poparcia, ludzie kompletnie powariowali, zepsują wszystko, co dobre, co złego jest w tradycyjnym chaminie, jak Pan Bóg przykazał, po co dodawać pesto, irytuje się, po co?

Jakby ktoś zagrażał mu osobiście. Siedząca obok kobieta, najwyraźniej żona, pośpiesznie odcina się od jego słów, ja akurat lubię pesto, przyznaje szczerze, on jest okropnym konserwatystą, dodaje. Ależ ty nic nie rozumiesz, rzuca się natychmiast mąż, ja też lubię pesto, ale nie w chaminie, nie do wszystkiego.

Siła emocji skumulowanych w rozmowie o pesto łaskocze mi nozdrza, zakrywam usta, by ukryć śmiech, obserwuję z podziwem, jak Dina usiłuje zmienić temat, ale pan od pesto nie zamierza dać za wygraną, wszyscy jesteśmy wezwani do rozstrzygnięcia sporu. Wydaje się, że nie odzyska spokoju ducha, dopóki żona nie przyzna się do straszliwej pomyłki. Co złego jest w odrobinie konserwatyizmu? - burzy się mężczyzna. Tobie się wydaje, że jeśli pójdziesz za każdą modą, odmłodniejesz, chcesz zrobić wrażenie na dzieciach, ja w przeciwieństwie do ciebie rozpatrzę każdą rzecz niezależnie, lubię pesto z pesto, pesto z chaminem nie, oświadczam. Zrywam się z krzesła, biegnę do łazienki i wybucham śmiechem. Żona pana od pesto odprowadza mnie wzrokiem, w jej oczach błyska zastarzała uraza, która rodzi wyczerpujące kłótnie. To było obraźliwe, jak się do mnie zwracałeś, powie mu później, a on spyta, ty się obraziłaś? To ja się obraziłem, wiecznie zaprzeczasz wszystkiemu, co mówię, prędzej umrzesz, niż się w czymś ze mną zgodzisz. Jak dobrze znam takie rozmowy, jakbym prowadziła je przez całe życie, a teraz nagle się od nich uwolniłam.

Kiedy wracam do stołu, rozmawiają już o Jerozolimie, z niewiele mniejszym przejęciem. Ona chce się stąd wyprowadzić, skarży się mężczyzna, kiedy w końcu przyzwyczaiłem się do tego miasta, ona chce się przenieść do Tel Awiwu. Siedząca obok mnie kobieta, dawna przyjaciółka Diny, którą spotykałam wiele razy, mówi, to nie takie łatwe, kilka razy usiłowałam zostawić Jerozolimę i nie udało mi się, zawsze tu wracałam, to najbardziej interesujące miasto na świecie. Może dla ciebie, wtrąca Dina, patrzysz na nie oczami fotografa, dla zwykłych ludzi to może być męczące, co tu tak naprawdę jest? Bieda, terror, fanatycy religijni.

Co tu jest? Siedzący naprzeciw mnie mężczyzna natychmiast protestuje. Cała historia żydowskiego narodu leży pod naszymi nogami, stąd król Dawid władał całym Izraelem, Salomon zbudował tu pierwszą świątynię. To nie do końca tak, zauważam cicho. Jak to nie?! - obrusza się. Tak jest napisane w Biblii! To żaden argument, uśmiecham się, Biblia to nie dokument historyczny, wykopaliska archeologiczne nie dowiodły, że w epoce Dawida i Salomona istniało tu wielkie królestwo, przeciwnie, nawet zwyczajnych skorup odkryto stosunkowo niewiele. To co, chce pani powiedzieć, że Dawid i Salomon nie istnieli? - burczy na mnie mężczyzna. Najwyraźniej istnieli, mówię. Dynastia Dawida jest wspomniana w inskrypcjach z Tel Dan, ale ich mityczne królestwo nie istniało, Jerozolima w ich czasach nie była miastem wspaniałych pałaców, lecz małą, zaniedbaną górską osadą. Dlaczego w takim razie powstał mit wielkiego królestwa? - pyta Dina, a ja mówię: Jak wszystkie mity. Żeby zaspokoić potrzeby emocjonalne, obudzić tęsknotę za legendarnym złotym wiekiem, który przeminął, lub by służyć wizjom przyszłości. Mężczyzna ze złością dolewa sobie wina. To wszystko głupstwa, narzeka mrukliwie. Od kiedy to brak dowodów jest dowodem? Wy, archeolodzy, jesteście pozbawieni wyobraźni. Jutro odnajdziecie pałac króla Dawida i zmienicie zdanie, znowu stworzycie nową teorię. Może akurat dokładnie pod tym domem ukrywa się dowód, którego szukacie. Uśmiecham się do niego łaskawie, jego upór mnie wzrusza, przypomina mi mój własny upór w sprawie Tery.

W każdym razie ja skończyłam z tym miastem, mówi jego żona, to miejsce dla masochistów, a Dina komentuje: Jasne, cały ten kraj jest dla masochistów. On protestuje: Mamy wybór, powiedz mi, jaki mamy wybór, dokąd możesz pójść? Żona znowu obserwuje go z przygnębieniem. Chyba nie, chyba nie mamy wyboru. Chciałabym jej powiedzieć, nawet jeśli nie masz dokąd pójść, możesz odejść od niego jeszcze w tej chwili. Pytanie, nie dokąd pójdziesz, ale czy dasz radę zostać. Uparty dzwonek telefonu przerywa rozmowę. Utknął przy Szear Haggai, biedak, mówi Dina, trzymając

w rękę słuchawkę, z oczami skierowanymi na mnie, jakby chodziło już o mojego narzeczonego. Szosa do Jerozolimy jest nieprzejezdna. Wzruszam ramionami, to nawet lepiej, będę mogła niedługo wyjść, mimo woli chyba przyzwyczałam się do samotności, takie jałowe rozmowy mnie nużą. Staram się ignorować padające słowa, słuchać tylko cichego szmeru niebieskich kropli; kiedy Dina zaczyna rozlewać do kubków gorącą miętową herbatę, wstaję z krzesła. Nawet jeśli nie masz dokąd pójść, możesz odejść w tej chwili.

Mogę mu dać twój numer? - pyta Dina, odprowadzając mnie do drzwi. Przecież ten śnieg kiedyś się skończy. W porządku, mówię. Jeśli tak ci na tym zależy. Najważniejsze, że teraz mnie wypuszczasz. Powiedz, gdzie wynalazłaś tę parę? Razem są naprawdę nie do zniesienia, uśmiecha się. Ale każde z osobna jest całkiem w porządku. Co jakiś czas trzeba zaprosić jakieś małżeństwo, żeby zdać sobie sprawę z zalet naszej sytuacji, mówi szeptem. Jestem zmuszona zgodzić się z nią w tej słodkiej, oswojadzającej chwili, wychodzę lekkim krokiem, ruszam radośnie w ubrudzone miasto, które wita mnie z chłodną obojętnością, jakby mówiło, nie broniłaś mnie wystarczająco, ale niepotrzebna mi twoja obrona. Kiedy patrzę na samotne wieże kościołów, na faliste linie wzgórz, które zacierają nowe, prostackie zabudowania, przypominam sobie, jak obco czułam się w tym mieście, chyba wciąż żywię do niego urazę, gorąco pragnę wziąć udział w następnych wykopaliskach, które odsłonią jego hańbę, staram się traktować je jako obiekt badań, wprowadzający w błąd, skomplikowany zbiór danych, bez prawdziwej miłości.

W ogrzewanych mieszkaniach ludzie napełniają brzuchy, cieszą się nowością, która wkrótce stanie się uciążliwa, pojedyncze samochody brną zmienionymi nie do poznania ulicami, jestem prawie całkiem sama, przechodzę przez plac zabaw z pobielonymi śniegiem urządzeniami, to park naprzeciwko ich domu, poznaję nagle, patrzę na elegancki budynek, balkon na ostatnim piętrze jest pusty, nikt nie rzuca plastikowych torebek z wodą. Kilka razy kusiałam Gilego: Co tam u Jotama, może go zaprosimy, a Gili prychnął, nie, on już nie jest moim kolegą, i ciągnął dalej konspiracyjnie, nasza banda jest przeciwko ich bandzie, musimy im dowalić. Staralam się ukryć rozczarowanie, przecież za jego pośrednictwem zamierałam zapoznać się z nimi. Znowu myślę o tamtym ranku, zakłopotany mężczyzna w czerwonych majtkach w kropki, patrzący na mnie gniewnie, otwarciem, spojrzeniem, które stopniowo miękło, godziło się z moim istnieniem, ta wizja jest o wiele żywsza niż całkowicie ubrane, profesjonalne, bezpieczne ja, które ujrzałam w klinice. Stoję przed jego domem, na pewno w środku jest ciepło i przyjemnie, za oknami bieleją czubki drzew, w porcelanowej misie gruszki ustąpiły miejsca cytrusom. Może siedzi na wysokim barowym stołku, maczając ciasteczka w kawie, może na fotelu bujanym, z kocem na kolanach, przegląda książkę lub gazetę, może wyszedł na samotny spacer w śniegu, może zaraz na niego wpadnę, kiedy będzie wracał do domu, znowu popatrzy na mnie i zapyta: Czy my się znamy? Właściwie nie, odpowiem, ale będę kroczyć cicho u jego boku, oboje oczami duszy będziemy widzieć inne miasta, inne życie. Czy to on tam, na końcu ulicy, z twarzą zasłoniętą szalikiem, nie, to przecież owoc mojej wyobraźni, tak jak pełne sympatii spojrzenie w jego oczach. Choć nogi szczypią mnie z zimna, ciągle stoję pod domem, wytyżam słuch, czy także teraz po mieszkaniu snuje się zduszony, tłumiony płacz, czy słyszałam wtedy nieutulony jęk bólu obcej rodziny, czy mój własny.

Witaj, Elu, odzywa się odrobinę rozkazująco, nagłym głosem. Tu Rami Regew, przykro mi, że nie dotarłem w sobotę na obiad, droga była nieprzejezdna, możemy się umówić na jutro. Dziwię się w duchu, skąd ten pośpiech, jakoś żył beze mnie do tej pory, co sprawiło, że rzuca się na mnie z takim zapalem, jakbym była ostatnią wolną kobietą na świecie. Waham się. Mam wrażenie, że gdy się zgodzę, zostanę nawet we własnych oczach naznaczona wytartą, banalną etykietką kobiety szukającej męża, produktem szukającym klienta.

Jutro nie mogę, odpowiadam po chwili. Może pojutrze. Natychmiast odplaca mi pięknym za nadobne: Pojutrze ja nie mogę, dopiero później. Wydaje się, że możemy ciągnąć to w nieskończoność, on będzie obstawał przy dniach parzystych, ja przy nieparzystych, ale próbuje już z innej strony. Czytałem właśnie artykuł, który zamieściłaś w tym waszym piśmie, ciekawy, ale całkiem nieracjonalny, w ogóle się z tobą nie zgadzam.

Kim ty jesteś, żeby się ze mną nie zgadzać, czy ty w ogóle się na tym znasz, oburzam się w duchu. Ukłucie jednak spełnia swoje zadanie. Przecież kobieta, która publikuje nieracjonalne artykuły, nie zaprzepaści szansy na spotkanie z mężczyzną, który jest tak miły i chce się z nią umówić, choć w ogóle się z nią nie zgadza. Umawiamy się na pojutrze, w kawiarence niedaleko mojego domu, lecz w miarę jak zbliża się ten dzień, moje przygnębienie rośnie. Czy to początek wyszydzonej sieci rozczarowań i upokorzeń, czy na to się skazałam, odchodząc od Amnona? Przekonuję sama siebie, że lepiej spróbować, kiedy mi za bardzo nie zależy, co mi w końcu grozi, najwyżej trochę się wynudzę i wyjdę wcześniej. Mimo wszystko, ubierając się przed wyjściem, tracę kruchy spokój i posyłam swojemu wyostrzonemu odbiciu ganiące spojrzenia: Po co ci to? Muszę przyznać, że nie chcę zrezygnować z niezwykle słabej szansy na zakochanie się w rozwiedzionym pilocie, który jest także miłośnikiem archeologii, wzbudzę jego miłość, dzięki niemu znajdę ostateczne potwierdzenie tego, że powinnam była rzucić Amnona, które od razu rozproszy wątpliwości i sprawi, że stanę się pełnym człowiekiem, nawet jeśli na zawsze zostanę odłamkiem naczynia, reprezentującym całe naczynie, czy naprawdę są tak samo ważne, jak powtarzaliśmy, należy przywiązywać taką samą naukową wagę do każdego przedmiotu, który wyszedł spod ręki człowieka, nieistotne, czy jest cały, czy pozostał z niego tylko okruch.

Gdyby na przykład siedział teraz przede mną Amnon Miller, czy pragnęłabym go, czy moje zamknięte serce otworzyłoby się dla niego, pozwalając błędzić po swych komnatach, czy także on ryzykuje podobne spotkania, jak się przedstawia, jak opisuje koniec swego małżeństwa, czy mówi, żona przestała się mną interesować po urodzeniu dziecka, zaczęła traktować mnie jak coś oczywistego. Kolejne pary umalowanych oczu otwierają się ze zdumieniem. Naprawdę? Jak to, przestać się tobą interesować? Przecież można być jednocześnie matką i żoną. Dla nas nigdy nie będziesz czymś oczywistym, z pewnością obiecują chętnie oczy. Może w ogóle poda całkiem inną wersję, wyzna, że to on wyczerpał możliwości naszego

związku, aby nie obudzić choćby najlżejszej wątpliwości w sercu siedzącej naprzeciwko kobiety. Dziesięć lat wystarczyło, powie, nie wyobrażałem sobie, jak się razem starzejemy. Także wtedy otrzyma pełne sympatii spojrzenia. Subtelne zaproszenie, aby zestarzał się akurat z nimi. Oszołomi je opisem swoich zawodowych sukcesów, wybranki zaprosi, by dołączyły do niego w terenie, ubrane w roboczy strój, włoży im w ręce młotki i kilofy, na zakończenie zawiezie je do pięknego mieszkania, w sypialni za zasłoną z koralików rzuci je na łóżko przykryte haftowaną narzutą.

Czy mogłabym być jedną z nich, gdybym spotkała go teraz, a nie dziesięć lat temu, poruszona jego zainteresowaniem, na wpół ślepa ślepotą niezbędną do zakochania? Czy wciąż jestem zdolna do takiej ślepoty, jak inaczej można zakochać się w niezgrabnym, szorstkim, pełnym humorów, a zarazem atrakcyjnym mężczyźnie, którym bez ustanku szarpie żywiołowe rozgorączkowanie? Czy jest lepszy czy gorszy od mężczyzn, których będę spotykać w rozmaitych kawiarniach, lepszy czy gorszy od pilota, który teraz idzie w moją stronę, zerkając na zegarek, rozpoznaję go po charakterystycznym szczególe, o którym mnie poinformował. Chodzę zawsze w krótkich spodniach, pysznił się. Trudno się pomylić, o tej porze roku z pewnością jest jedyną osobą, która chodzi w niebieskiej lotniczej kurtce i krótkich spodniach, odsłaniających umięśnione, szczupłe nogi w ciężkich górskich butach. Postanawiam zignorować dziwny widok i nie pytać z pełnym zachwytem zdumieniem: Nie zimno ci? Zachować się tak, jakby moi znajomi też tak chodzili zimą po Jerozolimie.

Widok wyzywająco obnażonych nóg natychmiast budzi we mnie dyskomfort, jakbym była zmuszona patrzeć na fizyczne zjawisko, na które nie byłam przygotowana. Przyglądam mu się z powątpiewaniem, najwyraźniej należy do tych nielicznych osób, które wszędzie na świecie czują się jak w domu. Domyślam się, że w każdym mieszkaniu otwiera bez pytania lodówkę, grzebie w jej zawartości, wyciąga książki z półki i kartkuje, także z kobietami z pewnością jest bezpośredni i niedelikatny. Hej, Elu, konam z głodu, oświadcza swobodnie i zdejmuję kurtkę, jakbym była jego matką, niezwykle zainteresowaną odżywianiem swego dziecka. Dopiero wtedy spoglądam na jego twarz, czy jest lepsza, czy gorsza od twarzy Amnona. Muszę przyznać, że Amnon wygląda młodziej, i moim zdaniem jest przystojniejszy od tego mężczyzny, którego szczupłość nie wydaje się przyjemna dla oka, rysy twarzy są napięte i ostre, poruszają się ze skupioną energią, brak wystarczającej koordynacji między ruchami oczu, warg, nozdrzy, przez co całość sprawia wrażenie orkiestry bez dyrygenta.

Od dawna jesteś? - interesuje się, ale zanim zdążę oświadczyć, że weszłam przed chwilą, na jego ustach pojawia się pilniejsze pytanie: Czujesz coś? Nic specjalnego, czemu pytasz? Natychmiast mam wrażenie, że nie dość dokładnie się umyłam. Dziwnie pachnie, mówi on. Może się przesiądziemy? Wstaję niechętnie, mój wybór miejsca już jest kwestionowany. Idę za nim do odosobnionego stolika w rogu, z płaszczem i torebką w ręku, drzwi przyzywają mnie na wolność, lecz posłusznie siadam naprzeciwko, śledzę jego ruchliwe nozdrza. Tu jest trochę lepiej, uznaje, wciąż nie całkiem zadowolony, dopiero wtedy zwraca na mnie wzrok, aby mi się przyjrzeć, spuszcza oczy nad menu, kto wie, z kim jestem porównywana, kim jest kobieta, z którą mimo woli konkuruję, moje wargi przeciwko jej wargom, moje oczy przeciwko jej oczom, moje piersi przeciwko jej piersiom. Zamawiam tylko kieliszek czerwonego wina, choć jestem głodna. Jak mogłabym swobodnie jeść przed jego ruchliwym nosem, przed wzrokiem detektywa. Lepiej skrócić spotkanie i zjeść coś w domu, postanawiam, ale okazuje się, że on ma inne plany, jest gotów zamówić każdą potrawę z jadłospisu, aby zaspokoić wilczy głód lub

przedłużyć spotkanie, jego wola zwycięża moją, okazuje się, że muszę siedzieć głodna i przyglądać się, jak je godzinami, zupę, sałatę i krwisty stek. Krwisty, rzuca w stronę oddalającej się kelnerki, lubię słabo wysmażony. Podniesiony głos uwypukla ostrą wymowę, jakby Rami własnoręcznie odcinał krwawiące mięso z żywego ciała.

Zaspokoiwszy swoją żądzę nad menu, przynosi na mnie zwężone źrenice, to co słyhać, stara się w końcu uśmiechnąć przyjaźnie, nie czeka na odpowiedź. Myślałem, że wyglądasz inaczej, wtajemnicza mnie w swoje ukryte oczekiwania. Miałem okazję poznać kilka archeolożek, wszystkie są takie energiczne, szorstkie, a ty jesteś delikatna, podkreśla prawie z pretensją, zaraz także on powie, jesteś malowidłem ściennym. Pytam chłodno: To czym właściwie się interesujesz, archeologią czy archeologami?

Jednym i drugim, śmieje się zadowolony, jakbym powiedziała mu komplement. Lubię tę kombinację, kopanie to bardzo erotyczna czynność, zauważyłaś? Kopanie to czynność destrukcyjna, odpowiadam. Dopiero po fakcie można się dowiedzieć, czy było usprawiedliwione, mam nadzieję, że seks jest mniej destrukcyjny, a może nie, w twoim przypadku. Upijam wyniośle łyk wina, rozglądając się wokół z demonstracyjnym znudzeniem. Ten twój artykuł, próbuje znowu, a ja mu przerywam: Opublikowałam wiele artykułów, który dokładnie masz na myśli? O wyjściu z Egiptu, mówi. Naprawdę nie rozumiem, jak możesz pomijać fakt, że nie istnieje nawet jeden dowód na tę historię? Znam na pamięć wszystkie te argumenty, odpowiadam, przecież nawet ja nie uważam, że chodzi o całkowitą prawdę historyczną. Twierdzę tylko, że nie można ignorować egipskich wzmianek o wielkiej klęsce żywiołowej, które zgadzają się z opisami w naszych źródłach.

To mnie nie przekonuje, rzuca. Jaki to ma w ogóle związek? Archeologia to nie nauka ścisła, zauważam. Jest wiele miejsca na interpretacje, najłatwiej powiedzieć, że to wszystko bajki, ale trudno mi uwierzyć, że pamięć o tak dramatycznym wydarzeniu historycznym byłaby wyłącznie dziełem wyobraźni. Ku mej wielkiej uldze nadejście zupy przerywa wymianę zdań. Rzuca się na nią łapczywie i, jak było do przewidzenia, nie jest zadowolony. Rozgotowali brokuły, skarży się. Jeśli za długo gotuje się brokuły, stają się miękkie jak szmatka, informuje poważnie kelnerkę, a ona przeprasza: Naprawdę? Nikt dotychczas nie narzekał. Mam delikatne podniebienie, oświadcza on, a ona już jest całkiem bezradna. Chce pan zamówić coś innego? - stara się, a on pyta: Macie jakąś specjalność? Mamy wspaniałego szefa kuchni, powiadamia kelnerka, tak myśleliśmy do tej pory. Zaczekam na stek i sałatkę, prycha pogardliwie. Proszę tylko nie zapomnieć odliczyć w rachunku zupę. Kelnerka posyła mi współczujące spojrzenie i ucieka. Szkoda, że nie mogę zrobić tego samego. Chętnie zastąpiłabym ją przy wszystkich stolikach, jeśli zgodziłaby się zająć moje miejsce. Milczę, zirytowana, piję wino małymi, nerwowymi łyčkami.

Jesteś świeżo rozwiedziona? - pyta, jakbym także była zaproponowaną potrawą, której świeżość musi sprawdzić. Nie jestem nawet jeszcze rozwiedziona, odpowiadam chłodno. Rozstałam się z mężem kilka miesięcy temu. Twój mąż to ten archeolog, Amnon Miller, prawda? - pyta. Słyszałem o nim. Jak to jest żyć z drugim archeologiem? Są wady i zalety tej sytuacji, odpowiadam krótko. Najwyraźniej wady przewyższyły zalety, zauważa, zadowolony ze swej bystrości. Może, kiwam głową. A co z tobą? Od jak dawna jesteś rozwiedziona? Od wielu lat, mówi. Młodo się ożeniłem, to był nieprzemyślany krok, od tamtej pory poszukuję. Kiwam w milczeniu głową, jak masz cokolwiek znaleźć, skoro nic ci nie smakuje, żaden zapach ci nie odpowiada.

W końcu do naszego pogrążonego w milczeniu stolika dociera stek. On pochłania go łapczywie. Nie idealny, ale może być, informuje z rozjaśnioną twarzą, jakbym się tym przejmowała. W kibucu zmuszali nas, żebyśmy zjadali wszystko, dodaje trochę przeproszająco. Jedzenie było wstrętne. Od tamtej pory bardzo dbam o to, co jem. Przyglądam mu się wyczerpana. Zakochaj się. Jak można zakochać się w wieku, kiedy oczy ma się szeroko otwarte, a serce prowadzi rachunki niczym pracowity księgowy? Wydaje się, że zakochanie - jak sen - oddala się tym bardziej, im bardziej się na nim skupiamy. Jak zdołam zasnąć, pytałam w młodości. Jak zdołam się zakochać, pytam teraz, kiedy hałaśliwe towarzystwo siada przy stoliku za mną. Nie widzę ich, ale zalewa nas wesoły zgiełk, rodzinna uroczystość urodzinowa, okazuje się. On marszczy nos. Co to za hałas, może się przesiądziemy, nie słyszę sam siebie, narzeka. Rozglądam się wokół, kawiarnia już jest prawie pełna, dokąd właściwie mamy się przesiąść, zostało tylko miejsce przy drzwiach, niedaleko toalety, jeden wolny stolik, gdzie nikt nie odważył się usiąść, nawet mój dzielny pilot.

Nie ma wyjścia, mówi. Poproszę ich, żeby byli trochę ciszej. Co za bezczelność, w końcu to tylko urodziny, co tu w ogóle świętować. Straszliwie skrępowana widzę, jak nagle podnosi się z krzesła, obciąża trochę swoje śmieszne spodenki, podchodzi do naszych sąsiadów i mówi: Przepraszam, mamy bardzo ważne spotkanie, możecie być trochę ciszej? Słyszę, jak niski głos odpowiada z drwiącą uprzejmością: Będziemy się bardzo starali, ale to trochę trudne z dziećmi. Znajomy głos, który już kiedyś słyszałam, więcej niż raz. Czy my się znamy? - pytał. Czy my się znamy? Ukradkiem wykręcam głowę, obserwuję z ukosa gości. Dwoje rodziców i dwoje dzieci, wesołe przyjęcie urodzinowe Schefferów, loki w kolorze mango, spięte pozłacaną klamrą, poważna twarz chłopca, który zawsze przypomina mi Gilego, dziewczynka śliczna jak lalka, i on, mięsiste wargi, które łapczywie pochłaniały ciasteczka, czarne oczy, otoczone ciemnymi kręgami, nad nimi gęste brwi, to człowiek, który dał mi bezcenny podarunek, nawet o tym nie wiedząc. Nie, nie znamy się, nigdy się nie poznamy, czy jest coś, czego bardziej bym pragnęła?

Znowu ten zapach, oburza się szeptem mój partner, jakbyśmy byli sprzymierzeńcami przeciwko reszcie świata. Wcześniej było w porządku, to widocznie od nich. Spuszczam głowę. Żeby mnie tylko nie zauważyli. Staram się skupić na ich rozmowie, odkryć, czyje to urodziny. Ich swobodne głosy budzą moją zazdrość. Słyszę, jak Jotam oznajmia: Tato, chcę usiąść ci na kolanach.

Jak tata będzie jadł, odpowiada Michał, to będziesz mu przeszkadzał, nie jesteś już małym dzieckiem, masz sześć lat. Nic nie szkodzi, mówi ojciec Jotama, chodź, kochanie. Nie ośmielam się na nich zerknąć, ale oczyma duszy widzę, jak pełne, ciemne wargi dotykają wysokiego czoła chłopczyka, tak podobnego do Gilego. Jakże jednak różna jest sytuacja życiowa Jotama. Jak nasza pęknięta rodzina będzie obchodzić następne urodziny, wszystkie następne urodziny, czy zorganizujemy dwa osobne przyjęcia, podwójną przyjemność, a właściwie podzieloną na dwoje, czy uda nam się zebrać na jeden, pełen napięcia wieczór, jakbyśmy tłoczyli się wokół płomyka ostatniej zapalki, jeden wieczór, który nawet jeśli będzie udany, pozostawi uczucie przygnębienia?

Zaraz przyjdą dziadek i babcia, oznajmia Michał. Zaczekajmy na nich z zamawianiem. Mogę zamówić, co chcę, bo mam urodziny, chwali się uszczęśliwiony Jotam. A ty nie, drażni się z siostrą. Jesteś jeszcze mały, odpowiada ona natychmiast. Nie masz się czym chwalić. Ja miałam więcej urodzin od ciebie. Znowu spokojny głos ojca łagodzi zaczątki kłótni, a ja proszę o jeszcze jeden kieliszek wina. Przez cały ten czas mój sąsiad opowiada ze szczegółami o swoich podróżach po świecie. Możemy się wiele nauczyć od Japończyków, entuzjazmuje się. Okazuje

się, że właśnie wrócił z Japonii. Ich poczucie estetyki to coś niesamowitego, prawie nowa religia, powinnaś zobaczyć, jak przycinają drzewa, dziesięciu ogrodników do jednego drzewa. Potakuję obojętnie, słucham tylko tamtych, nie odważam się odwrócić głowy, żeby nie ujrzeli mojego upokorzenia, bardzo łatwo rozpoznać parę na randce w ciemno, czasami zabawialiśmy się tym z Talią. Ku memu przerażeniu nagle rozlega się radosny okrzyk, któremu towarzyszy nie całkiem grzeczne wyciągnięcie palca. Patrzcie, to mama Gilego. Jestem zmuszona zwrócić do nich fałszywie zdumioną twarz, a nawet nie poprzestaję na tym i podchodzę do ich stolika. Dzień dobry, nie poznałam was, szczebioczę. W głowie kręci mi się od wina. Chwytam skraj stolika palcami niczym szponami ptaka.

Mam urodziny, oświadcza Jotam, a ja znowu udaję zdumienie: Naprawdę? To świetnie, wszystkiego najlepszego. Jotam pyta dalej: Dlaczego Gili już się ze mną nie przyjaźni? Na pewno się z tobą przyjaźni, rzucam bezmyślnie. Wczoraj nawet mówił, że chciałby, żebyś do niego przyszedł. Doskonale, mówi Michał. Zadzwoń w tym tygodniu i się umówimy. Natychmiast przeprosza za nieuprzejmość. Przepraszam, Elu, to mój mąż, Oded, nie znacie się. W milczeniu, powstrzymując uśmiech, podajemy sobie ręce. Żadne z nas nie kwapi się poprawić błędu, jakbyśmy byli sekretnymi współnikami przestępstwa. Patrzy na mnie z pytaniem w oczach, a ja wrastam w ziemię, z całej siły chwytam oparcie jego krzesła, marzę, aby do nich należeć, żeby mnie zaadoptowali choć na jeden wieczór, ale wtedy wszczyna się nowe zamieszanie, bo do stolika podchodzą dziadek i babcia, potop pocałunków i życzeń, słabo mamroczę powitanie i chwiejnie wracam na miejsce. Talerz mego chwilowego partnera jest już prawie pusty, upstrzony małutkimi kałużami krwi z mięsa, a on zastanawia się nad deserem, sernik czy ciasto czekoladowe, może sernik z czekoladą, dlaczego nie ma czerpać przyjemności z obu światów. Przerывam te dywagacje. Mam wrażenie, że trzeba już iść, oni dopiero zaczynają świętować, będzie głośno, zaprosili jeszcze mnóstwo osób. Tak? Jest zaskoczony, pochlebia mu, że zwracam uwagę na jego wyjątkowe potrzeby. Chodźmy gdzieś indziej, proponuje, jest w okolicy jakiś miły pub? Przesadnie demonstracyjnie patrzę na zegarek. Ależ już późno! - wykrzykuję. Jak ten czas minął, muszę zwolnić opiekunkę. Zerka na mnie podejrzliwie. Przecież umówiliśmy się na dzisiaj, bo twój syn jest u ojca. Dziwne, że zapamiętał. Musieliśmy zamienić dni, kłamie. Poważnieje, najwyraźniej nie otrzymał nic w zamian za swoje wysiłki, czas dojazdu wciąż przewyższa czas spotkania, który mu wydzielono. Zastanawia się, jak uzyskać pełną satysfakcję w zamian za swój trud i zmienić bieg wieczoru.

Rachunek pojawia się faktycznie szybko, jak prosiłam, ale kelnerka podaje go mnie, a ja zamawiałam tylko wino. Przyglądam mu się skrępowana, oczekując, że siedzący przede mną mężczyzna wyciągnie rękę i przejmie odpowiedzialność. W ciągu dziesięciu lat małżeństwa zapomniałam już, jakie obowiązują zasady, być może zresztą zmieniły się od tamtej pory. Wolno sięgam po portfel, czekając, aż postąpi tak samo, ale on zwleka. Odliczyli mi za zupę? - pyta z zainteresowaniem, jakby tylko zupę zamawiał, a ja potakuję skinięciem, wyjmując z portfela gruby banknot. Pozwala mi zapłacić, jakby oczekiwał, że wynagrodzę jego wysiłek, pozwala kelnerce zabrać tackę, zwrócić mi niewielką resztę, która i tak zaraz przejdzie na jej własność. Dziwię się w milczeniu, czy naprawdę takie są teraz reguły, że kobiety płacą, nawet kiedy nic nie jedzą, nie wydaje się, żebym mogła sobie pozwolić na takie spotkania, jeszcze bardziej chcę się uwolnić od niego, to bezcenne, byłabym zdolna zapłacić dwa razy tyle, żeby tylko sobie poszedł, czy faktycznie ma zamiar odejść? Razem wstajemy od stolika, roztaczając

atmosferę trwałej niechęci, szybko mijamy świętującą rodzinę, zajętą jedzeniem i rozmową. Chyba nikt nie zauważa słabego uśmiechu pożegnalnego, który rzucam na odchodnym.

Mieszkasz w okolicy? Podrzucę cię, proponuje, kiedy wychodzimy w mglisty, ośliszły wieczór, ale natychmiast go zbywam. Dziękuję, wolę pójść pieszo, rzucam oschle. Było bardzo miło, porozmawiamy później. Zaczekaj, protestuje, chwytając mnie za rękę. Przestań mnie traktować jak niedorozwinięte dziecko, wiem, że nie było miło, wiem, że nie porozmawiamy później, przestań udawać. Zdziwiona, odsuwam ramię. Po raz pierwszy, odkąd się spotkaliśmy, patrzę mu prosto w twarz. Posłuchaj, to naprawdę nie twoja wina, po prostu nie nadaję się do podobnych spotkań, to dla mnie za wcześnie. Mówiłam o tym Dinie, ale ona się uparła, bardzo mi przykro. Mnie też, mówi, z twarzą blisko mojej. Szkoda, że nie dajesz żadnej szansy. W ogóle się nie angażujesz, nie odważasz się zamoczyć stopy w wodzie, nie jesz, nie mówisz, nie dajesz z siebie nic prawdziwego. Wydaje ci się, że tak zwyciężysz w grze, ale to nieprawda, w ogóle nie grasz. Patrzę na niego skrzępowana. Czego oczekiwałaś, co prawdziwego miałabym ci powiedzieć?

Na przykład, że powinienem zapłacić za stek, mówi. Było ci łatwiej zapłacić samej, niż powiedzieć jedno bezpośrednie zdanie. Nie myśl, że nie zauważyłem. Weź, mówi, wyjmując z portfela banknot i podając mi go. Otwieram się przed tobą taki, jaki jestem, z wadami i zaletami, a ty zamykasz się, co ty ukrywasz, najwyraźniej masz tyle do ukrycia, że nawet nie uchylasz zasłony. Nic nie ukrywam, bronię się natychmiast. Po prostu takie spotkania mi nie odpowiadają. Na jakim świecie ty żyjesz, myślisz, że mnie odpowiadają? - pyta z goryczą. Myślisz, że ktokolwiek czerpie z tego przyjemność? To tortura dla wszystkich, a jednak ciągniemy to, nie chcemy zrezygnować z maleńkiej szansy, że może tym razem to będzie to, co powinno, że wynagrodzi męki, które przeszliśmy. Nie pasujemy do siebie, Elu, a jednak obchodzisz mnie. Mówię ci, jesteś dopiero na początku drogi, która będzie coraz mniej przyjemna. Musisz wiedzieć, do czego dążysz, musisz brać udział w grze, bo to jedyna szansa na związek. Wiem, że ci się nie podobam, ale niewykluczone, że następni będą jeszcze gorsi. Ja, na przykład, za każdym razem tęsknie myślę o poprzedniej randce. No cóż, powstrzymuje się, dobranoc. Odchodzi, podrygując na cienkich nogach, i znika we wnętrzu zaparkowanego na chodniku czarnego dżipa, który prawie blokuje wejście do kawiarni.

Patrzę za nim zawstydzona i zaskoczona, zgniatając bezwiednie banknot, który wepchnął mi w dłoń. Może go zawołać, spróbować zacząć od początku? Nie, ten wieczór nie jest do tego przeznaczony. Siadam na wilgotnym kamiennym murku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kawiarni, dokładnie naprzeciwko urodzinowego stolika. Oglądam ich, jakbym patrzyła na niemy film, zwyczajnie przenosiny Jotama z kolan ojca na kolana dziadka i babci, twarz siostry zielenieje z zazdrości. Słowa, które przed chwilą usłyszałam, leżą mi pod nogami, namacalne i prawdziwe, drażnią mnie jak swędzenie, ale nie one teraz przyciągają moją uwagę. Wkładam ręce do kieszeni, zamierzam wykorzystać w pełni smutną okazję, śledzić poczynania pełnej rodziny, niczym zachowanie zwierząt w ogrodzie zoologicznym. Nie badam potłuczonych skorup, lecz ludzi; oni znikną o wiele szybciej niż naczynia, których używają przy posiłku.

Elegancka babcia ze staranną, srebrzystą fryzurą, odrobinę niezgrabny dziadek o miłej twarzy. Sądząc z kolorytu, to rodzice Michał. Gdzie są jego rodzice, czy jest sierotą? Przyglądam się zwłaszcza jemu, jego nieustępliwemu, a zarazem kruchemu profilowi. Zauważył frustrację córki i proponuje, żeby usiadła mu na kolanach. Jakaż irytująca duma bije z jej twarzy, kiedy siedzi w jego objęciach, jakby została królową. Ciemne wargi muskają miodowe włosy,

zebrane w koczek na czubku głowy. Córka szepcze mu coś na ucho i oboje się uśmiechają. Sekrety ślicznej dziewczynki w fioletowym sweterku. Pozwólcie mi też posłuchać. Ogarnia mnie nagle dziecinna zazdrość, jakbym była jej rówieśnicą. Ku wielkiemu wstydowi nie zazdroszczę jego żonie, lecz córce, bo kiedy wpatruję się w ten miły widok, dziewczynki przytulające się naturalnie do swoich ojców, czuję silny cios, całkowicie zaćmiewający ból po rozłamie rodziny, ból przyszłych przyjęć urodzinowych Gilego. Moje osobiste cierpienie z czasów przed dzieckiem rozwiera przede mną ogromną przepaść, jakbym tego akurat teraz potrzebowała, nie partnera, nie pełnej rodziny, lecz ojca, który zaoferuje mi swoje kolana. Wstaję i chodzę po chodniku zdrętwiała z zimna, wśród stert śniegu, który zamienił się w śliskie, brudne resztki, szukam innej perspektywy. Koncentruję się tym razem na Michał. Zebrane w węzeł włosy podkreślają ładny owal twarzy, która ostatnio stała się trochę cięższa. Kobieta wydaje się odrobinę starsza od męża, jego szczupłość podkreśla jej pełniejsze kształty, ręce trzyma nad talerzem Jotama, machinalnie kroi sznycel na kwadraciki, jak wszystkie matki, zwraca się do męża, ciekawe, co mówi, dlaczego on nie odpowiada, siedzą naprzeciw siebie, rozdziela ich puste krzesło, z którego wstała dziewczynka, właśnie teraz jej odpowiada, a ona posyła mu krótki uśmiech, wydyma usta, unosi do ust widelec pełen niezidentyfikowanej potrawy, żuje ostrożnie, kiwa głową, najwyraźniej aprobejuje jakoś jedzenia, a co państwo sądzą o chaminie z pesto? Jedno z nich chyba nie jest zadowolone, bo talerze zmieniają właścicieli, ona przez całą noc będzie trawić jego danie, on jej, na tym samym łóżku, do tej samej ubikacji trafią odpady, czy to znak udanego życia małżeńskiego, z jaką dumą przedstawiła mi męża, nie znacie się, ustaliła. Zdziwiłabyś się, nie wiesz wszystkiego. Budzi się we mnie nagła wrogość na ten widok, któremu chciwie się przyglądam, jest dla mnie tak tajemniczy i niezrozumiały, jakbym była podróżnikiem z dalekich krajów, badającym obyczaje tubylców. Niesamowite odkrycie, chyba dzielą się na rodziny, a ja, która jeszcze kilka miesięcy wcześniej byłam dokładnie taka jak oni, przyglądam się ze zdumieniem zjawisku. Co łączy dwoje obcych ludzi, że zaczynają stanowić rodzinę, co trzyma ich razem, co wiedzą o sobie nawzajem, czego nigdy się nie dowiedzą, co między nimi umarło, a co rozkwita, co sprawia, że on teraz wstaje od zatłoczonego stolika i dołącza do mnie, siadając obok na wilgotnym murku, jesteśmy jak dwoje bezdomnych kloszardów, czego może się o nich dowiedzieć obcy zerkający przez okno? Gdyby ktoś zobaczył nas w tej samej kawiarni kilka miesięcy temu, po moim powrocie z ostatniej konferencji, gdy lodówka była pusta i postanowiliśmy z Amnonem zjeść coś na mieście, a Gili wziął ze sobą prezent, który chwilę wcześniej wyjęłam z walizki, czy przyszłoby mu do głowy, że ta rodzina, wchodząca do kawiarni, wysoki, niezgrabny ojciec i matka, która z trudem sięga mu do ramienia, drobny chłopczyk, tułący w ramionach czerwony wyścigowy samochód, że ta rodzina odejdzie z tego świata? Nie, nikt by nie zgadł, że niska brunetka o bladej twarzy i ustach umalowanych na czerwono, podczas gdy dziecko bawi się nowym samochodem, trzymając w ręku pilota i naciskając z upodobaniem guziki, upojone całkowitą kontrolą nad ruchami zabawki, że ta brunetka informuje siedzącego naprzeciwko ojca, iż w jej sercu dojrzała decyzja o rozstaniu, właśnie wtedy, kiedy była daleko od nich obu, stanowcze, nieodwołalne postanowienie, surowe i tragiczne, którego niebawem pożałuje.

Chyba żartujesz, powiedział, pokaszując sucho, nie możesz tego mówić poważnie. Dlaczego nie, zaatakowałam, bo to dla ciebie niewygodne? Wyobraź sobie, że mnie to bardzo odpowiada, nie masz pojęcia, jak było mi dobrze bez ciebie za granicą, nie tęskniłam ani przez

chwilę, chcę wolności, Amnon, wolności od ciebie. Zwariowałaś, powiedział, wyjeżdżasz na tydzień i dlatego, że za mną nie tęskniłaś, postanawiasz się rozstać? Takiej decyzji nie podejmuje się z dnia na dzień, co tam się wydarzyło, zakochałaś się w kimś?

Zakochałam? - roześmiałam się wyniośle. Nie muszę się zakochiwać, żeby się z tobą rozstać, nie potrzeba mi żadnego faceta, w ogóle do ciebie nie dociera, że jest mi tak potwornie źle, po prostu mam cię dość, mam dość naszych kłótni, nie mam ochoty dłużej tak żyć. Kręci głową ze zdumionym niedowierzaniem. To z całą pewnością ktoś mógł zobaczyć przez okno. Całkiem zwariowałaś, Elu, nie akceptuję tego, nie pozwolę ci zniszczyć nam życia, co z Gilim, czy w ogóle o nim myślałaś? Patrzy za dzieckiem, które jeździ samochodem po kawiarni, okrzyki radości wiją się jak jęzory ognia między stolikami. Co z Gilim? - powtórzyłam. Dobrze, że o nim wspominasz, myślisz, że to zdrowo dla niego, gdy wchłania nasze awantury, naszą wrogość? Wiedz, że to trucizna, zatruwamy siebie i dziecko, czas położyć temu kres, chcę, żeby mój syn oddychał zdrowym powietrzem, nie żeby żył w strachu przed kolejną kłótnią, jak ja. Jeśli jedyny sposób to rozstanie, tak właśnie zrobimy, nie widzisz, że nie istnieje inne wyjście?

Nie masz pojęcia, o czym mówisz, odparł, przeżyłem to z moimi rodzicami, w przeciwieństwie do ciebie wiem, co to rozwód, mówię ci, że trzeba spróbować wszystkiego, zanim postanowimy się rozstać. Nie mam pojęcia, o czym mówię - syknęłam. Jasne, zawsze to powtarzasz. Także gdy zaczęłam badać historię Tery, powiedziałaś, że nie mam pojęcia, o czym mówię, a teraz zapraszają mnie na wszystkie konferencje na świecie. To jeszcze nie znaczy, że twoja śmieszna teza jest cokolwiek warta, krzywi się. Dla mnie to wciąż nonsens, ale co z tego, zajmuj się dalej swoimi bajkami, jeśli ci to sprawia przyjemność i przynosi pochwały, ale radzę, byś natychmiast poniechała planów rozwodowych. Nagle chce się rozwieść, zwrócił się do wyimaginowanej publiczności. Może do kogoś, kto siedział jak ja teraz, na murku, promieniującym suchym ciepłem początku lata. Rozpieszczona dziewczynka chce się rozwieść, nudzi jej się, nie ma ochoty słuchać krytyki, postanowiła trochę się rozwieść, wtedy wszystkie problemy się rozwiążą.

Mów ciszej, szepnęłam. Chcesz, żeby dziecko usłyszało? A więc chcesz to zrobić bez wiedzy dziecka? - zadrwił. Bardzo pomysłowe, naprawdę genialny krok. Bardzo ci dziękuję, odparłam. Kiedy wszystko już ustalimy, powiemy dziecku, pozwól mu się teraz cieszyć prezentem. Z rozmachem odstawił filiżankę z kawą. Czy ktoś, kto siedział na zewnątrz, mógł dosłyszeć trzask o stolik, zobaczyć, jak gorąca kawa wylała się na jego gołą rękę, jak groził mi grubym, budzącym we mnie odrazę palcem, zbliżając go do mojej twarzy? Ostrzegam cię, to czyn nieodwracalny, jak wykopaliska archeologiczne, jeśli jeszcze pamiętasz, co to takiego. Przecież oglądasz więcej lotnisk niż wykopalisk. Jeśli rozbijesz naszą rodzinę, nigdy nie będziesz mogła jej skleić z powrotem, nawet gdybyś pragnęła tego najbardziej na świecie. Choć siedziałam wtedy obok, najwyraźniej nie słyszałam tych słów, jak nie słyszę teraz odgłosów przyjęcia, które dobiega końca. Patrzyłam na Amnona niby przez szybę, obserwując ze zdziwieniem wygrażający palec. Mimo wszystko wciąż pozornie zachowywaliśmy się jak rodzina, bo gdy nadszedł rachunek, nie spoglądaliśmy na siebie z wahaniem, kto pierwszy wyjmie portfel, a wychodząc, nie wahał się, kto kogo odprowadzi, lecz wróciliśmy razem do domu. Po drodze zaś, dokładnie tu, gdzie teraz stoję, nowy samochód wyścigowy wypadł Gilemu z rąk i potoczył się w dół ulicą, dumnie, jakby był prawdziwym samochodem, jak wszystkie inne na jezdni. Amnon krzyknął, co z tobą, nie możesz dopilnować prezentu? Nigdy

już nic nie dostaniesz! Gili ryknął płaczem z otwartą szeroko buzią, w której chwiały się mleczne zęby. Stojąc na krawężniku, patrzyliśmy w napięciu na paniczną ucieczkę czerwonego samochodu-zabawki, z plastikowym kierowcą o zdecydowanym uśmiechu, w kasku na głowie, czekaliśmy, aż jezdnia opustoszeje i będziemy mogli go uratować, gotowi nieomal narazić życie. Gili kopał i wrzeszczał: Mój prezent, chcę mój prezent! Samochód pognał w dół, nie zauważając nadjeżdżającego z naprzeciwka autobusu, rzucił się mu radośnie pod koła, zgnieciony uśmiech plastikowego kierowcy, wyrzuty Amnona, płacz dziecka, które trzymało w ręku niepotrzebnego pilota, naciskając wciąż na guziki, starając się wskrzesić uczucie upojenia władzą, całkowitej kontroli, którego doświadczał zaledwie kilka minut wcześniej, przelotnego szczęścia.

Skrzydło samolotu, wbite w ziemię niczym przerażająca łopata, lśni w promieniach wczesnie zachodzącego słońca, budzi pierwotny lęk przed lataniem, obok w długim rzędzie stoją okaleczone samoloty, zawstydzone, jakby nigdy nie przecinały nieba. Gdyby był teraz obok, powiedziałabym, zobacz, szpital dla samolotów. Moje słowa zatonęłyby w jego oczach, odbijając się w brązowej zieleni, mamy takie same oczy, chlubi się, to nasze jedyne podobieństwo. Wciąż jesteśmy na tym samym skrawku łądu, ale to się zaraz zmieni, jego postać, i tak drobna, skurczy się w moich oczach jak źrenice kota. Gdyby stał tutaj, u stóp samolotu, machając ręką podczas startu, w jednej chwili przestałabym widzieć rękę i jego samego. Unoszę się do nieba, on zostaje na ziemi, od której się oderwałam, małe stopy w zeszlorocznych tenisówkach, wyrośnięte paznokcie dziurawią skarpetki, jestem coraz dalej, otwiera się przepaść.

Pod nami rozpościera się jeszcze pas nadbrzeża niczym wąski dywanik ze skrawków, czekający na katastrofę. Graniczące z morzem miasto wydaje się nagle zadziwiająco uporządkowane, według geometrycznych wzorów, które można dostrzec tylko z góry. Sznur samochodów posuwa się naprzód w idealnym, złowieszczym porządku.

Z góry nie słychać klaksonów, przekleństw, głośnej muzyki, urywków rozmów. Małe auta jadą przed siebie, nieme jak niekończący się żałobny kondukt. Popatrz, naraz mroczna chmura połyka światła miasta, wiedzie ciężkiego, srebrnego ptaka ku morzu. Jak szybkie jest rozstanie.

Pod moimi stopami w zimowych butach porykuje silnik, potężny i przerażający, drapieżna bestia, uwięziona w tyle samolotu, przez cały czas widzę obok srebrzyste skrzydło, przypominające o swoim bliźniaku, tkwiącym w ziemi, podmuchy wiatru wstrząsają jego zimnym ciałem. Gdyby tu był, powiedziałby, zobacz, statek z chmur płynie po niebie, chodź, wyskoczmy z samolotu i popłyniemy statkiem, najważniejsze, żebyśmy się nie rozdzielali, mówił. Popatrz, wszystko się odwróciło, jestem wyższy od chmur. Jego delikatny głos drżał smutkiem przytłaczającego, niepotrzebnego zwycięstwa.

W porządku? - nachyla się nade mną młoda stewardesa. Ma czarne, związane włosy i mocno umalowane oczy. Podnoszę głowę. Mogę dostać szklankę wody? Gardło ściskają mi gęste mdłości, jak zbyt ciasny kołnierz, a ona stara się, proponuje plasterki cytryny, coca-colę, stałam się dzieckiem stewardes, młodszych ode mnie co najmniej o dziesięć lat. Ich delikatne, profesjonalne oddanie wzrusza mnie, jakby było osobiście skierowane do mnie. Byłam w ich wieku, kiedy wyszłam za Amnona, dumna ze swego osiągnięcia, związku z niemłodym, nieznośnym kawalerem, krocącym po uniwersyteckich korytarzach w otoczeniu chętnych studentek. Może byłam bardziej dumna niż zakochana. To trudny człowiek, co jakiś czas kręciła głową matka, jak twój ojciec, a ja się oburzałam, jak w ogóle możesz ich porównywać, Amnon jest o wiele cieplejszy, o wiele mniej egoistyczny. Naprawdę? -

upewniała się z powątpiewaniem.

Nad nami żeglują miękkie misie z piany, słoniki z bitej śmietany, króliczki z bitej śmietany, powoli różowieją. Lecąc, samolot rozcina ich gąbczaste ciała, zacierają lic różnice między krajami, między górami a obłokami, między snem a jawą, między dzieciństwem a dojrzałością. Mam wrażenie, że sznur wiążący mnie z życiem, które tam zostało, splątana lina z krwi i ciała, napina się na całym niebie, za chwilę pęknie z przeraźliwym hukiem, w chwili gdy to prawie już nie ma znaczenia. Oderwałam się od życia, moje życie oderwało się ode mnie, jak oddzieliła się ziemia od wody.

Młody mężczyzna na fotelu obok je kolację, ma gładką twarz młodego chłopca, długie, gęste włosy. Nie zamieniliśmy ani słowa, a jednak wydaje się, że powstała między nami bliskość spowodowana faktem, że jemy dokładnie to samo. Wędlinę, zimnego wędzonego łososia, słodką bułeczkę. W ustach mamy dokładnie taki sam smak, i nawet świadomość, że tę samą wątpliwą bliskość przeżywają dziesiątki podróżnych, nie umniejsza tego wrażenia. Mężczyzna unosi lekkim gestem w moją stronę kieliszek z winem, a ja mrugam zdziwiona. Kiedy byłam w wieku stewardes, wystarczył jeden taki gest, aby zapoczątkować cudowny proces, rumaki wyobraźni zaczynały galopować, prześcigając rzeczywistość, obdarzając długowłosego chłopaka całym czarem, którego potrzebowałam. Ale teraz, gdyby - założmy - mnie zagadnął, co mogłabym powiedzieć, czy jestem wolna, co krępuje mnie pętami spóźnionej, niepotrzebnej wierności, dziecko czy przeszłość, czy w ogóle istnieje powrót do tamtej egzystencji. Zapragnęłam być młodą dziewczyną, znowu stać się dziewczyną.

Gorzki, drwiący uśmiech pojawia się na moich ustach. Zauważył go i odpowiada uśmiechem, gdy przelatujemy nad tajemniczym czarnym kontynentem, który przesuwają się pod nami, dysząc jak zwierzę.

Ten wyjazd spadł ci z nieba, powiedziała Dina, przewietrz się trochę, poznaj ludzi. Całkiem zapomniałam, że wyjazd się zbliża, tak dawno temu ustalono termin, wydrukowano program, zarezerwowano hotel. Bieg czasu zawsze będzie mnie zadziwiał. Czas posuwa się naprzód jak ogromny pług, miażdżąc po drodze skały, połykając góry, wypluwając kontynenty, najcięższy smutek go nie powstrzyma, najdziksze szczęście nie stanie mu na przeszkodzie. Pamiętam, że powiedziałam wtedy do Amnona, może pojedziemy we trójkę, a on odparł kwaśno, a może we dwójkę. Lecę sama i tak będzie już zawsze, tęsknota także zmieniła kształt, jak puchate chmury, które rozgniatają się o okna. To już nie tęsknota za delikatnym malutkim dzieckiem, tulącym się do mnie spontanicznie, którego obecność napełniała mnie uniesieniem i spokojem, lecz za chłopcem, który nie jest już tak bliski, którego nowego pokoju nie pamiętam, którego nowych zabawek nie znam, połowa jego życia oddzieliła się od mojego, unosi mu się nad głową niby kłująca aureola. Kiedy pochylałam się, żeby go pocałować, odsuwam ją, tak jak przegania się muchę albo osę. Nawet kiedy Gili śpi w swoim łóżku, jak zawsze, siedzi w wannie, otoczony górami piany, albo bawi się na dywanie w salonie, towarzyszy mu doświadczenie, nad którym nie mam władzy, które zawsze będzie mi obce, i ja zawsze będę obca w nim, może dlatego tęsknota atakuje mnie tak intensywnie, nad pustą tacą po kolacji, bo nagle rozumiem, że po powrocie nie odzyskam tego, czego mi tak brakuje, zawsze będę za nim tęsknić, za dzieckiem, którym był przed rozstaniem, łagodniejszym, bardziej anielskim, naiwnym, bezpieczniejszym, szczęśliwszym.

Ścigamy się ze słońcem niczym niestrudzeni jeźdźcy, towarzyszymy niekończącemu się zachodowi, wydaje się, że w morzu w dole toną tysiące owiec, które trzepoczą, niebieszczeją, ich poskręcana wełna powoli wchłania kolor i sól wody. Zobacz, powiedziałabym, pustynia nieba stoi

w płomieniach, tylko księżyc, który nagle pojawił się znikąd i zamigotał w oknie, zadziwia swą statecznością, wygląda dokładnie tak samo jak z ziemi, z naszego balkonu w Jerozolimie. Wiem, że błękitne obłoki owiec skrywają teraz Terę, wydrażoną wyspę, przypominającą kształtem rogalik, która nagle eksplodowała, wstrząsając starożytnym światem, fale wstrząsu dotarły do odległego Egiptu, zalewając miasta i wyspy, grzebiąc cudowne królestwo pośrodku Morza Śródziemnego, oszalałymi swym przepychem pałac o setkach komnat, pełen zapierających dech fresków, przedstawiających muszle, ośmiornice i delfiny, uskrzydłone cheruby i postacie, towarzyszące ludziom w rozmaitych pomieszczeniach, wśród nich jest kobieta, która spogląda chłodno i wyniośle, jakby wiedziała, że przetrwa tysiące lat.

Pojedź ze mną na Terę, powiedział, muszę pokazać ci Akrotiri. Widziałas pałac w Knossos? Wiedziałaam, że po ślubie pojedziemy tam, do nowych Pompei, ale nie mogłam przewidzieć, że gdy Amnon będzie chodził po czarnych skałach, przejęty pokrętnym pięknem wyspy, ja będę przerażona twardym odciskiem ręki natury, wszędzie obecnymi śladami kataklizmu, widokiem resztek rozdartej wyspy, rozrzuconych w morzu, niczym odcięte członki ciała, kiedy to, co zniknęło, jest o wiele bardziej obecne od tego, co zostało. Paszcza wulkanu, który zniknął w morskich falach, szare cienie strug lawy, ogromne połacie bazaltu, przykrywające warstwę martwicy, opary siarki, barwiące ziemię na żółto. Najbardziej ze wszystkiego zatrwożył mnie posępny upór życia trzymającego się pazurami resztek ziemi, widok pieczar mieszkalnych, wykopanych w miękkim wulkanicznym pyłe, miasto Akrotiri, położone w południowej części wyspy, dawne minojskie miasto, które zastygło w chwili tragedii bez jednego szkieletu ludzkiego. Jak to się stało, że uciekli, przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo? Gdy stałam nad grobem greckiego archeologa, który odsłonił pozostałości miasta i został w nim pochowany, ogarnęła mnie rozpacz, jakby był moim ojcem, podczas gdy mój świeżo poślubiony mąż kręcił ze złością głową, urażony i zdumiony moim nagłym wybuchem rozpacz w takim momencie.

Lotniska nocą przypominają olbrzymie warsztaty, są wszystkie podobne do siebie, szare, ascetyczne labirynty, patrzące wyniośle na tłumy ludzi trzymających kurczowo walizki, jakby mieli w nich wszystkie swoje skarby. Ja też ciągnę lekką walizkę na kółkach, przybieram oficjalną minę na widok mężczyzny podnoszącego tabliczkę z moim imieniem, jakby był uczestnikiem jakiejś cichej, jednoosobowej demonstracji. Przez chwilę mam ochotę zignorować jego i szyld, którym wymachuje, to nie jest już moje nazwisko, Ela Miller, mam ochotę wyminąć go obojętnie, samotnie udać się do miasta, bez żadnej osoby towarzyszącej, dla której trzeba być uprzejmym. Ku mej radości on także nie nawiązuje rozmowy, wystarczy ostrożny uśmiech przy nieodłącznym rytuale wyjmowania walizki z ręki. Siedzę w samochodzie, który wyjechał po uczestników konferencji. Przybyli ze wszystkich stron świata, aby roztrząsać wydarzenie, którego wpływ na nasze dzisiejsze życie jest całkowicie bez znaczenia, które rozegrało się tysiące słów stąd, a może w ogóle nigdy się nie rozegrało.

Zawsze jak najszybciej starałam się do niego zadzwonić, poinformować, że jestem na miejscu, opisywałam, co mi się przytrafiło, pytałam o dziecko, co jadło, kiedy zasnęło, wiązałam z powrotem odrobinę wystrzępiony sznur, obwiązywałam nim na nowo naszą trójkę. Teraz nikt nie czeka na mój raport. Wkładałam ubrania do szafy, rozglądałam się po niedużym pokoju, wyłożonym złocistym sosnowym drewnem. Podniosłaś żaluzje? - pytał zawsze Amnon. Podnieś i opowiedz, co widzisz. Pałała go ciekawość nowych miejsc. Ona, ze śmiechem opowiadał swego czasu znajomym, wskazując na mnie drwiąco, pojechała kiedyś na

konferencję do Włoch i przez trzy dni nie podnosiła żaluzji w pokoju. W ogóle jej nie interesowało, co widać za oknem. Teraz więc podnoszę na twoją cześć zielone metalowe żaluzje. Opowiem ci, co widzę.

Na placyku przed katedrą panuje mimo późnej pory ciągły ruch. Całkiem inna atmosfera niż na melancholijnych ulicach Jerozolimy. To jakieś święto? Okazuje się, że nie. Tak wygląda tu życie. Po placu przechadza się anioł o białych skrzydłach, którego długa szata skrywa parę szczudeł, powiększających dwukrotnie jego wzrost. Jest tak wysoki, że czubkiem głowy niemal stuka w moje okno, ma ubieloną twarz, jego spokojne oczy promieniują harmonią i zadowoleniem, a mnie się wydaje, że naprawdę naiwnie wierzy w swoją anielskość i pragnie zarazić tą wiarą turystów, których tłumek zbiera się wokół niego, chętnie fotografują się pod jego skrzydłami. Gdyby było tu nasze dziecko, biegałoby dookoła niego jak mały piesek, dotykało go, prosiło, żeby wznosił się natychmiast do nieba i załatwił coś dla niego, może zażyczyłby sobie, żeby anioł zwrócił mu czerwony samochód wyścigowy, a może poprosiłby o swoje dawne życie.

Pośrodku placu siedzą na ławce dwa żywe posągi o ciemnej cerze, kobieta i mężczyzna o kamiennych twarzach, z zamkniętymi oczami. Kiedy ktoś rzuca im monetę, ożywają niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyciągają ręce, kłaniają się nisko, z wdzięcznością, rozciągają wargi w uśmiechu. Jak krótkie jednak jest życie, które ofiaruje im moneta! Oto znowu siadają nieruchomo, ich twarze zastygają, spojrzenie tkwi w przestrzeni. Za nimi wznosi się katedra w całym swym nocnym pięknie, oświetlone wieże przypominają cudowny haft, powstający przez wieki. Jakim cudem kamień jest aż tak miękki, miękki jak tkanina, jak aksamitna królewska szata, rozpostarta na ramionach miasta, kierująca wieże do nieba. A gołębie? Popatrz na świetliste gołębie, fruujące wśród krzyży. Ich ciała chwytają światło elektryczne i rozpraszają je po ciemnym niebie, jakby były uskrzydłonymi elementami iluminacji. Unoszą się powolne i rozmarzone, niby pogrążone w głębokim śnie, wydaje się, że zaraz spadną, ktoś, komu spadną na głowę, będzie błogosławiony do końca życia.

Nazajutrz staję przed fantazyjnymi, zaokrąglonymi frontonami budynków, są giętkie niczym fale pobliskiego morza i także falują w ciągłym ruchu. Mam wrażenie, że to ja jestem z kamienia, one zaś są miękkie jak puch, ja jestem przytwierdzona do miejsca, one są ruchome. Wydaje się, że wszystko jest możliwe. Czy miasto próbuje mi wyszeptać na ucho jakiś sekret, czy kocham ten szepot, czy lubię Barcelonę, czy Barcelona lubi mnie. Wydaje się, że przez tych kilka dni odpowiedź brzmi „tak”, ja i to miasto, w tym momencie, darzymy się sympatią.

Kiedy wszyscy idą obejrzeć Sagrada Familia, zostaję w pokoju, przygotowuję się do wykładu, ale po ich powrocie ruszam prawie ukradkiem do tego pałacu odkupienia, którego budowa zapewne nie zostanie ukończona za mego życia, nawet nie za życia Gilego. Z zadartą głową przyglądam się kamieniom spływającym z nieba niczym wodospady, wyrastającym z ziemi niczym drzewa, wizerunkom Świętej Rodziny. Pośrodku zawsze matka i syn, syn i matka, najprostsza tradycja, która nie potrzebuje dowodów. Gaudi nienawidził prostych linii, wyjaśnia obok przewodniczka zmęczonym głosem, w naturze nie występują linie proste, Gaudi zaś opierał się wyłącznie na formach spotykanych w przyrodzie. Opowiada o śmierci architekta, który dokładnie tutaj wpadł pod tramwaj, gdy szedł tyłem, trzymając w ręku plany katedry, która za kilka dni stała się jego grobem, spoglądał na jej wieże, anonimowy, niechlujnie ubrany staruszek, zidentyfikowano go dopiero po dwóch dniach. Okazuje się, że spoczywa tutaj, w krypcie pod katedrą, jak tamten grecki archeolog na Terze, odkopanie budynku jest w gruncie rzeczy

podobne do wybudowania go. Wzdycham, jak wtedy, lecz tym razem nie Amnon kręci obok mnie głową, ale setki krzykliwych turystów. Dlaczego tak się starają skończyć budowę, mówi ktoś za mną po hebrajsku, trzeba ją zostawić nieukończoną, jako symbol wszystkiego, czego nie dajemy rady ukończyć w życiu. Szukam wzrokiem mówiącego, który już zniknął w tłumie, trzymając za rękę małego chłopca. Gdyby był tu Gili, może by powiedział, że Gaudi dalej buduje ten pałac z nieba, w nocy, kiedy nikt nie widzi.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej spotkaliśmy się na innym kongresie, w innym mieście, nad szarą rzeką. Podróżujemy tak niczym wędrowny jarmark z towarami, które prawie nigdy się nie zmieniają. Mam wrażenie, że między tymi dwoma wyjazdami ścieśnił się czas ludzkiego życia, od embriona do starości, i z powrotem, od starości do embriona. Zdumiewam się, że u moich kolegów nic się nie zmieniło, spokojnie rozbijają skorupkę jajka przy śniadaniu w podziemnej sali restauracyjnej o żółtych ścianach, stoją w długiej kolejce po jajecznicę z różnymi dodatkami, jakby nigdy nic wypyują o Am nona, większość dobrze go zna, kiedyś to on często podróżował, ale ostatnio przychodziło mniej zaproszeń i publikacje ukazywały się coraz rzadziej. Z początku dziwili się na widok mojego imienia w programie, na widok mnie samej, wzrokiem szukali jego postaci obok. Wydaje mi się, że ich zdziwienie było echem mojego, jak wszystko się zmienia, przecież kiedy się poznaliśmy, on był na szczycie, ja na początku drogi. Czy naprawdę nasze życie zaczęło tracić równowagę tam, na Terze? Nie wspominam o rozstaniu z Amnonem, lepiej się czuję z uprzejmym dystansem, który pasuje do pogody, nikt nie śpieszy się do zacieśniania przelotnej znajomości. Tylko ostatniego dnia, po wykładzie, kiedy walizka jest już spakowana, obcość zmienia się w bliskość, pełne dystansu początki przechodzą w trudne pożegnanie. Odpływamy w deszczu, oddalamy się od barwnego miasta, odwróconego plecami do nagle poszarzałego morza, ponownie kroczymy szerokimi, eleganckimi alejami, torujemy sobie drogę wśród grajków ulicznych, żebraków, sprzedawców kwiatów, oferujących tani romantyzm. Znowu ogarnia mnie smutek na myśl o moim mieście, którego kamienie nie zgłębiły tajemnicy miękkości, które nigdy nie zyska tak wesołego roztrzepania.

Także podczas powrotnego lotu nie udaje mi się dojrzeć Tery, jej wąskiego, pękniętego uśmiechu. Budzę się na chwilę z drzemki, zewsząd dobiega pochrapywanie, dziesiątki ludzi pólleżą na fotelach o tej popołudniowej godzinie, jakby nigdy niczego nie pragnęli, opierając się o siebie nawzajem, gdy lecimy nad złocistym, lśniącym morzem. Obok drzemie szczupła, ciemna dziewczyna, jej skupiona twarz jest odwrócona do mnie, ale oczy są zamknięte. Na kolanach dziewczyny spoczywa głowa krótko ostrzyżonego mężczyzny. Leżą nieprzytomni, jakby jednocześnie wypili zatruty napój, martwi kochankowie. Czy ożyją, jeśli rzucę im monetę? My także wracaliśmy tak do domu, ciesząc się swobodą, która umożliwiała wykorzystanie ciała drugiej osoby jako poduszki, materaca, podparcia. Ciało, które już nie pociąga ani nie zachwyca, lecz przynajmniej jest wygodne. Mimo to ostatnio naszym powrotem towarzyszyło cierpkie poczucie rozczarowania, lekka irytacja i pretensja, znowu się nie udało, nie udało się rozpaścić ognia w zimnych węglach, które się między nami nagromadziły, nie udało się zburzyć muru, czy po to rozstawaliśmy się z dzieckiem, zmarnowaliśmy czas i pieniądze, żeby się kłócić w Stambule, Berlinie, Rzymie?

Tak samo nagle jak zniknął, pojawia się wąski, pokratkowany pas plaży, oświetlony jaskrawym letnim słońcem, dziwnym nawet w tej części świata, jakby od mojego wyjazdu upłynęły nie trzy dni, lecz trzy miesiące, i zdążyły się zmienić pory roku, słońce spaliło pola,

odzierając je z zielonej łupiny. Kiedy z dziwnym wzruszeniem patrzę na coraz wyraźniejszy ląd, wydaje mi się przez chwilę, że jeszcze można wybrać, że można inaczej postawić stopę na ziemi, że przecież złudzenie wzajemności, spokoju, pewności i wiary zazwyczaj towarzyszy powrotom, samoloty startują o czasie i lądują bezpiecznie, zadania są wykonywane jak najlepiej, do życia dołączają nowi znajomi, wydaje się, że niebo nie jest już przerażające, a rozpościerająca się pod nim ziemia nie taka groźna.

Uczucie ulgi i swobody wraz z lekką, wyzwalającą obojętnością, resztki wzruszenia. Wszystko to towarzyszyło mi też wtedy, po powrocie z poprzedniego wyjazdu, kilka miesięcy wcześniej, wieść o rozstaniu rosła mi już w gardle. Teraz wracam bez żadnej nowiny. Tylko żywa ciekawość zaczyna przebijać zza ponurych zasłon ostatnich miesięcy. Co mnie czeka, jak potoczy się moje życie. Zaspani wysiadamy z samolotu, odrobinę chwiejąc się na nogach, wibrowanie silników łaskocze nas w stopy, odprowadza znajomym szlakiem. O dziwo, cieszę się, że nikt nie czeka na mnie w hali przylotów, zawsze stali tutaj, wyczerpani wysiłkiem przyjazdu na czas. Gili na ramionach ojca, przerażający swym wzrostem, machali czterema ramionami jak ośmiornica, radość ze spotkania mijała szybko i natychmiast powstawało napięcie, obaj starali się przyciągnąć moją uwagę, byłam wykończona, starałam się wynagrodzić Gilemu swoją nieobecność, wynagrodzić Amnonowi fakt, że znowu to mnie zaproszono na kongres, umniejszyć wagę imprezy, ukryć bezbrzeżną radość na widok dziecka i dystans w stosunku do niego.

Tym razem przyjemnie mi przywykać powoli, wyciszać tęsknotę, która nie jest już tak nieznośna. Nie, to nie samotność, lecz wolność, Z taksówki dzwonię do Amnona, jego głos od chwili rozstania jest zawsze oficjalny i opanowany. Mówi z lekkim zdumieniem, ach, Ela, jakbym pojechała do miejsca, z którego się nie wraca. Nie pyta, jak kiedyś, jak udał mi się referat i kogo spotkałam, co widziałam z okna. Oboje oszczędzamy słowa, jakby stały się zbyt kosztowne i nie było nas na nie stać.

Przywieziesz Gilego czy mam go od ciebie odebrać? - pytam. Za godzinę będę w domu. Kupiłam mu zdalnie sterowany samochód, taki jak ten, który przejechał autobus, dodaję z dumą, jakbym wynalazła magiczną formułę, przywracającą poprzedni stan rzeczy. Nie ma go, mówi Amnon. Jest u Jotama. Myślałem, że wrócisz później, a mam dzisiaj zajęcia, dodaje. Oni mieszkają niedaleko od ciebie, odbierz go stamtąd. Wiem, gdzie mieszkają przerywam zdziwiona. Niedługo po niego przyjadę. Jeśli przyjdiesz za wcześnie, nie będzie chciał wyjść, mówi Amnon. Odbierz go wieczorem, jak zawsze. Ignoruję jego radę i pytam ostrożnie: Dobrze sobie radziliście? Jakby byli wciąż moimi mężczyznami. Zawsze sobie dobrze radzimy, zapewnia, nie dodając „bez ciebie”, a ja dopowiadam brakujące słowa. Kończę szybko rozmowę, podaję kierowcy nowy adres, jakbym tymczasem zdążyła się przeprowadzić, teraz mieszkam tam, w elegancko odnowionym budynku, naprzeciwko placu zabaw, tam wysiądę z taksówki z lekką walizką na kółkach. W środku czeka błyszczący czerwony samochód, bliźniaczy brat tamtego, który z radością rzucił się pod koła, jakby chciał ponieść ofiarę dla wyższych celów.

Dziwne, tak go namawiałam, żeby znowu odwiedził Jotama, a on za każdym razem odmawiał, a stało się to akurat podczas mojej nieobecności. Myśl o mężczyźnie o prostych plecach, surowo rzeźbionych rysach i zapadniętych oczach, znajdującym się pod tym samym dachem co moje dziecko, budzi miłe wzruszenie, zlewające się z radością powrotu do Gilego i intensywnością widoków, które wchłonęły moje oczy, przede wszystkim pojawia się pełna

podniecenia ulga, jakbym dopiero teraz uwolniła się z więzienia; pilnowały mnie żaloba, wyrzuty sumienia i smutek, lecz wykorzystałam chwilę nieuwagi i wymknęłam się, przyjąłłam fałszywą tożsamość, uciekam w przebraniu, może nigdy nie trafią na mój ślad.

Te wzgórza nigdy nie zazielenia się naprawdę, ich zieleń zawsze będzie ulotna niczym fatamorgana, blada, niezdecydowana. Każdej zimy rośliny otrzymują rozkaz pokrycia spopielonych latem stoków, lecz kiedy wykonają zadanie, pożar ponownie wybucha. Otwieram okno, ciepła ciemność dezorientuje mnie, gorący wiatr dmucha w moją zdziwioną twarz, jeśli jest lato, czemu słońce zaszło tak wcześnie, a jeśli o tej porze już jest ciemno, to czemu jest tak ciepło? Mam wrażenie, że w ustalonym porządku coś się zepsuło, ekscytująca usterka, która zamienia jazdę górską szosą w przygodę. Jaka osamotniona była Jerozolima, droga do niej zawsze przypomina o jej odcięciu od świata, czy wszyscy, którzy przysięgali na nią, wiedzieli, jak skromnych jest rozmiarów, choć nie w ich marzeniach. Biedne, wschodnie targowe miasto, zatopione w próżnych zmyśleniach, zamknięte za murami i bramami, otoczone biednymi pasterskimi wioskami, osadami nomadów, stromymi skalistymi stokami, snujące w sekrecie historie o bohaterstwie i wyborze.

Wysiadam z taksówki przy placu zabaw. Mam na sobie oficjalny kostium, który włożyłam poprzedniego wieczoru na wykład, krótka brązowa spódnica i biała jedwabna bluzka, do tego dopasowany żakiet. Siedzieliśmy do rana w pubie nad morzem, stamtąd pośpiesznie pojechałam na lotnisko i nie zdążyłam się przebrać. Przechodzę przez jezdnię niczym obca, elegancka turystka, chwilowy gość z dalekich stron, który pozostawił tu cenny zastaw, zaraz odbierze go i odjedzie. Wchodząc po szerokich marmurowych schodach, staram się wyrównać oddech, uporządkować włosy, pragnienie jest coraz mocniejsze, ujrzyć go, zobaczyć czarne oczy pod gęstymi brwiami, wyraziste usta, niech mnie zobaczy taką, jaka jestem teraz.

Na zadbanej klatce schodowej nagle rozbrzmiewają gniewne głosy, nasilają się, w miarę jak się zbliżam, czy naprawdę dobiegają stamtąd się wydobywają, trudno mi uwierzyć, z pięknego mieszkania ze złocistą drewnianą podłogą, ze skórzaną kanapą i misą czerwonych gruszek? Podchodzę po cichu, rozdzielają nas wysokie stalowe drzwi, w które głośno pukam, ale oni nie słyszą. Jak mogą usłyszeć, gdy w środku miotają gniewne obelgi, szaleje tam burza z piorunami. Pukam znowu, próbuję też dzwonić, ale nikt nie otwiera. Zimne, kłujące napięcie unosi się od stóp w górę, owija mnie jak druty, jakbym była małą dziewczynką, a to byli moi rodzice, kłócący się w swoim pokoju wcześniej rano. Czy tym razem rozstaną się na zawsze? Z przerażeniem oczekuję chwili, która niezmiennie nadchodzi. Ostatni obraźliwy okrzyk i ojciec wypada z domu, z całej siły trzaskając drzwiami, matka biegnie do mnie, wskakuje z potarganymi włosami do mojego łóżka, szłocha w moich ramionach.

Jakbym była ich córką, uwięzioną w destrukcji, mojej i ich, staram się wychwycić pojedyncze słowa, krwawiące ranki gniewu i urazy, nie wierzę ci, słyszę głos Michał, głośny, jakby krzyczała mi prosto do ucha, zdumiewająco szorstki, wiem, że kłamiesz, nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Odpowiada jego głos, co prawda opanowany, ale chłodny i złośliwy, dość mam twojej patologicznej podejrzliwości, słyszysz? Mam dość, nie chcę tak dłużej żyć, dusisz mnie. To wynoś się stąd, jak masz mnie dosyć, wrzeszczy ona, nie chcę cię więcej widzieć, obiecałeś, że to się nigdy nie powtórzy, obiecałeś mi. Wszystkich obietnic dotrzymałem, syczy on, czego jeszcze ode mnie chcesz? Nie jestem odpowiedzialny za to, co się roi w twojej chorej głowie. Ach, to wszystko jest w mojej głowie? Chcesz zrobić ze mnie wariatkę? Tego chcesz? Dowiedz się, że tym razem ci się nie uda, mam dowody. Czerwienię się nagle, jakbym była

winna, policzki mi płoną, przestępuję z nogi na nogę przed szarymi stalowymi drzwiami, boję się, że zaraz ktoś otworzy je wściekle i odkryją moją obecność, niskiego wzrostem szpiega, na twarzy mam krępująco zadowoloną minę, cieszę się z nieszczęścia rodziny, która przez okno kawiarni wyglądała na szczęśliwą, jak my. Po cichu schodzę na dół, niosąc walizkę w rękę, żeby nie hałasować, opieram się o żywopłot przed wejściem, myślę, co zrobić.

Może odczekam kilka minut i zadzwonię, zanim wejdę znowu na górę, na pewno usłyszą telefon, zdążą opanować wyraz twarzy. Muszę wydostać Gilego. Nagła przeszkoda wzmaga na nowo moją tęsknotę, a za nią pojawia się złość na tę prawie obcą parę, która nie pozwala mi się spotkać z synem. Co on teraz robi, czy siedzi skulony w pokoju Jotama i obaj nasłuchują w napięciu, może tamci włączyli im głośny film, jak my robiliśmy, ogłuszając dziecko przed ekranem, żeby doprowadzić kłótnię do końca. Na chwilę moja złość zamienia się w rozbawione współczucie. On ją zdradza, biedaczkę, ona zaś go przytłacza, co jest zbyt ogólną przewiną, abym się mogła z nią utożsamiać. Jej argumenty są bardziej atrakcyjne, przekonujące. Czuję przede wszystkim nagłe zadowolenie z siebie, ulgę osoby pozbawionej rodziny. Komu potrzebna jest zawierucha wspólnego życia, którą obserwuję z nową wyniosłością, brudy ukrytych i jawnych uraz, garść drobnych zbrodni przeciwko ludzkości? Jakże to miłe, że nie mam się z kim kłócić. Wyjmuję z torebki telefon, Oded i Michał Schefferowie, podaję nazwisko w biurze numerów, smakując te solidne, szacowne imiona. Co mają wspólnego z obelgami rzucanymi w tej chwili głosem tak gromkim, że zagłusza dzwonek telefonu, którego nikt nie odbiera?

Niespodziewana przeszkoda rozdzieliła nas, synku, kiedy cię wreszcie zobaczę, czy jesteś wystraszony, smutny, czy zdziwiony, widząc, że nie tylko u nas, że we wszystkich domach unosi się porażka niczym kłęby kurzu? Wybieram znowu numer, nie dam za wygraną, dopóki ktoś nie odbierze, ale wtedy słychać silne trzaśnięcie drzwiami, razem z walizką chowam się za żywopłotem, czekam w milczeniu, aż pojawia się szczupła postać, mężczyzna ucieka szybkim krokiem z budynku, jakby go ktoś ścigał. Na ulicy zatrzymuje się, rozgląda, ciemne kręgi powiększają jego oczy, zaciska usta, ma na sobie szary wełniany sweter i jasne sztruksy, na plecach duży plecak. Patrzę na niego i słyszę, jak mówię: Oded. Natychmiast zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu.

Jego rozbiegane, oszołomione spojrzenie skupia się na mnie, wychodzącej z kryjówki. Kilka kolczastych gałązek wczepiło mi się we włosy, wyciągam je zawstydzona. Przed chwilą u was byłam, żeby odebrać Gilego, usiłuję wyjaśnić. Nie słyszeliście mnie, ale ja was tak. Wykrzywia się, ociera pot z czoła. Czy naprawdę drżą mu ręce? Nie mogę tego dłużej znieść, wyrzuca słowa gwałtownie, jakby obawiał się, że zaraz ich pożałuje. Z dnia na dzień jest coraz gorzej. Podchodzę bliżej, zaskoczona jego szczerością. Dokąd idziesz? - pytam. Jeszcze nie wiem, mówi. Zdziwiam samą siebie, rozplomieniona jeszcze blaskiem obcości tego miasta, jego obcości, mojej obcości w życiu.

Chcesz się czegoś napić? - pytam znowu, i ku memu zdumieniu odpowiada: Tak, czemu nie?

Czemu nie? Mogłabym wymienić wiele powodów, ale w tej chwili istniało tylko „tak”. Kroczyliśmy obok siebie niczym para, która wyrusza w długą podróż po godzinach skrupulatnego pakowania się. Ona ciągnie walizkę, on niesie plecak. Nikt by nie uwierzył, że w ogóle się nie znają, że moja walizka nigdy przedtem nie spotkała jego plecaka.

Usiądźmy w „Imbryku”, proponuję, kiedy dochodzimy do ruchliwej ulicy. Znowu

odpowiada: Tak, czemu nie. Mam wrażenie, że w jednej przypadkowej chwili złożył swój los w moje ręce. Gdybym powiedziała: Pojedźmy do Indii, albo: Kochajmy się, albo: Pobierzmy się, odparłby: Tak, czemu nie. A jeśli nie mnie, powiedziałby to komuś innemu. Tyle że to ja czaiłam się na dole, moją twarz ujrzał jako pierwszą po wyjściu z domu. Przechodzimy przez jezdnię i wchodzimy do lokalnej restauracyjki, którą oboje doskonale znamy. Tutaj obserwowałam ich przez okno w wieczór urodzinowy, tu płonęła moja zazdrość na wilgotnej ulicy, wśród stert brudnego śniegu, wiała się po krawężniku niczym ognisty jęzor. Celowo prowadzę go do stolika w rogu, przy którym siedzieli wtedy, całą rodziną, jak to czasem można zobaczyć w ogrodzie zoologicznym, lew, lwica i dwa lwiątko, wystawione na ciekawskie spojrzenia. Siada naprzeciwko mnie, skrepowany i zdenerwowany, plecak sterczy niczym garb, wstaję i zdejmuję mu go jak szkolny tornister ze szczupłych pleców Gilego, ściągając ciężar z ramion mężczyzny i stawiam przy swojej walizce. Ku memu zdumieniu plecak jest ciężki i twardy. Co tam masz, kamienie? - pytam. Albumy, odpowiada. Zaczynam się śmiać. To ze sobą zabrałeś, albumy? Nie ubrania na zmianę i szczoteczkę do zębów? Na szczęście przyłącza się do mego śmiechu. To była spontaniczna decyzja. Nie miałem pojęcia, co się bierze, kiedy się odchodzi z domu. Rozejrzałem się i zastanowiłem przez chwilę, co właściwie tam lubię. Co uratowałbym z pożaru.

Pokaż mi je, proszę. To naprawdę cię interesuje? - pyta. Czy może boisz się, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać? Jedno i drugie, przyznaję. Wyciąga rękę i wyjmuję z plecaka pięć grubych tomów, niczym pięć ksiąg Tory, ustawia je na stoliku między nami. Kiedy podchodzi kelnerka, rzucamy szybko okiem na menu pod jej czujnym spojrzeniem. Ja też czekam, aby usłyszeć, co Oded zamówi, wydaje mi się, że to przesądzi o charakterze naszego spotkania. Oddycham z ulgą, słysząc, że zamawia podwójną whisky i talerz tostów z różnymi pastami. Co prawda, to nie lunch biznesowy, polecany o każdej porze dnia, zapowiadający dłuższe spotkanie, lecz także nie krótkie espresso. Weźmiesz ode mnie trochę tostów? - pyta, kiedy zamawiam tylko coś do picia. Potakuję natychmiast, jakbym nigdy nie otrzymała tak hojnej propozycji, zjeść trochę jego tostów, podzielić się zimną wodą z cytryną, podwójną whisky i potrójnym smutkiem, obawą, szokiem, stratą, podzielić się z nim! Być jego częścią, częścią jego życia, podzielić się moim życiem z jego oczami, pokroić je na kromki. Nawet gdyby to był krwisty stek, podzieliłabym się z tobą, nawet gdybyś nic nie zamówił, podzieliłabym się z tobą niczym, drogocennym światłem, skierowanym na nasze twarze, fosforyzującym kręgiem, który obejmuje jednym snopem dwoje prawie obcych ludzi, łagodzi ich gesty, wygładza skórę, zmiękcza włosy, wlewa im w żyły uzależniający eliksir szczodrych, pełnych życia czarów, zamienia każde banalne słowo w szyfr kryjący najcudowniejsze uczucia. Patrzę na szczupłego mężczyznę w szarym swetrze, siedzącego naprzeciwko, z włosami opadającymi na czoło, o bladej, wzburzonej twarzy, i wiem, że to krótka, cenna chwila, gdy najstraszniejsze wyznania brzmią jak zaproszenie do szczęścia, najgorsze choroby zostaną odmalowane niczym czysta przyjemność, to moment, gdy złudzenia ze zdumiewającą łatwością pokonują rzeczywistość, gdy jedna godzina w zaniedbanej kawiarni wydaje się darem niebios, tylko do tych chwil należy tęsknić, bo jedynie one spowijają resztę życia niewyraźną aureolą świętości, jeśli cud zdarzył się raz, może wydarzyć się ponownie, jasny, oszałamiający, precyzyjny jak strzała niosąca przeznaczony dla nas ładunek łaski.

Z wahaniem otwiera pierwszy album. Twarda skórzana oprawa prawie kruszy się w dotyku. Wskazuje szczupłym palcem sztywną ślubną fotografię. Panna młoda ma prostą, naiwną twarz. Pomimo widocznych starań nie wygląda ładnie ani nawet przyjemnie, natomiast mężczyzna jest

jasny i przystojny, twarz przecina mu nieprzyjemny, ukośny drwiący uśmiech. Przepaść między nimi aż krzyczy, wydaje mi się, że zauważyłoby ją każde dziecko. Twoi rodzice? - pytam. Kiwa głową w milczeniu. Żyją jeszcze? Żyją? - powtarza. Nigdy nie żyli. Patrzę na niego ze zdumieniem, bojąc się przekroczyć granicę wścibstwa, śledzę jego wyraz twarzy, kiedy wpatruje się uważnie w fotografię, jakby nie natknął się na nią od wielu lat. Popatrz, jacy są młodzi, mówi w końcu. Nie mają pojęcia, co ich czeka.

Co ich czekało? - pytam ostrożnie. Gehenna, odpowiada. On spodziewał się, że ona będzie się nim opiekować, ona nie miała pojęcia, że jest chory. Co mu było? - pytam. Był chory psychicznie. Naprawdę chory? - dopytuję się. Przebywał w szpitalu? Tak, oczywiście, odpowiada. Wielokrotnie. Oglądam zdumiona ponure fotografie. Co nas łączy? Przecież nawet on jest dla mnie jeszcze całkiem obcy, jednak coś przyciąga mnie do historii tych dwojga, jakby mogła rzucić światło na moją.

Oto ojciec na uroczystości rodzinnej, połyskuje chłodną bladością, ładny chłopczyk w białej koszuli i ciemnych spodniach opiera się o jego kolana, wykrzywiając buzię. To ty? - pytam. Dlaczego płakałeś? To była wtedy moja główna czynność, uśmiecha się. Płacz. Patrzę na delikatną twarz, piąstkę zakrywającą oko, kąciki ust opuszczone w szlochu, który prawie dobiega do moich uszu. Dlaczego? - pytam, a on powtarza: Dlaczego? Zerka znowu na zdjęcie, jakby oczekiwał, że chłopczyk udzieli wyczerpującej odpowiedzi, ale natychmiast zaczyna wyjaśniać szczegółowo, monotonnym głosem, mam wrażenie, że opowiadał to dziesiątki razy: Jaki miałem wybór? Ojciec nie funkcjonował, matka zaspokajała nasze fizyczne potrzeby, ale emocjonalnie była nieobecna. Chyba się bała, że z nami też coś jest nie w porządku, że mną i z moją siostrą. Traktowała nas podejrzliwie, bo mieliśmy w żyłach jego krew.

Co to znaczy? - dopytuję się. Nie zajmowała się wami? Prawie wcale, odpowiada. Bała się do nas przywiązać, uważała, że jesteśmy skażeni, byliśmy częścią pułapki, którą zastawili na nią ojciec i jego rodzina. Prosta, orientalna dziewczyna, która nie miała pojęcia, na co się godzi. Już jej nie obwiniam, dodaje prędko. Dziś rozumiem, jak bardzo cierpiała, ale wtedy było mi trudno, nie mieliśmy się na czym oprzeć. Popatrz, tu jest ojciec po kilku pobytach w szpitalu, nie można go poznać. Wpatruję się w ciężką szczękę, zgaszone spojrzenie, pod koszulą widać sflaczały brzuch, ani śladu dawnej urody. Oto znowu syn, trochę starszy, przygląda mu się z troską, suchymi oczami, skupiony tylko na nim, ciemny jak matka i przystojny jak ojciec.

Jak na niego patrzysz, mówię. Jakbyś był jego lekarzem. Tak, nie miałem wyjścia, odpowiada. Nauczyłem się rozpoznawać jego stan, wiedziałem, kiedy trzeba się go wystrzegać, kiedy trzeba spać z otwartymi oczami. W dobrym stanie był naprawdę czarujący, ale jego ataki były śmiertelnie groźne. Co za piekło, wzdycha, z ręką na czole, jakby stamtąd uciekł dziś z plecakiem na ramionach, nie ze swego domu, w którym żył z żoną i dziećmi. Popatrz, mówi z ożywieniem, nagle, jakby chciał mi pokazać jakiś ulotny widok, ptaka na parapecie, spojrzenie dziecka. To jego ostatnie zdjęcie. Patrzę ze smutkiem na zniszczoną twarz, na ostatnim zdjęciu jest w niej coś zadziwiająco ujmującego, coś, co przypomina pierwszą fotografię. Na co umarł? - pytam. Na chorobę normalnych ludzi, odpowiada. Na raka. Był taki dumny, kiedy postawiono diagnozę, jakby to stanowiło dowód, że jest taki jak wszyscy. Kiedy odkrył, że szaleństwo nie chroni go przed śmiercią, chciał nawet zrezygnować z szaleństwa, ale było za późno.

To dlatego szukasz śladów krwi, domyślałam się. Widzę go oczyma duszy, klęczącego nad muszlą z wygiętymi plecami, jak kot, który chce się napić wody. Najwyraźniej, odpowiada. Dlatego też zostałem psychoterapeutą, chociaż nie udało mi się go uratować. Przez cały czas

popijamy whisky z lodem, skubimy kawałki tostów z różnymi pastami z jednego talerza. Nasze zatłuszczone palce, umaczone w różnych przyprawach, dotykają starych stron, prawie muskają się nawzajem. Słucham jego miarowego, opanowanego głosu. Język płacze się co jakiś czas w miłej wadze wymowy, wargi powoli formułują słowa, jakby w ustach trzymał pędzel i malował, przeciąga końcówki, które nie chcą rozstać się ze słowem. To nie rwący potok wymowy Amnona, lecz inny nurt, malowniczy i łagodny, do którego włączam się bez najmniejszego wahania, co jakiś czas zadaję krótkie pytanie i otrzymuję długą odpowiedź. Rozumiem, że ma ochotę mówić tylko o tamtej rodzinie, tylko jej fotografie będzie mi pedantycznie pokazywał, nie wspomni o obecnej, o tym, czego byłam świadkiem zaledwie godzinę wcześniej. Nie naciskam, bo widzę, jak cenna i krótka jest ta chwila, cenna i krótka, powtarzam, gdy idzie do toalety, a ja niecierpliwie czekam na jego powrót. Czy to ważne, o czym rozmawiamy, najważniejsze, że jesteśmy tu razem, oświetleni drogocennym światłem, padającym na nasze twarze, które łagodzi nasze ruchy, wygładza skórę, wlewa do krwi uzależniający eliksir szczodrych, pełnych życia czarów, zamienia każde słowo w szyfr ukrywający najcudowniejsze uczucie. Kiedy wraca i siada naprzeciwko, nagle słychać jęk daszku z przezroczystej folii, rozpostartego nad dziedzińcem kawiarni, w jednej chwili zaczyna padać ulewny deszcz, nad nami załamuje się niezwykle zimowy upał. Oded unosi głowę, rozgląda się zdziwiony. Nie wziąłem kurtki, przypomina sobie. Ciekawe, co to znaczy. Wyszedłem z domu w środku zimy bez kurtki.

Może to znaczy, że wyszedłeś, żeby wrócić, poddaję, a on przygląda mi się z zainteresowaniem, jakby szukał we mnie odpowiedzi. Nie, wzdycha. Westchnienie przeciąga to krótkie słowo, aż rozlewa się ono po jego wargach niczym plama wina na obrusie. Nie wróć. Przysuwam się bliżej, prawie muskając palcami szary rękaw, unosi się od niego rozczulający, domowy zapach proszku do prania. Posłuchaj, Oded, mówię pośpiesznie. To głupie, że daję ci rady, nawet się nie znamy, to ty jesteś psychiatrą, ale muszę cię ostrzec, może po to w ogóle się tu znalazłam, nie masz pojęcia, jakie to trudne, rozdzielić rodzinę, nikt tego nie wie, dopóki tego nie przeżył, to wstrząsa wszystkimi podstawami, zostawia cię nieprzytomnego ze smutku, uwierz mi, przechodziłam to teraz, nikomu tego nie radzę, chyba że masz naprawdę poważne powody. Kręci głowę, nawet gdy już skończyłam mówić. Co to znaczy, naprawdę poważne powody? - pyta z zainteresowaniem. Zastanawiam się, czy chce się dowiedzieć tego ode mnie, czy od siebie.

Kiedy relacje są tak trudne, że cierpią dzieci, mówię. Jeśli jesteś pewien, że zrobiłeś wszystko, żeby uratować związek, jeśli jesteście razem nieszczęśliwi, nie przeżyliście ani jednej dobrej chwili przez wiele lat, albo jeśli łączy cię coś poważnego z inną kobietą, i jesteś przekonany, że z nią będzie inaczej. To trzeba ocenić z perspektywy czasu. Dość, to śmieszne, milknę skrzepowana. Usiłuję dawać rady psychiatrze. Uśmiecha się ostrożnie: Nie przejmuj się, Elu, nie ty jesteś śmieszna, to ja jestem śmieszny. Przykłada szklaneczkę do warg, pije powoli, przetrzymując ostro smakujący płyn w ustach, jakby sprawdzał jego moc. Cóż, odzywa się. Chyba mam wystarczające powody, także według twoich kryteriów. Spuszczam natychmiast oczy. Najpewniej to ostatni wymieniony przeze mnie powód. Ma inną i do niej odchodzi. Michał się nie myliła, on ją zdradza. Przez moment mam wrażenie, że zdradza także i mnie, w tym samym płomieniu, który gorzał między nami przy narożnym stoliku, w tym samym słodkim dreszczu, liżącym skórę. Za chwilę włoży pięć starych umów z powrotem do plecaka, pójdzie do niej i założy ją rodzinę. Może nawet zobaczą ich razem na uroczystym zakończeniu roku, jeśli nie wcześniej, na klasowym sederze w Pesach. Obserwuje z zainteresowaniem moje zamyślenie. Gdzie

właściwie byłaś? - pyta. Na konferencji w Barcelonie, odpowiadam. Konferencji archeologicznej? Na jaki temat? Dziwię się, że wie o mnie więcej, niż zdążyłam mu opowiedzieć. Wyjście z Egiptu, mówię, a on cytuje Hagadę: „Rozprawiali o wyjściu z Egiptu, aż nastał czas porannej modlitwy”. Tak, śmieję się. Coś podobnego. Uczucie porażki pali mi twarz, staram się na niego nie patrzeć, spuszcza wzrok na błękitny gliniany talerz, ozdobiony kilkoma kawałkami czerwonej papryki, podkreślającymi pustkę, niewiedza wystawia mnie na tortury, jak mogę dowiedzieć się czegoś więcej o jego sytuacji?

Często zdarzają się wam takie awantury? - próbuję okrężnej drogi, a on znowu zdumiewa mnie swoją otwartością. O wiele za często. Za każdym razem ożywa w niej podejrzenie, że kogoś mam, i robi straszliwe sceny, nawet przy dzieciach, wzdycha. Nie mogę się już opanować, chociaż obawiam się szczerzej odpowiedzi. A masz kogoś czy nie? - pytam słabym, ledwo słyszalnym głosem. Oded mówi: To twój telefon ciągle dzwoni czy przy stoliku obok? Szperam w torebce, skąd komórka wzywa mnie przeciągłym świergotem. Dziesięć nieodebranych połączeń, raportuje sucho, i natychmiast rozdzwania się znowu. Głos Amnona nie jest już obojętny, lecz napastliwy i oskarżający, jak przed rozstaniem. Co się z tobą dzieje, gdzie ty jesteś? Wiesz, która godzina? Gili od dawna czeka na ciebie u Jotama. Powiedziałaś, żeby przyjść później, mamrocze. To prawda, mówi, ale już dziesiąta, nie ma cię w domu, nie odbierasz telefonu, a dzieciak czeka. Myślałem, że bardzo chcesz go zobaczyć, z przyjemnością wbija szpilę w balon macierzyństwa, który złośliwie nadymałam latami na jego oczach.

Oczywiście, że bardzo chcę go zobaczyć, mówię spiesźnie. Ale wydarzyło się coś nagłego i zapomniałam spojrzeć na zegarek. Już idę, dodaję i rozłączam się, patrzę zgnębiona na Odeda. Zupełnie zapomniałam, że Gili ciągle u was jest, mówię. Nie zauważyłam, że już tak późno. Muszę lecieć po niego, popatrz, co się dzieje, jestem z tobą zamiast z nim, a on jest u was w domu, zamiast ciebie. Wstaję niechętnie. Mieszanina pozostałości naszych rodzin na niebieskim glinianym talerzu mnie rozczula. Poruszam się, jakbym była z drewna, jakby moje nogi straciły zdolność ruchu. Jak się chodzi? - pytam, a on odpowiada z powagą: Najpierw jedna noga, potem druga. Zabieram walizkę. Mam im coś przekazać? - pytam, a on uśmiecha się i mówi: Ucałuj ode mnie Jotama.

Jak mogę go od ciebie ucałować? - nie ustępuję. Musisz pocałować mnie najpierw. Prostuje się i przyciąga mnie do siebie, odgarnia mi włosy z czoła i przykładła do niego ciepłe wargi znajomym sposobem, jakby odciskał pieczęć, tatuaż upamiętniający krótką, cenną chwilę. Mam wrażenie, że pocałunek pochłania całe moje ciało, obejmuję oporny tors Odeda, pragnę z nim zostać, aż zgasną światła, do zamknięcia kawiarni, policzek wymierzony przez klęskę przyprawia mnie o zawrót głowy, jak krótki i cenny był ten wieczór, który się nie powtórzy. On zaraz zbierze te ponure albumy i oddali się w swoją stronę, magia odejdzie w zapomnienie, przemienie, nigdy już nie będzie taki wzburzony i bezbronny, nigdy nie będzie potrzebował obcego słuchacza. Gdybym tylko mogła udawać, że jeszcze nie wróciłam, że lot się spóźnił, zostać z nim tej nocy, zanim zacznie nowe życie beze mnie. Przyglądam się, jak siada i pociąga ostatni łyk. Nie wrócisz tam? - pytam. Nie, odpowiada. Usta ma zachęcająco uchylone, w środku błyska mięsisty język.

Dokąd pójdziesz? - pytam. Poradzę sobie, nie martw się, mówi. Prawie przyznaję, martwię się o siebie, nie o ciebie. Zaciskam dłoń na rączce walizki, zeszywniałe stawy palców strzykają w proteście. Dobranoc, staram się powiedzieć opanowanym głosem. Patrzy na mnie z dołu i kiwa głową, bez słowa. Jaki jest piękny w swoich zdecydowanych liniach ciała, ciemne

kręgi wokół oczu przypominają zagłębienia w ziemi, w których wyrastają kwiaty. Zostawiam go i wychodzę w burzliwą noc. Deszcz atakuje mnie wściekle i po chwili jestem całkowicie przemoczona, nie mam parasolki ani płaszcz. Wraz z deszczem przez ubranie przesiąkają rozczarowanie i frustracja, dlaczego nie było mi dane wykorzystać do końca tego wieczoru, choć kilku godzin. Walizka, którą ciągnę za sobą, przemięka i niemal podwaja ciężar, mokry prezent dam swemu synkowi, używany prezent, bawiły się nim wcześniej dziesiątki kropel deszczu. Staram się zatrzymać taksówkę, pomimo że nie idę daleko, lecz wszystkie ignorują wyciągniętą rękę, deszcz bębni o ich metalowe dachy, uciekają przed nim jak stado dużych zwierząt o niewidzących, żółtych oczach.

Zbliżam się do wysokiej kamienicy, szczękając zębami w nagle ochłodzonym powietrzu, znowu wspinam się po marmurowych stopniach. Na klatce schodowej panuje przygnębiająca cisza i pukanie słychać od razu. Tym razem drzwi otwierają się szybko i za nimi ukazuje się gorzka, smutna twarz Michał. Kobieta ma opuchnięte powieki i poszarzałą cerę, mimo ciekawości nie przyglądam się jej długo, bo za nią, na skórzanej kanapie, siedzi z założonymi rękami chłopiec o subtelnej, melancholijnej buzi wygnanego księcia. Krzywda na jego twarzy jest młodszą siostrą krzywdy na twarzy gospodyni. Dwie ofiary spotkania, które przeciągnęło się zbyt długo, do którego w ogóle nie powinno było dojść. Kiedy prędko podchodzę go przytulić, spuszcza oczy, po policzkach powoli staczają się łzy, Michał mówi pełnym emocji głosem, jakby starała się go wytłumaczyć: Okropnie się o ciebie martwił, nie mogliśmy się dodzwonić, Jotam śpi już od dawna, dodaje niepotrzebnie. Otaczam go ramionami. Nie mogę nawet wyznać, że byłam tu wcześniej, kilka godzin temu, zaraz po przylocie.

Przepraszam, naprawdę bardzo mi przykro, mówię. Miałam ważne spotkanie w sprawie pracy i nie zauważyłam, która godzina. Strasznie się za tobą stęskniłam, Gilili, przysięgam, ale oboje patrzą na mnie z powątpiewaniem. Czym prędzej się żegnam i schodzimy po schodach. Jego szkolny tornister kołysze się na moim mokrym ramieniu. Przepraszam go przez całą drogę do domu, opowiadam, jak bardzo było mi go brak, staram się wzbudzić zachwyt opisem czerwonej wyścigówki, którą kupiłam mu w prezencie, jest jeszcze większa niż poprzednia, ale on odpycha wyciągniętą rękę. Idziemy w burzy ulicami, po szarych jezdniach, przesiąkniętych deszczem jak stare materace, oboje pogrążeni w swojej złości. Co jakiś czas niebo przecina ogromna błyskawica, oświetlająca jego buzię wygnanego księcia, twarz, która nagle się wydłużyła, straciła dziecięcy urok. Wszędzie czyhają na nas kałuże, ale przestałam go już ostrzegać, chyba specjalnie wchodzi w nie nogami w zeszłorocznych tenisówkach.

Chcę spać, mam, mówi po przyjściu do domu, nie chce się umyć, nie chce nawet otworzyć prezentu, mimo moich błagań. Pomagam mu ściągnąć mokre ubrania, moje zdrętwiałe z zimna palce go drapią, pretensja z powodu straconej okazji rozdyma się coraz bardziej, przysłania go. Kiedy leży już w łóżku przykryty kołdrą po brodę, posyła mi znowu oskarżycielskie spojrzenie, i mówi cicho, jakby przyjmował wyrok: Myślałam, że postanowiłaś mnie zostawić, tak jak zostawiłaś tatę.

Jakim cudem przyszło ci do głowy, że to ty, wybrana ze wszystkich kobiet, będziesz tą, która zaoferuje mu dom w miejsce dawnego domu, miłość w miejsce miłości żony, dziecko w miejsce jego dzieci, akurat ty, która jesteś tylko w połowie kobietą, która rozbiłaś rodzinę i nie zyskałaś nic w zamian, którą przywieziono do niego słabą i chorą, co możesz mu ofiarować, gdy jego czarne oczy kwitną w twarzy zgaszonym, mrocznym światłem, spokojnym i kojącym? Wieczór naszego spotkania, kiedy gwałtownie spadła temperatura, wspólny talerz, gliniany niebieski talerz, kromki opiekanego chleba z różnymi dodatkami, bakłażany, mozzarella i tchina. Najbardziej smakowały mu bakłażany. Musisz spróbować, powiedział. Nasz stolik, deszcz, który zebrał się na plastikowej markizie, rozpiętej nad głowami, prawie dotykającej naszych włosów, jakbyśmy siedzieli pod wodą, krótka chwila, którą przeżyliśmy wspólnie, zaledwie jeden jedyny wieczór, który nie skończył się jak należy, towarzyszy mi, lśniący, rozpadający się na kawałki, niczym prezent, który natychmiast mi odebrano, niczym czerwony samochód, zniszczony na oczach Gilego w dniu, w którym go dostał. Tylko to chcę teraz odzyskać, dalszy ciąg tego wieczoru, prawie miałam go w ręku. Widzę, jak siedzimy w lokalu do zamknięcia, ciężka od deszczu plastikowa markiza poskrzypuje nad naszymi głowami, widzę, jak wychodzimy razem, troszkę wstawieni, uwolnieni od wszystkich więzów. Czy zaproponowałabym mu, żeby przyszedł do mnie, czy opowiedziałabym o studni smutku, który się we mnie zgromadził, który zabieram ze sobą wszędzie, który zatopił księgę mojego życia, wymazując po kolei litery, gdy tak opowiadam, wszystko znika, nie cierpiałam na darmo. Słuchałbyś z głębokim zrozumieniem, które miałyby moc oczekiwanego wybaczenia i odkupienia. Nie wobec ciebie zawiniłam, jednak wydaje mi się, że możesz mi wybaczyć.

Przez całą noc siedziałby na fotelu, a ja na kanapie, przykryta wełnianym kocem. Ta noc nie byłaby przeznaczona na sen, na pocałunki ani na uprawianie miłości, lecz na słowa. Oplakujesz tę noc, której nie było, została zduszona w zarodku, czekała na nas do rana niczym oświetlony pałac w ciemności, pozostawiła ulotny czar, który towarzyszy mi, gdy kładę się spać i gdy wstaję. Próbuję odkopać jej zagubione resztki, odnaleźć jej zapis, wyryty na twarzy mężczyzny, który siedział naprzeciwko, blady i wzburzony. Codziennie rano, kiedy odprowadzam Gilego do szkoły, i po południu, kiedy go odbieram, wchodzę czujnie na dziedziniec, szukam go wśród rodziców, wbrew zaleceniom strażnika zbierających się pod bramą. Zazdroszczę Amnonowi, bo być może właśnie on go widuje, choć nie potrzebuje tego i nie doceni okazji. Rozglądam się także za kręconymi włosami Michał, gotowa poprzestać na niej z braku innej możliwości, odgadnąć z wyrazu jej twarzy, co się dzieje u niego, lecz także jej nie widać, ani chłopca, jakby wszyscy przestali istnieć, jakbym ich sobie wyobraziła. Gdzie oni się podziewają, gdzie zniknęli, czy w środku nocy wyjechali z miasta, zaraz następnego dnia wyjechali na nieplanowane, desperackie wakacje, żeby naprawić swoje stosunki. Może

akurat ja na nich nie trafiam. Wchodząc do klasy, rozglądam się zawsze najpierw za Jotamem, prześlizguję się wzrokiem po twarzy mojego syna, szukając na próżno podobnego chłopca, powracam do niego, starając się zatrzeć rozczarowanie słabym uśmiechem. Jak się masz, synku, jaki miałeś dzień?

Co z Jotamem, dawno go nie widziałam? - pytam jak gdyby nigdy nic po kilku dniach. Jotam? - powtarza Gili. Jest chory. Rzucam się chciwie na nowinę, starając się odgadnąć jej znaczenie. Może zadzwonisz sprawdzić, jak się czuje, proponuję, a on rzuca ze złością: Później. Ale nie dzwoni. Dziwię się. Jak długo może trwać zimowa choroba, kiedy wreszcie wyzdrowieje, czemu nie opiekują się synem jak należy, wciąż rozglądam się za nim w napięciu, każdego ranka i popołudnia. Dopiero po tygodniu dostrzegam ich obu na huśtawce na podwórku, huśtają się szybko i hałaśliwie, do tyłu, do przodu, siedząc naprzeciw siebie, z ich ust unoszą się obłoczki pary. Moja radość na widok Jotama przewyższa radość z widoku syna. Jedyny fragment, który udało mi się zlokalizować, a przecież wartość fragmentu równa jest wartości przedmiotu, który reprezentuje.

Poruszona podchodzę i wpatruję się badawczo w jego twarz, szukam w nim ojca, tego, co dzieje się w domu, czy Oded do nich wrócił, czy żyje z inną kobietą. Właściwie nie wiem, czego sobie życzyć, obie możliwości są równie okropne, choć nie dla niego. Patrzę na chłopca chciwie, czarne oczy ojca podkreślają jego bladość. Jak się masz, wyzdrowiałeś? - pytam. Tak, ale teraz mama jest chora, mówi. Chłonę łapczywie tę informację. Co ty mówisz, mama jest chora? A więc zaraz pewnie przyjdzie ojciec, przejdzie przez zieloną bramę, pomalowaną w kwiaty, podejdzie do nas, spotkamy się przy huśtawce. Szybko się upewniam: A jak się ma tata, zdrowy? Tak, tata jest zdrowy, potwierdza Jotam. Chcesz nas odwiedzić? - proponuję natychmiast. Ku mej radości Gili przyłącza się do zaproszenia. Tak, chodź do nas. Jeszcze nie byłeś u mnie u mamy. Operuje tymi terminami, jakby od urodzenia mieszkał w dwóch domach. Jotam szybko zaraża się jego entuzjazmem. Super, idę do ciebie.

Kiedy wchodzimy do klasy, ukrywam za szalikiem lisi uśmiech, zarzucam na ramię oba tornistry, wyciągam ręce do dwóch podskakujących wokół mnie chłopców, jedzących resztki kanapek z czekoladą, które dostali przed wyjściem. Ciemnieją im usta, policzki pokrywają się okruszkami. Stoimy pod bramą i czekamy na niego, aby otrzymać zgodę na odwiedziny, może nawet poproszę, żeby się do nas przyłączył. Zaprowadzę cię do mojego domu, dzieci będą się bawiły w pokoju, a my usiądziemy w kuchni, matka i ojciec, na jedno popołudnie dwa fragmenty staną się całością. Przyjźdź wreszcie, czemu zwlekasz, ponaglęm go w duchu, przygotowałam dla ciebie rodzinę, czego jeszcze ci trzeba, przytłaczające oczekiwanie sprawia, że ulica Zamiera, czarny asfalt czeka na jego kroki, przypatruję się w napięciu przechodniom, który z nich w szczęśliwej chwili okaże się nim. Wtem obok zatrzymuje się srebrny samochód i patrzę pełna oczekiwania na otwierające się drzwi, ale to starsza kobieta ze starannie ułożonymi włosami, dokładnie tego samego koloru co auto. Skądś znam tę twarz, ale ignoruję ją, bo nie jest nim, jej nadejście nie dowodzi, że on nie przyjdzie. Ale z ogromnym rozczarowaniem widzę, że kobieta podchodzi do Jotama. Chłopiec protestuje: Babciu, po co przyjechałaś, chcę iść do Gilego. Także ja patrzę z niechęcią na jej wypielęgowaną twarz, którą mgliście pamiętam z przyjęcia urodzinowego w kawiarni. Jotam idzie z wami? - upewnia się kobieta z ulgą, najwyraźniej zadowolona, że będzie miała wolne popołudnie. Tak, czy to w porządku? - odpowiadam pytaniem.

W całkowitym porządku, mówi, i dodaje niepotrzebnie: Michał jest chora. Chcę zapytać o

Odeda, ale nie udaje mi się sformułować naturalnie brzmiącego pytania. Może spróbuję dowiedzieć się, kto przyjdzie po Jotama wieczorem. Pytam uprzejmie: Wyjaśnić pani, gdzie mieszkamy? Nie wiem jeszcze, czy będę mogła go odebrać, mówi. Proszę mi dać numer telefonu. Zapisuje go pośpiesznie na książeczce czekowej, po czym zadowolona wsiada do samochodu. Podwieźć was? - reflektuje się nagle, a ja mówię: Tak, czemu nie. Chociaż mamy blisko. Może mimo wszystko uda mi się coś z niej wydobyć podczas krótkiej jazdy. Upychamy się w środku jak w samochodzie jej córki na początku roku, prowadzi spokojnie, ale nerwowo mruży oczy, żuje gumę, aż strzyka jej w szczęce, bez wątpienia coś ją gryzie. Jak dowiem się, co to takiego?

Co dolega Michał, to grypa? - interesuję się uprzejmie. Coś w tym rodzaju, odpowiada. Pewnie zaraziła się od Jotama. Powstrzymuje westchnienie i natychmiast pogłośnia radio, bo zaczęły się wiadomości. Słucham z roztargnieniem niewesołych informacji, niestety, jazda niczego nowego nie przyniosła, już jesteśmy w domu. Wskazuję nasz balkon od strony ulicy. Widzi pani? Tam mieszkamy. Mam nadzieję, że powie: W porządku, ojciec go odbierze. Ale posłusznie zapisuje numer domu, żegna się z widoczną ulgą i odjeżdża. Prowadzę chłopców do mieszkania, pomagam im zdjąć kurtki i zimowe buty, proponuję gorące kakao. Miło opiekować się nimi oboma, jakby obaj byli moimi synami, bliźniaczymi braćmi. Kiedy pijemy słodki napój, przyglądam się Jotamowi. Jego bliskość wzmacnia moją tęsknotę do jego ojca, nadaje jej formę, bo przecież z jego nasienia powstał, w jego ramionach rósł. Mam wrażenie, że bez świadomości Odeda powstaje między nami fizyczna intymność, bo goszczę u siebie jego syna, karmię go i poję, głaszczę po włosach ku zdumieniu Gilego, staram się zdobyć dodatkowe informacje.

Jak się ma twoja siostra? - dopytuję się. Też jest chora? Nie, zdrowa, odpowiada. A tata? Co u taty? Specjalnie pytam ogólnie. Tata zdrowy, mówi. Więcej nie udaje mi się z niego wydobyć. Oblizuje wypukłe, odrobinę spierzchnięte wargi, na twarzy ma bezdenną, prawie zabawną powagę. Chodź się bawić, przynagla go Gili. Mama kupiła mi zdalnie sterowany samochód. Jeżdżą nim po całym domu, ustawiają przeszkody, śmieją się złośliwie z jego porażek. Siedzę ślepe wysiłki samochodu, budzący dreszcz plastikowy uśmiech kierowcy, wybuchający w pokojach śmiech. Obecność drugiego dziecka zawładnęła domem, własny syn wydaje mi się nieciekawym i przewidywalnym w porównaniu z jego synem. Każdy ruch chłopca ma znaczenie, bo wywodzi się z ruchów jego ojca, to odrobinę sztywne, powściągliwe gesty. Stoję przy dużym oknie, w resztkę dziennego światła, które szybko umyka przed ciemnością, słucham wijących się nut wewnętrznej melodii, czemu nie przychodzi, przecież jestem teraz prawie jego żoną, opiekuję się jego dzieckiem jak swoim własnym, dlaczego nie wykorzystuje okazji? Czy jeszcze tam jest, siedzi w wygodnym fotelu, za nim powiewają fioletowe szyfonowe zasłony, kiwa ze zrozumieniem głową, usta odrobinę rozchylone, słucha wargami, a nie uszami, wręcza recepty udreńczonym duszom, ignoruje moją. Postanawiam zadzwonić do kliniki, przecież dał mi numer, notując go pośpiesznie na recepcie, powiem, że ma tu zakładnika, niech sam po niego przyjdzie. Wybieram szybko cyfry, zanim zdążę zmienić zdanie, ale odpowiada chłodny głos sekretarki: Doktor Scheffer jest zajęty. Proszę zostawić nazwisko i numer telefonu, oddzwoni do pani. Szybko się rozłączam. Może później sam odbierze. Jeśli podam nazwisko, będę musiała czekać na telefon, a na to nie mam ochoty. Chcę przecież sama wpływać na rzeczywistość, nie czekać cierpliwie na zmianę.

Fakt, że przebywa u mnie jego syn, choć on sam jest niedostępny, daje mi natychmiastową

przewagę, uwięziłam w domu zakładnika. Gdyby upadł i skaleczył się, mogłabym natychmiast wezwać jego ojca choćby w środku spotkania, albo gdyby nagle dostał gorączki, a nawet gdyby wybuchła między chłopcami awantura i Jotam chciałby wrócić do domu. Wchodzę do pokoju, gdzie siedzą naprzeciwko siebie na dywanie, bawiąc się małymi plastikowymi figurkami, cześć, cześć, mówią do siebie ludziki ich głosami. Jotam, twój tata ma telefon komórkowy? - pytam. Jasne, odpowiada. Pamiętasz numer? No pewnie, to łatwe, chwali się. Szybko przynoszę papier i długopis, ale wtedy zaczyna się plątać, pewność siebie szybko znika, usta mamroczą z wahaniem cyfry ze znakiem zapytania na końcu, jakbym to ja знаła ten numer i tylko go sprawdzała. Trochę mi się myli z numerem w domu, przyznaje zawstydzony. Próbuję wydusić z niego zapomniane cyfry, ale bez skutku, w końcu daję za wygraną, starając się ukryć rozczarowanie.

Mamo, po co ci ten numer? - Gili posyła mi przenikliwe spojrzenie. Kiedy Jotam będzie chciał iść do domu, odpowiadam, nie ma sensu zawracać głowy jego mamie, prawda? Ale ja jeszcze nie idę, protestuje Jotam. No pewnie, przytakuję prędko. Pytałam na wszelki wypadek. Pozwalam im na powrót zamienić się w małe plastikowe ludziki, wracam do czekającej klawiatury komputera, ale nie opuszcza mnie poczucie wyjątkowości chwili, narasta poczucie oczekiwania. Jaki powód mogłabym wymyślić, żeby go wezwać. Może nagłą zmianę planów. Przepraszam, musimy zaraz wyjść, czy możesz odebrać syna, a skoro już przyszedłeś, usiądź na chwilę, może umówimy się na jutro. Mroczna mgła za oknem interesuje mnie bardziej niż monitor komputera, przyglądam mu się tępo, ciepło kaloryferów łąsi się do nóg i rąk, opieram głowę na stole i zamykam oczy, nasłuchując niewyraźnych głosów za ścianą. Mam uczucie, jakby ktoś wkładał mi do ust drobne owoce. Żuję je powoli. Maliny, wiśnie, fioletowe jagody, zapach świeżych lasów, wiklinowe koszyki, zmyślane opowiadki, rosnąca słodycz rozlewa się po całych ustach. Żeby odpowiedzieć na rozlegające się wokół wołania, muszę przełknąć lepką papkę, ale skurczone gardło zapomniało, jak wykonuje się tę najprostsza czynność. Budzę się, podnoszę głowę i widzę ich przed sobą. Co się stało? - mamroczę. Wszystko w porządku?

Chcemy się razem wykapać, oznajmia Gili entuzjastycznie. Patrzą na zegarek. Już po siódmej. Dziwne, że żadne z rodziców nie przyszło ani nie zadzwoniło. Zapomnieli o dziecku, lecz chwilowo mogę się jeszcze tym cieszyć. Napuszczam wody do wanny i pomagam im się rozebrać, obserwuję ukradkiem pełne rezerwy, napięte nagie ciało obcego dziecka, wystające zębra; jego bliskość fizyczna zwiększa pragnienie, w każdym pomieszczeniu atakuje mnie gryzące pożądanie, przyjdź teraz, każde z nas wytrze swego syna, każde z nas pogładzi swego syna po włosach, za ich plecami skradniemy całkiem inny dotyk, tak różny od tego, czego zaznałam dotychczas, bo nadejdzie po wielkim kryzysie, dlatego będzie niósł pociechę.

Przyjdź, nie odbieraj mi siebie, nasz przerwany wieczór codziennie szuka dokończenia, chodzi ulicami, zagląda do okien, stara się nas połączyć. Kiedy owijam ręcznikiem twego syna, w gęstej parze, zacierającej widoczność, wydaje mi się, że stoisz obok, nasze palce się spotykają, to my jesteśmy owinięci miękkimi ręcznikami, razem zanurzyliśmy się po szyję w ciepłej wodzie, deszcz szemrze nad głowami, śpiewa swoją tajemniczą melodię, zanurzamy się w wodzie niczym w leczniczym źródle, nawet jeszcze ze sobą nie spaliśmy, nawet się nie pocałowaliśmy, tylko słowa pływają wśród wysp z piany, bo chcę usłyszeć twój głos, mówiący wszystkie słowa, nie oszczędzający ani jednego, odmierzony, opanowany głos o przyjemnej wymowie, końcówki wyrazów przeciągają się, jakby nie chciały się rozstać. Dopiero gdy zabrzmia wszystkie słowa,

zapytasz, czy jestem gotowa, kiedy będziemy się kochać, rozplacę się ze smutku nad tymi długimi latami, gdy nie kochałeś się ze mną, i z wielkiej radości w nadziei na wszystkie lata, kiedy będziemy się kochali. Przez cały ten czas nasze dzieci będą spały obok siebie jak bracia.

Co się stało, dlaczego płaczesz? - pyta przestraszony Gili. Natychmiast się opanowuję. Nic takiego, coś sobie przypomniałam. Coś smutnego? - Ocieram oczy ręcznikiem. Nie, coś wesołego. To dlaczego płaczesz, jeśli to jest wesołe? - dziwi się. Pragnę wtajemniczyć go, ich obu, w moje świeże, wyimaginowane szczęście, prowadzę ich wesoło do pokoju. Czasami człowiek płacze ze wzruszenia, z wielkiej radości, wam to się nie zdarza? Mnie nie, oświadcza Gili. Jego kolega powtarza jak echo: Mi też nie. Potem dodaje, wypinając z dumą wąską pierś: Tata płakał z radości, kiedy się urodziłem. Gili natychmiast staje się zazdrosny. Skąd wiesz? Opowiadał mi, ale też pamiętam, mówi Jotam.

Nie można pamiętać czegoś takiego, poprawia go pedantycznie Gili. Prawda, mam? Czasami ktoś opowiada nam coś w tak żywy sposób, że wydaje nam się, jakbyśmy to pamiętali, mówię. W duchu dodaję, zwracając się do Jotama: Ja też chcę zobaczyć, jak twój tata płacze z radości. Właśnie tego pragnę, jeśli chcesz wiedzieć. Narastające poruszenie wypełnia dom. Zaraz się pojawi. Już późno, to pora odbierania dzieci, zaraz rozlegnie się pukanie, wejdzie w połowie kolacji, zobaczy, jak ładnie zajmuję się jego synem, poczeka, aż Jotam skończy jeść, obieca, że wróci. Ale już sprzątam ze stołu, a on nie przyjeżdża. Postanawiam zadzwonić znowu do kliniki, już po ósmej, powiem sekretarce, że to bardzo pilna sprawa, chodzi o dziecko, nie jestem natarczywą pacjentką, opiekuję się małym synkiem pana doktora, przy którego narodzinach płakał. Ku memu rozczarowaniu nikt nie podnosi słuchawki, nagrany głos uprzejmie proponuje pozostawienie wiadomości, jestem coraz bardziej zawiedziona, nie przyjdzie, ten wieczór zakończy się jak pozostałe, pełnym frustracji bezwładem.

Niewyraźny szmer podrywa mnie do drzwi. Przez wizjer widzę jakąś postać w kurtce i czapce. Przez chwilę nie rozpoznaję jej, jest tak grubo opatulona, mam wrażenie, że to może być ktokolwiek, matka, ojciec, babcia. Zdenerwowana otwieram, lecz zamiast jedyne, wytęsknionego głosu rozlega się mokry kaszel. Michał! - wykrzykuję. Dlaczego wyszłaś z domu? Jesteś chora! W moim głosie brzmi takie rozczarowanie i pretensja, że Michał uśmiecha się skrzepowana, zdziwiona reakcją. Nie miałam wyjścia - mówi, a ja wciąż ją atakuję z rosnącym oburzeniem: To nie w porządku, mogłam go odwiedzić, nie powinnaś tak wychodzić. Moja troska chyba ją wzrusza, wilgotnieją jej oczy. Nie są to jednak łzy radości. Wiesz, jak to jest, mówi. Matka nie może pozwolić sobie na chorowanie.

Po to są ojcowie, prawda? - znowu próbuję szczęścia, tym razem u niej, a Michał mówi z westchnieniem: Oded jest w pracy. To zwyczajne połączenie słów z całej siły wali mnie w twarz. Oded w pracy. Jakie bezpieczne i solidne jest to znajome zdanie, mąż jest w pracy, tata jest w pracy. W jednej chwili ogarnia mnie niechęć do niego. Nie zrobiłeś tego, tchórze, udało mi się cię powstrzymać, dlaczego nikomu nie udało się powstrzymać mnie. Mimo wszystko spoglądam na nią z powątpiewaniem, co kryje się pod tymi słowami, obojętność w stosunku do jej choroby czy prawdziwe zerwanie. Zdejmuje wełnianą czapkę, zmatowiałe włosy opadają jej wokół głowy jak sznurki. Ma zapuchnięte oczy i zaczerwieniony nos, od kataru albo od długiego płaczu. Kto łkał w tamten sobotni ranek, czy to ona w poprzednim ataku zazdrości, czy także wtedy uciekł od jej płaczu, sikając ponuro w łazience dla gości, także wtedy czyhałam na niego mimo woli. Nie, to nie jest twarz, którą poznałam, ma całkiem inny wyraz. Usiądź na chwilę, skoro już wyszłaś, proponuję. Zrobię ci herbaty z cytryną. A tymczasem opowiesz mi, co dzieje się w

twoim życiu, dodaję w duchu. Ale ona utrzymuje dystans. Dziękuję, innym razem, muszę wracać do łóżka. Chodź, Jotamon, ponagla syna zmęczonym głosem, z doskonale mi znanym matczynym znużeniem. Tak samo po rozstaniu z Amnonem odbierałam Gilego wieczorami z domów jego przyjaciół, recytując znajome słowa, nie czując nic, pusta i pozbawiona życia niczym strach na wróble. Podaję tornister, proponuję, że jej pomogę, dopóki nie wyzdrowieje. Chętnie wezmę go też jutro, doskonale się razem bawią, mówię, nie chcąc rezygnować z przynęty. Dziękuję, wzdycha. Zobaczą, co będzie się u nas działo jutro. Jej hierarchia ważności jest całkiem inna od mojej. Przyglądam Jotamowi włosy, staram się przedłużyć kontakt. Dobranoc, kochany. Kiedy zamykają się za nimi drzwi, Gili mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem i zauważa: Widzę, że naprawdę lubisz Jotama. Tak, mówię jak gdyby nigdy nic. To miły chłopiec, przyjemnie, kiedy u nas jest. To prawda, mówi, ale jego spojrzenie nie daje mi spokoju. Sadzam go sobie na kolanach, otaczam ramieniem. W jednej chwili znikło oczekiwanie, które ciasno napełniało cały dom życiem. Odchodzący chłopiec zabrał nadzieje, które wiązałam z jego obecnością. Zostaliśmy we dwoje, odprysk rodziny, skrzydło wbite w ziemię.

Jak bardzo kiedyś czekałam na moment, gdy zamkną się drzwi za obcymi, którzy przeniknęli na nasze terytorium, kolega lub koleżanka, któreś z rodziców. Jak lubiłam sadzać go sobie na kolanach, twarzą do mnie, słuchać szczebiotu urywanej opowieści o wydarzeniach całego dnia, przerywać ją całusami w brwi, w rzęsy, w powieki. Czy to wszystko było uludą, łaską biorącą się z utraty, w ogóle niezwiązaną z nim, która teraz w całości kieruje się na kogoś innego? Chłopiec na moich kolanach nie jest już odbiorcą obfitego, radosnego zalewu uczuć, lecz kombinacji, którą znałam ze słyszenia, znużonego poczucia obowiązku i niestrudzonego oddania, objawiającego się w wyjątkowych momentach, nie daj Boże, w chorobie, w rzadkiej chwili bliskości. Czy mój syn, nieświadomie, na początku życia, miał wypełniać jakąś lukę, pocieszać i rekompensować? Ofiarował mi wszystko, czego nie znalazłam u ojca. Teraz, kiedy wolną częścią duszy zawładnął czynnik zewnętrzny, powstał nowy porządek i prawda wyszła na jaw. Przecież to dziecko, nie zbawienie z niebios, promienna postać, wierny adresat niespełnionej potęgi miłości. Przytula się do mnie, kładzie mi głowę na ramieniu. Tęsknię za tatą, szlocha nagle. Mam dość mieszkania w dwóch domach. Kiedy jestem u ciebie, tęsknię za tatą, kiedy jestem u taty, tęsknię za tobą.

Zapiera mi dech w piersi, tak jestem wstrząśnięta jego słowami. Tyle tygodni milczącej akceptacji, bez najmniejszego protestu, aż błędnie doszłam do wniosku, że zupełnie się przystosował. Obejmuję jego drżące plecy. Ma dość, i słusznie, to jego życie pękło na pół, wędruje z domu do domu, a ja zostałam tutaj, budzi się, nie wiedząc, gdzie jest, co kilka dni przyzwyczajają się do nowego otoczenia, to dopiero początek, może kiedyś będzie musiał przyzwyczaić się do nowych partnerów, do przyrodniego rodzeństwa. Bezbronna ofiara popularnej przygody, której największą cenę płacą najsłabsi. Opieram głowę o jego ramię, mam mokre policzki. Znowu płaczesz z radości? - pyta. Nie, synku, nie płaczę z radości, odpowiadam. Ja też nie, mówi. Nasze łzy się mieszają, jego łzy zakradają się do moich oczu, moje do jego. Mamy identyczne tęczęwki, nie do odróżnienia. Wstaje i ciężkim krokiem podchodzi do telefonu. Zadzwońię do taty, wyjękuje. Poproszę, żeby przyszedł powiedzieć mi dobranoc. Przyglądam się, jak jego małe paluszki z trudem wybierają numer, z wysiłkiem wywołują dźwięk dzwonka, który rozlega się w drugim domu, tańczy pomiędzy kolorowymi koralikami zasłony, unosi się wśród jasnych mebli. Tam z kawałków naszej rodziny usiłuje powstać nowe życie.

Tato? - rozlega się jego wysoki głos, łamiący się natychmiast, żeby ukazać ogrom nieszczęścia. Tęsknię za tobą, chcę cię zobaczyć. Wydaje się, że głos po drugiej stronie 'nie reaguje przychylnie. Tłumaczy uparcie, tak to już jest, są dni mamy i dni taty, nie powinno się ich mieszać. Ale Gili też nie chce ustąpić: Tylko dzisiaj, tato, powiesz mi dobranoc, nie, nie przez telefon, chcę cię zobaczyć, chcę, żebyś mnie pocałował na dobranoc. Udręczona słucham sprzeczki, znowu wyrasta przede mną góra winy i smutku, znowu wydaje mi się, że tylko jedno może zapobiec wybuchowi, jeśli znajdzie się potwierdzenie, wyrośnie, rozwinie się i zakwitnie z mego nowego życia, dowód, że nie na darmo podchodzi do mnie dziecko ze łzami w oczach, podając mi telefon. Tata chce z tobą porozmawiać - mamrocze Gili rozdrażniony.

Co się u was dzieje? - pyta z powagą Amnon. Nie potrafisz go uspokoić? Czas zacząć stawiać mu granice, ostrzegalem cię, odkąd się urodził, nie wolno ulegać szantażom, wyczuwa słabość i zaczyna manipulować, u mnie się to nie zdarza, musisz to stłumić w zarodku, przede wszystkim ze względu na niego. Nie mam zamiaru teraz przychodzić, postaraj się opanować sytuację, przestań się nad nim użalać, to mu tylko szkodzi. Uspokój się, mówię szeptem. O nic takiego wielkiego nie poprosił. Jeśli ci się nie chce, nie przychodź, ale nie owijaj swojego lenistwa w jakieś bohaterskie teorie. Przez chwilę wydaje mi się, że nic się nie zmieniło, tak dobrze znam te wymiany zdań, tyle razy ślaniałam się pod lawiną słów. Odkładam słuchawkę, w uchu brzęczy mi irytujący jazgot, jakby wpadło tam jakieś małe żyjątko, które nie może się wydostać. Nagle przypomnienie przytłacza mnie, ale też oswobadza, odbija wierniejszy obraz przeszłości, i choć nie przynosi odpowiedzi rozczarowanemu dziecku, które łąka w moich ramionach, odrobinę mnie uspokaja. Może mimo wszystko nasze rozstanie nie było jedynie kaprysem, może to pierwszy znak, pierwsza litera brakującego dowodu.

Na dachu zbiera się deszcz, jak wtedy na plastikowej markizie, zimne krople lecą sobie w ramiona, leżą pod nimi, mam wrażenie, że przez przezroczysty sufit mogę zobaczyć burzliwe niebo, nad moją głową trwa wojna, z wybuchami gromów i błyskawicami, są jak rakiety wystrzeliwane z bazy, czarne, skłębione chmury przypominają nadciągającą ciężką artylerię, nic ich nie zatrzyma, niebieskie pole bitwy nigdy się nie uspokoi, wędruje z miejsca na miejsce, odzwierciedlenie tego, co dzieje się na ziemi. Nakrywam głowę poduszką, to poduszka Amnona, która wciąż roztacza intensywny zapach jego szyi. Gdyby leżał teraz obok mnie, czy czułabym się bezpieczniej, jaka byłaby cena tego bezpieczeństwa, czy byłoby realne? Nie, nie jego chcę teraz mieć obok siebie, nie ku niemu kieruje się nagle pragnienie, jakby celownik broni palnej nagle zepsuł się i wycelował w kogoś innego. Gdzie jest teraz plecak Odeda, pełen albumów, gdzie są jego oczy o barwie deszczowych chmur, pożądanie unosi się z głębin niczym ślad życia w starożytnym grobowcu, gdzie on teraz jest, czy leży obok swej zakatarzonej żony, czy obok innej kobiety, może także jest sam, jak ja szuka dokończenia tamtej nocy.

Szczęśliwy, kto rezygnuje z poznania, kto nie składa całego brzemienia na istotę z krwi i kości, na drugiego człowieka, kim jest ten mężczyzna, niewiele więcej niż owocem wyobraźni, stworzyłaś go z braku, jak swego syna, z twego braku wyszedł i do twego braku powróci, nie zapełni go, bo tak już ma być, huczą mi w uszach złe nocne wiatry, bijące o zamknięte żaluzje niczym fale o nabrzeże, wciąż próbują, nie poddają się. Może też taka jestem, nie lubię ustępować, nie jestem rozważna, gorzki nocny wiatr próbuje rzucić swój wściekły ładunek na żaluzje i drzewa, latarnie i słupy elektryczne, biada temu, kto stanie mu dzisiaj na drodze.

Tak, to tutaj. Tu, w domu nad ruchliwym skrzyżowaniem, rozdaje swoje leki, kuszące niczym halucynacje, rozdziela powściągliwe, pełne sympatii spojrzenia, kiwa głową z odrobiną rozchylonymi ustami, jakby słuchał wargami, ponad spalinami autobusów i trąbieniem klaksonów, w miejscu, w którym nie można przystanąć na dłużej, gdzie miasto obnaża swe ostre kły, a ludzie kręcą się jak króliki po zatłoczonych przejściach dla pieszych. Tam go odszukam, bo nie mam wyboru, nadszedł czas, by wyjaśnić, co zostało po tamtej nocy, co przetrwało z zaczarowanego kręgu światła. Popycham uchylone drzwi, na których widnieją trzy nazwiska, wśród nich jego, jakby to była fabryka, gdzie naprawia się dusze. Podchodzę do sekretarki rezydującej w pustej poczekalni. Muszę się zobaczyć z doktorem Schefferem, oświadczam stanowczo, ale pozostaje niewzruszona. Jest pani umówiona? Zerka na wielki kalendarz rozłożony na biurku. Nie, mówię. Zgubiłam receptę, musi mi wypisać nową. Prycha znudzona, jakby tak mówili wszyscy, jakby nie była to moja prywatna wymówka, którą wymyśliłam z trudem po kilkugodzinnych rozważaniach.

Jasne loki opadają jej na twarz i przez moment wydaje mi się, że to Michał, jak wyglądała w młodości, świeża i śliczna niczym lalka, może to w ogóle jest jego nowa kobieta, może dla niej odszedł z domu, pilnuje go, jakby był jej własnością, zerka na zegarek. Doktor będzie wolny za kilka minut, zdradza niechętnie. Proszę podać nazwisko, pójde go zapytać. Dyktuję jej imię i nazwisko, rozsiadam się w fotelu niedaleko wejścia, świadomość jego bliskości wstrząsa mną, zapiera mi dech. On tam jest, na końcu korytarza, w zasięgu ręki, do tej pory stykał nas przypadek, tak perfekcyjnie, jakby został zaplanowany, natomiast wszystkie próby i usiłowania, aby go powtórzyć, spełzły na niczym.

Na klatce schodowej rozlega się przerażający odgłos borowania. Kamienica na starość stała się budynkiem biurowym, nocami pewnie jest opustoszała, przerażająca. Zaciskam wargi, obserwuję wrogo sekretarkę, zachowuje się jak udzielna księżna, niebawem wkroczy do jego pokoju z moim nazwiskiem w ręku, Ela Miller potrzebuje nowej recepty, czy on w ogóle rozpozna moje nazwisko, czy domyśli się i wyjdzie na korytarz, czy każe jej zaprosić mnie do środka, wyminę ją dumna i zdenerwowana, usiądę naprzeciw niego na skórzanym fotelu, przed fioletowymi szyfonowymi zasłonami. Tylko o tobie myślę od tamtej pory, powiem, moje życie czeka na ciebie. Staram się przypomnieć sobie jego gabinet, nic wtedy nie dostrzegałam, tylko mętne, fioletowe, kojące światło. Pamiętam jego spojrzenie, współczujące i zaszokowane, jakby stał nad przejechanym kotem, kotem, do którego był przywiązany, choć należał do kogoś innego. Na ścianie wisi znajoma fotografia szarego, podłużnego kamienia, kamienia z Rosetty, egipskie hieroglify obok starożytnej greki, czekały tysiące lat na rozszyfrowanie, zza nich wyłoniła się stara, przebogata cywilizacja, niepodobna do żadnej innej. Kto powiesił tutaj to zdjęcie, moje oczy pragną odczytać ukryte pismo serca, szukają powtarzających się znaków. Chociaż nasze dusze bardziej przypominają tabliczki z pismem mi-

nojskim, które rozszyfrowano bez wskazówki z zewnątrz.

Na końcu korytarza otwierają się drzwi, ale nikt nie wchodzi do recepcji, najwyraźniej zrobiono tam ukryte wejście w trosce o prywatność pacjentów. Sekretarka idzie do niego celowo wolnym krokiem, w obcisłej spódnicy i wełnianym sweterku, podkreślającym ciężkie piersi. Czy słyszę jego głos, jego śmiech? Wydaje mi się, że ktoś mnie woła, i prostuję się, ale to przypadkowe głosy na klatce schodowej, westchnienia ulgi pacjentów wychodzących od dentysty. Dlaczego ona tam siedzi tyle czasu, dlaczego mnie nie wezwie, dlaczego on do mnie nie wyjdzie? Spuszczam wzrok, ręce i nogi kurczą mi się z nerwów, jakbym czekała na wyniki śmiertelnie ważnego badania. Kozaki na obcasie podchodzą, zwiastując złą nowinę, sekretarka staje przede mną, podaje mi karteczkę. Co to? -pytam słabo. Po to pani przyszła, po receptę, odpowiada. Biorę ją od niej. To nie wystarczy, protestuję. Muszę się z nim zobaczyć. To teraz niemożliwe. Prosiła pani o receptę. Jeśli chce pani porozmawiać z doktorem, proszę zostawić numer telefonu, oddzwoni. Próbuję ukryć urazę, oglądam uważnie karteczkę. Może na samym dole skreślił kilka słów albo cyfr, numer telefonu komórkowego, ale nie ma tam nic poza moim imieniem, nazwiskiem, i nazwą leku, są zapisane obok siebie wydłużonym, odrobinę ukośnym pismem, jakby chciały się o siebie oprzeć. Czy nie zrozumiał, czy zrobił to umyślnie, wyraźny znak, że nie jest wolny, że nie jest zainteresowany.

Powiedziała mu pani, że tu czekam? - pytam, a ona odpowiada obojętnie: Oczywiście. I podchodzi do dzwoniącego telefonu. Umykam pośpiesznie z receptą w rękę, znowu ją uważnie oglądam, wzrok mąci mi silny zawrót głowy. Opieram się o pień sosny rosnącej na środku placu niczym strzała celująca w niebo. Moje życie, które znowu opustoszało, tańczy przede mną w swej obrzydliwej nagości, przeklinam głośno jak obrażona dziewczynka, biję drzewo pięściami, odrywam ze złością kawałki suchej kory, pogrążona w straszliwym rozczarowaniu nie słyszę kroków, które przystają obok, aż ktoś obejmuje mnie za ramiona i niski, rozbawiony głos mruczy mi do ucha: Jak ty się wyrażasz?

Zawstydzona odrywam się od drzewa i podnoszę do niego twarz, lepkimi palcami dotykam jego policzka, jego śmiech faluje w moich włosach. Rozczarowałem cię, co? Jestem przejrzysta jak kropla deszczu, patrzę na niego i na karteczkę, które z nich mówi prawdę, przecież przeczą sobie nawzajem. Dlaczego mi to zrobiłeś? - pytam, chociaż to już całkiem nieważne. Żeby cię zaskoczyć, szepcze w moje włosy. Im większy smutek, tym większa radość. Jego oddech łaskocze mnie w ucho. Przyglądam mu się. Jego twarda, szorstka skóra przypomina korę drzewa, twarz ma szczuplejszą, niż zapamiętałam, wargi drżą mu odrobinę, a może to moje wargi. Przytuleni stoimy pośrodku skrzyżowania, dotykam jego cienkiej koszuli, która powoli wilgotnieje.

Wciąż nie masz kurtki? - pytam, a on odpowiada: Mam. Zszedłem tylko na chwilę, żeby cię zobaczyć, muszę wrócić, bo zaraz przychodzi pacjent. Nie puszczam go. Kiedy się spotkamy? - pytam na wyrost, jakby już był mój. Ale odpowiada takim samym głosem, żarliwy, nagły: Jestem zajęty do siódmej. Gdzie będziesz wieczorem? Gdzie zechcesz. Mogę poczekać na ciebie tutaj, albo w kawiarni, albo w domu, gdzie chcesz. Będziesz dzisiaj sama? Nie, będę z tobą.

Poczekaj na mnie w domu, mówi. Przyjdę do ciebie. Ujmuje na pożegnanie moje ręce w swoje zimne dłonie. Ale nie masz mojego adresu, zauważam. Mam, odpowiada. Mam wszystko, co trzeba, żeby do ciebie przyjść. I już go nie ma. Znika w tych samych ukrytych drzwiach, z których wyszedł, pozostawiając mnie oszołomioną pośrodku placu. Nigdy jeszcze

moje życzenie nie spełniło się tak całkowicie, nigdy nic w moim życiu nie potoczyło się tak idealnie. Obejmuję z wdzięcznością lepki pień sosny, próbuję go do siebie przyciągnąć, jakbyśmy mieli ruszyć w szalony tan, przebiec przez ulicę, skakać między samochodami czekającymi na światłach, pukać do okien i wykrzywiać szyderczo twarze. My, których nie dotyczą prawa rzeczywistości.

Może zostaną tu do siódmej, przychodzi mi nagle do głowy, pod drzewem, które jest jedynym świadkiem cudu, poczekam na niego w kroplach deszczu, drobnych jak sosnowe igielki, żeby upewnić się, czy nie zapomni. Zostanę tu, bo tutaj to się stało, jeśli odważę się oddalić, magia przestanie działać i odsłoni się prawda, wymyśliłam to, wysnułam z własnego serca, czy naprawdę coś się w taki sposób dzieje na świecie, spełnia moje największe pragnienie, jakby tak samo jak ja czekał długie dni na sposobność, okazuje się, że zna mój adres, tak jak zadziwił mnie, znając mój zawód, czyżbym w jakiś sposób także była obecna w jego życiu od tamtego ranka, pod koniec lata? Ta myśl przyprawia mnie o przyjemny dreszcz. Przytulam twarz do pnia, tysiące żywicznych, lepkich języków liże mnie po policzkach, pociągając je żywym, ostrym zapachem.

Samochody wokół ronda zdają się nagle poruszać w podniosłym ceremonialnym rytmie, niczym krąg otaczający pannę młodą w dniu zaślubin, klaksony brzmią jak euforyczne okrzyki radości, uliczne światła lśnią niczym kolorowe lampiony, przechodnie są przejęci niby tłumnie zaproszeni goście, stara, pochyła sosna jest dumna i strojna, jakby była moim szczęśliwym druhną. Zadzieram głowę do odległego wierzchołka, krople deszczu zwieszają się z igieł, lśnią barwami zmierzchu, niczym ciemne perły, wydobyte z morskich głębin. Łapczywie łykam powietrze przesycone spalinami, jakby było weselną potrawą, tak upajające jest szczęście; on przeciął wszystkie wątpliwości jednym ostrym cięciem. Wydaje mi się, że w to purpurowe, hałaśliwe popołudnie, którego przepiękne wieczorne barwy roztapiają się prędko, po raz pierwszy jestem na nie naprawdę gotowa.

Im bardziej jednak oddalam się od pochylego drzewa, od nadprzyrodzonych wydarzeń, tym natarczywiej zakradają mi się do uszu inne głosy, gdy wstępuję do kolejnych sklepów na głównej ulicy, kupuję whisky, którą piliśmy razem w kawiarni, czekoladowe ciasteczka i żytni chleb, cebulę, grzyby i śmietankę do zupy, przyrządę tylko zupę, żeby nie pomyślał, że zbyt się staram. Im więcej siatek z zakupami niosę w rękach, tym mniej mogę ignorować stado podejrzeń biegnących za mną z uporczywym miauczeniem, niczym gromada wygłodniałych, bezdomnych kotów, które poczuły zapach jedzenia. To zbyt łatwe, coś jest nie tak, nie potrafię tego zrozumieć. Mimowolnie wspominam wrogie krzyki, które powitały mnie pod drzwiami ich mieszkania. Obiecałaś, że to się więcej nie zdarzy, krzyczała. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, mam dowody. Zatrzymuję się, stawiam torby na chodniku, ryzykując, że za chwilę stratuja je przechodnie. Tak, to najwyraźniej prawda, pewnie to jeden z tych facetów, którzy interesują się prawie każdą kobietą na jedną lub dwie noce, wpadłam mu w ręce z taką łatwością, czemu nie miałby wykorzystać okazji, nie jestem przecież dużo gorsza od innych. Zbieram ze złością siatki i idę dalej. W jednej chwili stały się nieznośnie ciężkie. Mam wszystko, co potrzebne, żeby do ciebie przyjść, szepnął mi do ucha. Czego w gruncie rzeczy trzeba, kilku wolnych godzin, kilku części ciała. Ja gotowa byłam zaadoptować jego syna, a on szuka rozrywki niedaleko domu, potem wróci do swego pięknie urządzonego mieszkania, zdąży nawet ucałować na dobranoc gładkie czoło dziecka. Postanawiam dowiedzieć się czegoś o nim od Diny, to teraz ważniejsze od zupy, niech mu żona gotuje, niech wrzuci do garnka swoje zimowe zarazki. Do tej pory nie odważyłam się Dinie nic powiedzieć, teraz także muszę zrobić

to ostrożnie, jakby mimochodem. Dina niełatwo rozstaje się ze swymi nielicznymi skarbami. Dzwonię do niej, nie wypakowawszy nawet zakupów. Co słyhać? - pytam lekko. Właśnie wróciłam do domu, mówi. Jestem wykończona. Zgadnij, na kogo wpadłam przed chwilą, mówię szybko. Na twojego psychiatrę, dodaję, nie czekając, aż zgadnie.

On nie jest moim psychiatrą, natychmiast mnie poprawia. To mój znajomy, który jest psychiatrą. To różnica. Był bardzo miły - mówię. Tak, oczywiście, odpowiada. To w gruncie rzeczy miły człowiek, nie jest nadęty jak większość jego kolegów. Powiedz, staram się wysondować, myślisz, że interesuje się kobietami? Co to znaczy? - pyta chłodno. Na pewno nie interesuje się mężczyznami, oznajmia. Nie udawaj naiwnej. Podrywa każdą, którą spotka? Waha się: Dlaczego pytasz? Podrywał cię? Właściwie nie, po prostu był bardzo miły, mówię. Widzę już, że rozmowa nie rozwinie się odpowiednio, nie tylko ja coś ukrywam. Elu, nawet o tym nie marz, ostrzega Dina. Nie on. Nie radzę ci zbliżać się do niego. Ale powiedz dlaczego, płoszę się. Nie mogę ci wyjaśnić szczegółowo, wzdycha. Niech ci wystarczy, że jest żonaty. Po prostu daj sobie spokój. Pojmuję, że na tym etapie więcej się nie dowiem. Żałuję już, że usłyszałam od niej tych kilka rzeczy. Po co mi to było, mogłam być teraz szczęśliwa, gdybym jej w to nie wmieszała. Mam wrażenie, że zostałam zaproszona na królewską ucztę, ale zanim zdążyłam skosztować smakołyków, ktoś zabronił mi ich dotykać, bo są zatrute. Bardzo chcę jednak je zjeść, nawet jeśli potem będę cierpiała, nienawidzę tego, kto mi je odebrał, nawet jeśli uratował mi życie, moje podejrzenia skupiają się na niej, od kiedy ma coś przeciwko żonatym, odkąd ją znam, spotykała się chyba tylko z żonatymi, może w ogóle jest zazdrosna, w tych sprawach zawsze była zawistna. Przeskakuję między dwoma skrajnościami, podejrzewać ją czy jego, tymczasem rabatka szczęścia, która wokół mnie rozkwitła, została zdeptana, nie otoczyłam jej płotem, nie strzegłam wystarczająco. Może szczęście spotyka tylko tych, którzy w nie wierzą, wątpięcym nie ukazuje oblicza. Może jest jak wymagające bóstwo, żądające całkowitej wiary i prostodusznego oddania, nie dając w zamian żadnego dowodu na swoje istnienie, mściwy i pamiętliwy bóg, zazdrosny i porywczy. Padam na kanapę w mokrym płaszczu, zmęczona zmianami nastroju zamykam oczy, za chwilę wstanę i zrobię zupę, wezmę prysznic, ubiorę się i uperfumuję, po prostu przekonam się sama, nie zrezygnuję tak łatwo. W końcu przytomnieję, zerkam z przestachem na zegarek, już wpół do ósmej, zasnęłam zamiast przygotować się na jego przyjście, przedziwna wieczorna drzemka przygniotła mnie do kanapy, pukanie do drzwi ucichło, zasnęłam, jak go teraz odnajdę. Zbiegam ze schodów, zasnęła i rozczochna, wciąż w mokrym płaszczu, z oczami sklejonymi snem, na policzku mam odcisnięty wzór szorstkiego materiału. Dopadam go w wejściu i chwytam za rękaw. Odwraca do mnie zamkniętą twarz bez wyrazu, aż odnoszę wrażenie, że napadłam na obcego mężczyznę, ale natychmiast mięknie. Nie słyszałam cię, mamrocę. Chyba zasnęłam. Opieram policzek o jego ramię, gotowa zapaść się z powrotem w sen lepki jak żywica, zabrać go do swego snu.

Myślałam, że się przestraszyłaś, szepcze mi na ucho. Czego? - pytam. Mnie, odpowiada. Szybko dorzucam: A co? Mam powód do obaw? Nie wiem, uśmiecha się. Zależy, kogo zapytasz. Jakby przejrzał moje ukryte myśli. Pociągam go za ramię. Chodźmy na górę, mówię. Chyba jeszcze się nie obudziłam i gdy idziemy po schodach, rządzą nami giętkie prawa snu. Wskazuję zawstydzona swoje zakupy rozsypane na podłodze w kuchni. Zamierzałam zrobić zupę, zamierzałam się wykąpać i nagle zasnęłam, nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło, zazwyczaj usypiam godzinami. Rozgląda się powoli wokół, jakby chciał wyrzyc ten widok w

pamięci, w jego oczach przetrwa historia tego popołudnia, historia tego domu. Idź się wykapać, mówi. Ja zrobię zupę. Naprawdę? Jesteś pewien? - zdumiewam się. Jakby nikt nigdy nie złożył mi tak wielkodusznej propozycji. Wyobraź sobie, śmieje się. To ma być zupa grzybowa? Skąd wiesz? - dziwię się. Patrzę na niego z zachwytem, jakby był najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam. Wskazuje ręką na plastikowe koszyczki, przykryte przezroczystą folią. Nietrudno się domyślić.

Tylko dla nas czy zaprosiłaś kogoś jeszcze? - dopytuje się. Dla nas, mówię. Nie chcę się tobą z nikim dzielić. Na pewno sobie poradzisz?

Kiedy idę przez znane do znudzenia pokoje, mam wrażenie, że pod moimi bosymi stopami rozpościera się miękki dywan, ciepły jak futro zwierzęcia o wciąż bijącym sercu. Czy to naprawdę mój dom, dmucha w nim zaczarowany wiatr, kiedy odkręcam kurek i łagodna fala zalewa mi ręce, kiedy zdejmuję ubranie w sypialni, czy to naprawdę moje ciało, pokrywa je nowa skóra, promienna i jedwabista, czy to naprawdę moja twarz, wydaje się, że starożytny fresk pomalowano jaskrawymi kolorami, oczy Fryzjki są pełne życia, policzki pałają. Kiedy wanna napełnia się wodą z szumem zwiastującym dobre wieści, wracam do kuchni, okutana ręcznikiem niczym antyczną togą, widzę, jak nalewa sobie whisky, unosi szklaneczkę w toaście. Przyłączysz się? Odpowiadam pytaniem: Przyłączysz się do mnie w kąpieli? Uśmiecha się, potrząsa w milczeniu głową. Dlaczego? - pytam. Podchodzi bliżej, wpatruje się w moje nagie ramiona, w palce przytrzymujące skraj ręcznika. Nie przyłączę się, mówi, bo uznasz, że przyszedłem się z tobą przespać. Nie po to przyszedłem. To po co? - pytam. Żeby ugotować ci zupę, mówi. Odwraca się i z właściwej szafki wyjmuje właściwy garnek, jakby doskonale znał wszystkie zakamarki, lepiej niż Amnon, który zawsze się mylił, gdzie schowałaś patelnię, gdzie postawiłaś błękitną miskę, narzekał, nic tu nie można znaleźć.

Jak dziwnie jest widzieć go w mojej długiej, wąskiej kuchni bez okna, królując wśród produktów spożywczych, nalewa wodę do garnka. Przez moment mam wrażenie, że znajdują się tu obok siebie, Amnon krzyżuje nogi z demonstracyjną niechęcią, garbi się nad zbyt niskim blatem; który z nich jest bardziej obcy, ten nieznaną mężczyzna czy Amnon, którego znałam aż za dobrze, a który tak się odmienił. Zostawiam go i zanurzam się w wannie, ręce i nogi unoszą się na wodzie, podekscytowane niczym malutkie dzieci, pogrążone w wesołej zabawie. Mam wrażenie, że w łazience wciąż rozlegają się radosne piski naszych synków, dołączam do nich swoje milczące okrzyki, puszczam je na wodę jak kaczki, wydmuchuję jak bańki mydlane. Jednak na wspomnienie Jotama nastrój mi się raptownie psuje. Przecież to jego ojciec stoi teraz w wąskiej kuchni, ojciec, który płakał przy jego narodzinach. Co ty próbujesz zrobić, unieszczęśliwić dziecko, rozbić drugą rodzinę, nie dosyć napsułaś, musisz wyjaśnić jego sytuację, jeśli wrócił do domu, wyrzucić go, nie kosztując zupy, nie kosztując jego uroku. Oded, przyjdź tu na chwilę, wzywam go bezsilnie. Ku memu zdumieniu natychmiast odpowiada, jakby przez cały czas stał pod drzwiami. Wchodzi, jego sylwetkę zasłaniają siwe kłęby pary, w rękę trzyma szklaneczkę. Nic ci to nie pomoże, uśmiecha się. Powiedziałem, że się nie przyłączę. Na pewno tu jesteś? Nie widzę cię. Otwiera okno, widoczność szybko wraca, patrzy na mnie i skarży się: Za dużo piany, nic nie widać. Jest tam jakieś ciało czy tylko głowa?

Oded, muszę o coś spytać, mówię. Uśmiecha się: Jeśli musisz, to pytaj - ma wciąż rozbawiony głos. Tylko szybko, bo jestem trochę zajęty. Boję się, wyznaję. Może mi pomożesz. Czego się boisz, pytania czy odpowiedzi? - dopytuje się. Odpowiedzi, oczywiście.

Wpatruje się we mnie ciemnymi oczami, które wydają się większe, niż są naprawdę. Mogę sobie wyobrazić, co cię dręczy, mówi, przeciągając końcówki. Odpowiedź brzmi „nie”, nie mieszkam w domu. Odszedłem na zawsze, tamtego wieczoru. Z ogromną ulgą zanurzam głowę w wodzie i zamykam oczy, kiedy je otwieram, już go nie ma, od okna wieje chłodne, suche powietrze. Jestem zła na siebie. Jak można cieszyć się z nieszczęścia innej kobiety, którą znam, dziecka, które lubię. Jednak świadomość, że stało się to, co się stało, przyprawia mnie o zawrót głowy. Wycieram się szybko, wkładam długą, czarną aksamitną sukienkę, która w ostatnich latach zamieniła się w strój domowy, bo w cudowny sposób powstała tu domowa atmosfera, zapachy gotowania dochodzące z kuchni, odgłosy krajania i mieszania, skrzyp butów na kafelkach, oznaki obecności drugiego człowieka, kręcącego się po domu, szmery, o których istnieniu zapomniałam, zwyczajne i kojące, jak uśmiech posłany na nieznaną ulicę obcego miasta.

Wyjść z sypialni z mokrymi włosami i zastać go w kuchni, jak miesza zupę, jego płaszcz wisi na oparciu fotela obok mojego, kruchy, wydłużony profil jest zwrócony ku mnie, rzęsy nachylają się nad garnkiem. Czy naprawdę można się zakochać tak bez wstępów, całkiem nową miłością, a jednak dokładną niczym rekonstrukcja, która wyłania się w pełni ukształtowana z głębi duszy, jakby kryła się tam od zawsze, czekała tylko na niego? Staję obok, jego spojrzenie przyprawia mnie o dreszcze, wyciąga rękę i bierze pasemko włosów, z którego ściekają kropelki wody, wkłada do ust i ssie, ma odrobinę rozchyłoną koszulę, pod nią widać szare jak dym kosmyki. Głodna? - pyta, i moje włosy wypadają mu z ust. Zjemy? Jestem oczarowana tym, jak naturalnie podejmuje mnie w moim własnym domu, jakby czuł, że jeszcze niezręcznie gościć mi tu obcego mężczyznę, że jestem przyzwyczajona do zajmowania się dzieckiem, do karmienia małej rodziny.

Z wdzięcznością zbliżam nos do perkoczącego garnka, z którego unosi się nieznan, ostry zapach, oczekiwałam czegoś innego, odrobinę słodkawego aromatu grzybów i śmietany. Patrzę ze zdumieniem na grzyby pływające w całości, nóżką do góry, wśród nich unoszą się niezidentyfikowane produkty.

Co tu gotujesz? - pytam, a on odpowiada: Czy to ważne? Najważniejsze, że smaczne. Nigdy nie korzystam z przepisów, chwali się. Lubię sam wymyślać potrawy. Nalewa mi szczydrze z butelki whisky, która jest już w połowie pusta. Czy wlał jej zawartość do garnka, czy do swego wnętrza? Piję szybko, żeby nie być jedyną trzeźwą osobą w tym domu, przyglądam się podejrzliwie, jak znowu miesza zupę, patrzy na nią zachwycony niczym młody ojciec na niemowlę. Nakrywam stół odrobinę skrępowana, bo nie jestem przyzwyczajona do romantycznych kolacji. Zazwyczaj stawialiśmy nieporządnie trzy talerze, trzy łyżki, widelce, bez noży, bez serwetek. Teraz chcę postawić świece, jak należy, ale znajduję tylko świece szabatowe, zapalam je i nawet odmawiam błogosławieństwo. Błogosławiony bądź, Panie, królu świata, który nakazałeś nam zapalenie świec. Chociaż to nie szabat ani święto.

Wyjmując masło z lodówki, odkrywam zdumiona, że z półek znikły rozmaite rzeczy, puszka tuńczyka, z którym zrobiłam dziś Gilemu kanapkę, pudełko tchiny, na ten widok przewraca mi się w żołądku. Oded, co tam dodałeś? - pytam. Nikomu tego nie zdradzę, odpowiada. Podnosi chochlę do ust i cmoka z przyjemnością. Nigdy nie jadłaś takiej zupy, zapowiada. Siadamy ceremonialnie przy stole, odrobinę spięci, znikła naturalność, z jaką staliśmy obok siebie w kuchni, szabatowe świece rzucają słabe światło na prawie pusty stół. Nalewa mi zupę i czeka w napięciu, aż spróbuję. Łykam ostrożnie, po podniebieniu rozchodzi

się przedziwna kombinacja, smak niepodobny do żadnego innego. No i jak? - pyta. Krzywię się: Ciekawe, próbuję powiedzieć, ale natychmiast przyznaję: Szczerze mówiąc, przerażające.

Nie sądziłem, że jesteś taka konserwatywna, rzuca rozczarowany. Musisz otworzyć się na nowe połączenia. Ale po co? Co jest złego w dawnych połączeniach, co jest złego w zupie grzybowej z cebulką i śmietaną. To nudne, odpowiada. Natychmiast próbuję znowu: Ale to połączenie jest najwyraźniej niemożliwe. Obserwuję, jak z zapalem podnosi łyżkę do ust, gładkie włosy opadają mu na czoło, kości policzkowe podkreślają ciemne cienie. Obcy mężczyzna. Może my też tacy jesteśmy, wyraźnie niemożliwa kombinacja. Siedzi na stałym miejscu Amnona, naprzeciw setek potraw, które latami trafiały na ten stół, setek rozmaitych posiłków, zapiekanek, sałatek, sznycli, steków, omeletów. Myślę, że Gili i Amnon siedzą naprzeciwko siebie dokładnie w tej samej chwili, jedzą kolację w swoim małym mieszkanku. Czy mówi mi, kiedy jestem u ciebie, tęsknię za mamą, kiedy jestem u mamy, tęsknię za tobą? Mówiąc „mama”, ma na myśli mnie, jedyną ze wszystkich kobiet na świecie. Wąskie, podłużne oczy szabatowych świec zapalonych w dzień powszedni drżą z powątpiewaniem, gdzie dowód, potrzeba mi natychmiast potwierdzenia, że nie na darmo obarczyłam go tęsknotą. Natychmiast rzucam się bohatercko na zupę, jakby ono w niej się kryło, jakby to był kielich trucizny, którą muszę przełknąć, aby zasłużyć na rozproszenie wątpliwości. Oded obserwuje mnie z satysfakcją. Mówiłem, że ci posmakuje, rozplywa się z zadowolenia. Matka nie miała czasu gotować, zwierza się. W zimie wracaliśmy ze szkoły zmarznięci i wygłodniaли, wrzucaliśmy do garnka wszystko, co było w lodówce, dodawaliśmy wody i gotowaliśmy. Zawsze wychodziło coś dobrego. W jednej chwili czuję, jak topnieje mi serce, otwiera się na oścież przed jego dawnym nieszczęściem. Czy tylko tak można ogarnąć drugiego człowieka, przez współczucie i sympatię? Amnon, wychowany jak rozpieszczony książę, nigdy nie budził we mnie takich uczuć.

Wstrząśnięta tym mimowolnym odkryciem, dolewam sobie zupy. Tym razem wydaje się prawie smaczna. W talerzu odbija się smutny chłopiec w starej, mrocznej kuchni, stojący przed zatłuszczoną kuchenką, na której gotują się dziwnie pachnące potrawy, mama jest zbyt zajęta, żeby zrobić obiad, mama zajmuje się ojcem. Patrzę na niego, staram się przyzwycząić do jego obecności, do jego opanowanego, powściągliwego spokoju, wyprostowanych pleców, twarzy z polerowanego drewna. Wszystko w porządku? - pyta, ocierając usta. Te najprostsze słowa zamieniają się dla mnie w złoto i drogie kamienie. Dokładnie tak zwrócił się do mnie wtedy w swoim domu, czy wszystko u ciebie w porządku. Tak, a u ciebie? - mówię. Mnie więcej, odpowiada. Wodzi spojrzeniem po pokoju, zatrzymuje się nad pustymi miejscami na półkach. Podążam za jego wzrokiem, jakbym także była tu obca. Czy odpycha go bałagan, przypadkowa zbieranina mebli, tak inna od jego zadbanego mieszkania? Gdzie w ogóle teraz mieszkasz? - pytam. Chwilowo w gabinecie, odpowiada. Naprawdę, w gabinecie? - dziwię się. To nie jest przygnębiające? Trochę, przyznaje. Ale to najwyraźniej pasuje do mojego masochizmu. Nie sądziłam, że jesteś masochistą, mówię. To jasne. Czy inaczej tak by mi smakowała ta zupa? Śmieję się. Gdyby powiedział, że jest sadystą albo paranoikiem, zareagowałabym z równym entuzjazmem. Tyle pytań chcę zadać, lecz tymczasem patrzę na niego w milczeniu, uczę się jego gestów, gdy maczamy w kawie czekoladowe ciasteczka. Znowu zamienia swoją kawę w gęstą, słodką masę. Wspominam po raz kolejny, jak siedziałam przy nim na wysokim barowym stolku, w ręku rozpuszczał mi się szkielet czerwonej gruszki, wygłodniała, desperacka tęsknota wzbierała we mnie powoli niczym skowyt szakala, stapiając

się z tłumionym płaczem, dobiegającym z jednego z pokoi. Kto płakał tamtego ranka? - pytam. Kiedy? - pyta on. Kiedy po raz pierwszy przyprowadziłam do was Gilego, pamiętasz, kiedy podglądałam cię w ubikacji. Czy pamiętam? Takiego dnia się nie zapomina. Naprawdę, dlaczego?

Wtedy właściwie postanowiłem, że odchodzę. Zrozumiałem, że nie ma wyjścia. Przez całą noc zadreżczała mnie podejrzeniami, rano dotarło do mnie, że to koniec, że nie mogę tak dalej. Dlaczego cię podejrzewała? - pytam. Zdradzałeś ją przez cały czas? Tak cudowny mi się wydaje ze swoją wydłużoną sylwetką, że nawet jeśli powie „tak”, natychmiast go usprawiedliwię, nie cofnę się. Ale ku mej radości mówi: Nie, nie ciągle, tylko raz, ale ilość nie decyduje, okazuje się, że jeden raz to może być ciągle, ta historia tkwi w jej głowie nadal, chociaż dawno się zakończyła. Opowiedz mi, proszę. Uśmiecha się z zamkniętymi ustami, przeciąga ręką po podbródku, zostawiając na nim czerwona smugę. Wiesz, nie przywykłem do opowiadania. Raczej słucham. Dziwne, ale akurat z tobą jest inaczej.

Może dlatego, że jestem przyzwyczajona rozmawiać z kamieniami, mówię. Może, śmieje się. Czuję się trochę śmiesznie, mówiąc o sobie. Opowiedz mi, powtarzam.

Pociągam go na kanapę. Także tam siedzi wyprostowany i trochę sztywny. Kilka lat temu zakochałem się niemal wbrew woli w kobiecie, z którą pracowałem, mówi. Była psychologiem w szpitalu psychiatrycznym, niska jak ty, o wyraźnie zarysowanych ustach, jak ty, palcem smakującym czekoladą i kawą przesuwając po moich ustach. Tylko włosy miała inne, rude. Kiedy zobaczyłem cię wtedy u nas, przez chwilę pomyślałem, że to ona, że tylko ufarbowała włosy, byłem w szoku, nie zauważyłaś? Właściwie nie, mówię. Myślałam, że jesteś skrupowany, bo ktoś cię podglądał przy sikaniu. Nie, tym się wcale nie przejąłem, uśmiecha się lekceważąco, to mi się nawet spodobało. Chciałam, żebyś mnie pocałował. Wiem, mówi. Teraz także chcesz? Bardzo. Palcem wciąż przeciąga po moich ustach, jakby rysował je na nowo, budząc palące, niecierpliwe łaskotanie.

Wyobraź sobie, że cię całuję, ciągnie. Potrafisz? Zobacz, jaką siłę ma nieurzeczywistnione pragnienie. Po co mam sobie wyobrażać, kiedy jesteś tu obok, dziwię się. Bo tego chcę. Zamykam oczy, palec umoczony w słodkim płynie przesuwając po moich ustach, tak zwilża się winem usta dziecka przed obrzezaniem. Próbuję pogłodzić go po twarzy, ale przyciska mi rękę do kanapy. Powoli, szepcze. Mamy dużo czasu. Więcej, niż przypuszczasz. Lubię robić wszystko po swojemu, nie według przepisu, pamiętasz? Zbliży usta do moich ust, jego wargi zawisają nad moimi i natychmiast się oddalają, pozostawiając leciutkie napięcie. Moje ręce spoczywają w jego rękach zdumiewająco potulnie. Dlaczego on tak przeciąga, nie jesteśmy dziećmi, tak wiele całowaliśmy i byliśmy całowani, a zarazem wydaje mi się nagle, że tak trzeba, dokładnie tak, przez całe życie zbytnio się śpieszymy, rzucamy się gwałtownie na pożądanie, zdmuchując je zbyt mocnym oddechem. Kiedy w końcu przytyka wargi do moich, mam wrażenie-że to mój pierwszy pocałunek w życiu. Moje usta wychodzą z twarzy i stają się częścią jego ciała, nie ja nimi ruszam, lecz jakiś obcy mechanizm, nad którym nie panuję. Ukryty smak powściągliwej, pełnej rezerwy męskości rozlewa się w środku, jego ręka zatrzymuje się nad moimi piersiami. Słyszę jego głos: Czego chcesz teraz, co zrobić? Nie odpowiadając, ostrzega natychmiast. Wyobraź sobie to tylko, chcę zobaczyć, jak sobie to wyobrażasz. Próbuję poprowadzić jego rękę, ale opiera się. Bez dotyku, mówi. Pokaż, że naprawdę mi ufasz, pokaż mi siebie. Mam wrażenie, że jego niski głos prowadzi mnie pod stroną górę, podtrzymując silnymi ramionami, żeby nie straciła równowagi, krok po kroku,

aż docieram do upragnionego miejsca, z którego nie ma odwrotu, nie ma lęku, że stoczę się w dół, rozkosz jest pewna, oczom okazuje się gospoda, w której płonie ogień na kominku, czeka ciepły posiłek. Opadam na próg, dysząc ciężko, odprężona i całkowita, jak pęknięte naczynie, które sklejono, mam podwiniętą sukienkę, rozpostarte nogi, podeszwy stóp wciąż mi dygoczą. Głaszcz mnie, jakby uspokajał płaczącą dziewczynkę, a może naprawdę płaczę, łzami wielkiego zdumienia. Kochanie, mówi. Widać, że nikt nie kochał cię tak, jak naprawdę chciałaś. Nikt nie rozumiał, jaka jesteś delikatna. Powinniśmy trzymać cię w wacie. Otwieram oczy i widzę, jak siedzi wyprostowany na skraju kanapy, wędrując wzrokiem po mojej twarzy, Usta ma podniecająco rozchylone, jego czułe słowa wypełniają pokój, mówi, jakbyśmy już byli kochankami, jakby był zobowiązany moim szczęściem, moimi potrzebami, ukrytymi nawet przede mną, odsłoniętymi przed nim.

Oto w zdumiewający sposób ziszcilo się dawne marzenie, które życie przysypało osuwającą się ziemią, być kochaną i rozumianą, rozumianą i kochaną, jedno i drugie, bo przecież jedno to nie dosyć. Wyciągam niepewnie rękę, przesuwam palcami po jego udzie, po cienkich prążkach sztruksowych spodni, jak szczodre były jego słowa, wydaje się, że wszystko odbywa się według całkiem innych zasad, nie ukrywania, pozorów i walki sił, lecz skupienia, dobroci i akceptacji. Obciążam sukienkę, kładę mu głowę na ramieniu, z kołnierzyka unosi się jak zawsze przyjemny zapach proszku do prania. Czy ona dalej mu pierze?

Nie opowiedziałeś mi, jak to się skończyło, przypominam sobie. Byłaś tam, wszystko słyszałaś, mówi. Nie, z tą kobietą psychologiem, to, co było między wami. Miłość została zduszona, odpowiada. Oto, co było. Zdusiłem ją własnoręcznie, bo dopiero co urodził się Jotam, a Maja nie skończyła jeszcze czterech lat. Nie miałem ochoty być ojcem na weekend. Krótko mówiąc, wybrałem ojcostwo zamiast miłości. Jak Michał się dowiedziała? - pytam. Najwyraźniej chciałem, aby ktoś docenił moją wielką ofiarę, i byłem na tyle głupi, że opowiedziałem o wszystkim Michał. Od tamtej pory nie przestała mnie podejrzywać.

Gdzie ona dzisiaj jest? - chcę wiedzieć. Wyszła za Kanadyjczyka i zajmuje się problemami psychicznymi mieszkańców Toronto. Dlaczego pytasz, też się już martwisz? Jasne, że nie, odpowiadam. Nie jesteś jeszcze wystarczająco mój, żebym zaczęła być zazdrosna, chociaż trochę zaniepokoiła mnie twoja sekretarka. Naprawdę? - śmieje się. Co ja mam z nią wspólnego? Zerkam na niego. Jego ostry profil jest dla mnie wciąż całkiem obcy, co w ogóle mamy ze sobą wspólnego, poza tym, że nasi synowie są podobni jak bracia, że każde z nas jest kawalkiem przedstawiającym całość, czy to wystarczy, czy to zbyt wiele? Znowu ogarnia mnie stłumiona obawa, od stóp, które drżały z rozkoszy, poprzez wargi rzeźbione jego palcami, po włosy, które gładził ojcowskim ruchem. Miłość i ojcostwo. A co ze strachem i macierzyństwem? Jego szczupła, trochę ascetyczna uroda rozjaśnia pokój jak płomyk dogasającej świecy. Wydaje mi się, że muszę go ostrzec, nawet jeśli go utracę, może dlatego na mnie trafił, abym opowiedziała mu, czego się dowiedziałam o sobie. Co będzie teraz? - pytam. Jesteś gotów być ojcem weekendowym? Mówiłam ci, to udreka, która nigdy nie przestaje uwierać. Wiem, ale nie mam wyjścia, wdycha. Trzeba pogodzić się z tym, że są sytuacje nie do rozwiązania. Ona się nie zmieni, sytuacja się nie zmieni, wierzę, że w gruncie rzeczy tak jest lepiej również dla niej. Próbowałem wszystkiego, nie wiem już, co robić, także ze względu na dzieci nadszedł czas, żeby zdecydowanie położyć temu kres. Wynajmę mieszkanie niedaleko i będę się starał widywać je codziennie. Obie możliwości są okropne, ale mam nadzieję, że z dwojga złego ta będzie lepsza.

A co z Michał? - pytam. Nie stara się, żebyś wrócił? Oczywiście, ale nie ma szans. Nie mogę.

To niezdrowe także dla niej, naprawdę wierzę, że rozstanie ją uleczy. Jak to możliwe, skoro ona cię kocha? - dziwię się. Całkiem się załamałam, biedaczka. Czasami, kiedy staje się coś, czego się najbardziej boimy, to nas uwalnia, tłumaczy. Widziałem wiele takich przypadków. Trudno mi uwierzyć, mówię. Ale nawet jeśli to się stanie, to ciebie wciąż nie uwalnia. W chwili kiedy rozumiesz, że to jest nieodwracalne, wszystko się zmienia. Stoisz przed ruiną i pojawia się potworne przerażenie. Nagle zaczynam opowiadać mu ze szczegółami o tamtej nocy, w piątek, po świętach, gdy na podwórkach gdzieś stały jeszcze szałasy. Jak szłam do Amnona zdecydowana, że musi do mnie wrócić, jak siedziałam za zamkniętymi drzwiami i nie mogłam się pokazać, jak słyszałam Amnona mówiącego „jedna pani, nie znasz jej, zaraz wychodzi”, jak resztką sił wróciłam do domu, jak naszedł mnie Gabi, jak byłam z nim do rana, tu, na tej kanapie, wiliśmy się niczym węże kąsające się nawzajem. Ulegam wrażeniu, że moje upokorzenie w cudowny sposób zamienia się w przepiękną starodawną legendę, oto moje bohaterstwo, moje udręki, nie męczyłam się na darmo, lecz dla ciebie, aby posłużyć ci za przykład, czuję się nagle niczym bogini, która cierpiała dla ludzi, odkupiła ich swoją krwią, uleczyła swymi ranami. Słucha z zamkniętymi oczyma, z rozchylonymi ustami, co jakiś czas kiwa głową, skupiony, jakby starał się pochwycić ciche dźwięki. Z pewnością tak słucha swoich pacjentów, stara się dosłyszeć niewyraźne echo, zupełnie inne niż to, co wypowiedzieli na głos. Pograżam się w jego zasłuchaniu, czuję się ocalona dzięki jednoznacznym słowom, w chwili gdy zabrzmiały, można się z nimi rozstać. Opowiadam o groźbach ojca, o popsutej miłości do Gile-go. Im dłużej mówię, rozumiem, że udało mi się zapobiec jego nieszczęściu i powiększyć własne. Destrukcja postępuje na moich oczach, a jednak brnę dalej, wierna swojej misji, aby nie zachować dla siebie ani jednego szczegółu. Kiwa głową, jeszcze kiedy milknę, zawstydzona potokiem słów, jakbym była staruszką, która zaczepia obcych na ulicy, zdręczając ich opowieścią o swym życiu. Wstrząsa mną dziwny dreszcz, mam wrażenie, że nie pozostał ślad po ogrzewaniu, które wyłączyło się o północy. Wtedy on otwiera oczy i przygląda mi się z zainteresowaniem tak jak wpatrywał się w fotografię w starym bumie. Usłyszałam całkiem inną historię, mówi w końcu, cicho i z przekonaniem. Nie opowieść o nieszczęściu i upokorzeniu, lecz szczęśliwą, pełną siły historię. Jestem pewien, że nie zrezygnowałabyś z niej za żadną cenę. Otwieram szeroko oczy. Jak w ogóle możesz leczyć ludzi, skoro nie rozumiesz najprostszych rzeczy? To nazywasz siłą, to nazywasz szczęściem? To była najstraszniejsza noc w moim życiu.

Wszystko zależy od interpretacji, śmieje się. Staram się oświetlać ukryte zakątki, nie przyjmować rzeczy w najprostszym znaczeniu, czasem mam słuszość, czasem nie. Ale wydaje mi się, że w ogóle nie chciałaś wrócić do męża, przeciwnie, poszłaś do niego po ostateczną odmowę, faktyczny list rozwodowy, który umożliwi ci uwolnienie się od winy, od ojca, który rzucił cię na twoje życie, od zbyt wielkiej zależności od dziecka. Wiedziałaś, że póki będziesz żyła z Amnonem, twoja relacja z dzieckiem nie ma szansy na uzdrowienie, bo spełnia konkretną rolę w waszym układzie. Dopiero kiedy przerwałaś ten związek, dostało się tam trochę zdrowszego powietrza. Mam wrażenie, że doskonale wiedziałaś, co robisz, odchodząc od męża, to niewidoczna świadomość, która prowadzi nas jak pies niewidomego, to nie był impuls, lecz przemyślana decyzja. Jestem pewien, że zrobiłabyś to jeszcze raz. Przyglądam mu się z powątpiewaniem, jakby zwariował, a mimo wszystko jego nowatorskie podejście do dramatu mojego życia oczarowuje mnie. To czemu tak się strasznie męczyłam? - pytam. Dlaczego to było takie trudne?

Psychika stwarza dramaty, aby poczuć swoją żywotność, wyjaśnia. Racjonalność psychiki jest

pokrętna, jej czas różni się od naszego, tak samo jak język. Bardzo często trudno zrozumieć, o co jej chodzi, tak jak trudno pojąć niemowlę. Czasem słucham kogoś, a obok stoi jego psychika i mówi coś całkiem innego. Próbuje pośredniczyć między nimi. Wiesz, uśmiecha się trochę wstydliwie, mam taki nawyk. Kiedy siedzę z pacjentem, choć, moim zdaniem, to nieodpowiednie słowo, kiedy siedzę naprzeciwko człowieka, próbuję dostrzec w nim obraz jego psychiki, jak widzi się twarz na Słońcu albo na Księżycu. Dla moich kolegów to oczywiście bzdury, ale mnie to czasem podsuwa jakąś nić. Słucham go oczarowana. A jak wygląda moja psychika? Udało ci się ją zobaczyć?

Jasne, odpowiada. Inaczej by mnie tu nie było. Twoja dusza jest w nieustającym ruchu, jak zasłona, która łopocze na silnym wietrze. Aksamitna zasłona w wielkim oknie, w starym, pięknym pokoju. To dobrze czy źle? -pytam. Najwyraźniej oczekiwałam bardziej pochlebnego wizerunku. Dla mnie to piękne, mówi. Ale zasłona zawsze pozostaje na miejscu, zauważam. Właśnie, potwierdza. To połączenie mnie oczarowało, ruch i stabilność. Im dłużej mówi, tym bardziej zachwyca się jego wyjątkowością, jakbym przypadkiem natrafiła na drogocenny amulet, płaską srebrną tabliczkę z subtelnie wyrytym napisem w starożytnym języku, jak amulety znajdowane w górach na południe od doliny Ben Hinnom, niedaleko stąd. Niezwykłość, którą mgliście wyczuwałam wcześniej, wzmacnia się z każdym jego słowem. Mam wrażenie, że w porównaniu z tą wymianą zdań, odległą a zarazem znajomą, wszystkie inne rozmowy to męczące, pełne ukłuc pojedynki. Czy naprawdę tak mówili mężczyźni do kobiet w dawnych czasach, krocząc korytarzami moich fantazji, gdy byłam nastolatką, kiedy nie miałam dziecka? Ile szczęścia jest w jego słowach, jakie pociągające jest szczęście, nigdy nie sądziłam, że ma taką zdolność przyciągania. Pragnęłam wolności, a zyskałam szczęście, kiedy go zakosztowałam, nie zależy mi już na wolności, pragnę tylko być mu poddaną niczym kapłanka w świątyni, napiętnowaną niewolnicą szczęścia, która od rana do wieczora rąbie drwa i strzeże jego ognia przed wygaśnięciem.

Wstaje i wyciąga do mnie rękę. Chodź, położę cię do łóżka. Już późno. Jeszcze nie, protestuję. Zostań jeszcze trochę. Jak Gili, kiedy każe mu się iść spać. Muszę, mam jutro dużo rzeczy do zrobienia, mówi. A jeszcze chcę zobaczyć rano dzieci, przychodzę o wpół do siódmej, żeby je obudzić, nie chcę zrezygnować z tej chwili, móc widzieć je, zanim mnie zobaczą. Znowu wszystko utrudniam: Oded, jak to zniesiesz? Nie wytrzymasz tego rozstania. Kiedy Michał zrozumie, że to ostateczne, nie pozwoli ci przychodzić codziennie rano, nie będziesz nawet miał klucza do domu swoich dzieci, ja zmusiłam Amnona, żeby zwrócił mi klucze, Michał postąpi dokładnie tak samo. Dlaczego tak się upieram, żeby osłabić jego decyzję? Zrozumiałem, wzdycha. Teraz pozwól mi zobaczyć, jak kładziesz się spać. Co w tym do oglądania, dziwię się. Nie mam żadnych specjalnych rytuałów. Na pewno masz, uśmiecha się. Obiecuj tylko, że nie będziesz zwracała na mnie uwagi, nie rób nic ze względu na mnie. Potrafisz? Ignorować cię? Nie potrafię, odpowiadam. Zdejmuję sukienkę, stoję przed nim w samych majtkach. Włosy opadają mi na ramiona. Czy wyciągnie rękę i odsunie kosmyki, jakby odsuwał zasłonę, nie, jego zainteresowanie jest całkowicie bierne i przy tym niezwykle intensywne, przydające splendoru i znaczenia zwykłym codziennym czynnościom, które śledzi poważnym, trochę napiętym spojrzeniem, jakby był to skomplikowany taniec, którego elementy musi potem powtórzyć. Tak śpisz? - pyta. Nie, nic podobnego, zaprzeczam. To pokaż mi, jak naprawdę kładziesz się spać, prosi. Nie rób nic dla mnie, w porządku? Postaraj się nie zwracać na mnie uwagi, jakby mnie tu nie było.

Na piżamie mam naszyte trzy pluszowe misie. Gili zawsze pokazuje na nie, mówiąc: To ty, tata i ja. Chociaż wszystkie są tej samej wielkości. Wkładam ją odrobinę skrępowana, myję zęby i twarz, zwiążuję włosy, staram się nie zwracać na niego uwagi, ale przez cały czas pamiętam o jego obecności. Stoi oparty o framugę, ze szklaneczką w ręku, zafascynowany moimi poczynaniami, czeka przy zamkniętych drzwiach do ubikacji, jak ojciec na chorą córkę. Kiedy wychodzę, podąża za mną do sypialni. Pozwól mi popatrzeć, jak zasypiasz, prosi. Kładę się trochę zaskoczona, robię mu miejsce koło siebie, ale on siada ostrożnie na brzegu łóżka. Daj mi popatrzeć, jak śpisz. Czy to egzamin wstępny do jakiejś tajemniczej sekty? Absolutnie nie. Pozwól mi się poznać na mój własny sposób, mówi. Przyglądam mu się z wyrozumiałym zdumieniem. Widać, że jest zmęczony, zaraz pójdzie, czego on szuka i czy to znajdzie, także i ten wieczór wymyka mi się z rąk, znowu zniknie z mojego życia.

Kiedy się zobaczymy? - pytam. Spij, kochanie, mówi. Będzie, co ma być. Ale jeśli będę spać, utracę cię, protestuję. Przeciwnie, odpowiada, nie wyjaśniając dlaczego. Przeciagam się. Trudno mi zasnąć, kiedy ktoś na mnie patrzy. Zrób to dla mnie, prosi szeptem. Zależy mi, żeby zobaczyć cię we śnie. Gładzi mnie po włosach, aż zamykają mi się oczy. Staram się mieć zamknięte usta, żeby nie uchylły się nagle jak wstydliva jaskinia, uleci z nich nieprzyjemny zapach, ale on przemawia do mnie czule, jakby był moim ojcem, gładzi moją napiętą twarz, czy oddech Gilego mnie brzydzi, czy jego zapach jest mi niemiły? Leżąc pod kołdrą, czuję się kochana jak dziecko, kochana ze względu na najdrobniejsze szczegóły. Nie sądziłam, że mogą budzić w kimś miłość. Liście ukojenia opadają na mnie, piętrzą się na kołdrze. Zamykam oczy, ale zamiast ciemności pod powiekami pojawia się światło, czerwone, gorące światło, w środku nocy w pokoju świeci jasne letnie słońce. Otwieram oczy, ale pokój jest ciemny, potem światło znowu się zapala pod zamkniętymi powiekami. Płonie bukiet rozkwitłych róż, ich płatki rozchylają się do ognistych pocałunków, szybko zamieniają się w popiół, który się przesypuje do małych dzbanuszków. Każdy dzbanek zawiera jeden bukiet. Nie ma go już na skraju łóżka, może siedzi na krześle, przy komputerze, czy to on, czy stos ubrań, który przybrał jego kształt pod osłoną ciemności? Co to za różnica, nawet jeśli poszedł, wciąż tu jest. Kiedy to staje się dla mnie jasne, zasypiam, zapadam w sen małej dziewczynki, której ojciec lubi na nią patrzeć rano, zanim ona ujrzy jego.

Moja twarz odbija się krzywo w ściankach lśniącego, pustego garnka, wydłużona jak wąska rurka. Zagłębiam w nim nos, szukając na darmo wspomnienia po przedziwnym zapachu. Czemu tak skrupulatnie zatarł ślady wczorajszego wieczoru, wylał resztki zupy do zlewu, umył i wypolerował garnek jak lustro, umył talerze, wytarł okruszki ze stołu, nawet wyniósł śmieci i włożył nowy worek do wiadra, jakby zmieniał pościel. Stoję zatroskana przy kuchennym blacie, dlaczego ktoś usuwa najdrobniejsze wspomnienie swojej obecności, nie chce nic pozostawić, czego się obawia, co chce przez to powiedzieć? Gdyby dom przysypał teraz pył wulkaniczny, nie pozostałoby żadne namacalne świadectwo ostatniego posiłku, zjedzonego przy stole, poza świadectwem w moim sercu; czy to chciał mi powiedzieć, będziesz pamiętać tylko, jeśli uwierzysz. A może chciał dać mi do zrozumienia, że nic nie było: nigdy nie gościłem w twojej wąskiej i długiej kuchni bez okna, gotując zupę. Nigdy nie siedziałem koło ciebie na kanapie, słuchając twojej opowieści, nigdy nie odprowadziłem cię do łóżka.

Dlaczego ktoś odsłania, sam się nie odsłaniając, głaszcze, nie będąc głaskanym, daje przyjemność bez brania, jak wyjaśnić te dziwaczne rzeczy, które wczoraj mnie zauroczyły, a dziś krążą we mnie, nabrzmiałe niczym grzyby pływające w zupie, nóżką do góry, wśród rozpuszczających się grudek techny i kawałków tuńczyka. Zbiór smaków, które do siebie nie pasują, zachwyty i podejrzenie, wzruszenie i odpychanie, wdzięczność i pretensja. Siadam przy komputerze, na oparciu krzesła nic nie leży, najwyraźniej to on tu wczoraj siedział, patrząc, jak śpię. Czego szuka? Podobieństwa do kobiety, którą kiedyś kochał, widoku jej twarzy we śnie? Czy to jest wyjaśnienie natychmiastowej bliskości, gotowej miłości, dlatego wypływa z niego tak łatwo, bez żadnego starania z mojej strony, lecz nie dla mnie jest przeznaczona, nie moje imię na niej widnieje. Przez pomyłkę odebrałam z poczty cudzą paczkę, przez pomyłkę otworzyłam ją i cieszyłam się jej zawartością, lecz nie jest moja i nigdy nie będzie. Pomyłka stworzyła złudną bliskość, podczas gdy faktycznie jesteśmy obcy. Czy my się znamy? - zapytał. Nie znasz mojego męża, powiedziała. Nie, nie znam twojego męża. Czy pragnę czegoś bardziej niż poznać go? Znowu kołyszę się na wszystkie strony, niczym zasłona targana silnym wiatrem, przed monitorem komputera, na którym pojawiają się słowa.

Kiedy wstrząs rozdarł wyspę Terę na kawałki, powstała ogromna fala, wznosząca się na niewyobrażalną wysokość, która bez przeszkód przebiegła po Morzu Śródziemnym, dotarła aż do odległych brzegów Egiptu, gdzie osiemnasta dynastia pogrążyła się w całkowitym mroku. Biada, ziemia obraca się jak koło, miasta zostały zburzone, Górny Egipt zniszczony, wszystko zniszczone! Pałac zawalił się w jednej chwili. Oby tylko ziemia przestała się trząść i oby ten zgiełk się zakończył. Dolny Egipt zatonął w rozpacz, biada, wszystko, co istniało jeszcze wczoraj, niszczało, ziemia pozostała opustoszała jak po zbiorach Inu, wszystkie żywe stworzenia płaczą, jęczy bydło. Książęta zostali rzućeni na ulice, westchnienia napelniły kraj, żałobne lamenty, w kraju nie ma światła, lecz ciemność, stał się napiętnowaną niewolnicą Atona, boga

tarczy słonecznej, który pod osłoną mroku po wybuchu wulkanu stał się bogiem jedynym, abstrakcyjnym, bez kształtu i wizerunku, bo jest samym słońcem, tarczą słoneczną wędrującą po niebie. Faraon Amenhotep, który przyjął imię Echnaton, ogłosił go bogiem jedynym, narzucając ludowi radykalną rewolucję religijną, niezrozumiałą, trudną do przyjęcia kult. Oślepieni kapłani będą stali na skale przed wschodzącym słońcem, będą zdejmowali buty, zasłaniaли oczy dłońmi uniesionymi w znajomym geście błogosławieństwa, podczas gdy lud nie zechce zrezygnować ze świata pełnego wielu bogów, będzie powracać potajemnie do dawnego, znajomego panteonu.

Droga codziennie jest inna. To nie pogoda, lecz barwy duszy zamieniają ulicę w drżącą mgłę, w śliski górski stok, w kwitnącą rabatę. Okazuje się, że nie można poznać naprawdę nawet jednej ulicy, nie mówiąc o człowieku. Dziś jest przezroczysta i krucha jak moje szczęście, wydaje się, że silniejsze tupnięcie zrobi rysę, jedno skupione spojrzenie wstrząśnie domami. Idę ostrożnie, powoli, staram się przyjść jak najpóźniej, po wszystkich matkach, a dokładnie - po niej. Ciekawość, która mnie popychała ostatnio, zamieniła się w rezerwę, nie wolno mi się dzisiaj na nią natknąć, na jej zaczerwieniony od płaczu nos, zapuchnięte oczy, zmatowiałe włosy. Ale nie zwlekałam wystarczająco długo, bo widzę, jak stoją we trójkę przy bramie. Ładna kobieta w długim czarnym płaszczu, z lokami w kolorze mango, przy niej dwoje dzieci, jedno ma na głowie wełnianą czapkę, drugie biegnie mi naprzeciw. Z buzi jak zawsze zwisa mu nagląca prośba, niczym zdobycz z paszczy drapieżnika. Mamo, możemy tu zostać z Jotamem? Czekaliśmy na ciebie, żeby spytać. Zrobmy sobie z nimi piknik, zgódź się, zgódź się! Patrzę na Michał ostrożnie, pytając. Jej przejrzyste oczy są przekrwione, wyglądają jak jezioro, w którym kogoś zamordowano. Uśmiecha się do mnie blado. Tak ładnie dzisiaj, chciałam posiedzieć z Jotamem na powietrzu, może się do nas przyłączycie. Dziękuję, trochę nam się śpieszy, mówię. Idziemy do moich rodziców. Spogląda na mnie z powątpiewaniem, kiedyś użyłam innej wymówki, równie idiotycznej i nieprawdziwej.

Proszę, mamo, błaga Gili. Później pójdziemy do dziadka i babci, chcę się pobawić z Jotamem w parku. Pojmuję, że nie mam wyboru. Muszę przez najbliższą godzinę towarzyszyć porzuconej żonie mężczyzny, w którym zakochałam się od pierwszego wejrzenia mimo podejrzeń i wątpliwości. Jestem zdenerwowana jak zbiegły więzień, zmuszony spędzić pozornie miłe popołudnie z policjantem, gdy każdy gest i każde słowo mogą go wydać, lecz także zbyt duża czujność, nie ma wyjścia, bo wymawianie się narazi go sto razy bardziej. Przypominam sobie, że nie przeze mnie ją opuścił, znalazłam się tam przypadkiem, gdy wyrok już zapadł, nie mam związku z jej nieszczęściem, nawet starałam się go przekonać, żeby do niej wrócił, co jeszcze mogłam zrobić, czy powinnam w ogóle z niego zrezygnować, przecież ona by na tym nie zyskała, a ja z pewnością bym straciła. Czy na tym etapie w ogóle można mówić o zysku i stracie? Kto wie, może to ona zyska na tym rozstaniu, a ja stracę. Z takimi myślami idę za nimi przez park, stąпам wśród kawałków rozbitych butelek, które połyskują w słońcu, między kamieniami skupionymi blisko siebie niczym zwierzęta o jasnej skórze, pogrążone we śnie. Wąskimi, kamiennymi rynnami płynie woda. Przypominam sobie, jak nad naszymi nachylonymi głowami zbierał się deszcz na przezroczystym plastikowym daszku, czy potrafię z Odeda zrezygnować, czy poprosi mnie, żeby zrezygnowała?

Michał siada pod drzewem oliwnym, wyjmując z wiklinowego koszyka kraciasty obrus i rozpościera go na ziemi, pośrodku układa kanapki i pokrojone warzywa, a nawet termos z kawą, butelkę soku i kubeczki, oraz dobrze mi znane czekoladowe ciasteczka w kształcie gwiaz-

dek. Jakimś cudem jedzenia jest dosyć dla wszystkich. Czy z góry zaplanowała piknik na cztery osoby, czy zamierzała nas zaprosić, okazuje się, że nie tylko ja zastawiam pułapki, nie tylko dla mnie ten pełen psów i kruków park stanowi burzliwą arenę wielu nieoczekiwanych zwrotów akcji, zerkam na nią z rosnącym niepokojem, najwyraźniej wie, może sam jej wyznał dziś rano, może śledziła go jak ja Amnona, widziała, że wchodzi do mojego domu: pozornie niewinny, zorganizowany z zaskakującą pedantycznością piknik w jednej chwili zamienia się w groźną zasadzkę, z której musimy jak najprędzej się wymknąć.

Może jednak pójdziemy już, Gili, przekonuję. Dziadek i babcia czekają. Ale on zdecydowanie odmawia, podbiega do stosu jedzenia, bierze kanapkę, z której wystaje gruby sznycel, roztaczający kuszący zapach domowego obiadu. Stała w ich przestronnej kuchni, przewracając sznycle na patelni, podczas gdy on chodził po mojej wąskiej, długiej i ciemnej kuchni, z drinkiem w ręku. Może zadzwoni do rodziców i powie, że się spóźnicie, proponuje Michał przebiegle. Nie trzeba, zbywam ją. Nie zostaniemy długo. Kawy? - pyta. I natychmiast dodaje, z rozczulającą otwartością: Szczerze mówiąc, chciałam z tobą o czymś porozmawiać, ale nie, kiedy się śpieszysz. Prawie eksploduję z napięcia. Nie ma sprawy, mamrocę. Nie śpieszę się aż tak. Spod jej płaszcza wygląda dzianina w czerwone i czarne pasy, czarne spodnie, strój zdradza dobry gust, czy z myślą o mnie tak starannie się ubrała, nalewa nam kawę lekko drżącymi rękami, na obrusie rozchodzi się pachnąca, brązowa plama.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, wzdycha. Strasznie trzęsą mi się ręce. Widziałaś, co zrobiłam wczoraj Jotamowi? Nie, co takiego? - pytam. Ściąga mu z głowy wełnianą czapkę, odkrywając wydłużoną czaszkę, króciutko, nierówno ostrzyżoną. Zawsze go strzygę, mówi. Mam wprawę. Ale nie wiem, co mi się wczoraj stało, popatrz, jak go oskubałam, biedaka. Prawie nie słucham słów, tylko tonu, który jest przyjacielski, a nie agresywny, sympatyczny, nie oskarżający. Jotam wrywa matce czapkę i szybko nakrywa głowę. Dopiero teraz zauważam, jak wzburzoną ma minę, także jego oczy są podejrzenie zaczerwienione. To dlatego, że jesteś głupia! - krzyczy. Przez ciebie będę musiał nosić czapkę aż do lata, jesteś najbardziej denerwującą matką na świecie. Zauważam ból, rozlewający się po jej twarzy jak plama kawy na obrusie i śpieszę z obroną: Jotam, każda mama jest czasem denerwująca. Wiesz, ile razy dziennie Gili się na mnie złości? Chłopiec nie daje się przekonać. W ogóle nie chciałem się strzyć, szlocha. Ona mnie zmusiła i zrobiła mi coś obrzydliwego. Gili szybko włącza się do pocieszania. Wcale nie, oświadcza wielkodusznie. Pasuje ci. Zobaczysz, że szybko odrosną, mnie też kiedyś paskudnie ostrzygli, dodaje, zaprzeczając niechęć poprzednim słowom, przywołuje wymyślone wydarzenie. Tak, tak, podkreśla, gdy patrzę na niego pytająco. W ogóle o tym nie wiesz, bo byłem u taty. Zabrał mnie do fryzjera, który mnie wygolił, ale zanim wróciłem do ciebie, włosy mi odrosły.

Jego rycerskie wysiłki, aby pocieszyć przyjaciela, napętlają mnie wstydliwym zdumieniem. Naprawdę? - pytam. Jak to możliwe, że nie zauważyłam? Nie ma czego żałować, dodaje natychmiast. Włosy tak szybko rosną. Ale chyba wszyscy wiemy, nawet sześciolatek chłopcy, że nie o włosach mówimy w ten pogodny, miły dzień, siedząc wokół obrusa w kratkę, nie o ściętych kędziorach dziecka, które siedzi w czapce na głowie, jakby było chore. Wciąż zwracam się do dzieci, nie do niej, jasne, że czeka, aż odbiegną, żebyśmy mogły swobodnie porozmawiać, ale ja, bojąc się, co powie, wolę, żeby zostali, aby mnie ochronili przed w najlepszym razie intymną, głęboką rozmową. Zarzucam ich pytaniami, interesuję się wszystkim, Gili na ogół nawet nie trudzi się odpowiedzią, ale teraz, przy Jotamie, ściga się, kto odpowie bardziej wyczerpująco,

kogo lubią w klasie i kogo nie cierpią, która nauczycielka jest najsympatyczniejsza, które lekcje są najciekawsze, i tym podobne drobiazgi, przerywane szybkimi kęsami, aż Gili wreszcie się niecierpliwi i ciągnie kolekę na trawnik, znikają w mgnieniu oka, zostają po nich zjedzone do połowy kanapki, lepkie plamy soku, wesołe okrzyki dzikich zwierzątek.

Podążam za nimi wzrokiem w przygnębionym milczeniu, Michał cichnie. Gdy czekam na słowa, które padną z jej ust, w rękach obraca gałązkę rozmarynu, zerwaną z jednego z krzewów, w końcu wzdycha i mówi: Bardzo się martwię Jotamem. Dlaczego? - pytam, otrzepując skrupulatnie spodnie z okruszków. Zapewne rozstaniemy się z mężem, mówi prędko, jakby te słowa ją przerażały. Chciałam spytać, jak było u was, jak Gili to przyjął, jak długo dochodził do siebie. Nie masz mi za złe, że pytam? Jasne, że nie, odpowiadam. Ale jedno słowo kłuje mnie w uszy. Zapewne, tak powiedziała, zapewne. Mam wrażenie, że ktoś wyciąga w naszą stronę palec, niczym pobliska oliwka swoje gałęzie, mówiąc: Ty się jeszcze nie martw, a ty się jeszcze nie ciesz.

Świadomość, że moje szczęście pośrednio zależy od jej nieszczęścia, nawet jeśli oba są niepewne, sprawia, że język przysycha mi do podniebienia i tracę głos, patrz, przez chwilę podobne byłyśmy do Hagar i Sary, żon Abrahama, każda ze swoim synem w objęciach, jedna z nich dziś zostanie wygnana na pustynię i będzie błąkać się tam, aż omal nie skona z głodu i pragnienia, lecz skierowany na nas palec wciąż wisi w powietrzu, nie zdecydował, która będzie wygnanką, patrzę na nasze dzieci, przeskakujące kanały z wodą, w ciemnych kurtkach przypominają z daleka kruki, zaraz rozłożą czarne skrzydła i ulecą nad nami z przejmującym krakaniem, rzucając ciężkie cienie na kraciasty obrus, z ich otwartych ust wyrwie się ostrzegawczy krzyk, krzyk dzieci, których rodziny pękają na pół, krzyk opuszczonych kobiet, mężczyźni wyrzucanych z domu, krzyk rzeczy, przenoszonych z miejsca na miejsce, krzyk miłości, którą zużyły lata. Wszystko w porządku? - pyta Michał. Przykładam rękę do czoła. Strasznie mnie rozboleła głowa, przepraszam. Nie martw się o Jotama, dodaję zaraz. Nic mu nie będzie. Gili przeszedł to dość lekko. Uspokoi się, gdy zrozumie, że nie straci żadnego z rodziców.

Własny głos wydaje mi się metaliczny i zgrzytliwy. Jak można w taki sposób podsumować złożony proces, który w gruncie rzeczy dopiero się rozpoczął, lecz nie jestem teraz w stanie opisać Michał wyczerpująco tego, co wczoraj opowiadałam jej mężowi, nie potrafię zaangażować się w jej nieszczęście, nie jestem obiektywna, mam splamione ręce, przez cały czas myślę, jak będzie interpretować tę rozmowę w przyszłości, gdy prawda wyjdzie na jaw, muszę mówić możliwie najmniej, nie mogę wykorzystać okazji dla własnych celów, skusić się możliwością zadawania pytań, nie będę się starała zbierać ani potwierdzać informacji. Przygląda mi się z uniesionymi brwiami, jakby przetrawiała moje słowa, czy mówię to tylko po to, by ją uspokoić, czy to naprawdę takie proste, machinalnie okręca na palcu grubą obrączkę ślubną. Jak mu powiedzieliście o rozstaniu? - pyta, a ja marszczę czoło, jakbym starała się wygrzebać ten szczegół z pamięci. Bardzo krótko i zwyczajnie, mówię w końcu. No wiesz, to, co w takich sytuacjach się mówi, zawsze będziemy cię kochać, zawsze będziemy twoimi rodzicami, także kiedy nie będziemy już razem mieszkać, najważniejsze to nie okazywać niepewności, recytuję, przypatrując się jej podejrzliwie, może udaje naiwną, może mimo wszystko wie, co wydarzyło się wczoraj, pośrednio próbuje odsunąć mnie od niego, opowiadając o swoim nieszczęściu, pragnie obudzić we mnie odwieczną kobiecą solidarność, abym zostawiła jej męża w spokoju.

Wydaje się, że moje uspokajające słowa nie dotykają nawet skraju jej przerażenia, wyjmuję z torebki paczkę papierosów i zapala jednego nerwowo, pokasłuje. Jak on może nam to robić,

wzdycha, rozglądając się wokół, aby się upewnić, że dzieci są daleko. Żyjesz z kimś prawie piętnaście lat, wydaje ci się, że znasz go najlepiej na świecie, jak siebie samą, i nagle popatrz, mówi, wskazując park, zalany jasnym zimowym słońcem. On rujnuje ci życie. Przez wszystkie te lata troszczysz się o waszą rodzinę, obawiasz się chorób, wypadków, zamachów, a w końcu nieszczęście nadchodzi od wewnątrz, od niego, ojca twoich dzieci.

Dlaczego to zrobił? - pytam szeptem, dostosowując głos do jej głosu. Potrząsa głową, jakby chciała pozbyć się napływających do oczu łez. Dlaczego? Z najbanalniejszej przyczyny, ma inną. Po tym wszystkim, co dla niego drobiłam, po tylu latach, kiedy zachęcałam go do nauki, ; utrzymywałam, zabrałam z ulicy, uwierz mi, jak kota ze śmietnika, tak mi się odplaca. Kręcę głową wstrząśnięta, Z niedowierzaniem. Jesteś pewna, że kogoś ma? Patrzy z wyrzutem na znajomą postać idącą w naszą stronę z szerokim uśmiechem, to piękna Keren, mama Ronena, pada na trawę obok nas, jakby straciła równowagę. Jak dobrze, że jesteście, mówi. Czekam, aż Ronen skończy zajęcia. Przeszkadzam wam? Nie, skądże, odpowiadam pośpiesznie, oszołomiona podłym podejrzeniem, które obudziło się we mnie od nowa, niczym skorpion, którego uśmierciłam z wielkim trudem, a on ożył i zbliżył się do mnie z wyciągniętymi szczypcami. Jestem oszołomiona jego podwójną zdradą, jej złamanym sercem, do którego zjrzałam niczym do zburzonego domu, złamanym sercem, które czeka mnie. Michał ociera oczy serwetką i uprzejmie częstuje Keren, ale ta odmawia. Nie wiem, co się ze mną dzieje, skarży się. Nie mam ostatnio apetytu, z trudem biorę cokolwiek do ust. Jej długie włosy opadają na obrus, zbiera je szczupłymi rękami. Nagle wydaje mi się przesadnie, chorobliwie chuda, jej cera nabrała żółtawego odcienia. Musisz to zbadać, mówi Michał. Nie można czegoś takiego zaniedbać. Daj spokój, wzdycha Keren. W końcu samo przejdzie, nie cierpię lekarzy. Natychmiast zmienia temat. Rozmawiamy o bezpieczeństwie w szkole, czy strażnik, starszy mężczyzna, faktycznie potrafi obronić nasze dzieci, czy ogrodzenie jest wystarczająco wysokie i solidne.

Żadna ochrona sobie nie poradzi, mówi Michał. Jeśli ktoś naprawdę będzie miał zamiar wejść, nie uda się tego uniknąć, trzeba nauczyć się żyć ze strachem, nie mamy wyboru. Mimo wszystko trzeba zrobić wszystko, co się da, oświadcza Keren. Powinniśmy opłacić jeszcze jednego strażnika, albo pilnować sami, nie sądzisz? - zwraca się do mnie. Tak, potrzeba co najmniej dwóch strażników, mówię. Bądź co bądź, jesteśmy w centrum. Pozwalam im kontynuować jałową rozmowę, kto ochroni nasze dzieci przed nami samymi, przed ich ojcami, jeśli taki naprawdę chce odejść, nie dasz rady go od tego odwieść, jak nikt nie odwiódł mnie, żadna ochrona nic nie da. Kobiety poruszają bezdźwięcznie wargami, nad wyzłoconym w słońcu parkiem znowu rozlega się syrena, przenikliwy, ogłuszający dźwięk, pędzi jak ogień, którym zajęła się trawa. Spuszczam wzrok na poplamiony obrus, resztki pikniku leżą na nim niczym resztki naszej rozmowy. Któremu z nich mam wierzyć, czy to bezpodstawne ataki zazdrości, jak mówi on, czy prawdziwa kochanka, jak twierdzi ona, wiem, że droga do prawdy jest zamknięta, blokują ją dwie sprzeczne wersje, muszę wybrać jedną z nich i ponieść koszty, nawet jeśli brakuje mi danych; dociera do mnie, że powinnam wstać, zabrać syna i odejść, ta rozmowa jest kaleka, ona też to niebawem odkryje i odsunie się ode mnie, czekam jednak, aż Keren wstanie na szczupłe nogi w czarnych skórzanych spodniach nad naszym piknikowym obrusem, może znowu zaprosi nas na przyjęcie. Przepraszam, że wam przeszkodziłam, powie z wdziękiem, my oczywiście zaprzeczymy, lecz zanim jeszcze zdąży się oddalić, zapytam Michał z wahaniem: Jesteś pewna, że kogoś ma? Przyznał się? Ona znowu przyłoży serwetkę do oczu,

jej wąskie wargi zadrzą. Nie musi się przyznawać, oni zawsze się wypierają, po co mieliby się przyznawać? Weź moją matkę. Tyle lat podejrzewała ojca, on ciągle zaprzeczał, usiłował ją przekonać, że jest wariatką, w końcu prawie mu uwierzyła, a kiedy pewnego razu faktycznie go przyłapała, powiedział, że to ona go do tego popchnęła swoim wariactwem. Słucham zdumiona coraz bardziej gorączkowych słów, przypominających odgłosy kłótni, którą podsłuchałam pod drzwiami. Michał, musisz odróżnić swojego ojca od męża, ośmielam się powiedzieć, broniąc, o dziwo, niewiernego małżonka. Może to w ogóle inna historia. Natychmiast milknę, bo reaguje chłodem, skrępowana swoim nieopanowanym wybuchem, przecież nie jesteśmy przyjaciółkami, prawie się nie znamy. Mierzymy się wzrokiem w podejrzliwym milczeniu, aż docierają do nas przenikliwe głosy, nasi synowie biegną do nas z długim kijem, który trzymają czterema upartymi rękami.

To ja znalazłem! - krzyczy Jotam. To mój patyk! Ja pierwszy go zauważyłem, zawodzi Gili. To ja powiedziałem: popatrz, jaki wielki kij. Staramy się opanować sytuację, znaleźć jakieś rozwiązanie. Na pewno jest gdzieś jeszcze jeden patyk, mówię. Idźcie poszukać, pomożemy wam. Odmawiają chórem, każdy boi się pierwszy puścić zdobycz. Jeśli nie rozwiążecie tej sprawy sami, zarekwiruję go, grozi Michał. Żaden nie będzie go miał, zostawimy go tutaj i tyle. Rozchodzimy się po parku z oczami wbitymi w ziemię, ale udaje nam się znaleźć tylko cienkie patyczki, które nie stanowią żadnej przeciwwagi dla wspaniałego znaleziska. To może niech będzie nasz wspólny, proponuje niepewnie Gili, kiedy wracamy do obrusa w kratkę z pustymi rękami. Będzie mieszkał w dwóch domach, część czasu u mnie, część u ciebie, jakby jego rodzice się rozwiedli. Ale Jotam tupie nogami i wrzeszczy: Nie zgadzam się, jest tylko mój, będzie tylko u mnie. Jego spierzchnięte wargi są napięte, aż niemal pękają. Odciągam Gilego na bok. Może mu ustąpisz, namawiam. Potem wytłumaczę ci dlaczego, ustąp mu, a kupię ci coś po drodze. Ale jak można się było spodziewać, Gili wymachuje rękami. Nie, nie chcę, to ja go znalazłem.

Dość, nie pytam się ciebie, besztam go. Ja tu decyduję. Ciągnę go za sobą, uśmiechając się fałszywie. Jotam, Gili ci ustępuje, ogłaszam, nie zważając na głośne protesty. Do Michał mówię: Muszę lecieć, trzymaj się, jeszcze porozmawiamy. Dziękuję, odpowiada szeptem. Następnym razem dopilnuję, żeby Jotam ustąpił. O czym ty mówisz, nie będzie następnego razu, oznajmiam bez słów, bo przepelnia mnie miłość do twojego niewiernego męża, nasiąkam nią jak gąbka. Odchodząc, oglądam się ukradkiem, aby utrwalić ten widok w pamięci, stoją bezradnie nad obrusem w kratkę niczym bezdomni, wśród pozostałości jedzenia i kłótni, między nimi leży wielki kij.

Płaczący Gili wlecze się za mną opornie, mam wrażenie, że słyszy go cała ulica, ludzie podnoszą ze zdumieniem żaluzje, z irytacją otwierają okna, pełen wściekłości, urywany szloch, suchy i wyczerpujący, prawie ucicha i wybucha z powrotem, nie łkał tak, kiedy powiedzieliśmy mu o rozstaniu, ani kiedy spadł z huśtawki i rozciął sobie wargę, nawet nie wtedy, gdy na naszych oczach autobus przejechał jego nowy samochód, strata przypadkowego, niepotrzebnego patyka, który z pewnością po zakończeniu współzawodnictwa stracił cały urok i zostanie zwyczajnie porzucony w trawie, budzi w nim pokłady nieznośnego żalu, ciągnę Gilego za sobą siłą, mam wrażenie, że zaraz odpadną mi ręce. Dość, nie mogę już słuchać tego ryku, robię mu wyrzuty. A ja nie mogę słuchać twoich krzyków! - wrzeszczy. Jesteś okropna, przez siebie straciłem patyk, bardziej obchodzi cię Jotam niż ja.

Nic podobnego, zaprzeczam natychmiast. Po prostu uważam, że dzisiaj trzeba było ustąpić

Jotamowi, nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Wiem dlaczego, zawodzi. Wiem lepiej niż ty. Co z tego, że jego tata odszedł, mój tata też, mnie nikt nie ustępował. Zdziwiona przyjmuję nowinę. Skąd wiesz, że jego tata odszedł? Tak powiedział Jotam, że jego rodzice się rozwodzą, jak wy. Znowu nie trudzę się poprawianiem go, rozwodzą. Kolejna tajemnica drwi ze mnie, okazuje się, że Jotam już wie, powiedzieli mu, po co radziła się mnie? Próbuję sobie przypomnieć, jak właściwie sformułowała pytanie, jaka wymiana zdań między nami nastąpiła, zwykła rozmowa kobiet, połączonych wspólnym losem czy dobrze zaplanowana akcja, może specjalnie rozrzuciła nasiona podejrzania, aby już na tym etapie zarazić mnie klątwą, która ich rozdzieliła.

Idziemy w coraz słabszym słońcu, coraz chłodniejsze promienie muskają na pożegnanie moją skórę, ich dotyk oszukuje, przynosi dreszcze, towarzyszy mi wściekły ryk Gilego, nie ustąpił mi, dlaczego ja mam mu ustępować, pamiętaj, że masz mi coś kupić, obiecałaś, jeszcze mu odbiorę ten patyk, co on sobie myśli, to ja go zauważyłem, Jotam to debil, nie jest już moim kolegą, nie cierpię jego i jego taty. Zatrzymuję się zdziwiona. - Co powiedziałeś? Powiedziałem, że nie cierpię taty Jotama, powtarza.

Jak możesz nie lubić kogoś, kogo nie znasz? - protestuję. Co on ci zrobił? Pewnie, że go znam, odpowiada. Lepiej niż ty. Kiedyś byłem u nich, on krzyczał, a mama Jotama płakała. Nieładnie, że zostawia swoje dziecko.

Wcale go nie zostawia, mówię. Rodzice po rozwodzie nie zostawiają dzieci, tak jak tata i ja nie zostawiliśmy ciebie, prawda? Specjalnie zwleka z odpowiedzią, aż pytanie samo się rozplywa, jego oczy bez ustanku myszkuje po chodniku, szukają nowego patyka.

Co wyrosnie na delikatnym pędzie naszej miłości, którego nawet nie można złamać, jedynie zgnieść bezdźwięcznie, aż wypłynie zielonkawy sok, może zmiążdżyć go każda stopa, nawet mała dziecięca nóżka w zeszlórocznych tenisówkach. Łodyżka cieniutka niczym nitka, na której nie powstał jeszcze załazek listka, cieńsza od źdźbeł trawy, na której siedzieliśmy, a jednak wyrasta w moim sercu, zmniejszając przerażenie, łagodząc udrękę, roztaczając miękki blask nadziei. Jakiej nadziei, przecież nasza miłość nigdy nie będzie solidnym, masywnym oparciem, lecz lepką masą, rozdeptaną przez moje dziecko, jego dzieci, naszych wcześniejszych partnerów, a przede wszystkim stratowaną ciężkimi stopami poczucia winy, czym w ogóle jest miłość wobec wymagających wytworów rzeczywistości, głodnych kruków, miłość kobiety i mężczyzny prawie sobie obcych, którzy idą mokrymi ulicami, niosąc plecak i walizkę, fragmenty wrogich rodzin.

Przemawia głosem melodyjnym jak błogosławieństwo, w oczach ma obietnicę, gdy dotyka mojego ramienia, wydaje mi się, że jego ręce mądrze i cierpliwie obalą ogrodzenie, które wzniosłam, zasieki z kolczastego drutu, które nas dzielą, jeśli faktycznie istnieje coś takiego jak „my”. Kiedy tylko zgasło światło w pokoju Gilego, rozlega się pukanie, staje w progu w czarnym płaszczu, ze zmęczoną twarzą, która wygląda jak wyrzeźbiona z polerowanego drewna, uśmiecha się powściągliwie, sztywno wyprostowany, cały dla mnie, od czubka głowy do stóp, jakby jego obecność w moim domu dziś wieczorem i w następne wieczory była naturalna. Myślałem, że światło nigdy nie zgaśnie, mówi. Co ty mu czytasz przed snem, *Wojnę i pokój* od deski do deski? W rękach trzyma dwie srebrne tacki, szczelnie zapakowane. Przyniosłem coś do jedzenia z kawiarni, jadłaś już? Nie, czekałam na ciebie, mówię, bo przecież czekałam, nawet jeśli nie ośmielałam się czekać, miałam nadzieję, nawet jeśli nie miałam odwagi jej mieć, siadamy obok siebie na kanapie, do szklanek nalewamy resztę wczorajszej whisky, pochyleni nad jeszcze ciepłymi aluminiowymi tackami, zagłębiaamy w nich plastikowe widelce, jakby to był kolejny piknik na łonie natury, po pierwszym, w towarzystwie jego żony i syna.

Czy znowu będzie się starał nie pozostawić śladów, może dlatego zaopatrzył się w jednorazowe naczynia, czy te szczegóły w ogóle coś znaczą, czy tylko to, co jest poza nimi, promienista pewność spowijająca nasze głowy, nasze spotkanie, które szuka drogi po omacku, radosna pewność, która nie pasuje do otoczenia, jak człowiek, co kroczy po zgliszczach, nucąc wesołą piosenkę, z obłąkanym, uszczęśliwionym uśmiechem. Ciągle przypominam sobie, że nie mamy szansy, trudności jest zbyt wiele, zbyt przywalają nas ciężkie kamienie: jego dzieci, żona, moje dziecko, zagęszczenie nas wszystkich na jednym osiedlu, w jednej klasie, ale ta świadomość nie zamienia się w realne uczucie, klóci się zdecydowanie z uczuciem kojącej, ożywczej naturalności, które on roztacza, odkąd się pojawił, z poczuciem istnienia drogi, którą wytyczyli nam bogowie, pozostało nam tylko nią pójść, posuwać się krok za krokiem naprzód.

Za każdym razem dziwi mnie na nowo, mówi, ocierając usta serwetką, jak bardzo ludzie są przywiązani do swoich problemów. Dziewczyna, która teraz u mnie była, rok temu została lekko ranna w zamachu, od tamtej pory prawie nie wychodzi z domu, odcina się praktycznie od wszystkiego, co oferuje życie, ale kiedy proponuję jej leki, odmawia, boję się zmienić, mówi, boję się, że leki zrobią ze mnie kogoś innego. Jak długo ją leczysz? - pytam. Nie słyszę dokładnie odpowiedzi, bo w pokoju Gilego rozlega się nagle głośne mamrotanie, idę do niego zaniepokojona, może w ogóle jeszcze nie zasnął, jak ukryję obecność gościa, może powinnam schować go w ubikacji, ale Gili ma zamknięte oczy, usta gniewnie zaciśnięte, na jego twarzy maluje się bezbrzeżne wyczerpanie, jakby miał dość życia, najwyraźniej mamrotał przez sen, słowa już się rozpląnęły, lecz ich opary unoszą się w pokoju, może powiedział „nie cierpię taty Jotama, nienawidzę taty Jotama”. Jak możesz nie lubić kogoś, kogo nie znasz, jak możesz

pokochać nieznanego człowieka, pochylona nad synem nagle nie mam ochoty wracać do pokoju, do obcego mężczyzny, który nie jest jego ojcem, lecz ojcem innego chłopca, z którym może właśnie teraz Gili klóci się we śnie, próbując mu wyrwać patyk, co ja mam z tym mężczyzną wspólnego, nie wolno mi poddać się fałszywemu urokowi, muszę zobaczyć cały obraz, ostro, z każdej perspektywy, przynajmniej chwilowo muszę się trzymać od niego z daleka, wszystko jest zbyt świeże i bolesne w obu domach, tak mu zaraz powiem, kiedy wrócę do salonu.

Widzę, jak raz po raz ociera usta serwetką, ale wargi wciąż błyszczą mu od tłustego sosu do spaghetti, patrzy na mnie uważnie, bez zdziwienia, kiedy siadam obok, znajomym, profesjonalnym spojrzeniem. Masz wątpliwości, Elu? - pyta, jak zwykle bez wstępów. Nie co do ciebie, wzdycham. Z każdą chwilą pragnę cię coraz bardziej, ale jasne, że chwilowo to niemożliwe, to za prędko, wszystko jest zbyt skomplikowane. Ujmuje mnie za podbródek i unosi do siebie moją twarz, jego usta przykrywają nagle moje, jakby chciały wysssać z nich wszelkie wątpliwości, pochłaniają moje wargi, które nie zdążyły nic powiedzieć, gorzki, mięsisty dotyk: kiedy odrywa się ode mnie, odchylam głowę na oparcie, moje oczy wilgotnieją, nie wierz mi, chcę powiedzieć, proszę, nie wierz mi. Wstaje i zbiera jednorazowe naczynia do torby, w której je przyniósł, ma zaciśnięte wargi, bez słowa wkłada kurtkę, obserwuję go zdezorientowana, widzę, jak w milczeniu wyślizguje się z mojego życia, nie chciałam do tego doprowadzić, chciałam, żeby ze mną rozmawiał, przekonywał, że to możliwe, podchodzę i opieram się o drzwi, Oded, nie odchodź, nie chciałam, żebyś sobie poszedł, musimy porozmawiać.

Nie mamy o czym rozmawiać, mówi cicho, słyszałam, co powiedziałaś, jeśli to dla ciebie niemożliwe, to nie mam tu czego szukać. Jego reakcja mnie zatrzaża. Ale ja chcę z tobą porozmawiać, chcę usłyszeć, co myślisz, mówisz. Znowu unosi ku sobie moją twarz, zatrzymuje się nad każdym porcem w skórze, nad każdą niepokojącą plamką, posłuchaj, mówi zgaszonym głosem, wada wymowy nasila się i sylaby płaczą mu się między zębami, nie mam czasu na gry, pragnę cię i nie boję się tego okazać, nie przerażają mnie trudności, można natrafić na nie wszędzie, jeśli chcesz zrezygnować, proszę, uszanuję to, ale nie bujaj mną na swojej emocjonalnej huśtawce.

To nie huśtawka, protestuję, pragnę ciebie nie mniej niż ty mnie, gdybyśmy byli samotni, bez dzieci, to byłoby całkiem inaczej, ale nie mogę prowadzić podwójnej gry z Michał, nie mogę patrzeć, jak jej ciężko, słuchać, że kogoś masz, nie wiedząc nawet, czy chodzi o mnie, czy o inną kobietę, potem nasze dzieci zaczynają się klócić o kawałek nędznego patyka, a potem ty przychodzisz i tak bardzo chcę, żebyś został, ale jest tu dziecko, które nie powinno cię zobaczyć, prawie się nie znamy, a już takie obciążenie, podchodzi do mnie, wyciąga rękę do klamki, załatwmy najpierw kilka spraw, odszedłem od Michał dla siebie, nie dla kobiety, nawet jeśli miałbym cię więcej nie ujrzeć, nie wrócę do domu, ona nic nie zyska, jeśli postanowisz się usunąć. Wiem, że będzie jej ciężko, mnie będzie ciężko i dzieciom, ale to właściwy krok, koniec i kropka, nie zamierzam zaczynać każdego problemu od nowa co chwilę, mogę funkcjonować tylko, jeśli istnieje jakaś zrozumiała dla mnie podstawa, inaczej stracę rozum, rozumiesz? Nie wrócę do domu, jeśli chcesz razem ze mną zobaczyć, co może być między nami pomimo trudności, będę się cieszył, jeśli nie, będzie mi przykro, ale na tym się skończy, przemyśl to i daj mi znać, szybkim mchem otwiera drzwi, na plecach czuję zimny, czarny powiew, zaczekaj, mówię, nie idź, przepraszam, chciałam tylko porozmawiać. O dziwo, natychmiast się Zgadza, w porządku, zaraz wracam.

Dokąd idziesz? - pytam, a on mówi: Wyrzucić śmieci. Teraz? Dlaczego? - zdumiewam się. Daj spokój, mam taką obsesję, odpowiada. Nie mogę się odprężyć, kiedy w domu są śmieci. Tylko w nocy czy w dzień też? - chcę się dowiedzieć, próbując ocenić rozmiary dziwactwa, ale nie odpowiada, schodzi na dół z torbą, czekam przy otwartych drzwiach z palcem na wyłączniku światła, dokładnie tak jak Gili ma zwyczaj czekać na mnie u szczytu schodów, boi się zostać sam w domu, liczy na głos do pięćdziesięciu i już wracam, zdyszana; ja nie liczę, lecz modłę się po cichu, abym niczego nie zepsuła. Wróciwszy, patrzy na mnie z uśmiechem. Napędziłem ci strachu? Kiedy kiwam głową z poczuciem winy, mówi: Ty mnie także przeraziłaś, proszę cię, nie mów rzeczy, których nie myślisz, przywiązuję ogromną wagę do słów. Przytakuję posłusznie, a mimo wszystko się dziwię, skąd akurat u niego ten brak cierpliwości do meandrów psychiki, patrzę zdumiona, jak myje ręce w zlewie, namydłą i szoruje każdy palec z osobna. Chcesz, żebym został, jesteś pewna? - pyta znowu, a ja mówię: Tak. Jestem pewna. To chodź do łóżka. Dobrze? Wyciera powoli ręce w ściereczkę, ma wilgotne wargi, odrobinę rozdęte nozdrza. To nie problem? Dziecko się nie obudzi? Mówi „dziecko”, jakby nie pamiętał jego Wnienia. Nie teraz, odpowiadam, pociągając go za sobą do sypialni, przechodzimy obok cichego pokoju Gilego, w którym trzy lampki nocne jaśnieją stłumionym światłem, niczym trzydzieści gwiazd na niebie, szybko zerkam na wciąż zagniewaną minę syna, jakby ktoś bez końca odbierał mu znaleziony patyk.

Może powinniśmy zamknąć drzwi, proponuje, a ja lustruję podejrzliwie klucz. Nigdy właściwie go nie używaliśmy, ufając, że skryje nas ciemność, że głos Gilego uprzedzi kroki, dziś ryzyko jest o wiele większe, zaskoczony klucz zgrzyta opornie, przez chwilę boję się, że nie będzie chciał obrócić się z powrotem, ale lęk się roztopia i znika w drżącym morzu przyjemności, we wzruszeniu rozpierającym wszystkie członki ciała, które będą kochane. Niebieskawa poświata od komputera oświetla lekko pokój, w którym dwoje ludzi sypiało prawie siedem lat, tysiące nocy, ale wydaje mi się, że ci ludzie są obcy w równej mierze mnie i mojemu gościowi, nieznamy para, Amnon i Ela, która wyniosła się dawno temu, najwyraźniej w popłochu, zostawiając meble, naczynia, ubrania, obrazy, a nawet dziecko, prawdziwe dziecko, które śpi w swoim pokoju, nie zauważywszy zmiany lokatorów, rano obejmie mnie, jakbym była jego prawdziwą matką, choć nie mam nic wspólnego z kobietą, która leżała w tym łóżku noc w noc przez prawie siedem lat. Jednym susem przeskoczyłam prosto z młodości do tego dnia, jestem wdzięczna, że ta kobieta pozwoliła mi skorzystać ze swego wygodnego łóżka, przestronnego pokoju, komputera; siedzi przy nim teraz mężczyzna, od którego pocałunków palą mnie usta, i pyta: Można przeczytać?

Dolny Egipt płacze, biada, zniszczone zostało wszystko, co istniało jeszcze wczoraj, ziemia stoi opustoszała niczym po zbiorach lnu, płaczą wszystkie żywe istoty, jęczy bydło, synowie książąt znaleźli się na ulicach, czyta zdumionym głosem, co to, to w ogóle nie przypomina pracy naukowej, ty to napisałaś? Skądże. To tekst z papirusu znalezionej w Egipcie, napisał go egipski mędrzec Ipuar, nie jest tylko jasne, czy opisuje przeszłość, czy przepowiada przyszłość. W jakich czasach żył? – zaciekawia się. Jak zawsze w archeologii, to kontrowersyjne, mówię. Usiłuję dowieść, że istnieje związek między zjawiskami, które on opisuje, a plagami egipskimi, choć większość naukowców nie wierzy, że w ogóle miały miejsce, że nie są fikcją literacką.

To nieistotne, jak było naprawdę, twierdzi Oded, w mojej dziedzinie to sprawa marginalna, dla mnie to prawie bez znaczenia, czy ktoś opisuje rzeczywiste, czy zmyślane wydarzenia, z

jego punktu widzenia to jest prawda. My staramy się dotrzeć do prawdy obiektywnej, ale w wielu przypadkach jej granice są zatarte, mówię. Chyba staram się wykazać coś, czego nie da się udowodnić. Czy wiesz, że Freud porównywał ludzką psychikę do znaleziska archeologicznego? - mówi. Uważał się za archeologa duszy, a dziś panuje opinia, że ludzki mózg jest zbudowany jak stanowisko archeologiczne, warstwy układają się w odwrotnej kolejności, od najmłodszej do najstarszej. Przesuwa ręką po głowie, jakby rysował rozmaite warstwy, a ja kładę się na łóżku, rozsuwam nogi, wkładam między nie rękę, jakbym była naga, bo jego oczy wędrują od ekranu komputera do ukrytego skrzyżowania ciała, zawsze macie tam jakąś tajemnicę, mówi, to niezwykle, że nosicie ją ze sobą wszędzie.

Chodź do mnie, wyciągam do niego rękę, ale on wciąż siedzi sztywno wyprostowany na krześle przed monitorem. Poczekaj, mówi. Nie pozwalaj każdemu dotknąć swojej tajemnicy. Nie jesteś każdym, zauważam. Śmieje się. Ale mnie nie znasz, nawet nie wiesz jeszcze, czy kogoś nie mam. W tej chwili to mnie nie obchodzi, oświadczam. Chodź już. Przesuwa palcami po klawiaturze. Wiesz, mieliśmy w domu szufladę ze słodyczami. Matka zapelniała ją za każdym razem, gdy ojciec szedł do szpitala. Czekam w milczeniu na dalszy ciąg, który nie nadchodzi. Jego oczy tkwią między moimi nogami. Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że to właśnie tam jest. Szuflada ze słodyczami. Powolny, miarowy głos brzmi melodyjnie, z wdziękiem przeciąga końcówki, wydłuża sylaby. Ta tajemnica czeka na rozszyfrowanie, mówi. Na początku z radością, potem ze smutkiem, w końcu przestaje czekać. Wstaje z krzesła i podchodzi do mnie, siada na brzegu łóżka, zdejmuje mi spodnie, ze ściągniętymi brwiami przygląda się moim nagim udom, zmarszczki wokół oczu pogłębiają się, jest niczym zagubiony turysta, wpatrujący się w skomplikowaną mapę.

Zamknięty na klucz pokój o zasłoniętych oknach, skąpany w niebieskawej poświacie, wypełnia się ciężkimi oddechami, wydaje się, że każda część ciała oddycha osobno, na swój własny sposób oddaje się wyczekiwaniu, nawet umysł, przywykły się rozpraszać, krążyć wśród odłamków myśli, kłujących jak szkło, jest teraz skupiony na wzbierającym w dole pragnieniu; kiedy czubkiem palca dotyka spódów moich stóp, wstrząsa mną dreszcz, piekąca, ostra rozkosz pulsuje pod jego rękami, jego delikatność, zatrwazająca przez to, że jest tak przemyślana, jego ogromna, pociągająca władza. Powoli, szepcze. Już wiesz, że nie jestem z tych, co się śpieszą, porozmawiaj ze mną, opowiedz, co lubisz. Wciążam powietrze, wiesz lepiej ode mnie, co lubię. Ale chcę usłyszeć, jak to mówisz, szepcze.

Z wahaniem dotykam jego twarzy, ma szorstką, twardą skórę, kłócaącą się z miękką mową, słowa ulatują z trzepotem skrzydeł niczym ptaki z uschniętego drzewa.

Opowiedz, co lubi twoje ciało, prosi. Zdradź mi swoje tajemnice. Wciąż milczę. Jak trudno wyrazić jasno pragnienie, gdy chodzi o ciało, jak trudno uwierzyć, że można być kochanym naprawdę, czuję, że rośnie we mnie dawny smutek, wydaje mi się, że widzę, jak ukrywam się wśród drzew, kopię pośpiesznie rękami o połamanych paznokciach, ubranie i włosy pokrywa ziemia, wygrzebuje małą jamkę, zagrzebać się w niej i nigdy nie wyjść. - Nie wstydź się, szepcze, chcę cię posłuchać, już ci mówiłem, przywiązuję ogromną wagę do słów. Słyszę, jak mówię rzeczy, których nigdy nie mówiłam, nie swoim głosem, opowiadam historię ciała, które przysypie ziemia, którego wzrost został zahamowany, które się zestarzeje, zanim dojrzało, które wprowadza w błąd, zalewa mnie intensywne poczucie łaski i pocieszenia, jakby dawne fantazje ożyły nagle na moich oczach, długo po tym, jak umarły, wydaje mi się, że słyszę, jak

pęka łupina dawnej samotności; zawsze strzegła mnie także przed tymi, których kocham, przed ich obecnością i utratą, a teraz pęka i kruszy się niczym mur, miasto, które całe jest pałacem, staje odsłonięte, obcy gość wędruje po najpilniej strzeżonych komnatach, podziwia malowidła ściennie, muszle, ośmiornice i delfiny, uskrzydłone cheruby, boginie o nagich piersiach i muskularnych atletów, towarzyszę mu z pełną przerażenia radością, jak straszne jest pożegnanie z samotnością, jak gwałtowne, jego fala wstrząsowa dobiega na krańce świata.

Długo słucha, leżąc z uchem na moim udzie, gładzi moją skórę, mam nadzieję, że jesteś cierpliwa, mówi w końcu, kiedy w pokoju zapada pełna przejęcia cisza, nie zamierzam dzisiaj się z tobą kochać, zanim zdążę zapytać dlaczego, mówi, to teraz nieodpowiednie, nie jesteśmy sami, przypomina mi w ten sposób o zapomnianym dziecku za ścianą, które nie ma udziału w naszej miłości, w naszych rozkoszach, w intrydze snującej się pod osłoną jego gniewnego snu.

Kiedy będziesz sama? - pyta. W weekend, mówię. Jak obiecująco brzmią te słowa, weekend, strasznie długo trzeba na niego czekać, droga jest trudna do przebycia, przez chwilę wydaje mi się, że to przekracza moje siły, on jest ciągle zupełnie ubrany, roztacza zapach proszku do prania, jakby jego ubrania wciąż były prane w domu, wraz z ubraniami dzieci, bo identyczny zapach unosi się z ubrań jego syna, próbuję rozpiąć mu koszulę, na moment się wzdraga, ale w końcu pozwala mi odkryć wąską, pełną rezerwy pierś, nawet w bladej poświacie monitora zauważam wielką bliznę, przecinającą ją na pół, na całej długości. Co to? - pytam, a on mnie zbywa: To teraz nieistotne. Nie daję za wygraną. Co to? - pytam znowu, kładąc palec na napiętej skórze. Ojciec zaatakował mnie, kiedy byłem mały, mówi. Prawie tego nie pamiętam. Patrzę z przerażeniem na bliznę. Czym to zrobił, nożem? Odsuwa moją rękę. Czy to ważne, mój ojciec zrobił to nożem, twój ojciec słowami, najważniejsze, że nie zrobimy tego naszym dzieciom. Myślę o nich, o trojgu naszych dzieci, jakby wszystkie spały w pokoju obok, jasnowłosa dziewczynka, która niczym królowa siedziała mu na kolanach, obok dwóch chłopców, czy już tego nie zrobiliśmy, na własny sposób?

Odsłaniam jego zaskakująco smagłe ciało, które kontrastuje z odcieniem skóry twarzy, jakby wszystko, czego wysłuchał w ciągu dnia, sprawiło, że pobladł, patrzę na szczupłą, okaleczoną pierś, na głowę, dość dużą w stosunku do ramion, to niedopasowanie między głową a resztą ciała sprawia, że czuję dziwną ulgę, jego ręce spoczywają na moich piersiach, jednym ruchem mogą obudzić mnie na nowo, ta świadomość wystarcza, aby zachować ogień płonący w dole; jego dolna połowa ciała wciąż tkwi w spodniach ściągniętych skórzanym paskiem, kto wie, jakie blizny się tam skrywają. Raptem milknie, wyciąga się obok mnie na wznak i zamyka oczy, powalony nagłym zmęczeniem, całkowitym jak utrata przytomności, zdjęłam mu koszulę i jego ciało spoczywa przede mną odsłonięte, z przyzwyczajenia atakuję je spojrzeniem, aby wykorzystać każdą chwilę, zebrać dane przed kolejną walką. Jego słowa mają niezwykłą, hipnotyzującą moc, ale kiedy przestał mówić i zamknął oczy, stał się podobny do innych ludzi, ostre rysy zmiękły, z satysfakcją wyliczam jego usterki, czy to naprawdę jedyny sposób, aby poczuć swoją wartość, zamiast przenieść jego urok na mnie, dodaję mu wad, aby poczuć się pewniej: oto głośne chrapnięcie wylatuje przez rozchylone usta, które wcześniej pochłaniały moje wargi. Przypatruję mu się rozczarowana, okazuje się, że jest dokładnie taki jak Amnon, jak wszyscy mężczyźni, którzy natychmiast zasypiają, podczas gdy kobiety przewracają się z bólem z boku na bok, hołubiąc odwieczną urazę, przeraża mnie intensywność wrogości wobec mężczyzny, który nie wyrządził mi żadnej krzywdy, lecz nie potrafię zahamować potoku gorzkości.

Kiedy zasnął, znowu pojawia się odrębność, obcy mężczyzna w twoim łóżku, do którego przychodzi twój synek nad ranem. Znowu słyszę głos Gilego. Nie cierpię taty Jotama, nie cierpię taty Jotama, czy naprawdę coś mamrocze przez sen, czy mnie woła, wyskakuję z łóżka i podbiegam do drzwi, ale przecież są zamknięte na klucz, sama zamknęłam je kilka godzin temu, aby oszczędzić skrępowania i zażenowania wszystkim stronom, teraz muszę przekręcić klucz z powrotem, najprostsza czynność, otworzę tak, jak zamknęłam, chwytam go mocno i próbuję przekręcić, ale coś zawadza, jakby do dziurki od klucza dostała się szpilka, próbuję znowu bezskutecznie, klucz utyka w połowie drogi, nie chce wrócić po własnych śladach i dotrzeć do celu, klękam przed zamkiem, wpatruję się w wąski otwór, w napięciu nasłuchuję, co się dzieje w pokoju obok. Czy się obudził, czy mnie woła, nad ranem ma lżejszy sen i stara się zdobyć twierdzę mojego łóżka niczym mały, dzielny rycerz, co zrobię, jeśli faktycznie się obudzi, jak się nim zajmę przez zamknięte drzwi, jak być matką przez dziurkę od klucza, rozglądam się, próbując wymyślić jakieś rozwiązanie, w pokoju nie ma nawet telefonu, nie ma żadnego użytecznego narzędzia poza mężczyzną, który zburzył moje uporządkowane życie niecodzienną propozycją, żeby zamknąć na klucz drzwi, których nikt nigdy nie zamykał, kluczem, którego nikt nigdy nie używał, mężczyzna, który nie należy do tego domu i nie zna tutejszych obyczajów, zakłóconych teraz w koszmarny sposób, bo między mną a dzieckiem wyrosła przeszkoda nie do przebycia.

Co zrobię, jeśli zaraz zawoła, żeby dać mu wody, otulić go, pójść z nim do ubikacji, co zrobię, jeśli będzie pukał do drzwi, co powiem, kiedy odkryje, że są zamknięte, może uda mi się wytłumaczyć mu, jak zadzwonić do ojca, ale Amnon nie ma już kluczy, drzwi wejściowe są zamknięte od wewnątrz, mógłby je otworzyć jedynie doświadczony włamywacz, tak samo drzwi do sypialni, oboje zostaniemy przyłapani ku wielkiemu zażenowaniu, siadam na zimnej podłodze, oszołomiona niemożnością dostania się do własnego dziecka, które nie ma pojęcia, że na jego wołanie nikt nie odpowie. Czy naprawdę macierzyństwo kłóci z miłością, czy miłość matki, najbardziej pierwotne i silniejsze uczucie, nie znosi konkurencji, ośmieliłam się na niemożliwe połączenie, kochać obcego mężczyznę, mój syn śpi w pokoju obok, muszę za to zapłacić, nie mam pojęcia jak, śpij, błagam bez słów, śpij, kochanie, obudź się, widzę, jak jego głowa jaśnieje w ciemności-wśród pluszowych zabawek, niczym czwarta lampka nocna, wyciągam drżące palce do klucza, zaklinam go szeptem, znowu nie chce się ruszyć, próbuję natłuścić zamek kremem do rąk, który stoi na szafce, ale przeszkoda uparcie ze mnie szydzi. Czemu się nie oparłam, kiedy zaproponował, żebyśmy zamknęli drzwi, czemu śpi tak spokojnie, jakby nie był odpowiedzialny za tę katastrofę, do czego to podobne, żeby matka nie mogła pójść do dziecka, które woła ją w nocy, przyglądam się z pretensją głęboko uśpionemu mężczyźnie, leży bezbronny, odsłonięty na moją niechęć, odarty ze słów, które wcześniej spowijały go kurtyną dymu, słodkiego i wonnego niczym kadzidło, czy obudzić go, żeby kopniakiem rozwalil drzwi, wtedy Gili, którego oczywiście hałas wyrwie ze snu, ujrzy ze zdumieniem, jak spośród zniszczenia wyłania się znieawidzony tata Jotama. Nagle rozlega się wyraźnie dźwięk, którego się najbardziej obawiałam, dziecięcy głosik w ciemnościach, gdy Gili zapomina, że powinien udawać dużego chłopca. Mamo, już jest rano? - woła. Już się noc skończyła? Zawsze bał się, że nadejdzie noc, po której nie nastąpi ranek. Odpowiadam szybko, przytykając usta do drzwi: Spij, Gilili, niedługo będzie rano. Gwałtowne bicie serca wprawia mnie w drżenie, czuję się jak łądyga kwiatu podczas wichury, padam na łóżko, zaśnij, zaśnij, mamrocę, obudź się, obudź, szepczę do ucha Odedowi, który natychmiast się podrywa z

opanowanym wyrazem twarzy. Co się stało? - pyta głośno. Gili mnie woła, mówię szeptem, nie mogę otworzyć drzwi. Wstaje szybko z łóżka, siada na krześle przy komputerze, gdzie siedział na początku wieczoru, pośpiesznie zapina koszulę, budzi się jak ktoś doświadczony w zasadach przetrwania, czujny i podejrzliwy, tak różny od Amnona, który pojękując obracał się na drugi bok i zapadał natychmiast w długą drzemkę, zanim na dobre się obudził.

Rozgląda się po pokoju, zatrzymuje wzrok na mojej twarzy, na zasłoniętych oknach, bada odmienioną atmosferę, między nami wisi pretensja, tam gdzie wcześniej była pełna wyczekiwania bliskość. Co zrobić? - pytam szeptem. Już raz się obudził. Zaraz mnie znowu zawoła. Ku memu zdumieniu ubiera się pośpiesznie, jakby nie rozumiał, co mówię, jakby dziecko zaraz miało tu wpaść, podczas gdy to nam nie grozi, niestety, nikt nie wejdzie i nikt nie wyjdzie, pokój jest zamknięty i zapieczętowany, odłączony od życia domu niczym wykolejony wagon, w pociągu został mały, sześćioletni chłopiec, jego mamie zachciało się miłości, samo słowo budzi we mnie fałę niechęci, nie ma miłości dla matek, czy jakakolwiek wielka, burzliwa miłość usprawiedliwia strach dziecka, kiedy zorientuje się, że zostało samo? Mam wrażenie, że moje ciało wszystkimi porami oddaje nagromadzoną rozkosz, włosy jeżą mi się w gwałtownym proteście, *co* zrobić, wzdycham, patrząc nieprzyjaźnie na mężczyznę, który siedzi zgarbiony przy komputerze, wydaje mi się, że blizna ściąga jego ramiona do tyłu jak skrzydła, pierś zapada się, zanika.

Uspokój się, mówi, jest jakieś rozwiązanie, trzeba tylko je znaleźć, rozgląda się znowu po pokoju, w którym nie ma telefonu ani żadnych ostrych przedmiotów, nie ma możliwości wyjścia przez okno czy balkon, jest tylko komputer, łóżko i szafa, przezroczysty cień bliskości, słabe echo jęków rozkoszy. W końcu jego wzrok pada na klucz tkwiący w zamku, podchodzi ostrożnie, ogrzewa go przez chwilę w dłoniach, jakby go uspokajał, i prawie od niechcenia, szybko przekrzywia go i przekręca, ręka wykonuje pełen obrót, a wraz z nią zaskoczony klucz, który nie zdążył zaprotestować.

Drzwi są otwarte, Elu, informuje sucho, wskazując na nie z drwiącą ceremonialnością, wybiegam na zewnątrz, żeby znowu nie zamknął, nachylam się nad łóżkiem Gile-go i całuję go w czoło, tymczasem jego buzia się odprężyła, zaczarowana gąbka snu starła złość, na podłodze przy łóżku leży kilka zabawek, podnoszę je ostrożnie, jakby bojąc się, że także się obudzą, układam je obok, zwracam pyszczkami do niego, żeby go strzegły, śpij, kochanie, mamrocze, chociaż przecież śpi, oglądam się na drzwi, na progu stoi Oded, zasłaniając światło z korytarza, daje mi znak, żebym wyszła, jakby ten pokój znajdował się poza jego zasięgiem. Podchodzę do niego, dziękuję, mówię szeptem, trochę zawstydzona, to było okropne, przestraszyłam się.

Tak, kiwa głową. Opowiedziałas sobie przerażającą historię. Natychmiast się spinam. Co to znaczy, opowiedziałam sobie, to była rzeczywistość, drzwi nie chciały się otworzyć, klucz się zaciął, nie wierzysz mi? Oczywiście, że ci wierzę, uśmiecha się. Zaistniał jakiś mały problem, pytanie, co za nim stoi. Co ty mówisz, bronię się, nigdy nie używaliśmy tego zamka. Mnie się udało bez trudu, mówi.

Co dokładnie masz na myśli? - pytam ze złością. To jasne. Ty nie chciałaś otworzyć drzwi, nie chciałaś pójść do dziecka, przeszkoda tkwiła nie w zamku, ale w tobie samej. We mnie? - protestuję. Nic podobnego. Próbowałam bezskutecznie otworzyć drzwi i naprawdę bardzo się wystraszyłam. To prawda. Najbardziej boimy się siebie samych, rozumiesz? Słucham ze

zdumieniem i urazą. Nic podobnego, nie akceptuję tego zwariowanego wyjaśnienia, ja nie chciałam się zająć własnym dzieckiem? Skąd tak dobrze wiesz, czego chcę, a czego nie chcę, jak długo w ogóle mnie znasz? Uspokój się, uśmiecha się, muska palcami moją twarz, nie musisz akceptować niczyich wyjaśnień, zazwyczaj nie analizuję bliskich mi ludzi w ten sposób, a jeśli już, nie wtajemniczam ich w moje wnioski, tym razem nie miałem wyboru, to było zbyt oczywiste, jesteś zbyt ślepa. No dobrze, mówi na koniec. Wybacz mi tę spontaniczną analizę, idę, zanim mnie wyrzucisz. Lekki, powściągliwy uśmiech pojawia się na jego wargach, gdy otwiera drzwi, stoi w progu w czarnym płaszczu, pod spodem ma sztruksową koszulę, zapiętą na guziki, a pod nią wielką, nieregularną bliznę.

Nie zadawaj się z nim, mówiła matka, wszyscy wiedzą, że jest chory, niemożliwe, protestowałam, wygląda całkiem zdrowo. Nie bądź naiwna, mówiła, to tylko chwilowa poprawa, kto wie, jak długo potrwa, jesteś w klasie nowa i jeszcze nie wiesz, wiedzą wszyscy oprócz ciebie, on nie dożyje siedemnastych urodzin, nie chcę jej wierzyć, przecież jest taki wysportowany, w białym stroju do tenisa, zawsze przed albo po treningu, zawsze uśmiechnięty, nic go nie dręczy, zawsze otoczony dziewczynami, pierwszy zwrócił na mnie uwagę w nowej klasie, dostrzegł moją twarz, udręczoną brakiem snu, zaofiarował bliskość, nie miałam pojęcia, jak cenną, pozostali zaczęli go naśladować, i obce, nieprzyjazne miasto w końcu spojrzało na mnie przychylniej. Zadzwoił w pewien piątek, rodzice wyjechali na weekend, jestem sam w domu, przyjdź do mnie, powiedz, że przenocujesz u Dorit. Natychmiast umówiłam się z Dorit, która mieszkała naprzeciwko niego, także wtedy był środek zimy, w niebie rozlegały się eksplozje, kiedy wychodziłam z domu odprowadzana pełną podejrzliwości irytacją, mam nadzieję, że nie idziesz do Gil'ada, powiedziała matka, zawsze upierała się, żeby nazywać go Gil'ad, chociaż wszyscy mówili na niego Gili, wiem, że jego zainteresowanie ci pochlebia, ale uwierz, to tylko z powodu choroby.

Odczep się, idę do Dorit, odwarknęłam, w kilka minut opuściłam uprzywilejowane ulice i dotarłam na osiedla bloków, tak podobnych do siebie, że zawsze się myliłam, łatwiej rozróżniałam drzewa owocowe koło mojego dawnego domu. Długie, puste rękawy wskazywały na mnie z drwiną niczym żywe stworzenia, powieszono do góry nogami na sznurach, cienkie betonowe ściany poczerniały podczas ulewy i wyglądały jak zrobione z bazaltu, otworzył mi bez koszuli, w krótkich spodenkach do tenisa, jakby wszystkie jego ubrania zostały przez zapomnienie na dworze, chłopięca pierś była gładka i złocista, włosy opadały na ramiona, skapujące z nich krople wody toczyły się po skórze, oczy błyszczały mu niczym liście po deszczu. Jaki był piękny, jakby pragnął, aby cały świat wstrzymał oddech, zanim go zostawi, jakby chciał wyrzucić na nim niezapomniane wrażenie młodości w rozkwicie. Zrobił nam gorącą czekoladę, gęstą niczym budyń, przeczytał mi opowiadanie, które napisał, tak pięknie pisze, jest też najlepszy w naukach ścisłych i w sporcie, najbardziej czarujący, wszyscy go lubią, lecz nikt nie wie, kogo on naprawdę lubi, nawet ja nie wiem, czy jesteśmy parą, zawsze pozostaje między nami coś niedopowiedzianego, patrzę na niego tęsknie, jego urodziwa młodość składa pośrednio świadectwo mojej młodości, zamglonej i nierzeczywistej. Zauważyła moje spojrzenie i uśmiecha się, jesteś wyjątkowa, Elu, inna niż wszyscy, będziesz miała niezwykle życie, będziesz robić coś ważnego. Niemożliwe, to ty jesteś przeznaczony do wielkich celów, na pewno napiszesz powieść, którą wszyscy będą się zachwycać, przeczytam ją i zadzwonię do ciebie, ale nie będziesz mnie pamiętał. Macha przecząco ręką, co znaczy ten gest, mimowolnie szukam znaków, czy wiedziałeś, że nie dożyjesz siedemnastych urodzin, co miałaś na myśli, mówiąc, tylko ziemia będzie czytać to, co

napiszę.

Proponuje, żebym spała w łóżku jego siostry, która wyjechała z rodzicami, jesteś mniej więcej jej wzrostu, Śmieje się, tylko że ona jest w trzeciej klasie. Opowiadam mu o piersiach, które boją się rosnać, w nocy, po ciemku, opowiadam o wszystkim, przestrzeń między łózkami zapełnia się coraz bardziej, jaka samotna jestem wobec krzyków, zakazów, gróźb, jak marzę o bracie czy siostrze, którzy byliby przy mnie, może wtedy udałoby mi się urosnąć, żebym tak mogła zostać tu na zawsze, w łóżku twojej siostry, nagle wstaje, dokąd idziesz, pytam, do ciebie, jego złociste ciało jarzy się w ciemności jak wielka, jasna świeca, pociesza mnie pożądanymi rękami, czy to jest smak młodości, kwaskowy i rozgorączkowany, z góry przynoszący zawód? Wijemy się na łóżku jego dziewięcioletniej siostry, kochałaś się już z kimś? - pyta swoim pięknym hebrajskim. Nie, a ty? - odpowiadam. Właściwie nie, mówi. Nie wiem nawet, co to znaczy, czy palące uczucie między nogami to jest właśnie to. Jeszcze nie, Gili, cofam się. To dla mnie za wcześnie, przestrogi ojca nieprzerwanie dźwięczą mi w uszach. Człowiek powinien umieć się powstrzymać, inaczej się rozbije, jak samochód z zepsutymi hamulcami, który sieje wokół zniszczenie.

Ale ja nie mam czasu, ja nie mam, szepcze. Dlaczego? - pytam, okleja mnie lepki strach. Zbывa mnie. Nieważne, ach, jaką słodką mam siostrzyczkę, zachwyca się, jego pachnące włosy laskoczą mnie po twarzy, gładka, napięta skóra sprawia wrażenie, jakby miała się zaraz rozdrzeć, bliskość, do której nie jestem przyzwyczajona, napawa mnie lękiem, chodźmy spać, mój piękny braciszku. Nigdy w życiu, mówi, nie wolno nam spać. Wtedy wiem, że to się stanie tej nocy, nawet jeśli to zbyt wcześnie, bo zdecydowany zawsze pokona wahającego się, czekam na słowa, lecz słyszę tylko oddech, jakby został sam, dyszy w przejętym, przynoszącym zawód milczeniu, daj mi słowa, które napełnią znaczeniem nasze oddechy, które rozproszą samotność, powiedz, że jestem twoją ukochaną, czy przez całe życie będę musiała szukać znaków?

Któreś z nas szlocha, a może oboje naraz, najzimniejszej nocy tamtej zimy, chwytam się siebie kurczowo, jakbyśmy ukrywali się przed śmiertelnymi wrogami, w końcu zasypiamy w wąskim łóżku jego siostry, wcześniej rano budzi nas ostry dzwonek do drzwi, w progu staje moja matka, całe szczęście, że ojciec nie wie, syczy, patrzy ze złością, bo stoję w jego koszulce, długiej jak sukienka, jeśli ojciec się dowie, koniec z tobą, natychmiast chodź do domu, zabiera mnie niczym niemy przedmiot, nie zdążyłam się pożegnać, przez całą drogę do domu prowadzi samochód z zaciśniętymi ustami, zrywa jedyne łączące nas przymierze, przymierze przeciwko mojemu ojcu. Wszystkiego się dowie, jeśli to się natychmiast nie skończy, grozi, wiesz, że nie jestem taka jak on, nie mam nic przeciwko temu, żebyś się spotykała z chłopcami, ale nie z nim, uwierz mi, to dla twojego dobra, ten chłopak jest chory. Co ty zrobiłaś, krzyczę, co zrobiłaś, właśnie dlatego muszę być z nim jak najdłużej, natychmiast mnie odwieź z powrotem, jak mocna była pokusa, aby wyskoczyć z jadącego samochodu, wrócić do niego i słuchać słów miłości.

Nie mogę pozwolić, abyś się zaangażowała, cedzi, uwierz, że wiem, o czym mówię, nie dopuszczę do tego, żebyś została szesnastoletnią wdową. Nazajutrz rano czekałam pod bramą, ale nie przyszedł do szkoły, nauczycielka powiadomiła nas, że w sobotę nastąpiło nagłe pogorszenie i zawieziono go do szpitala w Szwajcarii, każdy, kto chciałby wpłacić pieniądze, niech powie o tym rodzicom, będziemy też pisać listy. Matka przekazała hojną sumę, jakby tylko czekała na tę okazję, zbierano pieniądze i pisano listy, ale piękny, utalentowany chłopak, duma swej małej rodziny, duma biednego osiedla, z którego się wywodził, duma szkoły i klasy, nie wrócił ze szpitala w Szwajcarii i nie dożył swoich siedemnastych urodzin. Ja, która nie zdążyłam być po

nim wdową, przysięgłam sobie, że jeśli będę miała syna, nazwę go Gil'ad, a jeśli mój mąż się nie zgodzi, odejdę od niego natychmiast. Amnon się zgodził, lecz mimo wszystko opuściłam go później, z całkiem innych powodów.

Twoja mama miała rację, mówi Oded, to oczywiście, nie postąpiłabyś dokładnie tak samo? Pozwoliłabyś swojej córce wejść w taki związek? Rozumiem twój pociąg do erosa i tanatosa, wszyscy w gruncie rzeczy marzymy o tym, aby kochać i umrzeć albo kochać i żyć wiecznie, co jest mniej więcej tym samym, ale bez wątpienia twoja mama postąpiła tak, jak powinna, nie miała wyboru. Nieprawda, mówię, nie wolno jej było zabierać mnie w taki sposób, bez pożegnania, wszystko zostało przecięte tak tragicznie, to nie tylko jego wielka tragedia, ale i moja, mniejsza, zmarnowałam młodość, usiłując dociec, czy mnie kochał. Chciał, żeby pochowali jego opowiadania razem z nim, a ja marzyłam, że kopię w ziemi i odkrywam je, czytam, że mnie kochał, przez całe lata nie mogłam uprawiać seksu, może to go zabiło, było tak zimno, a on się spocił, pot wysechł mu na skórze, może gdyby mnie tam nie było, nie zachorowałby.

Tak, mówi, bez wątpienia złość może zabić. Jaka złość, pytam, na matkę? Nie, na niego, odpowiada, przecież cię zmusił, pragnęłaś brata, nie kochanka, a on się z tobą przespał i cię porzucił, nie zaspokajając twoich narcystycznych pragnień, nic dziwnego, że go ukarałaś. Ja go ukarałam? - powtarzam wstrząśnięta. O czym ty mówisz? Nie denerwuj się, uspokajają z uśmiechem. Chodzi mi wyłącznie o poziom symboliczny, jak to możliwe, że wciąż z zaskoczeniem odkrywasz, że masz świadomość, zaczynam odnosić wrażenie, że ktoś, kto zajmuje się kamieniami, nie rozumie ludzi. Tak? A ja zaczynam się obawiać, że narzucasz rzeczywistości swoje dziwne wyjaśnienia, że umyka ci to, co oczywiście, jak możesz mówić takie rzeczy bez sprawdzenia? - sarkam z irytacją, która natychmiast rozplywa się na widok jego uśmiechu. Wiesz co, mówi, ja bym się nie zgodził na takie upamiętnienie, nie pozwoliłbym ci nazwać dziecka imieniem tego chłopaka. Naprawdę, dlaczego? - zdumiewam się. Amnonowi to w ogóle nie przeszkadzało. Mnie by to przeszkadzało, mówi. Wybór przeszłości, z którą trudno rywalizować. Jest coś drażniącego w postaci zmarłego młodo kochanka, to wydaje się niezdrowe, dla ciebie i dla dziecka, a z pewnością dla partnera. Znowu się zachmurzam, nie mam ochoty przyznawać, że Amnon w czymś go przewyższał, jeśli to faktycznie zaleta, może faktycznie ten wybór podyktował nasze losy.

Masz jeszcze jakichś zmarłych ukochanych? - interesuje się. Nie, mówię. On był jedyny. Śmieje się z ulgą. Dobrze, o to przynajmniej nie będziemy musieli się spierać, jeśli będziemy mieli dziecko. Wstrzymując oddech, patrzę na niego, na łukowate okno, za którym widać mury Starego Miasta, na wieżę Dawida, którą przysłaniają czarne, burzowe chmury, czy to właśnie widzisz we mnie, nową, późną rodzinę, gdy ja widzę wizję młodości, nie dziecka pragnęłam, odchodząc od Amnona, mimo wszystko mogę sobie wyobrazić przez chwilę, że na podłodze obok stołu leży niemowlę w nosidełku, podryguje radośnie, jak niegdyś Gili, pełza po domu, choć nie jest realne, nie można go zignorować, kiedy te słowa już padły, choć nie mogę go usłyszeć ani poczuć. Czy będziemy tak kiedyś siedzieć, otoczeni dawnymi i nowymi dziećmi, może to będzie nasza pociecha, a może to nas pokona. Już mówisz o dzieciach? - śmieję się. Nawet jeszcze ze sobą nie spaliśmy. Masz rację, mówi. To poważna przeszkoda, którą niebawem naprawimy, obiecuję. Skończ i będziemy mogli wyjść. Wzdycham na widok kolorowych resztek ryby, warzyw i słodkich ziemniaków. Może ty dokończysz, nie jestem już głodna.

Mam nadzieję, że na seks masz większy apetyt, uśmiecha się, przyciąga do siebie moją twarz, obsypuje wargi szybkimi pocałunkami, jakby w restauracji było pusto, jakby mury miasta nie patrzyły na nas smutnymi, kamiennymi oczami. Mam wrażenie, że roztopiają mi się kości, drzwi otwierają się z cichym, zachęcającym pomrukiem, tym razem nie powiem: to zbyt wcześnie, w tej chwili mam ochotę na to, co on, kiedy wychodzimy pośpiesznie, kładąc banknoty na stoliku, nie czekając na resztę, patrzę ze współczuciem na twarze nielicznych gości, jacy wydają się nieszczęśliwi, zatroskani, słabowici, mam wrażenie, że niosę im pocieszającą nowinę, która docierała do mnie przez wiele miesięcy. Nie bójcie się, powiem, nie bójcie się zmiany, bo będziecie rodzić się wciąż na nowo, ciągle od nowa będzie pisana wasza historia, nowe życie przyćmi dawne, popatrzcie na mnie, nie uwierzylibyście, gdzie znajdowałam się nie tak dawno temu, gdzie znajduję się teraz, nowe szaty miłości zastąpiły wytarte łachmany, które z trudem okrywały moją nagość, szaty nowej miłości, zapisanej we mnie linijka po linijce starożytnym, tajemniczym pismem, wydaje się, że teraz, kiedy jego twarz promienieje na wprost mnie niczym pochlebiające lustro, litery łączą się ze sobą, w to piątkowe popołudnie naprzeciw murów, gdy musztardowe promienie słońca przecinają kurtynę chmur, przywołując na myśl inne pory roku, kryjące się w zakamarkach nieba, czekające na swoją kolej, brzemienne we wszystko, co nas czeka.

Na parkingu pozdrawia go młoda kobieta, jej zebrane do tyłu włosy są idealnie gładkie, mam wrażenie, że wciąż tkwią w nich zęby grzebienia, uśmiecha się do niego wieloznacznie, odprowadza nas spojrzeniem wielkich, umalowanych oczu. Kto to? - pytam. Bez komentarza, mówi. Ciągnę go za rękaw. Powiedz tylko, że to nie twoja kochanka. Nie, to nie moja kochanka, rzuca. Co się z tobą dzieje, w końcu upodobnisz się do Michał, chciałabyś, żebym podejrzewał każdego faceta, któremu mówisz „dzień dobry” na ulicy? Na pewno nie, mówię. Amnona nigdy o nic nie podejrzewałam, ale ciebie nie znam wystarczająco dobrze, najwyraźniej zazdrość Michał jest zaraźliwa. Znowu przypominam sobie rozmowę nad kraciastym obrusem, tak, to było wyreżyserowane, usiłowała rozsiać zarazki swojej zazdrości, wsiałam do samochodu, starając się nie myśleć o niej, o ponurym weekendzie, który ją czeka, samotna matka z dwojgiem dzieci, czy zaprosiła na kolację rodziców, żeby zamaskować jego nieobecność, powiększyć pomniejszoną rodzinę.

Prowadzi niezbyt uważnie, trochę zatroskany, obiecuję, że nie będiesz zadawać takich pytań, prosi, nie chcę, że upodobniła się do Michał. W porządku, postaram się mówić. Ale na pewno czasami będę jak Michał, a ty jak Amnon, to nieuniknione. Może, twierdzi. W tej sprawie jestem przewrażliwiony. Spoglądam na jego profil, w jakiej sprawie nie jesteś przewrażliwiony, lecz wszystko wciąż budzi we mnie ciekawość i zaskoczenie, jakbym trzymała w dłoni starożytną figurkę, posążek w kształcie mężczyzny. Przytulam się do niego, aż twarz mu mięknie. Jak chłodno powiedział dziś rano: Elu? Nie sądziłem, że zadzwonisz. Umawialiśmy się na weekend, prawda? - odparłam. Co z tobą będzie, wzdycha. Nie jesteś gotowa ponieść kosztów, jak chcesz mieć ojczyznę, skoro nie płacisz podatków? Ciągle płacę podatki, mówię. Nie chcę tylko poświęcać dziecka.

Oszalałaś, gani mnie, kto cię prosił, żebyś poświęcała dziecko? Mówił nieprzyjemnym tonem, ale puściłam to mimo uszu. Spotkajmy się w południe, zasz tę nową restaurację naprzeciw murów Starego Miasta? Jedziesz w złym kierunku, mówię. Tu trzeba skrócić w lewo. Z uśmiechem kładzie mi rękę na kolanie. Pytanie, dokąd chcemy dojechać. Do domu? - mówię. Do czyjego? Nie mamy wspólnego domu. Chcę ci pokazać mój.

Myślałam, że mieszkasz w klinice, dziwię się. Nie masz najnowszych informacji, wyjaśnia z uśmiechem. Nie podajesz mi ich, odcinam się. W oczy szczypie mnie pyłek niewyraźnej urazy, on buduje swoje życie, podpisuje umowy, przelewa pieniądze, ustala terminy, zanurza stopy w wartkim nurcie życia, podczas gdy ja modłę się, aby się nie okazało, że przegnałam go na zawsze, czekam w napięciu na weekend, wydaje mi się, że droga do niego jest ponad siły, taki jest odległy, a szlak tak trudny, tych, którzy nim idą, czeka wielkie szczęście, ale też ogromny wysiłek. O której godzinie dokładnie to szczęście się zacznie, kiedy pojawi się w moim domu lub w moim ciele, może gdy wyobrazę sobie, że to wszystko faktycznie się dzieje, gdzie będzie moje osobiste szczęście, a nie to schowane w kieszeni u mężczyzny, żeby pojawić się i zniknąć wraz z nim, może właśnie jego powinnam poszukać w ten weekend, przecież kiedy byłam dziewczynką, nie miałam męża ani nawet dziecka, samotnie spałam w wąskim, pojedynczym łóżku, budziłam się samotnie, widząc przed sobą zmieniające się niebo, gaszące błękitem ogień wschodzącego słońca, który płonął w pościeli.

Na końcu alei rosną rozłożyste drzewa *karob*, o gałęziach powykręcanych ze starości, niepotrzebne owoce leżą na ziemi w kurczącym się cieniu, Oded parkuje samochód, jesteśmy niedaleko mojego domu, a także niedaleko domu, który opuścił. Znam tę ulicę, ale wąski zaułek, odchodzący od niej niczym złamana gałąź, odstająca od pnia, jest mi nieznany, nigdy nie stapałam po tym krętym chodniku, po szarych łatach asfaltu, tchnących zaniedbanie, jakby ten zaułek był jedynie tylnym podwórkiem pewnej siebie ulicy, nie należy się tu osiedlać, lecz je pośpiesznie minąć, stromy spadek przyśpiesza kroki niczym podmuch wiatru w plecy.

W kącikach ust pojawia mu się zaczątek uśmiechu, gdy popycha drzwi na klatkę schodową starego, betonowego budynku, drzwi do mieszkania, na których nie widnieje jeszcze jego nazwisko, otwierają się, ukazując białą, prawie całkiem pustą przestrzeń, w której unosi się duszący zapach świeżego tynku. Jeszcze nie zdążyłem kupić mebli, mówi, byłem tu przedwczoraj i od razu je wynająłem, to pierwsze mieszkanie, które obejrzałem, podoba ci się? Jego głos odbija się echem wśród śnieżnobiałych ścian, Badając słowem odświętny, trochę sztuczny ton, jakby przemawiał. Chodzę po pokojach, jest ich coraz więcej, wydaje się, że z każdego otwiera się następny. To ogromne mieszkanie, zauważam z podejrliwym zdziwieniem. Po co ci aż tyle pokoi? Chyba lepiej za dużo niż za mało? - odpowiada. Tak, jeśli to możliwe. Mimo wszystko zastanawiam się, jakie życie sobie wyobraża, przecież całymi dniami jest w klinice, dzieci na pewno będą przychodziły raz czy dwa razy w tygodniu, może chce mi dać coś do zrozumienia, to sygnał, że bierze pod uwagę mnie i Gilego, może chodzę po moim przyszłym domu, niczym człowiek, który nieświadomie stąpa po ścieżkach swojej przyszłości.

Czyj będzie ten pokój? - wskazuję na całkiem puste, przestronne i kwadratowe pomieszczenie, wysuwa się z niego wąski balkon niby niedomknięta szuflada. Maja go wybrała, mówi. A Jotam ten obok. Na szczęście udało im się nie pokłócić. Teraz czuję w kącikach oczu ziarenka przykrości. A więc dzieci były tu przede mną, choć właściwie czemu nie, przecież to będzie ich dom, a jednak dla kogo jest dodatkowy pokój, za sypialnią, w której już stoi podwójne łóżko i szeroka szafa z lustrem, przeglądam się w nim zdumiona, nie jestem przyzwyczajona widzieć nas obok siebie, pośród białej pustki. Pokój nie jest duży, ale spowija go wielka tajemnica. Oded patrzy na niego w milczeniu, na jego wargach majaczy niezrealizowana obietnica uśmiechu, mam wrażenie, że zerka na mnie z ciekawością, spodziewa się pytania, ale ja szybko kończę tę połowiczną wycieczkę, siadam na kanapie

stojącej samotnie w salonie, wyglądam przez okna, sosny, których wysokość przytłacza cienkie pnie, krzewy bzu o nagich gałęziach na wiosnę pokryją się zielonymi listeczkami, zmienia życie, jak dom, który napełnia się dziecięcym śmiechem, wydaje się, że najbardziej na świecie pragnę być tutaj z nim na wiosnę, widzieć, jak drzewa zmieniają nastrój niczym na zawołanie.

Gratulacje, mówię, a on kiwa głową w roztargnieniu, siada na kanapie obok, chyba sam nie czuje się zbyt swobodnie w tej pustce, która jeszcze nie zdecydowała, czym się zapełni, czy on także myśli teraz o domu, który opuścił, o fotelach i kanapach, dywanach i obrazach, o misie z czerwonymi gruszkami, o karteczkach na lodówce, o głosach dzieci i stłumionym szlochu, dochodzącym z jednego z pokoi. To takie nagle, mówi, jakby przepaszając, zrobiłem to wszystko bardzo szybko, zanim zdążę zmienić zdanie, za długo mieszkalem w klinice, musiałem stworzyć sobie namiastkę domu. I namiastkę żony? - poddaję, a on powtarza, przeciągając jak zawsze sylaby: Namiastkę żony. Może. Przeszkadza ci to? Właściwie nie, o ile to będę ja. Tak, to ty. Wierzę, że to będziesz ty. Ale wędruje niespokojnie wzrokiem po pustych ścianach, jak ktoś, kto dopiero co zauważył, że nocą wierzyciele skonfiskowali wszystkie rzeczy. To czemu nie kochasz się ze mną? - szepczę. Odwraca się do mnie jak zbudzony ze snu. Oczywiście, że się z tobą Kocham, przez cały czas, nie czujesz? Rozpina powoli mój cienki pomarańczowy sweter, uśmiecha się do odsłoniętej piersi jak do starej znajomej. Ładnie wyglądasz w dziennym świetle, mówi szeptem, w dzień jesteś bardziej miękka. Mam wrażenie, że dzinsy same ze mnie spływają, woła szczęśliwego ciała, które pragnie być nagie niczym ciała malutkich dzieci skrępowane ubrankami, nawet on zrzuca rzeczy z niezwykłą łatwością, kiedy wstaje, żeby pójść się wysikać, odprowadzam go wzrokiem, pogrążony w myślach stoi w samych majtkach nad muszlą, wydaje mi się, że podglądam go, jak wtedy, w progu jego domu, w sobotni poranek, kiedy nasze dzieci bawią się w pokoju obok, jest mi całkiem obcy, teraz podchodzi do mnie blady i podniecony, przyciąga do siebie moją twarz, liże wargi, to miało się wydarzyć wtedy, a dzieje się teraz, nawet jeśli lato zamieniło się w zimę i na nagich drzewach nie pozostał ani jeden liść. Niezwykła łaska przypadła nam w udziale, otrzymaliśmy drugą szansę, możemy przekształcić zakazane w dozwolone, wielka, biała fala wdzięczności zalewa mnie w jego ramionach w ten weekend, jakby to było miejsce, a nie czas, nazwa odległej wyspy, wyspa weekend; w przeciwieństwie do wyspy dzieci, gdzie dzieci zostały bez rodziców, na naszej wyspie są rodzice bez dzieci, choć na określony, krótki czas, aby można było przypomnieć sobie samolubne, wygodne życie, nawet słowa Gilego, nie cierpię taty Jotama, tracą moc, bo ten niezwykły mężczyzna, któremu włosy z wdziękiem opadają na czoło, który ma wilgotne oczy, w ten weekend nie jest niczym ojcem, należy do mojego ciała, które poddaje się jego ruchom, do uszu zakochanych w jego głosie, do warg pochłaniających jego wargi, do palców rozmawiających z jego palcami, należy do mojego ciała, które nie chce wiedzieć, że kiedyś była w nim inna, nowa ludzka istota, narządy płciowe zapomniały, że kiedyś ze straszliwym wysiłkiem przepychało się nimi dziecko, sutki drżące pod jego językiem nie pamiętają, że niegdyś ssaly je bezzębne dziąsła i płynęło z nich mleko, ciało pragnie doznawać tylko rozkoszy, pulsujących, ciepłych oparów rozkoszy, oparów dawnej tęsknoty, jęczącej w członkach, kołysania się dzwonów piersi, szmeru wzdychającej skóry, krzyku namiętności.

To nie za wcześnie, jesteś mnie wystarczająco pewna, szepcze, a ja drzę na widok jego zbliżającego się członka, zaciskam się na nim jak obrączka na palcu, poświęcam nas sobie nawzajem rytmicznymi ruchami, które dążą do niewidzialnego punktu jak piękny sen, który

rozpływa się po przebudzeniu, tak, jestem ciebie pewna, choćby tylko dlatego, że zapytałeś, i kiedy wreszcie nadejdzie rozkosz, zapuka do drzwi niczym wyczekiwany gość, niosący napełnione kosze, ciężka i powolna, złocista jak plaster miodu rozpływający się w słońcu, staniemy się miękcy i lepcy, niby ulepieni z ciepłego ciasta, gorące ludziki z piernika, będziemy toczyć się objęci po łóżku, moje włosy w jego ustach, jego ręce na moich biodrach, moja twarz w zagłębieniu jego szyi; zapadając w przedwieczorną drzemkę, która nie jest snem ani jawą, lecz przedłużającym się wspomnieniem szczęśliwego ciała, czuję, że podwaja i potraja się rozkosz, aż wydaje się, że ciało nie może jej pomieścić, nie może jej pomieścić mieszkanie ani kręty, wąski zaułek, ulica ani całe miasto dławiące się rozkoszą, za oknami rozlega się jęk syren, i choć wydobywa się z urządzenia elektrycznego, mam wrażenie, że rozlega się z niebios, które chcą wziąć udział w radości zaślubin, dołączyć swe błogosławieństwo do błogosławieństwa mokrych kamieni, nagich gałęzi, wiem, że w każdy piątek wieczorem na dźwięk syren przypomnę sobie tę chwilę, a ta chwila przypomni sobie mnie, nawet jeśli już nigdy nie wróci, świadomość, że kiedyś się wydarzyła, będzie towarzyszyć mi niczym zapomniana modlitwa, opieram się na łokciach i przyglądam jego twarzy, mam wrażenie, że pojawił się na niej rzadko spotykany, widoczny tylko dla nas niuans, jakbyśmy nagle odkryli tajemne więzy krwi, sekretne, wspólne przeżycie z dzieciństwa, jego twarz staje się znajoma, jakby wtedy chował się ze mną, kopiąc jamę w sadzie, norę, która ukryje nas oboje.

Na kamienne domy, na ciemne czubki drzew opada chłodny zimowy zmierzch, listwy elektryczne w ścianach na próżno usiłują ogrzać wielkie, puste mieszkanie, w którym nie ma na razie prawdziwego życia, kiedy wyciągam rękę po sweter leżący przy łóżku, Oded chwyta mnie za ramię, poczekaj, nie ubieraj się jeszcze, wstaje i przynosi z sypialni koc, co prawda cienki, ale wydaje się, że znajdujące się w środku powietrze jest rozgrzane, otula mnie, leciutko poklepując, jakby obsypywał mnie piaskiem na plaży, w milczeniu gładzi moje włosy, rozpościera je na poduszce, jeszcze nic nie zostało powiedziane, oboje się boimy, nawet słowa się boją, aby nie popełnić błędu, nie zburzyć magii zapadającego zmierzchu, spowijającego okna fioletowymi, ciemniejącymi zasłonami.

W milczeniu przyglądam się, jak chodzi boso, odkręca kran i nalewa wodę do czajnika, wyjmuje ciasto z torby, nóż z szuflady, talerz z szafki, każdy ruch wydaje się cudowniejszy od poprzedniego, moje ciało najwyraźniej zapomniało, jak się poruszać, ręce i nogi leżą bezwładnie, milczące ze zdumienia, ogarnęło mnie dobrowolne kalectwo, jakbym dość się ruszała i nie miała na to więcej ochoty, chcę tylko leżeć na kanapie w królewskiej pozie, niczym wyrzeźbiona, i rozkoszować się tym, jak może być dobrze. Jak smaczne będzie ciasto, jak aromatyczna kawa, jak czarujący jest ten mężczyzna, który opiekuje się mną tak naturalnie, jak głębokie jest zadowolenie z nic nierobienia, chyba na świecie zapanowały nowe prawa, nie trzeba się wysilać, dary nadchodzą jeden za drugim, w niekończącej się, rozkosznej procesji, Oded stawia tacę na kanapie, ze słowami: Co to będzie, nie będziesz już mogła narzekać, że się nie kochamy. Chyba już nigdy nie będę na nic narzekać, śmieję się. Postaram się znaleźć inne zajęcia. Dlaczego, aż tyle narzekałaś? - uśmiecha się. Bez końca, mówię.

Na co na przykład? - pyta, podając mi kubek z gorącą kawą. Pociągam prędko łyk, kilka kropeł sływa mi po brodzie, spada na pierś, Oded nachyla się i je zlizuje. Czy to ważne, wzdycham. Co za sens przypominać sobie poprzednie życie, które teraz wydaje się wąskim, ciemnym, wyboistym szlakiem, ten szlak miał mnie doprowadzić do tego momentu, do tego mieszkania, do tego mężczyzny. Z typowym dla siebie pośpiechem machnięciem ręki zbywam

minione lata, jakby nie było w nich ani jednej wartościowej chwili, jakby żadna nić nie rozciągała się między dawnym a obecnym życiem, żadna więź, żadne wyobrażenie. Z pośpiechem kogoś, kto ocalał z kataklizmu, i wydaje mu się, że jego szczęście jest pewne, mówię znowu: Czy to ważne, nie będę już na nic narzekać. Zerka na mnie rozbawiony. Wiesz, obietnice składane w łóżku często są bez pokrycia. Bawi się moimi włosami jak dziecko, które głaszcze kotka, oczekując na kojące mruczenie.

Stłumiony pisk spłoszonego ptaka, zaskakująco znajomy, dobiega nagle z dna mojej torby, grzebię w środku, sprawdzę tylko, czy to nie Gili, ale odbieram, choć nie rozpoznaję numeru, słyszę jej szorstki głos, jak zawsze pełen lęku, gdzie jesteś Elinko, przez cały dzień nie ma cię w domu, skarży się moja matka. -Jestem u przyjaciół, mówię, a ona pyta: U przyjaciół Gilego? Jakbym nie miała odrębnej egzystencji. Nie wiadomo, czemu mówię: Tak. Pamiętasz, że umawialiśmy się dzisiaj na kolację? - pyta. Oczywiście, zapomniałam, najwyraźniej zgodziłam się bezmyślnie, nie pamiętałam nawet, że Gilego nie ma ze mną w ten weekend. Przyjdźcie o siódmej, mówi, zrobiłam jego ulubioną słodką zapiekankę, ja potwierdzam krótko, nie wyprowadzając matki z błędu, o niczym jej nie mówię, poddaję się zaproszeniu, które jest nieodwołalne niczym wyrok losu, coraz bardziej korci mnie, żeby ich zaskoczyć, sprowokować moim nieoczekiwanym szczęściem, postawić błogosławieństwo obok przekleństwa, które otrzymałam w ich domu.

Oded, mam pewien plan, przytulam się do niego. Spodziewam się, że go zaakceptujesz. Naprawdę? - dziwi się. Ale nie dotyczy to innych ludzi? - dodaje. Niewielu, mówię. Tylko dwojga. Elu, musisz mnie zapytać, zanim się umówisz, protestuje. Widuję tyle osób w ciągu tygodnia, że w czasie weekendu muszę pobyć sam. Zapomniałam, że się umówiłam, tłumaczę. A teraz nie mogę już odwołać. No trudno, wzdycha. Co to takiego? Odwraca do siebie mój podbródek, już opuszczony w grymasie obrazy. Moi rodzice, mówię. Chcę, żebyśmy do nich poszli na kolację. Nie sądzisz, że to za wcześnie? - cofa się. Chcesz przyprowadzić mnie niczym nowego narzeczonego do domu rodziców w piątek wieczorem? Jeśli dla ciebie nie jest za wcześnie, żeby się ze mną przespać, upieram się, to także nie jest za wcześnie, żeby pójść do moich rodziców.

Co to ma do rzeczy, zachmurza się. Skąd wzięłaś te drobnomieszczańskie przekonania, kogo starasz się ukarać, czy oni w ogóle wiedzą, że nie przyjdiesz sama? Oczywiście, że wiedzą, potwierdzam. Prostuje się niechętnie. Pozwól mi to przemyśleć, idę wziąć prysznic, jego szczupły tors porusza się sztywno, jakby nieostrożny ruch mógł sprawić, że rozejdą się stare blizny. Owinięta kocem stają przy oknie, korony drzew poruszają się na wietrze niczym stado ogromnych zwierząt, które budzą się nocą do życia, powoli kroczą w ciemnościach, jutro będą już gdzie indziej. Odwracam głowę i patrzę na pokój, w którym stoi samotna kanapa, trzymam się ściany, starając się przenieść tu w wyobraźni swoje meble, kanapa i dwa fotele lekko szybują w powietrzu, pomarańczowy bawełniany chodnik, półki z książkami, w których zieją puste miejsca niby oczodoły, w ślad za nimi frunie dziecko o oczach barwy jesiennych liści, w ramionach trzyma naręczę drobnych zabawek, które wypadają w locie, kiedy byłam mała, nie miałam domu, pobliski sad kochałam jak dom, tylko tam czułam się bezpiecznie, gdy nad moją głową promienie słońca zszywały brzegi chmur złotymi nićmi.

Przyznaję, że trudno mi ci odmówić, mówi po powrocie z łazienki. Jego szczupła klatka piersiowa jest wciąż naga, zaróżowiona po kąpielu, roztacza delikatny aromat lawendy, dolna część ciała odziana jest w czarne spodnie, trochę za luźne. Zapina ciasno pasek. Chociaż to mi

naprawdę teraz nie odpowiada. Nie obrażaj się, pozwól mi na razie być kochankiem, nie rób ze mnie narzeczonego. W porządku, mówię. Nie ma problemu, pójdę sama. Zrywam się z miejsca, jakby podłoga parzyła mnie w stopy, szybko biorę prysznic w łazience wyłożonej błękitnymi kafelkami, para, która dotykała jego ciała, jeszcze się nie rozplynęła i otacza mnie, moją pęczniącą obrazę, choć jestem przekonana, że ma rację. Komu to w ogóle potrzebne, skąd impuls, żeby podrażnić moich rodziców, dać im dotknąć mojego nowo narodzonego szczęścia, pozwolić uszczypnąć je w policzki zimnymi palcami, już postanawiam zrezygnować, ale gdy wracam do salonu owinięta ręcznikiem, Oded czeka przy drzwiach w białej bawełnianej koszuli i ciemnej marynarce, wilgotne włosy ma zaczesane do tyłu, jakby udawał się na oficjalne przyjęcie. Zdążyłem już przywyknąć do tego pomysłu, mówi. Skoro tak się upierasz, widocznie masz ważne powody.

Daj mi jakieś wskazówki, mówi, gdy wychodzimy z budynku. Mam zrobić dobre czy złe wrażenie? Złe, odpowiadam. Oczywiście. Dobrze, postaram się, kiwa głową z powagą, jakby spoczywała na nim ciężka odpowiedzialność, kroczy przy mnie w milczeniu pustymi i ciemnymi ulicami, które wyglądają jak na starej fotografii. Barwy wieczoru, odgłosy i zapachy kryją się za oknami zamkniętymi przed zimnem, życie rozplynęło się niby mgła i nagle na ulicach nie ma nikogo, może wszyscy wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy, może wychodząc z domu, narażamy się na śmiertelne niebezpieczeństwo, znowu, ganię się za zwariowany, niepotrzebny nikomu pomysł, pragnę wrócić do pustego mieszkania, w którym zaznałam pełni szczęścia. Oded co jakiś czas zerka na mnie spokojnie, z rozbawieniem, idzie miarowym krokiem, wyraz twarzy zmienia mu się dopiero, gdy wspinamy się po schodach wyłożonych czerwonymi płytkami, a ja odważam się przyznać: Pewnie się trochę zdziwił na twój widok, myślą, że przyjdę z Gilim.

To nie w porządku, rzuca ze złością. Powiedziałas, że wiedzą. Powiedziałam, że wiedzą, że nie będę sama, śmieję się. Tak dokładnie sformułowałaś pytanie, ja także przywiązuję wagę do słów. Mam nadzieję, że w ogóle wiesz, co robisz, wzdycha. Mnie osobiście wydaje się to bez sensu, wychodzić z domu w taki ziąb, żeby wprawić w zakłopotanie twoich rodziców. Przytulam się do niego, całuję go w policzki. Zanim zdążam wyciągnąć rękę do dzwonka, drzwi się otwierają i ojciec podchodzi do ciemnego wejścia, patrzy na dół, tam gdzie powinna znajdować się mała główka Gilego, otwiera ramiona i mówi: Kto to przyszedł do dziadka? Kto przyszedł zagrać z dziadkiem w szachy?

Ja, odpowiada Oded niskim głosem. Ojciec prostuje się zaskoczony, szybko sięga do kontaktu, jego piękne rysy ściąga niepokój. Elu, oświadcza z nienagannym akcentem, myśleliśmy, że przyjdiesz z Gilim. Całkowicie ignoruje stojącego obok mnie człowieka, choć wbija w niego wzrok. Plany zmieniły się w ostatniej chwili, informuję radośnie. To jest Oded. Jakbym tymczasem urodziła drugiego syna. Ojciec mruga z niezadowoleniem, rozciąga z wysiłkiem wargi w zbyt szerokim uśmiechu, odsłaniając ciemniejsze zęby. Proszę, wejdźcie, odzyskuje pewność siebie i zaprasza nas uroczyście, jakby wpuszczał gości do wspaniałego pałacu. Matka wychodzi do nas z kuchni w pikowanym flanelowym szlafroku, w starych kapciach, niepasujących do stylowych płytek, po których ciężko stąpa. Elinko, nie uprzedziłaś mnie, mówi, zwracając się właściwie do mojego ojca, aby wyjaśnić, że nie miała nic wspólnego z tym planem, posyła mi niepewne spojrzenie. Znowu dziwię się, jak zawsze udaje jej się sprawiać wrażenie niższej, chociaż tak naprawdę jest wyższa od niego.

Wybaczcie na chwilę, spłoszonym, kaczym krokiem drepcze do sypialni, żeby się przebrać, a ojciec ponawia zaproszenie: Wchodźcie, wchodźcie, chociaż już weszliśmy. Siadajcie, proszę.

Siadam na swoim miejscu przy okrągłym kuchennym stole, proponuję Odedowi miejsce Gilego, obok mnie, na krześle zawsze leży haftowana poduszka, Oded posłusznie siada na podwyższonym siedzeniu, przed nim stoi pusty dziecięcy talerz, na którym namalowano dwa kolorowe potwory, po prawej stronie plastikowy kubeczek ze słomką, po lewej miniaturowe sztuce, nikt nie trzusi się, żeby zmienić nakrycie, nawet ja, choć żałuję coraz bardziej swego przedziwnego impulsu. Oj, co to będzie, matka pośpiesznie wraca do kuchni, ubrana w spłowiały sweter w kolorze szlafroka, który miała na sobie wcześniej. Jej krokom akompaniują niekończące się lamentsy. Ugotowałam to, co najbardziej lubi, rosół i zapiekanekę na słodko z rodzynkami. Jakby nieobecność dziecka zapowiadała jego dalsze nieobecności, jakby była wieczna i niezmienna; już zawsze zamiast niego będzie przychodził tu blady, szczupły mężczyzna w oficjalnej marynarce, o chłodnym, czarnym spojrzeniu.

Z niegrzecznym pośpiechem, bez wstępów i uprzejmości stawia na talerzu niezapowiedzianego gościa plastikową miseczkę z letnią zupą, jakby stanowczo nie chciała zaakceptować faktu, że jest dorosły, ojciec zdenerwowany podaje swój talerz, potem ja, jakbyśmy znajdowali się w garkuchni, ku memu zdumieniu wydaje mi się, że jedyną osobą, która czuje się swobodnie, jest właśnie Oded, trzymający naturalnie małą jak zabawka łyżkę, je w milczeniu zupę, rozgląda się po kuchni, stosunkowo niedużej w porównaniu z mieszkaniem, która pokazywała jasno stosunek mieszkańców do ciała i jego potrzeb. Pod stołem kładę mu rękę na kolanie, ale nie reaguje, kto wie, co sobie myśli, przecież także dla mnie jest nagle obcy, nie tylko dla nich, mam wrażenie, że przed chwilą zgarnęłam go z ulicy, niczym gości do szalasu na święto Sukot, czy wspomina piątkowe kolacje w towarzystwie dzieci, żony i teściów, czy za chwilę odłoży miniaturową łyżkę, pożegna się i dołączy do nich?

Zazwyczaj, kiedy są goście, jadamy w salonie, ojciec stara się naprawić złe wrażenie. Myśleliśmy, że będziemy w gronie rodzinnym. Nic nie szkodzi, odpowiada Oded. Tu jest całkiem wygodnie. Matka ciągnie płaczkę: To gdzie jest Gili? U swojego ojca, odpowiadam niecierpliwie. Jest u ojca w co drugą sobotę. Tak, wiem, ale wydawało mi się, że był też w zeszłym tygodniu, jesteś pewna, że wam się nie pomyliło? Zerka z pretensją na Odeda, jakby to on był winien zamieszania. Moim zdaniem pomieszało wam się. Ojciec przerywa jej i w końcu zwraca się do gościa: Proszę przypomnieć mi, jak pan ma na imię. Czym prędzej odpowiadam za niego, jak nadopiekuńcza matka: Ma na imię Oded. Ale ojciec nie rezygnuje, najwyraźniej postanowił, że musi wyjaśnić, co to za człowiek i co nas łączy. Odkładając łyżkę, pyta: Pracujecie razem? Pan także zajmuje się archeologią? W pewnym sensie, odpowiada krótko Oded. W jakiej dziedzinie dokładnie? - pyta dalej ojciec. W dziedzinie ludzkiej, można powiedzieć. Ach, ma pan na myśli badania DNA? - ojciec drąży temat. Archeologia medyczna, to bardzo ciekawe. Zna pan też Amnona? - upewnia się. Tak, mniej więcej, kiwa głową Oded, ku wielkiej uldze ojca, widzę, że na jego twarz wypływa spokój, gdy powstało wrażenie, że mowa o koleżance profesjonalistce, kimś w rodzaju przyjaciela rodziny, a nie kochanka czy partnera, bo chociaż doskonale wie, że moje małżeństwo się skończyło, żadne z nich nie jest gotowe przyjąć mnie w towarzystwie nowego mężczyzny. Jeśli o ojca chodzi, powinnam odkupić swoje grzechy, starzejąc się w samotności, poświęcając życie opiece nad dzieckiem, które skrzywdziłam, poza tym nie mam żadnego prawa do własnego życia, słyszę to w dźwięku łyżek dzwoniących o talerze, słyszałam to przez całe życie, pojawienie się partnera zawsze wiązało się z nieszczęściem i poczuciem winy, jakby chodziło o zdradę, której nie da się odkupić, zdradę sekretnego zobowiązania wobec nich, wobec roli, którą mi przeznaczyli, a teraz także dziecka, z którym

nagle tak mocno się utożsamiają, ale chyba ojciec na razie odzyskał spokój, bo jego ciekawość jest ograniczona, w jej centrum znajduje się wrażenie, które on sam wywiera na bliźnich. Wystarczy mu niejasna odpowiedź, aby zawiesić na niej własne oczekiwania, każdy skrawek życia, dostarczany przez innych, jest jedynie słabym odbiciem jego życia, każde osiągnięcie kogoś innego to pomniejszone odbicie jego osiągnięć, już zaczyna przemawiać podniesionym głosem, jak zawsze, obecność gościa pobudza go do mówienia.

Wróciłem w tym tygodniu z Mexico City, oznajmia, z konferencji na temat nowego antysemityzmu, nie uwierzycie, co tam wygłaszano, rzeczy, których nie można słuchać, że Żydzi są winni wrogości do siebie, bo zarazem są zbyt inni i zbyt podobni, zbyt silni i zbyt słabi, zbyt żywi i zbyt martwi, w każdym razie zawsze są odpowiedzialni. Wiecie, że dzisiaj w niektórych krajach istnieje zjawisko antysemityzmu bez Żydów? Postać Żyda istnieje w oderwaniu, dokładnie tak, jak mówił Sartre, antysemita stworzył Żyda, aby projektować na niego lęk przed sobą, nie boi się Żydów, lecz siebie, swojej wolności, swojej samotności. Przyjrzyjcie się sobie uczciwie, szanowni państwo, powiedziałem, może wy też boicie się samych siebie, może wy też boicie się zmiany, peroruje donośnie, zwraca się do nas z żarem, jakby to nasze poglądy budziły w nim odrazę i przerażenie.

Dawidzie, ty w ogóle nie jesz, skarży się matka. Chcę podawać rybę. Ojciec przerywa na chwilę wykład, połyka pośpiesznie wystygłą zupę, znowu niesłona, wyrokuje, cmokając z niezadowoleniem. Ależ ostatnim razem mówiłeś, że jest za słona, pamiętasz, Elinko? Na chwilę oboje w napięciu zwracają na mnie oczy, po czyjej stronie stanę tym razem, jedyna rola jedynej córki, także prawie zbędnej, bo ojciec jest zawsze zajęty swoimi sprawami, a matka ojcem. Jakie to ma znaczenie, mówię niechętnie. Dlaczego miałabym to pamiętać? Chociaż doskonale pamiętam, rzeczywiście tak było. Nic podobnego, on na to, zawsze za mało solisz. Natychmiast przypomina sobie, że mamy gościa, i wybucha głośnym, sztucznym śmiechem, oddalając kłótnię, matka z urazą zabiera pełny do połowy talerz i stawia przed nim kawałek różowego, soczystego łososia, cętkowanego czarnymi ziarenkami pieprzu.

Prawie bez ości, informuje z dumą, jakby sama zarzuciła sieci i ostrożnie, sprytnie złowiła wybraną rybę. Zaraz potem także ja dostaję porcję, odrobinę mniejszą, i jej talerz się zapelnia, wtedy bierze talerz gościa i kładzie na nim okrągłą zapiekankę z makaronu. Oj, nie starczyło ryby, płaska w dłonie. Proszę mi wybaczyć, Oded, wnuczek nie lubi ryby, więc zrobiłam mu zapiekankę. Oded, poprawiam, proponując mu swój talerz. Weź moją rybę, nie jestem głodna. Oded przygląda się nam rozbawiony. Nie ma problemu, chętnie zjem zapiekankę, moja mama robiła dokładnie taką samą. Między jego palcami uśmiecha się Myszka Miki, namalowana na malutkich sztuczkach, Oded je z przyjemnością, chwali potrawę. Nie za mało słodka? - upewnia się matka, zanim ośmiela się sama zabrać do jedzenia. Nic jej nie brakuje, odpowiada, szlachetnie ignorując upokarzający rytuał, na jaki został narażony.

Nowy antysemityzm ukrywa się pod płaszczkiem antynacjonalizmu, nie daje za wygraną ojciec. Przedstawia się nas jako reakcyjne niedobitki przeszłości, skamieniały naród, który zamyka się za murami i bramami, nie zastanawiając się nad zagrożeniem. Jak pan sądzi? - zwraca się nagle do Odeda, nie ze zwykłej ciekawości, aby poznać zdanie rozmówcy, lecz aby zbić go z tropu, zerka przy tym na mnie przelotnie, jakby chciał przypomnieć, że zawsze przewyższa bystrością każdego mojego partnera, który zasiądzie przy tym stole, choć przecież nie ma tu miejsca dla nikogo, nigdy nie było, poza milczącą, zachwyconą publicznością. Jak ja się obawiałam tych posiłków, wieczór za wieczorem, w jego obecności miałam zduszone

gardło, bo kiedy usiłowałam wyrazić inny pogląd, gwałtownie mi zaprzeczał, gotów zaakceptować mnie wyłącznie jako swoje odbicie, chyba tylko z Gilim mogę siedzieć u nich spokojnie, zasłaniam się nim niczym delikatną ludzką tarczą, okazuje się jednak, że niezapowiedziany gość nie obawia się o swoją wartość jak ja ani nie skłania się do sprzeczki. Myślę, że chodzi tu o związek między prowokacją a reakcją, mówi swobodnie. Kiedy jedna strona reaguje z chorobliwym przewrażliwieniem na prowokacje drugiej strony, nie ma wątpliwości, że to problem nie do rozwiązania. I wraca do zapiekanki, która znika w oczach, namalowane na talerzyku potwory odsłaniają Stopniowo swoje prawdziwe oblicza, dziób i kły. Czy stałą się postępować według moich wskazówek, czy tak się zawsze zachowuje wśród obcych ludzi, zamknięty w sobie, odsunięty, niezaangażowany?

Jednak nie można dłużej ignorować najbardziej niebezpiecznego elementu nowego antysemityzmu, jest on powszechny w środowiskach akademickich, także w społeczeństwie izraelskim - upiera się ojciec. Nawet z Amnonem i Elą sprzeczaliśmy się kilkakrotnie na ten temat. Mówiąc te słowa, „Amnon i Ela”, nagle przerywa i chrząka, upija łyk wody. Chyba połknąłem ość, zwraca się do matki oskarżycielsko. Mówiłaś, że w tej rybie nie ma ości? -Wiedziałam, że prawie nie ma, broni się matka. Nie odpowiadam osobiście za każdą ość. Jeśli połknąłeś, to już nieistotne, mówię. Daj spokój. Pije z obawą wodę, grdyka podskakuje mu w górę i w dół. Chyba utknęła, informuje nas żalobnym tonem, jakby zapadł wyrok, zanosi się gwałtownie kaszlem, ale kiedy matka wstaje i z całej siły wali go w plecy, wzdryga się i gani ją, oburzony: Co ty robisz, Saro!

Niech pan zje kawałek chleba, podsuwa Oded wielkodusznie, otwierając po raz pierwszy usta z własnej inicjatywy. To pomaga. Matka pośpiesznie urywa kawałek chałki i podaje ojcu. Wszyscy patrzymy, jak ostrożnie przeżuwa kęs i w końcu połyka, powolne, bolesne przełknięcie. Znowu zanosi się kaszlem, aż łzawią mu oczy, a gładka, metaliczna twarz nabiera niebieskawego odcienia, matka krąży wokół przestraszona, co my zrobimy, Dawidzie, spróbuj zjeść jeszcze trochę chleba. Zjadłem już pół chałki, rzuca niecierpliwie, słabo. Nic nie pomaga. Chwilowa utrata donośnego, dźwięcznego głosu ścięra mu z twarzy wyraz aroganckiego samozadowolenia, oczy ma zaczerwienione i wilgotne, wkłada palec do gardła i cofa go z bólem. Może pójdziemy na pogotowie, Dawidku, proponuje matka. Trzeba to wyciągnąć. Nie mów tak do mnie, krzyczy. Nie pójdę na pogotowie. Głos ma coraz słabszy, jakby wyczerpane struny głosowe pękały jedna po drugiej. Ku memu zdziwieniu widzę, jak Oded z trudem wstaje ze swego podwyższonego siedzenia. Pozwólcie mi spróbować, mówi. Macie latarkę i pęsetę? Matka jak najszybciej przynosi konieczny sprzęt z jednej z szuflad, podaje mu, niczym posłuszna pomoc dentystyczna.

Ojciec z obawą śledzi przygotowania, widać, że boi się oddać gardło w obce ręce, ale jeszcze mniej ma ochotę na wycieczkę na pogotowie, posłusznie przechyla głowę i otwiera usta, pokazując szarzejące, długie zęby, fioletowe dziąsła, drżącą jaszczurkę języka. Oded świeci mu do ust, przyciska umiejętnie głowę do swoich bioder i ścisza policzki, jakby obawiał się ugryzienia, podczas gdy my z matką obserwujemy w napięciu spektakl. Przez chwilę wydaje nam się, że jakiś okrutny złoczyńca próbuje wyrwać złote zęby bezbronnemu starcowi, patrzącemu na niego z przerażeniem. Wtedy Oded mówi uspokajająco: Chyba ją widzę, proszę postarać się nie ruszać. Weź latarkę, przekazuje mi odpowiedzialność za oświetlenie i zagłębia palce z pęsetą w ustach ojca. Patrząc na nie i przypominam sobie, że nie tak dawno te palce tkwiły w moim ciele. Ta myśl przyprawia mnie o przyjemny dreszcz, latarka drga, dokładnie w chwili, gdy Oded oświadcza: Mam ją, jakby mówił o żywym stworzeniu,

zdołnym do ucieczki; przy akompaniamencie jęku bólu i ulgi ojca zdumiewająco wielka ośc zostaje wyrwana z przerażonego gardła i wydobyta na widok publiczny niczym świeżo odkryte znalezisko, które rzuca nowe światło na odległą epokę.

Brawo, Ohed, wspaniale - matka z przejściem klaszcze w dłonie, wciąż przekręcając jego imię. Ojciec czym prędzej podnosi głowę, poprawia włosy, ukrywa zakłopotanie, odzyskuje godność, która między innymi opiera się na ignorowaniu spraw ciała, chrząka, aby upewnić się, czy przeszkoda faktycznie znikła, patrzy na gościa ze świeżym uznaniem, niczym na miernego studenta, który nagle uzyskał świetne wyniki. Bardzo panu dziękuję, doskonała robota, jestem bardzo wdzięczny, oświadcza i dodaje ze zdumieniem: Zrobił to pan bardzo profesjonalnie, jakby był pan lekarzem. Jestem także lekarzem, przyznaje Oded. Ojciec nie posiada się ze zdumienia: Co pan mówi, lekarz archeolog? To rzadkie połączenie. Lekarz psychiatra, poprawia go skromnie Oded. To już nie tak rzadkie.

Nie wspominał pan przypadkiem, że jest archeologiem? - zdumiewa się ojciec, a Oded odpowiada: Niezupełnie, ale najwyraźniej tak zostałem odebrany. To dlaczego, dlaczego ukrywał pan swój prawdziwy zawód? - woła ojciec. Psychiatria niezwykle mnie interesuje! Oplakuje już utracone wykłady, które mógł być wygłosić przed milczącym audytorium, zadziwić je wiedzą, oryginalnością. Oded uśmiecha się z pełnym wdzięku skrępowaniem. Prawdę mówiąc, staram się z tym nie obnosić, gdy ludzie wiedzą, że siedzi wśród nich psychiatra, zaczynają się dziwnie zachowywać. W jakim sensie? - interesuje się ojciec, natychmiast dystansując się od ogółu, a Oded mówi; Przystają być naturalni, jakbym mógł ich przymusowo hospitalizować, jeśli będą sobą, są przekonani, że analizują każde ich słowo, podczas gdy ja naprawdę się tym nie zajmuję w wolnym czasie. Ojciec znowu wybucha wymuszonym śmiechem i, o dziwo, matka mu wtóruje, wskazując plastikowy talerzyk, jakby dopiero teraz go zauważyła. Oj, co pan sobie o nas pomyśli, podaliśmy panu dziecienną kolację na talerzyku dla dzieci.

Pomyślę, że bardzo kochacie wnuka, mówi łagodnie, wpatrując się w nią ciemnymi oczami. Potem patrzy na mnie. Chodź, Elu, musimy iść. Sposób, w jaki mówi „my”, powoli i z naciskiem, budzi we mnie rozkwitające wzruszenie, czuję, jak realizuje się odwieczna tęsknota za zbawcą, który uratuje mnie z podwójnych pazurów tej pary, miażdżącej mnie klami, wyrywającej sobie mnie z pysków. To „my” nie obejmuje już ich, tylko mnie i jego, nowa para, która nie ma wspólnego nazwiska, mieszkania ani dziecka, a jednak mówi się o niej „my”, to banalne słowo przyjmuję od niego niczym drogocenny dar.

Już idziecie? - pyta rozczarowany ojciec, szczerze żałując przedwczesnej utraty słuchaczy. Tak, śpieszymy się, mówię, z radością powtarzając tę formę, ciesząc się jego rozczarowaniem. Widzisz, nikt nie umarł, tylko ty o mały włos, Gili żyje i ja żyję, jak nie żyłam nigdy dotąd, bo mi nie pozwoliłeś, ty, który dałeś mi życie, nie pozwalałeś mi żyć. Ojciec wstaje i z wdzięcznością ściska Odedowi rękę. Jeszcze raz dziękuję, mówi. Proszę mnie odwiedzić kiedyś przy okazji, chętnie porozmawiam o pańskiej pracy, czytałem niedawno niezwykle artykuł, który podaje w wątpliwość ludzką zdolność do zmiany, chętnie wysłucham pańskiego zdania, dodaje wielkodusznie. Proszę mnie odwiedzić, uparcie używa tej formy, jakby nie chciał zaakceptować naszego „my”. Oded odpowiada z uśmiechem. Dziękuję, postaram się.

Zimna, ciemna pięść nocy uderza mnie znienaćka, kiedy wychodzimy, latarnie uliczne nie palą się, mimo wczesnej pory, księżyc rysuje na niebie cieniutką smużkę światła. Trzymam Odeda pod ramię, starając się zacieśnić „my”, przyciska mnie do niego szalona radość,

jakbym dzięki niemu została wybawiona, jakby za jego sprawą zniknęła klątwa, która padła z tego obślinionego, fioletowego gardła, umiejętnie ją dla mnie wyciągnął, to nie tylko klątwa, która kilka miesięcy wcześniej została rzucona na głowę mojego syna, lecz o wiele dawniejsze przekleństwo, którym zostałam naznaczona po urodzeniu przez tego, który mi to życie dał. Przytulałam się do Odeda z wdzięcznością, całuję go w chłodną szyję, w wargi, na których przetrwał smak słodkiej zapiekanki, nagle tak bardzo pragnę mu się oddać, należeć do niego całkowicie i niepodzielnie niczym jeden z członków jego ciała, gotowa jestem pociągnąć go na któreś z tylnych podwórek, zdjęć mu płaszcz i położyć się pod niebem upstrzonym bladymi gwiazdami. Wzdycha z rozkoszą. Czemu na dworze, na tym zimnie, mamrocze, chodźmy do domu. To słowo, do domu, otrzymuję jako dodatkowy prezent. Idę obok niego w milczeniu, obejmując go w pasie, unosi się od niego stłumiony zapach lawendy, przepowiada oczekiwaną bliskość, każdy krok przybliży nas do domu, do pałacu jaśniejącego w ciemnościach.

Cieszę się, że tam poszliśmy, mówi w końcu, kiedy już pogodziłam się z jego milczeniem. Dlaczego? - pytam. Bo teraz kocham cię bardziej, wyjaśnia. Chwytam się tego zdania, wypowiedzianego bezbarwnym tonem, rozkładam je na czynniki, kocham cię, bardziej cię kocham. Pierwszy, zasadniczy element, który nigdy nie został zwerbalizowany, towarzyszy naszym krokom jak echo kojące w swojej stanowczości, podczas gdy drugi w oderwaniu od niego brzmi trochę wątpliwie, bo jeśli można kochać bardziej, można też kochać mniej, jakie to przerażające, kochać mniej, być mniej kochanym, jestem tym tak zaabsorbowana, że nie pytam dlaczego ani nie zwracam uwagi na kierunek, co mnie obchodzi którądy, najważniejsze, że idziemy do domu, do nowego „my”, które nas oczekuje, wydaje się, że nasz wspólny zasób słów jest niewielki niczym słownictwo niemowlęcia, my, do domu, kocham cię, bardziej, ale to najdoskonalsze słowa, jakie znam, nie trzeba mi innych.

Idziemy objęci ciemnymi ulicami, przyzwyczajamy się nawzajem do swoich rozmiarów, jego ramię znajduje się niżej niż ramię Amnona, które górowało nade mną ciężkie i agresywne, jego ciało jest mniejsze, bardziej zwarte, bardziej szanuje granice drugiego człowieka, pilnuje własnych granic. Nagle zauważam, że zwalnia i pyta z wahaniem: Możemy tu chwilę posiedzieć? Rozglądam się zdziwiona, nie zauważyłam, dokąd prowadziły mnie jego nogi, jesteśmy na niewielkim placu zabaw przed jego dawnym domem. Jak w ogóle tu się znaleźliśmy? - dziwię się. Moje nogi idą tu z przyzwyczajenia, odpowiada. Przyjmuję podejrzliwie tę odpowiedź, wspinam się za nim na małą karuzelę, która skrzypi pod naszym ciężarem, zdziwiona wita tak duże dzieci w tę zimną noc, jak on spoglądam na budynek naprzeciwko, starannie odnowiony kamienny dom, okna zasłaniają żaluzje, ale przebijają przez nie pasma światła elektrycznego niczym puste linie złotego zeszytu.

Co my tu robimy, zerkam na niego zakłopotana, myślałam, że idziemy do domu. Zaraz pójdziemy do domu, odpowiada. Muszę tutaj chwilę posiedzieć. Dlaczego, na co czekasz? - pytam. Aż dzieci zasną. W każdy piątek siedzę tu przez jakiś czas, dopóki nie zgaśnie światło, informuje mnie takim tonem, jakby było to najnaturalniejsze pod słońcem. Siedzę przy nim, skrępowana i zła, mimowolna uczestniczka prywatnego, przygnębiającego rytuału, budzi się z uspienia mój ból, który natychmiast żąda swego funta ciała. Może, kiedy skończymy tutaj, przeniesiemy się na ulicę Amnona, usiądziemy na ławce naprzeciwko dwóch krępych, niskich palm, będziemy śledzić wędrówkę światła po domu, pretensja rośnie mi w gardle, czemu obciąża nasz młody czas ceremoniami pamięci, czemu nie rozdzielili świeżej miłości od świeżego smutku? Spuszczam wzrok na zardzewiałą metalową podłogę, kiedyś przyszłam tu z Gilim, starszy od

niego chłopiec zakręcił karuzelą za szybko i mój uwięziony w środku syn nagle zwymiotował, dokładnie tutaj, przy naszych nogach, od razu uciekliśmy i nigdy tu nie wróciliśmy, w obawie że opary wymiotów wciąż unoszą się nad placem zabaw, że jego imię jest wypisane na karuzeli cuchnącymi literami. Elu, mówi Oded, kładąc chłodną dłoń na moim kolanie, nie martw się, to nie twoim kosztem. Tak, wiem, szepczę. Mimo to przymusowa minuta ciszy przed domem jego dzieci budzi we mnie zaskakująco intensywny gniew i rozgoryczenie. W każdy piątek siedzę tutaj przez chwilę, wyjaśnia jeszcze raz. Chciałem tym razem zrezygnować, ale właściwie nie ma powodu, prawda? - upewnia się dziwnie nagłaco. Powiedz, że potrafisz to wytrzymać. Co? - pytam. Mój smutek, odpowiada. Słowa wytryskują mu z ust niczym wymioty Gilego, grożą, że zaleją przezroczyste ciało nowo narodzonego „my”, nie mogę się opanować, tonę w pełnej żądań urazie. Myślałam, że byłeś dzisiaj ze mną szczęśliwy, myślałam, że było ci dobrze, rzucam. Zabiera z westchnieniem rękę. Pewnie, że było mi z tobą dobrze, mówi zmęczonym głosem, ale nasze ciało jest domem dla wielu mieszkańców, na pierwszym piętrze mieszka szczęście i zadowolenie, na innym smutek i poczucie winy, na pewno to rozumiesz. Oczywiście, potakuję szybko. A jednak zastanawiam się w duchu, czy dzieci powinny być rozbitą szklanką pod chupą, pamiątką ruiny, wstają z wąskiej, zimnej ławeczki, wydobywając z kołyszącej się karuzeli zgrzytliwe westchnienie. Chodźmy, okropnie mi zimno. Widzę wyraźnie, że powinnam siedzieć obok niego w szlachetnej akceptacji, udowodnić głębię swojej empatii, lecz nie udaje mi się; jak czasem wobec nadchodzącego niebezpieczeństwa człowiekowi drętwieją nogi, tak zdumiewająca sztywność paraliżuje emocje. Patrzy na mnie rozczerwany. Jeszcze nie zasnęli, protestuje. Podnoszę oczy do wysokiego balkonu, do jego przezroczystej, szklanej ścianki, która sprawia wrażenie, jakby nic tam nie było, do żaluzji zasłaniających szabatowy wieczór bez ojca.

To co, rzucam ze złością. Przecież z dołu nie możesz ich położyć do łóżek, przeczytać im bajki, w ogóle nie wiedzą, że tu jesteś, twoja obecność im w niczym nie pomaga, nie widzisz, jakie to bezsensowne? Robię to dla siebie, nie dla nich, mówi. Zawsze czekam, aż zgaszą światło. Wynagrodzisz im to, kiedy będą z tobą, upominam go z tłumionym zniecierpliwieniem. Kiedy są z Michał, musisz się odciąć, budować swoje życie, po co odszedłeś z domu, żeby obserwować go z dołu? To kompletnie pokręcone.

Odszedłem od Michał, nie od dzieci, broni się. Chciałbym móc być z nimi przez cały czas. To oczywiste, mówię, choć to także mnie obraża. Czym ja dla niego jestem, nędzną namiastką dzieci, chwilowym zastępstwem, czy chciałby z nimi spędzić także to popołudnie, zamiast ze mną w łóżku, dlaczego nie czuję się tak jak on, nawet przez chwilę nie odczuwałam dzisiaj braku syna, aż przyszliśmy tutaj, czy on jest lepszym rodzicem ode mnie? Oded, posłuchaj, mówię. Także ze względu na dzieci musisz zbudować nowe życie bez nich, one potrzebują, żebyś był silny, stabilny, nie dostrzegasz tego? Daj spokój z tymi banałami, wzdycha. Przecież ciebie nie interesuje, czego im trzeba, jesteś pogrążona we własnych potrzebach. Naprawdę? Co za bzdura, niczego od ciebie nie potrzebuję, jeśli o mnie chodzi, możesz rozbić tu namiot i zamieszkać na trawniku, będziesz widział dokładnie, kiedy wychodzą a kiedy wracają, tylko nie spodziewaj się, że tu z tobą będę siedzieć, w przeciwieństwie do ciebie zamierzam zbudować na nowo swoje życie. Ja też mam małe dziecko, a jednak nie zamieszkałam w ogródku pod jego domem. Kiedy wymawiam słowa „małe dziecko”, z gardła wyrывa mi się głośny szloch, zakrywam usta z rosnącym wstydem, bo mam wrażenie, że raptem wydobywa się stamtąd płacz Gilego, niebezpieczny niczym nagły krwotok, skarga sobotniego wieczoru w podzielonej rodzinie, lament niekończącej się wędrówki z domu do domu, od rodzica do rodzica,

bezustanna tęsknota, trudna adaptacja do nowych warunków, lekka dezorientacja rano, gdzie właściwie jest, czasem woła do mnie „tato”, brakująca zabawka, rysunek, który rozpoczął i zostawił w drugim domu, wszystkie te drobiazgi, stwarzające wieczny dyskomfort, wbijają się w moją stwardniałą z zimna skórę niczym igły, im drobniejsze, tym ostrzejsze się wydają. To jak zaniósłam mu wczoraj rycerza, którego zapomniał zabrać, tak bardzo chciał się nim bawić po południu, ale zanim dotarłam, już zasnął ze łzami zaschniętymi na policzkach; z jaką zazdrością przygląda się dzieciom, po które przychodzą oboje rodzice, jak waha się za każdym razem, kiedy przynosi ze szkoły pracę plastyczną, którą ścianę powinna ozdobić, u mamy czy u taty, stara się za wszelką cenę zachować równowagę, kiedy jestem u ciebie, tęsknię do taty, kiedy jestem u taty, tęsknię do ciebie, znowu siadam na wąskiej ławeczce, kładę głowę na kolanach, wstydzę się łez zaprzeczających wszystkiemu, co starałam się wyrazić, obrzydliwe, egoistyczne, pełne błagania łzy, Kochaj tylko mnie, pocieszaj tylko mnie, wynagradzaj tylko mnie, udowodnij, że nie popełniłam błędu.

Powoli, z wysiłkiem, kładzie mi rękę na ramieniu, jakby nie był pewien, że faktycznie ma ochotę mnie objąć, gdy tak arogancko i prostacko wyśmiałam jego smutek i natychmiast zatonąłam w swoim, który nagle stał się bardziej nagły, donośniejszy, nie mogę się już wycofać z płaczu ani z arogancji, jedyną ucieczką jest wzmocnić ten płacz, pozwolić, aby przejechał ulicami jak samochód bez hamulców, siejący zniszczenie, tak robię, właściwie nie panuję już nad nim, przed oczami migają mi obrazy niby kartki w albumie, nie smutne, lecz szczęśliwe, pełne jęklivego, kruche szczęścia, które szybko się rozpada. Oto siedzimy z Amnonem przy łóżeczku rozpalonego Gilego nad ranem, przerażające widmo gorączki unosi się od niego niczym para nad garnka, Amnon wyciąga do mnie rękę nad ciałem kręcącego się dziecka, splatamy palce w tym rzadkim dotyku, który niczego nie żąda, oto stoję z ojcem przed wystawą sklepową, lśniąca od drogich kamieni, wskazuje piękny złoty zegarek na bransoletce, chcesz, żebym ci go kupił? Jestem zdumiona propozycją, naprawdę, kupisz mi go? Tak rzadko dawał mi prezenty. Wchodzi energicznym krokiem do sklepu, wyjmuje z kieszeni gotówkę, krocę obok niego dumnie wyprostowana niczym królowa w dniu koronacji, poruszam dostojnie zdobną złotą ręką, nazajutrz pojechałam nad morze z jakimś chłopakiem, a kiedy wieczorem wróciliśmy do samochodu objęci, rozgrzani słońcem, zobaczyliśmy, że ktoś się do niego włamał i zabrał jedynie zegarek na bransoletce, jakby ojciec własnoręcznie sforsował zamek, żeby odebrać prezent, którego już nie byłam godna, inne obrazy przelatują mi przed oczami, wizje szczęścia, wiecznie zagrożonego, krótkotrwałego, niepewnego, nie mogę się zatrzymać, jak plastikowy kierowca o zgniecionym uśmiechu, nie mogę zapobiec katastrofie, przez cały czas jestem świadoma, że człowiek, który siedzi obok, nie jest już ze mną, utraciłam go, jego bezwładna ręka spoczywa na moich plecach, kamienna, jakby zmartwiała dawno temu, także to oplakuję, kiedy zerkam na niego przez szparki opuchniętych powiek, widzę oczy uniesione nieprzerwanie, żarliwie ku oknom domu, jakby modlił się przed wschodnią ścianą w synagodze, kiedy płacz, niebędący już moim płaczem, lecz jakimś demonem, który mnie opętał, zaczyna cichnąć, zamienia się w urywany oddech, niestabilny puls, słyszę, jak Oded szepcze stłumionym głosem uspokajające słowa, dosyć, dosyć, wystarczy moja dziewczynko, wszystko będzie w porządku, zaśnij już, wiem, że nie do mnie są skierowane, ale do jego córki, kładącej się właśnie do łóżka, światło gaśnie, złociste smugi znikają w jednej chwili, czeka jeszcze trochę i wstaje z westchnieniem z karuzeli, która odpowiada spazmatycznym obrotem, chodź, mówi, już śpią, jakby ta informacja miała także mnie pocieszyć, jakbym płakała z tego powodu, i nie ma już

po co płakać, bo Jotam i Maja nareszcie usnęli.

Ja tu zostanę, mój głos w gardle zgrzyta jak oś karuzeli, dla podkreślenia chwytam z całej siły rozchwiane kółko, przypatruje mi się zdumiony, oczy mu naraz twardnieją, brwi zbiegają się, zmarszczka między nimi się pogłębia. Szkoda, cedzi, zachowujesz się jak mała dziewczynka, dorośnij, weź się w garść, nie masz wyboru. Ja tu zostaję, kręcę głową, widząc, jak na jego twarzy dojrzeła decyzja, żeby dać spokój, nie przekonywać mnie dłużej. W porządku, rzuca. Jak sobie chcesz. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Tym razem nie przywiązuje mnie do siebie soczystym pocałunkiem, lecz schodzi z karuzeli i odwraca się, przechodzi wśród opustoszałych drabinek, mija zardzewiałego blaszanego konia, zabloconą kamienną zjeżdżalnię, idzie sztywno, jakby poruszał się na protezach, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zostawia mnie skuloną na karuzeli, którą dawno temu splamiły wymioty Gilego, zamiast w niego, wpatruję się w dom, z którego odszedł, większość pomieszczeń jest ciemna, świeci się tylko w salonie, a może to kuchnia. Czy Michał zmywa teraz po kolacji, trzy talerze, trzy miseczki, trzy szklanki, jej ręce, przyzwyczajone do czterech, drżą pod strumieniem wody. Wiem, że powinnam wstać i odejść, ale niezrozumiały ciężar przygważdża mnie do ławki, jestem wrośnięta w miejsce jak blaszany koń na opuszczonej karuzeli, wystawionej na wiatr, deszcz i słońce, na stopy dzieci, ich wymioty i pot. Rano znajdą mnie tu przechodnie, nieznanego rodzaju bezdomnej, w eleganckim płaszczu, z wypchanym portfelem, pokrytej szronem obojętnej rezygnacji, przecież jest mi wszystko jedno; między starym życiem, zamkniętym przede mną, a nowym, do którego nie będę mogła wejść, rozciąga się zawrotna pustka opuszczonego, niechcianego placu zabaw. Żadnemu dziecku nie przyjdzie do głowy zakraść się tu nocą, wypełnić go swym śmiechem, żadna matka nie usiądzie teraz na mokrej trawie, bawiąc się wesoło z synkiem, zakrywam płaszczem wilgotne kolana, ściśnięte w wąskich kieszeniach ręce cierpną mi z zimna, skamienienie ciała jest równie trudne jak skamienienie serca, ta utrata kontroli prawie przynosi mi pociechę, szalona rezygnacja z szansy na szczęście, kogo chcesz ukarać, zapytał, kładę się na ławeczce, ogarnia mnie piekąca senność, jak w szkolnej ławce, aż czyjaś ręka mierzwiła mi włosy i podnosiłam twarz, widząc jasne oczy młodego Gilego, teraz wydaje mi się, że będzie trwała wiecznie, choć i tak jest niemożliwa. Nie otwieram oczu nawet wtedy, gdy na klatce schodowej zapala się światło i z budynku powolnym, melancholijnym krokiem wychodzi starsza para, co z nią będzie, lamentuje kobieta znajomym głosem, jak ona to przeżyje, co będzie z dziećmi, jak on mógł tak po prostu odejść, nie otwieram oczu, także kiedy złote, oślepiające promienie światła zalewają moją twarz, czy naprawdę już jest rano, czy już jest lato, które przeskoczyło cykl pór roku i nadeszło uszczęśliwić plac zabaw, mam wrażenie, że słyszę bawiące się dzieci, jedno z nich woła, mamo, zatrzymaj karuzelę, niedobrze mi, otrząsam się przestraszona, słońce jeszcze nie wzeszło, księżyc rzuca na mnie skupiony snop blasku, dziwny, podwójny księżyc, bliźniacze światła nisko nad ziemią, jakby świat stanął na głowie, niebo jest na dole, ziemia na górze, mrużę oczy, aż dociera do mnie, że to reflektory samochodu, szum silnika brzęczy mi w uszach, ale nawet strach nie każe mi wstać i uciec, nie ruszam się, także gdy drzwi się otwierają i wysiada ciemna postać, która podchodzi do mnie, słyszę jego głos, chodź do domu, Elu. Opieram głowę na kole karuzeli, resztką wyczerpanej świadomości pojmuję, co się dzieje, zabiera stąd kawał zimnego ciała, które straciło czucie, a z nim rozsądek, panowanie nad sobą, odpowiedzialność i dojrzałość, racjonalne myślenie i nadzieję.

Przez pałac oszołomienie przerwane go snu staram się śledzić kierunek jazdy, czy wiezie mnie do mnie, czy do siebie, ciepła ulga na widok znajomego zaułka, czy naprawdę nazywa się ulicą

Selichot, obserwuję go spod zmrużonych powiek, udaję, że śpię, żeby nie stawać przed nim w pełni upokorzenia, wlokę się za nim ciężko niczym lunaticzka, wchodzę do mieszkania, pozwalam się rozebrać umiejętnymi ruchami, płaszcz, sweter, bluzka, stanik, buty, skarpetki, spodnie, majtki, tyle warstw, a jednak tak zimno. Leżę bez ruchu w pełnej wody wannie, głowa boli mnie od płaczu i przerwane snu, od emocji budzących się na nowo z całą siłą żalu i straty, piję gorącą herbatę, którą mi przyniósł, widzę, jak od czasu do czasu rzuca mi ostrożne spojrzenie, jakby szukał ości w moim gardle; poprzez fale przyjemności z tego, że nagle ktoś się mną opiekuje jak nigdy, w sposób idealny, prawie krępujący, powoli dociera do mnie ogrom ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić, bo ruchy, którymi mnie przed chwilą rozbierał, nie były ruchami mężczyzny rozbierającego kobietę, lecz ojca rozbierającego córeczkę albo lekarza - pacjentkę, także spojrzenia, które rzuca mojej nagości są rzeczowe, wyzute z intymności.

Wychodzę z wanny, wciąż dygocząc z zimna, wyciera mnie ręcznikiem, ubiera w białą, flanelową bluzę, przez cały czas w ogóle się do mnie nie odzywa, ma do zaoferowania wyłącznie praktyczne uczynki, jakbym była niemą znajdą, którą zabrał z ulicy, żeby uratować jej życie, bezpiecznym kotem, nad którym ulitował się w zimną noc, ale po wschodzie słońca każe mu pójść w swoją stronę; ja też nic nie mówię, zanurzam się w łóżku z nowym, sprężystym materacem, przykrywam się kołdrą, piję resztkę słodkiej herbaty, śledzę jego odmierzone ruchy, czy tak zajmował się ojcem, siostrą, matką, skutecznie, w ponurym milczeniu, nie ośmielając się poskarżyć, okazać niezadowolenie. Chcesz jeszcze herbaty? - pyta. Nie, chcę z tobą porozmawiać, mówię, wyciągając do niego rękę. Powinnaś jeszcze się napić, zbywa mnie. Najwyraźniej obawia się chwili, w której zabraknie niezbędnych czynności, co wtedy zrobi, proponuje mi jeszcze jedną kąpiel, rozbierze i ubierze mnie od nowa? Mówię do jego pleców: Porozmawiaj ze mną, Oded. Poczekajmy z rozmową, słyszę. Na co? Wraca z pełnym kubkiem, siada na skraju łóżka, jakby bał się ode mnie zarazić. Nie chcę mówić niczego pochopnie, wyjaśnia cicho. Nie chcę powiedzieć czegoś, czego będę potem żałował. Muszę mieć czas do namysłu. Rozczarowałam cię, mówię szeptem. Tak mi przykro. Tak, a ja rozczarowałam cię. Ale daj spokój, nie będziemy rozsądzać emocji, ty masz prawo do swoich, ja do swoich, pytanie, czy da się je pogodzić.

Łóżko jest śnieżnobiałe i chłodne, stoi wśród lśniących ścian, otaczają nas białe horyzonty, mam wrażenie, że leżymy na zaśnieżonych równinach niczym pokonani żołnierze, modlący się jedynie o szybką śmierć. Pod głową mam poduszkę z lodu, okrywa mnie mroźna kołdra, nawet w opustoszałym ogrodzie było mi cieplej niż w twoim łóżku, co my zrobimy, Oded, leży między nami maleńki, martwy płód, niedonoszone dziecko, spadła gwiazda, wyrwany pęd, co my zrobimy? Spij, szepcze, już późno, zanurzam dygoczącą twarz w miękkim śniegu, jak mam spać, kiedy cię tracę, ostrożnie przekraczam białą granicę między nami, przytulam się do jego odwróconych pleców, twardych jak kamienny mur, Kochaj się ze mną, Oded, odwraca się powoli, muska moją twarz czubkami paznokci, obrysowuje opadający łuk brwi, drżące usta, nie mogę, mówi, z obraźliwą czułością, jakby się nade mną litował, nie mogę cię jednocześnie ratować i kochać się z tobą, to nie idzie w parze. Staram się zwalczyć gulę rozpacz, która od nowa wzbiera mi w gardle, rozpacz przedwczesnego rozstania, która zbliża sicz powolną, przejmującą melodią, niczym hymn żałobny. Tak krótkie było wszystko, skąpo wydzielone, z góry skazane na utratę, co oplakiwałam tam, w zimnym ogrodzie, oplakiwałam przeszłość, a oto przyszłość nadstawia gardło pod nóż, dlaczego nie siedziałam obok niego w szlachetnym milczeniu, przecież jego smutek nie był skierowany przeciwko mnie, nie zdałam egzaminu, poniosłam kompletną porażkę.

O cóż takiego mnie w końcu poprosił, o trochę empatii, zrozumienia, współczucia dla nieszczęścia, wobec oczekiwanego rozstania wszystko to wydaje się teraz takie łatwe, rozpociera się przede mną pustka przyszłości bez niego, co noc będę siedziała na karuzeli przed domem jego dzieci, czekała, aż zgasną światła, w ten sposób będzie trwać niewidzialna więź między nami, przewyższę go poświęceniem, nie ominę ani jednego wieczoru, w stopniowo wydłużających się dniach, coraz bliżej lata, będę prowadziła dokładne zapiski pory gaszenia świateł, może co jakiś czas natknę się na niego, jak zakrada się na ciemny plac zabaw z nową kobietą, sprawdza jej gotowość do zniesienia jego smutku i oddania dzieciom. Będzie siedziała przy nim niczym na uroczystej premierze, składając świeżo umytą, pachnącą głowę na jego ramieniu, obserwując ze sztucznym zainteresowaniem wędrówkę świateł, jakże łatwy egzamin, jak mogłam ponieść porażkę, każda kobieta by go zdała, gniew na samą siebie zamienia się w gniew na niego, dlaczego nie mógł zrezygnować w nasz pierwszy wspólny weekend, dlaczego uparł się zaciągnąć mnie na ten prywatny, dławiący radość rytuał, przepelniający poczuciem winy, między dwoma gniewami, szalejącymi z dwóch stron, nasza szansa zostaje zmiażdżona, niczym nowo narodzone dziecko, które kochający rodzice, ciężcy i zmęczeni, przygnietli we śnie, zanim dożyło dnia obrzezania.

Oded, przykro mi, szepczę w poduszkę, dziwiąc się, że mój głos jest słyszalny. Mnie też, odpowiada szeptem. Może w ogóle nie odpowiedział, bo już śpi, leży na plecach, z zamkniętymi pięknymi oczami, z rozluźnioną twarzą, jakby jego ciało spinało się tylko dzięki stanowczej decyzji, teraz, we śnie, kości policzkowe stają się miękkie, oczy oddalają się od siebie, każde kieruje się w inną stronę, przykryte opadającą powieką, podczas gdy ja leżę z szeroko otwartymi oczami w obcym mieszkaniu, w obcym łóżku, obok mężczyzny, którego już nie zobaczę, który zniknie z mojego życia tak nagle, jak się w nim pojawił. Żeby zasnąć, powtarzam wciąż do śnieżnobiałych uszu poduszki, kiedy byłam małą dziewczynką, nie miałam ukochanego.

Ogrzewanie budzi się ze snu przede mną, roztaczając leniwe ciepło sobotniego poranka, przez chwilę wydaje mi się, że jestem u siebie, że Gili bawi się w salonie, a Amnon robi kawę, upominając go przyciszonym głosem, nie hałasuj, pozwól mamie się wyspać, tak pewnie Gili jest zagubiony co rano, kiedy stara się zorientować, gdzie się znajduje. Kiedy tylko przypominałam sobie, gdzie jestem, przypominam sobie też nieuniknione rozstanie. Postanawiam przyjąć dumnie wyrok, nie błagać o przebaczenie, nie prosić, kiedy wchodzi do pokoju z tacą, na której stoją kubki z kawą i talerz z ciastem, uśmiecham się z rezerwą, usiłując rozczesać palcami splątane włosy. On jest już ubrany jak do wyjścia, w czarnym golfie i błękitnych dzinsach, ma wilgotne włosy, na nowo napięte policzki przyjemnie pachną, golenie jeszcze bardziej podkreśliło jego bladość, ciemne, głębokie plamy oczu, serce mi topnieje, tak mogło wyglądać moje nowe życie. Oded podaje mi kubek. Chcesz porozmawiać? - pyta. Bez słowa upijam łyk, wzruszam ramionami. Masz mi coś do powiedzenia? - ponagla, jakby chodziło o ostatnie życzenie skazańca, które oddala wykonanie kary. Kiedy wciąż milczę, odzywa się: Dobrze, to wysłuchaj mnie. Odwraca ku sobie moją twarz. Chcę ci coś zaproponować, nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, ale nie mam innego, wydaje mi się, że trzeba spróbować.

Siedzę lot ptaków, które przecinają jaśniejsze niebo za oknem, rysując szare, ołowiane linie. Co mi proponujesz, ponurą ceremonię pożegnalną w łóżku, krótki, obojętny spacer w zadziwiająco pogodny sobotni ranek, będziemy iść oboje za pustą trumną. Zamieszkać ze mną.

Zamieszkać z tobą, tutaj? - szepczę. Tak, jest dosyć miejsca, mówi, wskazując na białe ściany, które potwierdzają prawdziwość jego słów. Oddycham z pełną podejrzliwości ulgą, przez chwilę wydaje mi się, że ta zdumiewająca propozycja nie unieważnia wyroku o rozstaniu, tylko go oddala, aż będzie bardziej rozziewający, bardziej tragiczny.

Udało ci się mnie nabrać, mówię ostrożnie, powątpiewając w duchu w jego rozsądek. Myślałam, że cię utraciłam, w moim głosie brzmi prawie skarga z powodu niesprawdzonej przepowiedni. Wiem, mówi. Ja także. Co się zmieniło? - pytam. Zrozumiałem, że muszę dać ci więcej poczucia bezpieczeństwa i otrzymać od ciebie więcej bezpieczeństwa, może bardziej określone ramy to umożliwią. Ale to za szybko, oddycham z trudem, jeszcze się nie znamy. Jaki jest lepszy sposób, żeby się poznać? - uśmiecha się.

Co z dziećmi? - upieram się. Dla nich to za wcześnie, nie możemy eksperymentować ich kosztem. To mnie nie odstrasza, mówi. Zrobimy to stopniowo. Jeśli my będziemy jednomyślni, przyzwyczają się. Obracam w myślach to słowo. Czy kiedyś byliśmy jednomyślni? Mam wrażenie, że dobiegają mnie odległe echa słów o miłości i szczęściu, nie jestem nawet zdumiona, jak jest późno, lecz jak wcześnie; można odejść z życia, nie znając tego smaku, twoje szczęście jest moim szczęściem, moje twoim, tak, bądźmy jednością jak bochen chleba, jak fotografia w albumie, jak sklezione naczynie, będziemy jednej myśli, starając się posklejać fragmenty naszych rodzin, będziemy jednej myśli, zbierając resztki naszych pragnień, kładąc się i wstając, w przemijającej egzystencji, branej przez pomyłkę za wieczność, w smutku i poczuciu winy, w burzeniu i budowaniu.

Za chwilę ruch uliczny się zatrzyma, przechodnie zastygną w miejscu sztywno wyprostowani, jakby melancholijna syrena dnia poległych rozległa się tego ranka, kelnerka z filiżankami kawy na tacy stanie obok, niema niczym woskowa figura, on sam skamienieje z otwartymi ustami, z błyszczącymi, jasnoblękitnymi oczami, kiedy przekażę nowinę, kiedy powiem, Amnon, mam nowego partnera, zamieszkamy razem; choć nasze rozstanie jest faktem już od wielu miesięcy, wydaje się, że dopiero teraz staje się realne, że dopiero dziś z nieba wychylił się anioł, który powiedział: Pani X, córka pana Y, nie jest przeznaczona temu, lecz tamtemu, musi wziąć cały swój dobytek, meble i naczynia, ubrania i książki, i swego jedyne go syna, do mieszkania w zaułku Selichot i nigdy już nie wrócić do dawnego domu.

Zdenerwowany przeciąga po głowie szerokimi, mięsistymi dłońmi, wydyma policzki, wygląda jak gąbka wchłaniająca wodę, mam wrażenie, że pęcznieje w oczach, rozpierają go resztki dawnego gniewu, frustracji i zazdrości, oczy zaokrąglają mu się w zdumieniu, znanym mi tak dobrze z twarzy Gilego. Nie wierzę, Elu, jeszcze kilka tygodni temu chciałaś do mnie wrócić, byłaś gotowa zrobić wszystko, żebyśmy znowu byli razem, a teraz okazuje się, że kogoś masz i jeszcze się do niego przeprowadzasz? Co to ma znaczyć?

Kurtyna obcości spada z sufitu, przegradza stół niczym ciemna siatka maskująca, rozdziela nas, przysłałam sama, ale mam wrażenie, że siedzę na kolanach nowego kochanka, wtulona w jego ramiona patrzę na rozszluszczoną mężczyznę o gwałtownych ruchach, pieczęcie nowej miłości zdobiją moje ciało niby klejnoty podarowane przez ukochanego w dowód uczucia, aby wiedział o nim każdy przechodzień, a tym bardziej Amnon Miller, który teraz siedzi przede mną, wymachuje rękoma, z ustami pełnymi szorstkich dźwięków.

To nie było kilka tygodni temu, lecz kilka miesięcy, prostuję szybko. - Twoja odpowiedź była tak jednoznaczna, że ta możliwość przestała istnieć, wszystko, co działo się później, to już nie twoja rzecz, mówię ci o tym tylko z powodu Gilego i po to, żebyśmy wreszcie poszli do rabinatu i zakończyli całą sprawę jak należy. Okazuje się, że wbrew sobie się bronię, tak zawsze było w naszych kłótniach, przerabialiśmy wszystkie, takie, które wybuchają w mgnieniu oka, i takie, które żarzą się powoli, kończące się zgodą i ciągnące w nieskończoność, roztaczające smród niczym woda stojąca w wazonie, czy pozostało dość bliskości, niezbędnej do wszczęcia kłótni, między mną a mężczyzną we flanelowej koszuli w kratę, który odwraca oczy pod moim spojrzeniem, odsłania duże zęby poprzedzielane wąskimi szparami? Ach, o to teraz ci chodzi, atakuje gwałtownie nową informację, zakończyć nasze sprawy, zamierzasz się ostatecznie ode mnie uwolnić, po to chciałaś się spotkać. Oczywiście, mówię, czego właściwie się spodziewałaś, że będę błagać, żebyś do mnie wrócił, jak poprzednio, żebyś mnie znowu upokorzył, może zamknął w ubikacji, nie widzisz, że od dawna już jestem gdzie indziej?

Czy ty w ogóle masz pojęcie, co przeżywałem tamtej nocy, czy wiesz, jak było mi trudno

cię odepchnąć? - wybucha gorączkowo. Zrobiłem to dla ciebie, dla nas obojga, wiedziałem, że jeśli wrócimy do siebie tak szybko, nic się nie zmieni, że muszę dać ci czas, chciałem się upewnić, że naprawdę ci zależy, że mogę oprzeć się na tym, co mówisz. Kręcę głową z powątpiewaniem, kompletnie nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, nie zostawiłeś mi cienia wątpliwości, żyjemy oddzielnie już od kilku miesięcy, każde z nas ma prawo budować swoje życie, teraz mówisz, że na mnie czekasz?

Czekam od dawna, żeby się przekonać, czy mówiłaś poważnie. Wczoraj, kiedy zadzwoniłaś, byłem pewien, że chcesz zaproponować, żebyśmy znowu byli razem, ale tym razem nie z paniki, lecz z miłości, wybaczone wyrażenie, teraz rozumiem, że byłem naiwny, jak zawsze, zbyt wysoko cię oceniłem, nie dojrzałaś, niczego się nie nauczyłaś, jeśli rzucasz się w ramiona pierwszego faceta, który się tobą zainteresował, nie myślisz nawet o swoim dziecku. Wzdycham ciężko, starając się, aby słowa wydobywające się z jego ust nie przebiły przegradzającej nas kurtyny. Amnon, posłuchaj, to prawda, na początku myślałam, że nasze rozstanie było błędem, ale ty nie chciałaś do mnie wrócić, teraz widzę, że miałaś rację, napotkalibyśmy dokładnie te same problemy, nie wiem, czego ode mnie chcesz po tym, jak mi odmówiłaś, jakie masz prawo się skarżyć.

Nie odmówiłem, warczy, nachylając się w moją stronę, oparty rękami o stół, z bliska zauważam koniuszki włosów, tworzące ciemniejsze plamy na łysiejącej czaszce, powiedziałem ci, że trzeba nam czasu, przez wszystkie te miesiące nie dotknąłem żadnej innej kobiety, a ty się do kogoś przeprowadzasz? Nie oczekiwałam, że będziesz mi wierny, syczę przez zaschnięte gardło, myślałam w ogóle, że jesteś z Ofra, czego ty ode mnie chcesz, co ty mówisz?

Mówię, że gdybyś teraz zaproponowała, żebyśmy do siebie wrócili, poważnie bym się nad tym zastanowił, ale jeśli naprawdę przeprowadzisz się do kogoś, przestaniesz dla mnie istnieć, to twoja ostatnia szansa. Myślałam, że dawno temu przestałam dla ciebie istnieć, mamrocze, nie wierzę w ani jedno twoje słowo, chcesz po prostu wszystko zepsuć, Amnon, nie rób mi tego. Po co mnie w ogóle zaprosiłaś? - rzuca wściekle, wąsik potu zbiera się nad jego górną wargą, która zawsze wilgotnieje ze zdenerwowania, nie jesteśmy kawiarnianymi przyjaciółmi, czego chciałaś, wspólnie zastanowić się, jak powiedzieć Gilemu, że sprowadzasz mu nowego ojca? Przeciwiczyć tę rozmowę na mnie? Jakiego znowu nowego ojca, ty jesteś jego ojcem, nikt inny nie będzie z tobą konkurował, jeśli o to ci chodzi, nie masz się czym martwić. Ociera pot, zostawiając czerwony ślad na policzku. Chodzi mi o to wszystko, co się dzieje, jakbyś się czuła, gdybym zaprosił cię na śniadanie, byłabyś pewna, że chcę ci zaproponować, żebyśmy do siebie wrócili, i wtedy bym cię poinformował, że mam kogoś i że z tą kobietą zamieszkać, to by ci nie przeszkadzało? Kiedy jego i moje wargi się poruszają, powtarzając wciąż te same słowa, mam wrażenie, że widzę, jak latami tkwimy naprzeciwko siebie z otwartymi ustami, z wyciągniętymi szyjami, wydając skrzekliwe dźwięki, w najrozmaitszych miejscach, na łonie przyrody, w hotelach, w domach przyjaciół, w kolejnych mieszkaniach, starzejemy się w kłótni, miażdżymy nawzajem swoją odrębność, czy to już było, czy to nas dopiero czeka?

Dosyć tych manipulacji, mówię szeptem, bo przy stoliku obok siadają dwie starsze panie, które zerkają na nas ciekawie. Nie miałaś żadnych podstaw sądzić, że chcę wrócić, jestem przekonana, że przyszło ci to do głowy pięć minut temu, po prostu chcesz mi wszystko utrudnić, ale to ci się nie uda, czuję się tak pewna tego związku, że nawet ty nie podważysz mojej pewności. Aż tak? W końcu znalazłaś idealnego mężczyznę, mężczyznę bez wad? Mam wielką nadzieję, że tak jest rzeczywiście, że względu na niego, nie wie jeszcze, co go czeka,

gdy odkryjesz, że taki nie jest, nie pozna cię. Ja też z początku wydawałem ci się idealny, ja też znałem kilku miesięcy łaski, aż zaczęłaś wrastać w moje życie, jesteś taka sama jak twój ojciec, nie oszukuj się, nie potrafisz kochać, twoja miłość to jednoroczna roślina, a nawet to nie zawsze.

Po stoliku, wśród kubków z kawą, która wystygła, zanim mieliśmy okazję jej spróbować, wędruje jasny promień słońca, kręci się między nami, jakby szukał winnego, obmacuje jego twarz palcem ślepeca, przeskakuje nerwowo z oka do oka, z policzka na policzek, czy ten kawałek skóry kochałaś, czy to oko będziesz chciała oglądać codziennie do końca życia, wskazuje na obcość, która w jednej chwili przerosła lata bliskości, czy to mój mąż, mam wrażenie, że przekroczyłam jakąś granicę, z innej strony wydaje się obcy i odpychający, uszy nawykłe do wyważonej mewy Odeda zdumiewają się gwałtownym wybuchem, chowam się za barykadą mego nowego życia, wyglądając ostrożnie przez szpary, jakbym obserwowała bitwę, której wynik, co prawda, jest przesądzony, ale niebezpieczeństwo nadal istnieje, wciąż można odnieść ranę od ostatniej, zabłąkanej kuli.

Amnon, nie zamierzam tego dłużej słuchać, nie prosiłam, żebyś na mnie czekał, myślałam, że przeszliśmy już przez to wszystko, postaraj się uspokoić, musimy utrzymywać poprawne stosunki ze względu na Gilego. Ze względu na Gilego, grzmi donośnie, ze względu na Gilego, dość mam tych lukrowanych słówek, tak ci zależy na Gilim, że rozbijasz mu rodzinę, ale to nie dosyć, zamierzasz się przeprowadzić i sprowadzasz mu nowego faceta, z całym tym galimatiasem będzie musiał sobie poradzić, wszystko to z błyskawiczną prędkością, żeby tylko się nie rozmyślić, w ogóle nie dociera do ciebie, co robisz, czasami wydaje mi się, że po prostu zwariowałaś, potrzeba ci jak najszybciej psychiatry, mówię ci. Zanim zdążę go poinformować, że może się uspokoić, bo mam psychiatrę na stałe, zrywa się i odpycha krzesło, wiesz co, daj mi spokój z tymi komplikacjami, które stwarzasz, sama musisz sobie radzić, nie licz więcej na moją pomoc, ani z Gilim, ani z rabinatem, ani z niczym, niech twój nowy narzeczony ci pomaga; odchodzi, piniąc się z wściekłości, po drodze wpada na kelnerkę, która niesie do naszego stolika zamówione śniadanie dla dwojga, jajecznicę i sałatkę, koszyk ciepłych bułeczek i deskę serów.

Zatroskana przyglądam się jak precyzyjnie ustawia dwa nakrycia, przed pustym miejscem Amnona stawia pachnącą jajecznicę, szklanek świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, kładzie sztucę na złożonej serwetce, jakby idealny porządek miał sprowadzić go z powrotem, ja także udaję, że czekam, popijam zdenerwowana wystygłą kawę, wyglądam przez okno. Na lśniące, nowe życie padł ciężki cień, w jabłku pokazał się robak, ciasto oblaży mrówki, staram się dodać sobie otuchy, tak tylko gada, przejdzie mu, także kiedy się rozstaliśmy, groził i wariował, w końcu wszystko przeszło spokojnie, co on w sumie może mi zrobić, przecież nie odbierze mi dziecka, nie zniknie tylko po to, żeby mi stwarzać problemy, poradzę sobie, nawet jeśli na razie nie zechce mi dać rozwodu, poza tymi konkretnymi groźbami rozpościera się jednak powoli największy, najboleśniejszy lęk, jakby swymi bezpośrednimi słowami Amnon otworzył zapomnianą szkatułkę z pozytywką, przekręcił kluczyk i sprawił, że wydobyła się z niej smętna, żalonna melodia wątpliwości i wahania.

Czyja ta jajecznica, beapańska? - słyszę wesoły głos i z radością podnoszę wzrok. Mojego męża, ale zrezygnował z niej, teraz należy do ciebie, mówię, wstając i obejmując ją. Talia, jak dobrze cię widzieć, stęskniłam się. Nie lubię cię już, rzuca z teatralną obrazą, która właśnie dzięki temu, że jest przesadzona, nie wpędza mnie w rozpacz. Miesiącami do mnie nie

oddzwaniaasz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zjem jajecznicę Amnona i sobie pójdę. Uwierz mi, nie byłam zdolna do rozmowy, mówię. Nie wyobrażasz sobie, co przeżywałam. Rzuca mi badawcze spojrzenie, pochłaniając jajecznicę. Sądząc z tego jak wyglądasz, to musiało być coś dobrego.

Mylisz się, zaprzeczam. Dobre rzeczy dzieją się dopiero teraz. Starannie smaruje bułeczkę serkiem śmietankowym. A co, zakochałaś się? Wykrzywiam twarz w nerwowym uśmiešku. Nie masz pojęcia, jak bardzo, to w ogóle jest nierealne, zbyt cudowne. Niepokoisz mnie, Elu, to nie brzmi dobrze. Przystań, ty też chcesz wszystko popsuć, jak Amnon? - skarżę się. Co z wami? Widzicie szczęśliwą kobietę i natychmiast zaczynacie zazdrościć. Chyba nie spodziewałaś się, że Amnon ucieszy się twoim szczęściem, zauważa Talia. Myślałam, że mu to będzie obojętne, wzdycham. Jestem teraz po jego stronie, więc uważaj, śmieje się. Kiedy do mnie nie oddzwaniałaś, telefonowałam do niego za każdym razem, kiedy Joaw chciał się zobaczyć z Gilim, byliśmy u niego kilka razy, Gili ci nie opowiadał? Nie, wiesz jacy oni są w tym wieku. Nic nie mówią, staram się szybko ukryć wstyd, żeby nie zauważyła, jak wielka przepaść rozwarła się między mną a moim dzieckiem, przepaść na szerokość niewidocznej połowy jego życia; niewiele bym wiedziała, gdyby nawet starał się wtajemniczyć mnie w jego elementy, a co dopiero, gdy nie zdradza mi nawet drobnych szczegółów!

Było nawet bardzo miło, ciągnie Talia, zawsze szczerza i rzeczowa. Nie wyobrażasz sobie, jak Amnon zmienił się na lepsze bez ciebie. Tak, też miałam takie wrażenie, ale rozwiąło się dziś rano, zauważam. Powiedziałam mu, że przeprowadzam się do kogoś, i to było dla niego zbyt wiele, natychmiast ukazał się dawny Amnon. Talia odkłada bułeczkę, przelyka z trudem. Elu, chcesz zamieszkać z jakimś facetem? A z kim mam zamieszkać, z kotem? - odpowiadam ze śmiechem. To bez wątpienia byłoby teraz lepsze, oświadcza. Jak długo w ogóle się znacie? Niedługo, ale czas nie jest najważniejszy, mówię. Odkąd to czas decyduje o czymkolwiek?

Znowu za bardzo się śpieszysz, orzeka z przejęciem. Cudownie, że się zakochałaś, ale po co mieszkać razem, po co wciągać w to Gilego? Ten mężczyzna też ma dzieci? Dwoje, mówię. Ale mają matkę, nie sądzę, żeby rzeczywiście z nami zamieszkały. Nie masz pojęcia, w co się pakujesz, to o wiele bardziej skomplikowane, niż myślisz, moja koleżanka przechodzi gehennę z rozwodnikiem z trójką dzieci, których nie cierpi, a one nie cierpią jej, musisz zaczekać, zanim wmieszasz w to dzieci.

Ale ja jestem pewna, że dogadam się z jego dziećmi, protestuję słabo. Synka już znam, jest przemiły, dziewczynka też sprawia wrażenie sympatycznej, co może się stać. Wszystko, mówi Talia. Kiedy obie strony mają dzieci. Jak choćby on się dogaduje z Gilim? Prawie go nie zna, ale jestem pewna, że nie będzie problemu, widziałam, jak się odnosi do swego syna, jest cudownym ojcem.

Jest cudownym ojcem dla swoich dzieci, nie dla twojego dziecka, to cała różnica. Talia pociąga pośpiesznie łyk kawy Amnona i krzywi się. Posłuchaj, w przeciwieństwie do Amnona naprawdę chciałabym, żeby wam się udało, ale musicie przeprowadzić to stopniowo, może skorzystacie z pomocy profesjonalisty? On sam jest profesjonalistą, mówię. To psychiatra, jestem pewna, że wszystko dobrze przemyślał. Wcale mnie to nie uspokaja. Psychiatrzy w codziennym życiu nie różnią się od innych, może nawet są jeszcze gorsi, bo tacy pewni, że wszystko wiedzą, nie ufaj mu, myśl samodzielnie, zastanów się, jak Gili się będzie czuł, kiedy dostanie nagle dwójkę przyszywanego rodzeństwa. Ale Gili jest najlepszym kolegą jego syna, mówię. Przez tego chłopca się w ogóle poznaliśmy. Talia jest niewzruszona. I co z tego? Gili

był najlepszym przyjacielem Joawa, myślisz, że gdybym się jutro przeprowadziła do Amnona, byłoby im łatwo? Wcale nie.

To tak się sprawy mają? Zakochałaś się w Amnonie? - żartuję. Talia pośpiesznie wstaje. Muszę lecieć, uważaj na siebie. Całuje mnie, jej gęste czarne włosy muskają mój policzek. Powinniśmy kontynuować tę rozmowę, może przyjdziecie do nas z Gilim po południu? Nie byliście u nas od pół roku. Innym razem, obiecuję. Dzisiaj mamy zamiar spotkać się oboje ze wszystkimi dziećmi, spróbujemy odegrać zakochującą się w sobie wzajemnie rodzinę. Talia znowu wykrzywia usta. Odegrać zakochującą się w sobie rodzinę? To nie brzmi dobrze, martwię się o ciebie, Elu, obiecaj mi, że weźmiesz pod uwagę, co ci mówiłam, chociaż znając cię, to na nic.

Tak, zamierzamy odegrać wzajemne zakochywanie się, tłumaczę ponownie opustoszałemu krzesłu, stopniowe, naturalne, rodzinne zakochywanie się. Mamy niedużą widownię, wszystkiego tylko trzy osoby, małoletnie, młode, niby przychylne, ale na krawędzi wrogości, niby roztrzepane, ale bardzo uważne, zarazem łatwowierne i podejrzliwe, swobodne i przestraszone, ich młode oczy wychwytyją fałszywe nuty, zgrzyty, ukradkowe spojrzenia, wysiłek i napięcie; w przeciwieństwie do zwykłych widzów oglądają spektakl czujnie, wstrzymując oddech, jak żołnierze przed bitwą, bo przedstawienie, jakie im pokazemy tego popołudnia, to opowieść ich życia, ich chwiejącego się w posiadach dzieciństwa, a jego akcja zdecyduje o ich losie.

Siedzą naprzeciw siebie na huśtawce z opony, wznoszą się i opadają niby wahadło przy akompaniamencie przenikliwych, radosnych pisków, chłodne promienie słońca tańczą na ich ubłoconych kurtkach, na policzkach zabarwionych dziwnym sinym rumieńcem, jakby były umalowane. Mamo, jeszcze nie, woła Gili, daj nam się jeszcze trochę pohuścić. Jotam odpowiada echem, jeszcze nie, jeszcze trochę. Serce mi rośnie na ich widok, jakby obaj byli moimi synami, bliźniakami. Poruszona, choć nie raz odbierałam cudze dziecko ze szkoły, oświadczam: Jotam, chodź z nami, twój tata prosił, żebym cię dzisiaj odebrała. Gili już mierzy mnie wzrokiem, macha nogami, żeby huścić się jeszcze wyżej. Widzę, że zauważył mój podekscytowany głos, jak zawsze zwraca uwagę na każdy szczegół. Naprawdę? - dziwi się Jotam. Mama nic mi nie mówiła rano. Nie martw się, uspokajam go. Twój tata przed chwilą dzwonił i prosił, żebym cię do nas zabrała. Przyjdzie później, kiedy odbierze Maję z zajęć, tak mi powiedział, dodaje szybko, starając się zatrzeć szczegółową znajomość jego planu dnia.

Obaj jednocześnie zeskakują z huśtawki, podnoszą rzucone na ziemię tornistry, a potem razem brniemy przez labirynt dusznych korytarzy, przeciskając się wśród zapachów, namacalnych jak ludzkie łokcie, zapach kremu czekoladowego i chleba, energicznie puszcanych bąków, wilgotnych skarpetek i potu małych ludzi, walczących o swój honor w każdej chwili, bez ustanku. Zabieram Jotama, informuję nauczycielkę, a ona gładzi chłopców w przelocie po włosach. Doskonale, to najlepsi przyjaciele, prawie jak bracia. Tak, całkiem jak bracia, przytakuję. Mam wrażenie, że każde przypadkowe słowo z ust obcych ludzi nabiera decydującego znaczenia.

W drodze do domu trzymam się z tyłu za nimi, starając się podsłuchać rozmowę, idą blisko siebie, pokazują sobie pogniecione karty, wyciągane z kieszeni, ta jest najwięcej warta, jak ją zdobyłeś, tę mam podwójną, może się wymienimy, szczebioczą jak małe, niewinne pisklęta. Bez ich wiedzy powstaje dla nich nowa rodzina, wokół nich zbiera się patyczki, listki, nitki i kawałki materiału, splata się je razem, zostaną pochwyteni w sieć, zanim zdążą zauważyć.

Kupiłam jeszcze sześć paczek, mówię, po trzy dla każdego. Słyszałeś, mama kupiła nam karty, obwieszcza Gili i natychmiast żąda wyjaśnień: Kupiłaś je przedtem czy potem, jak zadzwonił tata Jotama? Upewnia się, że nie chodziło o sześć paczek, które od początku były przeznaczone tylko dla niego, i że nie straci na całej sprawie. Oczywiście, że po, mówię. Stoi przez chwilę zamyślony, jakby powątpiewał w moje słowa, obraca karty w rękach. W ogóle nie znam twojego taty, zwraca się do Jotama z lekkim wyrzutem. Bo on jest dużo w pracy, broni się Jotam. Prawie nie przychodzi do szkoły, ja też nie widuję go często, przyznaje. Ale teraz będę widywał go więcej, stara się dodać otuchy sobie i słuchaczom, bo tata się przeprowadził do nowego domu i będziemy połowę

czasu u niego.

Co to znaczy połowę czasu? W milczeniu przetrwam nowinę, słysząc jak Gili szybko stara się mu dorównać. Ja też jestem połowę czasu u taty, prawda, mamó? Znaleźli sobie powód do przechwałek, żalosne osiągnięcia dzieci rozwodników. Tak, mniej więcej, potwierdzam, uważając, aby mu nie zaprzeczyć, ale informacja o nowym układzie, która przypadkiem zakradła się do moich uszu, intryguje mnie o wiele bardziej, połowę czasu? A co z naszym czasem? Po raz pierwszy usiłuję wyobrazić sobie charakter przyszłego życia, czy Oded ograniczy godziny pracy, żeby więcej czasu spędzać z dziećmi, czy spodziewa się mojej pomocy, czy będziemy spędzać połowę czasu z całą trójką, czy będziemy się nimi dzielić, połowę z jego dziećmi, połowę z moim synem, nigdy sami, słyszę echo słów Talii, to o wiele bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, czym prędzej ją uciszam, co z tego, że chłopiec tak powiedział, nie on decyduje, nawet jeśli pojawią się problemy, pokonamy je siłą naszego uczucia, kiedy myślę o naszej miłości, o nowym, zdziwionym my, mam wrażenie, że ciepły, uzdrawiający blask słońca wpada do pokoiów mego serca, zaciemnionych niczym sypialnia chorego, zalewa je pocieszającym światłem, czemu mam się koncentrować na drobiazgach, gdy tak bardzo pragnę ukochanego, gdy w gruncie rzeczy nie mam wyjścia?

Zdejmijcie buty, żeby nie nabłocić, polecam, kiedy wchodzimy po schodach, przypominając sobie, jak swobodnie można używać liczby mnogiej. Gili, który wszedł pierwszy, woła: Mamó, posprzątałaś, z jakiej okazji? Dla was, obejmuję go. Żeby było wam przyjemnie. Nie odzyskuje spokoju ducha, lecz rezygnuje z dalszych pytań, rzuca się od razu na nowe komplety kart, wręcza Jotamowi trzy z demonstracyjną szczodrością, zaczynają porównywać i się wymieniać, przechodzę pośpiesznie do sypialni, zastanawiając się, co włożyć, coś zwykłego i domowego, lecz także atrakcyjnego, niezbyt luźnego, a zarazem niezbyt starannego, w końcu wybieram czerwony sweter i sprane dżinsy, wciąż nie jestem zadowolona, czy lepiej związać włosy, czy rozpuścić, wydaje mi się, że nigdy jeszcze nie przygotowywałam się aż tak, większość naszych spotkań była przerażająco przypadkowa, tym razem wszystko jest zaplanowane, wyreżyserowane, czy mam odświeżyć makijaż, czy zadowolić się pozostałościami z rana, próbuję związać włosy czerwoną aksamitką, i natychmiast zarzucam ten pomysł, zastanawiając się, dla kogo właściwie się staram, dla mężczyzny, który widział mnie już uśpioną i nagą, czy dla jego ślicznej dziesięcioletniej córki, czy chcę zrobić na niej wrażenie swoim wyglądem, żeby się jej spodobać, czy odwrotnie, żeby z nią rywalizować, przyćmić ją.

Raz za razem biją piąstkami w dywan, wzniesając maleńkie obłoczki kurzu, starając się odwrócić karty leżące potulnie na grzbietach niczym martwe karaluchy, może przez to nie słyszę dzwonka, kiedy podnoszę głowę z kanapy, na której leżę, drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, stoją za nimi ojciec i córka, trzymając się pod ręce natychmiast żałuję, że jednak nie związałam

włosów, bo jej jasne sploty są ułożone w idealny koczek, który przydaje dojrzałego i szlachetnego wyrazu porcelanowej buzi, lustrującej mnie badawczo z otwartym niezadowoleniem.

Dzień dobry wszystkim, wita się ceremonialnie Oded, jego niski głos nagle brzmi odrobinę drwiąco, sztucznie, zrywam się na ich powitanie, witajcie, świetnie, że jesteście, jakby to była niespodzianka, pewnie oboje byśmy z tego chichotali, gdybyśmy nie byli tak spięci, prawie zdesperowani. Oded usiłuje powiedzieć niby to swobodnie: Znasz Maję? - i nie wiadomo czemu wskazuje na nią. Macham do niej, chociaż stoi tuż obok. Cześć, jestem Ela. Maja przerywa mrukliwie sztuczną ceremonię: Wiem, widziałam cię kiedyś w kawiarni. Dajcie mi kurtki, mówię szybko. Oded próbuje zdjąć okrycie swojej córce, ale ręka, która wciąż trzyma jego ramię, to uniemożliwia. Tato, chcę iść do domu, mówi Maja opryskliwie. Mam dużo lekcji. Zostańmy chwilę, kochanie, namawia on. Potem odrobisz lekcje. Jestem pewien, że Jotam jeszcze nie chce iść. Dopiero wtedy Jotam zwraca się do nich, odrywa się od kart i wskazuje ojcu na rękę. Tato! - krzyczy, jakby nie widzieli się od tygodni. Mama Gilego kupiła mi karty! Super, gratuluję! - woła Oded. Jakby chodziło o wielki, bezprecedensowy zakup. Jednocześnie usiłuje rozebrać się z płaszcza i w tym celu zdejmuje rękę córki ze swego ramienia, wąską, delikatną, obrażoną rączkę, zapisuje na swoje konto pierwsze, małe, lecz zadowolające zwycięstwo, zabieram szybko jego płaszcz i wieszam starannie na wieszaku w szafie, jakby w najbliższym czasie nie miał go potrzebować.

Daj mi też swój, będzie ci za ciepło, przekonuję dziewczynkę, która zdejmuje kurtkę z głośnym westchnieniem, odsłaniając prześliczny, błękitny kostium do tańca, błyszczące rajtuzy z lycry, powyżej tunikę baletnicy z długimi rękawami, obciskającą jej szczupłe ciało, jaki śliczny strój, podziwiam, a ona uśmiecha się z wyższością, tata przywiózł mi z Ameryki. Naprawdę, przyglądam mu się z uznaniem, jak fajnie, że jest dziewczynka, nie tak, jak ci chłopcy, których nie można ładnie ubrać, paplam bez sensu, starając się stworzyć pozory kobiecej solidarności, poświęcając w tym celu Gilego, który także wstał z dywanu i staje przy mnie, śledząc podejrzliwie rozwój wydarzeń, tak stoimy w progu, ja i mój mały synek, a przed nami Oded ze swoimi dziećmi, niczym dwa obozy, oceniające w milczeniu swoje siły.

Jesteście głodni? - pytam szybko. Mam ciasto czekoladowe, zupę jarzynową, moglibyśmy zamówić pizzę, proponuję, jakbym była właścicielką opuszczonej restauracji, do której zawitali wreszcie klienci. Ku mej radości obaj chłopcy wołają głośno: Pizzę! Zachęcają się nawzajem, zacierając granicę, która na chwilę powstała wyraźnie między nami, czym prędzej zajmuję się zamówieniem. Z czym chcecie? Oliwki, grzyby? Co wolisz, Maju? Nie jestem głodna, odpowiada chłodno. Ona lubi kukurydzę, informuje Oded. A ty? - pytam. Jestem przelotnie zakłopotana tym pytaniem, czy my w ogóle się znamy, znam smak twojej skóry, a nie znam twoich upodobań w kwestii pizzy. Dla mnie bez różnicy, mówi. Ja z oliwkami! -krzyczy Gili, jakby bał się, że zapomnę o jego ulubionym dodatku. Ja z grzybami! - woła, naśladując go, Jotam. To może ja też z grzybami, żebym ci nie zazdrościł, rzuca Gili z wahaniem, jego pewność słabnie. Dlaczego miałbyś mu zazdrościć, skoro lubisz coś innego? - pytam zdziwiona. Przestań, nie mów mi, jak mam się czuć, mamrocze. Oczy wilgotnieją mu i nagle jęczy: Nie wiem, jaką pizzę wybrać.

Weź taką, jaką lubisz, z oliwkami, zarządzam, ale on wciąż przeżywa dylemat. - Będę zazdrościł Jota mówi, niech Jotam też weźmie oliwki. Wzdycham. Czy jest trudniejsze

zadanie niż zamówienie pizzy dla pięciorga osób, które usiłują stać się rodziną? Co za problem, Gili, upominam go, co cię obchodzi, co je Jotam, przypada do mnie, wybuchając płaczem, obchodzi mnie, obchodzi, katar, zapychający mu nos odżywa i zaczyna powoli spływać w dół, płynące po policzkach łzy zgarniają po drodze czarny pył, powieki przykrywają oczy, z otwartych ust, w których brakuje dwóch przednich zębów, wyglądają ostre kły, jak u wampira. Nigdy go takim nie widziałam, wydaje mi się zaniedbany i brzydki, jakbym patrzyła na niego cudzymi oczami, może nie są to obce oczy, lecz oczy mężczyzny, który w milczeniu siada na kanapie, jego piękne palce, które całowałam i gładziłam zaledwie wczoraj, są splecione z palcami ślicznej, aroganckiej dziewczynki, patrzącej z jawnym obrzydzeniem na chłopczyka, który szłocha w moich ramionach, jakby zawałił mu się świat.

Mam pomysł, wołam ze sztuczną wesołością, zamówimy po dwa kawałki, taki i taki, spróbujesz i zdecydujesz sam, podsuwam rozrzutną, wyraźnie niewychowawczą propozycję, która nie przynosi ukojenia, jedynie sprawia, że Jotam protestuje, jeśli on dwa, to ja też. Doskonale, oświadczam, problem rozwiązany, i wyraźnie wykończona biorę telefon, zamawiam największą, najbardziej urozmaiconą rodzinną pizzę, aby zaspokoić potrzeby wszystkich obecnych, choć jasno widzę, że nikt nie jest specjalnie głodny i większość kawałków zostanie niezjedzonych.

Gili, idź umyj twarz, wytrzyj nos, mówię niecierpliwie, wykonawszy zadanie, a on rusza zawstydzony do łazienki i natychmiast wraca z mokrą, lecz wciąż brudną twarzą, z boków, wzdłuż policzków, widać ciemne smugi niczym kurz zamieciony pod łóżko, kręcąc głową, ale nie wracam tam z nim, żeby pomóc mu wytrzeć nos, boję się pozostawić salon na pastwę wieloznacznych spojrzeń, żeby nie dawali sobie umówionych znaków, żeby nie skorzystali z okazji, aby zniknąć, przecież są prawie pełną rodziną, rodziną, która nie potrzebuje dodatków, a z pewnością nie rozpieszzonego, upartego i płacznego chłopczyka, ale oto Jotam podchodzi do niego, nie martw się, będę jadł to, co ty, proponuje znienacka, z przemiłą wielkodusznością, ja też zjem z oliwkami, żeby nie było ci żal, a Gili zawodzi ze szczęścia, to co zrobimy z grzybami, Jotam podchodzi bliżej i szepcze mu coś na ucho, obaj wybuchają łobuzerskim śmiechem, niczym para małych lisków, planujących psotę. Patrę na Jotama z wdzięcznością, kochany chłopiec, mój niemal jedyny sprzymierzeniec, wielokrotnie przewyższający ojca, bo mimo iż bardzo się cieszę, że siedzi na mojej kanapie, przypatrując się badawczo całej sytuacji ciemnymi oczami, muszę przyznać, że nie zrobił nic, aby uspokoić zamieszanie, i nie zamienił z Gilim ani słowa.

Maju, może pograsz na komputerze albo znajdę ci jakąś zabawkę, proponuję, kiedy chłopcy znikają w pokoju Gilego, pragnąc zostać z Odedem sama, Gili ma kilka lalek Barbie, czasami się nimi bawi, szybko zdradzam jego sekret, najważniejsze, żeby się czymś zajęła, żeby wreszcie puściła rękę ojca, ale odmawia: Nie, nie lubię już lalek Barbie. Wcale nie puszcza jego ręki, przeciwnie, siada mu na kolanach, zarzucając ramię na szyję. Tato, chodźmy, mam dużo zadane. Przyniosę ci plecak z samochodu, proponuje Oded. Możesz odrobić lekcje tutaj. Tu się nie mogę skupić, mówi. Chcę do domu. Niedługo pójdziemy, moja śliczna, przyrzeka, gładząc czule miodowy koczek. Jego czułość w stosunku do niej budzi we mnie lepką, błotnistą złość. Zaledwie przed kilkoma minutami sama ulegałam szantażom syna, ale na ich widok coś się we mnie buntuje, dlaczego jej nie uciszy, dlaczego nie powie, zostajemy bez gadania, i to ja decyduję. Ich obecność jest przytłaczająca i wyniosła, w podwójnym milczeniu przyglądają się zwyczajnym meblom, podobnie Fryzjki na ścianie naprzeciwko, wydaje się, że nawet ona,

która przetrwała tysiące lat na ścianach pałacu, zostaje unicestwiona ich spojrzeniem, wstaje nagle i idę do sypialni, na łóżku w barwnym rozgardiaszu kłębią się niepotrzebne ubrania, które jak głupia mierzyłam, co ja sobie wyobrażałam, żadne stroje nie przyćmią więzów krwi, to jego córka, zawsze będzie jego córką, podczas gdy ja jestem zjawiskiem przejściowym, jak mieszkanie, które wynajął w pośpiechu, biorę do ręki czerwoną aksamitkę i stoję przed lustrem, staram się objąć wszystkie włosy, żeby ani jeden się nie wysunął. Elu, jesteś tutaj? Zamyka drzwi i opiera się o nie, patrzy na mnie ze zdziwieniem. Co robisz? Szybko puszczam gumkę i zdejmuję sweter. Okropnie mi gorąco, muszę się przebrać, rzucam. Dla potwierdzenia wyciągam z szafy krótką trykotową koszulkę, ale nie wkładam jej, stoję przed nim z nagimi, wyzywającymi piersiami, jak ktoś walczący o honor z ostatnią bronią w ręku.

Chodź tutaj, mówi, wyciągając ręce, wzdycham do jego ust, przyjdź do mnie w nocy, Oded, nagle bardzo potrzebuję bliskości jego ciała, jak lekarstwa, jak niezbędnego potwierdzenia. To niemożliwe, mówi, dzieci u mnie nocują. Maja jest duża, przekonuję go, może na chwilę zostać sama z Jotamem. To ich pierwsza noc u mnie, mówi. Nie chcę, żeby im było jeszcze trudniej.

To może ja przyjdę do ciebie, upieram się. Moja mama zostanie z Gilim. Nie, dzisiaj to się nie uda, odpowiada. Na pewno późno zasną. Nie rezygnuję. To przyjdź jutro przed pracą. Zaczynam o ósmej. To nie wyjdzie. Poczekajmy na swobodniejszą okazję. Odwracam się plecami i przyglądam koronie martwego drzewa, żółte światło latarni oświetla gałęzie, suche i cienkie niczym kości. Nie pragniesz mnie wystarczająco, już w ogóle mnie nie pragniesz, poczucie odepchnięcia pokrywa nagą skórę niczym trąd, wraz z upokorzeniem rośnie też potrzeba. Co się z tobą dzieje? - pyta. Odwracam się do niego. Nie zamierzam czekać na dogodną okazję, atakuję, trzeba stworzyć okazję, jeśli naprawdę się chce. Klękam przed nim i pośpiesznie rozpinam mu spodnie, nie zwracając uwagi, że za ścianą znajdują się dzieci, ustami sięgam do jego ciała i słyszę, jak wzdycha, przestań, nie powinniśmy teraz, lecz koniec westchnienia jest już pełen rozkoszy, gdy naraz, kiedy wydaje się, że jego wątpliwości się rozproszyły, zostawiam go i prostuję się, teraz możesz poczekać na dogodniejszą okazję, mówię szeptem. Oddycha ciężko, z zamkniętymi ustami, naprawdę, Elu, to do ciebie nie pasuje, wydusza przez wyschnięte gardło, prymitywne kobiece manipulacje, a mnie już przygniata lęk, ciężar tego dnia powala mnie na kolana, po prostu mnie nie znasz, mówię mu szeptem na ucho, mam dla ciebie jeszcze jedną manipulację, jeszcze prymitywniejszą, jeśli nie przyjdiesz w nocy, nie przychodź w ogóle. Po czym wkładam pośpiesznie bluzkę i wychodzę, uraza w jednej chwili zamienia się w wyrzuty sumienia, siadam na fotelu w salonie i dopiero wtedy zauważam jasne, odrobinę skośne oczy, podobne do oczu matki, obserwujące mnie z niepokojem, gdzie jest mój tata?

Tu jestem, moja śliczna, słyszę jego głos, znowu spokojny i zrównoważony, suchy, szybki oddech całkiem zniknął. Niedługo idziemy. Co z tą pizzą? - zwraca się do mnie z naganą, jakbym była osobiście odpowiedzialna za dostawę. Zerkam na zegarek. Zaraz będzie, jeszcze nie minęło pół godziny, usiłuję pochwycić jego spojrzenie, dać mu znak, że się wstydzę i przeproszam, ale unika mojego wzroku, patrzy z oczekiwaniem na drzwi, jakby stamtąd miało nadejść wybawienie, i faktycznie zjawia się, ciepła, pachnąca pizza, zajmująca cały stół w salonie, skupiająca wszystkich wokół, chyba potrafi zjednoczyć nas na pewien czas, jak podzieliła nas na początku, bo Gili i Jotam zdumiewająco zgodnie jedzą kawałki z oliwkami.

Nawet Maja łamie się, czując kuszący zapach, i bierze przeznaczony dla siebie trójkąt, usiany złocistymi ząbkami kukurydzy. Oded żuje powoli zwykłą pizzę, teraz, kiedy dzieci są swobodniejsze, on także wydaje się ułagodzony. Nalewam sobie drinka i napełniam mu kieliszek. Otaczamy stół niczym stado wygłodniałych kotów, siedzących nad jedną miską, przez chwilę wydaje mi się, że wszystko jest jak należy, a może było tak wcześniej, jak zawsze za szybko wpadłam w panikę, cień gór wzięłam za góry, przez to, że zbyt szybko opłakiwałam nasz koniec, przyśpieszyłam jego nadejście, z ulgą widzę, że Maja siada na dywanie obok Gilego i Jotama, powoli się rozluźnia, niemal wbrew woli przyłącza się do tajemniczej psoty, kiedy chłopcy wyciągają z tornistrów nożyczki i starają się niewprawnymi rękami pociąć niezjedzone kawałki pizzy, robimy jedzenie dla ptaków, tłumaczą jej głośnym szeptem, rozsypujemy je na balkonie i będziemy patrzeć, jak przylecą.

Co wy robicie, to marnotrawstwo, można zamrozić pizzę i będzie na następny raz, gani ich Oded, daj spokój, przekonuję go, najważniejsze, że się bawią, chyba oboje jesteśmy zdziwieni tą wymianą zdań, jakbyśmy byli rodzicami w zwykłej rodzinie, odrobinę różniącymi się w poglądach, chodź na chwilę, daję mu po cichu znak i znowu wychodzę do sypialni, ale on nie idzie za mną, wołam go oficjalnym tonem, Oded, możesz przyjść na chwilę? Otwartą prośbę trudniej zignorować w obecności dzieci. Co znowu? - pyta, lustrując moją twarz ze znużeniem, następne groźby? Tym razem ja opieram się o drzwi, przepraszam, nie mówiłam tego poważnie, rozumiem, że nie możesz dzisiaj przyjść, zaczekam tak długo jak trzeba. Oded wzdycha, patrzy na mnie zmrużonymi oczami, wiesz, Elu, może naprawdę cię nie znam, może nie mam ochoty cię poznawać, ale gładzi mnie jednocześnie po policzku, który pali mnie pod szorstkim dotykiem, jestem gotów zapomnieć o tym, co się wcześniej działo, ale ostrzegam cię, takie numery nie wyjdą ci ze mną, przykro mi, mamrocę, przepraszam. To na czym stanęliśmy? - pyta. Wydaje mi się, że słyszę w jego głosie iskrę podniecenia, z ulgą klękam przed nim, jakbym chciała błagać o wybaczenie, jeśli to jest teraz sposób na ciebie, będzie to też mój sposób, kieruje moją głowę, przyciska ją szybkim ruchem, uderzam raz po raz czołem o jego twarde brzuch, mam wrażenie, że z moich ust unosi się para, kiedy niczym ptak dziobię okruszki pozostawione przez jego dzieci.

Tym razem on wychodzi pierwszy, a ja szybko udaję się do łazienki, myję twarz i perfumuję się, po powrocie do salonu zastaję ich siedzących na dywanie nad planszą do gry w monopol, Gili nie posiada się z radości, chodź wreszcie, mammo, czekamy tylko na ciebie, Maja, która zapomniała, że ma lekcje do odrobienia, wyjaśnia zasady, wy prawie nie umiecie czytać, więc rodzice będą wam pomagać, zarządza, Gili gra ze swoją mamą, Jotam z tatą, a ja sama, zagłębiamy się w grze, rzucamy kostkami raz po raz, gromadzimy wymyślone fortuny, ulice i miasta, domy i hotele, kupujemy i sprzedajemy, ogarnia mnie pełna szczęścia wesołość, to jest możliwe, tak będziemy siadywać razem co wieczór, za każdym razem gdy na niego popatrzę, poczuję ciarki, jakby podmuch wiatru przemknął mi po ciele pod ubraniem, kiedy podaje mi kostki do gry, zwleka z zabranie ręki, budzi się we mnie zaskakująco intensywne pragnienie rodzinnej serdeczności, mam wrażenie, że tego wieczoru otrzymałam podwójny dar, kiedy całuję kark Gilego, który tuli się do mnie rozentuzjasmowany zabawą, a ostre, podniecające spojrzenie bez przerwy śledzi moje ruchy.

Na długo przedtem, zanim wiadomo, kto wygra, Oded oznajmia: Już późno, dokończymy innym razem, a Gili, któremu udało się zgromadzić najwięcej bogactw, błaga, jeszcze trochę, tylko troszeczkę, staram się wymyślić kompromis, może zostawimy wszystko tak, jak jest, do

następnego razu, ale Maja, która prawie nic nie ma, decyduje, że następnym razem zagramy od nowa. Te słowa stały się nagle oczywiste, nawet dla niej samej, będzie następny raz, będzie kolejna pizza, kolejna zabawa, następne spotkanie, chociaż przy wyjściu znowu jest sztywna i niezadowolona, podając jej kurtkę, staram się uśmiechnąć do Odeda nad głowami dzieci, dobranoc, dobranoc, odpowiada, posyła mi pocałunek ruchem pięknych warg, w jednej chwili dom pustoszeje i Gili przypada do mnie, obejmując mnie w pasie, wreszcie zostaliśmy sami, tylko ja i ty.

Myślałam, że dobrze się bawiłeś, staram się ukryć rozczarowanie, a on odpowiada, z Jotamem było fajnie, nawet jego siostra jest całkiem miła, ale teraz dobrze mi tylko z tobą, dodaje, całkowicie pomijając ich ojca. Mnie z tobą też, mówię. Jego naiwna prostota wprawia w drżenie moje serce, nie ma pojęcia, jak rzadkie będą takie chwile, niebawem zamienią się w odległe wspomnienie, gdy miękko stąpamy po codziennych, stałych ścieżkach, ciepła kąpiel i bajka w odcinkach, pogawędka przed zaśnięciem, wydaje mi się, że mimo woli słyszę pożegnalne dzwony. Kolejne rozstanie spadnie na ciebie, synku, rozstanie z tymi zwyczajami, z rutyną naszej dwójki, która z wielkim trudem powstawała przez ostatnie pół roku, codzienność ocalałych, którzy usiłują wznieść nową osadę na zgliszczach zburzonego miasta, wyrabiają cegły mułowe nad pobliską rzeką, wyrabują kamienne bloki z nagich skał, zbierają drewno i ścinają trzcinę, ich skromne osiągnięcia zawsze będą blade w porównaniu z pełną blasku przeszłością, a jednak powstanie nowy porządek, co prawda, niepewny i kruchy, lecz znajomy.

Z ciężkim sercem siedzę przy jego łóżku, znowu się rozkopał, leży z rozrzuconymi ramionami, podciągnięta bluza od podłamy odsłania chudy brzuch, wydłużony pępek, wystające żebra, twarz jaśnieje w świetle trzech nocnych lampek, puszyste włosy opadają na policzki, znowu jest ładny, ty mi powiedz, synku, czy dla ciebie mam zrezygnować z szansy na szczęście, na nową rodzinę. Kiedy zasnął, dzwonię do Talii, zdziwiona, że wciąż znam na pamięć jej numer. Twierdzisz, że powinnam zaczekać, wymawiam jej, jak długo? Aż Gili pójdzie do wojska? Kto wie, kiedy nadchodzi odpowiedni moment na takie zmiany, teraz jest jeszcze wystarczająco mały, żeby się przyzwyczaić, jeśli będę czekać, nowy związek może się wypalić. Przytrafiła mi się szansa rozpoczęcia naprawdę nowego życia, boję się ją utracić, może to moja ostatnia okazja, kto wie, myślisz, że to dla niego zdrowe wychowywać się tylko przy matce, bez rodziny? Może taka zmiana dobrze mu zrobi. Kiedy słucham odpowiedzi, widzę, jak drzwi się otwierają i staje w nich Oded w białym swetrze, znowu bez płaszcza, jego obecność łagodzi ostre słowa Talii, usuwa z nich żądło. Przeszkadzam ci? - pyta cicho. Przyciągam go do siebie, sięga mi pod ubranie, moim zdaniem, powinnaś z tym zaczekać, ciągnie Talia, to nie kwestia wieku, lecz okoliczności, pozwól mu się najpierw przyzwyczaić do waszego rozstania, nie obciążaj go tak szybko nową rodziną, nie zaszkodzi, jeśli poczekaś, przeciwnie, jeśli przez to utracisz nowego narzeczonego, to znak, że to nie było nic poważnego, lepiej, żebyś dogłębnie poznała ten związek, zanim przedstawiś Gilemu kogoś nowego, pomyśl chwilę, jeśli to się nie uda, będziecie musieli przeżyć kolejne rozstanie, po co ci to zawracanie głowy, dlaczego tak trudno ci poczekać rok, to wszystko on słyszy razem ze mną, w końcu przerywam jej, Talia, muszę się rozłączyć, ktoś do mnie przyszedł, porozmawiamy jutro. Oded wyjmuje mi z ręki czarną słuchawkę i spogląda na nią z namysłem. Twoja przyjaciółka pozornie ma absolutną rację, mówi w końcu, ale ja nie wierzę w takie rady, nikt nie wie lepiej od ciebie, co jest dla ciebie dobre, spróbuj posłuchać swojego serca, swojego wewnętrznego głosu. Co ty tu w ogóle robisz, pytam, myślałam, że to dzisiaj niemożliwe. Mam pięćdziesiąt minut, uśmiecha się, wystarczy?

Dlaczego akurat pięćdziesiąt? - dziwię się, zerkając natychmiast na zegarek. Bo powiedziałem Mai, że mam pilne spotkanie z pacjentem, nagły przypadek, odpowiada, a mnie ogarnia szlachetna duma zwycięzcy, to naprawdę nagły przypadek, szepczę mu do ucha, ale myślałam, że nie pociągają cię kobiety, którymi się opiekujesz. Okazuje się, że te zasady ciebie nie dotyczą, śmieje się. Tak jak nie dotyczą nas zasady twojej przyjaciółki, w każdym razie mam taką nadzieję. Przytulam się do niego. Przyszedłeś udzielić mi pierwszej pomocy? Tak, co konkretnie ci dolega? Gaszę światło i pociągam go na dywan, mam mały miejscowy problem, przejdzie, jeśli będziemy się kochać. To mi wygląda na objaw poważniejszej dolegliwości, zauważa. Ale mam nadzieję, że to także uda mi się rozwiązać, jeśli tylko dasz mi szansę.

W ciało wbijają mi się kostki do gry, których nie zdążyłam posprzątać, domy, które wybudowaliśmy, hotele, które wznieśliśmy na kupionych ulicach, fałszywe banknoty kleją mi się do pleców, kiedy przechodzi wąską ścieżką, przeznaczoną tylko dla niego, jakby za każdym razem wytyczał ją na nowo, kiedy wychodzi, błagam, żeby wrócił, przyciągam go rękami i udami, językiem i włosami, obiecuję, że mi zaufasz, szepcze, potrzebne mi twoje zaufanie, przyrzekam bez końca, śledząc wędrówkę jego członka po moim ciele niczym wędrówkę światła, rozpala wielki ogień i znika, budzi ukryte źródła pożądania, odczuwam jego brak wszędzie, gdzie go nie ma, jak ugasić ten ogień, nie ugasi go żadna ilość wody, dygoczę pod nim na planszy do gry, potem podnosi się szybko, zapina po ciemku spodnie, mam nadzieję, że ci pomogłem, szepcze. Właściwie nie, chichoczę, niestety. Mam wrażenie, że mój problem tylko się zaostrzył. O to właśnie chodziło, śmieje się.

Słowo „Izrael” nie pojawia się na ścianach egipskich świątyń, w inskrypcjach nagrobnych, na zwojach papirusu, ani na ziemi, ani pod ziemią, w epoce nowego królestwa, ani jako przyjaciel, ani jako wróg, ani jako sąsiad, ani podbity lud, mimo to bez wątpienia wyjście Izraelitów z Egiptu to wydarzenie historyczne, najczęściej opiewane w Biblii, w księgach prawa, w prozie i w poezji, w księgach prorockich i w psalmach, nie znaleziono jednak wciąż żadnego dowodu, potwierdzającego prawdziwość tej doniosłej sagi o cierpieniu i wyzwoleniu, o nowym początku i drugiej szansie.

Kolejne wykopaliska i badania archeologiczne, prowadzone wzdłuż wschodniej delty, wybrzeży północnego Synaju, w Kadesz Barnea i Ecijon Gaber, przynoszą jedynie negatywne wnioski, nigdzie nie znaleziono żadnego dowodu na niewolę, na ocalenie, ani na wędrówkę po pustyni, poza pełnymi przerażenia, wieloznacznymi wzmiankami o klęsce żywiolowej, ukazać ci odwróconą ziemię, ukryte słońce, które nie zaświeci już ludziom, jego postać na niebie niczym tarcza księżycy, wyschła rzeka Egiptu, wiatr południowy spotka się z wiatrem północnym.

Czy znowu historia lekceważy rolę sił natury w przebiegu wydarzeń, podczas gdy wydaje się, że to one wstrząsnęły starożytnym światem, nie ręka ludzka, lecz zmienne koleje natury, przy których błędą wyczyny zdobywców i intrygi polityków, biada, ziemia obraca się niczym koło garncarza, pałac w jednej chwili obrócił się w ruinę, patrzcie, płomienie wznoszą się do nieba!

Czy faktycznie zagłada Tery wstrząsnęła jednym z najsilniejszych mocarstw na świecie, czy naprawdę aż tam dotarło jej echo w postaci ogromnej, straszliwej fali, woda spiętrzona niczym wielka góra, biegnąca z szybkością błyskawicy, słupy chmur i ognia, krew i ciemności, plaga za plagą, czy naprawdę ludzie składali w ofierze pierworodnych synów, aby przebłagać boga, do dzisiaj w głębi dna Nilu można znaleźć warstwę popiołu wulkanicznego, wciąż potrzeba dowodu, że katastrofa Tery za sprawą klęski żywiolowej przyniosła upadek Egiptu z ręki człowieka i cudowne zwycięstwo Izraela za sprawą boskiej interwencji, czy próba potwierdzenia cudu oznacza jego negację, mam wrażenie, że wszystko to należy do mojego poprzedniego życia, nie dotyczy nowego, które wydaje się lśnić złością niczym niebo tuż przed wschodem słońca, gdy promienie już mają wychylić się znad horyzontu, to nieomylny znak jego nadejścia, nikt nie zwątpi w obietnicę.

Z wyższością i obojętnie próbuję odtworzyć historię Tery, jakby było to bolesne wspomnienie z dzieciństwa, które wyeksploatowałam do cna, staram się zakończyć tę ponurą sprawę, rankami miałam dosyć siedzenia przy komputerze, zagłębiania się w monotonnych raportach, tęskniłam za precyzyjnie wyznaczonymi stanowiskami, obmurowanymi workami z piaskiem niczym wojenne okopy, tęskniłam do tego całkowicie fizycznego zajęcia, które zarazem jest tak abstrakcyjne, do kojących narzędzi pracy, wszechobecnego pyłu, uderzeń kilofów, warkotu buldożerów, zapachu świeżej ziemi mieszającego się z rzeźkim tchnieniem

powietrza. Przez całą zimę obawiałam się wezwania na wykopaliska, teraz czekam niecierpliwie, a zima kończy się, odchodzi powoli ze świata, pęka na kawałki, spomiędzy których wyglądają niepewnie pąki na nagich gałęziach.

Ostatnie tygodnie zimy spędziłam w gorączkowym napięciu, pewna odmiany, która szybko do mnie nadchodzi, nie wiem, jak jej uniknąć, nie mam też chęci, aby jej uniknąć, bo przecież niewyraźny, gryzący głód, towarzyszący jak cień każdemu zakochaniu się, nabiera coraz wyraźniejszego kształtu wspólnego życia, oficjalnej, niepodważalnej przynależności, nielicznych wolnych godzin, których nie trzeba dzielić między dwa domy. Tymczasem przenoszę się z domu do domu niczym córka rozwodników, dopasowując się do wędrówek Gilego, Mai i Jotama, oto ludy wędrownie naszych czasów, dzieci gnające popołudniami stada zabawek od mamy do taty i z powrotem, wpasowuję się pomiędzy coraz rzadsze wolne dni, bo Amnon nagle stał się niezwykle, demonstracyjnie zajęty, a Michał, której samo imię napęka mnie poczuciem dyskomfortu, niemal codziennie cierpi na migreny, wymiguje się od opieki nad dziećmi, mam wrażenie, że zjednoczyły się przeciwko nam dwa fundamenty, na których opierało się życie naszych pociech; wypełniając rozmaite zadania, pośpiesznie szukamy odrobiny bliskości, z góry skarżymy się na konieczność rozstania, wydaje się, że każdy dzień zmierza do lśniącego punktu kulminacyjnego, ukradkowego spotkania, i natychmiast chyli się ku zachodowi, tylko pragnie nie, by zebrać te wszystkie iskry, popycha mnie do przodu.

Nasze proste, wygodne mieszkanie wydaje mi się obozem przejściowym, żaluzja w salonie zepsuła się, ale nie chce mi się jej naprawić, cieknie kran, przepaliła się żarówka, wydaje mi się, że to już nie moje zmartwienia, lecz kogoś, kto zamieszka tu po mnie, kiedy wraz z Gilim przeprowadzimy się w końcu do czekającego na nas wielkiego mieszkania, tam zjednoczą się wszystkie okruchy, tam nie będziemy musieli rozstawać się po chwilach największej bliskości, tam nie będę musiała wybierać między czasem spędzonym z nim a czasem z Gilim, dwie moje miłości będą przebywać pod jednym dachem, naturalnie i swobodnie, powstaje pragnienie, które w przeciwieństwie do większości marzeń wydaje się łatwe do zrealizowania, wprowadzić wreszcie w życie czyn, który unosi się w powietrzu, zamówić firmę przewozową, załadować kanapę i fotele, ubrania, naczynia i książki, łóżko i szafę Gilego, a nawet abażur, jego pokój zostanie przewieziony w całości, ze wszystkimi zabawkami, jakby chłopiec zasnął w swoim domu, a rankiem w czarodziejski sposób obudził się gdzie indziej, nie odczuwając różnicy, mimo wszystko waham się, jak tamten klucz, który utknął w połowie drogi, nie mogąc wykonać obrotu ani do przodu ani do tyłu.

Chodź wreszcie, wykończysz nas tymi wątpliwościami, mówi, gdy każde z nas znajduje się u siebie, ze swymi dawnymi dziećmi, mimo dzielącej nas niewielkiej odległości jego głos po drugiej stronie jest niewyraźny, stłumiony. Moglibyśmy już być razem, jaki sens ma ta podwójna egzystencja? Nie zadręczaj się tak, ciągnie, nie obawiam się trudności, boję się tylko twoich lęków, na co właściwie czekasz? Sama także nie wiem, na co czekam, bo przecież jest oczywiste, że to się stanie, jednak myśl o ciężarówce pod domem budzi głęboko we mnie pulsowanie smutku, jakby był to najżałośniejszy widok pod słońcem.

Dzieci nie są jeszcze gotowe, uznają, a on zaprzecza: Staną się gotowe w trakcie, dość mam tych przedstawień, oboje jesteśmy beznadziejnymi aktorami, czas rzucić się aa głęboką wodę, te wahania tylko pogarszają całą sprawę, podważasz moją pewność siebie, w końcu przekonasz mnie, że to nie wyjdzie, tego chcesz, żebyś zmienił zdanie? Nic podobnego, mówię, daj mi tylko czas, chodzę po domu niczym panna młoda, poruszona wizją nowej, cze-

kającej ją przyszłości, a zarazem niezdolna do pożegnania dzieciństwa, dziewictwa, naszego małego życia, jakby to Gili był moją główną rodziną, z której muszę wspiąć się po chwiejnej sznurowej drabince do większej rodziny.

Posyłam jako swoją forpocztę rozmaite rzeczy, sweter, szalik, kilka książek, szampon i skarpetki, mam wrażenie, że decydują za siebie, znają drogę tam, a nie z powrotem, niczym kruk, który nie wrócił do arki i za karę stał się czarny. Wędrują jedno za drugim, dobrze ukryte wśród jego rzeczy, ale oboje z Gilim wciąż należymy tutaj, do mieszkania, do którego wprowadziliśmy się kilka tygodni przed jego narodzinami, którego okna wyglądają na kolorowe, bezpieczne podwórko, na drzewa granatów, stojące teraz w jaskrawej nagości, niebawem jednak pojawią się listki, a potem szkarłatne kwiaty niczym kielichy pełne wina, one z kolei przerodzą się na jesieni w owoce, które rozświetlą podwórze czerwonymi latarenkami, kusząc stada wędrownych ptaków. Ptaki dziobią je, aż te stają się puste od wewnątrz, choć z pozoru wydają się nietknięte, ku rozczarowaniu dziecka pragnącego wbić zęby w pełen pestek miąższ, przed następną zimą opadną jak martwe ciała na wąskie, wykładane płytkami ścieżki, plamiąc je ciemnym sokiem, lecz nas tu nie będzie, wśród pni drzew pojawi się pierwszy dziki szczaw, a nas tu nie będzie, drzewo huszasz pokryje się niepotrzebnymi owocami, a nas tu nie będzie, nie zejdziemy z kocem, piłką i słodyczami na łysiejący trawnik, nie będziemy głaskać przyjaznych podwórkowych kotów, nie będziemy zachwycać się kociętami chowającymi się w krzakach, płatanina ogonków i uszu w zabawie, kiedy spoglądam na podwórze z kanapy w salonie, kładę dumnie i z lękiem dłoń na brzuchu, jakby to, co konieczne, już się stało, jakby istniało niczym płód, który i tak dojrzeje, nie ma odwrotu, jak w zaawansowanej ciąży, pozostało tylko mieć nadzieję, że wszystko się odmieni, może mój smutek to tylko znajomy żalobny ton towarzyszący każdej zmianie, przecież idę do nowej rodziny, która przyćmi poprzednią za sprawą swej złożoności, przez to, że jej trwanie nie jest oczywiste, stanie się cudem i wzorem, świętą rodziną, na jej tle moje samotne życie z jedyńkiem będzie wydawać się ponure i nieciekawe.

Mimo wszystko waham się, to z pewnością zbyt prędko, zbyt nieoczekiwanie, Gili nie przywyknie łatwo do dwójki innych dzieci, do obecności innego mężczyzny, bo choć regularnie się spotykamy, między nim a Odedem nie powstała żadna więź, kiedy skarżę się na to, Oded natychmiast się zasłania: Tak jest mi trudno podczas tych przelotnych spotkań, kiedy zamieszkamy razem, wszystko będzie bardziej naturalne. Mam wrażenie, że to jego jedyna odpowiedź na wszystko. Kiedy zamieszkamy razem, wszystko się ułoży, nie karm swoich lęków, będą coraz bardziej wygłodniałe. Siedzi blady i zmęczony po wielogodzinnej pracy, patrzy na mnie z rosnącym powątpiewaniem. Nie wyczerpuj nas, Elu, nie utrudniaj, zaufaj mi. Kiedy znajduje się obok, jestem prawie przekonana, że nie ma sensu dłużej zwlekać, ale bez niego znowu nie mogę się zdecydować, stoję przed Gilim na uginających się nogach, jak kobieta, która chce przyznać się mężowi, że kocha innego, i nie może zebrać odwagi.

Ten sekret przygważdża mnie do ziemi, jestem zmartwiała z wyrzutów sumienia, unikam go z ogromnej litości, on wyczuwa odmianę i nagle mnie nie odstępował, skłania mnie do powrotu do naszych czystych popołudni, naszej paplaniny, codziennego pobekiwania owcy i jagniątka, co się stało, mam, pyta zatroskany, jesteś smutna? Jesteś na mnie zła? Mam wrażenie, że bojąc się go zranić, krzywdzę go w inny sposób, może także dla niego będzie lepiej, kiedy to wreszcie się stanie, aby zmiana była widoczna, a nie groźnie czaiła się w każdym gościu, w każdym spojrzeniu, kiedy siedzimy w salonie, żaluzja w oknie balkonowym nie podnosi się, przepalona żarówka spogląda na nas z sufitu, lampka stołowa o bladym, skupionym świetle otacza nas kwaskowym kręgiem,

mieszkania nie można już poznać, nie można poznać nas.

Czasami ze zdumieniem i przerażeniem myślę, z jaką łatwością powiadomiłam go o naszym rozstaniu, odtwarzam bez końca króciutką rozmowę, Amnon, co prawda, siedział koło mnie, ale nie odezwał się ani słowem, rozstajemy się z tatą, ale zawsze będziesz naszym ukochanym synkiem, porównuję ją z nową, aktualną informacją, ja i tata Jotama kochamy się, zamieszkamy wszyscy razem. Wydaje mi się, że to wstrząśnie nim znacznie silniej niż tamta lakoniczna nowina, jaka szkoda, że nie mogę wysłać telegramu, przedstawić mu rebusu, narysować obrazka, odegrać tego wydarzenia za pośrednictwem uśmiechniętych plastikowych ludzików, to ja, a to tata Jotama, to ty, a to Maja i Jotam, to dom, w którym razem zamieszkamy, może mogłabym użyć jego ukochanych pluszowych zwierzątek, położyć lwicę obok tygrysa, niedźwiadki obok lwiątek, na jego zdumionych oczach stworzyć mieszaną rodzinę.

Posłuchaj, mówi Oded, w terapii czasem trzeba uciec się do drastycznych kroków, jeśli jestem przekonany, że to dla dobra drugiej strony, muszę zająć wyraźne stanowisko, nawet wyrzucić nacisk, nie lubię tego, ale czasami nie ma wyboru. Patrę na niego zaniepokojona, w świetle lampy stołowej jego twarz przybiera odcień martwej szarości. Co chcesz przez to powiedzieć, jak to się ma do nas? Dokładnie wiesz, co staram się powiedzieć, wzdycha. Przedstawiłem ci poważną propozycję, poświęciłem temu wiele uwagi i zdałem sobie sprawę, że to najlepszy sposób. Problemy, którymi się zasłaniasz, nie odstraszą mnie, zauważ, że mam własne, kiedy powiesz swojemu synowi, ja powiem moim dzieciom, nie masz monopolu na problemy. To całkiem inna sytuacja, upieram się. Twoje dzieci zostają w swoim głównym domu z matką, twój dom jest dla nich dodatkowy, dla Gilego to rozstanie z jego prawdziwym domem, jego głównym fundamentem, to o wiele bardziej traumatyczne. Nie licytujmy się, on na to. Moje dzieci muszą oglądać matkę, która prawie przestała normalnie funkcjonować. Mimo że mówi spokojnie, wyczuwam pod tymi słowami stalowy, twardy błysk. W końcu nadchodzi moment, mówi, kiedy rozmowy nie wystarczają, kiedy trzeba działać, to chyba jest właśnie ten moment, jeśli wciąż się wahasz, pozwól, że wyciągnę wnioski. Jakie wnioski, zatrważam się, co masz na myśli? Twoją zdolność do zaufania, do ponoszenia kosztów, a przede wszystkim moją zdolność do radzenia sobie z tym. O co ci chodzi? - oburzam się. Oczekiwałeś, że w chwili, kiedy zaproponujesz mi wspólne mieszkanie, spakuję walizkę i się zjawię? To nie dokładnie tak, minęły już dwa miesiące, mówi. Co z tego! - wybucham. Pali się? Dlaczego nie możesz poczekać na odpowiedni moment, potrzebujesz kucharki, opiekunki dla dzieci? Tyka ci zegar biologiczny? Po prostu nie rozumiem, czemu ci tak pilno. Przykro mi, Elu, nie akceptuję takiego stylu. Nie rozmawiaj ze mną tak, jak rozmawiałaś ze swoim mężem, nie odpowiadają mi zwyczajnie, które przyniosłaś z poprzedniego małżeństwa. Nie pamiętasz chyba, skąd ty przyszedłaś, odwaruję. Świetnie słyszałam, jak wrzeszczała na ciebie w dniu, kiedy się wyprowadziłaś, stałam przy drzwiach i słyszałam każde słowo, nie była to całkiem kulturalna rozmowa.

Kiedy wspominam tamten dzień, rozbłyska mi przed oczami przejrzysta, hipnotyzująca przypadkowość, tak odmienna od mętnego charakteru tej rozmowy, pamiętam, jak szliśmy ulicami, całkiem nieznajomi, on niósł plecak, ja ciągnęłam walizkę, a jednak było nam lekko, byliśmy wzruszeni, wokół nas dmuchał dziwny, ciepły wiatr, popychając nas naprzód, czy tak powinnam teraz iść mu na spotkanie? Podchodzę do niego. Daj spokój, nie naciskaj na mnie. Nie widzisz, że to bardzo skomplikowany proces, takich rzeczy nie robi się z dnia na dzień. Jeśli wątpisz w samo sedno, w porządku, ale jeśli zaakceptowałaś to i chodzi jedynie o realizację, uwierz mi, że odwołanie tylko wszystko pogorszy.

Oczywiście, że to akceptuję, mówię. Nie zauważyłeś? Nie, ale to twoje prawo. Ja jednak także mam prawo do wyciągania wniosków, może przez kilka dni zastanów się spokojnie, co chcesz zrobić, nie jestem w tej sprawie dobrym doradcą, a może w żadnej, może za bardzo się pośpieszyliśmy, mam uczucie, że drepczemy w miejscu, i nie podoba mi się to. Daj sobie tyle czasu do namysłu, ile chcesz, ale kiedy podejmiesz decyzję, niech to będzie coś konkretnego, w porządku? Chwytam go za rękę, poddając się od razu, nie mogę znieść nawet najlżejszego zagrożenia, odległego cienia straty. Daj spokój, przecież wiesz, że podjęłam decyzję już dawno, jutro powiem Gilemu. Oded wstaje ociężale z fotela, w mroku jego twarz wydaje się wąska i ciemna, bruzdy na policzkach pogłębiają się. Daj sobie trochę czasu, nie rób tego dla mnie, powiadom mnie tylko, kiedy będziesz gotowa.

Lekko gładzi mnie po włosach i odwraca się do drzwi, wpatruję się w cytrynowy snop światła, w przetrzebione półki, przypominające szczerbate usta, staram się wyobrazić sobie życie bez niego, zamknięte jak zepsuta żaluzja, Gili dorasta i potrzebuje mnie coraz mniej, podczas gdy ja potrzebuję go coraz bardziej. Czy chciałby, żebym dla niego się poświęcała, zrezygnowała z partnera, z nowej rodziny, właściwie w imię czego, kochanie, usiądź przy mnie na chwileczkę, chcę ci coś powiedzieć, coś dobrego, jestem pewna, że to coś dobrego, nawet jeśli na początku będzie trochę trudno, właściwie nie trudno, może trochę dziwnie, ale będę przy tobie przez cały czas i będę ci pomagać. Posłuchaj, ja i Oded, tata Jotama, kochamy się jak mąż i żona, nie, nie bierzemy ślubu, ale zamieszkamy razem, przeprowadzimy się do ich nowego mieszkania, oni przeprowadzili się tam najpierw, my teraz do nich dołączymy, to będzie nasz wspólny dom, będziesz miał piękny pokój, dokładnie taki jak tu, Maja i Jotam będą tam mieszkać, kiedy nie będą u mamy, to trochę potrwa, ale wszyscy w końcu przywykną i będzie dobrze, bo będziemy mieli siebie nawzajem, jak wcześniej, ale też będziemy mieli większą rodzinę, wszyscy będziemy się kochać i sobie pomagać, będziemy razem się bawić i jeździć na wycieczki, to o wiele fajniej, niż ciągle być samemu z mamą albo z tatą, prawda, mój najdroższy kotku?

Zeszłego lata musiałam powiedzieć mu, że pójdzie do pierwszej klasy bez kolegów z przedszkola, którzy rozproszyli się po różnych szkołach, codziennie przygotowywałam pedantycznie odpowiednie słowa, lecz nie udawało mi się ich wypowiedzieć, aż w końcu na krótko przed rozpoczęciem roku szkolnego zauważył: Mamo, w nowej szkole nie będę w ogóle miał kolegów. Odetchnęłam z ulgą. Skąd wiesz? Wzruszył ramionami. Wiem. Czym prędzej powiedziałam: Na pewno po kilku dniach znajdziesz nowych kolegów, jesteś taki miły, wszyscy zechcą się z tobą zaprzyjaźnić. Może tak, a może nie, odparł i rozczarowane oczy młodego mężczyzny spojrzały na mnie z dziecięcej twarzy. Pewnie teraz modłę się o podobny, pokrętny cud, żeby ułatwić mi zadanie, żebym musiała tylko potwierdzić i ukoić, a nie - przynieść wiadomości, bo wydaje się, że na taką nowinę, nawet jeśli nie jest najokropniejsza ze wszystkich, nie ma odpowiedniego momentu. Na pewno nie rano przed pójściem do szkoły, po południu jest głodny i zmęczony, potem zagłębiony w zabawie albo przychodzą koledzy, po wyjściu dzieci robi się już późno, przed snem to z pewnością wykluczone, w najbliższą sobotę jest u Amnona, chodź, kochanie, usiądź przy mnie na chwilę, chcę ci coś powiedzieć.

Czy tylko mi się wydaje, że pobieliał na twarzy, bladeść jest mniej wyraźna od rumieńca, niepokojąca i nieuchwytna, czy przymknął oczy, moje oczy już zasnuwa mgiełka, mamo, dlaczego płaczesz, czy powiem, że płaczę z radości, płaczę z radości, chodź, kochanie, usiądź

mi na kolanach, sztywnieje w moich ramionach, mięśnie napinają się, a jednak na buzi ma wyraz zaufania, kiedy dopytuje się naiwnym, czystym głosem: Ale to nie na zawsze, prawda, to tylko z wizytą?

Kto zdecyduje, synku, jak długo potrwa ta wizyta, ja czy ty, a może nasi gospodarze, ich uprzejmość, wielkoduszność, cierpliwość, to nie wizyta, Gilili, mówię, walcząc z drżeniem głosu, to będzie nasz dom. Ale to jest nasz dom, protestuje, obejmując szerokim gestem kwadratowy, mroczny pokój, i natychmiast pyta: Kto tu będzie mieszkać, tata? Nie, mówię. Wynajmiemy komuś mieszkanie. Będą siedzieli na tej kanapie? - protestuje ze zdumieniem. Będą jedli nasze rzeczy? Nie, skądże, odpowiadam. Kiedy ludzie się przeprowadzają, zabierają ze sobą wszystko, meble i, oczywiście, jedzenie. Weźmiemy swoje rzeczy do nowego domu, prawie nic tu nie zostanie. Kryje głowę na moich kolanach, głos mu się łamie, ja nie chcę się przeprowadzać, chcę mieszkać tutaj, ku memu zdumieniu w ogóle nie zwraca uwagi na okoliczności, na połączenie z nową rodziną, rodzaj skomplikowanej operacji bez znieczulenia, żyła z żyłą, tętnica z tętnicą. Wiem, kochanie, to naprawdę niełatwe, mówię. Mnie także jest trochę smutno, ale razem się przyzwyczaimy, będziemy mieli większe mieszkanie, przemawiam chytrze do materialistycznej, rywalizacyjnej strony jego charakteru, która niekiedy się objawia. Kupię ci prezent do nowego pokoju, a nawet telewizor, obiecuję pośpiesznie, czując odrazę do siebie, ale nie mogę przestać. Będziesz mógł oglądać telewizję w łóżku, staram się zarazić go entuzjazmem, jakby to była kwintesencja szczęścia. Zmiany są fajne, szybko wracam na bardziej wychowawcze tory. Może trochę przerażające, ale też ciekawe. Chciałbyś przez całe życie zostać w tym samym miejscu?

Tak, odpowiada z prostotą, aż będę duży. Całuję go we włosy pachnące zimowym, błotnistym potem, który unosi się od niego niczym z wnętrza ziemi. Przez cały czas rośniesz i zawsze są jakieś zmiany, czasami duże, czasami małe, zmiany pomagają nam w dorastaniu, dzięki nim jesteśmy silniejsi. Ale w słabym świetle lampy, zataczającym mętny krąg wokół naszych głów, zbliżonych do siebie, wydaje się, że jesteśmy coraz słabsi, trzymamy się kurczowo jedno drugiego, jakbyśmy ukrywali się przed śmiertelnymi wrogami, mój synu Gil'adzie, mój synku.

Kołyszę go w ramionach niby małe, chore dziecko, jakbym dopiero teraz powiedziała mu o rozstaniu, ostatecznym, tragicznym rozstaniu, cały płacz, który nagromadził się od tamtej pory, nagle wyrywa mu się z ust, przeciągłe, narastające łkanie. Nie chcę się przeprowadzać, wystarczy, że nie mieszkamy z tatą, nie chcę rozstawać się też z domem. Zobaczysz, przyzwyczaisz się do nowego domu, jak przyzwyczałeś się do nowej szkoły, do mieszkania taty, mówię. Bije mnie pięścią. Nie chcę, nie chcę się przyzwyczajać, tu jestem przyzwyczajony. Nagle pyta: Będziesz mamą Jotama?

Nic podobnego! - wykrzykuję z ulgą. Przynajmniej tę obawę mogę uczciwie rozwiązać. Będę tylko twoją mamą, nie Jotama ani Mai, oni mają swoją mamę, przecież ją znasz, a Oded w żadnym razie nie będzie twoim ojcem, bo masz tatę, który bardzo cię kocha. Ale mama Jotama nie żyje, mówi. Jotam powiedział, że umarła. Jestem zdumiona. To nieprawda. Jest tak samo żywa jak ja, jest bardzo dobrą mamą, w ogóle większość czasu będą mieszkać z nią, ty będziesz w nowym domu o wiele więcej niż oni - próbuję zasiać w nim poczucie wyższości, ukrywając niższość polegającą na tym, że oni znaleźli się tam wcześniej.

Tata Jotama też będzie w nowym mieszkaniu tylko trochę? - pyta Gili. Będzie tam przychodził codziennie po pracy i będzie tam spał. To będzie jego dom, ale ja będę tam więcej, bo w tym roku pracuję w domu - pięt rzę klocki nieprawdziwej, śmiesznej wyższości.

Czy to naprawdę rozsądne, Oded, staram się zebrać wszystkie nasze chwile szczęścia, minione i przyszłe, postawić je obok żalu dziecka, czy mają podobną wagę? Jeśli nie będzie nam tam dobrze, będziemy mogli wrócić do domu, mówi nagle. Nie potrafię zgasić nadziei w jego głosie. - To prawda, jeśli będzie nam bardzo źle; ale mam wielką nadzieję, że tak się nie stanie, spodziewam się, że będzie nam dobrze.

Chcę kakao, wyjąkuje cienkim głosem, a kiedy w kuchni gotuję mleko, pyta: W domu Jotama jest kakao? Jeśli nie ma, to kupimy. Będziesz miał wszystko, co lubisz, nie martw się. Tuli do siebie kolorową puszkę. Chcę, żebyśmy zabrali to kakao, żeby było tylko moje, nie będą mogli go pić, dobrze? Nie ośmielam się dyskutować. Oczywiście, jeśli to dla ciebie ważne. Kiedy tu wrócimy, zabierzemy je z powrotem, dodaje po cichu, jakby szeptał na ucho namalowanemu na puszcze królikowi.

Ale jeszcze tego samego wieczoru, gdy siedzi w wannie, otoczony szybko roztopiającymi się wysepkami piany, śpieszę do telefonu, w nadziei że to Oded, który dotąd nie odpowiedział na moją wiadomość. Słyszę głos Amnona, oficjalny i wrogi, jak zawsze od czasu naszego ostatniego spotkania. Elu, znalazłem kupców na mieszkanie, pamiętasz tę parę Francuzów, którzy kiedyś u nas byli? Jakie mieszkanie? - pytam trwożnie. Nasze, odpowiada. Mieszkanie, które wkrótce opuścisz, popraw mnie, jeśli się mylę.

Jacy znowu kupcy? Ogarnia mnie panika. Nie mam zamiaru go sprzedawać, chciałam je na razie wynająć, podzielimy się dochodami, proponuję czym prędzej, ale okazuje się, że on tego wcale nie akceptuje. To mieszkanie jest naszą wspólną własnością, mówi Amnon. Jak długo mieszkaliśmy tam z Gilim, nie przyszłoby mi do głowy go sprzedawać, żeby dziecko nie przeżywało kolejnych wstrząsów, ale skoro i tak się wyprowadzasz, nie ma sensu posiadanie wspólnego majątku, to tylko wszystko komplikuje. Mamy wspólne dziecko, przypominam mu. Mieszkanie nic nie zmieni. Dla mnie zmienia, mówi. Potrzebne mi są pieniądze, nie zamierzam czekać. Nie możesz sprzedać bez mojej zgody, oznajmiam. A ty nie możesz bez mojej zgody go wynająć. Wzdycham. Dobrze, to będzie stało puste, oboje na tym stracimy. Elu, ostrzegam cię, potrzeba mi pieniędzy i mam kupców, sytuacja na rynku jest fatalna, nie chcę zaprzepaścić okazji. Jeśli pokrzyżujesz mi szyki, odpłacę ci tym samym, wiesz, jak się w rabinacie ucieszą, kiedy usłyszą, że żyjesz z kimś bez rozwodu? Odkładam słuchawkę bez słowa. Mamo, wyjmij mnie, woda już jest zimna! - woła Gili z łazienki, ale osuwam się bezwładnie na krzesło przy telefonie, nie mogę się ruszyć. Sam wyjdź, mamroczę, czując, jak ogarnia mnie bezsilne omdlenie. Kiedy otwieram oczy, stoi przede mną w milczeniu, nagi i ociekający wodą, trzyma dwa srebrne gumowe rekiny, dygocze z zimna.

Dlaczego się nie wytarłeś? - pytam. Nie było ręcznika. Wstaję ciężko i wlokę się do szafy, owijam go ciemnym ręcznikiem niczym togą, twardymi dłońmi wycieram delikatne, pachnące ciało. To boli, wykręca się, ściskając mocno gumowe ryby, z ich otwartych pyszczków wydobywa się zduszony pisk. Te zabawki weźmiemy, a inne zostawimy, decyduje, kładąc je na dywanie obok sterty innych, wybranych z namaszczeniem; ręcznik spadł mu z ramion i Gili goły fruwa wśród koszy z zabawkami, jak śliczny amorek, zajęty skrupulatnym pakowaniem, jak ktoś, kto wyjeżdża tylko na kilka dni i niebawem wróci.

Dopiero teraz, w przeddzień przeprowadzki, zauważam, że okno jego nowego pokoju wychodzi na poszarzały tył budynku naprzeciwko, widać odkryte rury, niechlujnie zabudowane balkony, smugi sadzy. Zdenerwowana opieram się o parapet. Oded, pozwól na chwilkę. Leniwie nadchodzi od strony kuchni, w rękę trzyma szklaneczkę. W czym problem? Wskazuję ponury, obraźliwy widok za oknem. Nie widzisz?

Podchodzi i spogląda w dół. Coś ci upadło? Popatrz, jak tu brzydko, mówię. Dlaczego właśnie mój syn dostał najbrzydszy widok? To zwykły miejski widok - patrzy na mnie zdziwiony. Co w tym brzydkiego? Można by pomyśleć, że z innych okien widać Morze Martwe. Widać niebo, drzewa, mówię. Nie ten brud. Przesadzasz, Elu. Dzieci nie zauważają takich rzeczy. Wiesz, co ja miałem w dzieciństwie za oknem? Osiedlowy śmietnik. Nie obchodzi mnie, co ty miałeś, przerywam. Chcę mu zmienić pokój.

Wiesz, że to niewykonalne, spuszcza wzrok. Rozumiem, że cię to dotyka, ale pogarszasz sprawę. Dziecko będzie się czuło dobrze, jeśli będzie tu dobra atmosfera, jeśli będziesz spokojna, a nie jeśli będzie miało drzewo za oknem. Wchodzę do pokoi jego dzieci, oglądam je z pretensją, kwitnie tam naturalne, codzienne życie, za oknami zmierzch spowija fioletem korony drzew. Wygląda na to, że o swoje dzieci się zatroszczyłeś, rzucam oskarżycielsko. Tak wyszło. Wybrali te pokoje, nie zapominaj, że nie przeprowadziliśmy się tu razem, ale to teraz nieistotne. Jeśli tak ci to przeszkadza, kup ładną zasłonę. Ja? - oburzam się. Sam kup, ja od tygodnia się pakuję, nie mam czasu biegać po sklepach.

Nie kupię, bo nie wierzę w powierzchowne rozwiązania, mówi Oded. To oczywiste, że jeśli ten problem zniknie, zacznie ci zawadzać coś innego. Może w ogóle zmierzysz te pokoje, kto wie, pewnie się okaże, że jego jest mniejszy o kilka milimetrów. Jestem pewna, że jego jest mniejszy! - niemal krzyczę. Dlaczego w ogóle nie zaczekałeś na mnie z przenosinami? Specjalnie chciałeś tu być przed nami, żebyście zajęli terytorium, żebyśmy my zawsze czuli się gorsi. Rzuca mi krótkie, wściekłe spojrzenie, jakby nie mógł znieść mojego widoku, z hukiem odstawia pustką szklankę na parapet. Przeprowadziłem się, bo nie mogłem dłużej mieszkać w klinice, i wiesz o tym. Nie miałem złych zamiarów, przeciwnie, specjalnie wynająłem wystarczająco duże mieszkanie, na wypadek gdybyś się miała do nas przyłączyć. Jeśli nie odwołasz tego, co przed chwilą powiedziałaś, masz natychmiast wyjść. Nie czeka, energicznie podchodzi do drzwi i otwiera je na oścież. Idź. Nie chcę cię tutaj. Sam idź! - wrzeszczę. To też mój dom.

To jeszcze nie jest twój dom i nie będzie, podkreśla chłodno. Nie chcę cię tutaj. Uciekam, trzaskając drzwiami, ale zatrzymuję się już na piątym stopniu, siadam i wybucham stłumionym płaczem. Oded, przykro mi, nie chciałam cię zranić, wiem, że nie miałeś złych zamiarów, wiem, że nie można zamienić pokoi, po prostu okropnie się martwię Gilim, boję się, że nie będzie mu tutaj dobrze, że będzie się czuł gorszy. Na wąskim, długim parapecie na klatce schodowej stoi samotna, cienka roślina o liściach białych jak mleko. Zwracam się do niej, jakbym to ją prosiła o wybaczenie, tak bardzo martwię się o Gilego, mamroczę ze ściśniętym gardłem, jak on sobie da radę, straci dom, a ten dom już jest zajęty, przywykł do bycia

jedynakiem, nagle ta rywalizacja ze wszystkich stron, boję się, że on tego nie wytrzyma, jest słaby i wrażliwy, boję się, że stanie się coś strasznego.

Na zimnej klatce schodowej zapala się i gaśnie światło, przywieram do ściany, lecz mieszkańcy kręcą się tylko na niższych piętrach, nikt tutaj nie wchodzi, z jaką łatwością ludzie wracają do swych domów, z jaką łatwością utraciłam własny dom. Dopiero kiedy milknę, zamykam zapuchnięte, pulsujące powieki, Oded otwiera drzwi i wychodzi do mnie, siada obok na stopniu. Przestań, uspokój się, wszystko będzie w porządku, szepcze z wysiłkiem. Podaje mi szklaneczkę, która znów jest pełna. Napij się trochę, wzmocnij się. Otacza mnie ramieniem, a ja mamroczę mu do ucha: Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, nie wiem, co się ze mną dzieje, nie sądziłam, że trudno mi będzie rozstać się z mieszkaniem, czuję się, jakbym straciła dom, jakbym nie miała już domu. Ale masz miłość, mówi cicho. Masz mnie. Tak bardzo przejmujesz się drobiazgami, że nie zwracasz uwagi na rzeczy najważniejsze. To szczęśliwa historia, opowieść o nas, nie pozwolę ci zrobić z niej tragedii, razem staramy się zbudować coś nowego. Ale najpierw tyle zburzyliśmy, mówię szeptem. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, odpowiada. Nie zagłębiaj się znowu w przeszłości, musisz wydobyć się z tego regresu, na początku byłaś taka dzielna, pamiętam, jak zachwyciałem się twoją odwagą, kiedy się poznaliśmy.

To nie była odwaga, tylko głupota, mówię. Jeszcze nie docierało do mnie, co zrobiłam. Wierzyłam, że to wszystko obróci się na dobre. Teraz także nie rozumiesz, co robisz, kiedy wierzysz, że wszystko się źle skończy. Chodź, wstańmy, namawia. Umyj twarz, wyjdziemy. Dokąd? Nie mogę nigdzie iść, jeszcze nie skończyłam się pakować. Pójdziemy kupić zasłonę, mówi. Pośpiesz się, zaraz zamykają sklepy. Dźwigam się ociężale, w głowie mi się kręci, czuję klucie w skroniach, jakby ścisnęły je zimne szczytce. Myślałam, że nie wierzysz w powierzchowne rozwiązania, przypominam. To prawda, potwierdza. Ale chwilowo nie chcę znaleźć rozwiązania, chcę znaleźć zasłonę.

Nazajutrz, pierwszego dnia miesiąca adar, o wpół do dziewiątej rano, na chodniku pod topolami parkuje wielka ciężarówka, drżącą ręką wskazując rzeczy do przewiezienia, kanapę i fotele, komputery i biurka, łóżko i komodę, szafę i półki, dywany i obrazy, ubrania upchane w poszwach, pudła z książkami, naczynia, zabawki i urządzenia elektryczne. Kuchenka i lodówka na razie zostają, dopóki mieszkanie nie zostanie sprzedane, zostaje też podwójne łóżko. Spoglądam w milczeniu na szybko pustoszące pokoje, gołe ściany, ostre i szare niczym zepsute zęby, oto opada topór na pewien etap, bez mała siedem lat, co to takiego siedem lat, lecz dla dziecka to cała historia, arena młodego życia, odrywanego od korzeni, musi zapuścić nowe korzenie w znacznie mniej urodzajnej glebie, pełnej obcości i rywalizacji, bez więzów krwi, które wyglądają ostre krawędzie, osładzają gorycz.

To szczęśliwa historia, przypominam sobie, przecież to będzie szczęśliwa historia, ale najwyraźniej radość nie znalazła się w ciężkich kartonowych pudłach z książkami, nie została owinięta kawałkami gazet dla ochrony przed stłuczeniem i ułożona wśród innych naczyń, nie została załadowana na ciężarówkę wraz z pralką i suszarką, spoczęła pod śmietnikiem niczym rzeczy, których nikt nie chciał, niczym części zabawek, które kiedyś sprawiały euforyczną radość, a teraz zamiata się je w kącie, ogon dinozaura, trąba słonia, karoseria samochodu; kiedy tragarze wchodzi i schodzą po schodach, wchodzi i wychodzą, roztaczając opary gorzkiego, zimowego potu, mam wrażenie, że z każdym pudłem, którego ubywa z domu, odsłania się jakaś prawda, wyjątkowo odstręczająca i brzydka, odkąd została odkryta, nie będę mogła już

nigdy jej ignorować.

Odciski palców na ścianach są ruchome jak cienie, tworzą niewyraźne kształty, co to za pismo, które nie zostało jeszcze odcyfrowane, może ten, kto je rozszyfruje, będzie wołał zachować je dla siebie, bo ta inskrypcja nie opowiada o zwycięstwie, lecz o porażce, nie jest to tylko osobista porażka rodziny, która mieszkała tu prawie siedem lat, lecz także tej, która zamieszka tu po niej, nad nią i pod nią, to opowieść o beznadziejnych staraniach, o nagości życia, o pustce, czyhającej jak złośliwy robak pod każdym kamieniem, o nieszczęściu wędrującym z miejsca na miejsce, wraz z kupowanymi entuzjastycznie rzeczami, symbolizującymi stabilność i bezpieczeństwo. Wchodzę do pustego pokoju Gilego, na jasnych płaszczyznach ścian widać zarysy przedmiotów, które stały tam jeszcze kilka minut temu, łóżko, regał, szafa na ubrania, a także kreseczki, którymi regularnie zaznaczaliśmy wzrost Gilego na jego prośbę, stawał przy framudze, wyprężając małe ciało, a ja stawiałam kreskę i zapisywałam, Gili w wieku dwóch lat, trzech, czterech, pięciu, sześciu. Ale urosłem, wykrzykiwał radośnie, będę wysoki jak tata! Głaszczę te linie, jakby jego głowa wciąż się tam znajdowała, przypominające puch włosy z czasem zgęstniały, pociemniały, stają wyprostowana przy framudze, zaznaczam kreskę nad własną głową i zapisuję, Ela w wieku trzydziestu sześciu lat, i tak potem ślady po nas zostaną zamalowane.

Okno w jego pokoju odcina się wyraźnie niczym obraz, wyglądam na zewnątrz z ciekawością, jakby to było moje przyszłe mieszkanie, mięsisty bluszcz, przetykany fioletoowymi kwiatami bugenwilli, oplata pień pobliskiego drzewa, ze złością myślę o widoku z jego nowego pokoju, czyżbym znowu przenosiła się ze wsi do miasta, jak wtedy, kiedy byłam nastolatką, porzucając dom dla miejsca, które nigdy domem nie będzie, mam ochotę zatrzymać tragarzy, kazać im wnieść z powrotem pudła, dziecięce łóżko, szafę i dywan, bo to jest jego pokój i jego dom, nigdy nie będzie miał innego, tak samo jak ja. Opieram się o parapet z westchnieniem, przechodnie muszą obchodzić ciężarówkę napelniającą się bagażami, czy mam ich wezwać na pomoc, złodzieje zabierają mi wszystko, nie zostawiają niczego, wydają się tacy beztroscy, czy też my także będziemy kiedyś chodzić tą ulicą, zagłębieni w ożywionej rozmowie, wskażę na duże okno, mówiąc, tu kiedyś mieszkaliśmy z tatą, a on rzuci okiem na balkon. Naprawdę? Prawie nie pamiętam.

Tragarze są szybsi od moich rozmyślań i już stają w progu. Coś jeszcze? Kręcę głową w milczeniu i prawie rzucam im się w objęcia. Jesteście ostatnimi świadkami życia, które toczyło się w tym domu, za chwilę nie zostanie po nim ani śladu, wy mi opowiecie, co naprawdę się tutaj działo, między sypialnią a salonem, między balkonem a kuchnią. Schodzę powoli za ostatnim pudłem, dokładnie zamknąwszy drzwi mojego domu, choć nic w nim nie pozostało, na dole widzę z trwogą, że wąska, kręta uliczka zapełnia się fragmentami naszego życia, wysypującymi się z przepełnionych pojemników na śmieci. Wyblakłe rysunki Gilego, moje brudnopisy, rachunki i kwity, pojedyncza skarpetka, aksamitka do włosów, lista zakupów, banalne drobiazgi, tchnące rozdzierająco intymnością, leżą na chodniku, unoszą się w lekkich podmuchach wiatru, rozpraszają z zastraszającą prędkością, klękam i usiłuję je pozbierać, natykam się na napisaną naprędce karteczkę, wrócę późno, nie martw się, proste słowa, oparte na bolesnym założeniu, że ktoś o nas myśli i na nas czeka, że mamy dokąd wrócić, zwyczajna karteczka, zapisana ołówkiem, bez daty, setki podobnych znikły w brzuchu śmietnika. Kiedy porządkowałam papiery, nie przywiązywałam do niej żadnej wagi, ale tu, na ulicy, jej naiwna prostota sprawia, że pęka mi serce, chowam ją do kieszeni, zauważając nagle zdjęcia, które najwyraźniej wypadły z

jednego z pudeł, nasze ostatnie wspólne fotografie, z szóstych urodzin Gilego, nie zdążyliśmy włożyć ich do albumu, byliśmy zbyt zaabsorbowani rozstawianiem się, podnosiliśmy naszego syna na krzesło, gdzie siedział z miną królewicza, z marzycielskim, powściągliwym uśmiechem, wieniec prawie spadł mu z głowy, trawnik ozdobiliśmy balonami, dzieci bawiły się w berka, nikt nie zauważył, że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

Z wypełnionego po brzegi śmietnika wysypują się resztki naszego życia, sfruwają na miasto niczym szarańcza, doleczą do wszystkich domów, wpadną we wszystkie okna, grzebię gołymi rękami w pojemniku, który wypływa na widok publiczny prywatną historię naszej rodziny, wyciągam inne zdjęcia, zniszczone smrodliwą, lepką wilgocią. Wtedy nadchodzi jedna z sąsiadek ze śmieciami, stawia torbę pod pojemnikiem. Wyprowadzacie się? - pyta zdziwiona. Wykrzywiam wargi w wymuszonym uśmiechu. Tak. Znaleźliśmy większe mieszkanie. Uśmiech znika, zanim jeszcze w pełni zaistniał. Ocieram oczy brudnymi palcami, wyginam usta. Przypatruje mi się zakłopotana. To nic takiego, mamrocze. Niech się pani tak nie przejmuje, te domy i tak się rozlecą.

Kartony znikają we wnętrzu ciężarówki niczym owieczki prowadzone na rzeź, oznaczają je czerwone napisy, pokój Gilego, sypialnia, salon, kuchnia, łazienka. Siedzę w szoferce obok kierowcy, patrzę z góry na znajome ulice, z tej wysokości życie ludzkie nie ma prawie żadnego znaczenia, miniaturowe figurki poruszają się po przejściu dla pieszych, także samochody są małe, ich trudy, pragnienia, motywacje, co sprawia, że masy wygnańców ruszyły przez morza i lądy w poszukiwaniu nowego domu, może najazdy agresywnych plemion, ludów morza, które nadeszły z zachodu, niszcząc wszystko na swojej drodze, może nagła zmiana klimatu, może trzęsienia ziemi, wstrząsające starożytnym Wschodem, które zaburzyły bieg historii, zmiotły z powierzchni ziemi cywilizacje, popchnęły całe narody do migracji? Stoję z kluczem w dłoni pod białymi drzwiami, nigdy go nie używałam, czy otwiera oba zamki, może potrzebny jest drugi klucz, którego nie mam, próbuję bezskutecznie włożyć go do górnego zamka, do dolnego także nie pasuje, jeden z tragarzy sapie mi za plecami z pralką na plecach, co się dzieje, proszę otworzyć. Przepraszam go zdenerwowana, chwileczkę, mam problem, dzwonię do Odeda, który nie odbiera telefonu, może celowo dał mi zły klucz, żebym wiecznie tułała się po mieście z zawartością całego mieszkania, starając się otworzyć drzwi rozmaitych domów.

Jest pani pewna, że to dobry klucz? - pyta kierowca, który dołączył do nas na klatce schodowej, wyjmuję mi go z ręki i próbuje. Ma pani jakiś inny? Grzebię w torebce, wyciągając z ulgą niewielki pęk. Przepraszam, pomyliło mi się, mamroczę, to był klucz od dawnego mieszkania. Podaję mu właściwy i w ciągu kilku minut puste mieszkanie wypełnia się połowicznie meblami i pudłami. Moja szara sofa w naturalny sposób spoczywa naprzeciw jego czarnej skórzanej kanapy, dywan zabarwia salon pomarańczowymi i szkarłatnymi pasami, u Gilego łóżko już stoi pod oknem, na wprost szafa, pośrodku dywan, a na nim prezent, który mu kupiłam, wspaniały zamek. Kiedy dyryguję pracą, posyłając jedno pudło do sypialni, inne do kuchni, niczym policjant sprawnie kierujący ruchem, odzyskuję pomału lekkie poczucie kontroli, które zajmuje miejsce przerażonego dygotu, mam wrażenie, że moja egzystencja, osłabiona długimi wahaniem, wzmacnia się trochę, gdy wreszcie stało się to, czego tak się obawiałam, przez chwilę cieszę się, że jestem kobietą, która tu zamieszka z nowym partnerem, ze wspólnymi dziećmi, w przestronnym mieszkaniu, szerokimi ruchami rąk zagniatam i formuję nową rodzinę z dwóch kawałków, późną, pełną rodzinę, całkiem inną niż jej poszczególne elementy, może to nie ostateczny koniec, lecz kontynuacja, poprzez asymilację i przetopienie,

jak stapia się mój dywan z jego kanapą.

Jakie to w gruncie rzeczy proste, przewieźć rzeczy z mieszkania do mieszkania, gdy tragarze kończą pracę, nie ma jeszcze południa, rozpakowuję pudła w pokoju Gilego, wkładam znajome ubrania do znajomej szafy, zabawki ustawiam na regale, który kupiliśmy przed jego narodzinami, prawie nie da się odróżnić tego pokoju od poprzedniego. Zadowolona przyglądam się kolekcji przedmiotów, przewiezionej w całości, niczym scenografia do przedstawienia, szybko przechodzę do sypialni, wytrząsam poszwy pełne ubrań, opróżniam kartony, układam w pustych szufladach nieporządnie poskładane ubrania, mimo zmęczenia nie odpoczywam ani na moment, jakbym jak najprędzej chciała ustalić pozycję, może w chwili gdy ostatnia sztuka odzieży spocznie na swoim miejscu, to mieszkanie stanie się moim domem, ten pokój moim pokojem.

Jak takiej małej dziewczynie udało się zapełnić taką wielką szafę, nie zostawiłaś mi miejsca nawet na parę skarpetek, słyszę za sobą niski głos. Obracam się do niego. Czuję zdumiewającą radość. Przez całe rano miałam nadzieję, że przyjdzie, choć wiedziałam, że jest zajęty, pragnęłam, by był przy mnie, gdy będę żegnać swój dawny dom, by powitał mnie w swoim, ale teraz widzę, że przyszedł w odpowiednim momencie. Ktoś odwołał wizytę, mówi. Przyniosłem ci coś do jedzenia. Podaje mi rogalik z czekoladą, który wyjął z papierowej torebki, lustruje zawartość szafy. Myślisz, że będę miał okazję zobaczyć cię w tych wszystkich strojach? - śmieje się. Chyba życia na to nie starczy. Uśmiecham się skrępowana, większość to stare rzeczy, nie zapominaj, że przestałam rosnąć w wieku dwunastu lat. Z przyjemnością dotyka skąpych letnich sukienek. Nie mogę się doczekać lata. Śmieję się, gryząc łapczywie rogalik, widzę, jak kładzie się na pościelonym łóżku w ubraniu i w butach, natychmiast wyciągam się obok, rozsiewając wokół okruchy. Czy w tym domu wolno jeść w łóżku bez talerza?

W łóżku wszystko wolno, mówi, zbierając palcami kawałeczki czekolady z moich ust. Za chwilę nie mam już na sobie spodni i pokój wypełnia się spragnionymi oddechami, przez moment nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie jestem i z kim, otoczona znajomymi przedmiotami we wciąż obcym miejscu, w ciele, którego jeszcze wciąż dobrze nie rozumiem, a które określa pośrednio moje ciało, daj mi słowa, które nadadzą znaczenie naszym oddechom, które rozproszą samotność, czy do końca świata będę zmuszona szukać znaków?

Z kim masz teraz spotkanie? - pytam, kiedy myje twarz i zaczesuje włosy przed lustrem. Z jakimś człowiekiem, dlaczego pytasz? Człowiekiem czy kobietą? Daj spokój - śmieje się. - Codziennie przyjmuję około ośmiu osób, przynajmniej połowa to kobiety, oszalejesz, jeśli zaczniesz o tym rozmyślać. Nie mam z tym problemu, mówię prędko. Po prostu chciałabym, żebyś ze mną został. Przyjdę o trzeciej, będziesz tutaj? Jasne, przecież to mój dom. Sądząc z liczby kartonów, nie jestem pewien, czy zostanie miejsce dla mnie, żartuje.

Bądź dobra, w porządku? Pochyla się i całuje mnie w czoło. Posłusznie kiwam głową. Co właściwie masz na myśli? - pytam. To, co sama przez to rozumiesz, odpowiada. Słyszając, jak wychodzi, przykrywam się kołdrą, choć leżę w zakurzonych ubraniach, mam uczucie, że jego język wciąż puka do sekretnej szkatułki rozkoszy. Wzdycham z przyjemnością, jak panna młoda, czekająca na noc poślubną. Bądź dobra, powiedział, co właściwie miał na myśli, dobra dla siebie, dla niego, może to jest to samo, bądź dobra, a będzie ci dobrze, czy faktycznie tak to jest, przez chwilę można w to uwierzyć, w wygodnym łóżku, obok szafy pełnej znajomych rzeczy, gdy pokój dziecka jest już prawie gotowy, z wyjątkiem zasłon, które nadejdą jutro. Mam

wrażenie, że moje łęki rozpraszają się jak choroba, która nagie ustępuje, ustępując miejsca nieokielzanej wesołości. Przewracam się na brzuch, rozkładam ręce na całą szerokość łóżka niczym ptak szybujący po niebie. Co to za tajemnica, być kochaną, za co jestem kochana, jak długo, jak bardzo, cudowna, niepokojąca zagadka, teraz muszę przyjąć ją zwyczajnie, jak przyjmuje się działania sił natury, co za ulga, mogę nawet zasnąć w środku dnia, zatwierdzić moją obecność głębokim, spokojnym snem po tylu nocach, gdy prawie nie zmrużyłam oka, przewracając się na łóżku, miotana wątpliwościami, samotna pośród pudeł.

Na twarzy czuję podmuch wiatru, choć jest chłodny, mam wrażenie, że przynosi smugę wiosennych woni, zapadam w drzemkę pod jego rześkim dotknięciem, wydaje mi się, że śpię pod gołym niebem, znowu uciekłam z domu po kłótni z ojcem, biegłam przed siebie, aż dobiegłam do kwitnącej łąki i padłam na ziemię, turlając się wśród jaskrów, prosta, złota biżuteria zimy, echa kłótni powoli odchodzą, przekleństwa się zacierają, zostaje tylko poczucie pustej, całkowitej wolności, nikt mnie nie znajdzie. Oddycham pełną piersią, obecność ojca w domu jest tak przygniatająca, że mój oddech jest urywany, prędko, jak u zajączka. Na łące pełnej żółtego tlenu wracam do zdrowia. Owce mają na szyjach małe dzwoneczki, które kołyszą się beztrudnie na wietrze, postanawiam, że nigdy nie wrócę, ucieknę na zawsze, będę żebrać na ulicach, oczyma duszy widzę, jak mijają mnie elegancko ubrani rodzice, wracają z teatru, ojciec rzuca mi od niechcenia monetę, ale nie tknę jego pieniędzy, pewnego dnia zatrzyma się obok przystojny, czarujący mężczyzna, który zabierze mnie do siebie, obmyje moją usmoloną twarz i ujrzy, że jestem dziewczyną z dobrego domu, królewską córką, która uciekła z pałacu, nakarmi mnie i umyje, położy mnie w swoim łóżku, będzie przez sen gładził mnie po włosach, siedząc na skraju materaca, a kiedy otworzę oczy, powie z lekkim zdumieniem, cieszę się, że tu jesteś. Przymylnieję. Już wróciłeś? - dziwię się. Która godzina? Chyba na chwilę zasnęłam. Spałeś długo, wróciłem dawno temu. Z trudem zrzucam okowy snu, śniło mi się, że uciekłam z domu, mruczę. Z tego domu, tak szybko?

- pyta. Nie, mówię. Od rodziców. Od rodziców nigdy nie da się uciec, oznajmia. Najwyraźniej. Ale wszyscy wciąż próbują. Przynajmniej nie uciekłaś z pustymi rękami - śmieje się, wskazując na otwarte drzwi szafy. - Śniło mi się, że byłam żebraczką, opowiadam, siedzę na chodniku i mijają mnie rodzice, ale jestem tak brudna, że mnie nie rozpoznają. Dopiero wtedy zauważam, że przestał słuchać, wzrok wciąż wbija w zapełnioną szafę, w twarzy ma niepokój. Coś się stało? - sztywnieję. Nic, odpowiada sucho. Nic szczególnego.

Nie cieszysz się, że tu jestem? - pytam głosem rozpieszzonego dziecka. Przed chwilą powiedziałem, że się cieszę, przypomina. Ale wzrok ma niespokojny. Nie składasz ubrań, zauważa. Nie są ułożone? - dziwię się. Są zwinięte, nie ułożone. Matka nie nauczyła cię, jak składać ubrania? Może rzeczywiście powinnaś wrócić do domu na kilka lekcji. To ci naprawdę przeszkadza, dziwię się. Tak, przyznaje. Mam przez to chaos przed oczyma. Wbrew woli tonę już w gęstej obrazie, jakbym znowu spadała z gładkiej bramy, nie mając się czego przytrzymać. Nie chcesz mnie tutaj, mamrocze. To masz mi do powiedzenia w dniu, kiedy się do ciebie przeprowadzam? Mam wrażenie, że mówię cudzym głosem, głosem żebraczki ze snu. Co się z tobą dzieje? - irytuje się. Co ja takiego powiedziałem, jesteś chorobliwie przewrażliwiona! Staram się odzyskać panowanie nad sobą. Faktycznie, co takiego strasznego powiedział, Amnon też narzekał czasami na moje bałaganiarstwo i to mnie aż tak nie raniło, przecież nie odrzuca samego faktu mojego istnienia. Przypatruję mu się, ciemne ubranie podkreśla jego chudość, włosy, które ostatnio urosły, poszerzają czaszkę, ciężkie brwi łączą się nad oczami,

ocienione policzki, czarno-biała fatamorgana, nowoczesna grafika, wszystko to jest przeznaczone dla mnie, w jakiś dziwny, ożywczy sposób, odrobinę zatrważający, nowy męzczyzna, jego widok wciąż jest dla mnie obcy, jak mój widok w tym domu, o wiele jaśniejszym od mojego, widać tu pierwsze siwe włosy, lekką asymetrię rysów, zwiotczenie szyi, chwilowe zatarcie tożsamości, wstaję z łóżka, nie wiadomo czemu trzymając się ściany, z trudem idę do kuchni, wymijając pudła.

Na szczęście idzie za mną. Jak ci minął dzień? - zwracam się do niego, starając się wprowadzić domową rutynę. Może być, informuje, nie wdając się w szczegóły, patrzy w ponurym milczeniu na kartony. Nie martw się, mówię czym prędzej. Jutro nie będzie tu już żadnego pudła. I natychmiast przecinam ostrym kuchennym nożem taśmę klejącą, z lekkim skrępowaniem wyjmuję garnki i patelnie, szukam ich dokładnego adresu, przynajmniej ich nie muszę składać jak ubrań, kilka książek kucharskich, nagle z jednej wypada jasna kartka z gratulacjami, otwieram ją, na górze widnieje data naszego ślubu, pod spodem, pismem z zakrętasami, kwiecistym językiem, ktoś napisał: „Drogim Amnonowi i Eli, w dzień waszych zaślubin, abyście zaznali samego szczęścia”. Nie znam nazwiska nadawcy, pewnie to któryś ze studentów Am nona, przyglądam się kartce, która trafiła tutaj z dawnych czasów, co z nią zrobić, drodzy Amnon i Ela, co z wami zrobić, prawie wołam, żeby podszedł zobaczyć, żeby zdziwił się razem ze mną drwiącą pamiątką, która utrafiła w doskonały moment, ale natychmiast zmieniam zdanie, wkładam kartkę do książki, jakby twarde zasady archeologii obowiązywały także tutaj, i każdy przedmiot musi zostać odłożony na miejsce, do zakończenia dokumentacji.

Napięcie usztywnia i krępuje moje ruchy, które stają się wysilone, lękliwe, jakby ukradkiem śledziło mnie jakieś groźne oko, chyba swobodniej czułam się pod jego nieobecność, gdzie on w ogóle jest, salon wydaje się pusty, wtedy zauważam, że siedzi w rogu kanapy, ciemne ubranie zlewa się z czarnym skórzanym pokryciem, nie zapala światła, chociaż zapada zmrok, wbijam nóż w kartony, nagle mam wrażenie, że zostały spakowane wieki temu, wróciły z odległej podróży, jak zagubiona walizka, wędrująca po lotniskach całego świata, gdy wreszcie wróciła, nikt już nie potrzebuje jej zawartości. Komu potrzebne będą ozdobne fajansowe talerze, jakie posiłki będą na nich podawane, jaka rodzina do nich zasiądzie? Rozwinąwszy z pogniecionych kawałków gazety puszkę kakao z uśmiechniętym królikiem, przyciskam ją do serca, jakby była drogocennym skarbem, który uratowałam z ruin, chowam ją w głębi szafki, żeby nie ruszały jej obce ręce.

Za kuchennym oknem, którego szyby dzielą się na małe kwadraciki szkła w metalowej oprawie, słońce chyli się za koronami sosen, plamiąc blat czerwienią i złotem, zerkam na zegar, już wpół do piątej, poprzedniej zimy Gili zostawał w przedszkolu do popołudnia i dokładnie o tej porze na klatce schodowej rozlegały się mocne męskie kroki, a za nimi leciutkie kroki dziecka, prawie niedotykające ziemi. Czy to miękkie promienie słońca budzą we mnie tęsknotę, Amnon zazwyczaj wracał z uniwersytetu pobudzony, pełen pretensji i humorów, wypełniając dom niepokojem, który, co prawda, bywał męczący, ale na jedną okrutną, rozczarowującą chwilę brak mi go, gdy Oded z trudem odpowiada na moje pytania, kiedy robię sobie kawę w kuchni pełnej pudeł z naczyniami, które służyły nam do niezliczonych posiłków, czuję nagle palącą panikę, jakby ktoś przyłapał mnie na zdradzie, to niekoniecznie zdrada męzczyzny, lecz zdrada rodziny, losu, ojczyzny. Czy przygotowanie kawy w tej kuchni, w kubku, który przywiozłam z domu, to o wiele poważniejsze naruszenie

lojalności niż seks na czarnej skórzanej kanapie? Jak tajemniczy jest kodeks tych zasad; jeśli się do niego przeprowadzisz, jesteś dla mnie skończona, powiedział Amnon, odwracam się od okna, patrzę na mężczyznę, który siedzi zatopiony w milczeniu na skraju kanapy, z łokciami opartymi na kolanach, przez chwilę wydaje mi się, że jesteśmy obcy, po co i dlaczego się tu razem znaleźliśmy, po co i dlaczego zmuszamy dzieci, aby stały się rodzeństwem, gdy delikatny, ukośny promień słońca, padający między sosnami, zalewa nas smutkiem? Wydaje się, że tak wielkie decyzje i przygotowania, tyle słów, tyle oczekiwań, wszystko to sprawiło, że planowane wydarzenie stało się porażką nie do udźwignięcia, nawet promienie słońca uginają się pod jej ciężarem.

Oded, chcesz kawy? - pytam. Nie, dziękuję, odpowiada. Podchodzę do niego, trzymając w ręku ostry nóż. Wciąż mam nadzieję, że uda mi się przegnać złe duchy, jeśli stanie u mego boku, ale twarz ma suchą, szorstką jak karton. Co się stało? - usiłuję się dopytać ze sztuczną lekkością. Coś cię dręczy? Zawsze coś jest, prawda? Wzrusza ramionami. W jego głosie słychać słabą przyganę. Odkąd wróciłeś, wydajesz się wyjątkowo zatroskany, upieram się. Opowiedz, co się stało.

Daj spokój, nie chcę cię obarczać moimi kłopotami, mówi. Masz dość własnych. Siadam obok niego. Co za głupstwa. Musisz mi opowiadać o różnych rzeczach, muszę wiedzieć, co przeżywasz. Patrzy na mnie z powątpiewaniem. Byłem u Michał, rzuca prawie wbrew woli. Opowiedziałem jej, że się do mnie wprowadziłaś, to nie było łatwe.

Co ona na to? - pytam wstrząsana dreszczem lęku i poczucia winy. Wzrusza ramionami. Treść jest nieistotna. To oczywiście nie osobistego. Wie, że nie opuściłem jej dla ciebie, i że także jeśli my nie będziemy razem, nie wrócę do niej, ale to dla niej trudne, ciężko mi ją widzieć w takim stanie. Prawdę mówiąc, sądziłem, że dzieci jej powiedziały, zdziwiłem się, że nic nie wie. Znowu zaczynam oddychać prędko, urywanie, jak zajączek. To co zrobimy? - pytam niezręcznie. Nie ma zbyt wiele do zrobienia, mówi. Postaram się jak najczęściej zabierać dzieci, póki nie dojdzie do siebie, nie powinny oglądać jej w takim stanie. Kiwam zdenerwowana głową. Pamiętaj tylko, umówiliśmy się, że Gili będzie tu jutro sam, chcę, żeby pierwszego dnia spokojnie się zaaklimatyzował, żeby nie czuł się gościem. Mam nadzieję, że się uda, wzdycha. Musi się udać, mówię.

Nie proszę o wiele, to tylko jeden dzień. Posyła mi spojrzenie pełne wahania i wyrzutu, jakbym nie miała prawa stawiać swoich spraw nad sprawami Michał, mojego dziecka ponad jego dziećmi, jak szybko była kobieta zamienia się w świętość, natomiast nowa, nawet jeśli zaciśnie zęby, zawsze będzie wydawać się małostkowa. Może coś jej przepiszesz? - podsuwam, a on mówi: Od lat jest na lekach. - Naprawdę, Michał? - zdumiewam się. Zawsze wydawała mi się taka spokojna, zrównoważona. To błędne wrażenie. Jest bardzo niespokojna i niezrównoważona, zaprzecza. Staram się okazać dojrzałe zainteresowanie tymi informacjami, nie zdradzać przestachu, choć nowiny dotyczą już także mojego życia. - Jak się poznaliście? - pytam. - Nigdy mi nie opowiadałaś. Wielu rzeczy ci jeszcze nie opowiadałem, rzuca. To brzmi nieomal jak groźba. Wzdrygam się. Trzymaj się od niego z daleka, powiedziała niegdyś moja matka, wszyscy wiedzą, że jest chory.

Poznaliśmy się w akademii medycznej, wyznaje niechętnie. Zaczynaliśmy razem studia. Naprawdę, Michał studiowała medycynę? - zdumiewam się. Dlaczego to rzuciła? Szukała czegoś bardziej duchowego, odpowiada. To oficjalny powód, ale w gruncie rzeczy przerwała studia przeze mnie. Przez ciebie? Jak to? Kiedy jedna osoba idzie naprzód, druga zostaje w tyle, tak na

ogół dzieje się w parach; odeszła na piątym roku, zmarnowała kilka lat na rozmaite poszukiwania, w końcu została nauczycielką biologii. Kiedy pojęła swój błąd, było już za późno, urodziła się Maja i Michał utknęła. Może zadowoliliby się tym, gdyby nie widziała, jak robię karierę w dziedzinie, którą sobie wymarzyła. To chyba ją załamało.

Siedzę skulona, napięta, jak szybko straciłam zdolność spokojnego, pełnego zaangażowania słuchania, reagowania empatią na jego smutek, każde słowo mi zagraża. Oded, to przykre, ale to nie twoja wina, informuję go czym prędzej. Musisz przestać się obwiniać. Jakby jego wyrzuty sumienia zagrażały mi, jakbym przed nią nimi broniła. Zaciskam palce na trzonku noża, aż bieleją mi kostki.

W zasadzie masz rację, wzdycha. Ale byłem tak zajęty sobą, że nie zauważyłem, co Michał przeżywa. W młodości czułem szalone pragnienie odniesienia sukcesu. Chciałem udowodnić całemu światu, że syn wariata może leczyć wariatów. Z czasem zrozumiałem, że nikogo to nie obchodzi, nikogo poza moją mamą, która opowiadała o mnie wszystkim swoim sąsiadkom, ale one i tak myślały, że kłamie. Moja ambicja skrzywdziła Michał, zaczęły się ataki zazdrości i frustracji, leki, w tym wszystkim przyszły na świat dzieci, także niełatwo. Krótko mówiąc, nic nie szło gładko. A teraz zadałem jej ostateczny cios.

Błąkam się przygnębiona pomiędzy kartonami w salonie, jakbym stąpała wśród nagrobków, widnieją na nich czerwone napisy, pakowałam te pudła godzinami, opróżniając półkę po półce. Dziecko bezradnie kręciło się wśród tego chaosu, dom powoli, boleśnie, zrzucał swe szaty, po co, żeby podwoić, potroić smutek? Jego twarz niknie w ciemnym pokoju, oboje jesteśmy zabłąkani, zagubieni, niby dwa szkielety, znalezione nad cysterną w Megiddo. Mówiłam ci, żebyś z nią został, jęczę cienkim głosem, jak głosik Gilego. Ostrzegałam cię, że ona się nie pozbiera, że sobie z tym nie poradzisz, co my teraz zrobimy? Idę do kuchni, głośno, pośpiesznie wrzucam garnki i patelnie do kartonów, które przed chwilą opróżniłam. Nie chcę tu mieszkać, Oded, idę stąd.

Dość, Elu, uspokój się, napomina mnie niecierpliwie. Nie pogarszaj sytuacji. Nie ma w tym żadnego praktycznego aspektu, już żałuję, że ci opowiedziałem, to był błąd. Zapalam światło. Co nie było błędem z tego wszystkiego, co zaplanowaliśmy, zainicjowaliśmy i wykonaliśmy, jak wprowadzę jutro synka do domu, który powstał na błędnej podstawie, jak ukryję przed nim rozmiary pomyłki? Kiedy opieram się o chłodny blat, wydaje mi się, że lament kobiety oplakującej swoje życie niedaleko stąd przenika przez kwadraty szkła i ołowiu, wypełnia dom niczym gaz z kuchenki z odkręconymi kurkami, sama już nie wiem, czy wyrywa się z mojego gardła, czy z jej.

To musi być perfekcyjne, idealne, szczegółowo obmyślane, zorganizowane niczym operacja wojskowa, zdecydowane jak bitwa, której nie wolno przegrać, pomyślałam o wszystkich drobiazgach, usiłowałam przewidzieć wszelkie problemy, uprzedzić wszystkie życzenia, lodówkę zapełniłam ulubionymi potrawami Gilego, niech unoszą się miękkie i pyszne w jego brzuszku, szafki wylądowałam słodyczami, niech się roztopiają na języku, roztaczając lepki spokój, okno przesłoniłam kolorową zasłoną, zapłaciłam dwa razy tyle, żeby założono ją dziś rano, znowu wchodzę do jego pokoju, by sprawdzić, czy niczego nie brakuje, pluszowe zabawki leżą na łóżku, poukładane rodzinami, we wzorowym porządku, lew, lwica i lwiątko, tygrys, tygrysica i tygrysiątko, mają rozszerzone, obojętne źrenice, wichry rewolucji nie wstrząsnęły ich spokojnym światem. Komputer stoi na biurku, książki na półkach, zabawki leżą w wiklinowych koszach, opakowany w barwny papier prezent stoi na dywanie, nawet ja jestem opakowana bez zarzutu, w czarnym kostiumie, ze świeżo umyтыми, spiętymi włosami, nigdy nie przygotowywałam się tak pedantycznie do spotkania z moim małym synkiem, jakby cała moja osoba miała dzisiaj przejść test, moja miłość i rozwaga, mądrość i dobry smak, oddanie i lojalność.

Zatroszczyłam się nawet o towarzystwo, rano zadzwoniłam do Talii, proponując, żeby przyszła z Joawem, bez wstydu proszę, żeby kupili mu prezent do nowego pokoju, zwrócę ci potem pieniądze, tylko coś przynieście, niech czuje, że to odświętny dzień, i zachwycacie się jego pokojem, dobrze? To dla mnie bardzo ważne, żeby dzisiaj do niego przyszedł kolega, to mu pomoże się zadomowić. Słyszę, jak niewypowiedziane słowa tańczą jej na czubku języka, ale zadawała się przeciągłym westchnieniem. Nie ma problemu, Elu, kiedy mamy przyjść? Staram się dokonać precyzyjnych obliczeń. Dobrze, żebyście przyszli, kiedy skończy jeść, kiedy zdąży trochę pokrażyć po mieszkaniu, otworzyć prezent, a jeszcze nie zatonie w uzalaniu się nad sobą, w pół do czwartej, decyduję, nie ma problemu, mówi znowu Talia i zapisuje posłusznie adres.

Przed wyjściem ponownie sprawdzam, czy pokój jest przyjemny dla oka i wystarczająco duży, przez chwilę mam wrażenie, że może odrobinę mniejszy od poprzedniego, i znowu zaglądam do sypialni Mai i Jotama, bez wątpienia są przestronniejsze i jaśniejsze, a przede wszystkim promieniują naturalną domową swobodą, na oparciu krzesła wisi sweter, na łóżku leży otwarta książka, na parapecie stoi kubek, podczas gdy jego pokój jest wciąż skamieniały, odstręczający martwością niczym muzealna ekspozycja. Próbuję zburzyć nieco idealny porządek, ale natychmiast zmieniam zdanie, przecież może pomyśleć, że inne dziecko wchodziło do jego pokoju, bawiło się jego zabawkami, jeśli dłużej będę porównywać, spóźnię się, obiecałam, że przyjdę wcześniej, śpieszę do szkoły w ciemnym kostiumie, jakbym była w drodze na oficjalne, służbowe spotkanie umalowana, upudrowana, w butach na obcasie, bizneswoman, której każdy krok jest przemyślany staram się emanować pewnością siebie i opanowaniem, choć przez całą noc nie zmrużyłam oka, usiłując doprowadzić do letniego, sztucznego pojednania, tylko po to, aby usunąć napięcie z domu, do którego po raz pierwszy wejdzie mój syn.

Stoi już w progu klasy, tornister zasłania jego szczupłe plecy. Nie wiem, co się z nim dzisiaj dzieje, mówi nauczycielka, na lekcjach nie mógł się skupić, na przerwach się nie bawił. Wczoraj się przeprowadziliśmy, wyjaśniam czym prędzej, nie opowiadał pani? Nie, nic mi nie mówił, wichrzy mu włosy. Daję znak, że zadzwonię do niej. Za dzwonię do pani wieczorem, wyjaśnię, o co chodzi. I tak miałam to zrobić. Odprowadza nas, trąkocząc bezmyślnie: My też się

przeprowadziliśmy kilka miesięcy temu, moje dzieci bardzo to przeżyły, podobno to spora trauma dla dziecka, prawie jak rozwód. Naprawdę bardzo dziękuję za te pocieszające informacje, syczę oddalając się szybko, kołysząc się jak kaczką w za ciasnych pantoflach na obcasie, ciągnę za sobą dotkniętą traumą dziecko. Chodź, kochanie, zrobiłam ci przepyszny obiad, twój pokój już jest gotowy, czeka na ciebie niezwykła niespodzianka, nie uwierzysz, coś, co okropnie chciałeś dostać, a wiesz, kto do nas niedługo przyjdzie? Odwiedzi nas Talia z Joawem, przyniosą ci prezent do nowego pokoju. Wchłania w milczeniu potop radosnych informacji, które tworzę na jego użytek, usta ma zamknięte, ale z całej siły ściska moją rękę. Nie przejmuj się tak, Gilili, fajnie jest się przeprowadzać, wszyscy koledzy przychodzą oglądać nowy pokój, dostaje się mnóstwo prezentów, zobaczysz, że szybko się przyzwyczaisz. Ale on kręci głową z powątpiewaniem.

Kto mieszka w moim dawnym pokoju? - pyta na koniec.

Tymczasem nikt, mówię, ale odpowiedź nie uspokaja go. Tata mówi, że nie będziemy mogli nigdy wrócić do naszego domu, bo sprzedacie go obcym ludziom, wyjąkuje. Przeklinam Amnona z zaciśniętymi ustami. Po co od razu wtajemniczać dziecko we wszystkie szczegóły?

Niewykluczone, że tak kiedyś będzie, mówię. Ale to długi proces. Na razie mieszkanie jest puste. Możesz pójść zobaczyć. - Co to jest proces? - pyta. Popatrz, już jesteśmy na naszej ulicy, oznajmiam. Będziesz miał dużo bliżej do szkoły, to nasz dom, ładny, prawda? Mam wrażenie, że słowo „nasz” wypływa mi z ust bez ustanku, jak lepka flegma, piana na ściągniętych wargach. Wchodzimy po schodach, mam już w ręku klucz, może ty otworzysz nasze drzwi? - podsuwam. Ku mej radości zgadza się z zapalem, w końcu puszcza moją rękę i chwytając klucz, ale ten natychmiast upada mu z chłodnym brzękiem na ziemię. Znowu próbuje, obejmuje go niewprawnymi palcami, obraca z wysiłkiem w przeciwnym kierunku. Teraz zamknąłeś, Gilili, zauważam. Dopiero kiedy kładę dłoń na jego ręce i poruszam nią, niczym ręką lalki, drzwi ustępują, a on pełen ciekawości i obawy wbiega do obcego mieszkania.

Gdzie jest mój pokój? - pyta natychmiast, a ja poruszona wiodę go do celu, przelotnie muska futerko pluszowych zabawek, szpera w wiklinowych koszach, żeby upewnić się, że niczego nie brakuje. To są moje farby, oświadcza, niczym kupiec zachwalający towary, to moje ludziki, moje karty, moje kulki, zachwyca się wszystkimi drobiazgami, które udało się przenieść w nienaruszonym stanie. Uśmierzywszy niepokój, rzuca się z entuzjazmem na prezent. Zamek z rycerzami! - wykrzykuje, kłęka na dywanie i pokój wypełniają hałaśliwe odgłosy rozdieranego papieru, zamek odsłania się w całej przerażającej wspaniałości, zostawiam go i idę do kuchni, krocząc powoli korytarzem; zwrócona do niego twarzą, widzę, jak zagłębia się w zabawie. To dziwne tak stać przy kuchence w tym domu, ze świadomością, że on jest obok, najzwyczajniej w świecie wołać go na posiłek. Gili, jedzenie gotowe. Gdzie jest kuchnia? - pyta. Sam poszukaj, proponuję. Zobaczymy, czy mnie znajdziesz. Cieszy się zabawą, przybiega pędem i obejmuje mnie w pasie. Przywiozłaś mój talerz, dziwi się. Oczywiście, potwierdzam. Przywiozłam wszystkie twoje rzeczy, niczego nie brakuje.

Kakao też? - upewnia się z obawą, jakby to była jego najcenniejsza własność, której nic nie zastąpi. Niczym magik wyciągam okrągłą puszkę, ukrytą w głębi szafki. No pewnie, że kakao też. Pamiętaj, że jest tylko nasze, przypomina. Z apetytem je makaron, sznyceł, nawet surówka mu smakuje, inaczej niż zawsze, prosi o dokładkę. Smaczne jest jedzenie w nowym mieszkaniu, decyduje na głos. Doskonale, jedz, zachęcam. Ale jego przesadny apetyt mnie niepokoi, czy chodzi mu o to, aby nie zostawić nic dla innych dzieci, czy to jego sposób na zaznaczenie swego terytorium? Jaka dobra surówka, mogę jeszcze? - pyta, wyjątkowo głośno, krzykliwie,

jakby znajdował się daleko ode mnie. Stoimy na dwóch górskich szczytach, na wprost siebie, wołamy do siebie o swojej miłości.

Mam wrażenie, że połyka jedzenie, nie gryząc, wciąga je do swego szczupłego ciała. Może trochę odpoczniesz, żeby nie rozboleł cię brzuch, proponuję, zauważając w napięciu rozsypane okruchy, układające się półksiężycem pod krzesłem, kiedy na klatce schodowej rozlega się szmer, schylam się i szybko je zbieram, jakbyśmy byli tu chwilowymi gośćmi. On także zerka na drzwi z niepokojem. Przyszli? - pyta szeptem, czujny i spięty jak dzikie zwierzątko. Jeszcze nie, mówię. - Talia i Joaw przyjdą za godzinę. A co z Jotamem i Mają? Przyjdą dopiero jutro, informuję. Czy odetchnął z ulgą, siedząc zdenerwowany nad znajomym, pustym talerzem, co teraz zrobić, zanim pograży się we wspomnianiu i porównywaniu, szybko proponuję zwiedzanie mieszkania, pokazuję mu sypialnię, pokoje Mai i Jotama. Rozgląda się ostrożnie, z rozbieganymi oczami, z rozdętymi nozdrzami, niczego nie dotyka, spiesznie odciąga mnie stamtąd, chce być tylko u siebie. Kiedy tam wracamy, mówi: Dlaczego oni nie mają zasłon, a ja mam, nie chcę tej zasłony. Z jakiegoś powodu obraca zaletę w wadę, odsuwa ją, lecz nie skarży się na widok za oknem, wydaje mi się, że odczuwa ulgę, może to prawda, że dzieci niezwykle szybko się przyzwyczajają, że mogą znieść bardzo wiele, nie słyszę już żadnej skargi, tylko przesadny, bezpodstawny zachwyty, niezgodny z faktami.

Mamo, ten pokój jest ogromny. Rozpościera szeroko ręce. O wiele większy od dawnego. Nie ośmielam się poprawić oczywistego błędu. Tak ci się wydaje? - pytam ostrożnie, a on mówi: Jasne, popatrz, ile tu miejsca, tamten był ciasny. Oddycham z ulgą, trochę podejrzliwie, jakbym słuchała zbyt dobrych wiadomości, leżę na jego łóżku, gdy bawi się rycerzami, dzielnie broniącymi zamku. Uciekajcie, bo was pozabijamy! - obwieszcza z patosem. To nasz zamek, nie wasz. Jeden po drugim spadają z murów z cichym stukiem, drobne figurki otaczają warownię, w końcu broni jej już tylko jeden rycerz, walczy z napastnikami do ostatniego tchu. Usiłuję nie doszukiwać się znaczenia w każdym słowie, w każdym mrugnięciu czy skrzywieniu, wyglądam przez odsłonięte okno, ciemnoszare krokodyle szybko suną po niebie, pełzną na krótkich nogach, pyski mają rozwarte w szerokim uśmiechu, wydawało się, że zima się skończyła, a oto znowu wraca, przykrywam się jego kocem, spowija mnie zapach jego pościeli, tak jak on chwytam się znajomych szczegółów, tak jak on zdumiewam się, jak przeniosły się zapachy, jak on czuję się swobodnie tylko w jego pokoju, w przyjaznej enklawie, oazie na pustyni.

Nawet zagłębiający w zabawie czujnie reaguje na każdy dźwięk, z lękiem patrzy na drzwi, czy z któregoś pokoju nie wyłoni się nagle ktoś obcy, mówi głośniejszym niż zwykle, lecz niekiedy przechodzi do szeptu, kiedy wstaję, żeby umyć naczynia, idzie za mną, chce też, żeby odprowadzić go do ubikacji, tak chodzimy za sobą po całym domu, po czystych, gładkich posadzkach, specjalnie ślizga się po nich w skarpetkach, przewraca się z tryumfalnym okrzykiem. Dokładnie o wpół do czwartej rozlega się dzwonek, zachęcam go, żeby przywitał swoich pierwszych gości. Podskakuje z radości na widok Joawa. Chodź, zobacz, co mi mama kupiła - ciągnie go za sobą, rezygnując z mojego towarzystwa. Obejmuję Talię, która na jednej ręce trzyma swoją małą córkę, a w drugiej prezent. Gili, zaczekaj, woła za nimi, przynieśliśmy ci coś do nowego pokoju. Naprawdę? - mówię szybko. Nie trzeba było. Talia wykrzywia się do mnie i daje mu prezent, który Gili otwiera z radością. To oprawiony w ramki obrazek trzech ślicznych kotków. Jakie śliczne! - zachwyca się. To ja, wskazuje na białego kotka pośrodku, a to mama i tata.

Ale to są kocięta, prostuje Joaw, wszystkie tej samej wielkości, Gili jednak obstaje przy swoim. Nieprawda, to rodzina. Kładzie obrazek na łóżku, a Talia mówi: Gratulacje. Jaki śliczny pokój! I już rzucają się do zamku. Wydaje się, że wszystko idzie zgodnie z planem, a jednak kiedy siadamy w kuchni, czyje się jak oszustka, jakbym zaplanowała jakąś intrygę, żeby stępić jego świadomość, omamić go drobnymi, przelotnymi atrakcjami, żeby nie zauważył dziwności nowej sytuacji, którą ja sama w każdej chwili dostrzegam coraz wyraźniej.

To ogromne mieszkanie, mówi Talia. Trochę niezwykle, zbudowane jak labirynt, nie uważasz? Dziwnie mi cię tutaj widzieć, taka byłam przyzwyczajona do tamtego. Tak, dla mnie to też dziwne, potwierdzam. Przygląda mi się uważnie. Co to za oficjalny wygląd, skąd wracasz, z kim się spotykałaś? Z moim synem, odpowiadam. To nie brzmi dobrze, ona na to. Tak na razie musi być, wzdycham. Co z tobą począć? - śmieje się. Powinnaś mi pozwolić kierować swoim życiem, wszystko robisz na odwrót. Co masz na myśli? - pytam zgromiona. Zanim coś zrobisz, jesteś przesadnie przekonana o swojej słuszności, a kiedy już to zrobisz - za mało. Popatrz na siebie, jesteś chodzącym wyrzutem sumienia. Jakbyś zaprowadziła dziecko na śmierć.

Naprawdę? - dziwię się. Byłam pewna, że promieniuję pewnością siebie i przekonaniem o własnej słuszności. Akurat, mówi Talia. Nikogo nie oszukasz, a na pewno nie Gilego. To co mi radzisz? - wzdycham znowu. Twój kostium nie robi na nim żadnego wrażenia, a już na pewno nie obcasy. Po prostu postaraj się zaakceptować ten krok, skoro już go zrobiłaś, masz duże mieszkanie, partnera, którego kochasz, szansę stworzenia nowej rodziny, ciesz się tym trochę, nie bądź taka napięta, słysz.

Jak zawsze masz rację, przyznaję. Prawdę mówiąc, od kiedy już tu jestem, widzę tylko to, czego nie ma. Dość tego, gani mnie Talia. Weź się wreszcie w garść. Obawiam się, że także ten związek źle się skończy. To chcesz osiągnąć? Ostrzegam cię, nie wszyscy mężczyźni mają tyle cierpliwości, co Amnon. Amnon? - zdumiewam się. Co ty mówisz? To prawda, łatwo wpada w złość, mówi - ale na głębszym poziomie akceptował cię taką, jaka jesteś, zgadzał się na twoją nieustającą krytykę. Jaką krytykę? - protestuję. Większość uwag i zarzutów zachowywałam dla siebie, albo dla ciebie. Być może, ale najczęściej okazywałaś mu niezadowolenie. Myślisz, że tego nie wyczuwał? Ich delikatne ego nie znosi tego łatwo. Nalewam nam kawy, przypatruję się jej zdumiona. O czym ty mówisz? Nie pamiętasz, jak narzekał na wszystko, co robiłam, jak ciągle mi dokuczał, jak mnie obrażał? Talia słodzi kawę zamyślona, miesza ją powoli.

Może i tak, na widocznym, najprostszym poziomie, mówi. Ale zawsze wiedziałaś, że jego miłość nie zmieni się, nieważne, co zrobisz czy powiesz. Z nim było inaczej, zawsze czuł, że twoje uczucie jest warunkowe, że nie może się na nim oprzeć. Fakt, że to ty go w końcu opuściłaś, nie on ciebie. Wzruszam ramionami zdumiona. Wydaje mi się, że Talia kreśli przede mną obraz całkiem innego małżeństwa. Patrę w wielkie kuchenne okno, sylwetki sosen rysują węglem swe portrety na kamiennych ścianach domu naprzeciwko, szare wróble znikają szybko wśród gałęzi. Zaraz zacznie padać, mówię. Myślałam, że zima się skończyła, i nagle wszystko zaczyna się od początku. Talia przypatruje mi się. - Wyglądasz na bardzo zatroskaną. Nie rozumiem cię. Jeśli tak strasznie obawiasz się o dziecko i tak jesteś wyczulona na każdy niuans, jakim cudem rozbiłaś mu rodzinę, coś tu się nie zgadza. To skomplikowany proces, wzdycham. Ciężko to wytłumaczyć komuś, kto przez to nie przechodził. Moje przewrażliwienie zaostrzyło się od rozstania, w miarę jak rozumiałam, jaką cenę Gili musi

zapłacić. Problem w tym, że to nie jest dobre dla niego, mówi Talia. Nie staraj się za bardzo, bądź naturalna. Wolno ci pokazać, że także tobie jest ciężko, ukaż mu prawdziwy obraz sytuacji, wtedy będzie mu łatwiej, uwierz mi, będzie mniej samotny ze swoimi problemami.

Kiedy w końcu ty popełnisz błąd, denerwuję się. Żebym ja mogła wreszcie cię pouczać. Popełniłam błąd, pozwalając małej kręcić się po mieszkaniu, śmieje się. Kto wie, co tam wyczynia. Zrywamy się natychmiast i znajdujemy ją na łóżku Mai; zaśliniona, bazgrze radośnie po książkach i zeszytach, wyciągniętych z szuflady. Jasminko, co ty zrobiłaś! - panikuję. Co ja powiem Mai? - Talia wynosi kopiającą dziewczynkę, która uparcie trzyma w rączce jaskrawofioletową kredkę, jakby zamierzała kontynuować mazanie po podłodze.

Przepraszam, Elu, ale nie przejmuj się, to się zdarza w każdej rodzinie, mówi Talia. - Wszystkie zeszyty Joawa są pomazane. Jesteś jedynaczką, masz jedno dziecko, nie wyobrażasz sobie, co się dzieje w zwykłych rodzinach. Ale to mnie nie uspokaja. Co ja powiem Mai, muszę do jutra kupić jej nowe zeszyty. Proponuję szlochającej dziewczynce zgnieciony batonik, niech zaklei jej buzię, wołam też Gilego i Joawa, i już salon wypełnia się harmidrem, kiedy cała trójka skacze po skórzanej kanapie Odeda. Trzymając w rękach batoniki niczym pochodnie, rozsiewają wokół hojnie okruchy czekolady i nadzienia, zanim zdążyłam zaproponować, żeby przenieśli się raczej na moją kanapę, okazuje się, że nie ma jeszcze wspólnych rzeczy, przyglądam się im bezradnie, znowu dociera do mnie, jak odległe jest poczucie zadomowienia, jesteśmy gośćmi starającymi się nie zostawić po sobie śladu, nie sprawić kłopotu gospodarzom, którzy zagrażają nam nawet pod swoją nieobecność.

Chcesz, żebyśmy wyszli, zanim wróci? - pyta Talia, kiedy zerkam z roztargnieniem na zegar. Nie, nic podobnego, odpowiadam, ale myśl o mężczyźnie, który niebawem otworzy drzwi, sam, i natknie się na trójkę obcych, rozdokazywanych dzieci, budzi we mnie niepokój, mam nadzieję, że wróci później, że będzie miał jeszcze kilka nagłych przypadków, a tymczasem posprzątam trochę w salonie. Na dworze jest już całkiem ciemno, pada gęsty deszcz, na ścianie domu naprzeciwko odciska się metaliczny cień, myślę o mieszkaniu, które wczoraj opuściłam, zostawiłam otwarte okna i wszystko zamknięte, w sypialni, z martwym drzewem za oknem, żaluzja z pewnością wciąż uderza w ścianę.

Talia rozsądnie ignoruje moje słowa i zaczyna ubierać dziewczynkę. Chodź już, Joaw, dlaczego zawsze trzeba cię popędzać? Może zostaniecie na kolację, proponuję, celowo zwlekając, lecz Talia, rzecz jasna, odmawia. Dziękuję, kiedy indziej. Jair dziś wraca wcześniej, chcę, żebyśmy zjedli razem. Przez chwilę widzę ich, jak siedzą przy stole w zatłoczonej kuchni, prawie dotykając się głowami, ich ruchy są naturalne, mogą zaakceptować okruchy na podłodze, kłótnie i skargi, kaszel i wymioty. Dzięki dzieciom stali się rodziną, połączoną sznurem z krwi i ciała, który zacieśnia uczucie, zwykły strumień, płynący od nas do naszych dzieci, jedynie bardzo rzadko istnieje w stosunku do obcych dzieci. Usiłuję wyobrazić sobie naszą kolację, czy zjemy we trójkę, razem, o czym będziemy rozmawiać, czy może usiądę oddzielnie, najpierw z Gilim, potem z Odedem, będę w napięciu jadła dwie kolacje, czemu tak się cieszę, że się spóźnia, przecież popełniliśmy to szaleństwo tylko po to, żeby być razem, czemu aż tak się obawiam jego powrotu, przyjscia jego dzieci jutro, przecież sama z Gilim mogłam być w poprzednim domu?

Teraz kąpiel, obwieszczam wesoło, przestrzegając skrupulatnie znanego porządku. Popatrz, mamy dwie łazienki, jedna dla nas, druga dla was. Ja chcę w waszej, chcę w waszej! - krzyczy. Jasne, kochanie, nie ma sprawy. Rozrzucam jego zabawki w obcej łazience, a on idzie

nagi, licząc dokładnie kroki z pokoju do naszej sypialni. Nagle wstydzi się, zasłania ramionami, jakby ściany go obserwowały. Przynaglłam go, żeby wszedł do wody, cieszę się znajomym widokiem. Bawi się dokładnie jak w domu, otoczony morskimi stworzeniami, krokodylami, rekinami i delfinami, z tym, że nie pozwala mi pójść posprzątać, siedzę obok na sedesie, słucham w roztargnieniu przygód, które wymyśla, wspominam ze zdumieniem nasze przygody, jak zanurzaliśmy się tu razem z Odedem, blisko siebie, nieoddzieleni niczym, ale obecność dziecka opanowuje dom, mam wrażenie, że zniknęło wszystko, co działo się tu wcześniej, godziny miłości, całe godziny miłości.

Nagle Gili przerywa zabawę, wbija we mnie uparty wzrok. Przed snem chcę oglądać telewizję w łóżku, oznajmia. Jeszcze nie zdążyłam kupić telewizora, mówię. Nie zwróciłeś uwagi, że w pokoju nie ma telewizora? Uderza ze złością w wodę. Przecież obiecałaś, obiecałaś, że będę mógł oglądać telewizję w łóżku. Tak, obiecałam i dotrzymam, ale nie natychmiast, to potrwa kilka dni. Ale mi obiecałaś, szlocha. Nigdy ci już nie uwierzę, gniewasz się, że kłamie, a w końcu sama kłamiesz. Zanim udaje mi się odbudować swój autorytet lekką naganą, rozlega się kaszel, odwracam głowę i widzę Odeda stojącego w progu sypialni. Cześć, świetnie że jesteś, oznajmiam z wysiłkiem, wstaję z sedesu, żeby do niego podejść, a Gili natychmiast zaalarmowany, nie zostawiaj mnie samego. Wracam starając się stać w takiej samej odległości od nich obu.

Popatrz, Gili, kto przyszedł. Oded! - ogłaszam, jakby ta nowina miała go w mgnieniu oka uspokoić, daję Odedowi znak, aby zajrzał do łazienki i zamienił kilka serdecznych słów z zagniewanym chłopcem, ale on ignoruje moje energiczne, desperackie gesty. Całkiem przemokłem, mówi. Godzinami błakałem się z dziećmi w ulewnym deszczu, mam nadzieję, że się nie przeziębiam. Istotnie, nogawki spodni ma mokre prawie do kolan, z włosów kapie woda, wyjmuję z szafy ręcznik i dokładnie wyciera głowę. Czemu wałęsaliście się po dworze? - pytam. Przecież mają dom. Ten dom był dla nich niedostępny, jak sama wiesz, a Michał jest w takim stanie, że nie mogłem ich tam zawieźć, dopiero teraz przyjechała jej matka, żeby się nimi zająć. Wracam na swoje miejsce na zamkniętym sedesie. Tutaj chłopczyk pluska się w ciepłej kąpieli niczym mały, rozpieszczony krokodyl, a tam dwoje dzieci w przemoczonych ubraniach chodziło po dworze, z mojej winy. Już pierwszego dnia zamieniłam się mimo woli w złą macochę. Dość, wychodź już, polecam Gilemu z nagłą niecierpliwością. Jeszcze nie, marudzi. Jeszcze się bawię. To baw się sam, muszę chwilę porozmawiać z Odedem, odchodzę, zanim zaprotestuje. Bardzo mi przykro, chciałam dać mu jeden dzień na aklimatyzację, byłam pewna, że dzieci będą u Michał. Mogłeś zadzwonić, powiedzieć, że jesteście razem i nie macie dokąd pójść.

Ach, naprawdę? - nie ustępuje. I co byś powiedziała, przyjdźcie, nie ma problemu? Nie udawaj świętej, przecież nie zrezygnowałabyś z ambicji całkowitej kontroli. Jestem zdumiona wrogością, którą ocieka jego głos, jak przemoczone spodnie wodą. Oded, o co takiego wielkiego poprosiłam, jedno popołudnie, jeden jedyny dzień na wyłączność, to tak wiele? Zachowujesz się, jakbym wyrzuciła was z domu na zawsze. Bo tak właśnie się czułem, mówi. Dlaczego tak okropnie przesadzasz? - protestuję. Chciałam pobyć tu sama z Gilim tylko jeden dzień, myślałam, że będziesz w pracy, a oni tak czy owak z Michał, nie miałam złych zamiarów. Wcale nie jestem tego pewien, syczy. Ja też nie jestem już pewna twoich intencji, parskam. Dlaczego właściwie nie poszliście do kina, albo do centrum handlowego? Chodziłeś z nimi po deszczu tylko po to, żebyś mógł mnie winić? Zdziwisz się, ale są też inne powody,

odpowiada. W takim okresie nie zabieram dzieci w miejsca publiczne. To przesada, zauważam. W centrum handlowym jest ochrona. Nigdzie nie jest bezpiecznie, on na to. To dlaczego nie poszedłeś do Michała? - irytuję się. Mogłeś po prostu być tam z nimi. Nie pozwoliła mi wejść, odpowiada. Nie ma w tym żadnej logiki, wzdycham. Niemożliwe, że nie znalazłeś rozwiązania, gdybyś naprawdę chciał, na pewno byś znalazł, zawsze można było zawieźć ich do jakiegoś kolegi na kilka godzin, to nie takie skomplikowane.

Mamo, chcę już wyjść! - woła Gili, trochę za głośno. Czym prędzej wyciągam go z wody, ciepłego i zarumienionego, wycieram go, skórę ma pomarszczoną od długiej kąpieli, czuję, jak sączy się niemiłe poczucie zwycięstwa, pokonaliśmy ich, pokazaliśmy, że to nie mniej nasz dom, niż ich, lecz nie przypuszczałam, że tak szybko przyjdzie nam za to zwycięstwo zapłacić, bo kiedy wchodzimy do salonu, Gili pachnący i uczesany, w piżamie, ciągnąc za sobą wiernego szkockiego misia, Oded nie obdarza go ani jednym spojrzeniem, w przeciwieństwie do ojca, który wyciągał długie ramiona, porywał go po kąpieli i sadzał sobie na kolanach, z radością wdychając jego czyste, parujące ciepło, przytulał, całował i łaskotał, aż Gili krzyczał z radości. Jesteś głodny, Oded? - pytam, starając się pochwycić jego spojrzenie. Nie, jadłem już z dziećmi, odpowiada. Ale usiądziesz z nami, prawda? - naciskam. Nie w tej chwili, Elu, mówi sztywno. Muszę oddzwonić do kilku osób. Zwracam się do Gilego odrobinę nie swoim głosem, przypominającym głos sprzedawczyni w sklepie z zabawkami, sprzedawczyni, której praca wisi na włosku. Może pokażesz Odedowi swojego misia. Gili zbliża się do niego z zapalem, kroczy ufnie nóżkami w błękitnych skarpetkach. Patrz, to szkodzki miś, mówi. Oded przygląda się z melancholijnym zainteresowaniem pyszczkowi misia, jakby to był obcy człowiek, którego ktoś mu przedstawia. W końcu rzuca: Nie lubię misiów.

Mój tata okropnie lubi misie, odpowiada dzielnie Gili, podczas gdy mnie płoną oczy. Przywiózł mi go ze Szkodzji, a mama kupiła mi zamek z rycerzami, a jutro będę miał telewizor w pokoju, stara się zrobić wrażenie na pełnym rezerwy mężczyźnie. Oded zaciska szczęki, patrzy na mnie surowo. Telewizor w pokoju? Tak, dlaczego nie? - mówię. Problem w tym, że Maja i Jotam też będą chcieli, a ja jestem temu przeciwny. Niemożliwe, żeby on miał, a oni nie, musimy się w takich sprawach porozumiewać. To kup im też, radzę. Nie mogę teraz wydawać tysięcy szekli na telewizory, narzeka. Ograniczyłem godziny pracy, żeby więcej przebywać z dziećmi. Nie mogę brać tego pod uwagę, mówię ze złością. Obiecałam mu i koniec. Trudno, nie będzie tu chwilowo socjalizmu. Gili odchodzi rozczarowany, odwraca do Odeda misia wygniecionym grzbietem, podczas gdy ja usiłuję dać mu znak okrągłym gestem, przypominającym obrót wskazówek, że porozmawiamy o tym później. Nie przy dziecku, upominam szeptem, ale nie zwraca na to uwagi. Nie sądzę, żeby można było kupić telewizor tylko twojemu dziecku, starasz się wytworzyć sztuczne poczucie wyższości, które nie będzie dobre dla nikogo. Porozmawiamy o tym później, szepczę znowu, widząc jak Gili błądy i napięty stoi pośrodku pokoju, ze wzdartym misiem w ręku. Pozwolę im oglądać, kiedy będą chcieli, proponuje kompromis cienkim głosem, zadziwiając mnie swoją dojrzałością, jakby przez całe życie przyzwyczajał się do takich starć. To wspaniały pomysł, mówię czym prędzej. Bardzo ładnie z twojej strony, chodźmy teraz jeść. Zabieram go do kuchni, szybko przyrządzam omlet, kroję sałatkę, chleb. Jedz, kochanie, zachęcam, rzucając ukradkiem wrogie spojrzenie na mężczyznę, który przekłada wyjęte z teczki papiery. Nie będziemy siedzieć we troje przy stole, gawędząc miło, starając się dopasować rytm jedzenia. Sama będę go kochać, sama, i znowu czuję uderzenie tęsknoty, niczym żaluzja tłukąca o ścianę na

porywistym wietrze, tęsknoty za naturalną miłością ojca, którą utracił, a właściwie ja utraciłam, bo przecież on nie stracił ojca, ja utraciłam prawo, które wydawało mi się oczywiste do znudzenia, jeść chleb i sałatkę obok mężczyzny, który kocha mego syna tak jak ja.

Chcesz przyjść jutro wcześniej rano? Myślisz, że wytrzymasz do tej pory? Powinieneś brać jeszcze clonax, mówi Oded do telefonu tym samym uważnym, pełnym sympatii tonem, którym zaledwie kilka miesięcy wcześniej zwracał się do mnie w swoim gabinecie. Postaraj się przypomnieć sobie, jak ci się to udało poprzednio, to ci pomoże przetrwać noc, spotkamy się jutro o wpół do ósmej, wszystkiego dobrego. Jego głos rozchodzi się po mieszkaniu, lecz nie jest skierowany do nas. Prowadzę Gilego do łóżka, z gorączkowym pośpiechem czytam mu, chcąc jak najprędzej wyjaśnić z Odedem pilne sprawy. Co ładnie, jeśli się obudzę i nie trafię do twojego pokoju? Już jest zaniepokojony, na jego jasnym czole zbierają się chmury, pokazuję mu znowu drogę, razem liczymy kroki. Jestem pewna, że się nie obudzisz, dodaję mu otuchy. Jeszcze nie jestem przyzwyczajony, zaprzecza. Wolno mi się obudzić, wolno mi do ciebie przyjść. Do ciebie, mówi, jakbym leżała sama w sypialni oddalonej od jego pokoju O dziewięć kroków.

Pewnie, że ci wolno, całuję go w czoło. Teraz wychodzę tylko na chwilę, zaraz przyjdę zobaczyć, czy zasnęł. Szybko idę do Odeda siedzącego w fotelu. Idź życzyć mu dobranoc, proszę, nie zauważając, że ma w ręku słuchawkę. Rozmawiam z kimś, odpowiada szeptem. Zaraz ci to wyślę faksem, zwraca się do słuchawki. Szybko wypełnia kilka formularzy. Powiedz mu dobranoc, namawiam go. Tak nagle wydaje mi się ważne, aby ich połączyć, przypieczętować ten dzień ojcowskim gestem, ale kiedy prowadzę go do pokoju Gilego, okazuje się, że mój syn już śpi, Z gardła dobywa się lekkie pochrapywanie, palce trzyma na podbródku, jakby był zagłębiany w rozmyślaniach. Popatrz, to dobry znak, szepczę. Bałam się, że godzinami nie będzie mógł zasnąć. To osiągnięcie najwyraźniej nie robi na nim wrażenia. Jak ten miły rytuał zmienił oblicze, ile razy staliśmy z Amnonem nad łóżkiem Gilego, przepelnieni poetycznym zachwytem, który wywołuje widok uspiętego ukochanego dziecka. Teraz, potwierdziwszy krótko jego sen, zostawia mnie i wychodzi. W salonie znowu rozlega się jego głos. Spróbuj zażywać ten lek jeszcze przez kilka dni, zazwyczaj skutki uboczne szybko mijają, zaczekajmy trochę, postarajmy się zyskać na czasie, rzeczywistość też ma swój wpływ, zadzwoń jutro znowu i zobaczmy, czy będzie poprawa.

Kiedy wracam za nim do salonu i siadam na swojej starej sofie, atakuje mnie przyćmiony ból kości, jakby fale chłodu rozchodziły się po całym ciele, Oded odkłada słuchawkę i siada naprzeciw, okopuje się na swojej czarnej kanapie, wciąż ma wilgotne spodnie, włosy, które już wyschły, są trochę rozczochrane, patrzy chłodnym wzrokiem. Pytam, szcękając zębami: Oded, dlaczego powiedziałeś Gilemu, że nie lubisz misiów? Bo nie lubię, odpowiada. Nigdy nie lubiłem. W czym problem? Problem w tym, że to go uraziło, to jakbyś powiedział, że nie lubisz jego.

Dlaczego, jest misiem? - pyta. Nie wymądrzaj się, mówię z irytacją. To jasne, że utożsamia się ze swoim misiem. Szukasz obrazy nawet pod ziemią, odpowiada. Z pewnością można powiedzieć dziecku, co się czuje, tak samo powiedziałbym swoim dzieciom. Nie mogę się z nim zgodzić. Oświadczam: To całkiem inna sytuacja. Wynagrodziłbyś im to inaczej, poprzez inne rzeczy, które lubisz, podczas gdy w wypadku Gilego to jedyne słowa, jakie wypowiedziałeś dziś wieczorem, to było bardzo niedelikatne. Patrzy na mnie z mroczną pretensją, zwielokrotnioną przez

ciężkie brwi. To zamierzasz robić co wieczór? - pyta. Wystawiać mi cenzurki?

Nie dajesz mi wyboru, mówię. Dla mnie to bardzo ważne, żeby Gili czuł się z tobą swobodnie, ale chyba wcale nie chcesz mu tego ułatwić. Obiecałeś, że tak się stanie, kiedy już razem zamieszkamy, i wcale tego nie widzę. Elu, daj mi trochę czasu, wzdycha. Nie wywieraj na mnie presji. Odkąd wszedłem do domu, nie minęły nawet dwie godziny, pamiętaj, że chodziłem po mieście z dziećmi w ulewnym deszczu, bo nie zgodziłaś się, żeby tu przyszły, trudno mi okazać wrażliwość, gdy ty byłaś tak niewrażliwa. Ach, to ty się na mnie mścisz! - warczę. O to chodzi? Broń Boże, to nie zemsta. Po prostu emocja wywołana okolicznościami. Patrzę w czarne okno nad jego głową. Kilka ulic stąd deszcz pada do pustego pokoju Gilego, metalowa żaluzja w sypialni stuka o mur na porywistym wietrze, nikogo tam nie ma, a jednak mam wrażenie, że wszyscy mokniemy.

Oded, dziecko nic tu nie zawiniło, przekonuję. Nie rozumiem tego. W stosunku do swoich pacjentów jesteś taki delikatny i cierpliwy, a wobec tego chłopca, którego życie stanęło na głowie, taki bezwzględny. Chciałbyś, żebym ja się tak zachowywała w stosunku do twoich dzieci? Nie sądzę, żebym popełnił jakiś błąd, więc te groźby nie robią na mnie wrażenia. Jeśli będziesz chodziła z nim po deszczu godzinami, zrozumiem z pewnością, jeśli nie będziesz wrażliwa. Przestań się tym zasłaniać, syczę. Wiesz, że to było jednorazowe. Obym ja mogła być pewna, że to, co ty zrobiłaś, też jest jednorazowe, mówię. Może, odpowiada. Ale to był twój błąd. Staję naprzeciw niego ogarnięta szaleńczym impulsem, natychmiast stąd odejść, wrócić do domu, ale w pokoju obok śpi dziecko, muszę z nim zostać. Wiesz, Oded, kiedy powiedziałeś Gilemu, że nie lubisz misiów, poczułam, że ja nie lubię ciebie. Patrzy na mnie z dołu. Tak? Przykro mi.

Mimo to, położywszy się wreszcie do łóżka, dotyka moich pleców. Bądź cierpliwa, mówi szeptem. Wskoczyliśmy nagle w to życie na główkę. To trochę potrwa, zanim się przyzwyczaimy. Nie odpowiadam, spodziewam się, że będzie mnie dalej ułagadzał, ale milknie, tylko jego ręce wędrują po moim ciele. Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, wzdrygam się pod jego dotykiem, skuta okowami świeżego, przytłaczającego gniewu, pukam do zamykającej się bramy, prosząc o litość dla mojego synka. Może uzależnię swoją reakcję od tego, czy uśmiechnie się do Gilego jutro rano, staram się przeprowadzić prosty, rzeczowy handel, żar miłosny za uśmiech, namiętność za ojcowską serdeczność, niczym handel wymienny w starożytności, rolnicy w dawnym Kanaanie zaopatrywali nomadów w wino i oliwę w zamian za produkty zwierzęce, mleko i mięso, może to teraz powinnam zrobić, postąpić jak bizneswoman, nie na darmo przez cały dzień chodziłam w garsonce, w butach na obcasie, ale okoliczności nie pozwalają nawet na ten prosty układ, nie można dzisiaj, szepczę, Gili na pewno wkrótce się obudzi, to jego pierwsza noc. Słyszę, jak próbuje się uśmiechnąć. Możemy zaimprovizować coś pod kołdrą, proponuje. Nie dziś, Oded. Pierwszy raz odmawiam.

Mam wrażenie, że Gili staje z wahaniem w progu, skacze po łóżku, mały, dzielny rycerzyk, który atakuje raz po raz warowny zamek, wyteżam wzrok, nie, nie ma tu nikogo, czujna i rozbudzona nasłuchuję oddechu Odeda, obcych szmerów, szumu lodówki, warkotu motocykla przejeżdżającego uliczką, ciężkich kroków na klatce schodowej, to wszystko nie przeszkadzało mi poprzednio, kiedy tu nocowałam, kiedy moje rzeczy czekały na mnie w domu, światło latarni błyskające przez wąskie szpary w żaluzji niczym szpilki, może mimo wszystko lepiej było zareagować przychylnie, ciepłym dotykiem załagodzić obcość, która skoczyła na nas jak spłoszony kot. Mamo, gdzie jesteś? Mam wrażenie, że gdy tylko udało mi się zapaść w urywany, rozkołysany, niczym pociąg jadący po rozchwianych torach sen, wskakuje na łóżko. Mamo,

jestes tutaj? Jak zwykle próbuje wepchnąć się do środka, między mnie a ojca, ale odstręcza mnie myśl o fizycznej bliskości, narzuconej dwóm obcym ciałom, przesuwam go na skraj łóżka, swoim ciałem odgradzam ich od siebie. Spij, najdroższy, jeszcze nie jest rano. Gili, już, niestety, całkiem rozbudzony, trąkocze czystym, wysokim głosem. Wspiąłem się na drzewo, opowiada, na drzewie było pełno dzieci, ale nikogo dorosłego, nagle zobaczyłem białego kotka z obrazka, który podarował mi Joaw, siedział bardzo wysoko i bałem się, że spadnie, to zły czy dobry sen? Porozmawiamy o tym rano - uciszam go - powinieneś spać, inaczej będziesz zmęczony. Ale on obejmuje mnie w napiętym, rozgorączkowanym pobudzeniu. Mam ci dużo rzeczy do opowiedzenia, jeszcze nie mówiłem ci, co było dzisiaj w szkole, i co robiłem wczoraj u taty, oferuję wyczerpujące odpowiedzi na wszystkie pytania, zadawane za dnia.

Opowiesz mi rano, mówię szeptem. To nie jest odpowiedni moment. Ale rano zapomnę, protestuje. Dzisiaj Jotam i Rotem byli na huśtawce, i kiedy ja też chciałem wejść, krzyknęli, że jestem debilem, to nieładnie, nie przyjaźnię się z nimi. Może jutro znowu będziesz się z nimi przyjaźnił, takie rzeczy szybko się zmieniają. Co to jest proces? - pyta. Zapomniałaś mi wytłumaczyć. Proces to coś, co długo trwa, co powstaje powoli. Posuń się trochę, nie mam miejsca, marudzi, a ja staram się przycisnąć do leżącego obok człowieka. Wydaje mi się, że druty wyznaczają granicę w szerokim łóżku, czuję je plecami, ostre i zimne. Patrz, przyniosłem misia, mówi, przyciskając mi do twarzy puszyste, trochę zakurzone zwierzątko. Lubisz go? Oczywiście. Myślałem, że wszyscy lubią misie, zauważa. Słyszę, jak Oded przewraca się na drugi bok, wzdychając niecierpliwie. Gili, musisz spać i my też, szepczę mu do ucha. Ale ja nie jestem przyzwyczajony spać w tym domu, protestuje.

Po prostu zamknij oczy i nic nie mów, a ja przytulę cię mocno, wtedy sen sam przyjdzie, obiecuję, obejmuję go ramionami, przykrywam ciałem, jakbym chciała zasłonić syna przed hulającym po domu wichrem, porywającym dzieci, które wyszły z łóżeczek. Przecież niezliczone razy wpychał się nocą między mnie a ojca, jakie naturalne to było, obudzić się i znaleźć między nami małego człowieczka, skarconego lecz wesołego, najmilsza przeszkoda na świecie, nawet nie wyobrażałaś sobie, Talio, jak skomplikowane będą najzwyczajniejsze chwile, bo gdy staram się odtworzyć wydarzenia jednego zaledwie dnia, czuję, że coś mnie dusi, leżę nieruchomo między mężczyzną a chłopcem, którzy są sobie obcy, na mnie spoczął ciężar spajania ich, w dzień i w nocy, złożoność tego zadania zalewa mnie głęboką, czarną żółcią, aż bezwiednie puszczam śpiące dziecko, które raptownie obraca się na brzuch i jak kłoda zsuwa się z łóżka. Podnosi głowę, natychmiast naturalnie kładzie ją na gołej podłodze i zasypia na powrót, jakby to było jego stałe miejsce. Wstaję z łóżka, które wyrzuciło mego syna niczym trupa na brzeg, pochylam się i usiłuję dźwignąć Gilego, chwytam go w pasie i ciągnę, jakby był nieprzytomny, jakby był rannym na polu bitwy, którego ja muszę uratować, zanim dostanie się do niewoli, ciągnę dziecko po gładkiej posadzce, dziewięć kroków do jego bezpiecznego pokoju, tam kładę je do łóżka, a sama układam się niżej, na podłodze, rozbudzona, pełna obaw o przyszłość.

W dużej sypialni Oded został sam, z twarzą odprężoną we śnie, z zamkniętymi powiekami, niedaleko stąd śpi dwójka jego dzieci, rozpacz matki płynie ku nim nocą przez ściany, na końcu osiedla leży na plecach Amnon Miller za podzwaniającą zasłoną z koralików, drżącą w powiewie wiatru, tylko nasz dom stoi pusty i cichy, żaden chłopczyk nie wybiegnie z niego rano radośnie, z tornistrem na ramieniu, z kartonikiem kakao w ręku. Leżę rozbudzona na chłodnej podłodze u wezłowania Gilego, a biedny miś jest zmuszony spędzić noc u boku

człowieka, który nie lubi misiów. Ze wszystkich zmian i przewrotów, których doświadczył nasz świat w ostatnich miesiącach, droga szkockiego misia do łóżka Odeda Scheffera wydaje mi się najbardziej zasmucająca i przerażająca, wydaje mi się, że to nad nim płaczę, gdy budzę się rano obolała, z piekącymi oczami, nad nim, nad sympatycznym, niewinnym misiem, którego życie odmieniło się nie do poznania.

Plecy mam wciąż zdrętwiałe i obolałe, kiedy siadam przy stoliku, odłamki wykrzywionych, mylących odbić, odwróconej codzienności, tak czasami siadywaliśmy w kawiarniach, my z Amnonem byliśmy wcześniej, Gabi dochodził do nas, Gabi był na miejscu, a my dołączaliśmy, oni byli tam, a ja przychodziłam, zbierając z lekkim naburmuszeniem okruchy ich rozmów. Nigdy naprawdę nie lubiliśmy spędzać czasu razem, ale to było nasze życie, do tego przywykliśmy, z takich i innych zwyczajów czerpaliśmy poczucie bezpieczeństwa, nie rozróżniając już przymusu od ochoty, odnoszę teraz wrażenie, że każde z nas jest gotowe automatycznie podjąć stałą rolę w układzie, lecz urzędowe dokumenty, leżące na stoliku, przypominają, po co się zebraliśmy. Skoro już sobie przypomnieliśmy, pozwalamy im dyktować przebieg spotkania, tylko dzięki nim zasługuję na wielkoduszne, niemal ojcowskie traktowanie, bo te papiery potrzebują mego wyraźnego podpisu, inicjałami oraz całym imieniem i nazwiskiem, tylko dzięki nim udaje mi się chwilowo utrzymać złośliwe poczucie wyższości, bo przecież nie podpiszę, wiem, że nie podpiszę.

Umowa jest przygotowana, oznajmia Amnon z zadowoleniem, jakby chodziło o wyjątkowo pomyślną nowinę.

Gabi pracował nad nią przez całą noc, podkreśla z uznaniem, klepiąc przyjaciela po ramieniu, dopiero wtedy zdaję sobie sprawę ze zdumieniem, że ich przyjaźń przetrwała. Kupującym bardzo zależy, jutro wracają do Francji i chcą dobić targu, inaczej ich stracimy, grozi mi palcem. Rynek nieruchomości jest teraz bardzo kiepski, Elu, dodaje Gabi. To wyjątkowy traf, że udało się znaleźć reflektantów, i to za taką cenę, dają doskonałą cenę, nie darujecie sobie, jeśli przepuścicie okazję. Jego gładki język tka złudzenie jedności, wspólnego interesu, jakbyśmy wciąż byli parą, którą czeka jedna przyszłość ekonomiczna. Gabi, ale ja w ogóle nie miałam zamiaru sprzedawać mieszkania, przerywam mu. Zamierzałam je wynająć, dopóki się nie wyjaśni, co będzie z moim życiem. To dla mnie teraz bardzo nieodpowiedni moment, tak samo jeśli chodzi o Gilego. Kiedy zwracam się do niego, ze zdziwieniem słyszę w swoim głosie sympatię, jakby tamta noc, kiedy widziałam go po raz ostatni, pozostawiła niewyraźną bliskość; gdy wspominam ją ze szczegółami, mając przed oczyma twarz Gabiego, ku memu przerażeniu wydaje mi się, że dziesięć razy bardziej wolę tamtą noc niż wczorajszą, w nowym domu, więcej czułości było w tych gorzkich zapasach, które zamieniły się w jeszcze bardziej gorzką miłość, było w nich więcej szczodroblewości.

Nie możemy brać pod uwagę tylko twoich argumentów, mówi ze złością Amnon. Mieszkanie, w którym teraz mieszkam, będzie na sprzedaż w wyjątkowo korzystnej cenie, chcę je kupić, żeby ktoś inny tego nie zrobił, żeby nie musiał znowu się przeprowadzać, także dla dobra Gilego, nie możesz hamować życia wszystkich, dopóki nie okaże się, co się dzieje z twoim. Zwracam się do niego z ożywieniem, nagle przychodzi mi do głowy cudowny pomysł. Amnon, po co w ogóle masz kupować tamto mieszkanie, możesz przecież zamieszkać

w naszym, tak będzie najlepiej dla wszystkich. Przez chwilę wydaje mi się, że w ten sposób rozwiążą się wszystkie problemy, Gili odzyska dom, nawet ja będę mogła zakraść się tam czasami pod jakimś pretekstem, wbijam w niego błagalne spojrzenie, zatopiona w pełnej otuchy wizji jego powrotu do domu, z którego został wygnany pół roku temu, pierwszy, obiecujący znak odwrócenia procesu, ale on energicznie kręci głową. W żadnym wypadku. Chcę iść naprzód, nie cofać się, to był dom naszej rodziny, nie stworzę tam nowej. Słyszę, jak z kolei odzywa się Gabi, świetnie się obaj uzupełniają: Rozumiem, że rozpoczynasz nowe życie. Po co ci ten niepotrzebny balast, wspólny majątek zawsze jest źródłem nieporozumień, nigdy nic nie wiadomo, może za pół roku zechcesz sprzedać mieszkanie, a wtedy Amnonowi nie będzie pasowało, po co macie być zależni od siebie nawzajem? Nadarza się akurat odpowiedni moment, żeby to przeciąć. Przecież nie zdołam im wytłumaczyć, nie chcieliby nawet słuchać, jak przerażająca wydaje mi się rezygnacja z osiemdziesięciu metrów kwadratowych plus balkon, z ciągłości, przynależności, szansy, bezpieczeństwa. Mam wrażenie, że ten krok przesądza o naszym rozstaniu. Potem nasza rodzina stanie się rozdziałem z coraz dalszej przeszłości, nieodwracalnie skończoną historią, całkiem martwą, na zawsze.

Kiedy podpiszesz umowę, będziesz mogła posunąć naprzód kwestię rozvodu, rzuca przynętę Gabi. Jeśli z kimś żyjesz, to na pewno warto to zrobić. Jednak nawet ta pokusa wydaje mi się teraz mało nęcąca, tylko nasze mieszkanie, tylko jego się chwytam, zwyczajne, wygodne mieszkanie, do którego przywieźliśmy nowo narodzonego Gilego z gołymi nóżkami, którego okna wychodzą na wewnętrzne podwórko, rosną tam drzewa granatów, właśnie w tej chwili zaczynają się pokrywać pąkami, wkrótce rozkwitną szkarłatne kwiaty niczym kielichy pełne wina, czerwonym blaskiem rozjaśnią podwórze, gdybym tylko mogła spłacić część Amnona i zostawić je sobie, gdybym mogła ich przekonać, aby poczekał, ale oni nie rezygnują, przekonują mnie uparcie, że to właściwa decyzja pod każdym względem, moralnym, strategicznym i taktycznym, decyzja, która zapewni wszystkim stabilizację ekonomiczną i emocjonalną, szczęście i zdrowie po rozwodzie. Patrę na przejrzyste ulice, dziś rano nie pada deszcz, tylko przy krawężnikach połyskują kałuże jak miniaturowe jeziora, wspomnienie po ulewnych strugach, które zmoczyły wczoraj dwoje dzieci. Niedaleko stąd Oded Scheffer siedzi w swoim gabinecie na tle szyfonowych fioletowych zasłon i łagodnym głosem rozmawia z pacjentami. Może ja też zgłoszę się do niego, poproszę go o radę, muszę to przemyśleć, dajcie mi kilka dni, proszę. Nie mogę teraz podjąć decyzji.

Nie mamy kilku dni, mówi Amnon, oni jutro wyjeżdżają, nie wszystko odbywa się zgodnie z twoim wewnętrznym rytmem. Gabi dodaje: Odmowa będzie cię drogo kosztować, musisz także to brać pod uwagę, ale Amnon ucisza go ze wzruszającą stanowczością. Posłuchaj, starałem się mieć wzgląd na twoje uczucia przez pół roku, nie stwarzałem ci problemów, nie mściłem się, chociaż wymusiłaś na mnie to rozstanie. Teraz twoja kolej. Dla mnie to niezwykle ważny krok. Przerzywa i wręcza mi pióro. Musisz tylko podpisać, ja załatwię całą resztę, jego twarz promienieje niemal namacalnym blaskiem, zwykła twarz, wolna od grzechu i występku, on nie jest winien, to nie on, chodził tylko między wykopami, przez przypadek znalazł się w sytuacji, którą spowodował ktoś inny, zapłacił cenę, jest, jaki jest, może nawet do mnie pasował, ale nie zdało mu się to na nic, ani mnie, a może nie pasował, ale to wszystko jedno, oderwał mnie od niego potężny impuls. Ujmuję srebrne pióro, które kupiłam mu na ostatnie urodziny i jak ktoś, w kogo wstąpił zły duch, wypełniam puste rubryki, które wskazuje palcem, Ela Miller, Ela Miller, Ela Miller.

W chwili gdy osiągnęli cel, stają się rzeczowi, zaaferowani, wymieniają przez telefon pośpieszne uwagi z prawnikiem kupujących, przeglądają jeszcze raz umowę, a ja, która zrobiłam swoje, mogę odejść, zostawiając drżący podpis, ruszyć w nową drogę, ale nie mogę oderwać się od umowy o wielu paragrafach, nie chcę rozstawać się z moim imieniem, które widnieje obok jego imienia, niczym na kontrakcie ślubnym, wielka waga tej chwili rozmnienia się na drobne, na banalne paragrafy, okazuje się, że rozstanie ma tyle twarzy, większość z nich ujawnia dopiero po upływie czasu, kiedy wydaje się, że największe trudności już za nami.

Gratulacje, postąpiliście słusznie, obwieszcza Gabi, wyolbrzymiając tę chwilę, a zarazem ośmieszając ją, nadając jej tak wiele różnych znaczeń, czyniąc ją pełną obietnic; mam wrażenie, że dokładnie w taki sam sposób siedem lat temu gratulował nam zakupu mieszkania, ile pociechy mogło przynieść to zdanie, gdyby padło w odpowiedniej chwili z odpowiednich ust, postąpiliście słusznie, co sprawia, że dane posunięcie jest słuszne, najszlachetniejsze ze wszystkich rzeczy, które uczyniono i które można było uczynić. Uśmiecham się niepewnie, a oni ku memu zdumieniu patrzą na mnie z sympatią, mam wrażenie, że mój smutek ich ożywia, wyciska z nich kroplę wielkoduszności, Amnon zamawia mi jeszcze jedną kawę, bez pianki, dając do zrozumienia, że pamięta o moich kapryсах i bierze je pod uwagę, cała filiżanka kawy w zamian za połowę mieszkania, co za oszałamiający interes. Patrząc na nich ze zdziwieniem, czy od tej chwili każdy mężczyzna będzie wydawał mi się bardziej czarujący od człowieka, z którym złączyłam nowe życie, jakbym przypięła rower do rdzewiejącej balustrady na klatce schodowej? Jacy delikatni stali się nagle po moim ustępstwie, promieniają łagodną szlachetnością bez cienia satysfakcji z cudzego nieszczęścia, chronią mnie niczym dwaj aniołowie, nie mogę się z nimi rozstać, ale gdy dopijam ostatnie krople kawy, wstają naraz, umowa znika w teczce Gabiego. Oby to było w dobrą godzinę, ponownie życzy szczęścia Gabi, z przesadnym naciskiem, jakbyśmy zawiadomili go o zaręczynach. Amnon pochyla się ku mnie i pyta: Wszystko w porządku? Kiwam głową. Jego osoba emanuje uczuciem rodzinnej bliskości, niczym więzy krwi. Patrząc, jak odchodzi, mam wrażenie, że widzę Gilego, który na jego ramionach przypomina ptaka przycupniętego na drzewie. Myślę o tym, co Amnon zabiera, dźwiga na ramionach wieżę sięgającą niebios, niemowlę, które niedawno nauczyło się siadać, malucha ze smoczkiem w buzi, małego chłopczyka, którego twarz wydłuża się z roku na rok, włosy ciemnieją, wszystko, do czego pasuje słowo „my”.

Kiedy stoję w progu kawiarni, obok ochroniarza sprawdzającego torby, mijają mnie na pół znajome postaci z osiedla, ich wzrok prześlizguje się nade mną, stoję niczym żałobnica u wejścia do pośpiesznie wzniesionego żałobnego namiotu. Niebawem ustawią się przede mną przechodnie w długiej, niemej kolejce, będą ścisnąć mi rękę z wyrazami otuchy i współczucia, trzeba żyć dalej, powiedzą, co było, minęło, nie ma sensu opłakiwać przeszłości, myśl naprzód, muszę tylko dołączyć do nich swój głos, aż staniemy się jednogłośnym chórem, kroczy naprzód jak jeden mąż pomimo smutku, rozczarowania, żalu, strachu przed odrzuceniem, nieszczęściem, błędem.

W całym wielkim mieście nie ma ani jednego domu, który byłby mój, jest tak ogromne, że na niektórych osiedlach nigdy jeszcze nie byłam, dziesiątki tysięcy ciasno stłoczonych kamiennych budynków, gęsto zaludnionych, ani jeden nie otworzy się przede mną, gdy wyjdę pewnego dnia z mieszkania przy ulicy Selichot, trzymając za rękę Gilego, który trzyma za łapkę misia ze Szkocji, gdy będę gotowa przyznać, że operacja się nie powiodła, przeszczep się nie przyjął. Dokąd pójdziemy, mam wrażenie, że lepiej znam starożytne zabytki niż nowe budowle, może do

Spalonego Domu w dzielnicy żydowskiej, który został zniszczony w dniu piątym miesiąca elul, w roku siedemdziesiątym naszej ery, jak inne domy górnego miasta w Jerozolimie, a może do pieczar grobowych, wydrążonych w skale w dolinie Cedronu, które opasywały niegdyś miasto, lub do doliny Ben Hinnom, wejścia do Gehinnom, czy do kananejskich kanałów, szybów i tuneli, wykopanych w tajemnicy pod murami, aby oszukać wrogów usiłujących odciąć dopływ wody.

Oto ciężar rezygnacji, jej złośliwość, rozpacz, głębia, oto ostateczne rozstanie z moim domem, moim życiem, rano szłam tu z przekonaniem, że się nie zgodzę, a teraz otwieram z wahaniem drzwi, rozglądam się ukradkiem, jakbym przekraczała granicę, która już nie jest moja, ustąpiłam im, niebawem dadzą mi do podpisu przerażające, białe papiery, najeżone paragrafami, także i te podpiszę wyczerpana, niemal obojętnie, a potem okaże się, że zrezygnowałam również z jedyne go syna.

Jak trudno przywyknąć do rezygnacji, staję oszołomiona wobec banalnych, życiowych faktów, niby kot, który po raz pierwszy w życiu widzi śnieg; przeprowadzając się do innego mieszkania, zarazem rezygnuje się z poprzedniego, żyjąc z innym mężczyzną, rezygnuje się z poprzedniego, to prawa rzeczywistego świata, okrutnie proste, jak prawa przyrody. Chodzę po ciemnym mieszkaniu, żaluje są spuszczone, elektryczność wyłączona, oglądam je uważnie, jakby przysłał mnie Urząd Starożytności na pilną dokumentację, muszę złożyć szczegółowy raport, opisać wydarzenia, które doprowadziły do opuszczenia tego miejsca, czy była to susza, głód, obcy najeźdźcy, czy siły przyrody. Niewyraźny zapach spalenizny unosi się z gołych ścian, jakby w kącie żarzyła się opona, posyłając mętne jęzory dymu, czy mam szukać śladów pożaru, zwęglonych belek i popiołu, zwałów cegieł i kamieni, powtarzam w duchu po ciemku proste prawdy, chwytam się ich niczym poręczy nad przepaścią, pamiętaj, w domach, które zostały opuszczone, znajdziemy inną zawartość niż w domach zniszczonych, przedmioty uwięzione w ruinach odzwierciedlają krótki okres w życiu budynku, najpierw należy dowiedzieć się ze znalezisk jak najwięcej o wcześniejszej egzystencji mieszkańców, sprzed czasu, gdy ich siedziba została opuszczona bądź zniszczona.

Pamiętaj, życie codzienne nie jest całkiem statyczne, lecz zmiany są niezwykle powolne, trochę przypominają rozwój biologiczny w świecie ożywionym, niekiedy da się zaobserwować nagłą, wieloznaczną zmianę w krótkim odcinku czasu, będącą wynikiem rewolucji technologicznej, wynalezienia nowego narzędzia, opracowania nowego materiału, większość zmian nastąpiła w wyniku poszukiwania rozwiązań problemów z dziedziny walki i obrony. Pamiętaj, wykopaliska na ogół nie wyjaśniają wszystkiego, nowe dane przynoszą odpowiedzi na dawne pytania, ale zarazem stawiają nowe, pamiętaj, nie wolno mieszać ze sobą znalezisk i informacji, należących do jednej całości, z informacjami i przedmiotami, należącymi do całości sąsiedniej, bo otrzymamy mieszaną danych, których nie da się wyjaśnić.

Pamiętaj, wyjaśnienie ludzkich działań nie różni się w istocie od wyjaśniania zjawisk przyrodniczych, pamiętaj, archeolog nigdy nie odnajdzie wszystkich fragmentów układanki, musi uzupełnić puste miejsca danymi historycznymi, zgodnie z kontekstem i logiką, źródła historyczne także wprowadzają w błąd, bezwiednie lub celowo, archeolog w każdej chwili jest w posiadaniu pewnej prawdy, lecz istnieje ona do chwili odkrycia dodatkowych informacji, które ją zmieniają i rozwijają.

Gdzie stała sofa, wyteżam wzrok w mrocznym wnętrzu, gdzie wisiała podobizna Fryzjki, chyba już zapomniałam, mam wrażenie, że dom był pusty zawsze, czując silny zawrót głowy, opieram się o ścianę, jak wykonam zadanie, dane znikły za szybko, zanim zostały

udokumentowane, pozostałości usunięto na zawsze, nie przesiano ziemi, wykopaliska bez dokumentacji tak jakby się nie odbyły, wydaje mi się, że pozostaje jedynie zasypać wykop, pamiętać, nie wolno zostawiać miejsca wykopalisk rozgrzebanego, należy je zasypać, aby umożliwić przyszłym pokoleniom kontynuację w miejscu, gdzie zakończyły się poprzednie poszukiwania, pamiętaj, wykop archeologiczny jest niczym otwarta rana, jeśli nie zostanie należycie przykryty, zniszczy swoje otoczenie.

W sypialni pozostał ogromny materac, kładę się na nim, nagi, odkryty materac, upstrzony sekretnymi, jasnymi plamkami spermy, plamami krwi w ciepłych kolorach ziemi, szerokimi, złocistymi plamami moczu, wspomnienie po nocnych wizytach dziecka, nieznanie kontynenty, których zapach wywiewał, niema mapa krótkich dziejów naszej rodziny. Przez metalową żaluzję, która raz po raz podnosi się i opada, po raz ostatni oglądam widok za oknem, widzę ciemną, prawie szkarłatną chmurę, jak zachód słońca na początku dnia, pochwyconą w rzednące gałęzie martwego drzewa, trawia ją powoli, ostatkiem sił, z oddali machają do mnie na pożegnanie czubki cyprysów, niby ciemnozielone pochodnie na apelu ku czci poległych, mogę naliczyć dziesięć pochodni, jak dziesięć naszych wspólnych lat, łapy palmy daktylowej gestykują obok z nagłą irytacją, jak ktoś, kto stara się przekonać rozmówcę do swoich argumentów, lecz na próżno, na próżno.

Przez otwarte okno napływa wilgotne powietrze, chyba znowu zaczyna padać, wychodzę szybko na balkon, żeby zdjąć pranie, które rozwiesiłam wczoraj wieczorem, ale sznurki są puste, tak samo jak pokoje, nagie, łyse, jakby wpadli tu złodzieje, zostawili tylko porzucony materac, z którego widać uschnięte drzewo, wracam i padam na niego z jękiem kości i sprężyn, mam wrażenie, że skrzypią drzwi wejściowe, czy przyszli dawno zaproszeni goście, stają w progu zdumieni pustką, na czym ich posadzę, skoro nie ma już mebli, czym ich ugoszczę, skoro szafki są całkiem puste, o czym będę z nimi rozmawiać, gdy całkiem zaschło mi w gardle.

Na materacu pojawiają się świeże plamy, wybuchające wyspy łez, nikt mnie już tutaj nie odwiedzi, nie zjawi się z butelką wina lub świeżym ciastem, nawet nie sam gospodarz, trzymający ostrożnie jednorazowe kubki z kawą, gdy już odprowadził naszego syna do szkoły, lecz kiedy podnoszę wzrok, widzę go, odrobinę przygarbionego, otoczonego cieniem, jakby niósł na plecach czarną chmurę, ma ściągniętą twarz, spuszczone oczy, Amnon Miller, spotkaliśmy się zaledwie godzinę temu, jak bardzo się od tamtej pory zmieniłeś, Amnonie, przyszedłem po kilka rzeczy, mówi, jakby przeproszał, że przeszkadza, ale wiem, że przyszedł się pożegnać, jak ja, chodzi teraz po pokojach, echo odbija jego kroki, tak niewiele po nas zostaje. Co z nas zostało, Amnon, ze wspólnego organizmu, który podzielił się na części, czy w jakimś miejscu, na poddaszu lub w głębi ziemi, kryje się coś z naszej rodziny, gdzie przetrwa pamięć, Gili jest za mały, żeby pamiętać, choć będzie pragnął tego przez całe życie, tylko my dwoje, ja i ty, przez długi czas będziemy mogli zaświadczyć, jaka była nasza rodzina, zwierzę o trzech głowach i trzech sercach, uśmiercone w środku życia.

Kiedy materac wydaje znajome stęknienie, wiem, że znalazł się obok mnie, jak kiedyś co noc, rok po roku; tak już nigdy nie będzie, nigdy nie będziemy leżeć pod tym sufitem, po którym bębni nerwowo deszcz, nigdy nie wyciągnę bezwiednie ręki, aby natknąć się na jego twarz, nigdy nie poczuję jego palców we włosach, nigdy nie znajdziemy się wśród tych ścian, a przecież nie dla mnie, nie dla niego ani nie dla naszego syna przyszliśmy tu dzisiaj, lecz dla nich, by po raz ostatni oddać cześć grobowi. Mogliśmy żyć tutaj po kres swoich dni, i nie żyliśmy, mogliśmy powołać na świat jeszcze jedno dziecko, i nie powołaliśmy, mogliśmy pozostać razem do starości, i nie

pozostaliśmy, teraz, zanim staniemy się zbiegami w innych rodzinach, leżymy na poplamionym materacu niczym w głębokim dole, do którego zostaliśmy strąceni po kolei, nie z pożądania, nie z litości, nie ze złości, nie z lęku, lecz z desperackiego pośpiechu, pakowania się w popłochu, niczym w przeddzień wyjścia z Egiptu, z przepasanymi lędźwiami, obuci, z kosturami w rękach; wydaje się, że zostawiliśmy tu, na materacu, niemą kwintesencję wspólnej egzystencji. Większa część z naszego ja już nie znajduje się tutaj, spogląda z odrazą na pustą sypialnię, zostanie po nas jasna plamka, której nigdy nie zauważy żaden mężczyzna, nie odcyfruje żadna kobieta, jej będzie szukał nasz jedyny syn niemal wbrew swej woli, ją spróbuje odtworzyć w wieku dorastania nie dla swego pożytku, z niej teraz wynurzamy się, wyciągamy ręce niczym suche gałązki martwego drzewa, nie ocalimy się nawzajem, nasze kości połamały się od wysiłków, ale na jedną chwilę, krótką niczym skrzypnięcie upadającego pnia, wywołujące złudzenie życia, pozwalamy naszym ciałom dołączyć głos do niskiego, cichego lamentu, lamentu nad epoką rodziny.

Odchodzę pierwsza, przyszedłam samotnie i sama wyjdę, odwracając się od twego nagłego snu, sama przyszedłam i sama odejdę, nikt się nie dowie, będziesz leżał ciężki i cichy, a ja wstanę w milczeniu i popatrzę na znajome ciało, z bezwładnie rozrzuconymi członkami na materacu, wykradnę się, jakbym cię zamordowała we śnie i skradła coś, co miałeś najcenniejszego. Oto dopełniło się nasze rozstanie, w chwili gdy zrozumiałam, że nie dopełni się nigdy, że do końca życia w moich uszach będzie wibrował ten lament, z różnym natężeniem, wynurzając się spośród szpar w żaluzjach, parując z asfaltu, padając z chmur jak deszcz, ukryty pod skrzydłami ptaków, lecący niby liście z drzew, błyskający wśród źdźbeł trawy, rozpięty wzdłuż drutów wysokiego napięcia i tykający między wskazówkami zegara, wypadający z kieszeni przechodniów, wydaje się, że twoja dzisiejsza bezduszna rezygnacja kształtuje na nowo dni, które nadejdą, i te, które minęły, dopełnia moją, jakby z bardzo dawnego nawyku; obie te rezygnacje, uwiecznione w jednej umowie, kreślą przede mną jedną drogę. Czy byliśmy nią naznaczeni od samego początku, czy już wtedy, kiedy powiedziałeś, znam cię z Tery, twoja podobizna widnieje na ścianie minojskiego pałacu, czy leżała między nami ta rezygnacja, jak nienarodzone dziecko, czy już wtedy mogliśmy wiedzieć, że za dziesięć lat odrzucimy się nawzajem, każde ze swej strony, porzucimy siebie na zawsze?

Powoli wlokę się ulicami, niczym przedmiot wyrwany z oryginalnego kontekstu, który w jednej chwili stał się całkiem bezwartościowy, bo przecież tylko kontekst, odniesienie do innych danych, nadaje znaczenie znalezisku. Na wyświetlaczu telefonu komórkowego rozpoznaję numer Odeda, ale nie odbieram, przegradza nas góra rozczarowania, która spiętrzyła się szybko, niczym pryzma ziemi obok wykopu archeologicznego, nie lubię misiów, nie lubię misiów ani, najwyraźniej, cudzych dzieci. Świeże oburzenie kroczy ze mną po schodach, wchodzi do mieszkania, czy kiedyś to będzie mój dom, znajome sprzęty odrobinę mnie pocieszają swą solidną obecnością, lekkie płócienne fotele, dywan, który przywieźliśmy z Synaju, kubek po porannej kawie, wchodzę do sypialni, żaluzje są opuszczone jak w pokoju, z którego ktoś pośpiesznie wyszedł, kołdra na łóżku ma zarys ludzkich kształtów, może skrywa się pod nią para kochanków, ale znajduję tam jasnego, miękkiego misia, siadam przy nim, jakby był moim dzieckiem. Oczy zamykają mi się same, kiedyś stał tutaj z tacą w rękach, dwa kubki kawy i ciasto, powiedział, mam dla ciebie propozycję, jak ciepłe i sprężyste było szczęście, prawie swawolne, niczym małe kotki w łóżku, pewnego ranka obudziłam się do tego szczęścia, może czekają mnie kolejne niespodzianki, ukryte w pościeli. Kiedy będziemy znowu sami, we dwoje, noce ubrane zastąpią noce miłości, kiedy gest rodził gest, słowo rodziło słowo, kiedy w niego wierzyłam, pragnę jedynie uwierzyć

w niego na powrót, wydaje mi się, że jeśli znajdziemy się znowu sami, to wszystko powróci, niemożliwe, żeby wszystko znikło naraz, jakby nigdy nie istniało, przytulam misia i kołyszę go, pewnie chcę ukoić jego płacz, zbyt wcześnie, aby rezygnować, po co, pewnego ranka moje szczęście było całkowite, myślę z dojmującą tęsknotą o zbliżającym się weekendzie, jakby chodziło o cenne wspomnienie, poproszę Amnona, żeby wziął Gilego, i znowu będziemy sami, stopimy lodowce nowo powstałej złości, przecież miłość była najpierw, na ulicach nie ma wiele miłości, powiedział mi ktoś kiedyś, a u nas jest.

Kiedy otrząsam się pośpiesznie, żeby zdążyć do szkoły, słyszę harmider na klatce schodowej, głosowi Jotama wtóruje drugi dziecięcy głos, pewnie zaprosił kolegę z klasy, żeby Gili poczuł się odepchnięty, ale kiedy wpadają do mieszkania i patrzę wrogo na zagrażającego mojemu dziecku chłopca, rozpoznaję w nim Gilego, radosnego i podnieconego. Oded mnie zabrał! - wykrzykuje. Bo mieszkamy w tym samym domu, dodaje rozsądnie. Całuję jego zarumienione policzki, a nawet przesuwam ręką po włosach Jotama, jego pozycja szybko się zmienia, w zależności od tego, jaki stosunek ma do niego Gili. Teraz, kiedy jego obecność cieszy mojego syna, cieszy także i mnie, uśmiecham się do nich obu, chodźcie jeść, jest sznycel i kluseczki, ale Gili woła: Potem, mamo, Jotam jeszcze nie widział nowego zamku, idziemy się bawić do mojego pokoju. I odlatują niczym skrzydlate stwory z baśni, a ja podnoszę wzrok na drzwi, w chwili gdy wchodzi przez nie Oded, dźwigając dwa tornistry i dwie kurtki, na twarzy ma jawną dumę, jakby pragnął mnie zadowolić, kiedy go tak widzę, z tornistrem Gilego na lewym ramieniu, z jego kurtką w rękach, wydaje mi się, że w jednej chwili ucisza się głośnie, nerwowe, ponure bębnienie i powstaje przestrzeń przypominająca upragnioną codzienność, nawet jeśli nie potrwa ona dni ani nawet godzin, sama świadomość, że jest możliwa, dodaje otuchy.

Dzwoniłem do ciebie, mówi Oded. Chciałem cię zawiadomić, że odbiorę ich obu. Byłam zajęta, wyjaśniam. Dziękuję, że go przywiozłeś. Nie ma za co, odpowiada z przesadną uprzejmością i nie pyta, gdzie byłam, w Amnonie podobna informacja natychmiast wzbudziłaby gorączkowy niepokój, byłam zajęta, ale Oded spokojnie robi sobie kawę, czy to brak zainteresowania, czy szacunek dla prywatności, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, co w gruncie rzeczy wolę, czy zazdrość Amnona mnie przytłaczała, czy uspokajała, nawet jeśli nie wolno porównywać, będę porównywała zawsze, chyba nawet gdybym powiedziała: przespałam się ze swoim mężem, sprzedałam mieszkanie, będzie dalej nalewać gorącą wodę, doda mleko i cukier, umyje skrupulatnie łyżeczkę. Chcesz kawy? - pyta. Kręcę głową. Sprzedałam mieszkanie. Odsuwa kubek od ust. Naprawdę? Dlaczego? Bo Amnon na mnie naciskał, mówię. Potrzebne mu są pieniądze. Dlaczego nie powiedziałaś, że zamierzasz to zrobić? Wzruszam ramionami, owijam się płaszczem żalu nad sobą, zmieszanego z bohaterską dumą, dumą dziewczynki, która ukrywa smutek, żeby nie martwić rodziców.

Elu, proszę cię, nie odsuwaj mnie, mówi. Zamieszkaliśmy razem, żeby się do siebie zbliżyć, a nie oddalić. Przepelniona wdzięcznością siadam naprzeciw niego przy kuchennym stole, wszystkie pragnienia odżywają, podskakując jak szalone, jesteś ze mną, ty jesteś ze mną, wciąż ze mną jesteś. To ostateczne? - pyta. Podpisaliście umowę? Tak, dzisiaj rano. Cmoka z niezadowoleniem. Szkoda, że się mnie nie poradziłaś, w takich sprawach nie można postępować pochopnie. Patrzę na niego zdziwiona. W jakich sprawach można postępować pochopnie? Przy wyprowadzce z domu? Zamieszkując razem? Natychmiast interpretuję jego słowa jako odepchnięcie. Postąpiłaś pochopnie i zostałaś z pustymi rękami, nie spodziewaj się, że stworzysz nowy dom ze mną, trzeba było trzymać się swojego, nie mogę zaproponować ci nic w zamian, między nami nic

jeszcze nie jest pewne. Gardło zaciska mi się z obrazy, gdy wyjąkuję: Uspokój się, to cię do niczego nie zobowiązuje.

Co się z tobą dzieje? Patrzy urażony. Żle mnie zrozumiałaś. Żle? - ciągnę wzburzona. Po prostu chcesz zrzucić z siebie odpowiedzialność, wiesz, że gdybym się tu nie przeprowadziła, nie przysłoby mi do głowy odebrać mi mieszkanie, wszystko to stało się, bo naciskałaś, że bym tu zamieszkała, a teraz mi mówisz, że nie można postępować pochopnie? Wyrazy, o których istnieniu nie miałam pojęcia, wylatują mi z ust, agresywne niczym żołnierze z naładowanymi karabinami w rękach. Odstawia z hałasem kubek. Co się dzieje, ciągle źle odczytujesz moje słowa, wydaje ci się, że wszystko, co robię, jest skierowane przeciwko tobie, nie mogę znieść tego przewrażliwienia. To może faktycznie uważaj na to, co robisz, mówię. A zwłaszcza czego nie robisz.

Chciałem tylko ci pomóc, mówi z urazą i wstaje pośpiesznie. Dokąd idziesz? - pytam. Odebrać Maję z zajęć. Zostają zmartwiała, skamieniała za stołem, dopijam reszkę jego letniej kawy, znowu poniosłam klęskę, czy w ogóle można zinterpretować starożytne artefakty, odtworzyć odległą rzeczywistość, przecież naturę i zamiary tych, którzy żyli przed nami, interpretujemy poprzez nasze wnętrza, a może byli całkowicie od nas różni. Głowa opada mi ciężko na stół, mam wrażenie, że ostatnio każdy dzień dzieli się na dziesiątki króciutkich dni, z których każdy dzieli się na rano, południe i wieczór, pełen jeden jest gniewu i urazy, drugi nadziei i tęsknoty, nie przedziela ich noc dla wytchnienia. Atakują mnie na przemian, wyczerpując skrajnymi wahaniem nastroju, może się mylę co do ciebie, oto zaczyna się kolejny dzień, postaram się uwierzyć w ciebie na nowo, bo nasze dzieci bawią się z taką przyjemnością, bo poprzednie życie się skończyło, bo kochałam cię jeszcze dwa dni temu, bo moje naczynia znalazły się w twojej kuchni, moje ubrania w twojej szafie.

Kiedy niebawem wraca z córką, witam ich serdecznie. Cześć, Maju, jak się masz, jaki śliczny sweter. Dziękuję, mówi. Tata mi kupił. Ale tu się zmieniło! Rozgląda się czujnie, w napięciu. Przywiozłaś mnóstwo rzeczy, konstataje poważnie, jakbym zaburzyła równowagę. Tak, przywiozłam wszystkie nasze rzeczy, odpowiadam. Wcześniej było ładniej, oświadcza. Teraz jest za ciasno. Przyzwyczajasz się, Majuś, szybko mówi Oded, rzucając mi z ukosa nerwowe spojrzenie, kiedy Maja chodzi między meblami, przygląda im się z niezadowoleniem, przeciąga po nich szczupłym palcem, jakby chciała sprawdzić, czy są prawdziwe, a na koniec siada z głośnym westchnieniem na czarnej kanapie. Tato, jestem głodna. Oded natychmiast biegnie do kuchni jak na rozkaz, otwiera lodówkę. Mamy sznycle z kluskami, informuje, jakby sam postarał się je przyrządzić. Ze ściśniętym sercem patrzę, jak drobna, jasna dziewczynka, niezwykle podobna do matki, pochłania z apetytem obiad, który przygotowałam dziś rano dla Gilego. Okazuje się, że muszę się nauczyć przyrządzania zupełnie innych ilości jedzenia.

Masz wspaniały apetyt, Majeczko, chwali ją ojciec, a ona uśmiecha się do niego niewinnie, podczas gdy ja wiem, że nic nie jest niewinne, to część konspiracji przeciwko mnie, bo w chwili kiedy przetyka ostatni kawałek mięsa, do kuchni wpada Gili. Mamo, jestem głodny, mówiłaś, że są sznycle! Właśnie się skończyły, mówię. Zrobię ci coś innego, to chwilę potrwa, następnym razem przyjdź, kiedy cię wołam. Natychmiast zaczyna wrzeszczeć, nie chcę nic innego, chcę sznycel. Zwracam się do Odeda oskarżycielsko: Może pójdziesz do sklepu, skończyło się jedzenie, które przygotowałam. Zerka na zegarek. Muszę wracać do kliniki, przyniosę ci później. Zostawia mnie samą z trójką dzieci niczym niedoświadczoną

baby-sitterkę, która przyszła tylko z krótką wizytą, a pan domu umyka, wykorzystując jej obecność.

Mimo to, kiedy go nie ma, jesteśmy swobodniejsi, nawet dziewczynka niemal próbuje się zaprzyjaźnić, podchodzi, kiedy rozpakowuję ostatnie pudła, i pokazuje mi własnoręcznie wykonaną bransoletkę z paciorków na przegubie jasnej, delikatnej ręki. Mam wrażenie, że gdy go nie ma, gdy nie budzi w nas obu przytłaczających fal pragnienia, potrafię czuć do niej sympatię, choćby tylko z litości, biedna, także jej świat wywrócił się zniecka, kiedy podchodzi co jakiś czas zapytać, jak pisze się jakieś słowo, chętnie jej pomagam. Może chcesz odrabiać lekcje tu, koło mnie, proponuję. Robię jej miejsce przy stole i siadam obok, chwaleb jej ładne pismo, schludne zeszyty. Dołączają Gili i Jotam z rękami pełnymi zabawek, które wysypują się na dywan. Robię im kakao, nasypuję ciasteczek do miski, od czasu do czasu patrzę z wyczekiwaniem na drzwi. Przyjdź wreszcie i zobacz, jaką jestem wzorową opiekunką, popatrz, jaka idealna rodzina powstaje tu bez ciebie, może podwoisz mi pensję, może wybaczysz mi mój pochopny błąd, może okażesz zainteresowanie moim dzieckiem, ale diabelskim zrzędzeniem losu, kiedy wraca, a ja podchodzę do niego i głaszczę go po policzku, Maja otwiera zeszyt do angielskiego i odkrywa grube, jaskrawe bohomy.

Kto mi pomazał zeszyt? - wrzeszczy oskarżycielsko. To on! Ja nie! - krzyczy Gili. To nie ja! To ta debilka Jaśmin! Myślisz, że jestem małym dzieckiem? Spieszę z obroną. To nie jego wina, Maju. Była tu siostra jego kolegi i przez jedną chwilę, kiedy jej nie dopilnowałam, nabroila w twoim pokoju. Nie przejmuj się, jutro kupię ci nowy zeszyt. Ale Mai to nie pociesza. Jeśli to siostra jego kolegi, to przez niego, burczy. Gdybyście tu nie zamieszkali, to by się nie stało. Próbuję zacytować Talię: To się zdarza we wszystkich rodzinach, zawsze dzieci bazgrzą po zeszytach starszego rodzeństwa. Patrzy na mnie, jakbym zwariowała. Ale my nie jesteśmy rodziną, karci mnie. Wydaje ci się, że jesteśmy rodziną?

Mam wrażenie, że wszyscy milkną, słysząc ten prawdziwy, choć zdumiewająco autorytarny werdykt, niepozostawiający żadnej wątpliwości ani szansy, jakim cudem nie przyszło mi do głowy poprawić Talię, wytknąć jej błąd, nie jesteśmy rodziną, lecz w takim razie czym jesteśmy?

Oded stoi bezradny przed córką, po raz pierwszy zauważam podobieństwo między nimi, choć Maja jest o wiele jaśniejsza, ma łagodniejsze rysy. Są rozmaite rodzaje rodzin, Majeczko, stara się ułagodzić ją lub mnie. Teraz, kiedy mieszkamy razem, jesteśmy jak rodzina. Po co w ogóle mieszkamy razem, rzuca Maja wściekle. Było nam lepiej bez nich. O dziwo, przerywa jej na ogół zrównoważony brat, który teraz wybucha: Ja też chcę mieć telewizor w pokoju! Jotam wiesz się u ręki ojca. To nie fair, że tylko Gili będzie miał. Dość, wzdycha Oded, uspokójcie się oboje, co się z wami dzieje? Wychodzę na kilka godzin i już jest awantura. Patrzy na mnie z naganą, jakbym niewłaściwie spełniała swoje obowiązki, podczas gdy to jego obecność zakłóciła spokój.

Mamo, obiecałaś, obiecałaś mi telewizor do pokoju! Gili chowa głowę w moich ramionach. To ja też chcę! - krzyczy Maja. Dlaczego tylko on ma mieć? A ja też chcę mieć zamek z rycerzami, dołącza Jotam. Dlaczego on dostał prezent do nowego pokoju, a my nie? Gili już gorzko szlocha. Ja mu pozwoliłem bawić się moim zamkiem, a on nie daje mi się bawić swoimi zabawkami. Patrzę na trzy pary szeroko rozdziawionych ust, języki, gardła i wargi, mleczone i mięsne zęby, słowa wylatują z nich gęste i pełne zawodu, jak nieudana potrawa, wymiotowana do wspólnej miski, nad którą stoimy bezradnie. Zerkam na Odeda w nadziei na

pełne zrozumienia spojrzenie, słowo poparcia, ale nie zwraca na mnie uwagi, zaciska wargi. Słyszę nagle, jak mówię: Chodź, Gili, idziemy stąd.

Dokąd pójdziemy? - lamentuje, nie mając najwyraźniej ochoty opuszczać hałaśliwego chóru, ciągnę go niemal siłą, zapominam o kurtce, oślepiąca rozczarowaniem i urazą, uciekamy szybko w ciemność, zaułek rozpościera się przed nami wąski i kruchy, co mu teraz powiem, dokąd go zabiorę? Pozwoliłem mu się bawić wszystkimi moimi zabawkami, szłocha Gili. Ale kiedy chciałem się pobawić jego, nie dał mi. Trzymam go za rękę, zapachy domowej kolacji rozchodzą się między mieszkaniami, z okna do okna. Chodźmy coś zjeść, proponuję. Przecież nie jadłeś obiadu, chcesz pizzę? Weźmiemy do domu? - pyta. Nie, zjemy w pizzerii, odpowiadam. Fajniej jeść w domu, mówi. Nie odważam się zapytać, jaki dom ma na myśli, czy miejsce, z którego przed chwilą umknęliśmy, odepchnięci i niechciani.

Popatrz, jak tu ciepło i przyjemnie, zagaduję, siadając z westchnieniem na wysokim barowym stołku, pomagam mu się wspinać na stołek obok, ginie na nim, mały krasnoludek na wielkich szcudłach, okazuje się, że najprostsze słowa, zamówienie pizzy z oliwkami, są niemożliwe do wyartykułowania, z oczu nagle niepohamowane tryskają mi łzy, zakrywam swój wstyd papierowymi serwetkami, wskazuję słabo na trójkąt, o który mi chodzi. Gili patrzy na mnie przestraszony. Nie płacz, prosi. Zrezygnuję z telewizora, to co, że obiecałaś, nie muszę mieć telewizora w pokoju. Obejmuję go, lecz moja frustracja pogłębia się w obliczu tego dojrzałego, pełnego empatii ustępstwa. Kochanie, nie dlatego płaczę.

To dlaczego? - pyta. Bo jest mi ciężko, przyznaję po raz pierwszy. Gili milczy, przyglądając się pizzy, którą mu podano. Mamo, chcę zjeść w domu ze wszystkimi, mówi w końcu z powagą, jakby była to przemyślana odpowiedź na moje wyznanie. Kupmy dużą pizzę i zanieśmy im. Patrzę na niego zdziwiona poczuciem wspólnoty, które powstało z dnia na dzień, o wiele szybciej niż u mnie. Może mimo wszystko zjemy tutaj, na pewno jesteś głodny, namawiam, ale upiera się, z przyjemnością demonstruje swoją wyjątkową pamięć. Maja lubi z kukurydzą, Jotam z grzybami, a Oded zwyczajną, ja lubię z oliwkami, a ty z pomidorami. W ten sposób znowu konstruujemy najbardziej różnorodny wybór, wielka rodzinna pizza, która zadowoli wszystkich. Gili upiera się przy niesieniu ogromnego pudła, w dumnym milczeniu kroczy chwiejnie obok mnie, zdecydowany pomyślnie wykonać zadanie, którego się podjął. Jego zdumiewająco dojrzałe zachowanie boli mnie, zaczynam rozumieć, jak bardzo musi nie ufać w moje siły, gdy z własnej woli chce poświęcić swoje pragnienie. Jak niewielką ufność pokłada we mnie uparty posłaniec, roztaczający woń roztopionego sera, z trudem widzi drogę, ale śpieszy się, jakby niósł dobrą nowinę, biegnie po wilgotnych ulicach, chwiejnie wspina po schodach, czy to lęk przed byciem samemu w moim towarzystwie gna go do nich, czy woli nawet pełen kłótni dom ode mnie?

Trzy pary oczu patrzą na nas z pełną napięcia ulgą, wszyscy stoją wciąż pośrodku salonu, w tym samym miejscu, w którym ich zostawiliśmy. Pizza! Jotam podskakuje. Kupiliście mi z grzybami? Gili kładzie ogromne pudło na stole, spokojnie rozdaje wszystkim właściwe kawałki, dopiero potem zabiera się do swojego. Wyczerpani siadamy na kanapach, jemy w napięciu. Najwyraźniej Gili i Jotam zawsze godzą się pierwsi, zasiadają na dywanie, jakby nigdy w życiu się nie sprzeciali, wolnymi rękami prowadzą samochodziki, śmieją się z pełnymi ustami, potem Maja proponuje wszystkim coś do picia, ostrożnie nalewa colę do wysokich szklanek, niedawno wyjętych z kartonu. Tylko my dwoje, choć to przez nas znalazła się tutaj trójka dzieci, siedzimy skamieniali na swoich miejscach, nie zamieniamy spojrzenia ani słowa, dzieli nas obcość, która

zrodziła się wczoraj, niczym hańbiąca plama, jakbyśmy byli oskarżeni o oszustwo, sprowadzenie na złą drogę trojga nieletnich, przyglądamy się im zawstydzeni i bezradni, rozważając, kto jest winien i jaka kara go czeka.

Ten węzowy tydzień wije się zygzakiem, kásając mnie w stopy, każdy mijający dzień dodaje kolejny krąg do jego zimnego, wstrętnego grzbietu, wydłuża się coraz bardziej, staje się coraz mocniejszy, zaciska się wokół mojej szyi, na końcu paszczy ma jad, czy uda mi się go wymazać ze wszystkich tygodni i lat, mam wrażenie, że siedem lat upłynęło, od kiedy tragarze przenieśli tu moje sprzęty, sofę i dwa fotele, dziecięce łóżko, dywany i biurka, pudła z książkami i zabawkami, ubrania i naczynia, ponad połowę zawartości domu, która zniknęła w nowym mieszkaniu, nie budząc we mnie poczucia zadomowienia, lecz przytłaczającego, upokarzającego zbiorowego wygnania - mojego i moich rzeczy. Mam wrażenie, że ból nasila się z dnia na dzień, jakbym niemal niezauważenie otrzymała cios, jest coraz intensywniejszy zamiast zelźć, odnawia się jak organizm atakujący sam siebie, czekam w napięciu na koniec tygodnia, może wtedy wszystko się zmieni, pod nieobecność dzieci postaramy się uleczyć resztki miłości, odnowić bliskość, która się od nas odwróciła, bo w nocy śpię na dywanie pod łóżkiem Gilego, w krótkich godzinach dziennych, gdy dzieci są w szkole, Oded jest w pracy, a kiedy po jego powrocie chcę się do niego odezwać, mam wrażenie, że rąbiemy słowa kilofem w rozdzielającej nas bryle lodu. Skok na głęboką wodę, powiedziałaś, lecz nie wskoczyliśmy do wody, tylko do zamrożonego jeziora, roztrącając krę, oślepieni, staramy się wyjąkać, szczękając zębami, najzwyczajniejsze wyrazy, słowa miłości i nadziei, które ćwiczyliśmy przez całe życie, ale z gardeł dobywa się tylko stłumione, gniewne warczenie zwierzęcia, które broni swoich młodych przed wrogiem, czy te usta jeszcze kiedyś wypowiedzą serdeczne słowa, czy będą zdolne do pocałunków, do naturalnego uśmiechu?

Czekam tylko na weekend, na koniec tego pierwszego, przekłętego tygodnia, zostać z nim sama, zmyć z twarzy jaskrawe barwy wojenne i przywrócić bliskość, której wspomnienie budzi we mnie ukłucia tęsknoty, czy naprawdę istniała, czy ją sobie wymyśliłam? W piątkowe popołudnie wyglądam co chwila przez okno, w nadziei, że zobaczę go, jak śpieszy do domu z kwiatami albo butelką wina, ale widzę, że idzie zaułkiem z dwojgiem dzieci, jakby osierociła je matka, na ramieniu niesie tornistry, ręce trzyma na ramionach Jotama i Mai, otwieram na oścież okno, ostre, suche powietrze uderza mnie w policzki, niezadowolona śledzę ich ruchy. Zachowują się naturalnie, jakby to od zawsze był ich dom, są wszystkie dzieci, wracające ze szkoły w piątkowe popołudnie, Maja kroczy na przedzie, szybka i energiczna, miodowe włosy opadają jej na ramiona, rozmarzony Jotam wlecze się z tyłu, pośrodku idzie ich ojciec, przytyka do ucha telefon komórkowy, który właśnie w tej chwili dzwoni, a ja, jako że liczyłam na weekend bez dzieci i dlatego wysłałam Gilego do ojca, wykrzywiam się, widząc tę niespodziankę.

Myślałam, że będziemy sami, mówię szeptem, kiedy wchodzą. Coś nadaje memu głosowi ton nagany. Przykro mi, cedzi. To nie zależy ode mnie. Staram się odczytać wyraz jego twarzy. Czy naprawdę jest ci przykro, może to by mi wystarczyło, wspólne rozczarowanie z powodu utraconej okazji, ale czemu mam wrażenie, że wcale nie jest ci przykro, że posługujesz się dziećmi, aby mnie odepchnąć? Dlaczego to nigdy nie zależy od ciebie? - skarżę się zła. Mogłeś powiedzieć Michał, że masz inne plany, że wyjeżdżasz za miasto albo coś w tym rodzaju, ale on spuszcza wzrok, jasne, że nie może jej odmówić, poczucie winy zatyka mu usta

niczym kaganiec, wciąż słyszę, jak uspokaja ją przez telefon, pozwala jej ustalać plan opieki nad dziećmi, dopasowywać go do wahań nastroju. Nie widziałam Michał od wielu tygodni, od tamtego pikniku w parku kruków, jej obraz wykrzywił się w moich oczach nie do poznania, stała się pożądaną, roszczeniową istotą, rywalizującą ze mną o jego uwagę, wysyłającą dzieci, żeby pokrzyżować mi plany, wynajdującą bez przerwy choroby i dolegliwości, ona i jej dzieci, starożytna bogini węży o niezliczonych członkach, o których trzeba wciąż pamiętać, nieszczęśliwa, destrukcyjna postać, im bardziej nieszczęśliwa, tym bardziej destrukcyjna.

Istotnie, myślimy o wyjeździe za miasto, zauważa obojętnie. Chcesz się przyłączyć? Jakby oni byli rodziną, a ja przypadkowym gościem, niemającym wpływu na przebieg wydarzeń. Znowu grymas zdziwienia krzywi mi usta. Dokąd chcecie jechać? Do przyjaciół w Galilei, Orny i Daniego, opowiadałem ci o nich. To dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? - pytam z urazą. Nie posyłałabym Gilego do ojca. Orna dopiero teraz zadzwoniła z zaproszeniem, kiedy byłem na dole, macha telefonem, jakby chciał mi to udowodnić. Gdybyśmy byli sami, nie chciałoby mi się, dodaje, ale dla dzieci to fajne. Co mi teraz chcesz powiedzieć, czy jak ja żałujesz, że nie jesteśmy sami, czy jak ja tęsknisz za naszą bliskością, świętoszkowata maska ojcostwa zakrywa jego twarz, chyba zawsze będę interpretować to demonstracyjne oddanie dzieciom jako wymierzone przeciwko mnie, tylko dlatego, że to nie moje dzieci, nigdy przecież nie będę ganić oddania Amnona dla Gilego, zwłaszcza jeśli będzie to kosztem nowej kobiety. Moje nastawienie zmienia się co chwila, zależnie od okoliczności. Czy jestem z Gilim sama, czy kiedy wszystkie dzieci są w domu, czy kiedy tylko jego dzieci są w domu, w jednej chwili jestem pieszym, przechodzącym przez ulicę, w następnej kierowcą przejeżdżającym przez przejście dla pieszych, w ciągu sekundy staję się inną osobą, o innej roli, której chęć zmienia się wraz z sytuacją i która nigdy nie jest usatysfakcjonowana.

Moja torba jest gotowa, tato, oświadcza Maja, rozsiadając się dumnie na ich kanapie. Świetnie, Majeczko, słyszę jego głos z sypialni - dopilnuj, żeby Jotam wszystko zabrał. Nie chce mi się, wzdycha kapryśnie. Jestem zmęczona. Wyciąga szczupłe ciało w poprzek kanapy, uwolnione ze spinek włosy rozsypują się z wdziękiem, jak włosy jej matki, podążam za jego głosem, staję w progu. Już jedziecie? Tak, nie jedziesz z nami? Chcesz, żebym pojechała? - pytam. Tylko jeśli masz na to ochotę, odpowiada ostrożnie. Nie będę cię zmuszał. Oded, wyrażaj się jasno, mówię. Chcesz, żebym pojechała, czy nie? Prostuje się z westchnieniem nad szufladą ze skarpetkami. Zależy, kim jest ta „ja”, w której imieniu mówisz. Jeśli przez cały czas będziesz spięta, sfrustrowana i obrażona, to nie ma sensu, jeśli pojedziesz chętnie i będziesz się starała czerpać przyjemność z takiego spędzania czasu, którego co prawda, nie planowałeś, ale który możesz zaakceptować, to oczywiście chęć.

Ładnie z twojej strony, że przerzucasz to na mnie, mówię złośliwie. Odbijam piłeczkę: Jeśli będziesz wrogo mnie traktował, ignorował mnie i zwracał się tylko do swoich dzieci, jak jakaś matka-kwoka, zostanę tutaj, ale jeśli potrafisz słuchać także mnie i rozmawiać ze mną jak kiedyś, chętnie pojedę. Przygląda mi się zmrużonymi oczami. Mam wrażenie, że przez cały tydzień ani razu nie spojrzał mi prosto w oczy. W odpowiedniej chwili porozmawiamy o tym wszystkim, Elu, ja widzę to inaczej, teraz tylko chcę, żebyś podjęła decyzję, chcę wyruszyć, zanim zaczną się korki. Przykro mi jechać bez Gilego, mówię. Może pojedziemy w przyszłą sobotę, kiedy będzie z nami. Oded przerywa mi niecierpliwie: Zaprosili nas na dzisiaj i pojedziemy dzisiaj, wybierzesz się czy nie? Nie wiem, mamrocę, trzęsący się głos zdradza mój smutek, co się ze mną dzieje, tyle ogromnych, rewolucyjnych decyzji podjęłam ostatnio, a ta

drobna decyzja wydaje mi się prawie niemożliwa do podjęcia, przerażająco pełna znaczenia.

Zostanę, mówię w końcu, kiedy Oded szpera w lodówce, zabierając prowiant na drogę, wszystko, co podekscytowana kupowałam na nasz weekend, wino i sery, świeży żytni chleb, jabłka i banany, ciasto cytrynowe. Zaciska szczęki. Jak chcesz, mówi z twarzą bez wyrazu. Wyciągnąłem już wnioski, dodaje. Nie będę więcej na ciebie naciskał w żadnej sprawie, żebyś mnie nie obwiniała. W pośpiechu pakuje produkty do reklamówek, z których niedawno zostały wyjęte, opróżnia lodówkę, jakby przygotowywał się do długiej podróży pustymi drogami. Wkłada kurtkę i popędza dzieci: Sprawdźcie, czy niczego nie zapomnieliście. Stają obok niego, machają mi szyderczo na pożegnanie, jakby były już bardzo daleko, ale kiedy wychodzą, skacząc lekko po stopniach, z plecakami na ramionach, pociąga mnie kusząca wizja rodziny w ruchu, przesuających się za oknem krajobrazów, wspólnych planów, gromadzących się wrażeń. Co tu będziesz robić sama przez całe dwa dni, nie po to przeprowadziłaś się do niego, spróbuj się zintegrować, bądź bardziej elastyczna, pokaż mu, że jesteś z nim mimo trudności, spróbuj poznać jego przyjaciół, pomóc mu z dziećmi, może to właśnie jest szansa na zbliżenie się do nich, w obecności Gilego twoje przewrażliwienie przeszkadza ci je zobaczyć takimi, jakimi są, w niczym nie zawiniły, może on też nie, co mógł w gruncie rzeczy zrobić, martwi się o swoje dzieci, jak ty o syna. Poczekajcie, wołam za nimi. Ja też jadę.

Skurcz niechęci przebiega po uniesionej twarzy Mai, ale nie mówi ani słowa, ujmuje tylko mocniej rękę ojca, który zwraca się do mnie: - Proszę, pośpiesz się. Nie chcę utknąć w korkach. Tylko Jotam pyta zdumiony: To Gili też jedzie? Nie dociera do niego jeszcze moja osobna obecność w życiu ich rodziny. Jestem mu wdzięczna za tę lojalność w stosunku do mojego syna. Nie, niestety, nie, jest u swojego taty, podkreślam z przyganą, jakbym mówiła: „Pamiętajcie, dzieci, weekendy powinno dzielić się między dwoje rodziców, wy także powinniście być teraz u mamy”.

Muszę być łagodna i spokojna, powtarzam sobie, pakując się w pośpiechu, inaczej go stracę, jak obojętnie na mnie popatrzył, oczywiście, naturalna, cierpliwa w stosunku do dzieci, a zarazem kobieca, pełna ukrytej namiętności, wdzięku i radości życia, muszę udowodnić mu, że się nie pomylił. Najwyraźniej odstraszyłam go, jak zawsze zareagowałam zbyt gwałtownie, może nie jest winien wszystkich tych grzechów, które mu przypisywałam, także Amnona obwiniałam pochopnie, aż w końcu się rozstaliśmy, jakże jestem chętna wziąć na siebie całą winę, uwierzyć, że znów zależy ode mnie, jeśli tylko się uspokoję i stanę się bardziej odprężona, znów będzie jak przedtem, wraz z nielicznymi ubraniami pakuję pozytywne postanowienia, przez chwilę wszystko wydaje się proste, najważniejsze, że będziemy razem, dzieci będą zajmować się sobą na tylnym siedzeniu, a ja będę siedzieć koło niego, z dłonią na jego kolanie, będziemy rozmawiać przyciszonym, intymnym głosem, postronny obserwator, patrzący na to z okna mijającego nas samochodu, pomyśli naiwnie, że jesteśmy rodziną, przecież tak wygląda rodzina, mama, tata i dwoje dzieci, nikomu nie przyjdzie do głowy, że mój syn został w domu, że to nie moje dzieci, że nie pragnę ich towarzystwa, a one nie pragną mojego, może nawet mnie samą zmyli ten atrakcyjny obrazek, sama w niego uwierzę, a za mną wszyscy inni, i kiedy dojedziemy do domu jego przyjaciół, będziemy prawdziwą rodziną, niepodawaną w wątpliwość w każdej chwili, zależnie od zmiennych okoliczności.

Tato, obiecałeś, że ja usiądę z przodu, rzuca Maja ponuro, kiedy otwieram przednie drzwi. Bo nie wiedziałem, że Ela pojedzie z nami, odpowiada łagodnie Oded. To jej miejsce. Obrażam się oczywiście natychmiast z powodu jego słabości i ze sztuczną lekkością

proponuję: Nie ma problemu, usiądę z tyłu. W tym wypadku lepiej być stroną pokrzywdzoną niż krzywdzącą. Lepiej niech będzie tak, niż miałabym siedzieć obok niego i czuć, jak dziewczynka wbija wzrok w moje plecy. Na pewno? - dopytuje się Oded ze znużeniem. Nie trudzę się odpowiedzią i siadam na tylnym siedzeniu koło Jotama. Może zamienicie się po drodze, proponuje, a ja milczę ponuro, pozwalam, aby to ona odrzuciła jego pomysł. Ale obiecałeś, tato, obiecałeś, że będę siedzieć tu całą drogę. Maja udaje, że płacze. Otulam się milczeniem niczym płaszczem szlachetnej nagany, choć twarz płonie mi ze złości, postanowienia, które zabrałam na wyjazd, ulatują przez okno, gwałtownie łopocząc skrzydłami niczym ptaki spłoszone wybuchem. Zobacz, powiem, kiedy w końcu uda mi się z nim porozmawiać sam na sam. Oto ilustracja nienormalnej sytuacji, którą stwarzasz, dziesięcioletnia dziewczynka siedzi z przodu, a trzydziestosześcioletnia kobieta z tyłu. Popatrz, jaką zniekształconą informację dajesz córce, zachęcasz ją do rywalizacji, zamiast stawiać jej granice, które by ją pohamowały i pozwoliły uniknąć takich starć w przyszłości.

Znasz w ogóle Ornę i Daniego? Dziewczynka obraca do mnie swą porcelanową twarzyczkę ze zwycięskim uśmiechem, przywłaszczając sobie chciwie także i naszych gospodarzy. Jeszcze nie, przyznaję, niedługo ich poznam. Byłam tam już mnóstwo razy, oznajmia Maja, demonstrując z przyjemnością swoją wyższość. Ja też, reaguje czym prędzej Jotam. Ale ja więcej niż ty, usadza go natychmiast Maja. Jeździłam tam z mamą i tatą, zanim się urodziłeś. To prawda? Prawda, przytakuje ulegle Oded. Ale to nieistotne, nie ma się o co licytować, Orna i Dani oboje was bardzo lubią. I mamę też, dodaje Maja. To prawda, mamę też, potwierdza jej ojciec. To czemu mama nie jedzie z nami? - grymasi dziewczynka. Zawsze z nami jeździła do Orny i Daniego. Jestem pewien, że mama tam jeszcze nieraz z wami pojedzie, mówi Oded. Ale beze mnie. Ludzie, którzy się rozstali, nie wyjeżdżają razem na weekendy, wyjaśnia. Zaciskam wargi, nieprzyjazny wiatr wieje w samochodzie, czemu dałam się skusić, żeby z nimi jechać, dzieci mnie nie chcą, dlatego, mimo moich wysiłków, będę mu stwarzać problemy, okazuje się, że także gospodarze pewnie mnie nie chcą, skoro tak bardzo lubią Michała. Próbuję przypomnieć sobie, co mi o nich opowiadał, kiedyś skarżył się, że wszyscy wspólni znajomi potępiali go za to, że odszedł z domu, rzucił wtedy kilka imion, wydawało się to wówczas niewiele znaczące, ot, kropla smutku w morzu miłości. Po co w ogóle proponował, żebym się przyłączyła, może tylko z uprzejmości, w nadziei, że odmówię, a ja jak głupia się zgodziłam, będę zawadzać wszystkim, tylko Jotamowi odrobinę się przydadę, oczy mu się zamykają, chwieje się w moją stronę jak zmęczony żołnierz w autobusie, którego głowa opada nagle na ramię obcego, przypadkowego człowieka, czy jest coś realnego w bliskości przez sen? Przez chwilę jestem skłonna czerpać pociechę z tej skromnej roli, ale dziecięca głowa, spoczywająca na moim ramieniu, podkreśla nagle brak mojego syna, ciężar zdrady wyjazdu bez niego, nie wolno mi nic dawać obcym dzieciom, to ramię jest przeznaczone tylko dla ukochanej głowy. Wielokrotnie siedzieliśmy tak razem z tyłu, przytuleni, kiedy Amnon prowadził, obejmowałam Gilego, patrząc z nieskończonym zachwytem na delikatną twarz, wąski nosek, niemal niewidoczny cień piegów rozspanych po policzkach, wyjątkowy blask oczu, wykrój wrażliwych warg, fale gęstych brązowych włosów, uzależniająca, kojąca bliskość jego ciała. Zeszuję wściekle na szeroko rozdziawione usta, z których ślina kapie na moją marynarkę, mięsiste, spierzchnięte wargi z fragmentami złuszczonej skóry, nagle mam uczucie, że zdrętwiało mi ramię, i wiercę się niespokojnie w miejscu.

Na przednim siedzeniu dziewczynka trąkocze bez ustanku, jakby bała się, że gdy zamilknie na sekundę, przestanie istnieć. Każde zdanie zaczyna od „tato”, a czasami także kończy. Tato, prawda, że Orna i Dani lubią, jak przyjeżdżamy? Tato, prawda, że będziemy się bawić z królikami, jak poprzednim razem? Tato, pamiętasz, jak Dani kiedyś zabrał nas na wycieczkę dżipem i mama cały czas się bała, że się przewrócimy, ile miałam wtedy lat, tato? Oded odpowiada łagodnie, niezmiennie ciepłym i cierpliwym tonem, bez cienia irytacji. Czyżby naprawdę czerpał przyjemność z tej paplaniny, czemu nie uciszy Mai na chwilę i nie odezwie się do mnie, mrowienie w ramieniu jest coraz silniejsze, jakbym dotykała zwierzęcia, na które mam alergię, laskocze mnie coś w nozdrza i zaczynam kichać, ocieram nos bez przerwy. Oded patrzy na mnie w lusterku. Wszystko w porządku? - pyta. I dodaje, jakby czytał w moich myślach: Jeśli ci niewygodnie, odsuń trochę Jotama. Nie, wszystko w całkowitym porządku, odpowiadam dzielnie. To jedyne słowa, które zamieniamy w trakcie długiej podróży, pełne trzy godziny, z każdą chwilą coraz bardziej żałuję decyzji, niemal fizycznie odczuwalny żal siedzi koło mnie, kładzie mi głowę na drugim ramieniu, po co w ogóle pojechałam, patrzę na jaskrawe neony reklamowe, rozbłyskujące za nami, czyhają niczym sidła na znudzonych podróżnych, których najwyraźniej zbawić może tylko kubeczek jogurtu, nowy telefon komórkowy, rewolucyjny proszek do prania.

Chylące się nad horyzontem słońce oświetla smętnym, skąpym światłem puste, krzykliwe obietnice tych dni w naszym kraju, jakby nieudolnie pragnąc odwrócić uwagę od tego, że stracił zmysły; przemykają pośpiesznie zbudowane osiedla, skupione blisko siebie niby wystraszone zwierzęta. Co jakiś czas wznoszą się w górę łuki miast starożytnego Izraela, strome wzgórza o świątyniach wierzchołkach, osady budowane wciąż od nowa na ruinach, upadające i powstające na nowo, mam wrażenie, że znajome pagórki machają do mnie zakrzywionymi ze starości palcami, jak dawny przyjaciel, którego twarz z trudem rozpoznajemy, a może to moja twarz zmieniła się nie do poznania. Przed chwilą z daleka rozpoznałam Tel Gezer, niebawem ukaże się świątynia stożek Megiddo, obok pagórka urasta wysypisko śmieci niczym drugi garb wielbłąda, w końcu dojedziemy także do Hacor, biblijne miasta Salomona rozpały wyobraźnię uczonych i przyniosły zapierające dech w piersiach znaleziska, pałace z gładzonego kamienia i piękne, stylowe bramy, przemyślnie systemy zaopatrywania w wodę, w końcu jednak te wzgórza dowiodły, że nie istniało zjednoczone królestwo z ośrodkiem w Jerozolimie, o ogromnych budowlach, z budzącą podziw stolicą, że legendarne królestwo Dawida i Salomona było jedynie malutkim państwem w górach; wydaje mi się, że moja osobista przeszłość dotyka przeszłości tych wzgórz, rozkopywane wciąż na nowo, ukazywały rozmaite oblicza, mieszały znaleziska z wysiłkami, prawdę z pragnieniem, świadectwa z przekonaniem, patrzę tęsknie na wypukły brzuch ziemi, w którym kryją się tysiącletnie plody, niechące się narodzić. Oto i Megiddo, porośnięte palmami, figowcami i drzewami karob, pokonaliśmy prawie dwieście stopni w dół po wijących się schodach, podziemnym tunelem, wyrąbanym w żywej skale, do pieczary z boku pagórka, zerkając z lekką obawą na pomieszczenie nad cysterną, znaleziono tam dwa szkielety, leżące obok siebie. Ze skały spadała co jakiś czas pojedyncza kropla wody, wydając urywany plusk, jak uderzenie serca. Poza nami nie było tam nikogo i Amnon powiedział: Gdyby teraz nastąpiło trzęsienie ziemi i wyjście zostało zablokowane, znaleźliby tu też nasze szkielety i pewnie pomyśleliby, że to ojciec i córka.

Niedaleko wznosi się Tel Jezre'el, zniszczony, nagi kopiec, który przyniósł zawód, którego znaleziska wzbudziły kontrowersję, okazało się, że nie można przypisywać pałaców z

głodzonego kamienia Salomonowi, lecz niesławnym królom z dynastii Omriego, oni właśnie zrealizowali marzenie władców gór i stworzyli rozległe państwo, to wspomnienie budzi we mnie głębokie, pocieszające poczucie zadomowienia, którego nie doświadczyłam od wieków, przywołuje zapomnianą egzystencję, jaka szczęśliwa tam byłam, w tym księżycowym pejzażu, schowana w głębi wykopu, nade mną wisiała ocieniająca siatka, ciemniejsza od błota, przesiewam ziemię, bez końca przesiewam ziemię.

Kiedy droga zbliża się do pól, gdzie pojawiają się słabe oznaki roślinności końca zimy, światło powoli dogasa, zamykam oczy, udaję, że śpię, i dopiero wtedy Maja w końcu milknie, jakby jej paplanie było przez cały czas skierowane przeciwko mnie; w ciszy, która zapada w przegrzanym wnętrzu, z głośników płyną tony samotnej wiolonczeli, przypominające głos człowieka, przerażająco ludzkie, w powtarzającym się układzie, niby natrętna myśl, koncentrująca samobójczą siłę. Ile twarzy ma smutek, każdy dźwięk wyraża inne jego oblicze, siedzę na tylnym siedzeniu, samotna dziewczynka, jedynaczka, wbrew woli słucham objaśnień ojca, którym towarzyszy zamaszysta gestykulacja, to droga górską, to droga królewska, a to droga ciała, czy naprawdę tak powiedział, droga ciała, samochód zawsze był rozgrzany do białości, okna otwarte, w twarze dmuchał nam wszędobylski ciepły wiatr. Czy naprawdę tylko latem jeździliśmy na wycieczki śladami proroków, królów, krzyżowców, pielgrzymów, bitew, w których wylewano krew słów, nierealną i prawie w ogóle niesmutną krew, krew anonimowych społeczności, tak czy owak martwych, nawet gdyby ci ludzie nie padli od miecza, nie żyliby dziś wśród nas. Zerkałam na jego nienaganną fryzurę, której nie wicherzył nawet wiatr, kiedy wreszcie zamilknie, usiłuję wyobrazić go sobie bez włosów, twarz bez ust, czy zamilkłby, gdybym wyskoczyła z jadącego samochodu, czy będzie mówił dalej, niczego nie zauważywszy, czy będzie zadręczał także mojego trupa. Chrześcijanie nazywają to wzgórze Armagedon, to zniekształcone słowa Har Megiddo, podnosi głos, zatrzymuje się przy poboczu z piskiem hamulców, według Nowego Testamentu w tym miejscu rozegra się ostateczna bitwa między synami światła a synami ciemności, odwraca się, żeby sprawdzić, czy słucham, ty śpisz, gromi mnie, ja do ciebie mówię, a ty śpisz, matka pośpiesznie bierze mnie w obronę, czego ty od niej chcesz, jest zmęczona, co z tym złego, że się trochę zdrzemnęła. Jest zmęczona, bo znowu za późno wróciła, narzeka ojciec jak zawsze, kto wie, co tam wyprawiała, na imprezy ma siłę, ale kiedy chcę ją nauczyć trochę o historii tego kraju, to jej nie interesuje. Warto, żebyś posłuchała, nalega, to dotyczy cię bardziej, niż przypuszczasz.

Ciemność maluje nasze twarze chłodnym fioletem, kiedy samochód parkuje przed niskim, wiejskim domem na końcu uliczki, głowa Jotama wreszcie podnosi się z mojego ramienia, niedobrze mi, mamrocze, oblizując spierzchnięte wargi, kiedy dojedziemy? Już dojechaliśmy, głupku, odpowiada Maja szyderczo, nie widzisz? Jotam chwyta mnie za łokieć. Mamo, powiedz jej. Dopiero wtedy zauważa, że nie jestem jego matką. Nie zwracaj na nią uwagi, mówię szeptem, jesteś trochę dezorientowany, bo spałeś. Jestem już gotowa zawiązać z nim przymierze przeciwko jego siostrze, ale gdy tylko Maja przyciąga go bliżej, on przeskakuje niewdzięcznie na jej stronę, zapomina, że moje ramię służyło mu za poduszkę, idę za nimi po wąskich drewnianych schodkach, prowadzących do domu, Oded kroczy na czele z torbami w rękach, Maja podskakuje za nim, dalej Jotam, ja zamykam tyły, mój status jest niejasny, nie partnerka i nie matka, nie opiekunka dzieci ani przyjaciółka rodziny, najwyraźniej także ich ojciec całkiem o mnie zapomniał, ani razu się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy tam jestem, nie zatrzymał się nawet na moment, żeby na mnie zaczekać, korci mnie, żeby wysunąć się po

cichu z szeregu, pozwolić im zniknąć w oświetlonym wnętrzu, wśród okrzyków radości gospodarzy, zarzucić torbę na ramię i pójść przed siebie, w każdym domu, do którego zapukam, powitają mnie chętniej. Może spędzę noc w Teł Jezre'el, wśród ruin królewskiej siedziby, przykrytych ziemią, stoję i czekam, aż drzwi zamkną się za nimi, ale pozostają otwarte, wygląda z nich siwiejąca kobieca głowa. Elu, mówi, jakbyśmy się znały. Dlaczego stoisz na dworze, wejdz, to nie to, że czekaliśmy na Michał, wiemy o wszystkim.

Gdybyś naprawdę wiedziała o wszystkim, wiedziałabyś też, że nie mam tu czego szukać, mówię cicho, zaskakując także siebie, zwłaszcza siebie, bo ona uśmiecha się swobodnie. Aż tak? Dobrze, niebawem wszystko się wyjaśni. Przyglądam się jej. Twarz o ostrych rysach, okulary w grubych oprawkach, które niczym szalki wagi chwieją się na wąskim nosie, wyblakłe wargi. Jest wysoka i swobodna, ma krótkie, szpakowate włosy, porozciągane ubranie, wzdłuż nogawki spodni biegnie plama po odbarwieniu wybielaczem, na stanowym podbródku widnieje kropka w kolorze musztardy. - Wejdz, skoro aż tu zajechałaś, wpuszczasz zimno, gani mnie nagle niecierpliwie. Wchodzę za nią do jasnego wnętrza, ogrzewanego ogromnym piecem pośrodku salonu, rury wystają z niego na wszystkie strony, dzieci już skaczą jak szalone po kolorowym siedzisku przed włączonym telewizorem, na sofie siedzi wysoka, poważna dziewczyna, w ręku trzyma gitarę, niechętnie odpowiada na uprzejme zagadywanie Odeda, który znalazł już butelkę piwa i siada, podnosząc ją do ust.

Jesteście głodni? - pyta kobieta. Dani pojechał do Nazaretu po humus i pity, niedługo będziemy jedli. Szybko zdejmuje sterty gazet z wielkiego stołu z marmurowym blatem. Nie wiem, po co czytam o tych koszmarach, narzeka. Do każdej gazety powinno się dodawać pigułkę antydepresyjną. Jak w ogóle można to wytrzymać? Powiedz, masz więcej pacjentów z powodu tej sytuacji? Normalny człowiek zwariowałby od tego, co się wyprawia. Akurat na odwrót, odpowiada Oded. Ta sytuacja jest korzystna dla chorych, nagle wszyscy są przygnębieni, wszyscy się boją, chorzy nie są już wyjątkowi, prawie z radością dołączają do powszechnego strachu.

Ciekawe, nie pomyślałam o tym, mówi ona. A co u ciebie? Nie masz dość opiekowania się wszystkimi? Wcale nie, uśmiecha się. Jestem od tego uzależniony, to coś fantastycznego, przez większość dnia można uwolnić się od siebie, bez narkotyków, bez leków, co jakiś czas nawet udaje się zrobić coś pożytecznego, dopiero gdy wychodzę z kliniki, nagle przypominam sobie, kim jestem, niestety. Kiedy widzę jego powściągliwy, niespieszny uśmiech, uprzytamnam sobie, od jak dawna nie gościł na jego twarzy, znowu ta przejmująca tęsknota za jego poprzednią osobowością, za naszym krótkim szczęściem.

A co u ciebie? - pyta czym prędzej kobiety. Dużo malujesz? Orna zapala papierosa poplamionymi palcami. Kiedy mam czas. Znasz to? Wskazuje na duży szarawy obraz, wiszący na wprost nas. Oded wyteża wzrok. Puste półki, wyjaśnia cierpliwie, ostatnio staram się oddać pustkę, puste szafy, puste naczynia, to o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażałam. Oded staje przed obrazem. Wspaniały, mówi szczerze. Bardzo przytłaczający, wiesz. Niedawno czytałem gdzieś, że według kabały właśnie w pustej przestrzeni może znajdować się boska obecność. Kiedy patrzę, jak rozmawia z nią z ożywieniem, przeciągając końcówki, jakby nie mógł rozstać się ze słowami, serce mi się ściska, przysięgam szeptem, za jego plecami, jeszcze będziesz tak mówił do mnie, jeszcze będziesz się tak do mnie uśmiechał.

Gdzie jest ten gamoń, przerywa Orna abstrakcyjną pogawędkę. Ile czasu można kupować pity, pewnie włóczy się po kościołach i zapomniał o waszym przyjeździe. Mówię ci, moje życie

mażeńskie to długotrwała farsa, nie masz pojęcia, jak ja mam go dosyć, co ja w ogóle z nim robię. Słyszę to od dwudziestu lat, śmieje się Oded. Nigdy się nie rozstaniecie, czemu myślisz, że lepiej ci będzie bez niego? Mam wrażenie, że mówi o swoim krótkim, smutnym doświadczeniu ze mną, po którym jeszcze nie ma żadnego śladu.

Nie udawaj naiwnego, wygraża mu Orna poplamionym palcem. Przecież właśnie to zrobiłeś, i ty też, prawda? - zwraca się do mnie z ciekawością. Ty też jesteś po rozstaniu, tak? Przytakuje posępnie, starając się przyzwyczaić do nowej tożsamości, prawie nie spotykam osób, które nie znały mnie wcześniej, które nie znają Amnona, które widzą mnie po raz pierwszy w nowej sytuacji i tak mnie klasyfikują, kobieta, za którą stoi rozbita rodzina, niczym uparty, zmiążdżony cień towarzyszy jej w milczeniu wszędzie, dotarła aż tutaj, do tej wsi w Galilei. Masz córkę, prawda? - pyta Orna. W wieku Jotama? Najwyraźniej stara się przywołać z pamięci wszystko, co o mnie usłyszała. Syna, poprawiam od razu, nie córkę. I jak oni się we trójkę dogadują? Tak sobie, to niełatwe, mówię. Czemu miałyby być łatwo? - wykrzykuje natychmiast nieprzyjemnym tonem. Mówiłam mu, że to wariactwo zamieszkać razem w takich okolicznościach, po co komplikować wszystko dzieciom, ale wiesz, jacy są mężczyźni, nigdy niczego nie przemyślą do końca, chociaż on jest stosunkowo rozsądny, ale też ma swoje czarne dziury, kiedy głupieje. To niemal mimowolne, a zarazem stanowcze przekonanie, z którym uznaje ten czyn za całkowitą pomyłkę, do której nie powinnam była dopuścić, sprawia, że przechodzą mnie ciarki, gdy stoję przed jej budzącym lęk obrazem. Ewidentny błąd, który mogło dostrzec każde dziecko, w gruncie rzeczy ludzki, pozostało tylko się do niego przyznać, a potem otrząsnąć się, pójść każde w swoją stronę, każde do swoich dzieci. Patrzę na niego z ukosa, czekam, aż powie coś na swoją obronę, usprawiedliwi postępek, którego tak pragnął, ale zamyślony pije piwo, jego wargi otaczają szybką butelki. Nie jestem pewien, czy to dzieci stanowią problem - mówi na koniec.

Jasne, że nie, oznajmia Orna. Dzieci to sprawa uboczna, która udaje główny problem, dzieci odzwierciedlają wasze własne trudności, ale łatwiej się adaptują, a poza tym szybko rosną, nie zapominajcie o tym, co ja wam będę mówić, kto w połowie życia ma siłę na wszystkie te rewolucje, ja na pewno nie, marzę, żeby być sama, oświadcza i natychmiast znów się irytuje: Gdzie on się podziewa? Oded śmieje się. Widzisz, nie wytrzymasz bez niego ani godziny, o czym ty mówisz. Orna macha ręką na znak zaprzeczenia. Chodzi mi o pity, nie o niego. Słuchajcie, tuż przed waszym przyjazdem widziałam w programie ósmym niesamowity film o Indiach, o kaście pariasów, to wstrząsające, jak oni żyją. Wiesz, co mnie najbardziej zaszokowało? - nieoczekiwanie zwraca się do mnie, jak nauczycielka do uczennicy, która nie uważa na lekcji. To, że nawet w następnych wcieleniach nie uwolnią się od tego przekleństwa, będą pariasami, nawet kiedy narodzą się powtórnie. Przeróżające, prawda? Kiwam głową, patrząc na nią zakłopotana. Czy to jakaś aluzja, im dłużej się w nią wpatruję, tym wyraźniej dostrzegam resztki urody, które woli ukrywać niż, jak wszyscy, podkreślać. Jej zaniedbanie jest dumne i wyzywające, jakby mówiła, jeśli nie mogę być tak piękna jak kiedyś, wolę nie upokarzać się daremnymi próbami.

Oto i on, ogłasza, gdy wysoki, łysiejący mężczyzna wchodzi do domu z torbami pełnymi zakupów. Patrzę na niego zdumiona, taki jest podobny do Amnona, ta sama zgarbiona sylwetka, te same długie ręce i nogi, których rozmiar przydaje im natychmiastowej przewagi. Tylko tego było mi trzeba, pod baczny wzrok naszej gospodyni natknąć się na sobowtóra Amnona, promieniującego kościstą, otwartą swobodą, w przeciwieństwie do zamkniętego w sobie, pełnego rezerwy Odeda. Ty masz Amnona i nieśpieszno ci się od niego

uwolnić, mimo złośliwych pretensji, protestuję w duchu, jak przyjemnie narzekać, kiedy on kręci się w pobliżu, przytula córkę, napelnia twoją lodówkę, Maja i Jotam rzucają się do niego. Jak wy urosliście! - zachwyca się. Ślicznie wyglądasz, Majeczko. A ty jesteś już małym mężczyzną. Niedługo będziecie przyjeżdżać tu sami, bez mamy i taty, pomagać mi w gospodarstwie. Orna krzywi się. Nie przesadzaj, nie mam siły opiekować się dwojgiem dzieci, wszystko przecież zawsze zwalasz na mnie. Jej mąż podchodzi do nas i zauważam, że górną wargę ma trochę wystającą, co nadaje mu wygląd dziecka, gapi się na mnie z jawną ciekawością, wyciąga rękę. To ty jesteś tą nową dziewczyną? - upewnia się, przelotnie potrząsając moją dłoń. Brawo, Oded. Widzisz, zwraca się do żony. Wszyscy biorą sobie młodsze, tylko ja męczę się z tobą, Biedaczysko, śmieje się Orna. Nikt cię nie trzyma na siłę. Dani natychmiast podnosi się energicznie, wyciera ręce w koszulę. Może na-kryjesz do stołu, zamiast gderać, wszystko gotowe, muszę tylko zrobić surówkę.

Pomóc ci? - proponuję Ornie. Czemu nie, mówi. Na kuchennym blacie kładzie przede mną deskę do krojenia i wielką białą kapustę. Potrafisz kroić cieniutko? - upewnia się przed powierzeniem mi tego zadania. Mam wrażenie, że obserwuje moje niezdarne ruchy, podczas gdy sama energicznie sieka pietruszkę i wrzuca ją do błękitnej salaterki. Nie wyglądasz na zakochanych, oświadczą bez skrępowania, rozcinając dojrzały pomidor. Przyznaję, że mnie zaskoczyliście, wydajecie się przygnębieni, wykończeni, od wielu lat nie widziałam Odeda w takim stanie, nawet w najgorszych chwilach z Michał był bardziej optymistyczny. Chwieję się nad poszatowaną kapustą. Oboje jesteśmy trochę oszołomieni tym krokiem, mamroczę. I natychmiast dodaję: Ja też miałam lepsze okresy w życiu, starając się dać do zrozumienia, że też mam przeszłość, że też coś straciłam, bywały dni, kiedy to ja siedziałam w swoim wygodnym domu, podejmując przyjaciół; tak samo jak ona dokuczałam mężowi i przekomarzałam się z dziećmi, to z pewnością lepsza pozycja niż ta, w jakiej się teraz znajduję, nieproszony gość, nowa, o niepewnej pozycji kobieta, której mężczyzna ma dość już po tygodniu.

Całkiem inaczej cię opisywał, ciągnie Orna z pretensją, jakby została oszukana. Mówił, że jesteś silna i niezależna, a przyznaję, że wydajesz się nie mniej krucha i potrzebująca wsparcia niż Michał. Biedak, chyba nie ma już sił na kolejną taką kobietę. Te słowa, krucha, potrzebująca, wychodzą z jej ust z obrzydzeniem i naganą, jakby chodziło o zbrodnię. Drzę na widok lustra, które przede mną stawia, zobaczymy ciebie w mojej sytuacji, buntuję się w duchu, zobaczymy, jak stracisz dom i rodzinę dla mężczyzny, który w ciągu jednej nocy stał się obcy i wrogi, mam wrażenie, że zapomniałam już, że nie dla niego porzuciłam Amnona, jakby rozstanie nastąpiło zaledwie przed tygodniem, wraz ze sprzedażą mieszkania i przeprowadzką na zaułek Selichot.

Nie gniewasz się, że ci to wszystko mówię? - upewnia się przelotnie. Wiem, że czasami przesadzam, mam taki głupi przymus, żeby otwierać ludziom oczy, pozwól, skończę kapustę. Odsuwa mnie i energicznie zabiera się do niezgrabnych plastrów, zamienia je w cieniutkie strużki i wrzuca do miski. Uciekajcie, dzieci, słodycze dopiero po jedzeniu. Dani, jak długo będziesz nakrywał do stołu? W jednej chwili wyjmuję z piekarnika pięknie pachnącą brytfannę. Kurczak w rozmarynie, oznajmia. Dla dzieci zrobiłam klopsy. Na stół wjeżdżają od razu także pieczone kartofle ze śmietaną i surówka, w której przygotowanie mam niewielki wkład. Jest za dużo jedzenia, po co mnie posyłałaś do Nazaretu, narzeka Dani, szukając na stole miejsca na salaterkę z humusem, nalewa do niego oliwę i posypuje pietruszką. Elu, czemu

stoisz, mówi, siadaj obok Odeda. Ale Maja natychmiast krzyczy: Ja obok taty! Po drugiej stronie siedzi już Jotam. Zajmują miejsce na końcu stołu, obok ich milczącej dorastającej córki, wydaje mi się, że im więcej mówi matka, tym mniej ona się odzywa. Znajduję się na wprost Odeda, który po kilku piwach wydaje się nieco odprężony. Swobodnie uczestniczy w rozmowie przerywanej co jakiś czas przez dzieci, które marudzą, sprzecniają się, brudzą jedzeniem, a przede wszystkim wciąż rywalizują o jego uwagę.

Patrzę na niego z poczuciem żalu, jakbym utraciła go na zawsze, czy wybrałabym go znowu, niemłody mężczyzna, który wygląda na starszego, niż jest, o szorstkiej skórze, twarz przecinają mu pionowe bruzdy, łagodny, miarowy głos przeciąga końcówki słów; ma malowniczy sposób mówienia, jego uroda jest ukryta, podkrążone oczy omijają mnie, prawie nie słucham rozmów przy stole, ja też wygłaszałam kiedyś roztropne sądy o sytuacji, o szansach, o czynnikach i winnych, ale najwyraźniej ostatnio utraciłam tę zdolność, niczym chory, który skupia się na własnej chorobie, rozprawia o niej bez przerwy z ożywieniem, każdy inny temat budzi w nim irytację. Nagle podrywam się spłoszona ogłuszającym hukiem, lecz gospodarz czym prędzej mnie uspokaja: Nie przejmuj się, to tylko samoloty startują, niedaleko jest baza lotnicza, coś się dzieje na północy, w końcu ci impotenci postanowili zareagować, dodaje z satysfakcją. Żona natychmiast cię wcina: I co właściwie z tego przyjdzie? Kolejna przemoc? - wybucha. Trzeba wreszcie przerwać ten cykl. Brak reakcji oznacza słabość, broni się Dani. Nasza słabość prowokuje ich agresję, nie rozumiesz?

Nadszedł czas, żeby okazać wielkoduszość, interweniuje Oded. Wszyscy popełnialiśmy błędy, otworzmy nowy rozdział. Czy zwraca się teraz do mnie, do nas obojga? Jak możesz nazywać się psychiatrą, atakuje go Dani, jeśli nie rozumiesz tak podstawowych spraw w ludzkiej naturze. To walka o władzę, zwycięża silniejszy, nie lepszy. Orna wskazuje na niego szyderczo. Patrzcie, odkąd jego syn poszedł do wojska, zrobił się jeszcze bardziej wojowniczy. Oded, zapisz mi coś na sen, od kiedy Amit jest na służbie, prawie nie śpiam. Kiedy zrozumiesz, że to nie od nas zależy? - wzdycha Dani. Myślisz, że pragnę pokoju mniej niż ty? Problem w tym, że nie ma z kim go zawrzeć. Głośny dzwonek telefonu przerywa jej odpowiedź. Może to Amit, Orna rzuca się do aparatu. Nie dzwonił już od trzech dni. Halo, synku, woła i natychmiast głos jej ostyga. Michał, jak się masz, kochana, pewnie, bardzo nam cię brak, następnym razem ty przyjedź z dziećmi, lepiej się czujesz? Tak, zadzwonię na początku tygodnia, chcesz mówić z Odedem albo z dziećmi? Przy telefonie ustawia się kolejka, wszyscy chcą chwycić słuchawkę zapuszczonymi palcami i porozmawiać z mamą. Maja, która, rzecz jasna, ubiegła brata, szczebiocze do słuchawki: Mamusiu, jak się czujesz? Tak, świetnie się bawimy, ale trochę nam smutno bez ciebie. Jotam posuwa się jeszcze dalej: Może przyjedziesz, mamo, co z tego, że daleko, nie jestem przyzwyczajony być tutaj bez ciebie. Matka nie przejmuje się zanadto ich emocjami, jej rozmowy z dziećmi są zaskakująco krótkie wobec natężenia uczuć, które wzbudzają. Z ich ojcem natomiast Michał rozmawia długo, okazuje się, że ma mu wiele do powiedzenia, słowa nagromadziły się w niedługim czasie, jaki upłynął od ostatniej rozmowy. Oded mija stół z marmurowym blatem i wychodzi do ogrodu, zostawiając za sobą cień słabego, zatroskanego głosu. Spuszczam głowę nad talerzem, przesuwam po nim kawałki kurczaka, malując własne puste obrazy smugą brązowego sosu, która się za nimi ciągnie, wiem, że wszyscy na mnie patrzą, nawet dzieci, jedni z radością z cudzego nieszczęścia, inni skępowani wyjściem Odeda.

Dolać ci wina? - pyta Dani. Kiedy podsuwam pusty kieliszek, mówi z naciskiem: Biedny

Oded, trzeba biedakowi współczuć, ona nie daje mu żyć. Jestem zdziwiona. Czy naprawdę tak to wszystko wygląda z tamtej strony stołu, naiwnie myślałam, że to nade mną się litują, że drwią z mojego upokorzenia. Orna natychmiast ucisza męża: Przesadziłeś. Nie przy dzieciach. Patrzę na przezroczyste przesuwane drzwi, widać za nimi ciemną sylwetkę Odeda, chodzi nerwowo po trawniku zalanym złocistym światłem, pochylony, jakby słuchawka była nieznośnie ciężka i zaraz miał wypuścić ją z rąk, przekonuje rozmówczynię zamaszystymi gestami. Może oni mają rację, może jest biedny, jak ma sobie radzić z moimi problemami, kiedy jest pogrążony we własnych, jak ja mogę to zrobić, jesteśmy jakby dwójką chorych leżących w jednym łóżku, nie ma w pobliżu lekarza, które z nas pomoże drugiemu?

W porządku? - zwraca się do mnie Orna, widząc, że przykładam dłoń do czoła. Chcesz wody? Dziękuję jej i pośpiesznie upijam łyk, podczas gdy mąż klepie ją po ramieniu wielką ręką. Jeśli tak wygląda nowa para, wolę już zostać z tobą. Zostaw, marudo, Orna strząsa jego dłoń, ale ja uśmiecham się z posępną akceptacją, szklane drzwi się otwierają i Oded wraca do nas, wnosząc powiew chłodnego powietrza, z westchnieniem odkłada słuchawkę niczym ciężarówiec na zawodach sztangi, kiedy już otrzymał ocenę.

To tak ciągle, te rozmowy? - pyta Orna szeptem, kiedy dzieci, które już odeszły od stołu, liżą lizaki przed telewizorem. Z dnia na dzień robi się coraz gorzej, ona nie jest w stanie się otrząsnąć, informuje Oded. Kobieta wykrzywia się gniewnie. Pewnie, po co ma się wysilać, skoro z takim poświęceniem się nią opiekujesz, zawsze jesteś na jej zawołanie, szepcze. Popatrz na siebie, na twarzy masz wypisane wyrzuty sumienia, tylko prosisz, żeby cię ukarano, jacy głupi są psychiatrzy, nie widzą niczego pod własnym nosem. Przyklaskuję jej w duchu, gotowa wybaczyć wszystko, co wcześniej mówiła, zwłaszcza gdy ciągnie: Popatrz, co wyprawiasz, krzywdzisz Elę, samego siebie, ale przede wszystkim Michał, w ten sposób nigdy nie dojdzie do siebie. Wiesz, że ją lubię, dodaje prędko. Ale skoro podjąłeś decyzję o rozstaniu, to się rozstań, przetnij to. Staram się tylko być ludzki, mówi Oded cicho, ku memu zdumieniu patrząc na mnie, nie mogę nie dostrzegać jej nieszczęścia. Ale Orna nie przestaje atakować: Piękne słowa, ale to zbyt uproszczenie. Musisz patrzeć perspektywicznie, to samo nie minie. Może po prostu chcesz, żeby to nie minęło, dodaje. Może chcesz, żeby jej stan tak się pogorszył, że będziesz musiał do niej wrócić. A więc ty też, uśmiecha się Oded z goryczą. Wszyscy podejrzewają mnie o złe intencje. To nic dziwnego, skoro tak wyraźnie widać, że roztaczasz wokół atmosferę winy i wątpliwości. Chodźcie, położymy dzieci i będziemy mogli wreszcie porozmawiać jak ludzie. Ona to lubi najbardziej, śmieje się Dani. Wszystkim naprawiać życie, tylko nie sobie. Kiedy ktoś odważy się powiedzieć pół słowa o tym, jaką atmosferę ona roztacza, Boże uchowaj. Orna natychmiast ucisza męża: Dani, przywiozłeś papierosy? Nie, powiedziałaś, że tylko humus i pity. Mówiłam ci, że papierosy też, gani go Orna. Nie widzisz, że się skończyły, idź na stację benzynową. Dani wstaje niechętnie. Jestem pewien, że mi nie mówiłaś. Masz kompletną sklerozę, przypominałam ci trzy razy, docina mężowi Orna.

Naprawdę mówiłaś mi, żeby kupić papierosy? - pytam dziwnie nagłaco, kiedy Dani wyszedł. Jasne, że nie, śmieje się ona. Ale lubię się trochę nad nim poznęcać, dzięki temu łatwiej się zgodził. Powoli, hamuje ją Oded, nie ucz jej od razu wszystkich swoich sposobów rządzenia mężczyznami, to się wkrótce skrupi na mnie. Orna patrzy na nas zamyślona. Nie przejmuj się, nie skrupi się na tobie, bo wasz związek raczej się nie utrzyma, mówi cicho i natychmiast zakrywa dłonią usta. Przepraszam, czasami samo mi się tak mówi, nie miałam zamiaru... Ale jej

słowa fruwać po pokoju niczym czarne kruki. Nie utrzyma się, nie utrzyma, kraczą, kiedy w milczeniu obserwuję wieczorny rozgardiasz, nie uczestniczę w myciu naczyń ani dzieci, w domu, w którym nigdy nie byłam i więcej nie będę, gość na jeden wieczór u nich, gość na kilka miesięcy u niego. Z oddali patrzę na zamieszanie oderwane już od mojego życia, niemłody mężczyzna, który usiłuje położyć do łóżek dzieci, nieładna kobieta, która usiłuje zaprowadzić porządek w kuchni, jestem obca obojgu w tej samej mierze, wstrząśnięta rozglądam się wokół, niczym przedmiot, który przetrwał tysiące lat pod ziemią, w jednolitym środowisku, wilgotnym i kwaśnym, i nagle został odsłonięty, zetknął się z nowym środowiskiem, które wywołuje szok fizyczny i chemiczny, rozpoczyna nieodwracalne procesy. Przypominam sobie drewniany amulet, pochowany na dnie morskim wraz z łódką rybacką, która zatoneła; kiedy wydobyto go na powierzchnię i wysuszono, w krótkim czasie rozsypał się w proch.

Czemu wędrujesz ręką po moim ciele, jestem jak stare tory kolejowe, mam stępione zmysły, zaskakująco mocny głos dorastającej dziewczyny dobiega z pokoju, a wraz z nim wysokie tony gitary, wszyscy zasiadamy wokół paczki papierosów, rzuconej buntowniczo na stół, już jest otwarta kolejna butelka, nawet Oded zostaje odciągnięty od dzieci, spodnie ma zmoczone wodą po burzliwych kąpielach. Patrzę na niego, kołysząc wino w kieliszku niczym dziecko w bujanym łóżeczku, teraz, kiedy dzieci zniknęły, możemy wrócić do swego wizerunku zakochanej panny, kiedy spoczniemy na posłaniu, odrobinę wstawieni, po omacku zaczniemy szukać punktów oparcia, pogodzi nas głęboka, brzemienna pożądaniem tęsknota, będę cię kochać od końca ciała po jego skraj, ale oto słychać tupot małych stóp i z korytarza wyłania się Maja w długiej koszuli nocnej, kręcone włosy ma rozrzucone w nieładzie, kąciki ust wygięte w dół, pośpiesznie siada ojcu na kolanach, dopasowuje się do jego ciała, jakby wkładała część garderoby, kładzie mu głowę na ramieniu i mamrocze: Nie mogę zasnąć, nie jestem przyzwyczajona spać tutaj bez mamy.

Majuś, naprawdę, to do ciebie niepodobne, taka duża dziewczynka, stara się zakończyć ten incydent Orna. Idź, spróbuj pospać, pozwól tacie posiedzieć z nami. Ale dziewczynka wybucha pełnym złości płaczem. Tato, nie mogę zasnąć, połącz się koło mnie, aż zasnę, tato. Oded przykładła usta do jej włosów. Jestem tutaj, bliźniutko, moja śliczna, idź, spróbuj zasnąć. Jestem pewien, że ci się uda. Maja kopie. Obiecałeś, że będziesz ze mną spał! Przyjdę później, mówi Oded. Ale ona nie ustępuje. Obiecałeś, tato. Oded wstaje ciężko, z córką uwieszoną u jego szyi jak małpka, oplatającą go w pasie nogami, ignoruje Ornę, która sygnalizuje „nie” ręką i ustami, ponownie znika w korytarzu wyłożonym zielonym dywanem, zostawiając za sobą wilgotne ślady stóp.

Ale się objadłam, narzeka Orna, kładąc rękę na brzuchu, i natychmiast dodaje szeptem: Stała się nieznośna, przedtem taka nie była, biedne dzieci. Słowo daję, skąd ja miałam rozum, żeby się nie rozwodzić, dziwi się sama sobie. Byłam młoda i głupia, ale tyle przynajmniej rozumiałam. Twoja córka też tak ciężko to przeżywa? Syn, nie córka, poprawiam. Głośny śpiew dobiegający z zamkniętego pokoju towarzyszy pulsującemu znowu smutkowi. Dlaczego przesuwasz ręką od krańca do krańca mego ciała, jestem jak stary tor kolejowy, który przywykł do straszliwego ciężaru, do nagłej ciemności, do opuszczenia.

Nasza córka komponuje i pisze piosenki, mówi Orna, wskazując podbródkiem na zamknięte drzwi. Czy wydaje mi się, że podkreśliła słowo „nasza”, czy tylko ja to tak słyszę, ty masz „nasze”, ja już nie, dzieci rozwodników czasami należą do matki, czasami do ojca, nigdy nie będą nasze, znowu czuję ból nieobecności Gilego; jakby się cieszył, mogąc skakać po

tych poduszkach, chrupać lizaki przed telewizorem, grać rano z Jotamem w piłkę na zadbanym trawniku, Jotam na pewno opowie mu, jak się świetnie bawili, a on spojrzy na mnie zdumiony, dlaczego pojechałaś beze mnie, dlaczego na mnie nie czekałaś?

Wydaje mi się, że widzę go za szklanymi, zaparowanymi drzwiami, jak tańczy na trawie między trzema dębami, obejmuje się ramionami, jego bosa nóżka nie dotyka ziemi, wstaje szybko i podchodzi do drzwi, ale zaraz wracam zawstydzona, ocieram oczy. Orna patrzy na mnie z zaciekawieniem. Co znowu powiedziałam? To przeze mnie? Nic się nie stało, zapewniam. To wszystko, co mówisz na głos, powtarzałam sobie w duchu ostatnio, tylko że dla mnie jest już za późno. Zaczynam relacjonować z najdrobniejszymi szczegółami nasze dzieje, opowiadam o naszym przypadkowym spotkaniu, jakie wszystko było cudowne na początku, jak nalegał, żebym z nim zamieszkała, jak przyrzekał, że jego stosunek do Gilego się poprawi, kiedy będziemy wszyscy razem, a tymczasem jest coraz gorzej, jak powiedział, że nie lubi misiów. Mówię to łamiącym się głosem, jakby chodziło o prawdziwe znęcanie. No powiedz sama. Dziecko pokazuje mu misia, a on mówi, że nie lubi misiów. Kiedy wchodzimy do domu, opowiadam, rozwijając akt oskarżenia, nowy, a zarazem bardzo stary, znajomy, nawet nie wstaje z miejsca, może to się wydaje nieistotne, ale byłam przyzwyczajona, że Amnon zawsze do nas wychodził, przytulał dziecko, a on mnie tak strasznie zawiódł - wyznaję obcej kobiecie, która słucha ze zmarszczonym czołem. - Uwierzyłam mu, nigdy nie czułam się tak oszukana.

To dlaczego po prostu nie odejdziesz? - pyta Orna chłodno, wydychając w moją stronę siwy dym z papierosa. Po co on ci w ogóle potrzebny, jego dzieci cię denerwują, jego żona wszystko komplikuje, on nie ma dobrych stosunków z twoim synem, czemu się przy tym upierasz, przecież nie dla niego rzuciłaś męża? Ale przez niego zostałam bez domu, wzdycham. Mąż naciskał, żebyśmy sprzedali mieszkanie. To co, mówi Orna. Kup mniejsze mieszkanie dla siebie i dla dziecka, i załatwione. Klaszcze w ręce, ilustrując dobitnie zakończenie naszego związku. To nie takie proste, mówię. Było nam dobrze razem, kochałam go, planowaliśmy wspólną przyszłość, nie mogę z tego tak łatwo zrezygnować, obiecał, że gdy zamieszkamy razem, wszystko się ułoży.

To okropnie dziecinne, mówi ona. To co, że obiecał, pozwiesz go do sądu? Bo nie lubi misiów? Kiedy obiecywał, wierzył w to, a potem się przekonał, że nie może dotrzymać obietnicy. Co mu zrobisz, oskarżysz go? To śmieszne, nie widzisz? Dlaczego śmieszne? - kręcę głową. Powinien odpowiadać za swoje czyny. Ty także powinnaś odpowiadać za swoje, słyszę. Nie zmuszał cię, niczego ci nie narzucał, postanowiłaś, że z nim zamieszkas, nie możesz zachowywać się jak mała dziewczynka i obwiniać go, bo okazał się inny, niż myślałaś, przecież nie omamił cię celowo, wierzył, że wszystko się ułoży, ale okazało się, że się mylił, musisz to jakoś przełknąć. Znowu gładzi się po brzuchu, jakbyśmy obie zgrzeszyły obżarstwem.

Co właściwie masz na myśli? - mamroczę zganiona. Że powinnaś wziąć odpowiedzialność za swoje decyzje, wzdycha Orna. Nie można od rana do wieczora powtarzać człowiekowi, jak bardzo nas rozczarował. Nikt tego nie wytrzyma. Ale przecież to prawda. Jeśli on naprawdę mnie zawiódł? To go zostaw, mówi. Przecież go nie zmienisz. Albo zmienisz siebie, dopasujesz swoje oczekiwania do rzeczywistości, albo po prostu odejdziesz, masz dwie opcje, zrozum. Nachyla się do mnie. Nawet jeśli wszystkie twoje pretensje są uzasadnione, masz z gruntu błędne podejście. Myślisz, że coś ci się należy, że wszystko powinno dziać się zgodnie z przyjętymi zasadami, podczas gdy to jest dżungla, nie wiedziałaś? Patrę na nią z nienawiścią. Wszystko jest dla niej takie proste, jakby chodziło o oddzielenie białka od żółtka, ciekawe, jak poradziłyby

sobie z takim rozczarowaniem. Posłuchaj, ciągnie. Znam Odeda od dawna, kocham go nad życie, ale dostrzegam jego wady. On naprawdę może wprowadzić w błąd. Należy do tych mężczyzn, którzy budzą oczekiwania, że spełnią wszystkie twoje pragnienia, ale bardzo mu do tego daleko. Jest podejrzliwy, przerażająco zamknięty w sobie, nie potrafi uczestniczyć, nie umie tak naprawdę się otworzyć. Moim zdaniem, jest w dużej mierze odpowiedzialny za stan Michał. Jedynym sposobem, w jaki mogła przyciągnąć jego uwagę, było załamanie nerwowe, ale w końcu straciła go właśnie przez to, szkoda mi jej, to zdolna dziewczyna. Kręcę głową wstrząśnięta. Jakby mnie poinformowała, że związałam się z groźnym przestępcą. Ale to niemożliwe, buntuję się. Na początku był taki uroczy, taki wspierający, nie wierzyłam we własne szczęście, nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Orna znowu klaszcze w ręce, tym razem ze zdumienia. Czy ty się urodziłaś wczoraj? To rzeczywiście nie działo się naprawdę. Nie wiesz, że kiedy facet chce zdobyć kobietę, podejmuje niezwykle wysiłki, które potem rozpływają się w powietrzu. Nie przyszło ci to na myśl? Kręcę głową zawstydzona. Sądziłam, że nas to nie dotyczy.

Nie masz żadnych przyjaciółek? - ciągnie Orna z przejęciem. Nie miałaś się z kim naradzić? Nie do wiary, że jesteś taka naiwna. Nie twierdzą, że celowo udawał, z pewnością nie jest potworem, to bardzo głęboki i ciekawy człowiek, ma dobre intencje, ale ma też swoje mroczne strony, jest ciężko poraniony od wewnątrz, osłania to sztucznie zbudowanym mechanizmem kontroli, musi mieć pod kontrolą swoje życie, musi je wyjaśniać, kształtować, w przeciwnym razie czuje się zagrożony i traci się z nim kontakt. Był bardzo w tobie zakochany, może wciąż jest, ale znaleźliście się na etapie bliższym rzeczywistości, nie możecie od niej uciec, albo przyjmiesz go takim, jakim jest, i będziesz mogła niekiedy się nim cieszyć, albo odejdziesz, wasza historia rozpoczyna się dopiero teraz, jeżeli w ogóle, zapomnij o wszystkim, co było wcześniej, to nie wróci.

Są rzeczy, których w żadnym wypadku nie mogę zaakceptować, mówię. Nie akceptuję jego stosunku do mojego syna. Orna zapala kolejnego papierosa. Więc może zrewiduj swoje oczekiwania, sugeruje. Twój syn ma ojca, z pewnością nie jest mu potrzebny drugi. Nawiasem mówiąc, nie wydaje mi się, żebyś miała szczególnie ciepły stosunek do jego dzieci, dorzuca złośliwie. Uwierz, że się starałam, wyznaję. Ale za każdym razem, kiedy próbuję się do nich zbliżyć, coś się psuje. Jestem pewna, że gdyby Oded inaczej traktował Gilego, byłoby mi łatwiej. Nie jestem przekonana, mówi Orna. To nie musi być ze sobą powiązane, mam wrażenie, że całkiem się zagubiliście w tej kwestii. Zamiast być kochankami, staliście się rzecznikami swoich dzieci, ty utożsamiasz się ze swoim, on ze swoimi, nie pozostało wam nic wspólnego, czego moglibyście się uchwycić. Projektujecie na dzieci własne problemy, nie wydaje mi się, żeby twój syn potrzebował aż takiej serdeczności i otuchy, to ty tego potrzebujesz. Musicie się odprężyć, pozwól sobie powiedzieć, że dzieci rosną, choć może o tym także nie słyszałaś, dorastają w mgnieniu oka, Amit urodził się wczoraj, a już jest w wojsku, to nie w dzieciach problem i nie w nich rozwiązanie.

Z siedziska dobiega co pewien czas ciężkie pochrapywanie, dobywające się z gardła jej męża, który odszedł od stołu na początku naszej rozmowy i pólży przed włączonym telewizorem, chrapanie zajęło miejsce dźwięków gitary, które zamarły, najwyraźniej córka Orny i Danie-go także poszła spać, co jakiś czas zerkam w stronę korytarza, kiedy wreszcie Oded uśpi Maję i wróci, zamiast rozmawiać z nim, rozmawiam z jego przyjaciółką, obcą kobietą, bezlitosną i inteligentną, jakbyśmy to my usiłowały poskładać odłamki naszych rodzin, tkąc

wspólną przyszłość. Orna zauważa moje spojrzenie. Jeszcze czekasz? Daj spokój, na pewno dawno zasnął, chodźmy zobaczyć. Idę za nią do przeznaczonego dla nas pokoju. Oded śpi na wznak, z rozchylonymi ustami, nawet we śnie wydaje się czymś zadręczać, ręce rozrzucił szeroko, jak ukrzyżowany, na każdym ramieniu spoczywa dziecięca głowa. Rozczarowana mierzę wzrokiem posłanie, które dla nas rozłożyli, mogę zdecydować jedynie, obok którego cudzego dziecka wolę spędzić noc.

Rzuciwszy mi w ramiona wielki ręcznik, niczym źle wyszkolona pokojówka, Orna mówi: Mam wrażenie, że nie dotarło do ciebie jeszcze, z kim się związałaś. Ja wybrałam opokę. Ma swoje wady, ale nigdy nie pęknie. Oded jest o wiele mniej solidny, niż się wydaje, nie zniesie nieprzyjemnej atmosfery, ma swoje sposoby na oderwanie się, ostrzegam cię, nie przeciągaj tej tortury, poczekaj jeszcze kilka tygodni, i jeśli nie będzie lepiej, zakończ to, żal mi was, wzdycha. Szkoda, że nie spotkałyśmy się wcześniej. Możesz jeszcze wrócić do męża? Wydaje mi się, że on właśnie był dla ciebie odpowiedni. Sądząc po twoich wygórowanych oczekiwaniach, jesteś przyzwyczajona do dobrego. Dlaczego w ogóle od niego odeszłaś?

Wierz mi, już sama nie wiem, wzdycham. Nie panowałam nad tym, to było jak klęska żywiołowa. Orna zerka na mnie z powątpiewaniem znad okularów. Nie wierzę w takie rzeczy, oznajmia. Może nie rozumiesz jeszcze motywów swojego postępowania. Możesz do niego wrócić? Już za późno. Nie kochałam go, wyjaśniam pośpiesznie, starając się obronić przed jej raniącą konstatacją. Miłości się nie czuje, śmieje się ona. To jak ze zdrowiem. Nie czujesz, że jesteś zdrowa, dopiero gdy zachorujesz, jesteś świadoma, czym było. Może miałaś za łatwo, może szukasz wyzwania, potrzebujesz zmagania się z problemami, kto wie. Jeśli tego właśnie szukasz, dobrze trafiłaś, wskazuję teatralnym gestem na śpiącego wśród dzieci mężczyznę. Dobranoc.

Mam wrażenie, jakbym się znalazła w schronisku młodzieżowym, pełnym turystów z wielkimi plecakami, rozpychających się irytująco rąk i nóg, ciepłych oddechów, sapania, w środku nocy rozlega się pianie zdezorientowanego koguta, co ja tu robię, gdybym tylko mogła oderwać od ojca któreś z uspiomych dzieci, przetoczyć je na skraj materaca i zająć miejsce obok niego, być blisko przynajmniej w nocy, może nawet obudzić go i szepnąć, że coś zrozumiałam, że pismo jest coraz wyraźniejsze, a może tylko przekazać mu to dotykiem, pocałunkiem, ale nie odstępuję go, niczym czujni wartownicy, przewracam się z boku na bok na skraju posłania, na pewno nie zasnę, Mai nie zamykają się usta nawet w nocy, mamrocze coś na głos, chyba także przez sen mówi bez ustanku „tato”, Jotam co prawda leży cicho, ale kopie na wszystkie strony, nie należę do nich, nie należę do tego miejsca, chcę wrócić do domu, nawet jeśli ten dom nie ma już ścian ani dachu, przecież gdy byłam mała, nie miałam domu, choć zawsze pragnęłam do niego wracać, nie dlatego, że był ciepły i bezpieczny, ale dlatego, że był niepewny, musiałam go strzec, pilnować, spajać jego fundamenty. Czy nie masz przyjaciółek, pytała. Nie potrafię na to odpowiedzieć, zawsze z łatwością nawiązywałam przyjaźnie i z tą samą łatwością je urywałam, tylko Dina pozostała przy mnie przez wszystkie lata, jej także ostatnio unikam, czy to chciała wtedy dać mi do zrozumienia, że nie jest dla mnie odpowiedni, że potrzebna mi opoka, którą nie wstrząśnie żaden wybuch, wstaję z materaca, biorę koc i poduszkę, w nieznanym domu szukam sobie miejsca do spania, po omacku trzymam się ścian, szukając drogi do siedziska przed telewizorem, pod ścianą leży kilka koców, kładę się obok nich, oddalenie od zjednoczonej rodziny przynosi mi ulgę, jakby ich ciężar mnie dusił; kiedy spowija mnie już sen niczym mglisty obłok, zauważam, że koc obok porusza się, zwałiste ciało gospodarza, który zdezerterował ze swego łóżka, napręża się na moment i natychmiast rozluźnia na

powrót, w sennych majakach wypełnia mnie niema uciecha. Wróciłam do ciebie, Amnon, kanapa zamieniła się w zaczarowany dywan, który cudownie zaniósł mnie do dawnego życia, ale jeśli to ty, gdzie jest Gili, gdzie dziecko naszej miłości? Wydaje mi się, że słyszę, jak odpowiada, jeszcze się nie narodził, urodzi się za dziewięć miesięcy.

Dzieci dźwigają czas na swoich wątłych ramionach, między oczami, wzdłuż łydek, ukrywają go pod ubraniami niczym ostry scyzoryk, nóż, rewolwer, kto odważy się sprawdzić, czy jest naładowany? Niczym mali tragarze, miniaturowi niewolnicy, idą z ładunkiem na plecach, w zeszlorocznych tenisówkach, w ciemnych kaloszach, w sandałach o zdartych podeszwach, jadą na rowerach, na hulajnogach, na wrotkach, wiatr rozwiewa im włosy, ich czyste rysy łagodzą nieszczęście, wróg jest mniej przerażający, gdy widnieje w ich twarzach, tkwi w ich ciałach, nie od nas zależą, lecz od czasu, nie my je wychowujemy, lecz czas, nie nam są wierne, lecz jemu, posłuszne jego nakazom, zostawiają nas w tyle, bo przecież tylko jeśli nas zdradzą, będą mogli zaistnieć.

Kronika naszego życia jest spisana na ich gładkiej skórze, wyrysowana kredkami na pogniecionych zeszytach, niknie w zmieniających się głosach. Dorastają szybciej niż my, rankiem rozstajemy się zaledwie na kilka godzin, a po południu są już inne; z trudem was rozpoznajemy, wasze umykające spojrzenia, zawstydzona naszą miłością, lecz wy zawsze rozpoznacie nas z oddali, nasz zapach, nasz głos, wyraz twarzy, podczas gdy błysk w waszych oczach, patrzących na nas, będzie coraz słabszy. Kiedy nadejdzie dzień, gdy będę dla niego zawadą, kiedy nadejdzie dzień, gdy zapewnię go o swej miłości, a on nie odpowie, poprzestanie na uprzejmym milczeniu, na ściągnięciu opornych mięśni, jak krótka jest ta historia miłosna, której koniec tkwi w początku, później nadejdzie czas męczącego wspomnienia, którego nie będzie chciał słuchać, wyznań wstydlivej tęsknoty, jak to my, matki, kochane po raz pierwszy w życiu miłością idealną, pozbawioną wszelkiej rezerwy, pogodzimy się z jej kresem, czym wypełnimy pustkę, która po niej zostanie. Jakie mylące, niepewne, godne pożałowania jest nasze szczęście, na kogo przierzucamy swoje brzemie, od kogo postanowiłyśmy zależeć, od tych czarujących istot, które oddzieliły się od nas zgodnie z odwiecznym, starym jak sama ludzkość nakazem, im bardziej będziemy się starały je zatrzymać, tym gwałtowniejsze będzie rozstanie, strząsną nas z siebie, niczym pasożyty, razem z naszymi lękami i frustracjami, naszym głodem i pragnieniem, które nigdy nie zostaną zaspokojone.

Czy o ten patyk wtedy się awanturowali niczym dwa pieski, trzymające końce w zębach, krzycząc i roniąc łzy, nie chcąc go puścić, wciąż tu jest, leży wśród krzaków niczym zdechły wąż, nikomu niepotrzebny, wilgotny od deszczu, splekany od słońca, w takim razie będzie mój. Wspinam się na jeden z kamieni, staję na szczycie z długim kijem w ręku, obserwuję rozgardiasz pod szkolną bramą niczym prorok stojący nad miastem skazanym na zagładę, głośny zgiełk, krótkie cmoknięcia, klaksony, rozhuśtane tornistry, dziecięcy płacz i tupot nóg, szybki bieg, z dumą z niezależności, zdążyć przed dzwonkiem, nikt nie się zatrzymuje, aby pożegnać tę chwilę, aby opłakać ten ranek, zmieciony niby wąły listek, potężną falą czasu.

Czy rozpoznam jego twarz wśród dziesiątków dzieci bawiących się na dziedzińcu, głos wśród dziesiątków głosów, wyrrywających się z mocą z gardeł, tyle wstrząsów przeżyliśmy oboje

ostatnio, mimo to z wysokości kamienia droga przed nami zdaje się wyjątkowo jasna, to chyba jedyna pewność, jeszcze kilka lat lub godzin, mgnienie oka, i mój syn stanie się jak jeden z tych młodych chłopaków, mijających mnie właśnie długim krokiem, rechoczących irydująco, przyciskam do siebie kij, czy z którejś ze szczelin wystrzeli kwiat migdałowca, ukazując intencję Boga we wszystkich tych zmianach, czy może zamieni się w węża, gdy rzucę go na ziemię?

Oto i dzwonek, muszę udać się teraz do jednego z mieszkań zaoferowanych mi w okolicy, będę chodzić po pustych pokojach, licząc płytki podłogowe i kroki, wyglądać przez okna, a jednak nie ruszam się z miejsca, nie mogę oderwać oczu od znajomego, a zarazem niezwykle tajemniczego widoku, obserwuję go z punktu, który oddała ode mnie trochę moje życie i tym lepiej ukazuje jego kwintesencję. Przez park przebiega czarny pies, obskakują go równie czarne kruki, jakby były jego potomstwem, ile lat żyje kruk, ile lat żyje pies, ile lat żyje drzewo, ile lat żyje miłość, oto jak wygląda świat bez miłości, świat, którym rządzi czas, tyran bez serca, tylko całkowite poddanie się umożliwi konieczny do przetrwania punkt widzenia, respekt przed czymś, czego nie da się zmienić. Poszukiwałam raczej potwierdzenia niż miłości, niczym uczony, który pragnie ukończyć projekt badawczy i rzuca się na pierwszy dowód, który wpada mu w ręce, jak ja rzuciłam się na Odeda, nie był to błędny dowód, nie z jego powodu wydarzyły się wszystkie te wstrząsy, aby życie po rozstaniu usprawiedliwiło wszelkie cierpienia, ale być może nadszedł moment, dziś o ósmej rano, by zaprzestać poszukiwań, pogodzić się z brakiem, bo opierając się o kij, wyjdę z parku, o kiju wyjdę z twojego domu, jednak to wciąż nie stanowi dowodu.

Jak zawsze ostatnio, ze zdumieniem obserwuję pary żegnające dzieci pod szkolną bramą, jakbym obserwowała niezrozumiałe zjawisko przyrodnicze, co oni wiedzą, czego nie wiem ja, może są cierpliwszi, lepiej dostosowują swoje oczekiwania do rzeczywistości, może po prostu mają szczęście, jak minął im ranek i noc, myślę o naszych porankach, dzieci otwierają zmęczone oczy w podzielonym domu, czy w ogóle można nazwać domem miejsce, w którym żyją obok siebie prawie obcy ludzie, miejsce pozbawione wybaczenia, pozbawione swobody, rozdierane bez ustanku sprzecznymi potrzebami i zobowiązaniami, wydaje się, że już zrezygnowaliśmy, pochopnie, nieprzemyślanie, tak jak wybraliśmy siebie nawzajem. Miejsce złości zajęło znużone zdziwienie, jaka jestem bezsilna, jaki on jest bezsilny, jak bolesne są najzwyczajniejsze, z pozoru najbardziej naturalne chwile, siedzieć wieczorem w salonie przed telewizorem, kiedy mały chłopczyk w pidżamie bawi się na podłodze, rozgrzany po kąpiel, z wilgotnymi włosami, ale to nie moje dziecko, jego obecność podkreśla nieobecność mojego syna, świadomość, że jest niedaleko, że zobaczę go jutro albo pojutrze, niczego nie rekompensuje, jakie to przytłaczające siedzieć w salonie z moim synem, bawiącym się na podłodze drobnymi zabawkami, które stają się coraz bardziej umowne, wydaje się, że już nic nie trzyma w palcach; wiem, że Oded czuje dokładnie to, co ja wczoraj, czeka, aż dziecko w końcu się położy i zniknie z oczu, to przerażające, ale niekiedy utożsamiam się z jego pragnieniem, staram się jak najszybciej położyć Gilego do łóżka, w nadziei że wtedy odetchniemy, ale na próżno; jakie dokuczliwe jest bezustanne napięcie, obawa przed sprzeczkami wśród dzieci, kiedy wszystkie są w domu, bezustanna rywalizacja, do której włączamy się niemal nieświadomie, podsycając ją mimo woli; koncentruje się ona najczęściej w kuchni, zamienionej wówczas w pole walki. Niczym szajka wygłodniałych młodocianych złodziei, zakradamy się i wyrywamy sobie nawzajem jedzenie z ust; kiedy zauważam, że znowu nie zostało nic z obiadu, który zrobiłam dla Gilego, atakuję zaciekle lodówkę i tuż przed ich przyjściem wypijam ulubiony jogurt Mai, mleko czekoladowe, przeznaczone dla

Jotama, połykam resztki ryżu, mdłości, które skręcają moje mdlące skurcze wnętrzości, mają posmak owych dni w tym domu, wstydu i hańby.

Gdyby tylko można było pozbyć się gniewu choć na jeden wieczór, ale mam wrażenie, że każdy ruch podsyca go od nowa, nawet jeśli zasiadamy w restauracji nad apetycznymi daniami, w kinie, w domach przyjaciół, budzi go najlżejsze skrzywienie ust, najbardziej przypadkowe słowo, natychmiast zaczynają się oschłe szept, oskarżenia, groźby, niezdarne próby pogodzenia, rozpalające kolejną kłótnię, co dziwne, chwile spędzane bez dzieci okazują się najgroźniejsze, bo nie ma potrzeby utrzymywania pozorów uprzejmości i zapanowuje między nami pełna goryczy obcość, ostatnio nawet przestaliśmy próbować. W dni, kiedy jego dzieci są u matki, on nocuje w klinice, a ja z Gilim zostajemy sami w ogromnym mieszkaniu, ogrzewającym się powoli i z trudem, do którego zapachów i szelestów jeszcze nie przywykliśmy, jakie ponure jest nasze zwycięstwo, nawet w lustrach widzimy inne twarze, pobielone gorzkim napięciem; tak mieszkańcy wciąż wracali na to samo miejsce, zakładali nową osadę na ruinach poprzedniej, człowiek zawsze wytwarzał podobne przedmioty, garnek, świeca, moneta, my wciąż wytwarzamy podobny niepokój, wyczerpani porównywaniem, stłamszeni rozczarowaniem, pozbawieni jedności. Nie przeciągaj tej tortury, powiedziała Orna, lecz tydzień przerodził się w kilka tygodni, a my nie uciekliśmy, taplamy się w basenie życia, z którego wypuszczono wszelkie oczekiwania, puści w środku krążymy po zamkniętym kręgu akcji i reakcji, pociski słów rozrywają się w ciele w długi czas potem, jak zabrzmiały, siejąc ostrymi odłamkami, widok naszych twarzy przywodzi burzące krew wspomnienie pustej obietnicy, niekończącej się klęski, rosnącej pomyłki.

Pod szkołą parkuje elegancki samochód terenowy, wysiada z niego mężczyzna o chłopięcym wyglądzie, nie śpiesząc się, choć jest już późno, wyjmując ze środka ślicznego małego chłopczyka, za nimi wyskakuje znajomy starszy chłopiec, obaj mają prześliczne oczy matki, podchodzę do nich nagle zatrwożona. Jak się czuje Keren? - pytam jej męża. Dawno jej nie widziałam. Czy to rzeczywiście on, zastanawiam się przez moment, jak bardzo wychudł od tamtego szabatu na początku roku.

Nieźbyt dobrze, odpowiada posępnie. Jest chora. To coś poważnego? - pytam z lękiem. Stoi przede mną, jakby wahał się, czy może mnie wtajemniczyć, i nagle wyrzuca z siebie: Niestety, tak. Czym prędzej znika w bramie, trzymając za ręce dzieci, które wbijają we mnie dwie pary błękitnych, zaniepokojonych oczu. Niestety, tak. Usiłuję przypomnieć sobie, kiedy widziałam ją po raz ostatni, czy to było wtedy, kiedy usiadła obok nas na trawie, nie mogąc nic wziąć do ust, powiedziała, palcami przebierała kosmyki włosów, miała żółtawą cerę, mówiła o bezpieczeństwie dzieci, zaniepokojona zbyt małą liczbą strażników w szkole, lecz kto strzegł jej? Zabieram patyk i odchodzę, ogarnia mnie zawstydzające poczucie własnego zdrowia. Orna myliła się, wbrew powszechnemu mniemaniu, można czuć zdrowie, bo ja nie utraciłam go jeszcze, o ile mi wiadomo, może kiedyś też uda mi się poczuć miłość, a nie tylko jej utratę. Odwracam się od parku kruków i ruszam szybkim krokiem pod adres zapisany w notesie, poranny chłód powoli odchodzi z ulic, miasto gości chętnie łagodnie wiosenne słońce, nie ufajcie mu, niebawem zaatakuje kamienne mury, wciąż dygoczące na wspomnienie zimy, nie pozostawi w nich ani kropli wilgoci.

To najwyraźniej ten dom, w wejściu stoi tęga, smagła kobieta i wybiera numer, telefon w mojej torebce dzwoni, ale nie odbieram go i idę dalej, jakby wcale nie na mnie czekała, chcąc jednego ranka oprowadzić mnie po wszystkich wolnych mieszkaniach w okolicy, których rozmiary mi

odpowiadają i na które mnie stać, mieszkaniach dla dwóch osób, dopiero kiedy się oddaliłam, dzwonię do niej, coś mi wypadło, muszę to dzisiaj odwołać, czy unikając jej, unikam ostatecznego cięcia, czy naprawdę tak mam to zakończyć, co powiem Gilemu, jak wytłumaczę kolejną przeprowadzkę, chyba to nie czas na te pytania, ktoś, kto z narażeniem życia ucieka przed płomieniami, nie może się zatrzymać, aby zastanowić się nad tym, co robi, już jestem na skrzyżowaniu, samochody okrążają rondo, na którym ciasno tłoczą się czerwone tulipany, połyskują w złocistym świetle niczym aksamitny dywan, czy zdążą rozejrzeć się w lewo i w prawo, zanim stanie się za gorąco, za późno?

Po raz pierwszy zauważam, że czarne i białe płytki na klatce schodowej układają się w szachownicę, jak w pokoju ojca, wchodzę powoli na górę, wyciągając przed sobą kij niczym niewidoma, rozlega się rytmiczny stuk. Na szczęście nie ma sekretarki, poczekalnia jest pusta i cicha jak opuszczony posterunek wojskowy, tylko z gabinetu dentystycznego w sąsiedztwie dobiega wycie maszyny do borowania, podchodzę i przykładam ucho do drzwi jego gabinetu, w środku panuje całkowita cisza, najwyraźniej nikogo nie ma, nie zastanę go w fotelu, jak potakuje skinieniem, z odrobinę rozchylonymi wargami, jakby słuchał ustami, pukam ostrożnie i kiedy nikt nie odpowiada, otwieram powoli drzwi i z bijącym sercem zaglądam do środka. Byłam tu tylko raz, przez krótką, intensywną chwilę, z wielkiego osłabienia opadały mi powieki, a jednak go widziałam; jak szybko i tajemniczo ozdrowiałam, czy to wszystko było bezwstydnym kłamstwem, celowym oszustwem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, bo nawet zadbany, kojący pokój, który zapamiętałam, zmienił się nie do poznania, jest teraz mroczny i duszny niby ciasna komórka.

Czy komuś chce się jeszcze tu przychodzić, czy ktoś jeszcze wierzy temu gabinetowi i monotonii jego barw, siadam w skórzanym fotelu, na który wtedy opadłam resztką sił, jestem zdumiona ogólnym zaniedbaniem, wzrok przyzwyczajają się pomału do fioletowej ciemności, przefiltrowanej przez zasłony, zauważam kilka pudeł pod ścianą i ku nieskończonemu zdziwieniu rozpoznaję na nich własne pismo, krótkie słowa, napisane z obawą i nadzieją, sypialnia, salon, kuchnia, czy ukradkiem wynosi swoje rzeczy, żebym nie zauważyła, powoli opuszcza mieszkanie, gdzie on w ogóle jest, rozglądam się wokół z uczuciem dyskomfortu, jakbym po raz pierwszy zajrzała do jego wewnętrznego świata i ujrzała tam groźny chaos.

Dopiero wtedy zauważam nieruchomą postać na sofie, czy to jakiś zapomniany pacjent, negocjujący ze swoim życiem, podnoszę się zaniepokojona, zakłopotana przyglądam się kruchemu profilowi, na jego twarzy maluje się spokój, który pamiętam z naszych chwil miłości. Elu, odzywa się raptem, nie otwierając oczu. W końcu przyszedł, od dawna na ciebie czekam. Ma bezbarwny, monotonny głos, jakby to było nagranie, które wydobywa się ze ścian, a nie spomiędzy zaciśniętych warg. Oded, mamrocę. Wszystko w porządku? Dlaczego tak leżysz, dlaczego nie pracujesz? Odpowiada tym samym dziwnym głosem: Mam urlop, nie mówiłem ci, że jestem na urlopie?

Wielu rzeczy mi nie mówisz, zauważam. Dlaczego jesteś na urlopie? Bo na ciebie czekam, jak mogę pracować, gdy na ciebie czekam, muszę z tobą porozmawiać. Porozmawiać? - powtarzam zaskoczona. Nie rozumiem. Miałeś bez liku okazji, których nie wykorzystałeś, a teraz nagle okazuje się, że na mnie czekasz.

Nie miałem, zaprzecza, odwracając do mnie twarz. Nie dajesz mi żadnej okazji, ciągle do ciebie mówię, ale nie słuchasz, wciąż proszę, nie podejrzewaj mnie, nie osądzaj mnie tak surowo, nie żądaj ode mnie czegoś, czego nie mam. Jego słowa natychmiast budzą uśpiony

gniew. Czego od ciebie żądałam? - syczę ze złością. Żebyś życzył dziecku dobrej nocy? To takie wygórowane żądanie? Oszczędź sobie tych świętoszkowatych wywodów, dobry jesteś w gadaniu, ale twoje słowa nie są nic warte, co to znaczy, nie żądać od ciebie czegoś, czego nie masz? Okazuje się, że nie masz niczego.

Przykro mi, Elu, wzdycha. Byłem głupi, sądząc, że mogę spełnić twoje oczekiwania, tak wielka wiara w swoje możliwości jest być może dobra dla terapeuty, ale najwyraźniej to nie działa poza kliniką. Naprawdę mi przykro. Przykro ci? - krzyczę. Tyle masz mi do powiedzenia? Jakbyś przypadkiem mnie potracił i oblał mnie kawą, albo na umówione spotkanie nie przyszedł, jak ci nie wstyd! Podrywa się gwałtownie i patrzy wprost na mnie, jego czarne oczy wzbierają wrogością, są jak dwie filizanki, wypełnione po brzegi. Zastanów się też nad sobą, myślisz, że życie z tobą to taka wielka przyjemność? Chcesz tylko brać, postanowiłaś, że należy ci się rekompensata za wszystko, co przeżyłaś, nie chcesz ponosić żadnych kosztów, każdy problem wydaje ci się znową przeciwko tobie, potrafisz wyłącznie obwiniać, idź stąd, Elu, pewnie nie chcesz oglądać mnie w takim stanie, nie masz cierpliwości do cudzych problemów, najwyraźniej lepiej sobie radzisz z kamieniami, ludzie to dla ciebie zbyt wiele.

Oszczędź mi swoich przemyśleń, syczę, ściskając mocniej patyk, szukając po omacku drogi do drzwi. Wciągnęłaś mnie i Gilego w sytuację nie do zniesienia, składałaś mi obietnice bez pokrycia, odsunęłaś się ode mnie, gdy najbardziej cię potrzebowałam, nic dziwnego, że zareagowałam tak gwałtownie, nie martw się, nie będę ci więcej utrudniać życia, wyprowadzę się, jak tylko znajdę mieszkanie. Otwieram drzwi i we wpadającym z korytarza blasku jarzeniówek widzę jego skurczoną twarz, przekręca się na brzuch, żebra sterczą mu pod cienką koszulą. Masz rację, mówi nagle ochryple. Głos ma stłumiony i bezbarwny, jakby dobywał się z brzucha. Oszukałem cię, nie mam ci nic do ofiarowania, jestem pusty, wypalony, nie mogę nic nikomu dać, dlatego jestem na urlopie. Przez moment wierzę, że w ten sposób chce doprowadzić mnie do szału, że to dalszy ciąg kłótni, że udaje irytującą zgodę, z którą nie mogę nic począć, ale jego głos nabiera niezwykłej mocy, zniszczyłem życie Michał, teraz niszczę tobie, nie wolno mi żyć z żadną kobietą, nie wolno mi zajmować się dziećmi, nie wolno mi nikogo leczyć, wstrząsa nim gwałtowne łkanie. Kiedy znów zamykam drzwi i stoję bezradnie obok niego, opierając się na kiju, przychodzi mi do głowy dawny, czerwonawy poranek pod koniec lata, gdy stałam w progu pokoju ojca, liście palmy za oknem połyskiwały jak srebrne noże. Zwracam się do jego pleców, zgarbionych nad biurkiem: Tato, wyprowadzam się, zamieszkam w akademiku. Jestem przekonana, że będzie mi życzył powodzenia oficjalnym tonem, prawie nie odrywając oczu od książek. Ku memu zdumieniu raptem wstaje i pada na łóżko, chowa twarz w poduszce, trzęsą mu się ramiona. Stoję z rozdziawionymi ustami, patrząc na widok, którego nigdy wcześniej nie oglądałam, nie wierzyłam, że może zaistnieć wśród wszystkich widoków na świecie, chciałam usiąść obok i pogłodzić go po ramieniu, chciałam nawet rzucić się na łóżko i także wybuchnąć płaczem, oplakiwać najsilniejszą miłość, najbardziej gorzką porażkę, jak moja dusza rozminęła się z twoją, tato, twoja z moją, baliśmy się siebie nawzajem, na próżno, na próżno.

Tkwiałam tam nieruchomo długie minuty, oparta o framugę, w końcu zamknęłam drzwi i poszłam swoją drogą, na próżno, teraz mruczę do mężczyzny wstrząsanego przeciągłym lamentem: Uspokój się, nie bądź dla siebie taki surowy, nie zrobiłeś nic celowo, ale moje słowa tylko potęgują jego rozpacz. Niszczę wszystko, czego się tknę, nie różnię się wiele od mojego ojca, matka zawsze powtarzała, że się maskuję, że w gruncie rzeczy jestem taki sam jak on,

nigdy nie byłem dla niej dość dobry, nigdy nie wynagrodziłem jej wystarczająco cierpienia, jakiego jej przysporzył, ty też chciałaś rekompensaty za swoje cierpienia, najwyraźniej nie umiem rekompensować; siadam przy nim na leżance, usiłuję pogłaskać go po ramionach, trzęsących się jak złamane skrzydła, skrępowana przesuwam palcami po jego plecach, nie znamy się, czy naprawdę jestem gotowa cię poznać?

Uspokój się, szepczę. Jesteś cudownym ojcem, myślę też, że jesteś doskonałym psychoterapeutą, nie złość się na siebie aż tak, miałeś dobre intencje, oboje przyszliśmy z ciężkim bagażem, oboje szukaliśmy schronienia, nic dziwnego, że przeżyliśmy taki wstrząs, jeszcze nic straconego, między całkowitą porażką a absolutnym szczęściem jest trochę miejsca, uspokój się, pomogę ci. Mówię najcichszym szeptem, jakbym bała się usłyszeć własny głos, przykro mi, Oded, nawet nie wiem za co, wstań i pójdziemy do domu, ale on nie przestaje płakać, jego szloch przechodzi w suchy, zduszony kaszel, zostanę tu, mamrocze, źle mi w domu, ciężko mi tam bez dzieci. Przyprawdę je, mówię. W południe pójdę po nie do szkoły. Nie chcę, żeby widziały mnie w takim stanie, wzdycha. To je przestraszy. Nic się nie martw, wytłumaczę im, że źle się czujesz. Chodź, najpierw pójdziemy do domu, do domu, powtarzam, mam wrażenie, że po raz pierwszy od dawna to słowo brzmi przekonująco.

Kiedy wychodzimy na klatkę, gaszę światło w klinice i zamykam drzwi, jakby to była zbankrutowana fabryka, wydana na łaskę wierzycieli. Ostrożnie ujmuję go za ramię i prowadzę po czarnych i białych płytkach, niby zagubionego starca, który potrzebuje pomocy obcych ludzi. Oczy pod ciężkimi brwiami ma wbite w ziemię, wargi zaciśnięte, plecy jak zawsze sztywno wyprostowane, ale głowę zwieszoną, lekko się wzdryga, kiedy wychodzimy na ruchliwą ulicę, zakrywa ręką oczy, biorę go pod rękę i tak idziemy późnym rankiem, w cieniu przygarbionej, pochyłej sosny, jaki wąski ma pień, niczym cienka talia, jaka jest wysoka, w górze majaczy rzadki czubek, samotny ptak spada nagle z nieba jak zestrzelony, znajduje schronienie wśród iglastych gałęzi, usianych ciemnobrązowymi pięściami szyszek.

Oprzyj się na mnie, jeśli ci trudno iść, namawiam, ale pozostaje sztywny, napięty, choć z trudem unosi stopy nad czarnym asfaltem, jego ramię jakby zostało unieruchomione w łubkach i spoczywało na temblaku, ma gorący oddech, unosi się od niego kwaśny zapach choroby. Nasze postacie odbijają się w przeszklonych ścianach kawiarni, wąskie, ciemne, powolne sylwetki, niby wskazówki wyjątkowo niepewnego zegara, przy naszym stoliku, pod plastikowym daszkiem, który zostanie zdjęty z nadejściem lata, siedzi inna para, upojona rajskim szczęściem, jak my kiedyś, taka jest rzeczywistość, uznaję bez pretensji, teraz kroczymy drogą rzeczywistości.

Kiedy dochodzimy do domu, prowadzę go ostrożnie do łóżka, zdejmuję mu buty i kładę rękę na czole. Masz gorączkę, oznajmiam i szybko robię herbatę z cytryną, obserwuję, jak pije. Chcesz jeszcze herbaty, chcesz coś zjeść? - pytam, z trudem wydobywając odpowiedź z zaciśniętych warg. Wszystko w porządku, Elu, chcę tylko odpocząć, mamrocze w końcu i naraz oczy mu się zamykają, policzki pokryte kłującymi włoskami, niczym skórka owocu, wydają się wymizerowane. Zimno mi, szepcze. Nakrywam go kocem, wpatruję się w niego z troską. Nie zbliżaj się do niego, on jest chory, powiedziano mi kiedyś, czy to miała na myśli Dina, czy w końcu nadszedł czas na rozmowę, po wszystkich tych miesiącach, czy powinnam się dowiedzieć, przed czym mnie ostrzegała, ale moja ręka zatrzymuje się nad telefonem, cofa przed utartym szlakiem; znowu zbliżę się do przyjaciółki w chwili kryzysu i oddalę w szczęściu, jestem jej droga w smutku, a zagrażam jej moją radością, zupełnie tak samo, jak mojej matce. Zamiast tego odnajduję numer telefonu, który dzwoni teraz w domu na skraju wsi, o płaskim dachu i

drewnianych schodach. Tu Ela, przedstawiam się w odpowiedzi na niecierpliwy głos Orny. Kilka tygodni temu byłam u was z Odedem, muszę się cię poradzić, po prostu nie znam go dość dobrze i nie wiem, czy to coś poważnego. Kiedy tylko zaczynam opowiadać o jego stanie, przerywa mi. To było do przewidzenia, Elu, ostrzegałam cię, on ma swoje sposoby, żeby się oderwał od rzeczywistości. Tak, miał kilka krótkich załamania, wychodził z nich sam, nie, nigdy nie był w szpitalu, nie martw się, pozbiera się i będzie funkcjonował jak wcześniej, to nie powód, żeby z nim zostać, ani żeby go rzucić, lecz jeśli postanowisz zostać, musisz zmienić swoje nastawienie, musisz zachowywać się, jakby wszystko zależało od ciebie.

Kiedy wracam do sypialni i siadam na brzegu łóżka, przypominam sobie, jak godzinami kołysałam w ramionach chorego Gilego, nie odważałam się go odłożyć ani na moment, w obawie że się obudzi, wyzuta z wszelkich potrzeb, jakbym była niemym sprzętem, ile wolności i siły było w tym całkowitym zniewoleniu, jakbym zgiętym ramieniem odegnała wszystkie inne kłopoty i ograniczenia. Kiedy tak przyglądam się mężczyźnie leżącemu pod kocami, w pokoju zapanowuje łagodny spokój, bo mam uczucie, jakbym strzegła snu tamtego dziecka. Syn rośnie i potrzebuje mnie coraz mniej, zastępuje go ten dziwny, wprowadzający w błąd mężczyzna, liczyłam, że otoczy mnie opieką, usiłowałam wcisnąć się pod jego skrzydła, lecz nie było tam dla mnie miejsca. Jednak właśnie jego bezbronność napenia mnie niezwykłym, przypominającym szczęście ukojeniem, to uczucie pełniejsze od miłości, którego nigdy nie odczuwałam wobec Amnona. Jego grdyka unosi się i opada, twarz co chwila zmienia wyraz, wargi poruszają się, jakby kogoś przekonywał, jakby coś przyrzekał, prosił o zmiłowanie. Mam wrażenie, że na jego obliczu pojawiają się obrazy z dzieciństwa, a zaraz potem obrazy ze starości, które jeszcze nie istnieją. Całe życie, zawieszona w przestrzeni między absolutnym szczęściem a kompletną porażką. Okrywam go kocem, który się zsunął, siadam przy komputerze w kącie sypialni i cicho piszę, jakbym szeptała do jego otwartego, niebieskawego ucha.

Kto zniszczył najpiękniejszy z pałaców, który nigdy już nie został zamieszkały, ogromny labirynt, jaka tajemna siła starła z powierzchni pierwszą doskonałą kulturę europejską, Atlantyde Platona, kto uśmiercił starożytny lud, który stworzył zadziwiająco piękną i subtelną sztukę, który czcił byka ryczącego we wnętrzu ziemi? Czy były to potężne moce natury, szereg trzęsień i fal, czy ludzkość sama stanowiła dla siebie zagładę w postaci najeźdźców z morza lub z ziemi, Dorowie z żelaznymi nożami, Mykeńczycy, którzy opuścili swoją wyspę, coraz więcej znalezisk świadczy o tym, że cywilizacja kretańska istniała także później, kiedy już Terę pokrył pył wulkaniczny i lava. Wzory naczyń, co prawda, się zmieniły, wydaje się, że mieszkańcy mniej uwagi poświęcali sztuce, a więcej fortyfikacjom i obronie źródeł wody, gdy jednak wciąż składali ofiary z ludzi, aby przebłagać naturę, przyszedł człowiek, który przyniósł ogień i posiał zniszczenie wśród bogatego, kwitnącego społeczeństwa, w oszałamiającym przepychem pałacu, zdobnym wizerunkami namalowanych zwierząt i postaci ludzkich, wśród których była Fryzyjka. Biada mieszkańcom wybrzeża, biada Kretańczykom! Dlaczego powiedział wtedy, dziesięć lat temu, znam cię z Tery? Przecież musiał wiedzieć, że nie tam znajduje się jej portret, nie na wulkaniczną wyspę spoglądała tak wyniośle.

Kiedy w południe wchodzę na szkolny dziedziniec, zdziwiony Gili podbiega do mnie z łobuzerskim uśmiechem. Mamo, przyszedłeś po mnie? Dzisiaj jestem u taty, zapomniałaś? Ale jesteś zapominalska. Mam wrażenie, że moja pomyłka niezmiernie go bawi. Nie zapomniałam, prostuję. Przyszedłam po Jotama, bo jego tata zachorował. Na szczęście przyjmuje tę nowinę

naturalnie, sam proponuje, że odszuka Jotama, ciągnie mnie za sobą w głąb boiska. Moja mama cię zabierze, powiadamia go swobodnie, naturalnie, widocznie cieszy się z odwrócenia ról. Chyba wcale nie zazdrości koledze, który może wypożyczyć jego mamę. Zarzucam na ramię tornister Jotama. Tata czeka w domu, wyjaśniam. Nie czuje się najlepiej. Trochę przestraszone, a zarazem pełne wdzięczności spojrzenie chłopca mnie wzrusza, gładzę go po włosach, które rosą bujnie na wszystkie strony, zacierając ślady tamtego nieszczęsnego strzyżenia.

Trzymając się za ręce, idziemy do klasy Mai, znajdujemy ją samotną w ostatniej ławce, zamyślona pakuje zeszyty. Żadne z dzieci nie zagaduje do niej. Dlaczego nie ma koleżanek, dziwię się, przypominając sobie, że nigdy nie zaprosiła żadnej dziewczynki do domu. Na nasz widok ściąga jej się buzia. Co się stało? - pyta. Gdzie tata? Tata czeka w domu, uspokajam ją. Trochę źle się czuje. Nie martw się. Wychodząc, rzucam okiem na podwórze, żeby sprawdzić, czy jest już Amnon. Dostrzegam go przy huśtawkach, rozmawia z ożywieniem z jedną z matek, gestykulując zamaszycie. Odkąd to stał się taki towarzyski, nie mogę jednak teraz się nad tym zastanawiać, mam pod swoją pieczęć dwoje dzieci, dwie ludzkie istoty, którymi muszę się zaopiekować, całe i zdrowe dostarczyć do domu.

Mamo, poczekaj! - Gili biegnie za mną. Narysowałem coś dla Odeda, woła. Podchodzę do niego. Jaki śliczny obrazek, zachwygam się, zanim jeszcze dojrzałam, co przedstawia. Uśmiechnięty, grubiotki miś, nakreślony szybkimi pociągnięciami świecowych kredek. Wiem, że Oded nie lubi misiów, mówi Gili z powagą, ale mój rysunek mu się spodoba. Zegnam się z nim i wychodzę, nie przystając obok Amnona, chociaż chciałam mu coś powiedzieć, spytać, czemu wtedy, przy naszym pierwszym spotkaniu, wspomniał Terę, ale co to teraz zmienia, przecież nie ma drogi powrotu, nigdy nie było.

Kiedy przechodzimy pod żelazną, pomalowaną na zielono bramą, na której szczycie utknęłam pewnego ranka na początku roku między ziemią a niebem, spoglądając na skrawki trawy i stopy śmieci, wyciągam ręce do dwojga dzieci, idących w milczeniu obok, przyciskają się do mnie i razem przecinamy jezdnię, zmierając w stronę parku kruków. Mimo że nie ma z nami Gilego, czuję zdumiewające, niewyraźnie pamiętane, proste poczucie spełnienia, mam wrażenie, że przyciskając do siebie dwa milczące odpryski rodziny, jednocześnie kawałki swojej, pod nieobecność mojego dziecka, pod nieobecność Odeda, gdy jestem sama z dwojgiem prawie obcych dzieci, które garną się do mnie, wyczuwając słabość rodziców.

Jesteście głodni? - pytam i proponuję, żebyśmy usiedli na płacyku za kioskiem, na nagranych od słońca plastikowych krzesłach, kupuję im falafel w picie i z przyjemnością przypatruję się, jak jedzą, Jotam jest taki podobny do ojca, Maja do matki, jakby oboje mieli uwiecznić to nieudane połączenie. Jednocześnie chłopiec jest też podobny do Gilego, a dziewczynka z każdą chwilą coraz bardziej przypomina mi samą siebie, ma identyczne aroganckie spojrzenie, skrywające nieznośną wrażliwość. Jak wam minął dzień? - pytam, a Jotam wyciąga z ust na wpół przeżutą kulkę i mówi: Wiesz, dzisiaj rano Ronen mówił, że jego mama jest bardzo chora, ale obiecała mu, że pokona chorobę. Naprawdę? - pytam z trwogą. Na co choruje? Jotam znowu gryzie pite. Na jakąś chorobę, mówi z pełnymi ustami. Nie wiem jaką. Jest w szpitalu.

Ale tacie nic nie jest, prawda? - upewnia się znowu Maja. Patrząc z bliska na jej piękne włosy i zauważam, że są splątane, pełne gęstych, skołtunionych zbitek. Może pozwoli mi się uczesać. Oczywiście, że nic mu nie jest, uspokajam ją pośpiesznie. Ma trochę gorączki, to wszystko. Może pójdziemy już do domu, ponagla Maja. Chcę zobaczyć tatę. Idziemy dalej, schodzimy krętą uliczką, do której nie dociera światło słoneczne, jest tam chłodno i ciemno jak w głębi ogrodu;

kiedy wchodzimy do domu i stajemy w progu sypialni, Oded natychmiast otwiera oczy, wyciąga ramiona do dzieci, jakby nie widział ich od tygodni, a one skaczą na łóżko w ubraniach i butach, przypadają do niego z ulgą.

Wpatruję się w nich oparta o framugę. Nie, nie przyłączę się do nich teraz, ani być może nigdy, może nigdy nie będziemy jak te rodziny, gromadzące się swobodnie w jednym łóżku. A mimo to nasze osiągnięcie będzie bardziej poruszające, bo każda banalna, oczywista chwila stanie się dla nas zwycięstwem. Zobaczycie, obiecuję bez słów, w niezwykle sposób życie stanie się drogocenne. Choć nie kładę się obok nich, mam wrażenie, że posłanie się poszerza, pośrednio obejmując także mnie, bo za sprzecznymi potrzebami i kłócącymi się zobowiązaniami ukrywa się jedno pragnienie, chyba to zależy ode mnie, będę mogła dokonać cudów, jeśli tylko zechcę, niczym bogini, która uleczyła ludzi swoimi ranami. Podchodzę i podaję Ode-owi trochę pogniecioną, białą kartkę. Gili ci to przesyła, mówię od niechcienia. Spogląda na rysunek z powagą. Jaki śliczny, mówi. Powieszę go nad łóżkiem.

Przejęta wychodzę z pokoju i staję przy oknie, krętą, stromą uliczką wspina się kobieta w ciąży, twarz ma zaczerwienioną z wysiłku, prawie mogę dosłyszeć jej ciężki oddech. Nie, rodzina nie powstanie ze zwątpienia, zrodzi ją tylko świadomość konieczności, jedynie absolutna wiara może zastąpić więzy krwi, nie należy prosić o to, co nam się należy, ale co nas zobowiązuje, czy takiego przymierza życzył mi ojciec wiele miesięcy temu, przymierza, które przynosi spokój i szczęście? Dlaczego z Amnonem nie było mi dane tego osiągnąć, jak wiele moglibyśmy wszyscy troje na tym zyskać, tak się jednak nie stało, może nigdy nie dowiem się dlaczego, nie znajdę ostatecznego potwierdzenia, inskrypcji zaświadczającej o rzeczywistości, która zniknęła, tylko codzienny, bosonogi wysiłek, który nie oczekuje zapłaty, jak kapłani każdego ranka zzuwający buty na skałach, tak uzbieramy okruchy znaczenia, krok za krokiem, linijka za linijką.

Kiedy idę do sypialni z kolejnym kubkiem herbaty, słyszę, jak Jotam mówi: Tato, wiesz, że niedługo będzie Pesach? Dzisiaj nauczyliśmy się o wyjściu z Egiptu. Myślisz, że to się działo naprawdę? Moim zdaniem, to nie ma znaczenia, odpowiada Oded, ale zapytajcie Elę, ona się zna na tych sprawach. Kiedy cała trójka patrzy na mnie, czuję nagle tremę, jakbym znowu znalazła się w sali wykładowej, mam wrażenie, że jeśli uda mi się przekonać tę dziecięcą, nieliczną widownię, przekonam samą siebie. Chyba nigdy się nie dowiemy, czy to się zdarzyło naprawdę, mówię. Nie odnaleziono żadnego potwierdzenia tej historii, ale ja mimo wszystko wierzę, że spisano ją pod wpływem rzeczywistego wydarzenia, bo niezwykle zjawiska, o jakich się w niej wspomina, ciemności, krew i wszystkie plagi, wiążą się z klęską żywiołową, która zdarzyła się naprawdę, tysiące lat temu. Tak jak zazwyczaj boimy się czegoś, co nas raz przeraziło w przeszłości, tak starożytni twórcy opisali to wydarzenie, opierając się na czymś, co wydarzyło się kiedyś i bardzo ich wystraszyło.

Ale wyjście z Egiptu to radosna historia, prawda? - zauważa Maja. Przecież lud Izraela wyswobodził się z niewoli. Tak, masz rację, potwierdzam. Starożytni twórcy wspominali straszną, przerażającą historię, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, historię o zniszczeniu świata, ale zamienili ją w radosną historię o ocaleniu i wyzwoleniu. A ci, co to pisali, wierzyli, że to prawda? Myślę, że bardzo chcieli w to wierzyć.

Jak lśniły jej oczy, kiedy zapraszała wszystkich na przyjęcie, całkiem bezosobowe zaproszenie, bo przecież nie знаła tam prawie nikogo, jakby stała na rogu ulicy, namawiając przechodniów, aby przyszli zobaczyć jej szczęście. Z jakiej okazji, zapytał ktoś, a ona odparła: Bez okazji, mamy ochotę świętować, patrząc mężowi w oczy, jakby dzieliła się z nim sekretem. Lekki rumieniec wykwitł jej na policzkach, ja zaś wzdrygnęłam się, jakby to mnie odebrała szczęście, zanurzyła ręce w zbiorniku ogólnego szczęścia i zaczerpnęła je stamtąd pełną garścią, nie zostawiając mi ani okruszka. Jak potoczyło się przyjęcie tamtego wieczoru, ile butelek wina otworzono, jakiej muzyki słuchano, jaki podano poczęstunek, kto w ogóle przyszedł, kto z ludzi odprowadzających ją dzisiaj w ostatnią drogę przyszedł na jej przyjęcie, kto z licznego, bezładnego tłumu, który wysiada z samochodów i idzie naprzód, wiosenny, pustynny wiatr rozwiewa nam włosy, wydyma spódnicę i rękawy, żółci skórę, która zaczyna przypominać odcień jej twarzy w ostatnich miesiącach, nagle wszyscy upodabniamy się do niej, wszyscy zbliżamy się do śmierci.

Wtedy także był piątek, jak teraz, gdy ujrzałam go po raz pierwszy na rozpoczęciu szabatu, był blady i pełen rezerwy, kiedy zerkam na niego, kroczącego obok, zauważam po raz pierwszy, jak się postarzał, bruzdy wzdłuż policzków pogłębiły się, skóra na szyi zwiotczała, włosy straciły kolor, jego nowa bezbronność budzi we mnie poczucie bliskości, niemal dumy, to przy mnie tak się postarzał, odtąd każda zmiana w jego wyglądzie będzie moja, nasza, na dobre i na złe, niczym majątek nagromadzony podczas wspólnego życia, obserwuję go z nieznaną wcześniej czujnością, czy wybrałabym go jeszcze raz, czy w ogóle go wybrałam, potężna fala rzuciła mnie pod jego nogi, a jego pod moje, razem pełzaliśmy oszołomieni wśród ruin, ciągnąc za sobą troje dzieci.

Idziemy ścieżkami, które jeszcze nie zostały wydeptane, przedzieramy się przez stada śmierci, znajome twarze mieszają się z nieznanymi, westchnienia z pokasywaniem, powoli kroczymy za jej ciałem, owiniętym białymi bandażami, ostatkiem sił leżącym na żalobnych noszach, jakby została pośpiesznie ewakuowana z miejsca katastrofy, przenoszenia do lepszego miejsca, gdzie ją uleczą. Smutek czerni twarze niczym trucizna, gdy zbieramy się wokół przeznaczonego dla niej skrawka ziemi, gdzieś przetacza się burza płaczu, siostra szalejącej wokół nas burzy piaskowej, która stara się zakłócić ceremonię, za chwilę wrzuci przyzmy ziemi z powrotem do przygotowanego zawczasu grobu, uniesie lekkie ciało do nieba, rozpościerającego się nad nami sklepienia, niskiego, zapyłonego, jak abażur wiszącej za nisko lampy.

Ze swego miejsca na skraju nie widzimy, co się dzieje, wychwytyjemy tylko dźwięk łopat uderzających o skalistą ziemię, w pauzach między kolejnymi uderzeniami wystrzają się zmysły, można dosłyszeć szelest chusteczek higienicznych, ocieranie oczu, szmer wsiąkających łez, przełykanie pełnej ziarenek piasku śliny, poruszenie włosów, poczuć

wilgotny, stęchły zapach świeżej ziemi. Tak pracowała w swoim ogródku, niedaleko stąd. Przypominam sobie, jak pewnego razu przyjechałam do nich po Gilego i zastałam ją zamyśloną, wspartą o łopatę, dokładnie taką samą, jakiej używają teraz grabarze; w czerwonych szortach i cienkiej koszulce wyglądała jak nastolatka, jej uda pokrywały smugi ziemi. Patrz, co posadziłam, powiedziała, ocierając pot z czoła. Drzewko wiśniowe. Jej mały synek dreptał wokół, chwiejąc się jak pijany. Porwała go w objęcia i pocałowała w usta, mówiąc: Kiedy Jonatan podrośnie, na drzewie będą owoce. Będzie mógł jeść wiśnie prosto z drzewa. Kiedy piłyśmy lemoniadę w ogrodzie, otworzyła się furka i wszedł jej mąż. Zwróciła do niego twarz. Jak cudownie, że wróciłeś wcześniej! On także podniósł chłopczyka i pocałował go w usta, do których przylgnął na chwilę smak jej warg. Teraz mały synek Karen przygląda się nam z wysokości ramion ojca, przerywa odmawianie kadyszu przenikliwymi piskami radości. Nagle słyszę głos jego starszego brata, kolegi Gilego, który stoi obok i także stara się dobitnie czytać tajemniczy tekst, jakby odpowiadał w klasie przed wymagającą nauczycielką, jego delikatny głos przywodzi mi nagle na myśl głosiki Gilego i Jotama. Tak będą kiedyś stali przed pryzmą ziemi, odmawiając kadysz za swoje matki.

Z naszego miejsca na skraju trudno dojrzeć, co się dzieje, widzę dobrze tylko Jonatana, czy naprawdę wznosi się na ramionach ojca, wydaje się, że unosi go setki rąk, niczym pana młodego w dniu ślubu, jego oczy, błękitne jak jej, błyszczą radością, kiedy rozgląda się po tłumie, uśmiecha się coraz szerzej, jakby był pewien, że wszyscy zebrani przyszli, aby go zabawić. Na widok rozradowanego chłopczyka, którego zaledwie wczoraj osierociła matka, zaczynamy gorzko płakać. Rozgląda się zdumiony i pyta niepewnie, jakby wymawiał pierwsze słowa: Tato, dlaczego wszyscy płaczą? Nie słyszę odpowiedzi, ciężkie westchnienia i wycie wiatru zagłuszają głos. Ocieram oczy, rozglądam się wokół, coraz bardziej upodabniamy się do siebie, oczy mamy czerwone niczym krety, zażółcone włosy, zasycha nam w gardle, usta wypełniają się pyłem, jakbyśmy uczestniczyli w masowych wykopaliskach, bezwiednie ryjąc pieczary pod zbudowanym miastem. Patrzcie, żółte mleko leje się z nieba, wiatr jest coraz gorętszy, ciężki od piasku i nasion, naładowany, elektryczny wiatr, jak pył wulkaniczny, który unosi się w powietrzu przez długie dni.

Z daleka dostrzegam wysokiego mężczyznę, który zdejmując okulary przeciwsłoneczne i z rozjaśnionymi oczami daje mi znak głową. Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, był także pokryty pyłem, na ilu pogrzebach byliśmy razem, Amnon, ilu zmarłych zdążyliśmy odprowadzić na ostatni spoczynek. Jego osoba roztacza mgliste poczucie bezpieczeństwa, jak wtedy, gdy chodził między wykopami. Znowu jesteśmy razem, choć rozdzielają nas setki ludzi, krążymy za sobą z dala po kręgach życia. W najbliższą niedzielę jesteśmy umówieni w rabinacie, by zakończyć nasze małżeństwo, staniemy przed trzema surowymi rabinami, podobnymi do tych, którzy zajmują się teraz jej pogrzebem, proszą jej duszę o litość, wyjmę ci z rąk kontrakt ślubny, przejdę przez salę ze spuszczoną głową, odprowadzana nieprzyjaznymi spojrzeniami, długie, białe brody opadające na czarne szaty, rozwiedziona, rozwiedziona, zawołają, już nie uświęcona.

Keren lubiła piątki, słyszę, to mówi jej mąż, jego głos z trudem przebija się przez gwałtowny szloch. Lubiła rozpoczęcie szabatu, kiedy cała rodzina jest razem. Chcemy jej teraz zaśpiewać piosenkę, którą śpiewaliśmy zawsze. Wiem, że nas słyszysz, Keren, wiem, że teraz śpiewasz z nami, obiecuję ci, że w każdy piątek będziemy ci śpiewać tę piosenkę, będziemy słuchać, jak śpiewasz z nami. Odchrząkuje z trudem, opanowuje się. „Witajcie, aniołowie...”

Rwący się głos z trudem pociąga za sobą słaby śpiew syna, zebrani wahają się, czy się przyłączyć, czy też pieśń jest przeznaczona tylko dla najbliższych. Melodia przywodzi na myśl starannie nakryty stół, umyte i uczesane dzieci, ciasto w piekarniku, kobietę w sukience, królowa sobota, chodźcie poszukamy królowej szabat, najpiękniejszej panny młodej, zaślubianej panu młodemu co tydzień na nowo, zaproponowała nauczycielka, a dzieci zerwały się z miejsc i rozbiegły po trawniku. Czy to wtedy Karen powiedziała, urządzamy dzisiaj przyjęcie, wszyscy jesteście zaproszeni, będzie dużo wina, dobra muzyka, przyjdźcie koniecznie. Mąż stał przy niej, otaczając ją ramieniem, i wyjaśniał wszystkim zainteresowanym, jak dojechać. Wokół ich szczęścia skupił się nieduży, wesoły tłumek, tak, pewnie, że przyjdziemy, czemu nie, która przecznica, mówileś, pierwsza za rondem.

Wydaje się, że starcza mu siły tylko do drugiej zwrotki, z daleka widzę, jak osuwa się w ramiona starszej kobiety, najwyraźniej matki, wtedy właśnie tłum zgodnie rzuca mu się na ratunek. Pobłogosławcie mnie dla pokoju, wołamy z wyschniętych gardeł. „Pobłogosławcie mnie, aniołowie...” Mały chłopczyk, który tymczasem trafił w inne ramiona, wymachuje złotym słonecznikiem, wyjęto go dla niego z jakiegoś wieńca. Tato, nie zobaczę już mamy? - pyta nagle, bardziej ze zdumieniem niż ze smutkiem, jakby zastanawiał się nad porządkiem świata, jego pytanie wywołuje nową falę płaczu. Wydaje mi się, że wśród tych wszystkich westchnień i szlochów słyszę znajomy odgłos, który nie odstępował mnie od miesiący, niczym przeciągłe wycie syreny w dniu poległych. Czujnie rozglądam się wokół i dostrzegam jasne loki w kolorze mango, rozwiewające się na wietrze, skurczoną twarz, zakrytą ręką. Nie widziałam jej od miesiący, unikałam jej na wszelkie możliwe sposoby, a teraz spotykam ją tutaj, szłochy niepohamowanie, jakby utraciła coś najdroższego. Wydaje mi się, że stłumiony płacz, który dobiegał wtedy z zacisza sypialni, uwalnia się z więzienia, wyrывa na otwartą przestrzeń. Nagle słyszę, jak odpowiadam jej swoim płaczem, jesteśmy niczym dwuosobowy chór, opowiadający historię, która nie ma świadectwa, po której nic nie pozostało.

Dwadzieścia lat minęło, odkąd stałam tak nad grobem Gil'ada, matka usiłowała trzymać mnie za ramię, ale wymykałam się jej, ukrywałam się wśród macew, przed oczami widziałam gładkie ciało, które jarzyło się w nocy niczym świeca, na próżno ostrzegałaś mnie, mam, jakim cudem przyszło ci do głowy, że nie wiedziałam o jego chorobie, pragnęłam go mimo to, a może właśnie dlatego, bardziej pociągało mnie kryjące się w nim zniszczenie niż młodość, przeszłość bardziej niż przyszłość, czy to strach nie pozwolił mi wybrać, sprawił, że z góry zrezygnowałam? Chowałam się za macewami, podczas gdy jego chłopięce zebra przysypywała ziemią, gdy wszyscy odeszli, wzięłam do ręki patyk i zaczęłam grzebać w piasku, wydawało się, że jeśli będę kopać wystarczająco głęboko, odkryję dom, znajdę kości chłopca, który będzie moim ukochanym.

Ludzie zaczynają się powoli rozchodzić, z twarzami ściągniętymi żalem, z błyszczącymi oczami, stanowczym krokiem, który mimo wszystko zdradza silną chęć życia, nagłą niecierpliwość, jakby w jednej chwili wyłączyli smutek. Pociągam Odeda za ramię, pragnę zniknąć w tłumie, ale on nie rusza się z miejsca, jakby na coś czekał. Kiedy stoję obok niego, mam uczucie, że stopniowo rozmywa się jego lęk przed spotkaniem, a nawet rodzi się pełna skrepowania chęć, by wspólnie opłakiwać, wspólnie odbyć żałobę po tym wszystkim, co utraciliśmy. Tłum rzadnie niczym wielka fala, która cofa się do morza, pozostawiając na plaży rozmaite drobiazgi, wyrzucone na brzeg. Odnoszę wrażenie, że tak odsłoniła nas czworo. Michał odwraca się od nas, idzie powoli, ma na sobie błękitną bluzkę, która kiedyś, pewnego dnia,

odbijała barwę nieba, jej spódnica łopocze na wietrze. Idę za nią ze ściśniętym sercem. Zaczekaj, chcę krzyknąć, nie odchodź jeszcze, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Nagle zatrzymuje się, jakby mnie usłyszała, i z wahaniem zwraca się do nas. Wbijam oczy w ziemię, patrzę na jej stopy w czarnych sandałach na obcasach, chwiejące się kostki, podaje oficjalnie rękę swojemu byłemu mężowi, jakby zawierała z nim znajomość, jej twarz trochę zeszczuplała, spoza loków błyska spokojne piękno. Stoję jak skamieniała obok, wstrzymuję oddech, ale wtedy zwraca się do mnie i wyciąga rękę. Gładzę ze wstydem miękką, białą dłoń, po której rozchodzą się drobne żyłki, niczym dopływy rzeki. Tak mi przykro, mówię nieoczekiwanie, jakby to ona poniosła stratę, jakbym ją musiała pocieszyć. Mnie też, mówi szeptem. Obyśmy nie zaznali więcej smutku. Kiedy słyszę zbliżające się ciężkie, ostrożne kroki, wiem, że staję obok mnie Amnon, wspieram się na nim na chwilę, opieram się o jego ciało, bo wiatr szaleje wokół, szarpie nas, może chce sprawdzić, jak mocno stoimy na ziemi. Przysuwamy się do siebie, czy postronny obserwator odgadnie, kto należy do kogo, czy my sami będziemy to wiedzieć.

Burza piaskowa wygania ostatnich żałobników niczym groźny opad promieniotwórczy, spieszenie wracają do samochodów i odjeżdżają, zostawiając za sobą smugi spalin, nawet rodzina zmarłej porzuca świeży grób, przykryty wieńcami, ojciec znowu niesie w ramionach chłopczyka, który dumnie trzyma słonecznik ze złamaną łodyżką, piękna głowa kwiatu opada, kołyszę się przy każdym kroku, tylko my pozostajemy w tyle, nie mogąc się rozstać, stoimy w pewnej odległości od grobu, wokół skrawka ziemi, w który jeszcze nie wbito łopaty, w którym jeszcze nie wykopano dołu, w którym jeszcze nie złożono człowieka. Mam wrażenie, że wokół nas tańczy krąg przezroczystych dzieci o gładkich, pustych twarzach, okrążają nas siedem razy, niczym panna młoda pana młodego, to nasze dzieci, które się urodziły, które się urodzą i które już nigdy nie przyjdą na świat.

Wiatr wściekle zmiata ślady stóp setek żałobników, którzy rozeszli się przed chwilą, zaciera świadectwa i dowody, aż w końcu wydaje się, że nikogo tu nie było, gniewnie szarpie nas za ubrania, ruszamy gęsiego wśród macew, pod ciężkim sklepieniem nieba, w roztargnieniu stąpamy po reszkach świeczek, po upartych rabatach kwiatowych, czepiających się skał, obcasy Michał zostawiają dziury w ziemi, zakrywają je ślady butów Amnona, do nich, na wąskich ścieżkach między grobami, dołączają nasze ślady, krok za krokiem, rząd za rządem, jak napis wryty w ziemi, który tylko ziemia zdoła odczytać.

Podziękowania

Dziękuję moim drogim przyjaciółom, z których rad i uwag korzystałam: Ednie Maz'ii, Dworze Kac, Joramo-wi Juwalowi, Irit Hameiri-Waldarski, Bilszy Ben Eliahu. Dziękuję Ramowi Orenowi za cierpliwość i wsparcie, oraz Ig'alowi Schwartzowi za to, że z wielką mądrością czytał moje dzieło.

Szczególne podziękowanie należy się mojemu ojcu, który - jak zawsze - pomógł mi w wielu istotnych kwestiach, i mojej matce za jej oddanie.

Dziękuję prof. Roniemu Reichowi, który zgodził się służyć mi swoim czasem i doświadczeniem. Jego książka, „Zaproszenie do archeologii”, pomogła mi wielokrotnie podczas pisania tej powieści, co z łatwością można zauważyć.

Korzystałam także z doskonałego dzieła Izraela Fin-kelsteina i Neila Ashera Silbermana: „Początki Izraela: archeologia, Biblia i pamięć historyczna”, Emanuela Wie-likowskiego „Zderzające się światy”; Pniny Galpaz Feller „Wyjście z Egiptu - fantazja czy rzeczywistość”. Dziękuję autorom, którzy podzielili się ze mną swą bogatą wiedzą.

Dziękuję archeologowi Wasiliusowi Cafirisowi oraz osiedlu Miszkenot Sze'ananim, które udzieliło mi gościny na jedno lato.